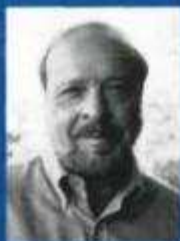


Nelson
DeMILLE



Nadejście nocy



NELSON DeMILLE

Nelson DeMille należy do grona najpopularniejszych amerykańskich pisarzy. Ponad milion egzemplarzy – aż tyle liczą pierwsze nakłady jego powieści – trzymających w napięciu thrillerów wyróżniających się błyskotliwymi dialogami i charakterystycznym ironicznym humorem. Szczególną sympatią czytelników cieszy się bohater (i zarazem narrator) *Sławkowej Wyspy*, *Gry Lwa* i *Nadejścia nocy* – John Corey, agent federalny o niewyważonym języku i dość niekonwencjonalnym sposobie bycia, były oficer nowojorskiej policji zwerbowany do pracy w jednostce antyterrorystycznej FBI.

17 lipca 2000 roku o godzinie 20:31 Boeing 747 linii TWA runął do oceanu u wybrzeży Long Island. Zginęło 230 osób. Oficjalnie przyczyną katastrofy była przypadkowa eksplozja paliwa w centralnym zbiorniku samolotu, spowodowana iskrą elektryczną. Tego dnia w rejonie zatoki trwały ćwiczenia marynarki wojennej USA. Pojawiły się spekulacje, że samolot został zestrzelony – albo przez terrorystów, albo przez amerykańską flotę. W piątą rocznicę katastrofy John Corey dowiaduje się od żony Kate, agentki FBI pracującej w tej samej jednostce antyterrorystycznej, że być może istnieje nagranie filmowe z ostatnich chwil Boeinga. Wbrew decyzji zwierzchników stara się dotrzeć do taśmy, która może obalić oficjalną wersję tragedii – ale CIA i FBI pilnie strzegą swoich tajemnic...

ISBN-13: 978-83-7359-511-4

ISBN-10: 83-7359-511-2



9 788373 593114

Nelson
DeMILLE
Nadejście nocy

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału:

NIGHT FALL

Copyright © Nelson DeMille 2004 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Kołodziejczyk 2006

Redakcja:

Jacek Ring

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Zdjęcie autora:

Sandy Dillingham

ISBN-13: 978-83-7359-311-4 PBN-IO: 83-7359-311-X

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-535-0557/0560

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

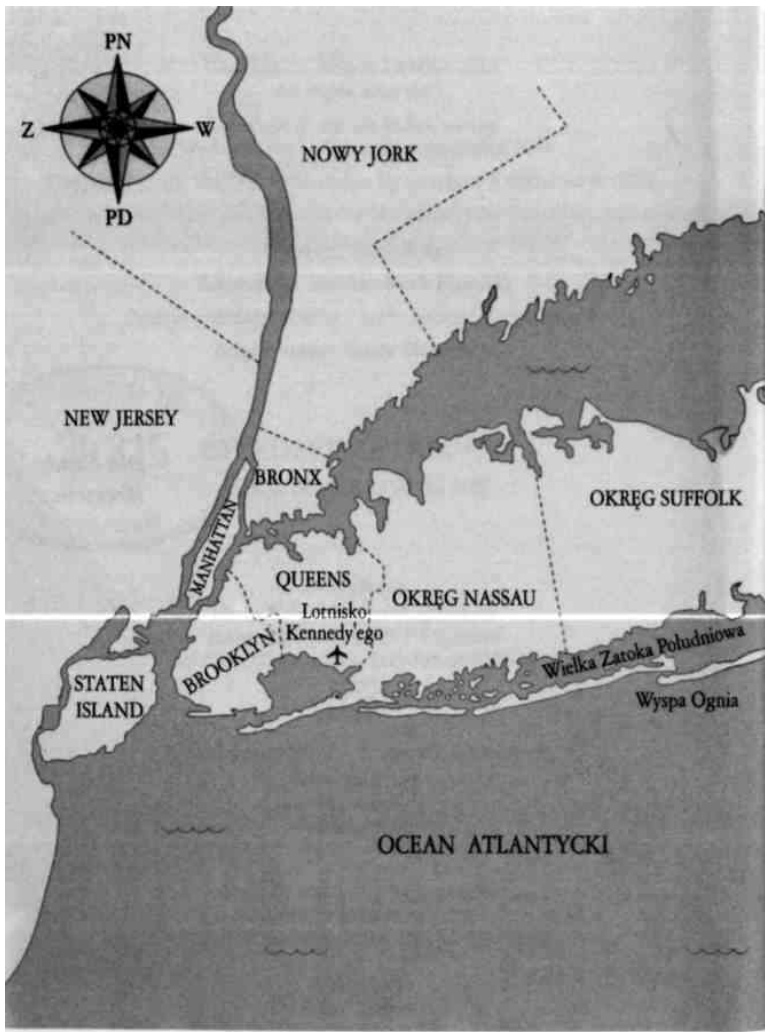
Wydanie I

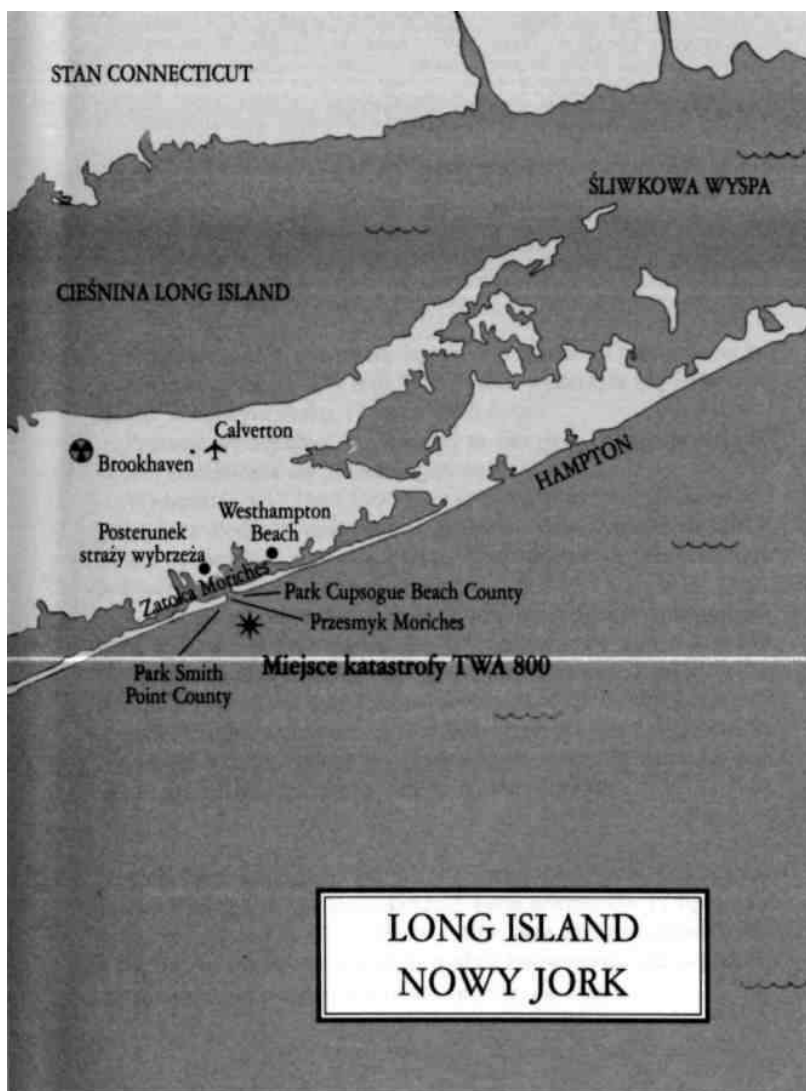
Skład: Laguna

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla Sandy

Wreszcie...





Od autora

Książka ta jest powieścią opartą na faktach. Opowiada o katastrofie lotu numer 800 linii TWA, która wydarzyła się koło Long Island w Nowym Jorku 17 lipca 1996 roku.

Postacie występujące w powieści są fikcyjne, choć pojawiają się w niej odniesienia do prawdziwych osób.

Wydarzenia z 17 lipca 1996 roku przedstawione w tej książce oraz późniejsze śledztwo opisałem na podstawie opublikowanych relacji, moich wywiadów z prowadzącymi dochodzenie, a także rozmów z naocznymi świadkami katastrofy.

Oficjalnie za przyczynę katastrofy uznawano awarię mechaniczną, choć istnieją hipotezy wskazujące na bardziej złowieszcze czynniki, które doprowadziły do tej tragedii. Staralem się przedstawić punkty widzenia wszystkich stron i pozostać w zgodzie z relacjami naocznych świadków, dowodami oraz faktami odkrytymi w trakcie dochodzenia. Pozwoliłem sobie jednak na daleko idącą swobodę literacką tam, gdzie trudno jednoznacznie zinterpretować dowody.

Książkę tę napisałem, by uczcić pamięć pasażerów i załogi lotu numer 800 linii TWA, którzy stracili życie wieczorem 17 lipca 1996 roku. Poświęcam ją też rodzinom i bliskim, a także tysiącom kobiet i mężczyzn, którzy uczestniczyli w akcji ratowniczej oraz w późniejszym śledztwie mającym wyjaśnić przyczynę tragedii.

Księga pierwsza

17 lipca 1996

Long Island, Nowy Jork

Niech rzecz ta na zawsze pozostanie

Naszą tajemnicą

Niech inni jej nie zobaczą

Ani nie usłyszą

Lewis Carroll, *Alicja w krainie czarów*

Rozdział 1

Bud Mitchell jechał fordem explorerem po Wydmowym Szlaku. W pewnej odległości zobaczył tablicę z napisem PARK CUPSOQUE BEACH COUNTY - OTWARTE OD ŚWITU DO ZMIERZCHU. Był zmierzch, lecz Bud przejechał przez pusty parking. Po jego przeciwnej stronie znajdował się szeroki naturalny trakt odgrodzony drucianą siatką. Na tablicy widniał napis ZAKAZ WJAZDU WSZELKICH POJAZDÓW.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał Bud kobiety siedzącej obok niego w aucie.

- Tak, to ekscytujące - odparła Jill Winslow.

Bud skinął głową bez entuzjazmu. Ominął ogrodzenie, włączył napęd na cztery koła i jechał piaszczystą drogą, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się porośnięte wysoką roślinnością wydmy.

Uprawianie pozamałżeńskiego seksu powinno być wystarczająco ekscytujące dla nas obojga, pomyślał, lecz Jill patrzy na to inaczej. Uważała, że zdradzanie męża jest warte zachodu tylko wówczas, gdy seks jest lepszy, a emocje większe niż w domu. Jego podniecało samo kochanie się z żoną innego mężczyzny.

Gdzieś około swoich czterdziestych urodzin Bud Mitchell doszedł do zatrważającego wniosku, że kobiety są inne. Teraz, pięć lat później i po dwóch latach trwania romansu uświadomił sobie, że fantazje jego i Jill niezbyt dobrze do siebie przystają. Jednak Jill Winslow była piękna i chętna, a co najważniejsze, była czyjąś żoną i chciała, żeby tak zostało. Dla niego wyrażenie „bezpieczny seks” oznaczało seks z mężatką.

Dodatkowym dreszczykiem dla Buda było to, że on i Arlene, jego żona, obracali się w tych samych kręgach towarzyskich co Jill i jej mąż Mark. Kiedy we czworo spotykali się przy jakiejś okazji, Bud nie czuł się niezręcznie ani nie gnębiło go poczucie winy - wprost przeciwnie: czuł się fantastycznie, jego męskie ego nie знаło ograniczeń. Upajał się sekretną wiedzą, że zna każdy centymetr nagiego ciała pięknej Jill Winslow.

Gdyby to jednak pozostało do końca tajemnicą, rzecz jasna, nie byłoby tak ekscytujące. Na początku romansu, gdy oboje drżeli, że mogą zostać nakryci, przysięgli sobie, że nikomu nie powiedzą. Później oboje dali do zrozumienia, że musieli się zwierzyć bliskim przyjaciołom, wyłącznie po to, by ci potwierdzili ich bajeczki tłumaczące powtarzające się nieobecności w domu. Bud zawsze się zastanawiał, którzy znajomi wiedzieli, i na spotkaniach towarzyskich dobrze się bawił, próbując odgadnąć.

Przyjechali samochodami z domów na Złotym Wybrzeżu Long Island, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów od Westhampton. Jill zostawiła wóz na wiejskim parkingu, gdzie się spotykali, a później pojechali explorem Buda do hotelu. W hotelu Bud zapytał o bajeczkę Jill i uzyskał jednoznaczową odpowiedź, więc spytał jeszcze raz:

- Gdzie dzisiaj jesteś?

- Na kolacji z przyjaciółką, która mieszka w East Hampton. Jutro jedziemy na zakupy. - Po chwili dodała: - To akurat jest prawda, bo rano musisz jechać do domu.

- Przyjaciółka to przyklepuje?

Jill westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Tak. Niech cię o to głowa nie boli.

- Okay. - Bud zauważył, że Jill nigdy nie pyta o jego bajeczkę, jak gdyby uważała, że im mniej wie, tym lepiej. Postanowił jej jednak powiedzieć.

- Nurkuję z przyjaciółmi w oceanie. Słaby zasięg komórki.

Jill wzruszyła ramionami.

Bud Mitchell rozumiał, że oboje na swój sposób kochają nieco nudnych małżonków, dzieci i wygodne życie wyższej klasy średniej. Kochali też siebie albo tak mówili, jednak nie na tyle, by rzucić wszystko i móc ze sobą być przez siedem dni w tygodniu. Trzy lub cztery razy w miesiącu wystarczało.

Trakt kończył się przy wysokiej wydmie. Bud zatrzymał samochód.

- Jedź do plaży - powiedziała Jill.

Bud skręcił w stronę oceanu.

Explorer sunął przez niskie zarośla i morską trawę, które porastały zbocze wydmy. Bud zatrzymał auto po drugiej stronie wydmy, gdzie nie można go było zobaczyć z drogi. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał 19.22.

Słońce zachodziło nad Atlantykiem; Bud zauważył, że ocean jest gładki jak staw. Niebo było czyste, wisiały na nim tylko pojedyncze, rozproszone chmury.

- Ładny wieczór - rzucił.

Jill otworzyła drzwiczki i wysiadła. Bud zgasił silnik i podążył za nią.

Rozejrzeli się po szerokiej połaci białego piasku plaży kończącej się trzydzieści metrów dalej, w miejscu zetknięcia z oceanem. Woda mieniła się złotymi plamkami w blasku zachodzącego słońca, łagodny wietrzyk od lądu poruszał trawą porastającą wydmy.

Bud rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy są sami. Tylko Wydmowym Szlakiem można się było dostać na wyspę. W czasie jazdy Bud zobaczył kilka samochodów kierujących się w stronę Westhampton, lecz ani jednego zmierzającego w przeciwnym kierunku.

Wąska wysepka kończyła się sto metrów dalej przesmykiem Moriches. Po drugiej stronie widać było kraniec parku Smith Point County na Wyspie Ognia.

Była środa, więc wszyscy weekendowi wycieczkowicze z Hampton wrócili już do miasta, a ci, którzy zostali, dawno rozpoczęli wieczorne koktajle. Poza tym miejsce, w którym wszystkie pojazdy powinny się zatrzymywać, zostało pół kilometra z tyłu.

- Zdaje się, że plaża należy do nas - zauważył Bud.

- Przecież ci mówiłam.

Jill obeszła samochód i otworzyła tylną klapę. Bud podszedł i razem wyjęli z auta koc, lodówkę turystyczną, kamerę wideo oraz trójnog.

Znaleźli osłonięte zagłębienie między dwiema trawiastymi wydmi. Jill rozpostarła koc i postawiła chłodziarkę, a Bud ustawił

trójnóg i kamerę. Zdjął osłonę z obiektywu, spojrzął przez wizjer i skierował kamerę na Jill siedzącą bosą ze skrzyżowanymi nogami na kocu. Ostatnie promienie czerwonego słońca oświetlały scenę. Bud dostroił powiększenie i nacisnął guzik nagrywania.

Usiadł na kocu obok Jill, która otworzyła butelkę białego wina i napełniła kieliszki wyjęte z lodówki.

Stuknęli się kieliszkami.

- Za letnie wieczory i za nas razem - wznosił toast Bud.

Pocałowali się.

Świadomość, że kamera rejestruje ich wizerunki i głosy, troszeczkę wpływała na ich zachowanie. Jill postanowiła przełamać lody.

- Często tu przyjeżdżasz?

- Pierwszy raz - odparł Bud. - A ty?

Uśmiechnęli się i cisza stała się prawie niezręczna. Bud nie był zachwycony, że obiektyw kamery jest na nich skierowany, lecz wiedział, iż później, gdy wrócą do hotelu w Westhampton, będą mogli odtworzyć nagranie, kochając się w łóżku. Może to jednak nie był taki zły pomysł.

Wypili jeszcze po lampce wina i przypomnieli sobie, że nadchodzi zmierzch. Jill przystąpiła do rzeczy. Postawiła kieliszek na lodówce, wstała i zdjęła dziergany top.

Bud też wstał i ściągnął koszulę.

Jill zdjęła szorty khaki i odrzuciła nogą na bok. Stała przez kilka sekund w staniku i figach, patrząc, jak Bud się rozbiera, a potem ściągnęła stanik i majtki. Stanęła na wprost kamery, wyrzuciła ręce w bok, zakolysała się kilka razy, powiedziała: „Ta dam!” i ukloniła się.

Objęli się i pocałowali, ich ręce zaczęły wędrować po ciałach.

Jill ustawiła Buda na wprost obiektywu, spojrzała na kamerę i powiedziała:

- Obciążanie, ujęcie pierwsze. - Uklękła i wzięła jego członek do ust.

Bud się usztwytnił, ale kolana mu zmiękły. Nie wiedział, co zrobić z dłońmi, położył je więc na głowie Jill i przesuwając palcami po jej prostych kasztanowych włosach.

Zmusił się do uśmiechu, pamiętając, że kamera filmuje jego twarz,

a chciał wyglądać na zadowolonego, kiedy później będą to odtwarzali. Lecz w gruncie rzeczy czuł się trochę głupio i nieswojo.

W mieszanym towarzystwie bywał nieco rubaszny, Jill zaś wyrażała się delikatnie i skromnie, czasem tylko się uśmiechała lub żartowała. Jednak w łóżku wciąż zaskakiwała Buda seksualnymi szaleństwami.

Wyczuła, że partner za chwilę osiągnie orgazm, więc odsunęła się i oznajmiła:

- Koniec ujęcia. Scena druga. Poproszę wino.

Bud sięgnął po butelkę.

Położyła się na wznak, uniosła nogi, i powiedziała:

- Smakowanie żoneczki. - Rozłożyła nogi. - Nalewaj.

Bud uklęknął, polał ją winem, a później bez dalszych wskazówek reżyserskich wsunął w nią język.

Jill dyszała ciężko, ale zdołała wydusić:

- Mam nadzieję, że dobrze ustawiłeś kamerę.

Bud podniósł głowę, by zaczerpnąć powietrza. Zerknął na kamerę.

- Taak.

Wzięła butelkę i rozlała resztkę wina po ciele.

- Zliź.

Zebrał językiem wino z jej twardego brzucha i piersi, przesunął językiem po sutkach. Po kilku minutach usiadła i powiedziała:

- Cała się lepiej. Wykąpmy się na golasa.

Bud wstał.

- Myślę, że powinniśmy już jechać. Wykapiemy się w hotelu.

Jill go zignorowała, wspięła się na szczyt wydmy i spojrzała na ocean.

- Postaw kamerę tutaj, żeby było widać, jak się kąpiemy.

Bud wiedział, że nie ma szans w sprzeczce, toteż podszedł szybko do kamery, zatrzymał ją, przeniósł razem z trójnogiem na wierzchołek wydmy i ustawił nogi w piasku.

Objął spojrzeniem piaszczystą plażę, ocean i niebo. Zamierający blask słońca wciąż oświetlał horyzont, lecz woda była już granatowo-purpurowa. W górze zauważył pierwsze gwiazdy i migające światła wysoko lecącego samolotu. Na dalekim horyzoncie lśniła poświata

dużego statku. Wietrzyk przybrał na sile i chłodził jego spocone, nagie ciało.

Jill spojrzała przez wizjer i przestawiła soczewkę na zmierzch, a następnie ustawiła automatyczne skupienie na nieskończoność, a powiększenie na szerokie ujęcie. Wcisnęła przycisk nagrywania i powiedziała:

- To jest takie piękne.
- Może nie powinniśmy schodzić nago na plażę - rzekł z wahaniem Bud. - Tam mogą być jacyś ludzie.
- I co z tego? Jeśli ich nie znamy, to kogo to obchodzi?
- Tak, ale zabierzmy jakieś ubrania...
- Trzeba w życiu ryzykować, Bud.

Zaczęła zbiegać po zboczu w stronę oceanu, ślizgając się i podskakując.

Bud obserwował z podziwem jej doskonałe, nagie ciało śmigające ku wodzie.

Odwróciła się do niego.

- No chodźże!

Bud zbiegł z wydmy i pomknął sprintem po płaskiej plaży. Czuł się głupio z członkiem podskakującym na wietrze.

Dogonił Jill na skraju wody. Odwróciła go do kamery i zamachała ręką.

- Bud i Jill pływający z rekinami. - Ujęła go za rękę i z pluskiem skoczyli w spokojny ocean.

Pierwszy szok zetknięcia z zimną wodą ustąpił miejsca przyjemnemu uczuciu oczyszczenia ciała. Zatrzymali się w miejscu, gdzie słona woda sięgała im do bioder i obmyli się z przodu i z tyłu.

Jill spojrzała na morze.

- Czysta magia.

Bud stanął obok niej i oboje jak zahipnotyzowani wpatrywali się w lśniącą niczym szkło tafłę morza i rozpostarte nad nimi purpurowe niebo.

Z prawej strony Bud zauważył migające światła samolotu jakieś dwanaście, może piętnaście kilometrów od Wyspy Ognia, lecącego na wysokości trzech do pięciu tysięcy metrów. Samolot zbliżał się, promienie zachodzącego słońca odbijały się od jego skrzydeł. Zostawiał za sobą cztery białe smugi na ciemnoniebieskim niebie; Bud domyślił

się, że wystartował z lotniska Kennedy'ego położonego sto kilometrów na zachód i leci w stronę Europy. Chwila była romantyczna, więc rzekł:

- Chciałbym być z tobą na pokładzie tego samolotu i lecieć do Paryża albo Rzymu.

Jill parsknęła śmiechem.

- Wpadasz w panikę, kiedy spędzamy wieczór w hotelu na godziny. Jak byś wytłumaczył wycieczkę do Rzymu lub Paryża?

- Nie wpadam w panikę - obruszył się Bud. - Jestem ostrożny. Ze względu na ciebie. Chodźmy.

- Za chwilę. - Ścisnęła mu pośladek. - Od tego nagrania wypali się ekran telewizora.

Bud był wciąż zły i nie odpowiedział. Złapała go za penisa i zaproponowała:

- Zróbmy to tutaj.

- Aaa. - Spojrzał w jedną i drugą stronę, a później na skierowaną na nich kamerę.

- No, chodź. Zanim ktoś nadejdzie. Tak jak w tej scenie ze *Stąd do wieczności*.

Bud znał tysiąc powodów, dla których nie powinni uprawiać seksu na plaży, ale Jill trzymała rękę na tym jednym, który przemawiał za.

Wzięła go za dłoń i poprowadziła na brzeg, gdzie łagodna fala obmywała mokry piasek.

- Połóż się.

Bud spełnił polecenie. Woda omyła jego ciało i cofnęła się. Jill ułożyła się na nim. Kochali się powoli i rytmicznie, tak jak lubiła, poruszając się w swoim tempie.

Buda rozpraszała nieco woda przelewająca się po jego twarzy i ciele; trochę niepokoiło go też to, że są całkowicie odsłonięci na piasku. Lecz po minucie cały świat wokół nich zniknął i nie zauważyłby nawet tsunami.

Minutę później Jill szczytowała, a Bud razem z nią.

Leżała na nim, dysząc ciężko przez kilka sekund, a potem usiadła okrakiem. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć i przerwała w pół słowa. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ocean.

- Co to jest...?

Bud usiadł błyskawicznie i podążył za jej wzrokiem, spoglądając przez prawe ramię.

Coś unosiło się nad wodą; po sekundzie uświadomił sobie, że jest to smuga czerwonawopomarańczowego ognia ciągnąca za sobą pióropusz białego dymu.

- Co, do cholery...?

Zjawisko wyglądało jak fajerwerk, który pozostał po Czwartym Lipca, ale było za duże, o wiele za duże, i wynurzało się z wody.

Oboje patrzyli, jak przyspiesza, błyskawicznie wspinając się w niebo. Smuga dymu przybrała zygzakowaty kształt, świetlny punkt na szczycie skręcił.

Nagle na niebie pojawił się błysk światła, a później ogromna kula ognia. Jill i Bud zerwali się na nogi i patrzyli na deszcz ognistych szczątków spadający w miejscu eksplozji. Jakies pół minuty później usłyszeli huk dwóch wybuchów, które nastąpiły tuż po sobie. Oboje drgnęli instynktownie. Potem zapadła cisza.

Wielka kula ognia jakby zawisła w powietrzu, a następnie runęła w dół, rozpadając się na dwa lub trzy ogniste kawały lecące z różną predkością.

Minutę później niebo było czyste; zostały na nim tylko chmury białego i czarnego dymu oświetlone od spodu blaskiem ognia płonącego na gładkim oceanie.

Bud spojrział na rozpalony horyzont, później na niebo, a potem znów na wodę. Jego serce waliło w przyspieszonym tempie.

- O mój Boże... - wyszeptła Jill. - Co się stało...?

Bud stał w bezruchu, nie do końca rozumiejąc, co przed chwilą zobaczył, lecz przeczuwał, że to coś strasznego. W następnej chwili uświadomił sobie, że tyle huku i ognia przyciągnie na plażę ludzi. Wziął Jill pod rękę.

- Wyośmy się stąd. Szybko.

Odwrócili się i pokonali sprintem czterdziestometrowy stok wydmy. Bud złapał kamerę i trójnog, a Jill zbiegła po drugiej stronie zbocza.

- Ubieraj się! - krzyknął za nią. Oboje zrobili to bardzo szybko i pomknęli w stronę explorera. Bud niósł trójnog, a Jill kamerę. Koc i lodówka zostały na piasku.

Cisnęli sprzęt na tylne siedzenie i wskoczyli do samochodu.

Bud uruchomił silnik i wrzucił bieg. Oboje ciężko dyszeli. Nie zapalając reflektorów, wjechał na trakt i skręcił ostro w prawo. Prowadził ostrożnie w ciemności, po piaszczystej drodze, aż dotarł do parkingu. Wreszcie wyjechał na Wydmowy Szlak, włączył reflektory i dodał gazu.

Oboje milczeli.

Z naprzeciwka nadjechał policyjny radiowóz i przemknął obok.

Pięć minut później zobaczyli światła Westhampton po drugiej stronie zatoki.

- Bud, wydaje mi się, że tam eksplodował samolot - odezwała się Jill.

- Może... a może to była olbrzymia raca wystrzelona z barki. - Po chwili dodał: - Może ktoś urządzał pokaz sztucznych ogni.

- Race nie wybuchają w ten sposób i nie palą się na wodzie. - Jill zerknęła na niego. - Coś ogromnego eksplodowało w powietrzu i roztrzaskało się w oceanie. To był samolot.

Bud nie odpowiedział.

- Może powinniśmy wrócić? - zapytała Jill.

- Po co?

- Może jacyś ludzie się wydostali... Mają kamizelki ratunkowe, tratwy. Może udałoby się im pomóc.

Bud pokręcił głową.

- To, co widzieliśmy, roztrzaskało się na kawałki. Musiało lecieć na wysokości kilku kilometrów. Gliny już są na miejscu. Nic tam po nas.

Jill milczała.

Bud skręcił na most prowadzący do Westhampton Beach. Do hotelu było pięć minut jazdy. Jill pogрузzyła się w myślach.

- Ta smuga światła... to była rakietka. Pocisk.

Bud nic nie odpowiedział.

- To wyglądało, jakby rakietka wystrzelona z wody trafiła w samolot.

- Jestem pewien, że usłyszymy o tym w wiadomościach.

Jill spojrzała na tylne siedzenie i zobaczyła, że kamera wciąż jest włączona; ich rozmowa się nagrywała.

Jill sięgnęła po kamerę, przewinęła taśmę, przełączyła na odtwarzanie i spoglądając w wizjer, zaczęła przewijać taśmę do przodu.

Bud zerknął na nią, ale nic nie powiedział.

Jill nacisnęła guzik „pauza”.

- Jest. Nagraliśmy wszystko na taśmę. - Kilka razy przewinęła kasetę do przodu, a później do tyłu. - Bud, zatrzymaj się i obejrzyj to.

Bud jechał dalej. Jill odłożyła kamerę.

- Mamy wszystko na taśmie. Pocisk, wybuch, deszcz spadających szczątków.

- Taak? A co jeszcze tam widać?

- Nas.

- No właśnie. Skasuj to.

- Nie.

- Jill, skasuj tę taśmę.

- Ale najpierw musimy obejrzeć nagranie w hotelu. Potem je skasujemy.

- Nie chcę oglądać. Skasuj je teraz.

- Bud, to może być dowód. Ktoś powinien to obejrzeć.

- Oszalałaś? Nikt nie będzie oglądał, jak pieprzymy się przed kamerą.

Jill nie odpowiedziała. Bud poklepał ją po dłoni.

- Dobrze, obejrzymy nagranie w hotelu. Później zobaczymy, co podają w wiadomościach. Potem postanowimy, co robić. Zgoda?

Jill skinęła głową.

Bud zerknął na dłonie, w których trzymała kamerę. Jill Winslow była kobietą, która mogła zrobić to, co trzeba, i oddać kasetę władzom, licząc się z tym, jakie to będzie miało skutki dla niej i dla Buda. Uważał jednak, że kiedy zobaczy nagranie w całości, ze wszystkimi szczegółami, opamięta się. Jeśli nie, być może będzie musiał zastosować odrobinę siły.

- Słuchaj... - zaczął. - Jak to się nazywa? Czarna skrzynka. Urządzenie rejestrujące przebieg lotu. Kiedy je znajdą, będą wiedzieli

więcej o tym, co się stało, niż my i więcej niż to, co pokaże taśma. To jest lepsze niż nagranie wideo.

Jill milczała.

Bud wjechał na parking hotelu Bayview.

- Nawet nie wiemy, czy to był samolot. Sprawdźmy, co powiedzą w wiadomościach.

Jill wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę hotelu, trzymając kamerę.

Bud zgasił silnik i poszedł za nią. Nie zamierzam roztrzaskać się i spalić jak ten samolot, pomyślał.

Księga druga

Pięć lat później

Long Island, Nowy Jork

*Spisek to nie teoria,
to zbrodnia.*

Rozdział 2

Wszyscy lubią zagadki. Oprócz glin. Dla gliniarza zagadka, jeśli pozostaje zagadką, staje się przeszkodą w karierze.

Kto zabił prezydenta Kennedy'ego? Kto porwał dziecko Lindberghow? Czemu pierwsza żona mnie zostawiła? Nie wiem. To nie były moje sprawy.

Jestem John Corey, kiedyś pracowałem jako detektyw w wydziale zabójstw nowojorskiej policji, a teraz w siłach antyterrorystycznych - ATTF. Tę część mojej kariery można opisać jako drugi akt jednoaktowego życia.

Oto następna zagadka: Co się stało z lotem numer 800 linii TWA? To też nie była moja sprawa, lecz mojej drugiej żony, która zajmowała się nią w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, gdy wielki boeing 747 lecący do Paryża z dwustu trzydziestoma pasażerami na pokładzie i załogą eksplodował nad wybrzeżem Long Island, pozbawiając życia wszystkie dwieście trzydzieści osób.

Moja druga żona nazywa się Kate Mayfield i jest agentką FBI. Ona też pracuje w ATTF i tam właśnie się poznaliśmy. Niewiele małżeństw może powiedzieć, że zawdzięcza poznanie się arabskim terrorystom.

Autostradą Long Island jechałem na wschód moim paliwożernym smokiem, politycznie niepoprawnym, ośmiocylindrowym jeepem grand cherokee. Obok mnie na fotelu pasażera siedziała wspomniana druga i, miejmy nadzieję, ostatnia żona, Kate Mayfield, która zachowała panięskie nazwisko z przyczyn zawodowych. Z tych samych przyczyn zaproponowała mi, bym używał jej nazwiska, bo

moje wzbudzało w ATTF negatywne emocje.

Mieszkamy na Manhattanie przy Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej, tam gdzie mieszkałem z moją pierwszą żoną, Robin. Kate jest prawniczką, tak jak Robin. Inny mężczyzna w takiej sytuacji zacząłby ze swoim psychiatrą analizować relacje miłosno-nienawistne, które być może łączą mnie z kobietami prawnikami, oraz wszelkie ich złożone przejawy. Ja nazywam to zbiegiem okoliczności. Przyjaciele utrzymują, że lubię pieprzyć prawników. Nieważne.

- Dziękuję, że ze mną przyjechałeś - odezwała się Kate. - To nie będzie zbyt przyjemne.

- Nic nie szkodzi.

Zmierzaliśmy w stronę plaży w ciepłe, słoneczne lipcowe popołudnie, lecz nie po to, by pływać lub się opalać. Jechaliśmy na mszę upamiętniającą ofiary katastrofy lotu TWA 800. Msza odprawiana jest co rok siedemnastego lipca, w rocznicę katastrofy. To była piąta rocznica. Nigdy nie byłem na mszy i nie miałem powodu, by tam być. Lecz jak wspomniałem, Kate pracowała przy tej sprawie i dlatego przyjeżdżała za każdym razem. Przyszło mi na myśl, że oprócz niej sprawą zajmowało się około pięciuset stróżów prawa i byłem pewny, że nie chodzili na każdą mszę, a może nawet nie byli na żadnej. Ale dobry mąż wierzy żonie na słowo. Serio.

- Co robiłaś przy tym śledztwie? - zapytałem.

- Głównie przesłuchiwałam świadków.

- Ilu?

- Nie pamiętam. Mnóstwo.

- Ile osób widziało katastrofę?

- Ponad sześćset.

- Naprawdę? Jak uważasz, co ją spowodowało?

- Nie mam prawa rozmawiać o szczegółach sprawy.

- Dlaczego? Dochodzenie jest oficjalnie zamknięte, przyczyną była podobno awaria mechaniczna, która doprowadziła do wybuchu centralnego zbiornika paliwa. A więc?

Kate nie odpowiedziała, więc jej przypomniałem:

- Mam najwyższe uprawnienia dostępu do tajnych informacji.

- Informacje podaje się tym, którzy ich potrzebują - przypomniała mi. - Czemu chcesz wiedzieć?

- Lubię wtykać nos w cudze sprawy.
- Kate spojrzała w okno.
- Musisz skręcić w zjazd sześćdziesiąt osiem.
- Zjechałem i skierowałem się na południe William Floyd Parkway.
- William Floyd to gwiazdor rocka, dobrze myśle?
 - Był jednym z tych, którzy podpisali Deklarację Niepodległości.
 - Jesteś pewna?
 - Tobie chodzi o grupę Pink Floyd - zauważyła.
 - Racja. Masz dobrą pamięć.
 - Więc czemu nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego za ciebie wyszłam?
 - Bo jestem zabawny. I seksowny. Oraz inteligentny. Inteligencja jest sexy. Tak mówiłaś.
 - Nie pamiętam, że bym to powiedziała.
 - Kochasz mnie.
 - Bardzo cię kocham. - Po chwili namysłu dodała: - Ale potrafisz dać w kość.
 - Z tobą też nie jest łatwo wytrzymać, skarbie.
- Uśmiechnęła się.

Pani Mayfield jest ode mnie o czternaście lat młodsza i ta niewielka luka pokoleniowa bywa czasem interesująca, a czasem nie.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Kate Mayfield jest całkiem ładna, lecz pierwsza rzecz, która mnie do niej przyciągnęła, to oczywiście inteligencja. Później zauważyłem jasne włosy, błękitne oczy i skórę białą jak mydło Ivory. Bardzo zgrabna. Ćwiczy w pobliskim klubie zdrowia i uczęszcza na zajęcia bikram jogi, stepowania, spinu oraz kick boxingu, który ćwiczy czasem w mieszkaniu. Kopnięcia kieruje w stronę mojego krocza; nigdy nie dochodzi do kontaktu, ale możliwość istnieje. Wydaje się, że ma obsesję sprawności fizycznej, podczas gdy ja mam obsesję na punkcie strzelania z dziewięciomilimetrowego glocka. Mógłbym ułożyć długą listę różniących nas rzeczy: muzyka, jedzenie, stosunek do pracy, pozycja deski sedesowej i tak dalej. Mimo to z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu jesteśmy w sobie zakochani.

Wracając do poprzedniego tematu, zagaiłem:

- Im więcej mi powiesz o locie numer osiemset, tym więcej zaznas wewnętrznego spokoju.
- Powiedziałam ci wszystko, co wiem. Zostaw ten temat, proszę cię.
- Nie mogę przeciwko tobie zeznawać, jestem twoim mężem. Tak stanowi prawo.
- Nie stanowi. Później porozmawiamy. Ten samochód może być na podsłuchu.
- Ale nie jest.
- Ty możesz mieć na sobie pluskwy. Potem będę musiała cię rozebrać i obszukać.
- Zgoda.

Roześmialiśmy się. Cha, cha. Koniec dyskusji.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem żadnego osobistego ani zawodowego powodu, by interesować się katastrofą tego samolotu - tylko takie, jak każdy człowiek, który śledził tę tragiczną sprawę w wiadomościach. Od samego początku istniały w niej niespójności oraz wątpliwości i właśnie dlatego po pięciu latach wciąż była gorącym tematem dla mediów.

Przedwczoraj wieczorem Kate oglądała kilka programów informacyjnych poświęconych stowarzyszeniu o nazwie FIRO, które ujawniło pewne odkrycia niezgodne z oficjalnymi wynikami rządowego śledztwa*.

* FIRO - Flight 800 Independent Researchers Organization; Niezależne Stowarzyszenie Badaczy Katastrofy Lotu numer 800.

Stowarzyszenie składało się w większości z wiarygodnych osób badających katastrofę z ramienia rozmaitych cywilnych organizacji, a także z przyjaciół i krewnych zabitych pasażerów oraz członków załogi. Resztę jak zwykle w takich wypadkach stanowili zwichrowani umysłowo wyznawcy teorii spiskowych.

FIRO dawało się władzom mocno we znaki, co w głębi serca szczerze podziwiałem.

Poza tym ludzie ci byli oblatani medialnie, więc w piątą rocznicę katastrofy puścili w obieg nagrania rozmów z ośmioma naocznymi świadkami. Niektóre z nich zobaczyłem przedwczoraj w telewizji, gdy moja żonka przeskakiwała z kanału na kanał. Świadkowie ci przedstawiali bardzo mocne dowody przemawiające za tym, że boeing

należący do linii TWA został strącony rakieta. Przedstawiciele rządu tego nie skomentowali; przypomnieli tylko, że sprawa została rozwiązana i zamknięta. Awaria mechaniczna, koniec historii.

Jechaliśmy na południe w stronę Atlantyku. Było kilka minut po siódmej wieczorem. Kate powiedziała, że msza zaczyna się o wpół do ósmej i kończy o ósmej trzydzieści jeden. Właśnie o tej godzinie doszło do katastrofy.

- Znałaś którąś z ofiar?
- Nie, ale poznałam niektóre osoby z ich rodzin.
- Rozumiem.

Po roku pożycia małżeńskiego wiem, że Kate Mayfield oddziela pracę od swoich uczuć. Dlatego fakt, że wzięła wolny dzień - przez innych pracowników FBI nazywany urlopem - po to, by uczestniczyć w mszy rocznicowej ku czci ludzi, których nie знаła, jest nie do końca zrozumiałe.

Kate wyczuła podtekst mojego pytania i milczenia.

- Czasem mam potrzebę, by poczuć się bardziej ludzką. W tej pracy... czasami jest pocieszające, że to, co uważało się za akt zła, było tragicznym wypadkiem.

- Słusznie.

Nie będę w tym miejscu mówił, że sprawa coraz bardziej mnie intrygowała, lecz ponieważ przez większość życia zarabiałem na chleb wężeniem, zakonotowałem sobie w pamięci, żeby zadzwonić do niejakiego Dicka Kearnsa.

Dick jest gliną z wydziału zabójstw, z którym przez lata pracowałem w nowojorskiej policji. Później przeniósł się do ATTF jako pracownik kontraktowy, którym i ja jestem. Dick, tak samo jak Kate, przeprowadzał rozmowy ze świadkami katastrofy TWA 800.

FBI utworzyło tę jednostkę w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym w odpowiedzi na zamachy bombowe w Nowym Jorku przeprowadzone przez portorykańską organizację FALN* oraz Black Liberation Army. Świat się zmienił i obecnie dziewięćdziesiąt procent stanu osobowego ATTF zajmuje się bliskowschodnim terroryzmem.

* FALN - Fuerzas Armadas Liberación Nacional Puertorriquena; Narodowyzwolnicze Siły Zbrojne Puerto Rico.

Tam dzieje się najwięcej, tam jestem ja i Kate. Jeśli pożyją dostatecznie długo, czeka mnie wspaniała, druga odsłona kariery zawodowej.

Działanie jednostki polega na tym, że FBI ściąga z policji emerytowanych, aktywnych zawodowo gliniarzy, którzy wykonują większość ciężkiej, rutynowej roboty śledczej po to, by przepłacani i przemądrzali agenci mieli więcej czasu na wysilanie swoich mózgowic.

Pomieszenie tych dwóch różnych kultur z początku nie zdawało zbyt dobrze egzaminu, lecz z biegiem lat wypracowano swoisty model współdziałania. Na przykład Kate i ja zakochaliśmy się w sobie i pobraliśmy. Jesteśmy standardową parą ATTF.

Sęk w tym, że gdy fedzie wpuścili gliniarzy do domu, żeby ci odwalili ręczną robotę, ci ostatni otrzymali dostęp do wielu informacji, które niegdyś krążyły tylko między federalnymi. *Ergo* Dick Kearns, mój druh w niebieskim mundurku, chętnie poda mi więcej informacji niż moja federalna żona.

A do czego mi potrzebne te informacje? - mógłby ktoś zapytać. Z pewnością nie uważałem, że uda mi się rozwiązać zagadkę katastrofy TWA 800. Pięciuset mężczyzn i kobiet pracowało nad nią przez lata, dokładnie przez pięć lat, sprawa została zamknięta, a oficjalny wniosek wydawał się najbardziej logiczny: obłuzowany lub nadszarpnięty przewód elektryczny wskaźnika paliwa w centralnym zbiorniku wywołał iskrę, która doprowadziła do zapłonu oparów, a te z kolei rozewały zbiornik i zniszczyły samolot. Wszystkie materialne dowody na to wskazywały.

Prawie wszystkie.

Była jeszcze smuga światła widziana przez zbyt wiele osób.

Przejechaliśmy przez krótki most łączący Long Island z Wyspą Ognia, długą wysepką barierową, słynącą z tego, że w lecie przyciąga wielu różnych ludzi.

Droga prowadziła do parku Smith Point, obszaru porośniętego sosnami i dębami, z trawiastymi wydmami, na którym być może żyją jakieś zwierzęta. Tego nie lubię. Jestem chłopak z miasta.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie droga z mostem przecina się z drogą nadmorską, biegnącą równolegle do oceanu. Nieopodal na piasku stał wielki namiot, którego boczne klapy łopotały na wietrze. W

namiocie i wokół niego zgromadziło się kilkaset osób.

Skierowałem się w stronę niewielkiego parkingu całkowicie zapelnionego oficjalnie wyglądającymi samochodami. Pojechałem dalej piaszczystym traktem w trybie napędu na cztery koła. Znalazłem sobie miejsce do zaparkowania, rozjeżdżając rachityczną karłowatą sosnę.

- Przejechałeś to drzewko - wytknęła mi Kate.

- Jakie drzewko? - Wystawiłem na przednią szybę tabliczkę z napisem „Postój służbowy - policja” i ruszyliśmy pieszo do parkingu.auta albo były kierowane przez szoferów, albo miały na szybach tabliczki z napisami w rodzaju „Postój służbowy”.

Zmierzaliśmy w stronę otwartego namiotu, którego sylwetka rysowała się na tle oceanu.

Mieliśmy ubrania w kolorze khaki. Kate ubrała się w dzierganą koszulę, a ja włożyłem dobre buty turystyczne.

- Możliwe, że spotkamy paru innych agentów, którzy pracowali przy tej sprawie - uprzedziła mnie Kate.

Przestępcy wracają na miejsce zbrodni lub nie, lecz wiem na pewno, że gliny często wracają na miejsce niewyjaśnionej zbrodni. Czasem obsesyjnie. Ale to nie była sprawa kryminalna, o czym musiałem sobie przypomnieć, tylko tragiczny wypadek.

Słońce wisało nisko nad horyzontem, niebo było czyste, znad oceanu wiała chłodna bryza. Przyroda bywa czasem znośna.

Podeszliśmy do namiotu, gdzie zebrało się około trzystu osób. W czasie mojej kariery zawodowej uczestniczyłem w zbyt wielu pogrzebach i mszach i nie chodzę z własnej woli na te, na które chodzić nie muszę. Ale cóż.

- Większość krewnych ofiar nosi przypięte zdjęcia osób, które zginęły - wyjaśniła Kate. - Ale nawet gdyby ich nie mieli, domyśliłbyś się, którzy to są. - Wzięła mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę namiotu. - Nie przyszedł tu po to, by zamknąć tę sprawę, bo nie można jej zamknąć. Przybyli, żeby się wzajemnie wspierać i pocieszać. Żeby dzielić się stratą bliskich.

Ktoś wręczył nam program. Nie było już wolnych krzeseł, stanęliśmy więc obok namiotu po tej stronie, która była zwrócona do oceanu.

Mniej więcej naprzeciwko tego miejsca, jakieś trzynaście kilometrów stąd, eksplodował olbrzymi samolot liniowy i runął do morza. Później przez kilka tygodni morze wyrzucało szczątki maszyny i rzeczy osobiste. Niektórzy opowiadali też o częściach ciała na plaży, lecz media nigdy tej informacji nie potwierdziły.

Przypominam sobie, iż myślałem wówczas, że jest to pierwszy amerykański samolot zestrzelony przez wroga w granicach Stanów Zjednoczonych. I że jest to drugi atak zagranicznych terrorystów na amerykańskiej ziemi. Pierwszym była eksplozja bomby pod północną wieżą World Trade Center w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Z biegiem dni, tygodni i miesięcy wiarygodności zaczęło nabierać inne wyjaśnienie katastrofy: awaria mechaniczna.

Nikt w to nie wierzył, ale zarazem wszyscy w to wierzyli. Ja wierzyłem i nie wierzyłem.

Spojrzałem na horyzont i spróbowałem sobie wyobrazić, czym było to coś zbliżające się do samolotu tuż przed eksplozją, co tak wielu ludzi zaobserwowało. Nie mam pojęcia, co widzieli, ale wiem, że wmówiono im, że nie widzieli niczego.

Jaka szkoda, że nikt nie zarejestrował tego momentu na taśmie filmowej, pomyślałem.

Rozdział 3

Jak już wspomniałem, uczestniczyłem w zbyt wielu pogrzebach i mszach, lecz nad tą mszą za dwieście trzydzieści osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, wisiał nie tylko całun śmierci, lecz także niepewności, niewypowiedzianego pytania, co naprawdę strąciło samolot do morza przed pięcioma laty.

Pierwszym mówcą była kobieta, która według informacji w programie była kapłanem ekumenicznej kaplicy na lotnisku Kennedy'ego. Zapewniła przyjaciół i rodziny ofiar, że powinni starać się przeżywać życie w pełni, nawet jeśli ich najbliżsi już nie mogą.

Jeszcze kilka osób zabrało głos. Z plaży dobiegał szmer fal.

Przemawiali duchowni różnych wyznań, ludzie płakali. Kate ścisnęła moją rękę. Zerknąłem na nią i zobaczyłem łzy spływające po jej policzkach.

- A my wciąż się dziwimy, jak ci ludzie, nieżyjący od tylu lat, mogą nadal być tacy piękni - rzekł rabin.

Mężczyzna, który stracił żonę i syna, mówił o wszystkich dzieciach, żonach i mężach, rodzinach lecących razem samolotem, braciach i siostrach, ojcach i matkach, nieznaną się wcześniej, lecz teraz połączonych na wieki w niebie.

Ostatni mówca, protestancki pastor, wprowadził wszystkich w Psalm dwudziesty trzeci.

- Tak, chociażbym chodził ciemną doliną...

Policyjni dudziarze w spódniczkach zagraли *Amazing Grace* i msza w namiocie dobiegła końca.

Później wszyscy sami z siebie, bez żadnej zachęty zeszli na plażę, bo tak właśnie czynili od lat.

Kate i ja podążyliśmy z nimi.

Na brzegu rodziny ofiar zapaliły po jednej świeczce dla każdego z dwustu trzydziestu zabitych. Długi szereg migotliwych, skaczących na lekkim wietrze małych płomieni rozświetlił plażę.

Punktualnie o dwudziestej trzydziści jeden członkowie rodzin ofiar złapali się za ręce. Śmigłowiec straży wybrzeża skierował światło reflektora na falujący ocean, a załoga kutra rzuciła w tym miejscu wianki.

Niektórzy stojący na plaży uklękli, inni weszli do wody, prawie wszyscy wrzucili do morza kwiaty. Zaczęli się obejmować.

Empatia i wrażliwość nie należą do moich mocnych stron, lecz widok ludzi połączonych wspólnym żalem i pocieszających się nawzajem poruszył moją stwardniałą od oglądania śmierci skorupaczym ciepły oceaniczny powiew kotarą.

Niewielkie grupki ludzi zaczęły się oddalać od plaży, Kate i ja ruszyliśmy w stronę namiotu.

Zauważyłem burmistrza Giulianiego z gromadką miejscowych polityków i nowojorskich urzędników, których łatwo było rozpoznać dzięki wlokącym się obok nich dziennikarzom proszącym o oświadczenia dla prasy. Usłyszałem, jak jeden z reporterów pyta Rudy'ego: „Panie burmistrzu, nadal pan uważa, że był to atak terrorystyczny?”. Guliani odparł: „Bez komentarza”.

Kate spostrzegła dwoje ludzi, których знаła. Przeprosiła mnie i podeszła do nich, żeby porozmawiać.

Stałem na ścieżce niedaleko namiotu i obserwowałem ludzi wracających powoli z plaży, na której wciąż paliły się świeczki. Śmigłowiec i kuter zniknęły, lecz garstka ludzi została nad brzegiem; niektórzy ciągle stali w wodzie i patrzyli na morze. Inni rozmawiali, obejmowali się, płakali. Najwyraźniej trudno im było opuścić ten zakątek znajdujący się tak niedaleko miejsca, w którym ich bliscy spadli nagle z wieczornego nieba w urzekająco piękną, ciemnobłękitną toń oceanu.

Nie byłem całkiem pewny, dlaczego tu jestem, lecz to, czego przed chwilą doświadczyłem, sprawiło, że tragedia sprzed pięciu lat przestała

być dla mnie problemem akademickim i stała się bardziej realna. Przypuszczam, że właśnie dlatego Kate mnie zaprosiła: to była część jej przeszłości i chciała, żebym to zrozumiał. Albo chodziło jej po głowie jeszcze coś innego.

Na co dzień Kate Mayfield jest mniej więcej tak sami uczuciowa jak ja, czyli nie za bardzo. Jednak ta tragedia najwyraźniej dotknęła ją osobiście, a podejrzewałem, że także na płaszczyźnie zawodowej. Tak samo jak wszyscy obecni nit wiedziała, czy oplakują ofiary wypadku czy masowej zbrodni. W czasie tej krótkiej godziny prawdopodobnie nie miało to znaczenia, lecz na dłuższą metę miało, zarówno dla żywych, jak i umarłych. I dla narodu.

Kiedy tak stałem, czekając na Kate, zbliżył się do mnie mężczyzna w średnim wieku ubrany w luźne spodnie i koszulę

- John Corey - rzekł.

- Nie - odparłem. - To ja jestem John Corey, nie pan

- Właśnie to chciałem powiedzieć. - Nie wyciągając do mnie ręki, dodał: - Jestem agent specjalny Liam Griffith. Pracujemy w tym samym gmachu.

Wydawał się znajomy, ale szczerze powiedziawszy, wszyscy agenci FBI tacy mi się wydają, nawet kobiety.

- Co pana tu sprowadza? - zapytał.

- Co pana tu sprowadza, Liam?

- Ja spytałem pierwszy.

- Pyta pan oficjalnie?

Griffith zauważył słowną pułapkę.

- Jestem tu prywatnie.

- Ja też.

Rozejrzał się.

- Zdaje się, że przyszedł pan z żoną.

- Zgadł pan.

Przez chwilę milczeliśmy, mierząc się wzrokiem. Uwielbiam te macho pojedynki na gałki oczne i jestem w nich dobry.

- Być może żona panu powiedziała, że ostateczne ustalenia tego śledztwa nigdy jej nie usatysfakcjonowały.

Milczałem.

- Rząd jest zadowolony - ciągnął Griffith. - Ona pracuje dla rządu, i pan również.

- Dzięki za cenną wskazówkę.

Popatrzył na mnie.

- Czasem trzeba stwierdzić fakt.

- Angielski jest pańskim drugim językiem?

- Okay, posłuchaj pan. Sprawa jest zamknięta. Wystarczy, że prywatne stowarzyszenia i obywatele kwestionują wyniki rządowego śledztwa. Mają prawo. Ale pan, ja, pańska żona, my wszyscy, pracownicy federalnego wymiaru sprawiedliwości, nie możemy dawać wiary tym, którzy szerzą inne, może nawet paranoiczne teorie na temat tego, co wydarzyło się tutaj pięć lat temu. Rozumie pan?

- Hej, kolego, ja wybrałem się tu tylko na przejażdżkę. Moja żona przyjechała, żeby oddać cześć zmarłym i pocieszać ich rodziny. Jeśli ktoś tu ma paranoję, to nie ja.

Pan Griffith poczuł się chyba urażony, ale zachował spokój.

- Może sens tego, co mówię, jest dla pana zbyt subtelny. Nie chodzi o to, co tu się wydarzyło albo nie wydarzyło. Ważny jest pański status pracownika agencji rządowej. - Po krótkiej pauzie ciągnął:

- Gdyby jutro odszedł pan na emeryturę albo został wyrzucony, mógłby pan poświęcać wszystkie szczęśliwe godziny swojego życia na badanie tej sprawy. To byłoby pańskie prawo prywatnego obywatela, a gdyby odkrył pan dowody pozwalające otworzyć tę sprawę na nowo, szczęść Boże. Ale dopóki pracuje pan dla rządu, nie będzie pan, nawet poza godzinami pracy, przeprowadzał żadnych czynności ani rozmów, zaglądał do żadnych akt ani nawet myślał o tej sprawie. Teraz pan rozumie?

Ciągle zapominam, że niemal wszyscy agenci specjalni to prawnicy, ale kiedy otwierają gęby, przypominam sobie o tym natychmiast.

- Zaciekawia mnie pan - odparłem. - Mam nadzieję, że nie taki miał pan zamiar.

- Wykładam panu prawo, panie Corey, żeby później, jeśli sprawa wypłynie, nie mógł się pan zasłaniać niewiedzą.

- Hej, kolego, jestem gliną od ponad dwudziestu lat i uczę prawa karnego w John Jay College. Znam zakichane prawo.

- To dobrze. Odnotuję to w swoim raporcie.

- Skoro już o tym mówimy, to niech pan też odnotuje, że powiedział mi, że jest tu prywatnie, a później odczytał mi moje prawa.

Wtedy agent specjalny Griffith się uśmiechnął i zaczął odgrywać dobrego gliniarza kumpla.

- Lubię cię.
- Ja też cię lubię, Liam.
- Potraktuj tę rozmowę jako przyjacielską radę kolegi. Nie będzie raportu.
- Wy nawet po zrobieniu kupy piszecie dziesięciostronicowy raport.

Agent specjalny Griffith chyba już mnie nie lubił.

- Krąży o tobie opinia trudnego typu, który nie potrafi grać w zespoł. Wiesz o tym. W tej chwili jesteś złotym chłopcem z powodu sprawy Asada Khalila. Ale to było rok temu i od tego czasu nie miałeś wybitnych osiągnięć. Khalil wciąż hasa na wolności, tak samo jak ci goście, którzy wpakowali w ciebie trzy kulki w Momingside. Jeśli potrzebujesz życiowej misji, panie Corey, to zajmij się szukaniem tych, którzy próbowali cię stuknąć. To powinno dostarczyć ci zajęcia i powstrzymać od pakowania się w tarapaty.

Przywalić agentowi federalnemu tak, żeby mu się pokazały gwiazdki, to nie jest dobry pomysł, lecz gdy słyszę ten protekcyjny ton, to naprawdę świerzbi mnie ręka. Chociaż raz... Ale nie tutaj.

- Odwal się - zasugerowałem grzecznie panu Griffithowi.
- Okay - odparł, jakby uznał to za niezłą propozycję. - Pamiętaj, że zostałeś ostrzeżony.

- A ty pamiętaj, że zostałeś odwalony.

Odwrócił się na pięcie i poszedł.

Zanim zdążyłem przemielić w głowie konwersację z panem Griffithem, wróciła do mnie Kate.

- To małżeństwo straciło jedyną córkę. Leciwała do Paryża, gdzie miała studiować w ramach letniego programu. Pięć lat niczego nie zmieniło i nawet nie można tego oczekiwać.

Skinąłem głową.

- Co ci mówił Liam Griffith? - zainteresowała się.
- Nie mam prawa tego powtarzać.
- Chciał wiedzieć, co tu robimy?
- Dobrze go znasz?
- On z nami pracuje, John.
- W której sekcji?

- W tej samej co my. Bliskowschodni terroryzm. Co powiedział?
- Dlaczego ja go nie znam?
- Nie wiem. Dużo podróżuje.
- Zajmował się sprawą katastrofy tego samolotu?
- Nie mam prawa tego mówić. Czemu go nie zapytałeś?
- Chciałem. Tuż przed tym, jak kazałem mu się walić. I chwila minęła bezpowrotnie.

- Nie powinienś tego mówić.

- A dlaczego on tu był?

Po krótkim wahaniu Kate odparła:

- Żeby zobaczyć, kto jeszcze tu przyjdzie.

- Czy on jest kimś w rodzaju żandarma ze służby wewnętrznej?

- Nie wiem. Może. Padło moje nazwisko?

- Powiedział, że nie byłaś usatysfakcjonowana ustaleniami rządowego śledztwa w tej sprawie.

- Nigdy tego nikomu nie powiedziałam.

- Jestem pewien, że to wydedukował.

Kate skinęła głową, a potem jako dobra prawniczka, która nie chce usłyszeć więcej, niż byłaby gotowa powtórzyć pod przysięgą, zmieniła temat.

Spojrzała na ocean, a później na niebo.

- Jak myślisz, co się tutaj stało? - spytała.

- Nie wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wiesz. Pracowałam przy tym śledztwie i też nie wiem. Ale co myślisz?

Wziąłem ją za rękę i ruszyliśmy w stronę jeepa.

- Myślę, że trzeba wyjaśnić obecność tej smugi światła - odparłem. - Bez tego dowody przemawiające za awarią mechaniczną są przytłaczające. Ale jeśli ta smuga była, to mamy inną, bardzo wiarygodną hipotezę: pocisk ziemia-powietrze.

- W którą stronę się skłaniasz?

- Zawsze skłaniam się w stronę faktów.

- Masz do wyboru dwa zbiory faktów: zeznania świadków opowiadających o smudze światła i dowody materialne, które nie zawierały żadnych śladów ataku raketowego, za to potwierdzające przypadkowy wybuch w centralnym zbiorniku paliwa. Które fakty wolisz?

- Nie zawsze ufam świadkom.
- A jeśli ponad dwustu widziało to samo?
- Wtedy musiałbym z wieloma z nich porozmawiać.
- Przedwczoraj widziałeś ośmiu w telewizji.
- To nie to samo co przesłuchanie w cztery oczy.
- Ja ich przesłuchiwałam. Rozmawiałam z dwunastoma, słyszałam ich głosy i patrzyłam im w oczy. - Kate zrobiła krótką pauzę. - Spójrz mi w oczy.

Zatrzymałem się i spojrzałem na nią.

- Nie mogę wyrzucić z myśli ich słów i twarzy - dodała.
- Byłoby dobrze, gdyby ci się to udało.

Dotarliśmy do jeepa, otworzyłem Kate drzwi. Wsiadłem, uruchomiłem silnik i wycofałem na piaszczystą drogę. Karłowata sosna wyskoczyła spod auta, większa i bardziej rozrośnięta niż wtedy, gdy na nią najechałem. Trauma dobrze robi dzięki florce. Przetrwają najsilniejsi.

Dołączyłem do długiego szeregu pojazdów opuszczających miejsce mszy.

Kate milczała przez dłuższą chwilę, a później rzuciła:

- Zawsze się nakręcą, kiedy tu przyjadę.
- Teraz wiem dlaczego.

Sunęliśmy powoli w stronę mostu.

Nagle przypomniałem sobie bardzo wyraźnie rozmowę, którą odbyłem z agentką specjalną Kate Mayfield wkrótce po tym, jak się poznaliśmy. Pracowaliśmy nad sprawą Asada Khalila, o której racyli wspomnieć mój nowy przyjaciel Liam. Pan Khalil, libijski dżentelmen, przybył, do Stanów Zjednoczonych z zamiarem zamordowania pewnej liczby pilotów Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, którzy zrzucili kiedyś bomby na jego ojczyznę. Chyba żaliłem się na długie godziny pracy, a Kate powiedziała do mnie: „Wiesz, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie katastrofy TWA 800, trzeba było pracować przez całą dobę, siedem dni w tygodniu”.

A ja sarkastycznie, być może nieopatrznie, odparłem: „A to nawet nie był atak terrorystyczny”.

Kate nie odpowiedziała, a ja myślałem wówczas, że nikt znający sprawę nie odpowiada na pytania dotyczące lotu TWA 800 i że wciąż pozostają pytania bez odpowiedzi.

Minął rok, my jesteśmy małżeństwem, a ona wciąż niewiele mówi. Jednak czegoś się od niej dowiedziałem.

Skrzyłem na most i wlokłem się razem z innymi samochodami. Po lewej stronie rozciągała się Wielka Zatoka Południowa, a po prawej zatoka Moriches. Światła z odległego brzegu odbijały się migotliwie na wodzie. Na czystym wieczornym niebie iskrzyły się gwiazdy, przez otwarte okna wpadał powiew słonego powietrza.

W piękny letni wieczór, bardzo podobny do tego, dokładnie pięć lat temu wielki samolot, który jedenaście i pół minuty wcześniej wystartował z lotniska Kennedy'ego, by z dwustu trzydziestoma pasażerami na pokładzie polecieć do Paryża, eksplodował w powietrzu i deszczem ognistych szczątków runął w wodę, rozpalając kawałek oceanu.

Usiłowałem sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać w oczach świadków. Na pewno było tak dalekie od wszystkiego, co dotąd widzieli, że nie mogli zrozumieć, co się dzieje, i nie potrafili sobie tego wytłumaczyć.

- Kiedyś przesłuchiwałem pewnego świadka twierdzącego, że stał trzy metry od człowieka, który strzelił jeden raz do ofiary z odległości półtora metra. Tymczasem zdarzenie zostało nagrane przez kamerę i okazało się, że świadek stał około dziewięciu metrów od napastnika, a ten stał sześć metrów od ofiary. Oddał trzy strzały. - Po chwili dodałem niepotrzebnie: - W traumatycznych, ekstremalnych sytuacjach mózg nie zawsze rejestruje to, co widzą oczy i słyszą uszy.

- Świadców były setki.

- Siła sugestii lub syndrom zafałszowanej pamięci, chęć przypochlebiania się rozmówcy albo połączony efekt wieczornego nieba i złudzenia optycznego. Możesz wybierać.

- Nie muszę. Wszystkie te możliwości wybrali autorzy oficjalnego raportu, kładąc szczególny nacisk na złudzenie optyczne.

- Taak, pamiętam. - Spece z CIA na podstawie spekulacji stworzyli animowaną rekonstrukcję eksplozji, wyemitowaną w telewizji, która zdawała się tłumaczyć obecność świetlnej smugi. Pamiętam, że smuga, którą widziało ponad dwustu ludzi i która ich zdaniem wznosiła się w stronę samolotu, w animacji wychodziła z niego, gdyż miało

to być paliwo sączące się z rozerwanego zbiornika. Wyjaśniono to w ten sposób, że to nie wybuch zwrócił uwagę świadków, lecz jego odgłos, który dotarł do nich piętnaście do trzydziestu sekund później w zależności od miejsca, w którym się znajdowali. Kiedy spojrzeli w stronę, z której dobiegł huk, zobaczyli płonący strumień paliwa lotniczego, łatwy do pomylenia z rakieta czy pociskiem sunącym w górę. Poza tym po eksplozji kadłub samolotu, jak pokazały radary, wznosił się o kilkaset metrów, dlatego płonąca część samolotu też mogła wyglądać jak lecący ku górze pocisk.

Zdaniem CIA było to złudzenie optyczne. Uznałem to wytłumaczenie za kit, lecz animacja wypadła bardziej przekonująco niż komentarz. Powiniennem obejrzeć ją jeszcze raz.

Powiniennem też jeszcze raz zadać sobie pytanie, tak jak pięć lat temu, dlaczego to CIA stworzyła tę animację, a nie FBI. O co chodziło?

Dojechaliśmy na drugą stronę mostu, gdzie zaczynała się William Floyd Parkway. Spojrzałem na zegar na tablicy rozdzielczej.

- Nie dojedziemy do miasta przed jedenastą.
- Możemy później, jeśli masz ochotę.
- Co to znaczy?
- Jeszcze jeden przystanek. Ale tylko pod warunkiem, że chcesz.
- Czy mówimy o szybkim numerku w moteliku na godziny?
- Nie, nie o tym mówimy.

Coś mi się zdawało, że Liam Griffith bardzo dobitnie mi radził, żebym nie czynił z tej sprawy mojego hobby po godzinach pracy. Nie wyjaśnił wprawdzie, co się stanie, jeśli nie pójdę za jego radą, ale mogłem się domyślić, że nie będzie to nic przyjemnego.

- John?

Kariere Kate musiałem brać pod uwagę bardziej niż moją, bo ona zarabiała więcej. Może powiniennem jej powtórzyć, co usłyszałem od Griffitha.

- Okay, jedźmy do domu - westchnęła.
- Okay, jeszcze jeden przystanek - odparłem.

Rozdział 4

Odbiliśmy z William Floyd Parkway i ruszyliśmy na wschód Montauk Highway. Kate skierowała mnie przez miłą dla oka wioskę Westhampton Beach.

Przejechaliśmy przez most nad zatoką Moriches prowadzący do wąziutkiej wysepki barierowej. Tam skręciliśmy na jedyną drogę o nazwie Wydmowy Szlak i pojechaliśmy na zachód. Po obu stronach drogi stały rzędy nowych domów z widokiem na ocean.

- Ten teren nie był zabudowany przed pięćmioma laty - zauważyła Kate.

Może było to mimochodem rzucone spostrzeżenie, ale raczej chciała zwrócić moją uwagę na to, iż w czasie, gdy zdarzyła się katastrofa, była to mało uczęszczana okolica. Przypuszczalnie chciała, żebym to, co usłyszę, umieścił w takim właśnie kontekście.

W dziesięć minut dojechaliśmy do znaku informującego, że wkraczamy do parku Cupsogue Beach County, który jest oficjalnie zamknięty po zmroku. Ja jednak oficjalnie wykonywałem nieoficjalne zadanie służbowe, wjechałem więc na duży parking.

Przejechaliśmy przez parking i Kate skierowała mnie na piaszczysty trakt, który w istocie był naturalnym szlakiem. Na znaku widniał napis ZAKAZ WJAZDU WSZELKICH POJAZDÓW. Wjazd na trakt był częściowo zatarasowany zwiniętym siatkowym ogrodzeniem, więc przełączyłem jeepa na napęd czterokołowy i objechałem ogrodzenie.

Reflektory oświetlały zwiężający się szlak, który miał teraz szerokość samochodu. Z obu stron ograniczały go wydmy i zarośla. Przy końcu szlaku Kate wypowiedziała:

- Skręć w stronę plaży.

Wjechałem między dwie wydmy i sunąłem dalej w dół po łagodnym zboczu. Po drodze przejechałem trochę po młodym dębie.

- Uważaj na roślinność, proszę cię. Przy tej wydmie skręć w prawo.

Spełniłem polecenie.

- Tu się zatrzymaj.

Stanęliśmy. Kate wysiadła.

Zgasilem silnik i światła i ruszyłem za nią. Stała przed maską jeepa, ze wzrokiem utkwionym w ciemny ocean.

- Wieczorem siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku jakiś pojazd, najprawdopodobniej z napędem na cztery koła, tak jak twój, zjechał z drogi i stanął mniej więcej w tym miejscu.

- Skąd o tym wiesz?

- Z raportu policji w Westhampton. Tuż po upadku samolotu wysłano tutaj radiowóz i kazano policjantowi pójść na plażę i zobaczyć, czy może jakoś pomóc. Dotarł tutaj o dwudziestej czterdzieści sześć.

- W jaki sposób miał pomóc?

- Wtedy nie wiadomo dokładnie, w którym miejscu spadł samolot. Istniała możliwość, że ktoś ocalał i utrzymywał się na wodzie w pontonie lub w kamizelce ratunkowej. Ten funkcjonariusz miał latarkę. Zauważył ślady opon na piasku, kończące się mniej więcej tutaj. Nie zwrócił na nie uwagi i poszedł na plażę.

- Widziałaś ten raport?

- Tak. Napisano setki raportów o wszystkich możliwych aspektach katastrofy. Pochodziły z kilkunastu rządowych agend, straży wybrzeża, pilotów samolotów handlowych i prywatnych, rybaków i z wielu innych źródeł. Ale ten przykuł mój wzrok.

- Dlaczego?

- Bo był jednym z najwcześniejszych i najmniej ważnych.

- Ale ty tak nie uważałaś. Rozmawiałaś z tym policjantem?

- Tak. Powiedział, że poszedł w stronę plaży.

Ruszyła ku brzegowi, a ja za nią. Zatrzymała się na skraju wody, wskazała ręką i powiedziała:

- Po drugiej stronie tej zatoczki leży Wyspa Ognia i park Smith Point County, w którym odprawiono mszę rocznicową.

Ten funkcjonariusz widział daleko na horyzoncie paliwo lotnicze palące się na powierzchni wody. Zaświecił latarką, lecz zobaczył tylko spokojną, równą jak szkło taflę. W raporcie napisał, że nie spodziewał się ujrzeć rozbitków płynących do brzegu, w każdym razie nie tak prędko, i prawdopodobnie nie w takiej odległości od miejsca katastrofy. Tak czy inaczej postanowił wdrapać się na wydmę, skąd miałby lepszy widok.

Kate odwróciła się i skierowała w stronę wznoszącej się wydmy nieopodal miejsca, gdzie zaparkowałem jeepa. Poszedłem za nią. Dotarliśmy do podnóża wydmy.

- Funkcjonariusz twierdził, że zobaczył świeże ślady ludzi wchodzących na wydmę i schodzących z niej, albo odwrotnie. On nie poszedł po tropach, szukał tylko dobrego punktu obserwacyjnego. Wspiął się więc na tę wydmę.

- Czy to znaczy, że ja też muszę?

- Chodź za mną.

Wdrapaliśmy się na wydmę, piasek dostał się do moich butów. Jako młody detektyw byłem zwolennikiem wizji lokalnych, które bywają uciążliwe i można się przy nich upaprać. Teraz wolę pracować mózgiem.

Stanęliśmy na szczycie wydmy.

- Tam, w tej dolince między dwiema wydmami policjant zauważył koc - ciągnęła Kate. Zeszliśmy po łagodnym stoku. - Mniej więcej w tym miejscu. Zwyczajny koc. Jeśli ktoś mieszka w tej okolicy, prawdopodobnie ma porządny bawełniany koc. To był koc z włókien syntetycznych, może z hotelu albo z motelu.

- Czy w okolicznych hotelach i motelach szukano podobnego koca?

- Tak, zrobił to zespół z ATTF. Znaleźli kilka hoteli i moteli używających koców tej marki. Później ustalono, że pokojówka w jednym z nich zgłosiła zaginięcie koca z pokoju.

- Jak się nazywał ten hotel?

- Chcesz to pociągnąć?

- Nie. Ty i Liam Griffith uprzedziliście, że to nie mój interes.
- To prawda.
- Dobrze. Nawiasem mówiąc, po co tu przyjechaliśmy?
- Pomyślałam, że cię to zaciekawi. Mógłbyś wykorzystać tą historię w czasie zajęć w John Jay.
- Ty zawsze o mnie pamiętasz.

Kate nie odpowiedziała.

John Corey już połknął haczyk, rzecz jasna, a Kate Mayfield pozwoli holowała rybę. Wydaje mi się, że właśnie w taki sposób się żeniłem za pierwszym i za drugim razem.

- Na kocu stała turystyczna lodówka - kontynuowała Kate. - Policjant napisał w raporcie o na wpół stopionym lodzie. Były tam też dwa kieliszki, korkociąg oraz butelka białego wina.

- Jakiego?
- Drogiego francuskiego pouilly-fumé. Wtedy kosztowało około pięćdziesięciu dolarów.
- Czy ktoś zjął odciski z butelki? - zapytałem.
- Tak. Z kieliszków. I z lodówki. Bardzo dużo wyraźnych odcisków. Dwa rodzaje. FBI przepuściło je przez swoją bazę danych, ale na nic nie trafili.

- Szminka?
- Była na jednym kieliszku.
- Czy na kocu znaleziono ślady uprawiania seksu?
- Nie było nasienia ani kondomów - odparła Kate.
- Może uprawiali seks oralny, a ona połknęła spermę.
- Dziękuję ci za podsuniecie tej myśli. Technicy faktycznie znaleźli na kocu cząsteczki kobiecego i męskiego naskórka, włosy z głowy i z ciała oraz łonowe, więc w pewnym momencie ci dwoje prawdopodobnie byli obnażeni. - Po chwili namysłu dodała: - Ale włosy i cząsteczki skóry mogły też pochodzić od kogoś innego, bo wiele wskazywało, że jest to hotelowy koc.

- Jakies obce włókna?
- Całe mnóstwo. Lecz one również mogły pochodzić z wielu różnych miejsc. Na kocu były także plamy białego wina.

Skinałem głowę. Ślady z hotelowych koców nie są dobrymi dowodami.

- Piasek? - zapytałem.

- Był. Częściowo jeszcze mokry. Niewykluczone, że ci ludzie schodzili na plażę.

- Czy ten gliniarz zauważył jakieś pojazdy jadące z plaży?

- Tak, wspomniał o jasnym fordzie explorerze, dość nowym modelu, jadącym z tego kierunku. Minał go na Wydmowym Szlaku. Ale ponieważ nie jechał na miejsce przestępstwa, nie zwrócił uwagi na tablicę rejestracyjną ani czy w samochodzie siedzieli pasażerowie. Nie badał dalej tego tropu.

Znów skinąłem głową. Fordy explorerzy występowały w tej okolicy równie pospolicie jak mewy, szkoda więc było czasu i wysiłku na poszukiwanie auta.

- To mniej więcej wszystko - oznajmiła Kate. - Chciałbyś podjąć próbę rekonstrukcji wydarzeń tamtego wieczoru?

- Zamiast słownej rekonstrukcji wydarzeń może lepsze byłoby ich odtworzenie - odparłem. - Pora jest odpowiednia.

- John, przywołuję cię do porządku.

- Próbuję wczuć się w tę scenę.

- Późno się robi. Zaczynaj tę rekonstrukcję. - Uśmiechnęła się. - Odtwarzać będziemy później.

- Okay - odparłem z uśmiechem. - A więc mamy kobietę i mężczyznę. Być może zatrzymali się w pobliskim hotelu, którego nazwę poznam później. Marka drogiego wina może wskazywać na ludzi w średnim wieku z wyższej klasy średniej. Postanawiają wybrać się na plażę, zabierają ze sobą koc z hotelu. Mają jednak lodówkę, więc wypad mógł być do pewnego stopnia zaplanowany. Być może usłyszeli od kogoś o tym odludnym zakątku albo na niego natrafili. Myślę, że dotarli tu późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem.

- Dlaczego?

- Pamiętam, gdzie byłem, kiedy usłyszałem o katastrofie. To był bezchmurny, słoneczny dzień, a ty nie wspomniałaś, że na kocu były ślady olejku lub płynu do opalania. Ani na butelce i kieliszkach.

- Słusznie. Mów dalej.

- Okay. Tych dwoje, mężczyzna i kobieta, przyjechało fordem explorerem i dotarło tutaj przed dwudziestą trzydzieści jeden. Rozłożyli koc, otworzyli lodówkę, wyjęli wino, odkorkowali je, nalali do kieliszków i opróżnili butelkę. W pewnym momencie być może rozebrali się do naga i oddali czynnościom seksualnym.

Kate milczała, toteż ciągnąłem:

- Na kocu zostało trochę wilgotnego piasku, więc na tej podstawie możemy spekulować, że poszli do wody w strojach kąpielowych lub nago. W pewnej chwili - dokładnie o ósmej trzydzieści jeden-zobaczyli i usłyszeli eksplozję na niebie. Nie wiem, gdzie wówczas stali, lecz domyślali się, że to spektakularne wydarzenie ściągnie na plażę ludzi, dlatego wynieśli się stąd i już ich nie było, gdy policjant przyjechał o ósmej czterdzieści sześć. Pojazdy być może minęły się na jedynej drodze prowadzącej na plażę. Podejrzewam, że tych dwoje nie było małżeństwem.

- Dlaczego?

- To zbyt romantyczne.

- Nie bądź cyniczny. Może nie uciekali, tylko pojechali po pomoc.

- I jechali dalej. Nie chcieli, żeby widziano ich razem.

Kate skinęła głową.

- Wszyscy się co do tego zgodzili.

- Wszyscy to znaczy kto?

- Agencji FBI z jednostki ATTF, którzy badali sprawę pięć lat temu.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Dlaczego tych dwoje jest tak ważnych, że FBI zadało sobie tyle trudu?

- Prawdopodobnie byli naocznymi świadkami katastrofy.

- I co z tego? Takich świadków było sześciuset. Ponad dwustu z nich zeznało, że widziało smugę światła wznoszącą się ku samolotowi przed wybuchem. Skoro FBI nie uwierzyło dwustu osobom, dlaczego tych dwoje jest tak ważnych?

- Och, zapomniałabym o pewnym szczególe.

- Ach, tak.

- Na kocu wśród innych przedmiotów leżała plastikowa osłona obiektywu kamery wideo JVC.

Pozwoliłem, żeby to zdanie zawisło na chwilę w powietrzu, a potem spytałem:

- Dostałaś jakiś znak życia od tych dwojga?

- Nie.

- I nigdy go nie dostaniesz. Zabierajmy się stąd.

Rozdział 5

Znów jechaliśmy przez wioskę Westhampton.

- Do domu? - zapytałem.
- Jeszcze jeden przystanek. Ale tylko pod warunkiem, że masz ochotę.

- Ile jest tych ostatnich przystanków?

- Dwa.

Zerknąłem na kobietę siedzącą na fotelu pasażera obok mnie. To była moja żona, Kate Mayfield. Wspominam o tym, bo czasem jest agentką specjalną Mayfield, a kiedy indziej popada w konflikt tożsamości i sama nie wie, kim jest.

Akurat była moją żoną Kate, zatem uznałem, że nadszedł czas, by wyjaśnić sobie to i owo.

- Powiedziałaś mi, że nic mi do tej sprawy - zacząłem. - Później zabrałaś mnie na plażę, gdzie dwoje ludzi prawdopodobnie widziało katastrofę i być może nagrało ją na taśmie wideo. Czy zechciałybyś wytłumaczyć tę pozorną sprzeczność?

- Nie - odparła Kate. - Bo to nie jest sprzeczność. Pomyślałam tylko, że może cię to zainteresuje. Byliśmy niedaleko plaży i pokazałam ci to miejsce.

- Okay. Czego ciekawego dowiem się na następnym przystanku?

- Zobaczysz, kiedy do niego dojedziemy.

- Chcesz, żebym zajął się tą sprawą?

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

- Zamrugaj. Jedno mrugnięcie będzie oznaczało tak, a dwa - nie.

- Zrozum, John, że ja nie mogę angażować się w tę sprawę - przypomniała mi. - Związałam swoje życie zawodowe z FBI. Mogą mnie wylać.

- A co ze mną?

- Przejąłbyś się, gdyby cię wylali?

- Nie. Mam siedemdziesięciopięcioprocentową inwalidzką rentę policyjną. Wolną od podatku. - Po chwili dodałam: - I nie kręci mnie to, że pod tobą pracuję.

- Nie pracujesz pode mną, tylko ze mną.

- Nieważne. Co chcesz, żebyś zrobił?

- Rozejrzyj się i posłuchaj, a potem zrobisz, co zrobisz. Ale ja nie chcę o tym wiedzieć.

- A jeśli mnie aresztują za węszenie wokół tej sprawy?

- Nie mogą cię aresztować.

- Jesteś tego pewna?

- Absolutnie. Jestem prawniczką.

- Mogą spróbować mnie zabić - zauważyłam.

- To niedorzeczne.

- Niezupełnie. Nasz były kolega z CIA, Ted Nash, kilka razy groził mi śmiercią.

- Nie wierzę w to. Poza tym on nie żyje.

- Jest ich więcej.

Kate parsknęła śmiechem. To wcale nie było zabawne.

- Kate, czego ode mnie oczekujesz? - powtórzyłam.

- Żebyś zajął się tą sprawą w czasie wolnym od pracy.

Nie muszę chyba przypominać, że kolega z ATTF, pan Liam Griffith, dobitnie odradzał mi takie właśnie postępowanie. Zjechałam na pobocze.

- Kate, spójrz na mnie.

Odwróciła głowę w moją stronę.

- Wodzisz mnie za nos, skarbie. Nie lubię tego.

- Przepraszam.

- Czego właściwie po mnie oczekujesz, kochanie?

Kate zastanowiła się przez chwilę.

- Rozejrzyj się i posłuchaj. Później sam postanowisz, co chcesz zrobić. - Zmusiła się do uśmiechu. - Po prostu bądź sobą.

- Więc i ty bądź sobą.

- Staram się. To jest takie... zagmatwane. Naprawdę jestem rozgarda... Nie chcę, żebyśmy... żebyś ty wpadł w tarapaty. Ale ta sprawa dręczy mnie od pięciu lat.

- Ta sprawa dręczyła wielu ludzi. Ale teraz jest zamknięta. Jak puszką Pandory. I niech tak zostanie.

Kate milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Myślę, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

- To był wypadek - odparłem. - A wypadki nie mają nic wspólnego ze sprawiedliwością.

- Wierzysz w to?

- Nie. Ale gdybym się zamartwiał każdą sprawą, w której sprawiedliwości nie stało się zadość, nie wychodziłbym od psychiatry.

- To nie jest sprawa jak każda inna, wiesz o tym.

- Racja. Ale nie zamierzam wtykać fiuta w ogień, żeby zobaczyć, jaką temperaturę może wytrzymać.

- W takim razie jedźmy do domu.

Wjechałem na szosę. Mniej więcej po minucie powiedziałem:

- Dobrze, więc dokąd zmierzamy?

Kate skierowała mnie do Montauk Highway. Najpierw ruszyliśmy na zachód, a potem na południe w stronę morza.

Droga kończyła się przed ogrodzonym terenem z bramą zamkniętą na łańcuch i niewielkim budynkiem. Blask reflektorów wydobył z mroku napis POSTERUNEK AMERYKAŃSKIEJ STRAŻY WYBRZEŻA - ZATOKA MORICHES - TEREN ZAMKNIĘTY.

Z budynku wyszedł strażnik z pistoletem przy pasie, otworzył bramę i podniósł rękę. Zatrzymałem samochód.

Mężczyzna zbliżył się. Wylegitymowałem się dokumentami FBI, na które ledwie zerknął. Spojrzał na Kate i nie pytając, co nas sprowadza, rzucił:

- Proszę jechać.

Najwyraźniej nas oczekiwano i wszyscy oprócz mnie wiedzieli, po co się tam zjawiliśmy. Wjechałem.

Przed nami wznosił się malowniczy budynek kryty białą dachówką, z czerwonymi oknami mansardowymi i kwadratową wieżyczką obserwacyjną. Typowy stary posterunek straży wybrzeża.

- Stań tam - poleciała Kate.

Zaparkowałem samochód przed budynkiem, zgasilem silnik i wysiedliśmy z jeepa.

Poszliśmy z Kate na tyły strażnicy, skąd widać było morze. Rozejrzałem się po zalanej światłem placówce stojącej na małym cyplu wrzynającym się w zatokę Moriches. Było tam kilka hangarów, a z prawej strony znajdował się długi dok, przy którym stały dwa kutry przycumowane do słupów. Jeden z nich przypominał ten, który wziął udział w mszy rocznicowej. Oprócz strażnika przy bramie nie było tu nikogo.

- Zaraz po katastrofie właśnie w tym miejscu ustanowiono kwaterę dowodzenia - wyjaśniła Kate. - Wszystkie łodzie ratownicze ze szczątkami samolotu przyływały tędy przez zatokę Moriches. Potem ładowano je na ciężarówki i zawożono do hangaru w bazie marynarki w Calverton, gdzie były z powrotem montowane. Tutaj też przywożono ciała, zanim trafiały do kostnicy. - Kate zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Pracowałam tu z przerwami przez dwa miesiące. Mieszkałam w pobliskim motelu.

Nie odpowiedziałem, ale dało mi to do myślenia. Znałem kilkoro policjantów z Nowego Jorku, którzy pracowali przy tej sprawie dzień i noc tygodniami, a nawet miesiącami. Żyli na walizkach, po nocach śniły im się zwłoki, za dużo pili w miejscowych knajpach. Podobno nikogo, kto miał coś wspólnego z tą sprawą, nie ominęła trauma. Zerknąłem na Kate.

Odwróciła głowę.

- Ciała... kawałki ciał... zabawki, pluszowe zwierzątka, lalki, walizki, plecaki... Wielu młodych ludzi leciało do Paryża na letnie obozy naukowe. Jedna dziewczyna miała schowane w skarpecie banknoty. Któryś z kutrów wyłowił małe pudełeczko z pierścionkiem zaręczynowym. Ktoś chciał się zaręczyć w Paryżu...

Objąłem Kate, a ona oparła głowę na moim ramieniu. Staliśmy przez chwilę, spoglądając na zatokę. Kate jest silną kobietą, ale nawet silni ludzie czasem ulegają emocjom.

Wyprostowała się i ruszyła w stronę doku.

- Kiedy tu przyjechałam, dzień po katastrofie, ta strażnica miała zostać zamknięta, nie konserwowano jej już. Trawa sięgała do pasa. W ciągu kilku dni teren zaroił się od samochodów, ciężarówek,

półciężarówek laboratoryjnych, karettek, samochodów do transportu zwłok... Tam stanął namiot Czerwonego Krzyża. Mieliliśmy przenośne prysznice do zmywania... zanieczyszczeń... Tydzień później na trawniku zbudowano dwa lądowiska helikopterów. To była właściwa reakcja. Doskonała reakcja. Byłam naprawdę dumna, pracując z tymi ludźmi. Straż wybrzeża, policja nowojorska, miejscowa i stanowa, Czerwony Krzyż, mnóstwo rybaków i właściciele łodzi, którzy dawali z siebie wszystko dzień i noc, żeby zbierać ciała i szczątki maszyny... To było naprawdę niesamowite. - Spojrzała na mnie i dodała: - Jesteśmy porządnym narodem, wiesz? Egoistycznym, zapatrzonym w siebie i rozpieszczonym. Ale kiedy wszystko wali się nam na łeb, stajemy na wysokości zadania.

Skinąłem głową.

Doszliśmy do końca doku; Kate wskazała na zachód, w stronę miejsca, gdzie dokładnie pięć lat temu nad oceanem eksplodował samolot TWA.

- Jeśli to był wypadek, to trudno. Pracownicy Boeinga i NTSB - Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu oraz wszyscy inni zajmujący się bezpieczeństwem samolotów mogą usunąć usterkę i być może nikt więcej nie będzie musiał się martwić o to, że w samolocie wybuchnie centralny zbiornik paliwa. - Kate wzięła głęboki oddech. - Ale jeśli to było masowe morderstwo, to musimy o tym wiedzieć, zanim będzie można mówić o zadośćuczynieniu sprawiedliwości.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Szukałem morderców nawet wtedy, gdy nikomu nie przyszło na myśl, że morderstwo zostało popełnione.

- I znalazłeś ich?

- Raz. Niektóre rzeczy wypływają po latach. Wtedy trzeba na nowo otworzyć śledztwo. A ty coś masz?

- Może. Na przykład ciebie.

Uśmiechnąłem się.

- Nie jestem aż taki dobry.

- Dobrze jest to, że możesz spojrzeć na sprawę świeżym okiem, bez obciążeń. Wszyscy nią żyliśmy przez półtora roku, zanim została zamknięta, i chyba wszystkich przytłoczyły rozmiary tragedii, papierowa robota: raporty z laboratoriów, sprzeczne teorie, boje w terenie,

naciski z zewnątrz, obłęd w mediach. Istnieje jakaś droga na skrót przez ten cały bajzel. Ktoś powinien ją znaleźć.

Większość spraw rozwiązałem dzięki standardowej, mozolnej policyjnej robocie, raportom laboratoryjnym itd. Jednak raz na jakiś czas rozwiązanie zagadki zależało od znalezienia złotego klucza otwierającego furtkę do drogi na skrót przez bajzel. To się zdarza, ale nie w takiej sprawie.

Kate odwróciła się od morza i spojrzała na biały budynek posterunku straży wybrzeża w oddali. W kilku oknach paliło się światło, ale nie widziałem żadnych oznak aktywności.

- Spokojnie tutaj - zauważyłem.

- Znów zwiłają interes. Tę strażnicę zbudowano na początku drugiej wojny światowej, miała śledzić niemieckie okręty podwodne krążące wzdłuż wybrzeża. Wojna się skończyła, zimna wojna też, a od katastrofy TWA osiemset minęło pięć lat. Tylko zagrożenie terrorystyczne lub atak mógłby przedłużyć żywot placówki.

- Tak, my nie chcemy jednak takowego fabrykować.

- Nie, ale pracujesz w ATTF dość długo, by wiedzieć, że istnieje prawdziwe zagrożenie, na które nie zwraca uwagi ani rząd, ani obywatele.

Milczałem.

- Niedaleko stąd znajduje się laboratorium biologiczne na Śliwkowej Wyspie, Laboratorium Narodowe Brookhaven, baza okrętów podwodnych w Groton i elektrownia jądrowa New London po drugiej stronie cieśniny Long Island - ciągnęła Kate. - I nie zapominajmy o ataku na World Trade Center w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

- I nie zapominajmy o panu Asadzie Khalilu, który wciąż chce mnie załatwić. Nas.

Kate milczała przez chwilę, spoglądając gdzieś w dal, a później powiedziała:

- Mam przeczucie, że gdzieś tam czai się bezpośrednie zagrożenie. Coś o wiele większego niż Asad Khalil.

- A ja mam nadzieję, że nie. Ten typ był najgorszym, najpodlejszym skurwielem, z jakim miałem do czynienia.

- Tak myślisz? A Osama bin Laden?

Jestem kiepski, jeśli chodzi o arabskie nazwiska, ale to znałem. W barze ATTF wisiał nawet plakat „Poszukiwany” z jego nazwiskiem.

- Taak, ten gość stał za atakiem na niszczyciel USS „Cole”.

- On jest też odpowiedzialny za podłożenie bomby w koszarach armii amerykańskiej w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej w listopadzie dziewięćdziesiątego piątego roku, która zabiła pięciu żołnierzy. Później, w czerwcu dziewięćdziesiątego szóstego, zorganizował atak bombowy na kompleks Khobar Towers w Dhahranie w Arabii Saudyjskiej, gdzie kwaterował amerykański personel wojskowy. Dziewiętnastu zabitych. To on zaplanował ataki na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii w sierpniu dziewięćdziesiątego ósmego, w których zginęły dwieście dwadzieścia cztery osoby, a pięć tysięcy zostało rannych. Kiedy ostatnio o nim usłyszeliśmy przed dziewięćdziesięciu miesiącami, w październiku dwutysięcznego roku, zorganizował atak na USS „Cole”, w którym śmierć poniosło siedemnastu marynarzy. Osama bin Laden.

- Niezła kartoteka. A co porabia od tego czasu?

- Żyje w Afganistanie.

- Odszedł na emeryturę?

- Na twoim miejscu bym się o to nie zakładała.

Rozdział 6

Ruszyliśmy w stronę jeeпа.

- Dokąd teraz? - spytałem.
- Jeszcze nie skończyliśmy tutaj.

Myślałem, że strażnica jest dla Kate tylko wycieczką w krainę wspomnień, a dla mnie ma być inspiracją. Ale widać się myliłem.

- Chciałeś porozmawiać ze świadkiem - przypomniała.
- Chciałbym porozmawiać z wieloma świadkami.
- Dzisiaj musisz się zadowolić jednym. - Skinęła w stronę tylnych drzwi strażnicy. - Będziesz musiał wdrapać się na wieżę. Najwyższy poziom.

Kate najwyraźniej się ze mną nie wybierała, wszedłem więc do środka i znalazłem klatkę schodową.

Cztery kondygnacje, które przypomniały mi o pięciopiętrowym budynku w Lower East Side na Manhattanie, gdzie się wychowałem. Nienawidzę schodów.

Po pokonaniu ostatniego biegu stopni znalazłem się w oszklonym pomieszczeniu obserwacyjnym. Nie było oświetlone, ale dostrzegłem kilka stołów i krzeseł, biurko z telefonami i radio wojskowego typu, które świeciło łagodnie i szumiało w ciszy. W sali nikogo nie było.

Przez szklane tafle szyb widziałem kładkę z poręczą otaczającą kwadratową wieżę.

Otworzyłem drzwi balkonowe i wyszedłem na kładkę.

Okrzyłem wieżę i zatrzymałem się przy południowo-zachodnim narożniku. Po drugiej stronie zatoki Moriches ujrzałem zewnątrz

wysepkami i przesmyk Moriches oddzielający Wyspę Ognia od wydm Westhampton i parku Cupsogue Beach County, gdzie, mówiąc wulgarnym policyjnym slangiem, jakiś facet pukał swoją lalę i być może nagrał na wideo katastrofę samolotu, tworząc dowód, który mógł doprowadzić do wznowienia śledztwa.

Za wysepkami barierowymi rozciągał się Ocean Atlantycki, na którym widać było światła łodzi i dużych statków. Na niebie błyszczały gwiazdy oraz światełka samolotów lecących wzdłuż wybrzeża na wschód i zachód.

Skoncentrowałem się na samolocie lecącym na wschód; patrzyłem, jak zbliża się do parku Smith Point County na Wyspie Ognia. Sunął powoli po niebie na wysokości trzech, może czterech tysięcy metrów, jakieś cztery lub pięć kilometrów od wybrzeża. Mniej więcej w tym miejscu samolot TWA odbywający lot numer osiemset z lotniska Kennedy'ego do Europy nagle eksplodował w powietrzu.

Spróbowałem sobie wyobrazić, czym było to, co według ponad dwustu osób uniosło się z wody i pomknęło w stronę samolotu.

Może spotkam któregoś z tych ludzi albo kogoś innego.

Wróciłem do wieży obserwacyjnej i usiadłem na obrotowym krześle stojącym na wprost schodów. Po kilku minutach usłyszałem kroki na skrzypiących schodach. Z przyzwyczajenia i dlatego, że byłem sam, wyjąłem rewolwer Smith&Wesson kalibru .38 z futerału przy kostce i wsunąłem za pasek pod koszulą. Zobaczyłem głowę i ramiona mężczyzny wchodzącego po schodach, zwróconego tyłem do mnie. Wszedł do sali, rozejrzał się i zauważył mnie.

Nawet w słabym świetle widziałem, że ma około sześćdziesiątki, krótkie szpakowate włosy, jest wysoki, przystojny, i ma na sobie brązowe spodnie oraz granatową bluzę. Odniosłem wrażenie, że widzę przed sobą wojskowego.

Podszedł do mnie. Wstałem. Zbliżając się, rzekł:

- Panie Corey, jestem Tom Spruck. - Podał mi rękę. - Poproszono mnie, żebym z panem pomówił.

- Kto pana poprosił?

- Panna Mayfield.

Gwoli ścisłości, poprosiła go pani Mayfield lub agentka specjalna

Mayfield, a czasem pani Corey, lecz to nie był jego problem. Tak czy owak facet był bez wątpienia wojskowym. Prawdopodobnie oficerem. Agentka specjalna Mayfield wiedziała, jak wyłuskać dobrego świadka. Milczałem, więc on przerwał ciszę.

- Byłem świadkiem wydarzeń z siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Ale pewnie pan o tym wie. Skinąłem głową.

- Woli pan zostać tutaj czy wyjść na zewnątrz? - zapytał.

- Zostańmy tutaj. Proszę spocząć.

Przysunął obrotowe krzesło do biurka i usiadł.

- Od czego mam zacząć? Zająłem miejsce przy biurku.

- Proszę opowiedzieć mi o sobie, panie Spruck.

- Dobrze. Jestem emerytowanym oficerem marynarki w stopniu kapitana, absolwentem Annapolis. Kiedyś latałem na phantomach F- cztery stacjonujących na lotniskowcach. Zaliczyłem sto piętnaście lotów nad Wietnamem Północnym w czasie trzech odrębnych przydziałów między sześćdziesiątym dziewiątym a siedemdziesiątym drugim.

- Zatem wie pan, jak wyglądają pokazy pirotechniczne nad wodą - zauważyłem.

- Wiem doskonale.

- To dobrze. Jak wyglądały te, które zaobserwował pan siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego?

Mężczyzna spojrział przez okno na ocean.

- Płynąłem wtedy sunfishem, to taka mała, jednoosobowa żaglówka. W każdą środę urządzaliśmy sobie nieoficjalne regaty na zatoce.

- My, czyli kto?

- Należę do eskadry jachtowej Westhampton pływającej po zatoce Moriches. Skończyliśmy żeglować około dwudziestej. Wszyscy ruszyli z powrotem do klubu na grilla, ale ja postanowiłem przez przesmyk Moriches wyjść na ocean.

- Dlaczego?

- Morze było wyjątkowo spokojne i wiał wiatr o prędkości sześciu węzłów. Nieczęsto zdarzają się warunki pozwalające wypłynąć

sunfishem na ocean - ciągnął Spruck. - Około ósmej dwadzieścia pokonałem przesmyk i znalazłem się na morzu. Wybrałem zachodnią trasę, wzdłuż brzegów Wyspy Ognia, naprzeciwko parku Smith Point County.

- Pozwoli pan, że przerwę. Czy to, co pan mi opowiada, zostało zarejestrowane dla publicznej wiadomości?

- Powiedziałem to FBI. Nie wiem, czy zostało upublicznione, czy nie.

- Czy kiedykolwiek wygłaszał pan publiczne oświadczenia po rozmowie z FBI?

- Nie - odparł Spruck. - Zabroniono mi tego.

- Kto panu zabronił?

- Agent, który mnie przesłuchiwał na początku, a później inni, z którymi rozmawiałem.

- Rozumiem. A kto pana przesłuchiwał na początku?

- Pańska żona.

Nie była wtedy moją żoną, ale skinąłem głową.

- Proszę kontynuować.

Spruck zerknął na morze i mówił dalej:

- Siedziałem w łodzi i patrzyłem na lik. Właśnie w ten sposób spędza się większość czasu w żagłowie. Było bardzo cicho i spokojnie, przyjemnie się żeglowało. Zachód słońca powinien nastąpić o dwudziestej dwadzieścia jeden, ale morski zmierzch miał zapaść o dwudziestej czterdzieści pięć. Zerknąłem na zegarek cyfrowy, podświetlany, bardzo dokładny, i zobaczyłem, że jest ósma trzydzieści i piętnaście sekund. Postanowiłem wykonać nawrót i wejść do zatoki przed zmrokiem.

Kapitan Spruck zamilkł i spojrzał zamyślonym wzrokiem.

- Rzuciłem okiem na żagiel i wtedy coś na południowym zachodzie nieba przykuło mój wzrok. To była smuga jasnego światła wznosząca się ku górze. Światło było pomarańczowoczerwone i wyglądało, jakby wychodziło z punktu za horyzontem.

- Usłyszał pan coś?

- Nie. Smuga wychodziła z oceanu i biegła ku lądowi, kierując się lekko w moją stronę. Wznosiła się pod ostrym kątem, może trzydzieści pięć lub czterdzieści stopni, i zdawała się przyspieszać, choć trudno to ocenić ze względu na kąt i brak punktów odniesienia w tle.

Ale gdybym miał oszacować prędkość, powiedziałbym około stu węzłów.

- Jak szybko pan to ocenił, w ciągu ilu sekund? - zapytałem.

- Mniej więcej trzech. W kokpicie myśliwca bombardującego ma pan około pięciu sekund.

Policzyłem w myślach do trzech i uświadomiłem sobie, że na uchylenie się przed kulą ma się jeszcze mniej czasu.

- Ale powiedziałem FBI, że było za dużo zmiennych i niewiadomych, bym mógł absolutnie polegać na którymkolwiek z moich obliczeń - kontynuował Spruck. - Nie wiedziałem, skąd wziął się obiekt, nie znałem jego rozmiarów i odległości ode mnie, więc mogłem tylko odgadywać prędkość.

- Czyli nie jest pan całkowicie pewny, co pan widział?

- Wiem, co to było. - Spojrzał przez okno. - Widziałem wystarczająco dużo wrogich pocisków ziemia-powietrze lecących w stronę moją i moich kolegów, że bym umiał je rozpoznać. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Kiedy na ciebie lecą, wydają się większe, szybsze i bliższe, niż są w rzeczywistości. Trzeba dzielić wszystko przez dwa.

- Kiedyś mierzono do mnie z małej beretty, a mnie się zdało, że to magnum trzysta pięćdziesiąt siedem milimetrów - wtrąciłem z uśmiechem. Spruck skinął głową. - Ale to, co pan widział, na pewno było smuga światła?

- Tego jestem pewien. Pomarańczowoczerwona smuga jasnego światła, na której wierzchołku lśnił biały punkt. Pomyślałem, że jest to punkt spalania paliwa stałego, za którym ciągną się pomarańczowoczerwone spaliny.

- Bez kitu?

- Bez kitu.

- A czy zobaczył pan... rakietę?

- Nie.

- Dym?

- Pióropusz białego dymu.

- Zauważył pan boeinga siedemset czterdzieści siedem, który później się rozbił?

- Mignął mi przez chwilę, zanim skupiłem wzrok na świetlnej smudze. Ujrzałem blask promieni słonecznych odbijających się od aluminiowego poszycia, światła maszyny i cztery białe smugi spalin.

- Okay, wróćmy do tej świetlnej smugi.
- Obserwowałem ją uważnie, gdy wspiwała się po niebie...
- Przepraszam. Jakie było pańskie pierwsze wrażenie?
- Moje pierwsze, drugie i trzecie wrażenie było takie, że widzę pocisk klasy ziemia-powietrze.

Staralem się unikać słowa „pocisk”, ale już padło.

- Dlaczego? Dlaczego nie mogła to być spadająca gwiazda? Piórunka? Fajerwerk?

- To był pocisk ziemia-powietrze.

- Większość ludzi mówiła, że od razu pomyśleli, że widzą resztki fajerwerków po Czwartym Lipca...

- Nie dość, że był to pocisk, to jeszcze kierowany. Wspiął się, zygzakując, jak gdyby korygował trajektorię, potem zwolnił na pół sekundy, a później wyraźnie skierował się na wschód, w moją stronę. Następnie zdawało mi się, że zniknął, może skrył się za chmurą, może zużył paliwo i stał się pociskiem balistycznym, a może zasłonił mi go cel.

Cel. Boeing 747, samolot linii TWA zmierzający do Paryża, wykonujący lot numer osiemset, z dwustu trzydziestoma pasażerami na pokładzie, stał się celem.

Milczeliśmy przez chwilę, a ja w tym czasie oceniałem wartość tego, co zeznał kapitan Thomas Spruck. Tak jak nas nauczono, brałem pod uwagę jego ogólne zachowanie, wiarygodność i inteligencję. Kapitan Spruck otrzymał wysokie noty we wszystkich tych kategoriach. Jednak dobrzy świadkowie czasem przepadają na końcu zeznania, tak jak ów bardzo inteligentny mężczyzna, który zapowiadał się na doskonałego naocznego świadka w sprawie zaginięcia, a zakończył zeznanie hipotezą, że zaginiona osoba została wprowadzona przez kosmitów. W raporcie przepisowo oznaczyłem zeznanie gwiazdką z wyjaśnieniem, że nie jestem całkowicie przekonany.

Świadkowie gubią się też w trakcie pytań.

- Proszę mi jeszcze raz powtórzyć, jak daleko pan był od tego obiektu.

- Tak jak już wspominałem, uważam, choć nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, że obiekt wychodził spoza horyzontu, który znajduje się w odległości około dziesięciu kilometrów od obserwatora w linii prostej przy spokojnym morzu. Ale to mogło być dalej.

- Zatem nie widział pan miejsca, z którego go, powiedzmy... wystrzelono?

- Nie.

- Jakby to wyglądało? To znaczy, jaki błysk by przy tym powstał?

- Ogromny. Zobaczyłbym rozświetlony luną ciemny horyzont, nawet gdyby pocisk został wystrzelony w odległości piętnastu lub dwudziestu kilometrów.

- Ale go pan nie zobaczył?

- Szczerze powiedziawszy, nie wiem, co najpierw zwróciło moją uwagę, błysk wystrzelenia pocisku czy pomarańczowoczerwonawa smuga światła wznosząca się znad horyzontu.

- Usłyszał pan cokolwiek?

- Nie. Wystrzelenie pocisku nie jest aż tak głośne, zwłaszcza z oddali, jeśli wiatr wieje w tamtą stronę.

- Rozumiem. A jak wysoko znajdował się ten obiekt, kiedy zobaczył pan, że jest to wznosząca się smuga światła?

- Nie potrafię tego określić, jeśli nie znam odległości. Wysokość to pochodna odległości i kąta względem horyzontu. Prosta trygonometria.

- Słusznie. - Nie byłem w swoim żywiole, lecz technika przesłuchania pozostawała niezmienna. - Proszę podać szacunkową wysokość.

Po chwili namysłu Spruck odparł:

- Może pięćset do ośmiuset metrów nad poziomem morza, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem. To początkowe wrażenie wzmocniło się, kiedy obserwowałem jej wznoszenie. Później mogłem wyczuć jej prędkość i trajektorię lotu. Wznosiła się w linii prostej, a nie po łuku, z lekkimi zygzakami korekcyjnymi, a później z wyraźnym zwrotem, gdy się namierzyła.

- Na co się naprowadzała?

- Na cel.

- Czy widział pan kiedyś wykonaną przez CIA animację tego, co ich zdaniem się zdarzyło? - zapytałem.

- Tak. Mam jej kopię.

- Ja też muszę się o nią postarać. W komentarzu do animacji pada stwierdzenie, że eksplodował centralny zbiornik paliwa z powodu spięcia w instalacji elektrycznej. Tak? A wszyscy świadkowie widzieli

strumień płonącego paliwa z rozerwanego zbiornika, które leciało w dół, a nie smugę światła zmierzającą do samolotu w górę. Innymi słowy ludzie odwrócili w myślach to, co widzieli. Usłyszeli wybuch, zanim go zobaczyli, podnieśli głowy i wzięli strumień paliwa za wznoszącą się raketę. Co pan o tym sądzi?

Spruck podniósł kciuk i zapytał:

- W tę stronę jest góra. Zgadza się?

- Tak było, kiedy ostatnio sprawdzałem. W animacji wzięto również pod uwagę, że samolot wciąż nabierał wysokości i wznosił się o kilkaset metrów. Świadkowie na ziemi zobaczyli wznoszący się samolot w ogniu i odnieśli wrażenie, że widzą wznoszącą się smugę światła. Co pan na to?

- Myślę, że znam różnicę między smugą światła, która przyspiesza i wznosi się, zostawiając za sobą biały ogon dymu, a płonącym samolotem w przedśmiertnych konwulsjach. Widziałem jedno i drugie.

Dręczyła mnie myśl, że agentka specjalna Mayfield przepytала kapitana Sprucka lepiej niż ja.

- Czy pani Mayfield przedstawił pan z grubsza to samo zeznanie? - spytałem.

- Tak.

- Zadawała dobre pytania?

Spojrzał na mnie, jakby moje pytanie było idiotyczne, ale odparł grzecznie:

- Tak. Przez ponad godzinę odtwarzaliśmy sekwencję wydarzeń. Zapowiedziała, że jeszcze się ze mną spotka, i poprosiła, bym pomyślał o tym, co widziałem, i zadzwonił do niej, gdyby coś nowego przyszło mi do głowy.

- Zadzwonił pan?

- Nie. Dwóch dżentelmenów, agentów FBI, zjawilo się u mnie nazajutrz i zakomunikowało, że to oni poprowadzą dalej przesłuchanie, bo agentka Mayfield zajęła się innymi świadkami. Widocznie prowadziła przesłuchania wstępne... W wiadomościach podano, że jest od sześciuset do ośmiuset świadków, z których około dwustu widziało smugę światła. Inni zobaczyli tylko wybuch.

- Ja też o tym czytałem. Czy ci dwaj agenci przedstawili się panu?

- Tak. I dali wizytówki. - Spruck wyjął z kieszeni dwie karteczki i podał mi. Włączyłem lampkę stojącą na biurku i przeczytałem imię i nazwisko na pierwszej. Liam Griffith. Trochę mnie to zaskoczyło, ale nie bardzo. Naprawdę zaskoczyło mnie nazwisko na drugiej wizytówce. Była to wizytówka FBI, lecz nazwisko należało do agenta CIA, Teda Nasha. Właśnie tego dzentelmena poznałem przy okazji sprawy Śliwkowej Wyspy, a później współpracowałem z nim przy śledztwie w sprawie Asada Khalila. Ted miał wiele irytujących nawyków: pierwszym było noszenie w kieszeni całej garści wizytówek i dokumentów przedstawiających go jako pracownika dowolnej agencji rządowej, która akurat pasowała do jego celów i nastroju. Drugim natomiast były słabo skrywane groźby, że wykończy waszego szczerze oddanego narratora, które padały, ilekroć go wkurzyłem, czyli często. Tak czy owak animozje między Tedem i mną odeszły w przeszłość. W znacznej mierze dlatego, że on nie żył.

- Mogę zatrzymać te wizytówki? - spytałem.
 - Tak. Panna Mayfield powiedziała, że mogę je panu przekazać.
 - To dobrze. A ma pan wizytówkę pani Mayfield?
 - Nie. Pan Nash ją wziął.
 - Ach tak? A o czym ci dwaj z panem rozmawiali?
 - Podobno przesłuchali zapis tego, co zeznałem pannie Mayfield, i powiedzieli, że chcą omówić wszystko jeszcze raz.
 - Czy otrzymał pan do podpisania pisemny zapis swoich zeznań?
 - Nie.
- Bardzo dziwne.
- Więc ci dwaj też mieli magnetofon?
 - Tak. W zasadzie chodziło im tylko o to, żebym powtórzył to, co powiedziałem dzień wcześniej.
 - I powtórzył pan?
 - Tak. Próbowali znaleźć niespójności między tym, co mówiłem im, a tym, co powiedziałem pannie Mayfield.
 - I znaleźli?
 - Nie.
 - Czy zadawali panu pytania o jakość wzroku?
 - Kilka razy. Miałem doskonały wzrok i nadal mam.

- Pytali, czy pił pan alkohol albo zażywał narkotyki?
- Tak. Odparłem, że to pytanie mi uwłacza. Nie zażywam narkotyków i nie żegluję po wypiciu alkoholu.
- Dla rozluźnienia nastroju powiedziałem:
 - Ja piję tylko w towarzystwie albo kiedy jestem sam.
- Mój rozmówca zrozumiał żart po dobrych trzech sekundach i wydał jakiś odgłos przypominający śmiech.
- Krótko mówiąc, próbowali podważyć pańskie zeznanie.
- Chyba tak. Wyjaśnili, że na tym polega ich praca, na wypadek gdybym został kiedyś wezwany do stawienia się przed sądem jako świadek.
- No właśnie. Jak skończyło się to przesłuchanie?
- Powiedzieli, że jeszcze się ze mną skontaktują, i położyli nacisk na to, żebym tymczasem nie rozmawiał z mediami ani nikim innym. Zgodziłem się.
- Zobaczył ich pan jeszcze?
- Tak. Tydzień później. Był z nimi jeszcze jeden mężczyzna, którego przedstawili jako pana Browna z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Ale nie dostałem jego wizytówki.
- O czym mówiliście tym razem?
- O tym samym. Znów przez godzinę omawialiśmy moje zeznanie... długo jak na wydarzenie, które trwało mniej niż dwie minuty. Poinformowali mnie, że uważają, iż eksplozja mogła być wypadkiem spowodowanym przez awarię mechaniczną.
- Jakiego rodzaju awarię?
- Nie powiedzieli, a ja nie pytałem.
- Dlaczego?
- Wiem, co widziałem.
- Słusznie. Twierdzi pan zatem, że dwie rzeczy, które pan zobaczył, czyli smuga światła i późniejsza eksplozja samolotu, były ze sobą związane.
- Nigdy tak nie powiedziałem. Przecież nie mogłem.
- Doceniam to, że trzyma się pan faktów. Więc może ta świetlna smuga i eksplozja samolotu to koincydencja zdarzeń.
- Diabelnie bliska koincydencja.
- Mimo to mogło tak być. Na czym stało w rozmowie z tymi gośćmi?

- Mnie też przyszły już wtedy do głowy pytania. Zapytałem ich o odczyty radarów, o innych naocznych świadków, o manewry wojskowe na morzu tego wieczoru...

- Jakie manewry?

- Trąbili o tym we wszystkich mediach. Na oceanie jest strefa wojskowa o powierzchni kilku tysięcy kilometrów kwadratowych nazywana W-sto pięć i tamtego wieczoru odbywały się manewry.

- Taak, pamiętam. Czy ci ludzie odpowiedzieli na któreś z pańskich pytań?

- Nie. Odparli, że nie wolno im rozmawiać o incydencie, dopóki toczy się śledztwo.

- Czy byli grzeczni, odmawiając panu odpowiedzi?

- Byli uprzejmi, ale zdecydowani. - Po chwili zastanowienia Spruck dodał: - Jednak ten, który nazywał się Nash, nie zachowywał się uprzejmie...

- Protekcyjnie? - podpowiedziałem. - Nieprzyjemnie? Bucowato?

- Coś w tym rodzaju.

Cały Ted. Tylko Ted Nash mógł potraktować z góry absolwenta Annapolis, pilota, weterana wojennego.

- Co powiedzieli na koniec?

- Przypomnieli, żebym nie wypowiadał się publicznie, i zapowiedzieli, że pozostaną ze mną w kontakcie.

- I pozostali?

- Nie.

- Założę się, że gdyby pan złożył jakieś publiczne oświadczenie, raz-dwa stanęliby na progu pańskiego domu.

- Oni mieli świadomość, że jako aktywny oficer rezerwy zrobię to, o co proszą władze - wyjaśnił Spruck.

Skinąłem głową.

- Czyli zostawił to pan tak, jak było? Chodzi mi o to, co pan myślał?

- No cóż... Uznałem, że śledztwo będzie się toczyć swoim torem, a jeśli prowadzący je będą mnie potrzebowali, to dostanę wezwanie. Było tylu innych świadków... Poza tym zaczęto wydobywać szczątki samolotu i składać je w Calverton... Myślałem, że śledczy zbliżają się do rozwiązania zagadki... Agenci FBI przesłuchiwali wszystkich w tej

okolicy, pytali o podejrzane osoby, o to, czy ktoś tego wieczoru wypływał łodzią z mariny, szukali informacji o pasażerach samolotu... Śledziłem to wszystko w mediach... to było ogromne śledztwo... więc czekałem. - Po krótkiej pauzie dodał: - I wciąż czekam.

- Sprawa jest zamknięta - poinformowałem go. - Nikt się już do pana nie zwróci.

- Zwróciła się do mnie pańska żona - sprostował Spruck. - A teraz pan.

- Nic takiego się nie zdarzyło.

Skinął głową, a potem rzekł:

- W ciągu tych pięciu lat kusilo mnie, żeby zadzwonić do Nasha albo do Griffitha.

- Ted Nash nie żyje.

To zaskoczyło Sprucka, ale nie odpowiedział.

- A gdybym był na pańskim miejscu, nie dzwoniłbym do Liama Griffitha.

Spruck skinął głową.

- Wychodzę - oznajmiłem, wstając. - Może pan pójść ze mną lub zostać.

Stałem na kładce tyłem do przezroczystych drzwi. Zawsze warto przyjaznemu świadkowi dać chwilę przerwy i szansę na zastanowienie się, w co wchodzi. Ja też miałem okazję przemyśleć, w co się pakuję.

Rozdział 7

Wiatr przybrał na sile, temperatura spadała. Usłyszałem, że drzwi za mną się otwierają. Nie patrząc na kapitana Sprucka, zapytałem:

- Uważa pan, że katastrofę spowodowały ćwiczenia wojskowe?

- Nie.

- To prawdopodobna hipoteza, jeżeli założymy, że usiłowano zatuszować sprawę. Wielu ludzi wtedy się ku niej skłaniało.

Spruck stanął obok mnie.

- W żaden sposób nie można zatuszować takiego wypadku. Setki marynarzy i pilotów musiałyby wziąć udział w zatajeniu przypadkowego wystrzelenia pocisku lub skierowania go na niewłaściwy cel. - Milczałem, więc Spruck kontynuował: - Przeciętny marynarz za dużo gada nawet wtedy, kiedy jest trzeźwy. A gdy jest narąbany, opowie przy barze wszystko, co wie: o swoich rozkazach, o sile floty, jej możliwościach. Jak pan myśli, skąd się wzięło powiedzenie: „Luźne języki zatapiają okręty”?

- Okay. A gdybym powiedział, że za katastrofą stoją arabscy terroryści?

- Skoro nie widziałem nawet, skąd wystrzelono pocisk, to niby jak mam znać rasę lub religię ludzi, którzy go odpalili?

- Słusznie. A gdybym powiedział, że zrobiła to jakaś organizacja, która chciała zaszkodzić Stanom Zjednoczonym?

- Wtedy powiedziałbym, że tuż za boeingiem TWA leciał taki sam samolot należący do izraelskich linii El Al, który się spóźnił, i to on mógł być prawdziwym celem ataku.

- Naprawdę? Nie pamiętam tego.

- O tym też rozpisywały się gazety. Kolejna hipoteza.

- Racja. Hipotez było bez liku.

- Chce pan usłyszeć o eksplozji? - zapytał kapitan Spruck.

- Tak, ale bardziej od eksplozji interesuje mnie smuga światła.

Proszę powiedzieć, od tego wydarzenia upłynęło pięć lat. Przez ten czas wiele pan przeczytał i usłyszał, prawda? Czy coś mogło sprawić, że przemyślał pan swoje pierwotne zeznanie? Czy nie pomyślał pan na przykład, że pomylił się lub to, co pan zobaczył, można wyjaśnić inaczej, a teraz jest pan jakby zakładnikiem swojego pierwotnego zeznania i nie chce pan go zmieniać lub odwoływać, bo nie wyszedłby pan na zbyt bystrego. Rozumie mnie pan?

- Rozumiem. Nie idę w zaparte ani nie jestem bufonem, panie Corey, ale wiem, co widziałem. Nie minęło szesnaście godzin od wypadku, a panna Mayfield siedziała w moim salonie i pytała, co obserwowałem. Do tego czasu nie usłyszałem relacji żadnego innego świadka, niczego, co mogłoby ubarwić moje postrzeganie tego, co widziałem.

- Jednak w wiadomościach pojawiły się już wypowiedzi o świetlnej smudze.

- Tak, ale ja natychmiast po incydencie zadzwoniłem z komórki do placówki straży wybrzeża i opowiedziałem o wszystkim, co widziałem, także o smudze światła. Wyglądało na to, że byłem wówczas jedynym człowiekiem na świecie, który widział, co się naprawdę wydarzyło.

- Racja.

- Podzieliłem się tą wiedzą z agentami FBI, którzy dopytywali się, czy moje spostrzeżenia nie zostały ubarwione pod wpływem późniejszych relacji w środkach masowego przekazu. Jak, u diabła, moja relacja niezwłocznie przedstawiona straży wybrzeża mogła zostać ubarwiona pod wpływem późniejszych doniesień? Mój telefon do placówki straży jest w archiwach, chociaż nigdy nie pozwolono mi sprawdzić, co zapisał dyżurny.

Pewnie napisał: „Spowiedź wariata”, pomyślałem, lecz późniejsze

telefony i wydarzenia sprawiły, że wymazał połączenie z dziennika.

- Poza tym, o ile mi wiadomo, jestem jednym z dwóch świadków, którzy widzieli pocisk ziemia-powietrze na żywo i w kolorach, z bliska, na własne oczy - ciągnął kapitan Spruck.

Ten facet był doskonały. Zbyt doskonały?

- Kim jest ten drugi świadek, który widział pocisk na żywo i w kolorach, z bliska i na własne oczy?

- Mężczyzna pracujący jako technik specjalista od wojny elektronicznej - odparł Spruck. - Wygłosił publiczne oświadczenia bardzo podobne do mojego zeznania.

- Zna pan tego człowieka?

- Nie. Tylko przeczytałem jego oświadczenia w prasie. Czuję się sfrustrowany, że śledztwo zmierza w złym kierunku i że jego zeznanie zostało zbagatelizowane, dlatego postanowił ogłosić to publicznie.

- Jak on się nazywa?

- Żona może panu podać jego nazwisko. Albo sam pan je znajdzie.

- Słusznie.

- Nie było mi to potrzebne - ciągnął kapitan Spruck. - Nie miałem żadnego interesu w tym, żeby opowiadać o świetnej smudze. Mogłem po prostu zadzwonić do straży wybrzeża, donieść o katastrofie lotniczej i określić jej miejsce, co też zrobiłem na samym początku. Ale później opisałem smugę światła i dyżurny zaczął się dziwnie zachowywać. Podałem mu nazwisko, adres i numery telefonów. Podziękował i odłożył słuchawkę. Nazajutrz w południe pańska żona stanęła na progu mojego domu. - Po krótkiej pauzie dodał: - To uroczą kobietą. Szczęściarzem z pana.

- Och, dziękuję Bogu każdego dnia.

- I słusznie.

- Tak. Dręczy pana, że pańskie zeznanie nie zostało uwzględnione w końcowym raporcie jako święte i niepodważalne. Ma pan poczucie, że panu nie uwierzono albo że FBI uznało, że błędnie ocenił pan to, co zobaczył.

- To FBI popełniło błąd - odparł Spruck. - Mówiąc wprost, panie Corey, zobaczyłem, jak pocisk klasy ziemia-powietrze zniszczył cel, pasażerskiego boeinga siedemset czterdzieści siedem i nic, co

zdarzyło się od tego czasu, nie może wpłynąć na moją relację ani wywołać we mnie żalu, że o tym wszystkim opowiedziałem.

- Musi pan czuć żal. Sam pan powiedział: „Nie było mi to potrzebne”.

- Ja... to było bardzo trudne... Spełniłem swój obowiązek i nadal to czynię, ilekroć się tego ode mnie wymaga. - Spojrzał na mnie: - Jeśli ta sprawa jest zamknięta, to co pan tu robi?

- Staram się uszczęśliwić żonę w dniu wolnym od pracy. - Oczywiście zdawałem sobie już wówczas sprawę, że pan John Corey też nie jest usatysfakcjonowany oficjalną wersją wydarzeń, a zawdzięcza to pani Mayfield i kapitanowi Spruckowi.

- Ci, z którymi wtedy żeglowałem, wrócili do klubu jachtowego na grilla. Było ich piętnastu, na miejscu dołączyły do nich małżonki i rodziny. Około dwunastu z nich stało na trawniku lub siedziało na werandzie i wszyscy jednocześnie widzieli tę świetną smugę. To nie była zbiorowa halucynacja.

- Wie pan, kapitanie, nie sądzę, by ktokolwiek wątpił, czy tych dwieście osób widziało smugę światła. Pytanie brzmi, czym ona była? I czy miała cokolwiek wspólnego z eksplozją i katastrofą boeinga siedemset czterdzieści siedem?

- Powiedziałem panu, co to było.

- Okay, wróćmy więc do tej smugi. Kiedy ją ostatnio widzieliśmy, zniknęła na chwilę, czy tak?

- Zgadza się. Tak właśnie zachowuje się pocisk w bezpośredniej odległości od celu, jeśli ten cel znajduje się między obserwatorem i pociskiem. Nadaża pan?

- Taak. Samolot był przed pociskiem.

- Słusznie. Lub wyczerpało się paliwo i rakieta zamieniła się w pocisk balistyczny. Ale w ciągu tych kilku sekund, zanim zobaczyłem, jak pocisk zmienia kurs i zanim zniknął, znów dostrzegłem samolot. Instynkt... moje doświadczenie i wiedza mówiły mi, że pocisk jest na kursie, który doprowadzi go do samolotu. - Spruck wziął głęboki oddech. - Szczerze powiedziawszy, zmroziło mi to krew w żyłach, a serce zabiło szybciej.

- Znów był pan nad Wietnamem.

Spruck skinął głową.

- Ale na chwilę skupiłem ponownie wzrok na samolocie i podzieliłem uwagę między niego i świetlną smugę. Światło znikło, tak jak powiedziałem, i dwie sekundy później zobaczyłem błysk samolotu, w okolicy środka kadłuba w pobliżu skrzydeł. W następnej sekundzie ujrzałem ogromny wybuch, który rozerwał samolot co najmniej na dwie części.

- Jak by pan wytłumaczył taką sekwencję zdarzeń?

- Jeśli zaczęła się od eksplozji centralnego zbiornika paliwa, to pierwszy wybuch spowodowało uderzenie pocisku, które zapaliło opary paliwa w zbiorniku. Ten wybuch doprowadził do zapłonu jednego z pełnych zbiorników w skrzydłach - lewego zdaniem specjalistów badających przebieg katastrofy - który wywołał ostatnią, największą eksplozję.

- Doszedł pan do tych wniosków natychmiast? - zapytałem.

- Nie. Wtedy koncentrowałem się na samolocie, na jego rozpadaniu się... - Na chwilę Spruckowi zabrakło słów. - Sekcja dziobowa oddzieliła się i runęła prosto do morza. Silniki wciąż pracowały na paliwie z przewodów, samolot był lżejszy, więc główna część kadłuba faktycznie wznosiła się jeszcze przez kilka sekund... Później przekreśliła się na bok i zaczęła gwałtownie spadać...

Odczekałem kilka sekund.

- Podejrzewam, że widywał pan samoloty zestrzelone pociskami klasy ziemia-powietrze.

- Tak. Siedem. Ale nie takie wielkie.

- Ten widok wstrząsnął panem?

Spruck skinął głową.

- Mam nadzieję, że nigdy nie ujrzy pan samolotu walącego się z nieba, ale jeśli pan coś takiego zobaczy, to ten widok zostanie z panem na zawsze.

Skinąłem głową.

Kapitan Spruck spojrzał w niebo.

- Od chwili gdy zobaczyłem eksplozję, do czasu gdy ją usłyszałem, upłynęło trzydzieści, może czterdzieści sekund. - Spojrzał na mnie. - Dźwięk pokonuje odległość kilometra mniej więcej w trzy sekundy, więc obliczyłem, że znajduję się mniej więcej dziesięć kilometrów od miejsca wybuchu. Z uwzględnieniem pułapu. Prawie

każdy, kto widział smugę światła, zobaczył ją przed usłyszeniem eksplozji, a nie odwrotnie, jak podaje oficjalny raport.

Odwrociłem się od morza i oparłem o poręcz. Kapitan Spruck dalej spoglądał na ocean niczym dowódca statku, czujny, uważny, lecz zarazem zahipnotyzowany ciemnością wody i nieba.

- Paliwo płonęło na wodzie, rozświetlało niebo... - mówił jakby do siebie. - Widziałem kłęby białego i czarnego dymu... Przyszło mi do głowy, żeby pozełgować na miejsce katastrofy, ale... Dla sunfisha to długa droga na oceanie... A gdybym dopłynął tak daleko, nie byłbym w stanie sterować nim wokół płonącego paliwa. - Spojrzała na mnie i dodał: - Wiedziałem, że nikt nie przeżył.

Milczałem przez chwilę.

- Mógłby się pan pokusić o hipotezę, jakiego rodzaju był to pocisk? - zapytałem. - To znaczy, jeśli to był pocisk. Kierował się na źródło ciepła? Jakie są inne rodzaje?

- Sterowane radarem lub podczerwinią. Chce pan usłyszeć krótki wykład o pociskach ziemia-powietrze?

- Tak.

- Mogę panu powiedzieć, jaki pocisk to nie mógł być. Na pewno nie wystrzeliwany z ręcznej wyrzutni, kierujący się na źródło ciepła.

- Skąd pan wie?

- Po pierwsze, mają za mały zasięg, żeby trafić w cel znajdujący się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Poza tym pocisk samonaprowadzający się na promieniowanie podczerwone namierzałby największe źródło, czyli silnik, a wszystkie cztery silniki tego boeinga zostały odnalezione i nie nosiły śladów znacznych zniszczeń. Pozostają więc pociski kierowane radarem lub zdalnie naprowadzane podczerwinią. Możemy wykluczyć sterowanie radarem, bo taki pocisk wysłałby silny sygnał, który zostałby wychwycony przez inne radary, zwłaszcza wojskowe znajdujące się tam tego wieczoru. Ani naziemne, ani lotnicze radary nie wykryły żadnego obiektu namierzającego boeinga siedemset czterdzieści siedem. Zanotowano jeden tajemniczy impuls na radarze w Bostonie, ale uznano, że to jakaś drobna usterka. Jednak mógł to być ślad pocisku naprowadzanego

podczerwienią, który byłby prawie niewidzialny ze względu na małe rozmiary i dużą prędkość. Innymi słowy możemy mieć do czynienia ze sterowanym podczerwienią pociskiem ziemia-powietrze trzeciej generacji, wystrzelonym z okrętu lub samolotu, choć znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że został wystrzelony z okrętu.

- Kto ma tego rodzaju pociski i jak można taki zdobyć? - spytałem.

- Tylko Stany Zjednoczone, Rosja, Anglia i Francja robią tak skomplikowane pociski ziemia-powietrze. Na czarnym rynku są prawdopodobnie setki kierujących się na źródło ciepła rakiet wystrzeliwanych z ręcznej wyrzutni, ale pociski dalekiego zasięgu sterowane podczerwienią są pod ścisłą kontrolą i nigdy się ich nie sprzedaje. Rosyjski system kontroli nie jest jednak zbyt szczelny, więc możliwe, że jeden z nich trafił za odpowiednie pieniądze w nieodpowiednie ręce.

Przetrawiłem pierwszy wykład o pociskach raketowych i zapytałem:

- Czy wspomniał pan o tym któremuś z agentów FBI?

- Nie, bo wtedy tego wszystkiego nie wiedziałem. Moje doświadczenie z pociskami ziemia-powietrze ograniczało się do spotkań ze starymi radzieckimi raketami SA-dwa i SA-sześć, których używali północni Wietnamczycy próbujący mnie zestrzelić. - Po krótkiej pauzie dodał: - Te pociski miały umiarkowaną celność, dlatego tutaj jestem.

- Tak. To kiedy dowiedział się pan o pociskach naprowadzanych podczerwienią?

- Później. To nie jest tajemnica. Jane's ma mnóstwo informacji o nich.

- Kim jest Jane?

- Jane's. Wydawnictwo publikujące książki o rodzajach uzbrojenia na świecie. No wie pan, *Jane 's - okręty wojenne*, *Jane's - pociski lotnicze* i tak dalej. Jest książka Jane's o pociskach i raketach.

- Słusznie. Co jest tak jednoznacznie błędnego w tym scenariuszu, że został odrzucony?

- Pan niech mi to powie, Corey.

- Dobrze, powiem. Wszyscy, którzy czytali o tej sprawie, już wiedzą. Po pierwsze, na wyłowionych szczątkach samolotu nie było ani

śladu osadu po materiałach wybuchowych. Po drugie, nie było porożrywanego metalu, siedzeń... ani ludzi... niczego wskazującego na wybuch głowicy bojowej. Po trzecie, i jest to najbardziej przekonujący argument, nurkowie i kutry przeczesujące dno oceanu nie wyłowili ani jednego kawałka pocisku. Gdyby znaleziono chociaż jeden taki fragment, nie stalibyśmy teraz w tym miejscu.

- To prawda.

- Może dwustu ludzi - i między innymi pan, kapitanie - widziało smugę światła, ale wśród szczątków na miejscu katastrofy nie znaleziono ani jednego dowodu wskazującego na eksplozję pocisku. Co pan na to?

Spruck popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- Pańska żona uprzedzała mnie, że jest pan odporny na sugestie, cyniczny i sceptyczny wobec wszystkiego, co mówią inni, i że wierzy pan tylko we własne wnioski.

- Moja żona to sama słodycz. Więc chce pan, żebym sam wyciągnął wnioski z całkowitego braku osadu ze środków wybuchowych i części pocisku?

- Tak. Ale nie może pan stwierdzić, że nie było pocisku.

- Okay... - Pomyślałem przez chwilę. - Może pocisk uległ całkowitemu zniszczeniu w czasie wybuchu.

Spruck pokręcił głową.

- Cholera, nawet tkaniny przetrwały wybuch. Znaleziono dziewięćdziesiąt procent kadłuba boeinga i prawie wszystkie ciała. Pociski nie ulegają dezintegracji. Rozpryskują się na setki fragmentów, małych i dużych, a każdy specjalista rozpozna w nich kawałek pocisku. Poza tym silne materiały wybuchowe, jak pan przed chwilą zauważył, zostawiają wyraźne ślady.

- Słusznie. Więc może to był promień laserowy. No wie pan, coś w rodzaju promienia śmierci.

- To nie jest tak niemożliwe, jak się panu wydaje. Ale to nie było to. Promień laserowy lub plazmowy działa prawie momentalnie i nie zostawia pióropusza dymu.

Spruck patrzył na mnie, a ja zdałem sobie sprawę, że piłka jest wciąż po mojej stronie. Zastanowiłem się przez chwilę.

- Może pocisk nie eksplodował. Może przebił się przez samolot, poleciał dalej i spadł poza obszarem, na którym prowadzono

poszukiwania. Uderzenie spowodowało zapłon paliwa. Co pan o tym sądzi?

- Myślę, że na coś pan wpadł, panie Corey. Opisał pan pocisk kinetyczny. Taki pocisk zachowuje się jak kula karabinowa lub strzała wbijająca się w cel z taką siłą, że przez niego przelatuje. Nie ma głowicy bojowej. Dzięki samej energii kinetycznej rozrywa cel. W ten sposób może strącić samolot, jeśli trafi w jakiś newralgiczny punkt.

- Czy nie wszystkie punkty w samolocie są newralgiczne?

- Nie. Lepiej, jeśli w samolocie nie ma dziur, ale czasem ich obecność nie przeszkadza.

- Poważnie? Gdyby zbiornik paliwa został przedziurawiony przez pocisk kinetyczny...

- Paliwo zostałoby uwolnione i znalazło się w miejscach, w których nie powinno się znajdować. Samo w sobie nie musiałoby wywołać eksplozji, gdyż paliwo lotnicze nie zapala się tak łatwo. Ale opary w zbiorniku mogą się zapalić i wszyscy są zgodni co do tego, że pierwszy eksplodował centralny bak. Mogło się więc zdarzyć tak, że pocisk kinetyczny przeleciał przez sekcje klimatyzacyjne boeinga znajdujące się tuż za centralnym zbiornikiem paliwa. Rozpruł klimatyzatory, a następnie bak, i doszło do zetknięcia zniszczonych przewodów elektrycznych z oparami, które doprowadziły do zapłonu i eksplozji tak zwanego powietrza paliwowego. Ta z kolei spowodowała wybuch jednego z bocznych zbiorników paliwowych w skrzydle. Pocisk zaś przeleciał przez samolot i spadł do oceanu wiele kilometrów od pola usianego szczątkami.

- Tak pan myśli?

- To by wyjaśniało, dlaczego nikt nie znalazł osadu po środkach wybuchowych ani części pocisku.

Nie odpowiedziałem, a kapitan Spruck uznał moją reakcję za wyraz sceptycyzmu.

- To bardzo proste - ciągnął z lekkim zniecierpliwieniem. - Ponad dwustu ludzi widziało świetlną smugę i w gruncie rzeczy wielu z nich mówi o pocisku. Później nikt go nie znajduje, więc FBI wyklucza taką możliwość. Tymczasem biuro powinno stwierdzić, że nie ma śladów pocisku z materiałem wybuchowym. To nie jest wyższa matematyka... - Spruck zachichotał. - A właściwie jest. Pociski kinetyczne

to nie jest nowinka techniczna. Strzała jest takim pociskiem, podobnie jak kula z muszkietu lub z karabinu. Zabija, przelatując przez cel. Wiem coś o tym, bo kiedyś za jednym razem przeleciały przeze mnie trzy kule, choć żadna z nich nie trafiła w mój centralny zbiornik paliwa.

- Dlaczego użyto właśnie takiego pocisku? - zapytałem.

- Nie wiem. Może sprawcy tylko takim dysponowali. Wojsko może sobie dobierać uzbrojenie w zależności od celu. Inne organizacje nie zawsze mają taką możliwość.

Zaciekawiło mnie, kim jego zdaniem byli sprawcy, ale on tego nie wiedział, ja nie wiedziałem, i być może nie było żadnych sprawców.

- Po co takie pociski w ogóle istnieją? Coś jest nie tak z głowicami bojowymi uzbrojonymi w materiały wybuchowe?

- Systemy naprowadzania są obecnie tak precyzyjne, że nie potrzeba głowicy bojowej, żeby strącić samolot albo nawet inny pocisk. Głowice bez materiałów wybuchowych są tańsze, bezpieczniejsze w obsłudze i zostawiają więcej miejsca na paliwo. - Po krótkiej pauzie Spruck dodał: - Pocisk kinetyczny byłby najlepszy, gdyby chciał pan zestrzelić samolot, nie zostawiając śladów. To dla tych, którzy cenią dyskrecję.

Zadałem sobie w myślach pytanie, czy kapitan Spruck wpadł na prawdziwy bądź nieprawdziwy, lecz jedyny scenariusz pasujący do relacji jego i innych świadków.

- Dlaczego FBI nie wzięło nawet pod uwagę takiej możliwości?

- Nie mam pojęcia. Ich proszę zapytać. Taak, pewnie.

- Czyli uważa pan, że gdzieś tam w morzu leży pocisk?

- Wypuściłem strzałę w powietrze, a gdzie spadła, nie wiem.

- Czy to znaczy tak?

- Uważam, że na dnie oceanu leżą dobrze zachowane szczątki pocisku kinetycznego. Prawdopodobnie miał około czterech metrów długości, był długi, wąski i czarny. Znajduje się wiele kilometrów od obszaru, na którym schodzili do wody nurkowie marynarki wojennej i FBI i na którym pracowały drągi. Nikt go nie szuka, bo nie wierzy w

jego istnienie, a także dlatego, że nawet gdyby ktoś wierzył, byłoby to szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

- Jak duży jest ten stóg?

- Gdyby oceniać trajektorię pocisku po jego przejściu przez samolot, mogą to być setki kilometrów kwadratowych dna oceanicznego. - Po chwili Spruck dodał: - Równie dobrze pocisk mógł dolecieć do Wyspy Ognia i zaryć się głęboko w piasek. Miejsce, w które się wbił, nie zostałyby zauważone, a od tego czasu piasek przykryłby lej.

- Jeśli to prawda, to nikt nie wyznaczy wielomilionowej nagrody za znalezienie tego złomu.

Kapitan Spruck najwidoczniej już to przemyślał.

- Myślę, że ktoś by to zrobił, gdyby władze były przekonane o istnieniu pocisku.

- W tym właśnie sęk, co? Minęło pięć lat, sprawa jest zamknięta, w Białym Domu siedzi nowy lokator, a z forszą krucho. Ale pogadam z deputowanym z mojego okręgu, jeśli się dowiem, kto to jest.

Kapitan Spruck zignorował moją nonszalancką uwagę i spytał:

- Wierzy pan w ten scenariusz?

- Hm... taak, ale to bez znaczenia. Sprawa została zamknięta i nawet doskonała hipoteza nie spowoduje jej ponownego otwarcia. Ktoś musiałby znaleźć mocne dowody, żeby nurkowie i dradzi znów ruszyli do akcji.

- Widziałem to, ale nie mogę tego udowodnić.

- To prawda. - Pomyślałem, że emerytowany kapitan Spruck może mieć dużo wolnego czasu do dyspozycji. - Jest pan żonaty?

- Tak.

- Co o tym wszystkim myśli pańska żona?

- Uważa, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy - odparł. - Wie pan, jakie to frustrujące?

- Nie, proszę mi powiedzieć.

- Gdyby zobaczył pan to, co ja, zrozumiałby pan.

- Pewnie tak. Ale wie pan, tak sobie myślę, że większość osób, które zobaczyły to, co pan, prowadzi dalej normalne życie.

- Bardzo bym tego chciał, ale strasznie mnie to męczy.

- Kapitanie, myślę, że traktuje pan to osobiście i wkurza to pana, bo jest pan absolutnie pewny swego i być może po raz pierwszy w życiu zdarzyło się, że nikt nie bierze pańskich słów poważnie.

Kapitan Spruck nie odpowiedział. Zerknąłem na zegarek.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas, kapitanie. Czy mogę do pana zadzwonić, jeśli przyjdzie mi coś do głowy albo będę chciał o coś zapytać?

- Tak.

- A propos, zna pan stowarzyszenie o nazwie FIRO?

- Oczywiście.

- Należy pan do niego?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie zapraszali mnie.

- Czemu nie?

- Mówiłem panu... Nigdy nie wypowiadałem się publicznie. Gdybym to zrobił, rzuciliby się na mnie.

- Kto?

- Jedni i drudzy, FIRO i FBI.

- Jasne.

- Nie szukam publicznego pokłasku, panie Corey, tylko prawdy. Zakładam, że pan też.

- Taak... Prawda i sprawiedliwość to dobre rzeczy. Ale trudniej je znaleźć niż pocisk na dnie oceanu.

Nie odpowiedział, więc zapytałem pro forma:

- Czy byłby pan skłonny zeznawać na oficjalnym przesłuchaniu?

- Czekałem na to od lat.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, odwróciłem się i ruszyłem do drzwi wieży obserwacyjnej. W drzwiach spojrzałem przez ramię i przypomniałem kapitanowi:

- Tej rozmowy nigdy nie było.

Rozdział 8

Zastąpiłem Kate w jeepie. Rozmawiała przez telefon. Usłyszałem, jak mówi:

- Muszę się rozłączyć. Jutro porozmawiamy. Wsiadłem do jeepa i zapytałem:

- Kto to był?
- Jennifer Lupo. Koleżanka z pracy.

Uruchomiłem samochód i cofnąłem w stronę bramy.

- Jak było? - spytała Kate.
- Ciekawie.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu ciemną, wąską drogą prowadzącą od posterunku straży wybrzeża.

- Dokąd?
- Do Calverton.

Spojrzałem na zegar na tablicy rozdzielczej. Zbliżała się jedenasta.

- Czy to już ostatni, najostatniejszy przystanek?
- Tak.

Ruszyliśmy w stronę Calverton, małej miejsciny na północnym wybrzeżu Long Island. Kiedyś mieściły się tam zakłady lotnicze Grummana i baza morska, w której w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku montowano zwożone ciężarówkami fragmenty boeinga 747 linii TWA. Nie byłem pewien, dlaczego powinienem zobaczyć to miejsce, ale pewnie powinienem.

Włączyłem radio i wybrałem stację nadającą stare przeboje. Johnny Mathis zaśpiewał *The Twelfth of Never*. Wspaniała piosenka, wspaniały głos.

Czasem nachodzi mnie ochota, żeby prowadzić normalne życie: nie nosić broni, odznaki, być wolnym od odpowiedzialności. Po odejściu z policji w przykłej atmosferze mogłem i powinienem być całkowicie zrezygnować z pracy w wymiarze sprawiedliwości. Ale mój durny były partner, Dom Fanelli, zaczeplił mnie w ATTF.

Z początku traktowałem tę robotę jako przystanek na drodze do życia w cywilu. Jediną rzeczą, za którą tęskniłem, byli moi kumple z policji, dobrzy kompani. W ATTF trudno takich znaleźć. Fedzie są dziwni. Nie mówię tu o mojej towarzyszcze życia.

A skoro o tym wspomniałem, to mój związek z agentką specjalną Mayfield wyklął się w tyglu niezaprzeczalnie ważnej misji, którą wykonywaliśmy. Dlatego zastanawiałem się, czy małżeństwo przetrwa, jeśli znajdę sobie pracę na kutrze rybackim, podczas gdy ona dalej będzie polować na terrorystów. Miałem dość introspekcji na parę miesięcy, więc przełączyłem myśli na aktualne troski.

Oboje mieliśmy świadomość, że przekroczyliśmy linię oddzielającą zgodne z prawem i przydziałem śledztwo od pokątnego, bezprawnego węszenia. Mogliśmy się teraz zatrzymać i pewnie upiekłoby się nam to, co knuliśmy po mszy rocznicowej. Lecz jeśli pojedziemy do Calverton i podążymy dalej tym tropem, to możemy stracić pracę i zostać postawieni w stan oskarżenia.

- Czy ten dżentelmen wspomniał ci, że Liam Griffith i Ted Nash jeszcze raz go przesłuchiwali? - spytała Kate.

Skinałem głową.

- Czy uznałeś jego zeznanie za niepodważalne?

- Miał pięć lat na jego dopracowanie.

- Zanim go przesłuchałam, miał na to niecałe szesnaście godzin i wciąż był trochę wstrząśnięty. Przekonał mnie. - Po chwili namysłu dodała: - Przesłuchałam jeszcze jedenastu naocznych świadków. W zasadzie ich zeznania wzajemnie się potwierdzały, a żaden z nich nie znał innych.

- Taak, rozumiem.

Jechaliśmy przez jakieś dwadzieścia minut, z głośników leciały piosenki przypominające mi potańcówki w gimnazjum, gorące letnie noce na ulicach Nowego Jorku, czasy, gdy na lotniskach nie było

jeszcze wykrywaczy metalu, a samoloty nie były strącane przez drani zwanych terrorystami. Czasy, gdy jedyne zagrożenie dla Ameryki znajdowało się daleko i nie zbliżało się tak jak teraz.

- Mogę to wyłączyć? - spytała Kate. Zrobiła to i powiedziała: - Parę kilometrów stąd znajduje się Laboratorium Narodowe Brookhaven. Cyklotrony, akceleratory liniowe, działa laserowe i cząstki subatomowe.

- Ostatnie słowo, które zrozumiałem, brzmiało Brookhaven.

- Istnieje hipoteza, a właściwie podejrzenie, że tego wieczoru w laboratorium przeprowadzono doświadczenie z generatorem plazmowym, promieniem śmierci, i że to właśnie była ta smuga światła, która strąciła boeinga siedemset czterdzieści siedem.

- Więc podjedźmy tam i zapytajmy ich. O której zamykają?

Kate jak zwykle zignorowała mój sarkazm i mówiła dalej:

- Jest siedem godnych uwagi hipotez. Chcesz usłyszeć teorię podwodnego bąbla metanowego?

W głowie pojawił mi się niepokojący obraz wielorybów w szatni sportowej, podpalających swoje baki.

- Może później.

Kate skierowała mnie drogą prowadzącą do okazałej bramy z budką strażniczą. Zatrzymał nas prywatny ochroniarz i podobnie jak w placówce straży wybrzeża zignorował mnie i zerknął na dokumenty federalne Kate. Później machnął nam ręką.

Wjechaliśmy na duży, prawie pozbawiony drzew teren z rozrzuconymi tu i ówdzie przemysłowymi zabudowaniami, licznymi reflektorami i co najmniej dwoma długimi pasami startowymi.

W lusterku wstecznym zobaczyłem, że strażnik rozmawia przez telefon komórkowy lub walkie-talkie.

- Pamiętasz ten odcinek *Archiwum X*, w którym Mulder i Scully wchodzą do tajnego ośrodka i...

- Nie chcę słuchać o *Archiwum X*. Życie to nie *Archiwum X*.

- Moje tak.

- Obiecaj mi, że przez rok nie będziesz robił aluzji do *Archiwum X*.

- Hej, to nie ja wspominałem o plazmowym promieniu śmierci i metanowym bąblu.

- Skręć w prawo i zatrzymaj się koło hangaru.

Podjechałem do niewielkich drzwi obok ogromnych przesuwanych wrót wielkiego hangaru lotniczego.

- Jak to się dzieje, że tak przemykamy przez bramy pilnowane przez ochroniarzy?

- Mamy odpowiednie papiery.

- Spróbuj jeszcze raz.

Kate milczała przez chwilę, po czym odparła:

- To jasne, że wszystko zostało wcześniej ustalone.

- Przez kogo?

- Są ludzie... pracownicy agend rządowych, których nie usatysfakcjonowała oficjalna wersja wydarzeń.

- Coś w rodzaju podziemnego ruchu? Jakaś tajna organizacja?

- Ludzie.

- Istnieje sekretny uścisk dłoni?

Kate otworzyła drzwiczki i zaczęła wysiadać.

- Zaczekaj. Odwróciła się do mnie.

- Czy ty należysz do FIRO? - zapytałem.

- Nie należę do żadnej organizacji oprócz Federalnego Biura Śledczego.

- Przed chwilą powiedziałaś coś innego.

- To nie jest organizacja - sprostowała Kate. - Nie ma nazwy. Ale gdyby ją miała, to brzmiałaby: „Ludzie, Którzy Wierzą Dwustu Świadkom”. - Spojrzała mi w oczy. - Idziesz?

Zgasilem silnik i światła i ruszyłem za nią.

Nad małymi drzwiami znajdowała się lampa oświetlająca tablicę z napisem: **WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONEGO PERSONELU**.

Kate przekreśliła klamkę, jakby wiedziała, że drzwi będą otwarte, i weszliśmy do olbrzymiego hangaru z polerowaną drewnianą podłogą, dzięki której wewnątrz wyglądało jak sala gimnastyczna. Frontowa część, w której staliśmy, była pogrążona w mroku. Lecz w drugiej połowie hali paliły się rzędy świetlówek. Pod nimi stał zrekonstruowany boeing 747 linii Trans World Airlines.

- Tu właśnie pracownicy Grummana montowali F-czternaście, dlatego ta hala wydawała się dobrym miejscem do odbudowy pasażerskiego boeinga.

Staliśmy w ciemności i gapiliśmy się na jumbo jeta. Niewiele razy w życiu odebrało mi mowę, a to był właśnie jeden z nich.

Pomalowany na biało kadłub lśnił w świetle, a na rozerwanym aluminiowym poszyciu po lewej stronie znajdowały się litery ANSWOR.

Przednia część z kabiną pilotów była oddzielona od głównego kadłuba, zrekonstruowane skrzydła leżały na wypolerowanej drewnianej posadzce, a ogon z prawej strony, także w pewnej odległości od kadłuba. W taki sposób samolot rozpadł się na części.

Na podłodze rozpostarte były ogromne brezentowe płachty, na których leżały zwoje drutów oraz szczątki trudne do zidentyfikowania.

- Ta hala jest tak wielka, że ludzie jeździli po niej rowerami, żeby szybko się przemieszczać i oszczędzać czas - oznajmiła Kate.

Zmierzałyśmy powoli w stronę trupa gigantycznej latającej maszyny.

Zobaczyłem, że z iluminatorów wypadły szyby. Rozróżniałem już kawałki aluminium, pieczołowicie poskładane ze sobą, niektóre ogromne jak wrota stodoły, a inne mniejsze od talerza obiadowego.

Środkowa część, w której eksplodował centralny zbiornik paliwa, była najbardziej zniszczona, ziały w niej pokaźne dziury.

Zatrzymaliśmy się mniej więcej dziesięć metrów od samolotu. Spojrzałem w górę. Nawet bez podwozia usadowiony na posadzce olbrzym miał wysokość trzypiętrowego budynku.

- Jak długo to trwało? - zapytałem.
- Mniej więcej trzy miesiące - odparła Kate.
- Dlaczego on wciąż tutaj tkwi, pięć lat po katastrofie?
- Nie jestem pewna... ale nieoficjalnie słyszałam, że zapadła decyzja, by wysłać wrak do recyklingu. To oburzy wielu ludzi, którzy wciąż nie są usatysfakcjonowani końcowym raportem, między innymi krewnych ofiar, przyjeżdżających tutaj co rok przed mszą. Dziś rano też byli.

Skinąłem głową.

Kate popatrzyła na zrekonstruowany odrzutowiec.

- Byłam tutaj, kiedy rozpoczęto rekonstrukcję... pracownicy ustawili rusztowania, drewniane rampy i drucianą siatkę, żeby łatwiej było przyłączać kawałki... Zaczęto nazywać wrak *Jetasaurus rex*. Wykonali niesamowitą robotę.

Trudno było to wszystko ogarnąć. Z jednej strony był to olbrzymi samolot, obiekt, który zna każdy, nawet jeśli nie studiował na uniwersytecie. Z drugiej to, co powstało, było czymś większym niż suma jego części. Dopiero teraz zauważyłem ogromne, nadpalone opony, pokrzywione zastrzały kół, cztery mamucie silniki ustawione w szeregu, skrzydła spoczywające na podłodze, kolorowe kable wijące się wszędzie oraz izolację z włókna szklanego, rozłożoną według jakiegoś wzoru. Wszystko było oznaczone metkami lub kolorową kredą.

- Każdy znajdujący się tutaj przedmiot został poddany drobiazgowym badaniom - ciągnęła Kate. - Trzydzieści tysięcy kilogramów metalu i plastiku, sto kilometrów kabli i przewodów hydraulicznych. Zrekonstruowano wnętrze samolotu: fotele, kuchenki, toalety, wykładziny. Wszystko, co wydobyto z oceanu, ponad milion szczątków, zostało złożone w całość.

- Dlaczego? W pewnym momencie kierujący śledztwem musieli dojść do wniosku, że przyczyną była awaria mechaniczna.

- Chodziło o to, by wykluczyć wszystkie inne teorie.

- Ale to się nie udało.

- Przez blisko sześć tygodni tę halę wypełniała woń paliwa lotniczego, wodorostów, martwych ryb... i nie wiadomo czego jeszcze.

Byłem pewien, że Kate wciąż ją czuje.

Staliśmy w milczeniu przed białym, wyglądającym prawie jak duch samolotem. Spojrzałem w puste iluminatory i pomyślałem o dwustu trzydziestu lejących do Paryża pasażerach, próbowałem sobie wyobrazić ostatnie kilka sekund przed eksplozją, moment wybuchu i sekundy po nim, zanim samolot pękł w powietrzu. Czy ktoś przeżył pierwszy, ognisty wybuch?

- Czasem odnoszę wrażenie, że nigdy nie poznamy prawdy - powiedziała cicho Kate. - Kiedy indziej znów myślę, że coś wyjdzie na jaw.

Milczałem.

- Widzisz brakującą część pośrodku kadłuba? FBI, Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu, pracownicy Boeinga i TWA oraz specjaliści z zewnątrz próbowali znaleźć otwór wlotowy i wylotowy lub ślady innej przyczyny wybuchu niż eksplozja oparów paliwa. Ale nie mogli. Uznali więc, że nie było ataku raketowego. A ty mógłbyś przyjąć taki wniosek?

- Nie. Brakuje zbyt dużej części kadłuba, jest zbyt zdeformowana. Poza tym dzentelmen, z którym rozmawiałem, przeprowadził własne dochodzenie, o czym zapewne wiesz. Wychodząc od absolutnego przekonania, że widział pocisk, doszedł do wniosku, że ten pocisk nie miał głowicy bojowej.

- Nie było żadnego pocisku - oznajmił głos zza naszych pleców.

Odwrociłem się i zobaczyłem mężczyznę idącego w naszą stronę z półmroku. Miał na sobie garnitur i krawat. Szedł zdecydowanie w naszą stronę, stopniowo zbliżając się do oświetlonej części hangaru.

- Nie było żadnego pocisku - powtórzył.

- Chyba wpadliśmy - powiedziałem do Kate.

Rozdział 9

Jak się jednak okazało, nie zostaliśmy nakryci na gorącym uczynku przez Federalną Policję Myśli.

Dżentelmen, który do nas dołączył, nazywał się Sidney R. Siben i był specjalistą z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Nie wyglądał na takiego, który odczyta ci prawa i zatrzaśnie kajdanki na rękach, nawet gdyby je miał.

Kiedy się zbliżył i zobaczyłem go z bliska w świetle, okazało się, że nie jest tak młody, jak sugerował jego dziarski krok. Był dobrze ubrany, wyglądał na inteligentnego i nieco aroganckiego, a przynajmniej pewnego siebie. Mój typ.

Kate wyjaśniła, że poznała Sida w czasie śledztwa.

- Przechodził pan w okolicy hangaru i postanowił wpaść na chwilę? - zagadnąłem.

Sid spojrzał pytająco na Kate.

- Zjawileś się wcześniej i nie miałam czasu powiedzieć Johnowi, że przyjdziesz.

- Ani wytłumaczyć, dlaczego przyjdziesz - dodałem.

- Chciałam, żebyś usłyszał oficjalną wersję od jednego z tych, którzy napisali końcowy raport - wyjaśniła Kate.

- Chce pan usłyszeć, co się naprawdę stało, czy woli pan wierzyć w teorie spiskowe? - zapytał Sidney.

- To podchwytliwe pytanie.

- Nie, skądże.

- Do której drużyny należy ten facet?

Kate odpowiedziała napiętym tonem w rodzaju o-czym-ty-mówisz-kochanie.

- Nie ma żadnych drużyn, John. Tylko uczciwe różnice zdań. Sid zechciał tu przyjść, żeby pomówić z tobą o twoich wątpliwościach.

Większość tych wątpliwości zasiała w mojej głowie sama pani Mayfield, która najwyraźniej uprzedziła pana Sibena, że trzeba oczyścić mój mózg z wątpliwości i teorii spiskowych. Niestety zapomniała mnie o tym uprzedzić. Ale nie chcąc psuć zabawy, powiedziałem do Sibena:

- Zawsze mi się zdawało, że z oficjalną wersją jest coś nie tak. Istnieje siedem różnych hipotez na temat przyczyn eksplozji samolotu: pocisk, podwodny bąbel metanu, plazmowy promień śmierci... i tym podobne. Kate mocno wierzy w oficjalną wykładnię, a ja...

- Powiem panu, co się stało, panie Corey.

- Świetnie.

Siben wskazał coś w kącie hali. Spojrzałem tam i zobaczyłem ogromny jasnozielony obiekt leżący na podłodze.

- To jest centralny zbiornik paliwa boeinga siedemset czterdzieści siedem - poinformował mnie Siben. - Nie tego egzemplarza, bo ten został zabrany do laboratorium. Inny, który przywieźliśmy tutaj, żeby rekonstrukcja była pełna.

Spojrzałem na zbiornik. Wyobrażałem sobie, że będzie wielkości baku dużej ciężarówki, ale on był wielki jak garaż.

- Odnalezione w morzu fragmenty zbiornika zostały zawiezione do laboratorium i poddane wnikliwym badaniom. - Popatrzył na mnie uważnie i kontynuował: - Po pierwsze, nie znaleziono absolutnie żadnych chemicznych osadów po materiałach wybuchowych innych niż powietrze oparowe. Jasne?

- Nie było absolutnie żadnych chemicznych osadów po materiałach wybuchowych innych niż powietrze oparowe - powtórzyłem grzecznie.

- Dobrze. Po drugie, na metalowym poszyciu nie znaleziono żadnych śladów wybuchu o dużej energii: wgłębień, wgłęć, nadwerężania. Jasne?

- Nie było żadnych...

- Po trzecie, na zbiorniku nie było żadnych śladów uderzenia pocisku: otworu wlotowego ani wylotowego, co wyklucza działanie głowicy bez materiału wybuchowego, czyli pocisku kinetycznego. - Spojrzał na

mnie i dodał: - Rozumiem, że wierzy pan w hipotezę pocisku kinetycznego.

Przed rozmową z kapitanem Spruckiem nawet nie wiedziałem o istnieniu pocisków kinetycznych, lecz Kate napisała scenariusz dzisiejszych wydarzeń, zanim się dowiedziałem, że mam zagrać w nim jakąś rolę.

- Gdzie znajduje się teraz oryginalny zbiornik paliwa? - zapytałem.

- W magazynie laboratorium w Wirginii.

- Jaką jego część udało się odzyskać?

- Około dziewięćdziesięciu procent.

- Czy jest możliwe, panie Siben, że w tych dziesięciu procentach, których nie odnaleźliście, znajdowały się otwory wlotowy i wylotowy?

- Jaka jest szansa, że tak właśnie było?

- Dziesięć procent.

- Faktycznie i statystycznie szanse, że dwa otwory, wlotowy i wylotowy, znajdujące się naprzeciwko siebie, nie znalazły się w dziewięćdziesięciu procentach zrekonstruowanego zbiornika paliwowego, są znacznie mniejsze niż dziesięć procent.

- Okay, niech to będzie jeden procent. Wciąż jednak pozostaje możliwość.

- Nie w moim pojęciu. No dobrze, szukaliśmy również otworów wlotowego i wylotowego w kadłubie... - Siben skinął w stronę samolotu - i nie znaleźliśmy wyraźnych dziur w wgięciami i odgięciami.

- To oczywiście, że newralgicznych części samolotu brak: tych, w których nastąpiła eksplozja.

- Nie wszystkich brak. Wewnątrz kadłuba, o czym przekona się pan później, jeśli pan zechce, znajduje się zrekonstruowana podłoga, wykładziny, fotele, górne kosze na odpady, sufity, ubikacje, kuchenki i cała reszta. Nie powie mi pan, że przez centralną część samolotu przeleciał pocisk kinetyczny i nie zostawił otworów wlotu i wylotu.

Pan Siben oczywiście miał rację. W ten sposób stanąłem wobec klasycznego przypadku konfliktu między zeznaniami nieposzlakowanego świadka, kapitana Sprucka, i niepodważalnymi dowodami prezentowanymi przez pana Sibena. Sprzeczność była oczywista i

szczerze powiedziawszy, skłaniałem się ku stanowisku Sidneya Sibena.

Zerknąłem na Kate, która wydawała się zamyślona, a może nią samą targają sprzeczności. Było jasne, że zastanawiała się nad tą zagadką setki razy i z jakiegoś powodu prywatnie za wiarygodniejszą uważała hipotezę pocisku kinetycznego.

Przypomniałem sobie, co wiem o zebranych dowodach i to, co powiedział mi Spruck.

- A klimatyzatory znajdujące się za centralnym zbiornikiem paliwa?

- Co z nimi?

- Gdzie są?

Siben wskazał na prawo od centralnego zbiornika paliwa.

- Tam. Zrekonstruowane.

- I co?

- Żadnych śladów osadu silnego materiału wybuchowego ani penetracji przez pocisk kinetyczny. Chce pan na nie spojrzeć?

- Jakiej ich części brakuje?

- Też około dziesięciu procent.

- Cóż, panie Siben, te brakujące dziesięć procent może zawierać ważną wskazówkę. Gdybym był zwolennikiem teorii spiskowej, powiedziałbym, że coś zostało znalezione i rozplynęło się w powietrzu.

Siben spojrział na mnie z irytacją i odparł:

- Każdy fragment samolotu znaleziony przez wojskowych nurków, nurków FBI, miejscowe kutry i dragi został starannie skatalogowany, sfotografowany i zdeponowany tutaj do dalszych badań. W pracy tej brały udział setki kobiet i mężczyzn i nikt oprócz idiotów, wyznawców teorii spiskowej, nie sugerował, że cokolwiek rozplynęło się w powietrzu. Przedmioty, które trafiły do laboratoriów kryminalistycznych, zostały odnotowane. - Spojrział na mnie i dodał: - A te, których nie odnotowano, wciąż spoczywają na dnie oceanu. Była to niezwykle skuteczna operacja poszukiwawcza, prowadzona na głębokości do czterdziestu metrów. To, co zostało, nie kryje żadnych niespodzianek.

- Gdyby to było śledztwo w sprawie morderstwa, patolog przeprowadzający autopsję nie wykluczyłby tak łatwo zbrodni.

- Naprawdę?
- Naprawdę.
- Czego by pan potrzebował?
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego pan uważa, że to był przypadek, a nie zbrodnia. Brak dowodów zbrodni nie świadczy o tym, że to był wypadek. Ma pan dowody świadczące o tym, że katastrofa była przypadkowa?

- Żadnych poza faktem, że do eksplozji doszło w miejscu, w którym jest ona najbardziej prawdopodobna: w pustym zbiorniku paliwa wypełnionym łatwopalnymi oparami. Jeśli lubi pan analogie, proszę sobie wyobrazić dom, który się spalił. Podpalenie czy wypadek? Podpalenia należą do rzadkości, wypadki ciągle się zdarzają. Dowódca brygady przeciwpożarowej bardzo szybko stwierdza, że pożar zaczął się w piwnicy. Idzie prosto do pomieszczenia, gdzie zaczyna się najczęściej pożarów: obok pieca, klimatyzatora, elektrycznej tablicy rozdzielczej, składu materiałów łatwopalnych. Nie szuka koktajlu Mołotowa wrzuconego przez okienko. Ma wieloletnie doświadczenie i skupia się na najbardziej prawdopodobnej przyczynie, na tym, co widać, i olbrzymim prawdopodobieństwem, że wypadki zdarzają się tam, gdzie zwykle.

Siben popatrzył na mnie, jakbym potrzebował jeszcze jednej analogii. Ja jednak jej nie potrzebowałem, miałem natomiast swoją.

- Świat się zmienił, panie Siben. Nie żyjemy już w bezpiecznej dzielnicy i nie można wykluczyć, że ktoś wrzuci nam przez okienko koktajl Mołotowa.

- Pan jako policyjny detektyw szuka i spodziewa się zbrodni. Ja jako inżynier od spraw bezpieczeństwa spodziewam się i szukam - i jak dotąd zawsze znajdowałem - jakiegoś niedopatrzenia technicznego lub błędu pilota, który spowodował katastrofę samolotu. Mam świadomość, że ktoś mógł zagrać nieczysto. Ale przy tej sprawie pracowały setki śledczych i żaden z nich nie znalazł ani konkretnego, ani nawet poszlakowego dowodu zbrodni: śladów wrogiego pocisku, pocisku wystrzelonego przez nasze siły zbrojne, bomby na pokładzie. Więc dlaczego ludzie wciąż wierzą, że to było coś innego niż wypadek? I kto miałby coś tuszować? Dlaczego? Właśnie tego nie mogę zrozumieć.

- Ani ja. - W śledztwie kryminalnym zawsze trzeba pytać dlaczego. Jeśli to był atak terrorystyczny, to znamy odpowiedź na to pytanie: oni nas po prostu nie lubią. Lecz dlaczego władze miałyby tuszować atak terrorystyczny?

Jeśli jednak samolot padł ofiarą naszej rakiety, to rozumiem, że ci, którzy ją wystrzelili, chcieliby sprawę zatuszować. Ale jak zauważył kapitan Spruck, nikt z dowództwa czy rządu nie mógłby zatuszować katastrofy takich rozmiarów.

- John chyba chciałby się dowiedzieć, jak mogło dojść do przypadkowego wybuchu centralnego zbiornika paliwa - odezwała się Kate, która od pewnego czasu przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu.

Siben skinął głową, spojrzął na samolot, a później na żółtozielony bak.

- Po pierwsze, trzeba sobie wyobrazić prawie pusty zbiornik paliwa z dwustoma litrami paliwa przelewającymi się po dnie, bo pompa przedmuchująca nie mogła ich zebrać. W baku jest mnóstwo lotnych oparów...

- Przepraszam, dlaczego bak był pusty?

- Bo do tego lotu nie było potrzebne dodatkowe paliwo. Najpierw napełnia się zbiorniki w skrzydłach, a centralny tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Ten samolot leciał do Paryża, nie zabierał wielu pasażerów i ładunku, a meteorolodzy zapowiadali dobrą pogodę i wiatr od ogona. - Po krótkiej pauzie Siben dodał: - Jak na ironię, gdyby obciążenie było większe albo gdyby pogoda lub wiatry były niesprzyjające, bak byłby wypełniony paliwem lotniczym klasy A, które trudno się zapala. Łatwopalne są opary. Pasuje to więc do scenariusza zapłonu z powodu spięcia w obwodzie elektrycznym, na które bardzo silnie wskazują dowody.

- Jakiego rodzaju to było spięcie? Mam zrezygnować z wycieczki na Bermudy?

Pan Siben nie uśmiechnął się z powodu mojego głupiego żartu.

- Istnieją cztery prawdopodobne, a właściwie potwierdzone dowodami scenariusze. Pierwszy to spięcie w obwodach elektrycznych lub w silniku pompy przedmuchującej; drugi to elektryczność statyczna; trzeci, elektroniczne mierniki ilości paliwa i czwarty - obwody elektryczne zbiornika. Innymi słowy, ten wielki bak jest dosłownie

opleciony elektrycznością od wewnątrz i na zewnątrz. Gdyby był pełny, iskra nie mogłaby zapalić paliwa lotniczego. Ale opary to co innego.

- Ciągłe pan to powtarza.

- I będę. To są prawa fizyki, których nie można odwołać za pomocą teorii, panie Corey.

- Taak, ale nie wiemy...

- Nie, nie wiemy, lecz jesteśmy przekonani, że jeden z przewodów był naderwany i gdzieś doszło do spięcia, wewnątrz lub na zewnątrz zbiornika. Nagły skok napięcia wywołał łuk elektryczny - iskrę - i to, co wydawało się bardzo mało prawdopodobne - spięcie i iskra w jedynym miejscu, w którym mogły spowodować katastrofalne skutki - stało się rzeczywistością. Zdarzyło się to już dwa razy w samolocie Boeinga, w tym raz na ziemi, więc mogliśmy zobaczyć dokładnie, jak do tego doszło. W tym wypadku - tu Siben spojrział na kadłub - opary zapaliły się, gdy samolot był w powietrzu, i wywołały eksplozję, która nie musiała być fatalna w skutkach. Widać jednak miała wystarczającą siłę i temperaturę, by dotrzeć do paliwa w skrzydle i spowodować wybuch, który uniemożliwił kontrolowany lot.

- I wszystko to wydedukowaliście z tego? - zapytałem, wskazując kadłub boeinga 747.

- Oczywiście. Wszystkie dowody tam były, gdy tylko ustaliliśmy, że do pierwszej eksplozji doszło w pustym zbiorniku centralnym. - Po chwili dodał: - Potwierdził to jeden ze świadków, który opowiedział o małym wybuchu, a następnie o ogromnej kuli ognia. Siła eksplozji wywołała falę uderzeniową, która oderwała część czołową od głównego kadłuba. To też było widziane z ziemi.

To ciekawe, pomyślałem. Zeznania świadków, którzy zobaczyli, jak samolot rozpadał się w locie, podaje się jako potwierdzenie teorii A, natomiast zeznania wielu tych, którzy widzieli smugę światła, są pomijane. Jednak pan Siben z własnej woli poświęcał mi swój czas, toteż mu tego nie wytknąłem.

- Kupujesz to wszystko? - zapytałem Kate.

Zawahała się.

- Tak, do pewnego stopnia. Ale Sid powie ci, że przeprowadzono

naziemne testy na boeingu siedemset czterdzieści siedem. Chodziło o odtworzenie takiej sekwencji wydarzeń z wybuchem zbiornika paliwa i się nie udało. Spojrzałem na Sibena.

- Co pan na to?

- Nie da się odtworzyć na ziemi warunków, które zaistniały na wysokości czterech kilometrów w lecącym samolocie - odparł bez wahania Siben. - To był durny test.

- Gdybyście uzyskali wybuch, nie powiedziałby pan tego.

- Ależ oczywiście, że bym powiedział.

Facet był niewzruszony. Szkoda, że nie miałem takich świadków, kiedy byłem gliną. Przypomniałem sobie rozmowę z kapitanem Spruckiem.

- Gdyby pocisk kinetyczny przebił się przez klimatyzatory i zniszczył przewody elektryczne będące pod napięciem w zbiorniku i wokół niego, czy to spowodowałyby wybuch centralnego zbiornika paliwa?

Siben milczał przez kilka sekund.

- To możliwe. Ale nie ma dowodów potwierdzających taki scenariusz.

- A są dowody potwierdzające, że doszło do spięcia elektrycznego?

- Spięcie pozostawiłoby mało dowodów, zwłaszcza nad morzem. Po ataku pociskiem zostałyby znacznie więcej trudnych do przeoczenia dowodów.

- Rozumiem. W zasadzie jedynym dowodem potwierdzającym oficjalnie przyjętą wersję jest brak dowodów, że przyczyną katastrofy było coś innego.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Tak właśnie przed chwilą powiedziałem.

- Panie Corey, mówiąc szczerze i otwarcie, chciałbym znaleźć ślad wybuchu bomby lub pocisku. Tak samo jak Boeing, TWA i firmy ubezpieczeniowe. Wie pan dlaczego? Bo awaria mechaniczna świadczy o tym, że ktoś nie wykonał swojej roboty. Że Federalny Zarząd Lotnictwa nie wykrył potencjalnego problemu. Że inżynierowie Boeinga zajmujący się bezpieczeństwem go nie przewidzieli. Że linie TWA powinny lepiej konserwować samoloty, zapobiegając takim wypadkom. - Siben popatrzył mi w oczy i dodał: - W głębi naszych

serc wszyscy pragnęliśmy, by to był pocisk, bo wtedy nikt nie mógłby obarczyć winą przemysłu lotniczego.

Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy. Skinąłem głową. Pięć lat temu myślałem w podobny sposób i doszedłem do identycznego wniosku. Mógłbym dodać, że pasażerowie woleliby ponosić ryzyko jeden do iluś tam milionów, że samolot zostanie trafiony pociskiem, niż martwić się tym, że maszyna ma konstrukcyjną wadę rzutującą na jego bezpieczeństwo. Ja też, jeśli mam być szczery, wolałem, żeby to był pocisk.

- Samoloty nie spadają ot, tak po prostu - ciągnął Siben. - Musi być przyczyna, a są cztery możliwe przyczyny katastrofy lotniczej... - Tym razem zaczął wyliczać na palcach. - Pierwsza to błąd pilota, ale nie wskazuje na to wybuch w powietrzu ani żadne zapisy z czarnej skrzynki i instrumentów pokładowych. Druga to akt woli boskiej: zła pogoda, uderzenie piorunu, ale tego wieczoru nic takiego się nie zdarzyło; lub uderzenie cząsteczek poruszających się z wielką prędkością, co w praktyce oznacza meteoryt. Bardzo małe prawdopodobieństwo, podobnie jak uderzenie kosmicznego śmiecia, czyli kawałka satelity lub zewnętrznego silnika rakiety. Jest to możliwe, ale nie znaleziono żadnych fizycznych dowodów wskazujących na to, że coś uderzyło w ten samolot. Trzecia to atak wroga... - Do pokazania tej możliwości użył środkowego palca. Gdybym był wrażliwy, to pomyślałbym, że mówi: „Pieprzyć cię razem z twoim wydumanym pociskiem”.

- Czwarta ewentualność to awaria mechaniczna - kontynuował, patrząc na mnie. - Postawiłem na nią moją reputację zawodową i to właśnie jest zwycięzca. Jeśli uważa pan, że to był atak pociskiem raketowym, to chciałbym zobaczyć dowody.

- Rozmawiał pan kiedyś z naocznym świadkiem katastrofy?

- Nie.

- A powinien pan.

Siben zignorował moją sugestię.

- Powiem panu coś jeszcze, co przeczy hipotezie o ataku raketowym. Skoro już teoretyzujemy: dlaczego terrorysta miałby zestrzeliwać

samolot tak daleko od portu lotniczego? Prosta w obsłudze i łatwa do zdobycia rakietą wystrzeliwana z ramienia, kierująca się na źródło ciepła - wojskowi nazywają je pociskami „odpal i zapomnij” - mogła zniszczyć ten samolot w promieniu ośmiu kilometrów od lotniska. Żeby zestrzelić tę maszynę na wysokości czterech kilometrów, trzy-nastu kilometrów od wybrzeża, potrzebny był bardzo wymyślny, skomplikowany w użyciu i prawie niemożliwy do zdobycia naprowadzany podczerwienią lub radarem pocisk klasy ziemia-powietrze albo powietrze-powietrze. Zgadza się?

- Tak.
- No właśnie.
- Rozumiem.
- Mam egzemplarz oficjalnego raportu w tej sprawie, który możesz przeczytać - wtrąciła Kate.
- I niech pan się trzyma z dala od kretynów rozpowszechniających teorie spiskowe, od ich książek, nagrań wideo i tego, co wypisują w Internecie - dodał Siben.

Pora ochłoniąć, Siben.

- Nigdy nie czytałem ani nie widziałem publikacji zwolenników teorii spiskowej i nie zamierzam tego robić. Raczej nie przeczytam też pańskiego raportu, który z pewnością jest przekonujący i pełen wyważonych argumentów. Właściwie wyraziłem tylko łagodną i jak się okazuje nieuzasadnioną, opinię w rozmowie z panią Mayfield, moją małżonką i przełożoną, która wywołała jej zawodowe i osobiste zatroskanie. Stąd moja obecność tutaj. Oraz pańska. Wobec tego dziękuję panu za tę odprawę, która pewnie już pana znużyła. Moim zdaniem pan i wszyscy pracujący przy tej sprawie wykonaliście wspaniałą pracę i doszliście do właściwych wniosków.

Siben przyglądał mi się przez chwilę, zachodząc w głowę, czy robię go w konia. Spojrzał na Kate, która skinęła zachęcająco głową.

Wyciągnąłem rękę do Sibena, a ten uściśnął ją mocno. Później podał też dłoń Kate, która mu podziękowała. Potem odwrócił się i odszedł, znikając powoli w mroku.

Nagle zatrzymał się i z powrotem wszedł w krąg światła.

Pomyślałem, że jak Jimmy Durante powie: „Dobranoc, pani Calabash, gdziekolwiek pani jest”. On jednak zawołał:

- Panie Corey. Potrafi pan wyjaśnić obecność tej świetlnej smugi?

- Nie. A pan?

- Złudzenie optyczne.

- Otóż to.

Odwrócił się i zniknął ponownie. Kiedy stanął przy wyjściu, w cichym hangarze znów usłyszałem jego głos:

- Nie, to nie jest to, do jasnej cholery.

Rozdział 10

Staliśmy z Kate w pogrążonej w ciszy hali, a w mojej głowie wciąż odbijały się echem ostatnie słowa Sibena. Facet prawie mnie przekonał, a kiedy już wychodził, powiedział coś, co spowodowało, że znów znalazłem się w punkcie wyjścia.

Kate przesunęła się w stronę kadłuba samolotu.

- Obejrzyjmy wnętrze.

Zrekonstruowany boeing 747 stał na drewnianej konstrukcji; w kilku miejscach ustawiono schodki prowadzące do otwartych drzwi wraku. Ruszyłem za Kate do tylnej części kabiny pasażerskiej.

- Kabinę odbudowano po to, by specjaliści mogli porównać jej zniszczenia ze zniszczeniami kadłuba.

Spojrzałem w stronę dziobu odrzutowca, gdzie powinna się znajdować kabina pilotów, lecz stała ona osobno w innej części hangaru; zamiast niej ziała dziura, przez którą widziałem daleką ścianę hali.

Uświadomiłem sobie, że w pewnej chwili pasażerowie musieli zobaczyć odpadający kokpit i niebo pojawiające się przed nimi. Później usłyszeli ryk wiatru, który rozerwał kabinę na kawałki.

W spadającym kokpicie kapitan, drugi pilot i inżynier lotu siedzieli przy tablicy przyrządów, która nie była już połączona z samolotem. Co wtedy myśleli? Co robili? Poczulem, że moje serce bije jak szalone.

Główna kabina boeinga wyglądała jak koszmarna karykatura wnętrza wielkiego samolotu: popękane sufity i lampy, zwisające luki

bagażowe, puste iluminatory, ściśnięte przegrody, zmasakrowane toalety i kuchenki, nadpalone strzepy zasłon, szeregi przechylonych, rozprutych foteli, poskładana z kawałków wykładzina na podłodze. Wszystko trzymało się na swoim miejscu dzięki ramie z drewnianych belek i drucianej siatki. W powietrzu nadal unosiła się słaba, nieprzyjemna woń.

- Z dna oceanu wydobywano fragmenty wraku i przywożono tutaj, a ekipy Boeinga i NTSB kierowały rekonstrukcją - wyjaśniła cicho Kate. - Faktycznie pracę tę wykonywali ludzie, którzy zgłosili się na ochotnika: piloci, stewardesy i mechanicy. Wszyscy byli związani z lotnictwem i doskonale znali wnętrze boeinga siedemset czterdzieści siedem. - Po krótkiej pauzie dodała: - Każda część samolotu ma numer fabryczny, więc choć było to trudne, to jednak nie niemożliwe.

- Ale wymagało mnóstwa cierpliwości - zauważyłem.

- Mnóstwo poświęcenia i miłości. Około czterdziestu pasażerów było pracownikami linii TWA.

Skinąłem głową.

- Dzięki planowi miejsc mieliśmy dość dobre pojęcie, gdzie siedzieli poszczególni pasażerowie. Na tej podstawie patolodzy stworzyli komputerową bazę danych z cyfrowymi zdjęciami, a następnie dopasowali obrażenia odniesione przez każdego z pasażerów do fotela, starając się ustalić, czy zniszczenia foteli pasują do wybuchu bomby lub pocisku.

- Niesamowite.

- Tak. Nikt nie może niczego zarzucić pracy którejkolwiek z grup zaangażowanych w to przedsięwzięcie. To było coś więcej niż szczyt możliwości technicznych. To była pionierska robota, nowa karta w dziedzinie badania wypadków lotniczych. - Kate przerwała na chwilę, po czym dodała: - Na szczęście nikt nie znalazł pistoletu z dymiącą lufą, a specjaliści wykluczyli wiele możliwości, przede wszystkim stwierdzili, że na pokładzie nie było osadów po materiałach wybuchowych.

- Myślałem, że znaleźli jakiś chemiczny ślad substancji wybuchowej. Pamiętam, że wywołało to spore poruszenie.

- Znalaziono klej używany do produkcji tkanin foteli i wykładzin, podobny chemicznie do wybuchowego plastiku - sprostowała Kate. - Poza tym trafili na prawdziwe ślady materiałów wybuchowych w

kabinie pasażerskiej, ale okazało się, że miesiąc wcześniej ten samolot był wykorzystywany w St. Louis do szkolenia psów w szukaniu bomb.

- Czy to jest pewne?

- Tak. Treser psów został przesłuchany przez FBI i zeznał, że na pokładzie samolotu być może zostało trochę semteksu.

Przeszliśmy prawym korytarzem między nadpalonymi i poszarpanymi fotelami; na niektórych widniały ciemne plamy. Nie pytałem o nie. Na części foteli leżały róże i goździki.

- Niektórzy z tych, których widziałeś na mszy ku czci ofiar, przyszli tutaj rano - wyjaśniła Kate. - Chcieli być blisko ostatniego miejsca, na którym siedzieli ich bliscy... Ja też byłam za którymś razem... Ludzie siedzieli obok foteli i mówili do...

Położyłem jej rękę na ramieniu. Postaliśmy chwilę, a później ruszyliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się na środku kabiny pasażerskiej, dokładnie nad centralnym zbiornikiem paliwa, między nieistniejącymi już skrzydłami. Poszycie środkowej części kadłuba pod miejscem eksplozji było mocno zniszczone, lecz wszystkie fotele udało się odnaleźć, podobnie jak większość wykładziny.

- Jeśli przeszedł tędy pocisk z głowicą bojową lub bez niej, powinien zostać po nim jakiś ślad, a nie został - mówiła Kate. - Ani tu w kabinie, ani na poszyciu, ani w centralnym zbiorniku paliwa, ani w komorze klimatyzatorów pod zbiornikiem paliwa.

Spojrzałem na podłogę, a potem na fotele, sufit i zwisające luki bagażowe.

- Jednak wielu części brakuje.

- Tak... Ale można by się spodziewać, że pocisk, o którym mówił kapitan Spruck, zostawiłby w tej masie rzeczy jakiś ślad wlotu i wylotu. - Kate rozejrzała się powoli po zmasakrowanych szczątkach kabiny. - Ale mógł się przebić, a wszystkie ślady jego przejścia mogły ulec zniszczeniu w czasie wybuchu i późniejszego spadku z wysokości czterech kilometrów. - Popatrzyła na mnie.

Zastanowiłem się chwilę.

- I właśnie dlatego tutaj jesteśmy.

Przeszliśmy do przedniej części kabiny, do sektora pierwszej klasy,

gdzie fotele są szersze. Kadłub pękł w połowie sektora, w miejscu, gdzie zrekonstruowano wybrzuszoną kopułę samolotu. Wznosiły się tam spiralne schody otoczone strzaskanymi plastikowymi przegrodami.

Kate milczała przez chwilę, a potem podjęła:

- To był lot numer osiemset linii lotniczych TWA, samolot miał wylądować na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w Paryżu. Dziesięć minut po starcie z lotniska Kennedy'ego w odległości mniej więcej trzydziestu kilometrów od południowego wybrzeża Long Island, lecąc z prędkością około siedemset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wzniósł się na wysokość trzech tysięcy pięćset metrów. - Wzięła głęboki oddech. - Dzięki temu, że niektórzy pasażerowie byli wciąż przypasani do foteli, wiemy, że przynajmniej dwudziestu z nich zmieniło miejsca. To normalne, że w czasie nocnego lotu pasażerowie szukają wolnych rzędów z trzema fotelami, na których można się wyciągnąć.

Obejrzałem się, by spojrzeć na rzędy foteli w kabinie. Siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku tylko połowa miejsc w tym samolocie była zajęta - szczęście w nieszczęściu - pozostało więc mnóstwo rzędów z trzema wolnymi fotelami. Dzisiaj wszystkie były wolne.

- Pilot, kapitan Ralph Kevorkian, pozwolił stewardesom opuścić miejsca tuż przed eksplozją - ciągnęła Kate. - Można przypuszczać, że wszystkie zajęły się przygotowywaniem napojów. - Zerknęła na najbliższą kuchenkę. - Nurkowie znaleźli ekspres do kawy w tej sekcji z wyłącznikiem w pozycji „włączony”.

Milczałem.

- O dwudziestej dwadzieścia osiem magnetofon w kokpicie zarejestrował głos kapitana Kevorkiana, który powiedział: „Spójrzcie na ten wariujący wskaźnik przepływu paliwa na czwórce”, to znaczy na silniku numer cztery. Później powtórzył: „Widzicie, jak szaleje ten wskaźnik?”. Ani drugi pilot, ani inżynier pokładowy nie odpowiedzieli. O godzinie dwudziestej trzydzieści wieża kontrolna w Bostonie poleciła, by boeing siedemset czterdzieści siedem wzniósł się na wysokość czterech i pół tysiąca metrów; drugi pilot, kapitan Steven

Snyder, potwierdził przyjęcie rozkazu. Kapitan Kevorkian powiedział: „Zwiększyć ciąg. Wchodzimy na wysokość cztery tysiące pięćset”. Inżynier pokładowa Oliver Kricic odparł: „Moc silników ustawiona”, i to były ostatnie zarejestrowane słowa. O godzinie dwudziestej trzydzięci jeden i dwanaście sekund samolot osiągnął pułap czterech tysięcy stu dziewięćdziesięciu sześciu metrów... a potem eksplodował.

Milczałem przez chwilę, a później zapytałem:

- O co chodzi z tym wariującym licznikiem przepływu paliwa?

Kate wzruszyła ramionami.

- Nie wiadomo. Większość pilotów twierdzi, że było to chwilowe zakłócenie działania przyrządu. Ale możliwe, że urządzenie mogło sygnalizować poważną awarię mechaniczną.

Skinąłem głową.

- Pilot małej awionetki lecącej na wysokości około czterech tysięcy ośmiuset metrów zauważył boeinga siedemset czterdzieści siedem zmierzającego w jego stronę w odległości mniej więcej czterdziestu kilometrów. Powiedział, że zdawało mu się, iż boeing wciąż ma zapalone światła startowe, choć powinny zostać zgaszone na wysokości trzech tysięcy metrów. Później zauważył, że światło było większe, niż powinno, i uświadomił sobie, że znajduje się koło silnika numer dwa. Pomyślał, że być może silnik się pali. Mignął światłami, żeby ostrzec pilotów boeinga, i w tej samej chwili samolot zamienił się w kulę ognia.

- Z tej relacji można wywnioskować, że przyczyną katastrofy była awaria mechaniczna - zauważyłem.

Kate skinęła głową.

- W tym samym czasie pasażer amerykańskiego odrzutowca wojskowego wyrztał przez szybę i zobaczył coś, co wyglądało jak wznosząca się raca. Jakies dziesięć sekund później spostrzegł niewielki wybuch w okolicy, w której ostatnio widział racę, a w następnej sekundzie nastąpiła ogromna eksplozja.

- To by wskazywało na pocisk.

Kate znów skinęła głową.

- Ten pasażer był technikiem marynarki, specjalistą od wojny elektronicznej.

Przypomniałem sobie, że kapitan Spruck wspomniał o kimś takim.

- Boeinga widziało jeszcze dwóch pilotów helikoptera z Narodowej Straży Powietrznej, odbywających rutynowy lot ćwiczebny. Lecieli nad oceanem, kierując się na północ w stronę bazy na Long Island. Wydaje się, że ci dwaj znaleźli się najbliżej miejsca katastrofy, około jedenastu kilometrów. Byli o kilkaset metrów niżej niż boeing i lecieli prosto w jego stronę. Pilot twierdzi, że zobaczył smugę czerwonopomarańczowego światła, przypominającą racę, wznoszącą się od zachodu na wschód, w tę samą stronę, w którą leciał pasażerski odrzutowiec. Drugi pilot potwierdza jego relację, skontaktował się nawet przez interkom z inżynierem lotu i zapytał: „Hej, co to za pokazy pirotechniczne?”. W następnej sekundzie obaj piloci ujrzeli małą, żółtawo-białą eksplozję, po której nastąpiła druga, prawie biała... Później zobaczyli trzecią, przypominającą ogromną kulę ognia... Mamy więc trzy wybuchy, a nie dwa, które zaobserwowała większość świadków. Ale jak mówię, ci dwaj byli najbliżej, a jako doświadczeni piloci wojskowi powinni wiedzieć, co widzą.

- Czy ten śmigłowiec poleciał na miejsce katastrofy? - zapytałem.

- Tak. Przybył tam pierwszy. Piloci krążyli, ale nie dostrzegli żadnych znaków świadczących o tym, że ktoś ocalał. - Po krótkiej pauzie Kate dodała: - Później obaj odwołali pierwsze zeznanie, w którym opowiedzieli o świetlnej smudze. Potem starszy stopniem pilot po odejściu na emeryturę wrócił do pierwotnej wersji.

Skinąłem głową. Wyglądało na to, że ktoś naciskał pilotów, żeby zmienili pierwotny raport.

Kate rozejrzała się po układance, która kiedyś była boeingiem 747.

- Zatem o godzinie dwudziestej trzydziści jeden i dwanaście sekund, prawie dwanaście minut po starcie, coś wywołało eksplozję oparów paliwa w centralnym zbiorniku. Zbiornik wybuchł, a siła eksplozji oderwała kokpit i połowę sektora pierwszej klasy od kadłuba w tym miejscu. Kokpit zaczął spadać do oceanu.

Gapiałem się na ziejącą dziurę, gdzie powinien być kokpit. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Po odpadnięciu kokpitu przesunął się środek ciężkości i ogon opadł. Silniki wciąż pracowały i bezgłowy samolot wzbił się jeszcze około tysiąca metrów w górę... a następnie zaczął się przekreślać i opadać, zbiorniki w skrzydłach pękły i zapaliło się paliwo. Właśnie wtedy błysnęła ogromna kula ognia, którą zobaczyło ponad sześćset ludzi. - Kate przerwała na chwilę. - Na taką sekwencję wydarzeń wskazują głównie dowody materialne oraz niektóre wskazania satelitów i radarów. Nie jest ona jednak całkowicie zgodna z tym, co widzieli świadkowie, i niezupełnie pasuje do animacji stworzonej przez CIA.

- Co z czarną skrzynką?

- Zamarła w momencie pierwszej eksplozji, kiedy kokpit oderwał się od samolotu - odparła Kate. - Mamy trzy zbiory faktów, które nie całkiem się pokrywają. Z animacji CIA wynika, że tym, co widzieli świadkowie... smugą światła... był płonący kadłub wznoszący się po eksplozji. Jednak dowody materialne oraz obserwacje satelitarne sugerują, że samolot zaczął się palić dopiero wówczas, gdy runął w dół. CIA twierdzi też, że świadkowie wzięli strumień płonącego paliwa za wznoszącą się świetlną smugę, ale to już wygląda na przesadę. Bo co właściwie świadkowie wzięli za tę smugę? Wznoszący się płonący samolot czy spadający strumień paliwa? - Kate spojrzała na mnie. - A może ani jedno, ani drugie?

- Czasem jest zbyt wielu świadków - zauważyłem. - Killkudziesięciu ludzi widziało rabiego Meira Kahane'a strzelającego w miejscu publicznym, a gdy przesłuchali ich obrońcy, okazało się, że nie było dwóch osób, które widziały to samo. Skołowani przysięgli odrzucili oskarżenie o morderstwo. Podobnie było w sprawie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego.

Kate pomyślała przez chwilę.

- Ty lubisz dowody materialne - powiedziała. - Podobają ci się te, które przytoczył Sidney?

- Dowody materialne są najlepsze, ale muszą pasować do innych faktów.

Ruszyliśmy lewym korytarzem w stronę ogona samolotu. Zszedłem po drewnianych schodach, pragnąc wydostać się z wraku, który był nie tylko przerażający, ale i niewiarygodnie smutny.

Po chwili wyszliśmy z hangaru i znaleźliśmy się w chłodnym wieczornym powietrzu; od razu poczułem się lepiej. Wsiadłem do jeepa, Kate zajęła miejsce obok. Włączyłem silnik, zapaliłem światła i zacząłem cofać do bramy.

- Co CIA miała wspólnego z tą sprawą? - zapytałem.
 - Z początku, kiedy hipoteza o bombie lub pocisku była na ustach wszystkich, agenci szukali zagranicznych terrorystów.
 - Zagraniczni terroryści, jeśli znajdują się na terenie Stanów Zjednoczonych, podpadają pod FBI - zauważyłem.
 - Słusznie. Ale jak wiesz, w naszej organizacji są członkowie CIA. Pamiętasz Teda Nasha.
 - Jakżebym mógł zapomnieć. Pamiętam też, że kilka razy poszłaś z nim na kolację.
 - Raz.
 - Mniejsza z tym. Dlaczego Ted przesłuchiwał kapitana Sprucka?
 - Nie wiem. To było trochę nietypowe.
 - Co Ted ci o tym powiedział w czasie kolacji?
 - John, nie czepiaj się obsesyjnie mojej jedynej randki z Tedem Nashem. Nigdy nie istniało między nami nic romantycznego.
 - Nie obchodzi mnie to, nawet jeśli istniało. On nie żyje.
 - Kiedy FBI i NTSB uznały, że do katastrofy doszło przypadkowo, CIA powinna zniknąć z pola widzenia - podjęła Kate, wracając do tematu. - Ale nie zniknęła, i to właśnie agencja stworzyła animację wyemitowaną w telewizji. - Po chwili dodała: - Nieoficjalnie mówiło się, że FBI nie chce być kojarzone z tą animacją.
 - Dlaczego?
 - Pewnie dlatego, że było w niej za dużo spekulacji. Raczej budziła wątpliwości, niż je rozwiewała. Rozwścieczyła też wielu świadków, którzy stwierdzili, że w niczym nie przypominała tego, co widzieli. Od nowa narobiła zamętu.
- Przejechaliśmy przez bramę i Kate skierowała mnie w stronę trasy do Long Island.
- Po rozmowie ze Spruckiem chcę jeszcze raz obejrzieć tę animację - oznajmiłem.
 - Mam ją nagraną.
 - To dobrze. - Zastanowiłem się przez chwilę. - Tak naprawdę

szukamy tej pary, która była wtedy na plaży. Modlimy się do Boga, że sfilmowali się podczas jakichś niegrzecznych figli i że ta kasetka wciąż istnieje. I że za ich gołymi tyłkami zobaczymy, co się stało z boeingiem.

- Chyba tylko to mogłoby doprowadzić do wznowienia śledztwa wbrew sprzecznym dowodom. Taki sam skutek miałyby wiarogodne przyznanie się jakiejś organizacji do zestrzelenia tego samolotu.

- Czy nie było tak, że kilka grup terrorystycznych z Bliskiego Wschodu przypisało sobie tę katastrofę?

- Dyżurni podejrzani - mruknęła Kate. - Ale żadna z tych grup nie miała dokładnych informacji, które uwiarygodniłyby te twierdzenia. Ci ludzie nawet nie znali dobrze informacji powszechnie dostępnych. W zasadzie nie zgłosił się nikt wiarogodny. To wzmacnia nieco końcowy wniosek raportu, że przyczyną katastrofy była awaria mechaniczna. Z drugiej strony istnieją nowe organizacje, które nie przypisują sobie ataków. Chodzi im tylko o to, by siać śmierć i zniszczenie. Tak jak bin Laden i jego Al-Kaida.

- To prawda. - Pomyślałem o dwojgu kochanków na plaży. - Dlaczego nie udało ci się znaleźć Romea i Julii?

- Nie kazano mi ich szukać.

- Powiedziałaś, że znasz nazwę hotelu, w którym być może się zatrzymali.

- Tak. - Kate milczała przez chwilę. - Prawdę mówiąc, nie brałam bezpośredniego udziału w tej części śledztwa. Przypadkowo zauważyłam raport miejscowego policjanta i z własnej inicjatywy wykonałam kilka telefonów. Później bardzo szybko kazano mi się zwijać.

- Rozumiem... Więc nie wiesz, co było dalej z tym wątkiem?

- Nie wiem.

Nie wierzę w teorie spiskowe, zwłaszcza jeśli chodzi o urzędników i wojskowych, którzy nie umieją się zgodzić w żadnej sprawie, że nie wspomnę o utrzymaniu czegoś w tajemnicy. Nie zrobią też niczego, co mogłoby zagrozić ich posadom i pensjom.

Jedynym wyjątkiem jest CIA, która żyje i oddycha krętactwem, spiskami i zagrywkami na granicy prawa. Za to im płacą.

Mimo moich oporów wobec FBI musiałem przyznać, że ta drużyna gra ostro, lecz nie podstępnie, a jej członkowie są dobrymi obywatelami i przestrzegają prawa, tak jak moja kochająca małżonka, która była na skraju załamania nerwowego, gdyż przekroczyła niewidzialną granicę.

- Jeśli się tym zajmiemy, nie minie wiele czasu i się do nas dobiorą - powiedziała Kate jakby do siebie.

Nie skomentowałem tego.

- Do domu?

- Do domu.

Wjechałem na pas Long Island Expressway prowadzący na zachód i ruszyłem w stronę Manhattanu. Było późno, autostradą sunęło niewiele samochodów. Przemknąłem na skrajny pas i docisnąłem pedał gazu, przekraczając dozwoloną prędkość.

Kiedyś to ja śledziłem innych, lecz mój świat się zmienił, zerknąłem więc w lusterka, a potem nagle przeciąłem dwa pasy ruchu i odbiłem na następnym zjeździe.

Nikt za nami nie pojechał.

Przez jakiś czas jechałem drogą serwisową, a później wróciłem na autostradę.

Kate nie skomentowała moich zwodniczych manewrów.

- Może powinniśmy zrezygnować.

Nie odpowiedziałem.

- Jak sądzisz? - spytała.

- A co będę z tego miał?

- Jedynie kłopoty.

- To bardzo przekonujący argument.

Rozdział 11

Przez jakiś czas jechaliśmy w ciszy, którą przerwała Kate.

- Jeśli chodzi o Sidneya Sibena, to pomyślałam, że powinieneś usłyszeć oficjalną wersję z samego źródła.

- Doceniam twoje poczucie fair play. Co chcesz, żebym teraz zrobił?

- Prześpij się z tym.

- Teraz?

- Nie. Teraz prowadzisz, a ja sobie pośpię. - Odchyliła fotel, zrzuciła buty i zamknęła oczy. Kobiety potrafią zasnąć w ciągu dziesięciu sekund i tak właśnie zrobiła Kate.

Kilka minut później minąłem zjazd do Laboratorium Narodowego Brookhaven.

- Słuchaj, wspomniałaś o siedmiu hipotezach. Jakie one są?

- Hm...?

- Obudź się, dotrzy muj mi towarzystwa. Jakie są te hipotezy?

Kate ziewnęła.

- Pierwsza mówi o ostrzeleniu przez swoich... tego wieczoru odbywały się ćwiczenia na morzu i w powietrzu... Podobno wystrzelono ćwiczebny cel, a później rakietę, która miała w niego trafić... rakietą chybiła i przypadkowo nakierowała się na pasażerskiego boeinga... Albo sam ćwiczebny cel uderzył w samolot... mało prawdopodobne. Zbyt wielu świadków na pokładach okrętów.

- Okay. Hipoteza numer dwa.

- Bardzo proszę. Scenariusz impulsu elektromagnetycznego... Podczas ćwiczeń wojskowych wywoływane jest potężne pole magnetyczne, które teoretycznie może osiągnąć samolotu... Ale to nie tłumaczyłoby obecności świetlnej smugi.

- Numer trzy.

- Numer trzy. Hipoteza obcego okrętu podwodnego, z którego wystrzelono pocisk woda-powietrze.

- Jaką wadę ma ta hipoteza?

- Wróć do hipotezy numer jeden. Ćwiczenia wojskowe na tym obszarze, z udziałem okrętów podwodnych... obcy okręt nie mógłby pływać niezauważony.

- A nasz okręt?

- To część hipotezy numer jeden. Hipoteza numer cztery. Meteoryt lub kawałek kosmicznego śmiecia. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Przy której hipotezie jesteście?

- Numer pięć.

- Numer pięć. Bąbel metanu. Naturalnie występujący, niewidzialny gaz wydobył się z dna oceanu, wzniósł wysoko w powietrze i zapalił od silników boeinga. Wydumane i niezgodne z dowodami. Hipoteza numer sześć, z plazmowym promieniem śmierci. Laboratorium Narodowe w Brookhaven. Hipoteza tak nedorzeczna, że coś w niej może być. Ale Brookhaven zaprzecza.

- Siedem.

- Siedem. Kłapa luku towarowego samolotu... część dowodów wskazuje na to, że odpadła przed eksplozją i mogła spowodować nagłą dekompresję, która zapoczątkowała łańcuch zdarzeń zakończony wybuchem. Ale najbardziej prawdopodobne jest, że wybuch nastąpił wcześniej. Dobranoc.

- Zaczekaj. A hipoteza pocisku wystrzelonego przez terrorystów?

- Ta należy do odrębnej kategorii.

- Okay. Ale mnie nie daje spokoju to, co powiedział twój kumpel Sidney. Dlaczego terroryści mieliby zestrzeliwać samolot tak daleko od lotniska? I dlaczego władze chciałyby tuszować atak terrorystyczny? Atak terrorystyczny z morza uwalnia wszystkich od podejrzeń i pozwala zaoszczędzić miliony z odszkodowań, że nie wspomnę o milionach zaoszczędzonych na powtórnym opracowaniu konstrukcji

centralnego zbiornika paliwa. Cholera, gdyby istniał jakiś rządowy spis, to powinien polegać na sfabrykowaniu ataku terrorystycznego, a nie przekonywaniu wszystkich, że do katastrofy doszło z powodu awarii mechanicznej. Chyba że władze nie chciały dopuścić do wybuchu paniki i przyznać się do grubej wpadki wywiadowczej. Tu właśnie na arenę wkracza CIA i... - Zerknąłem na Kate. - Halo?

Kate chrapała.

Zostałem więc ze swoimi myślami, a te wpadły w tryb pracy z dopalaczem.

Nacisnąłem guzik z napisem „pauza”, a później „przewijanie” i wróciłem do mszy rocznicowej i spotkania z Liamem Griffithem. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że wypuszczenie mnie na Griffitha po to, by wzbudzić moje zainteresowanie sprawą, przekraczało możliwości Kate. Ale z drugiej strony może było tak, że: facet z FBI zakomunikował mi, że bym nie próbował węszyć, i mówił serio.

Spojrzałem na Kate, która wyglądała we śnie jak aniołek. Moja najdroższa nie manipulowałaby kochającym mężem. Prawda?

Scena druga. Park Cupsogue Beach County, zmierzch. Dwoje ludzi na plaży.

Czy zobaczyli i sfilmowali smugę światła i wybuch? Zastanawiałem się, czy nie zostali przez nikogo zlokalizowani.

A może zostali.

Scena trzecia. Posterunek straży wybrzeża w Moriches. Kapitan Tom Spruck, wiarygodny i pewny swego świadek.

Jego słów nie mogłem wyrzucić z pamięci. Facet był jednym z około dwustu mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy pojedynczo lub w grupach z różnych miejsc widzieli to samo. *W tę stronę jest góra. Zgadza się?*

I wreszcie scena czwarta. Hangar lotniczy w Calverton. Pan Sidney R. Siben, inżynier z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Uczciwy i niewzruszony biegły. Czy aby na pewno? Schodząc teatralnie ze sceny, pan Sidney Siben wyraził pewne wątpliwości. *Złudzenie optyczne. Otóż to. Nie, to nie jest to, do jasnej cholery.*

Co jest grane?

W mojej głowie samorzutnie pojawił się obraz zrekonstruowanego boeinga 747. Myślami przeniosłem się do wnętrza kadłuba i przeszedłem korytarzami po sztukowanej wykładzinie, między pustymi fotelami. „Zmarli mówią do nas”, powiadają patolodzy.

Rzeczywiście mówią i w pewnym sensie mogą przedstawić swoje zeznanie w czasie przesłuchania lub procesu.

Samolot zdradził większość swych tajemnic. To samo uczyniły znalezione ciała ofiar. Złożyli zeznania naoczni świadkowie. Przemówili biegli. Sęk w tym, że nie wszyscy mówili to samo.

Przypomniałem sobie, że niejedna kariera i reputacja legła w gruzach lub została skompromitowana przy okazji tej sprawy. Nie chciałem dodawać do tej listy kariery Kate i mojej.

Spojrzałem na żonę. Byliśmy małżeństwem od roku, a ta sprawa nigdy wcześniej nie wypłynęła w naszych rozmowach, choć właśnie sobie przypomniałem, że w zeszłym roku w lipcu Kate pojechała na mszę beze mnie. Ciekawe, dlaczego czekała aż do tej rocznicy, żeby mnie wtajemniczyć. Może przechodziłem okres próbny, a może pojawiło się coś nowego. Tak czy inaczej wyjawiała mi, że istnieje jakaś grupa ludzi, którzy nie dali za wygraną po zakończeniu śledztwa.

Ta sprawa zawsze była niebezpieczna dla każdego, kto się do niej zbliżył. Była plazmowym promieniem śmierci, bąblem wybuchowego gazu, pociskiem widmem, bratobójczym ostrzałem, impulsem elektromagnetycznym, śmiertcioną mieszanką paliwa i powietrza, złudzeniem optycznym.

Instynkt podpowiadał mi, że dla własnego dobra i dla dobra mojej żony powinienem zapomnieć o wszystkim, co dzisiaj zobaczyłem i usłyszałem. Ale nie chodziło o Kate i o mnie ani nikogo innego, z rządu lub spoza niego.

Chodziło o nich. Tych dwustu trzydziestu ludzi. O ich rodziny i bliskich, o ludzi, którzy kładli róże na fotelach samolotu, którzy zapalali świece, brodzili w morzu i rzucali kwiaty na fale. I o tych, którzy nie przyszli dzisiaj na mszę, tylko zostali w domach i płakali.

Rozdział 12

Dom. Mieszkam w wieżowcu przy Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej, między Drugą a Trzecią Aleją. Moje mieszkanie jest na trzydziestym czwartym piętrze. Z balkonu, na którym właśnie stoję o drugiej w nocy, ze szklanką szkockiej w dłoni, patrzę na południe i obejmuję wzrokiem całą długość wyspy Manhattan.

Między wieżowcami śródmieścia widzę Bowery i kawałek Lower East Side, gdzie wychowałem się przy ulicy Henry Street, w pobliżu osiedli mieszkaniowych.

Za chińską dzielnicą można dostrzec sądy, więzienia i posterunek policji, w której kiedyś pracowałem, oraz siedzibę FBI, w której pracuję obecnie.

Na tym terenie spędziłem większą część mojego życia: tam mały Johnny Corey bawił się na złych ulicach Lower East Side, a świeżo upieczony gliniarz John Corey patrolował okolice Bowery. Tam John Corey został detektywem w wydziale zabójstw, a wreszcie kontraktowym agentem sił antyterrorystycznych.

A teraz John Corey, rok po drugim ożenku, zajmuje mieszkanie pierwszej żony Robin mieszkającej obecnie ze swoim szefem, palantem zarabiającym masę forsy za obronę przed sądem szumowin, które się obłowiły.

Na drugim koniuszku Manhattanu wyrastały wieżowce Wall Street niczym stalagmity w podziemnej sadzawce. Z prawej strony na wysokość niemal pół kilometra wznosiły się bliźniacze wieże World Trade Center.

Dwudziestego szóstego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku około południa bliskowschodni terroryści wieżdżając załadowaną materiałami wybuchowymi półciężarówką do podziemnego garażu Wieży Północnej, zostawiają samochód i wychodzą. O godzinie dwunastej osiemnaście samochód eksploduje, zabijając sześciu ludzi i raniąc tysiąc. Gdyby wieżowiec się zawalił, liczba ofiar poszłaby w tysiące. To był pierwszy atak dokonany przez terrorystów na amerykańskiej ziemi. Był to też dzwonek alarmowy, ale nikt go nie słuchał.

Wszedłem do saloniku.

Wystrój tego wnętrza przypomina hol hotelu w Palm Beach, całość w różach i zieleniach, z motywami muszli i dywanikami w abstrakcyjne bazyliki.

Kate powtarza, że wszystko jest na sprzedaż, gdy tylko nadarzy się okazja. Nie jest na sprzedaż jedyna rzecz, którą ja kupiłem: szeszlony z brązowej skóry o nazwie La-Z-Boy. Przepiękny mebel.

Nalałem sobie drugą szkołkę i nacisnąłem guzik „play” na wideo.

Usadowiłem się wygodnie na leżance i spojrzałem na telewizor.

Ekran wypełnił się płataniną obrazów, którym towarzyszyła źle dobrana muzyka. Kate powiedziała, że jest to godzinne nagranie stworzone przez grupę wyznawców teorii spiskowej, forsującą hipotezę ataku raketowego. Upредиła mnie, że nagranie zawiera też animację sporządzoną przez CIA.

W wycinku wiadomości stacji telewizyjnej były szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu oznajmił, że jest wydarzeniem bez precedensu, by FBI sprawowało pieczę nad dochodzeniem. Dodał, że Kongres udzielił NTSB jednoznacznego pełnomocnictwa do badania wypadków lotniczych.

Kluczowym słowem, którego zabrakło w słowniku tępego dziennikarza wiadomości, było słowo „wypadek”. Najwyraźniej niektórzy ludzie w rządzie uważali, że była to zbrodnia. Właśnie dlatego to FBI, a nie NTSB zajęło się prowadzeniem śledztwa i rekonstrukcją samolotu.

Następnie jakiś specjalista stwierdził, że pusty centralny zbiornik paliwa nie mógł spowodować takiego wybuchu, gdyż zawierał zaledwie „odrobinę paliwa”.

Tymczasem Siben powiedział mi, że w baku mogło być dwieście litrów paliwa niezassanego przez pompę przepłukującą. Tak czy inaczej to lotne opary, a nie samo paliwo, wywołały pierwszą eksplozję.

Zatem na samym początku nagrania pojawiły się błędy lub przeinaczone fakty.

Przysłuchiwałem się uważnie, gdy jacyś ludzie o bliżej nieokreślonej tożsamości opowiadali posepnie o zniknięciu niektórych części samolotu z hangaru w Calverton, o fotelach wydobytych z dna morza, których nigdy więcej nie widziano, o fragmentach aluminium, które wbijano na miejsce w czasie rekonstrukcji, zmieniając w ten sposób dowody wpływające na ustalenie rodzaju eksplozji.

Pojawiły się wzmianki o należącem do linii El Al boeingu 747, który wystartował tuż po samolocie TWA, i o raportach z laboratoriów zawierających informacje o śladach materiałów wybuchowych, paliwa raketowego oraz o zabłąkanych pociskach woda-powietrze. Ktoś napomknął o liście z niejasno sformułowaną groźbą ze strony bliskowschodniej organizacji terrorystycznej, odebranych kilka godzin przed katastrofą samolotu TWA. Pojawiło się też mnóstwo spekulacji o zmienionych lub pominiętych dowodach.

Ten tak zwany dokument zawierał kilka interesujących informacji, lecz nie wszystkie do siebie pasowały. Tak jakby wrzucono do jednego worka mnóstwo przedmiotów, by przekonać się, co wystaje. Albo, jeśli przyjąć bardziej tolerancyjny punkt widzenia, nadawano tę samą wagę wszystkim hipotezom z wyjątkiem oficjalnej, mówiącej o awarii mechanicznej.

Na taśmie znalazło się szczegółowe omówienie ćwiczeń wojskowych przeprowadzonych wieczorem siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku koło wybrzeża Long Island, oznaczonych kryptonimem W-105. Myślałem, że twórcy nagrania wysnują wniosek, że boeinga TWA trafiła zabłąkana rakietą wystrzelona przez Amerykanów. Lecz emerytowany żołnierz powiedział coś, co bardzo przypominało słowa kapitana Sprucka: „Nie ma możliwości, by wypadek tych rozmiarów mógł zostać zatuszowany przez setki, a nawet tysiące wojskowych”. Zacząłem się zastanawiać, czemu te ćwiczenia odgrywają taką rolę w teoriach spiskowych.

Podejrzewam, że gdy rząd coś tuszuje, jest to zawsze coś bardziej fascynującego niż rządowe wpadki.

Na kasecie znalazła się jedna prowokacyjna informacja: że na obszarze, gdzie doszło do katastrofy, radary namierzyły wszystkie jednostki, które w czasie późniejszego śledztwa zidentyfikowano... oprócz jednej. Natychmiast po eksplozji z miejsca katastrofy z dużą szybkością odpłynęła łódź i nikt - ani marynarka, ani FBI, ani straż wybrzeża, ani CIA - jej nie zidentyfikował ani nie odnalazł. Jeśli to prawda, to przypuszczalnie właśnie z tej łodzi wystrzelono pocisk, jeśli w ogóle jakiś pocisk został wystrzelony.

Realizatorzy filmu pokazali następnie trzy kolorowe zdjęcia zrobione przez osoby fotografujące tego wieczoru znajomych. Mimo woli sfotografowali przy okazji coś, co wyglądało na wieczornym niebie jak smuga światła. Narrator dywagował, że mogły to być spaliny wznoszącej się rakiety lub pocisku.

Jednak kłopot ze zdjęciami, zwłaszcza zrobionymi przypadkowo, polega na tym, że niczego nie dowodzą.

Natomiast film lub nagranie wideo to inna sprawa. Znów przypomniałem sobie o dwojgu ludzi na plaży.

Najbardziej przekonującym elementem filmu było oryginalne nagranie zeznań sześciu świadków.

Z niektórymi rozmawiano w miejscach, gdzie podobno stali w czasie, gdy zobaczyli wznoszącą się świetlną smugę, mogli więc wskazywać rękami i nimi poruszać. Wszyscy sprawiali wrażenie rzetelnych, a to, co mówili, wydawało się wiarygodne. Kilkoro się załamało, jedna kobieta zaczęła płakać.

Wszyscy opisali mniej więcej to samo z drobnymi różnicami: patrzyli akurat na morze, gdy zobaczyli smugę ognistego światła wznoszącą się nad oceanem, nabierającą prędkości i eksplodującą. Później ukazała się ognista kula, która następnie runęła do morza.

Przyszedeł czas na animację produkcji CIA. Odstawiłem szklanke ze szkocką i uważnie oglądałem animowane obrazy. Narratorem był mężczyzna, którego głos irytował mnie nie mniej niż pedantycznie napisany tekst.

Najpierw pokazano wewnątrz pustego zbiornika z resztką paliwa na dnie między przegrodami. Narrator wspomniał o łatwopalnych

oparach, gdzieś w zbiorniku ukazała się iskra i nastąpiła eksplozja.

Wybuch powietrza oparowego rozerwał lewą stronę zbiornika i zapalił paliwo w zbiorniku lewego skrzydła, wywołując potężną eksplozję pokazaną jak wielkie bum! w kreskówkach.

Narrator wyjaśnił, że eksplozja spowodowała wstrząs, który sprawił, że sektor dziobowy samolotu oderwał się od kadłuba i runął do morza.

Później autorzy animacji zrobili coś, co można nazwać „przedobrzeniem”: narrator, komentując obrazy pokazane na animacji, zaczął tłumaczyć, co świadkowie naprawdę widzieli. Nie wspomniał przy tym, że owych świadków było ponad dwustu.

Jeśli dobrze zrozumiałem animację i komentarz, spece z CIA twierdzili, że dwustu świadków nie zauważyło momentu wybuchu - ich uwagę zwrócił dopiero jego odgłos, który dotarł do nich trzydzieści lub czterdzieści sekund później. Wtedy podnieśli wzrok i zobaczyli dwie rzeczy: samolot w płomieniach, który wznosił się, nim runął do morza, oraz - a może lub - strumień płonącego paliwa, którego obraz być może odbijał się w spokojnej wodzie. Innymi słowy wszyscy, którzy widzieli katastrofę, odwrócili w myślach kolejność zdarzeń.

Później na ekranie znów ukazali się świadkowie. Pierwszy mężczyzna zapytał: „Jak samolot wznoszący się z wysokości czterech tysięcy metrów na wysokość pięciu tysięcy metrów może wyglądać jak szybko lecący pocisk unoszący się znad wody?”

Były funkcjonariusz Narodowej Straży Powietrznej stwierdził: „Smuga, którą widziałem, pokonała cztery kilometry w ciągu trzech, może czterech lub pięciu sekund. Poruszała się z prędkością nadźwiękową”.

Mężczyzna, którego widziałem trzy dni wcześniej w czasie konferencji FIRO, udzielał wywiadu przed swoim domem na Long Island. Widział katastrofę, stojąc właśnie w tym miejscu. „Animacja pokazuje coś zupełnie innego, niż widziałem. Nawet tego nie przypomina”, oznajmił.

Kobieta stojąca na moście, z którego obserwowała katastrofę, powiedziała: „Rzeczywiście widziałam płonące paliwo, ale dopiero po tym, jak zobaczyłam wznoszącą się świetlną smugę”.

Znów zabrzmiały mi w uszach słowa kapitana Sprucka: *W tą stronę jest góra. Zgadza się?*

Zatrzymałem taśmę, wyciągnąłem się na leżance i zamyśliłem.

Animacja CIA budziła więcej wątpliwości, niż ich rozwiewała, przeczyła logice i temu, co widzieli ludzie. Czasem im mniej się mówi i pokazuje, tym lepiej. Może wbrew zeznaniom świadków kupiłbym wnioszek o awarii mechanicznej, gdyby nie ten naciągnięty twór CIA.

Nacisnąłem guzik „play”.

Weszła Kate ubrana w kuse body.

- Chodź do łóżka, John.
- Nie jestem zmęczony.

Przysunęła sobie podnózek, usiadła i wzięła mnie za rękę. Ostatnich kilka minut filmu obejrzelśmy razem.

Wnioski z tego pseudodokumentu nie były jasne. Film kończył się pytaniami i nie wykluczał dalszego ciągu.

Wyłączyłem magnetowid. Siedzieliśmy w ciemnym, cichym pokoju, wysoko nad ulicami Nowego Jorku.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Kate.

- Myślę, że ten materiał jest w czterdziestu procentach niedokładny, a w czterdziestu procentach zmanipulowany. Tak jak filmy Olivera Stone'a.

- A reszta?

- W sam raz tyle prawdy, żeby dać do myślenia. Co z tą tajemniczą łodzią?

- To prawdziwa informacja - odparła Kate. - Kilka niepodważalnych odczytów radarów pokazuje łódź oddalającą się od miejsca katastrofy z prędkością trzydziestu węzłów, tuż po eksplozji. - Kate zrobiła pauzę i mówiła dalej: - Większość prywatnych łodzi w tej okolicy popłynęła w stronę samolotu, żeby ewentualnie udzielić komuś pomocy. Jednostki marynarki pozostały na miejscu, dopóki nie otrzymały rozkazu popłynięcia w tamtą stronę. Straż wybrzeża i FBI publicznie wezwały wszystkich, którzy pływali łodziami w tamtej okolicy, żeby się zgłosili i opisali, co widzieli. Wszyscy się zastosowali z wyjątkiem tej łodzi, którą nazwano „łodzią-trzydzieści węzłów”.

- Czyli to z tej łodzi przypuszczalnie wystrzelono pocisk.

- Tak zakłada hipoteza.
- Może ci, którzy w niej płynęli, zabawiali się tak samo jak ci na plaży i dlatego czmychnęli stamtąd pełną parą. Jestem pewien, że w taki letni wieczór przebywało tam mnóstwo kobiet i mężczyzn, którzy nie powinni ze sobą przebywać.

- Uważasz, że jedynym pociskiem kierującym się na źródło ciepła na tej łodzi był pocisk między nogami jakiegoś faceta.

- Mógłbym tak to ująć.

Kate się uśmiechnęła.

- Nie jesteś pierwszym, któremu przysłała do głowy ta myśl. A co sądzisz o animacji CIA?

- Wydaje mi się, że coś tam nie pasuje.

Kate skinęła głową.

- Nie wszyscy świadkowie opisali dokładnie to samo. Niektórzy widzieli dwie świetlne smugi. Wielu mówiło, że smuga wzniosła się wyżej niż samolot, a potem spadła łukiem i uderzyła w boeinga z góry. Inni mówią, że smuga uniosła się wprost z wody i trafiła samolot od spodu. Większość świadków opisuje dwie eksplozje: początkową, mniejszą, i ogromną, która nastąpiła zaraz potem. Ale inni mówią o trzech. Niektórzy twierdzą, że widzieli, jak sektor dziobowy odpada od samolotu, ale większość tego nie widziała. Niektórzy mówią, że po eksplozji samolot jakby stanął w powietrzu, a zdaniem innych - nie. Część widziała, że płonący samolot po eksplozji się wzniósł, co potwierdzają odczyty radarów, większość opisuje, że runął prosto do oceanu, część natomiast mówi o spadaniu z koziółkowaniem przez skrzydło. Innymi słowy nie wszyscy świadkowie są zgodni co do szczegółów.

- Właśnie dlatego nie rozumiem, jak CIA mogła stworzyć animację na podstawie tak sprzecznych zeznań. Żeby dać świadectwo tylu różnym opisom, potrzeba co najmniej kilkunastu animacji.

- Myślę, że specjaliści z CIA wyszli z jednego założenia: oficjalnego raportu, w którym nie było mowy o pocisku - odparła Kate. - Następnie przedstawili wizualnie katastrofę zgodnie z wnioskami raportu, tak jak zdaniem niektórych ekspertów od awiacji powinna lub mogła ona wyglądać. Opisy świadków były dla CIA nieistotne. Oni oznajmili po prostu: „Właśnie to widzieliście”.

- Otóż to. Ktoś w tym filmie mówi, że nigdy nie wezwano naocznych świadków na oficjalne, publiczne przesłuchania. Czy to prawda?

Tak. Powiem ci coś jeszcze. FBI nie przeprowadziło zbyt wielu powtórnych przesłuchań świadków. Dziesiątki ludzi dzwoniły do nas, prosząc o ponowne przesłuchanie. Wielu z nich poczuło się sfrustrowanych i zaczęło publicznie dawać temu wyraz, lecz szybko odkryły, że media straciły zainteresowanie sprawą po tym, jak władze ogłosiły, iż przyczyną katastrofy była awaria mechaniczna. - Po chwili namysłu Kate dodała: - Nigdy w ciągu wielu lat mojej służby nie widziałam, żeby tylu wiarygodnych świadków zostało potraktowanych tak nieufnie.

- Im więcej świadków, tym więcej wersji - przypomniałem jej po krótkim zastanowieniu. - Wreszcie dochodzi do tego, że zeznania nawzajem się znoszą. Wolałbym mieć jednego, może dwóch dobrych świadków zamiast dwustu.

- Pokazałam ci jednego.

- Faktycznie. Ale ludzie widzą to, na co są psychicznie nastawieni. Powiem ci, co się działo latem dziewięćdziesiątego szóstego roku. Trzy tygodnie przed katastrofą boeinga siedemset czterdzieści siedem dokonano zamachu bombowego na amerykańską bazę wojskową Khobar Towers w Arabii Saudyjskiej. FBI postawiono w stan alarmu na czas igrzysk olimpijskich w Atlancie, a w mediach pełno było artykułów o potencjalnych atakach ze strony Irakijczyków i wielu ugrupowań terrorystycznych. Kiedy więc runął samolot TWA, o czym pomyślałaś przede wszystkim? Ja, że to atak terrorystyczny. A wtedy nawet się jeszcze nie znaliśmy.

- Myśleliśmy o tym, co ponad dwustu ludzi zobaczyło na własne oczy - zauważyła Kate. - To nie było zbiorowa halucynacja.

- Słusznie. Ale mogło to być złudzenie optyczne.

- John, przesłuchałam kilkunastu świadków, a moi koledzy przesłuchali jeszcze dwustu. Tak wielu ludzi nie może ulec temu samemu złudzeniu optycznemu.

Ziewnąłem.

- Dziękuję za ciekawy dzionek. Jest późno i czuję się zmęczony.

Kate wstała i przesunęła palcami po moich włosach.

- Nie pozwól mi zasnąć jeszcze przez jakiś czas.

Poczułem nagły przypływ energii, zerwałem się z leżanki i pomknąłem do sypialni.

Kochaliśmy się z odrobiną szaleństwa jak ludzie, którzy są wyczerpani psychicznie i próbują wyrzucić z siebie energię po ciężkim i frustrującym dniu. Przynajmniej nad tym mieliśmy kontrolę, tylko temu mogliśmy zapewnić szczęśliwe zakończenie.

Rozdział 13

Rano usiedliśmy w kuchni, piliśmy kawę i czytaliśmy gazety. Ja w obszarpanym szlafroku, a Kate wciąż w seksownej koszuli nocnej. Przez okna wpadło jasne słoneczne światło.

Kiedy Robin się wprowadziła, odwołałem prenumeratę „Timesa” i zapisałem się na „Post”, bo jest w nim akurat tyle informacji, ile mi potrzeba. Lecz gdy wprowadziła się Kate, „Times” znowu się pojawił.

Popijałem kawę i czytałem w „Timesie” relację z mszy, w której wczoraj uczestniczyliśmy. Artykuł zaczynał się tak: „Pięć lat po tym, jak samolot linii Trans World Airlines spadł z nieba deszczem płonących szczątków, które wylądowały niedaleko stąd w oceanie, krewni niektórych spośród dwustu trzydziestu ofiar katastrofy odbyli doroczną pielgrzymkę na wschodni kraniec Long Island, by modlić się i wspominać.

Przybyli tam, żeby znaleźć się blisko ostatniego miejsca, w którym ich przyjaciele i bliscy byli wśród żywych. Przybyli, by wsłuchiwać się w zielone fale obmywające plażę. Przybyli, by zobaczyć czerwono-białą budynek straży wybrzeża w East Moriches, do którego zwożono ciała ofiar”.

Relację czytało się jak pełną udreki, „purpurową” prozę. „Pierwszej mszy, odprawionej kilka dni po tej wstrząsającej katastrofie, w niepewności, czy spowodowała ją awaria mechaniczna, czy bomba, towarzyszyła atmosfera otepiającej ciszy... Wielu obecnych zdobyło się tylko na to, by wejść do wody i wrzucić do niej kwiat”.

Nieco dalej przeczytałem: „Muszą nawet radzić sobie z pomyłkami”, opowiada Frank Lombardi, człowiek pomagający rodzinom ofiar. „W ostatnich dniach dzwonił do nich mężczyzna twierdzący, że zna tożsamość terrorysty, który zestrzelił samolot. Powiedział, że jeśli przekażą mu trzysta tysięcy dolarów w gotówce, zdradzi im, kto nim był. «Chyba można powiedzieć, że to wybryk pomyłeńca - mówi pan Lombardi. - To nie do wiary, że ktoś może w ten sposób grać na ludzkich uczuciach». (Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu stwierdziła w raporcie, że katastrofę spowodowała eksplozja w zbiorniku paliwa, prawdopodobnie wywołana spięciem elektrycznym)”.

Skończyłem czytać i podałem gazetę Kate, która przeczytała artykuł w milczeniu. Potem podniosła głowę.

- Czasem wydaje mi się, że jestem jednym z pomyłeńców mających dobre intencje.

- À propos, jak nazywał się ten hotel, w którym być może zatrzymało się tamtych dwoje z kamerą? - spytałem.

- Wszystko, co zobaczyłeś i usłyszałeś wczoraj, było albo podane do publicznej wiadomości, albo jak w przypadku zeznania kapitana Sprucka, dostępne na mocy Ustawy o wolności informacji. Nazwa hotelu oficjalnie nie istnieje.

- A gdyby istniała, to jak by brzmiała?

- Hotel Bayview w Westhampton Beach.

- Co znalazłaś w tym hotelu?

- Tak, jak ci wcześniej powiedziałam, nie dotarłam do niego. To nie była moja sprawa.

- To skąd znasz nazwę hotelu?

- Wzięłam na siebie zadanie dzwonienia do okolicznych hoteli oraz moteli i dowiadywanie się o zaginiony koc. Wielu spośród tych, z którymi rozmawiałam, powiedziało, że byli już tam agenci FBI i pokazywali ten koc. Pewien mężczyzna z hotelu Bayview powiedział, że zginął mu koc i może to być ten, który agenci mu pokazują, ale nie jest pewien.

Skinąłem głową.

- I na tym się urywa trop?

- Ten mężczyzna z Bayview powiedział, że agenci przejrzeni jego karty rejestracyjne, paragony wpłat kartami kredytowymi oraz komputer, a później przesłuchiwali pracowników. Zapewnił mnie, że zgodnie z poleceniem nie piśnie o tym nikomu ani słowa. Później

zapytał, czy znaleźliśmy już tych, którzy wystrzelili pocisk.

- Jeszcze nie. Jak się nazywał ten mężczyzna?

- Leslie Rosenthal. Menedżer hotelu Bayview.

- Czemu nie poszłaś tym tropem?

- No cóż, czasem zdarza się, że coś ugryziesz, a to też zaczyna kąsać. Pan Rosenthal lub ktoś z jego personelu, z kim rozmawiałam, zadzwonił do agenta FBI, który się z nim kontaktował, albo FBI postanowiło porozmawiać z nim jeszcze raz - w każdym razie nazajutrz zostałam wezwana do gabinetu, w którym nigdy nie byłam, na dwudziestym ósmym piętrze siedziby biura. Dwóch facetów z OPR, których nie widziałam nigdy wcześniej ani później oznajmiło mi, że w tej sprawie przekroczyłam zakres swoich obowiązków.

Skinąłem głową. OPR to Biuro Odpowiedzialności Zawodowej, komórka FBI, która ładnie się nazywa, lecz jest to Orwellowska nazwa. OPR jest tym samym co wydział spraw wewnętrznych nowojorskiej policji, czyli szpiedzy, wtyczki i szpicle. Nie miałam wątpliwości, że pan Liam Griffith to typ z OPR.

- Czy ci dwaj zaproponowali ci przeniesienie do Dakoty Północnej?

- Jestem pewna, że istniała taka możliwość. Ale oni rozegrali sprawę na zimno i próbowali udawać, że to był tylko drobny błąd z mojej strony. Nawet pochwalili mnie za wykazanie inicjatywy.

- Dostałaś awans?

- Dostałam grzeczną, ale wyraźną sugestię, że powinnam grać bardziej zespołowo. Wyjaśnili, że inni agenci rozpracowują ten trop, a ja powinnam dalej przesłuchiwać świadków i ograniczyć się do swoich obowiązków.

- Upięкло ci się. Kiedyś jeden z moich przełożonych rzucił we mnie przyciskiem do papieru.

- My jesteśmy trochę bardziej subtelni. Tak czy owak dostałam ostrzeżenie i wiedziałam już, że na coś trafiałam.

- Dlaczego nie podążyłaś tym tropem?

- Bo dostałam rozkaz, żeby tego nie robić. Nie słyszałaś, co powiedziałam?

- Och, oni tylko sprawdzali twój charakter. Chcieli usłyszeć od ciebie, że nie zrezygnujesz.

- Tak, oczywiście. - Kate zastanowiła się przez chwilę. - Wtedy

wyciągnęłam logiczny wniosek, że jeśli coś z tego wyniknie, to w formie notatki wewnętrznej, po której nastąpi konferencja prasowa. Pięć lat temu nawet nie pomyślałam o spisku czy tuszowaniu sprawy.

- Ale teraz myślisz.

Kate nie zareagowała na moją uwagę.

- Wszyscy biorący udział w tej sprawie byli pod silnym jej wpływem, ale wiem, że ci, którzy przesłuchiwali świadków, odczuwali ten wpływ inaczej. To my rozmawialiśmy z ponad dwustu osobami, które opisywały to, co uważały za pocisk lub raketę, i żadne z nas nie umiało pogodzić tego, co usłyszeliśmy od świadków, z raportem końcowym i animacją CIA. - Po krótkim namyśle dodała: - Szeffowie ATTF mieli kłopoty z niektórymi z przesłuchujących świadków, nie byłam jedyną wezwaną do tego gabinetu.

- Ciekawe. Jak przebiegał proces przesłuchiwania świadków?

- Z początku to był jeden wielki chaos. W ciągu dwudziestu czterech godzin setki policjantów z Nowego Jorku i agentów FBI zostało przerzuconych z Manhattanu na wschodni kraniec Long Island. Było za mało łóżek, więc niektórzy agenci spali w samochodach, budynki straży wybrzeża wykorzystywano jako sypialnie. Ci, którzy mieszkali niedaleko, jeździli na noc do domów. Dwie noce spędziłam w placówce straży wybrzeża w Moriches z czterema innymi kobietami. Później znaleziono mi pokój w hotelu z inną agentką FBI.

- Z którą?

- Nie pytaj mnie o nazwiska ludzi, z którymi pracowałam.

Nie chciałem nazwisk agentów FBI, którzy i tak nie chcieliby ze mną rozmawiać. Ale policjanci z Nowego Jorku by porozmawiali.

- Współpracowałaś bezpośrednio z nowojorskimi policjantami?

- Na początku z kilkoma. Było ponad siedmiuset obiecujących świadków i około stu marginalnych. Początkowo nie mogliśmy ustalić, którzy świadkowie widzieli świetlną smugę, a którzy tylko wybuch. W końcu pogrupowaliśmy świadków na podstawie oceny wiarygodności i elementu katastrofy, który widzieli. Po kilku dniach wyodrębniliśmy ponad dwustu, którzy twierdzili, że widzieli smugę światła.

- I właśnie tych świadków przesłuchiwało FBI.
- Tak. Ale z początku w całym tym zamieszaniu policjanci dostali wielu dobrych świadków, a FBI wielu bezwartościowych.

- Coś potwornego.

Kate zignorowała moją uwagę.

- Zapanowaliśmy nad tym i świadków, którzy widzieli smugę, przesłuchiwało tylko FBI. Następnie wyselekcjonowani świadkowie, około dwudziestu bardzo zdecydowanie twierdzących, że widzieli smugę światła wznoszącą się z oceanu, tak jak kapitan Spruck, zostało przekazanych wyższym kręgom FBI.

- I CIA. Na przykład Tedowi Nashowi.

- Na to wygląda.

- Czy któremuś ze świadków zdarzył się nieszczęśliwy wypadek?

- Ani jednemu - odparła z uśmiechem Kate.

- No cóż, moją hipotezę diabli wzięli.

Znałem to z doświadczenia i z obserwacji: policjanci pracujący dla ATTF wykonywali najcięższą, początkową robotę, a kiedy na coś trafili, przekazywali sprawę agentowi FBI. Bo Bóg tak chce.

- Założę się, że ci policjanci i agenci, którzy rozmawiali ze świadkami opisującymi świetlną smugę, stanowią trzon grupy niewierzącej w to, że katastrofa była następstwem wypadku.

- Nie ma żadnej grupy - zaprzeczyła Kate, wstając, po czym weszła do sypialni, żeby przebrać się do pracy.

Dokończyłem kawę i też poszedłem do sypialni.

Przypiąłem pasek z glockiem kalibru dziewięć milimetrów, moim własnym, takim samym jak policyjna broń służbowa. Kate przypięła glocka kalibru czterdzieści, który jest na wyposażeniu FBI. Jej gnat jest większy, ale mam duże poczucie bezpieczeństwa, dlatego za bardzo mnie to nie martwi.

Kate włożyła żakiet, a ja marynarkę, ona wzięła neseser, a ja część „Posta” z działem sportowym. Wyszliśmy.

W mojej głowie pojawił się obraz sześciu typów z OPR z zaciśniętymi pięściami czekających na nasze przybycie w gmaszysku przy Federal Plaza 26.

Rozdział 14

Portier Alfred zamówił nam taksówkę i rozpoczęliśmy półgodzinną podróż do miejsca pracy w budynku przy Federal Plaza 26 na Dolnym Manhattanie. Była dziewiąta i ruch zaczynał się przerzedzać w ten ciepły, słoneczny lipcowy dzień.

Nie powinniśmy rozmawiać w taksówce o niczym poufnym, zwłaszcza jeśli kierowca ma na imię Abdul, a takie właśnie imię widniało na licencji tego faceta.

- Jak długo jest pan w tym kraju? - zapytałem.

Zerknął na mnie i odparł:

- Jakies dziesięć lat, proszę pana.

- Jak pan myśli, co się stało z boeingiem siedemset czterdzieści siedem, który rozbił się pięć lat temu?

- John - mruknęła ostrzegawczo Kate.

- Och, to była okropna tragedia - rzekł z wahaniem Abdul.

- Tak. Myśli pan, że został zestrzelony pociskiem?

- Nie wiem, proszę pana.

- Myślę, że zestrzelili go Izraelczycy i zrobili to tak, żeby wyglądało na robotę Arabów. Co pan sądzi?

- Hmm, to możliwe.

- Tak samo było z podłożeniem ładunku wybuchowego pod World Trade Center.

- Niewykluczone.

- John - powtórzyła Kate.

- Więc myśli pan, że to był pocisk.

- Hmm, wielu ludzi go widziało.

- A kto mógłby mieć tak potężny pocisk?
 - Nie wiem, proszę pana.
 - Izraelczycy, któż by inny.
 - Hmm, to możliwe.
 - Co jest napisane na pierwszej stronie tej arabskiej gazety, która leży na siedzeniu obok pana?
 - A, to... Artykuł o rocznicy tej tragedii.
 - I co piszą? Wypadek spowodowany przez armię amerykańską?
- Czy Żydzi?

- Nie są pewni. Opłakują śmierć ludzi i szukają odpowiedzi.
- Taak, ja też.
- John, już wystarczy - upomniała mnie znowu Kate.
- Próbuję się trochę rozgrzać.
- Może spróbowałbyś się trochę przymknąć?

Jechaliśmy dalej w milczeniu, a ja zająłem się czytaniem wiadomości sportowych.

Rząd federalny i wszyscy jego pracownicy są szalenie wyczuleni na punkcie praw i uczuć wszelkich mniejszości, nowych imigrantów, rdzennych Amerykanów, małych piesków, lasów oraz zagrożonych gatunków śluzowców. Ja natomiast jestem tej wrażliwości pozbawiony, a moja postępowość zatrzymała się mniej więcej na etapie, gdy modyfikowano przepisy policyjne tak, by zabraniały wydobywać zeznania od podejrzanych za pomocą pałki.

Mimo to agentka specjalna Mayfield i ja, choć nadajemy na różnych częstotliwościach, jednak się ze sobą komunikujemy i w ciągu ostatniego roku zauważyłem, że uczymy się od siebie. Ona częściej używa słowa na „k” i częściej nazywa niektórych palantami, a ja staję się wrażliwszy na rozterki wewnętrzne tych, którzy są palantami i skurwielami.

Dojechaliśmy do celu, zapłaciłem Abdulowi i dałem mu pięć dolarów napiwku za szkody moralne.

Od strony Broadwayu weszliśmy do dużego holu czterdziestojednopiętrowego gmachu i ruszyliśmy w stronę bezpiecznych wind.

Federal Plaza jest siedzibą agend rządowych zaczynających się na wszystkie litery alfabetu, z których połowa zbiera podatki, a druga połowa je wydaje. Piętra od dwudziestego drugiego do dwudziestego

ósmego zajmują rozmaite agencje pilnujące prawa i porządku oraz te, które gromadzą informacje. Można do nich dotrzeć tylko specjalnymi windami, oddzielonymi od holu grubą szybą z pleksiglasu, za którą stoją ochroniarze. Mignąłem za szybko legitymacją ochroniarzom - zawsze tak robię - wstukałem kod na tabliczce i drzwi się otworzyły.

Podeszliśmy do siedmiu wind obsługujących piętra od dwudziestego drugiego do dwudziestego ósmego. Żaden z ochroniarzy nie upomniał się o dokładniejsze pokazanie przez nas dokumentów.

Wsiadliśmy do windy i wybraliśmy dwudzieste szóste piętro.

- Bądź przygotowana na to, że zostaniemy wezwani osobno do czujego gabinetu.

- Dlaczego? Myślisz, że wczoraj wieczorem byliśmy śledzeni?

- Wkrótce się tego dowiemy.

Drzwi windy rozsunęły się na dwudziestym szóstym piętrze, ukazując mały hol. Nie było tam ochroniarzy i pewnie nie musiało być, skoro człowiek dotarł już tak wysoko.

Były natomiast kamery zamontowane pod sufitem, ale ci, którzy obserwowali monitory, dostawali pewnie sześć dolców na godzinę i nie mieli pojęcia, na kogo patrzą lub kogo szukają. Jeśli w ogóle patrzą, a nie śpią.

Po stronie plusów można zapisać to, że Kate i ja znów musieliśmy wstukać kod, żeby wejść do korytarza.

Zatem obiektywnie rzecz biorąc, poziom zabezpieczeń pięter dwadzieścia dwa-dwadzieścia osiem w biurowcu Federal Plaza 26 był dobry, lecz nie znakomity. Bo ja na przykład mógłbym być terrorystą prowadzącym Kate z lufą pistoletu przystawioną do pleców i dostałbym, się do tego korytarza bez problemów.

W zasadzie poziom bezpieczeństwa tutaj i prawdopodobnie wszędzie indziej nie poprawił się w ciągu ostatnich dwudziestu lat, mimo jednoznacznych dowodów świadczących o tym, że trwa wojna.

Opinia publiczna miała zaledwie mglistą świadomość, że prowadzimy wojnę, a agendy rządowe prowadzące ową wojnę nie zostały oficjalnie lub nieoficjalnie powiadomione przez nikogo z Waszyngtonu, że to, co się dzieje na świecie, to wojna przeciwko Stanom

Zjednoczonym Ameryki Północnej i jej sojusznikom.

Waszyngton i media uznały, że każdy atak terrorystyczny należy postrzegać jako odrębne wydarzenie, słabo albo w ogóle niezwiązane z innymi, podczas gdy nawet imbecyl lub polityk, gdyby się nad tym zastanowił dostatecznie długo, dostrzegłby prawidłowość. Ktoś powinien ogłosić pospolite ruszenie albo coś powinno huknąć tak głośno, by wszystkich obudzić.

Takie w każdym razie było moje zdanie, które wyrobiłem sobie przez rok pobytu w tym gmachu. Miałem przewagę jako outsider. Gliny poszukują prawidłowości świadczących o tym, że zbrodnia jest dziełem seryjnego mordercy lub zorganizowanej grupy przestępczej. Fedzie najwyraźniej traktowali ataki terrorystyczne jako robotę niezorganizowanych grup malkontentów lub indywiduów z psychopatycznymi skłonnościami.

Lecz w istocie było inaczej: działo się coś o wiele bardziej złowieszczo, dobrze zaplanowanego i zorganizowanego przez ludzi, którzy nie spali po nocach, układając listę spraw do załatwienia. Po to, by załatwić nas.

Jednak moja opinia nie cieszyła się popularnością wśród zbyt wielu ludzi pracujących na piętrach dwadzieścia dwa-dwadzieścia osiem, a nawet jeśli ktoś brał ją pod uwagę, to nie wyrażał tego w memorandumach ani nie poruszał na spotkaniach.

Stanąłem koło dystrybutora zimnej wody i między jednym siorbnięciem a drugim powiedziałem do Kate:

- Jeśli twój szef albo ktoś z OPR zacznie cię wypytywać, najlepiej mówić prawdę i tylko prawdę.

Kate milczała.

- Jeśli skłamiesz, twoje kłamstwo nie pokryje się z moim. Tylko prawda powiedziana bez próby generalnej pozwoli nam uniknąć konieczności poszukania sobie adwokata.

- Wiem, jestem prawniczką. Ale...

- Wody? - zaproponowałem. - Potrzymam kurek.

- Nie, dzięki. Posłuchaj...

- Nie popchnę ci głowy pod strumień, słowo.

- John, zamknij się i dorośnij wreszcie. Słuchaj, my tak naprawdę nie zrobiliśmy nic złego.

- To jest nasza bajeczka i jej się trzymamy. Wczoraj wieczorem zrobiliśmy to, bo jesteśmy pełnymi poświęcenia i entuzjazmu agentami.

Jeśli będą cię przesłuchiwać, nie czuj się, nie zachowuj i nie rób mi-ny, jakbyś była winna. Stwarzaj pozory, że jesteś dumna ze swojego poświęcenia i obowiązkowości. To ich zmyli.

- Mówisz jak rasowy psychopata.

- A to dobrze czy źle?

- To nie jest zabawne. - Po chwili namysłu Kate dodała: - Pięć lat temu powiedziano mi wyraźnie, żebym nie angażowała się w tę sprawę.

- Powinnaś była posłuchać.

Szliśmy obok siebie korytarzem.

- Podejrzewam, że jeśli nas namierzeli, nie zdradzą się od razu. Będą mieć nas na oku, żeby sprawdzić, co knujemy i z kim gadamy.

- Przez ciebie czuję się jak kryminalistka.

- Mówię ci tylko, jak radzić sobie z tym, co sama zaczęłaś.

- Ja niczego nie zaczęłam. - Popatrzyła na mnie. - John, przykro mi, jeśli...

- Nie przejmuj się. Dzień bez kłopotów to dla Johna Coreya jak dzień bez tlenu.

Uśmiechnęła się, cmoknęła mnie w policzek i ruszyła do swojego stanowiska pracy w ogromnym ulu pełnym sześciennych pudełek, po drodze witając się z kolegami.

Moje stanowisko znajdowało się po przeciwnej stronie sali, z daleka od typów z FBI, wśród kolegów, policyjnych detektywów, zarówno tych w czynnej służbie, jak emerytowanych agentów kontraktowych takich jak ja.

Chociaż lubię swoje towarzystwo, to fizyczne odseparowanie FBI i policjantów ilustrowało różnicę dwóch kultur szerszą niż trzy metry wykładziny.

Parszywie było tam pracować bez żony po tej stronie sali, która bardziej mi odpowiadała. Potrzebowałem jakiejś strategii ucieczki, a nie chciałem po prostu zrezygnować. Węszanie wokół sprawy katastrofy boeinga 747 mogło doprowadzić do tego, że mnie wyleją, co mi pasowało, a przy tym w oczach Kate nie wyglądałoby na zerwanie naszego przemyślego układu służbowego, który z jakiejś dziwnej przyczyny jej się podobał. Wprawiam w zakłopotanie wszystkich, których znam, czasem nawet policjantów, lecz wydawało się, że Kate czerpie

przewrotną dumę z tego, że jest żoną jednego z niesubordynowanych gliniarzy z dwudziestego szóstego piętra.

Może to był z jej strony akt buntu, sposób powiedzenia Jackowi Koenigowi, agentowi nadzorującemu (czasem nazywanemu czule przez policyjnych detektywów skurwielem nadzorującym), a także innym szefom, że agentka specjalna Mayfield nie została jeszcze całkowicie obłaskawiona.

To była głęboka refleksja jak na mnie, a nie minęła jeszcze dziesiąta rano.

Poprawiłem krawat i zastanowiłem się nad wyrazem twarzy. Hm... Całkiem prawdopodobne, że siedzę po uszy w gównie, więc lepiej wyglądać na wesołego i zadowolonego, że tu jestem.

Skorygowałem minę i ruszyłem w stronę swojego biurka.

Rozdział 15

Przywitałem kolegów po imieniu, zawiesiłem marynarkę na haczyku i zasiadłem na stanowisku pracy.

Włączyłem komputer, wprowadziłem hasło i przeczytałem e-maile, w większości okólniki biurowe. Czasem na ekranie ukazywał się Orwellowski komunikat władz o nowej zbrodni myślowej.

Odsłuchiłem wiadomości na sekretarce. Jedna była od palestyńsko-amerykańskiego informatora ukrywającego się pod kryptonimem Myszokoczek, który twierdził, że ma dla mnie ważną informację i nie może o niej mówić przez telefon.

W gruncie rzeczy Emad Salameh był prawie bezużytecznym źródłem informacji i nigdy nie mogłem pojąć, czy chodzi mu tylko o to, by czuć się ważnym, czy jest podwójnym agentem, czy też chce od czasu do czasu zarobić dwadzieścia dolarów. Może po prostu mnie lubił. Wiem, że lubił włoskie żarcie, bo zawsze wybierał włoską restaurację, w której stawiałem mu lunch albo kolację.

Ostatnie dwa nagrania były głuche, a numery dzwoniących nie pokazały się na wyświetlaczu. Zawsze mnie to intryguje.

Poprzesuwałem trochę papiery na biurku.

Największym wyzwaniem w tej pracy jest dociekanie, czym się zająć. Jak powiedział kiedyś pewien myśliciel (to znaczy ja): „Kłopot z nierobieniem niczego polega na tym, że nie wiesz, kiedy skończyłeś”.

Policyjny detektyw ma zawsze szufladę pełną akt dawnych i niedawnych morderstw, natomiast jeśli walczysz z terroryzmem, próbujesz przewidzieć zbrodnię.

Po sprawie Asada Khalila, rok temu, zostałem przydzielony do specjalnego zespołu, do którego należała też Kate, a którego jedynym zadaniem było podążanie tropem tego człowieka.

Jednak po upływie roku wskazówki i tropy się wyczerpały i ślad był zimny. Nie chcąc marnować rządowych pieniędzy, nasz szef, Jack Koenig, zaczął przydzielać Kate, mnie i innych agentów z zespołu do różnych obowiązków.

Zostałem zatrudniony przez ATTF jako specjalista od zabójstw, na wypadek gdyby zdarzyło się morderstwo mające związek z terroryzmem, lecz niczego takiego nie było od sprawy Asada Khalila, więc obecnie moje obowiązki polegały głównie na obserwacji. Większość gliniarzy pracujących dla FBI tym się właśnie zajmowała. Kate pracowała w dziale analiz zagrożeń, cokolwiek to znaczy.

Nasz specjalny zespół zajmował kiedyś niewielką przestrzeń na tym piętrze obok centrum kontroli i dowodzenia. Pracowaliśmy blisko siebie, Kate siedziała przy biurku naprzeciwko mojego i co dzień mogłem patrzeć w jej piękne oczy. Lecz później zostaliśmy rozdzieleni i teraz musiałem patrzeć na Harry'ego Mullera, byłego policjanta z wywiadu komendy nowojorskiej.

- Harry, jak brzmi definicja umiarkowanego Araba? - zagadnąłem.

Podniósł głowę.

- No jak?

- Facet, któremu skończyła się amunicja.

Harry zachichotał.

- Już mi to opowiadałeś. Musisz uważać, co klepiesz. Jaka jest różnica między arabskim terrorystą a kobietą z zespołem napięcia przedmiesiączkowego?

- No jaka?

- Z arabskim terrorystą można się dogadać.

Teraz ja się zaśmiałem.

- To też ci mówiłem. Dwóch sklerotyków siejących uprzedzenia rasowe i płciowe.

Powiniennem zauważyć, że arabska i muzułmańska społeczność w Nowym Jorku to w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach prawomyślni

i lojalni obywatele. Jeden procent stanowią użyteczni idioci, a jeden procent to dranie.

Ja zwykle obserwuję i przesłuchuję tych użytecznych idiotów, a kiedy trafiam na trop prawdziwych drani, muszę ich przekazać FBI. Biuro z kolei czasem zawiadamia CIA, która też ma się dzielić z FBI ciekawymi tropami. Ale w rzeczywistości nie informują się wzajemnie, a z pewnością nie informują mnie. Jest to bardzo frustrujące i stanowi jeden z powodów, przez które przestałem lubić tę pracę od czasu, gdy Koenig w zasadzie rozwiązał nasz zespół. Może był to też powód, dla którego Kate zamachała mi przed nosem katastrofą boeinga linii TWA, a ja połknąłem przynętę.

Jeśli chodzi o CIA, to agencja ma ludzi przydzielonych do ATTF, takich jak nieboszyk Ted Nash, ale nieczęsto się ich widuje, bo urzędują na innym piętrze, a także po drugiej stronie ulicy przy Broadway 290. Wpadają i wypadają z jednostki w zależności od rozwoju sytuacji. Najszczęśliwszy czuję się wtedy, gdy wypadają i kiedy jest ich mało.

- Co wczoraj porabiałeś? - zainteresował się Harry.

- Pojechałem na mszę ku czci ofiar katastrofy TWA osiemset na Long Island.

- Dlaczego?

- Kate pracowała przy tej sprawie. Co rok tam jeździ. Ty też brałeś udział w tym śledztwie?

- Nie.

- Ale musiałeś o niej słyszeć. Pięciuset ludzi urobiło się po łokcie i okazuje się, że to był wypadek.

Harry nie odpowiedział.

- Czasem przy tej robocie wpadamy w paranoję - dodałem.

- Wpadamy w nią za rzadko.

- Racja. Nad czym pracujesz?

- Nad jakąś kretyńską muzułmańską organizacją charytatywną w Astorii... wygląda na to, że transferują forszę do zagranicznej komórki terrorystycznej.

- Czy to nielegalne?

Harry parsknął śmiechem.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Zdaje mi się, że nielegalne jest to, że zbierają kasę na jedno, a robią z nią coś innego. To złamanie

jakiejś ustawy federalnej. Chodzi o to, że pieniądze trafiają do rękoma legalnej organizacji charytatywnej za granicą i dopiero później do miejsca, gdzie nie powinny trafić. To tak jakbym próbował połapać się w książeczkę czekowej mojej żony. Ale księgowi śledczy z FBI uważają, że to fascynujące. A ty co robisz?

- Pobieram kurs wrażliwości na kulturę muzułmańską.

Harry znów się roześmiał.

Skierowałem uwagę na rzeczy na biurku. Było mnóstwo notatek do przeczytania, co też zrobiłem.

Naprawdę ciekawe akta, przez fedziów zwane teczkami, leżały zamknięte w archiwach, a jeśli czegoś potrzebowałem, musiałem wypełnić formularz, który później był przetwarzany przez nieznane mi osoby i albo go odrzucano, albo wracał z teczką.

Mam odpowiednie uprawnienia dostępu, lecz zakres informacji mi potrzebnych jest ograniczony, muszę więc trzymać się sprawy Khalila oraz tych, do których zostałem przydzielony. To utrudnia sprawdzenie, czy jedna sprawa ma coś wspólnego z inną. Wszystko jest poszufladkowane ze względów bezpieczeństwa albo ze względu na ochronę swojego terytorium, co moim skromnym zdaniem stanowi poważną słabość w grze wywiadowczej. W policyjnej robocie praktycznie wszystkie akta są dostępne dla każdego detektywa, który ma jakiegoś przecucie i pamięta jakąś sprawę lub konkretnego przestępcę.

Ale powinienem unikać negatywnych porównań. Skuteczność to najlepsze kryterium, a jak dotąd, odpukać, fedzie bardzo skutecznie trzymali Amerykę z dala od linii frontu globalnego terroryzmu.

Może raz im się nie udało. Lub dwa. Albo trzy.

Podłożenie ładunku wybuchowego pod World Trade Center było ogromnym zaskoczeniem, lecz prawie wszyscy sprawcy zostali aresztowani, osądzeni i skazani na dożywocie.

Sześciu ofiarom zamachu postawiono ładny granitowy pomnik między bliźniaczymi wieżami dokładnie nad miejscem, w którym zdetonowano ładunek w podziemnym garażu.

Później była katastrofa TWA 800, którą być może należało zaliczyć jako punkt dla drużyny gości.

Jeszcze później zdarzyła się sprawa Asada Khalila, która moim

zdaniem była zamachem terrorystycznym, lecz którą władze przedstawiły jako serię zabójstw dokonanych przez mężczyznę pochodzenia libijskiego, żywiącego urazę do pewnej grupy amerykańskich obywateli.

Nie była to do końca prawda, co mogę poświadczyć, ale gdybym powiedział to głośno, złamałbym prawo, ponieważ złożyłem pewne przysięgi i podpisałem zobowiązania, mające związek z bezpieczeństwem narodowym i tak dalej.

Świat ochrony bezpieczeństwa narodowego i walki z terroryzmem bardzo się różni od świata, do którego przywykłem, i dzień po dniu musiałem się przekonywać, że ci ludzie wiedzą, co czynią. Jednak gdzieś w zakamarkach mojego nieskomplikowanego umysłu tliły się wątpliwości.

Wstałem i włożyłem marynarkę.

- Puść mi sygnał, jeśli ktoś zwoła jakieś spotkanie - poprosiłem Harry'ego.

- Dokąd się wybierasz?

- W niebezpieczną misję. Mogę nie wrócić.

- Jeśli wrócisz, przyniósłbyś mi polską kielbaskę z bułką? Bez musztardy.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Wyszedłem szybko, zerknąwszy na Kate, która siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekranie monitora. Zjechałem windą na dół i wyszedłem na ulicę.

W epoce telefonów komórkowych zostało jeszcze trochę automatów telefonicznych. Skierowałem się do jednego z nich na Broadwayu. Robiło się ciepło, niebo się chmurzyło.

Znalazłem w komórce numer telefonu Dicka Kearnsa i zadzwoniłem do niego z automatu.

Dick, stary kumpel z wydziału zabójstw, odszedł z ATTF przed kilkoma miesiącami i teraz jako cywil sprawdzał na zlecenie federalnych osoby, które miały otrzymać certyfikaty dostępu do poufnych informacji.

- Halo - odezwał się Dick.

- Biuro śledcze Kearnsa?

- Tak.

- Podejrzewam, że moja żona ma romans. Może ją pan trochę pośledzić?

- Kto mówi? Corey, ty palancie.

- Myślałem, że zajmujesz się sprawami małżeńskimi.
- Nie, ale dla ciebie zrobię wyjątek.
- Co planujesz w czasie lunchu? - zapytałem.
- Jestem zajęty. A o co chodzi?
- Co teraz robisz?
- Gadam z tobą. Gdzie jesteś?
- Plaza Fed dwadzieścia sześć.
- Jestem ci potrzebny teraz?
- Tak.

Nastąpiła krótka pauza, a później Dick oznajmił:

- Siedzę w domu, w Queens. - Po chwili dodał: - Zasuвам chałupniczo. Spoko robota. Powinieneś to rozważyć.

- Dick, nie mogę popychać pierdoł przez cały ranek. Spotkaj się ze mną jak najprędzej w tym lokalu w chińskiej dzielnicy. Znasz go?

- Niski Zwis?

- Tak. Obok wietnamskiej knajpki o nazwie Phuc Yu. - Odwiesiłem słuchawkę, znalazłem kramik na kółkach i kupiłem dwie polskie kiełbaski, jedną z bułką, bez musztardy.

Wróciłem na stanowisko pracy.

Dostarczyłem Harry'emu jego polską kiełbasę, poszedłem do baru i wziąłem czarną kawę. Na ścianie wisiały plakaty „Poszukiwany” firmowane przez FBI, po angielsku i arabsku; dwa przedstawiały niejakiego Osamę bin Ladena: jeden za atak na USS „Cole”, a drugi za zamachy na ambasady w Kenii i Tanzanii. Za jego głowę wyznaczono pięć milionów dolarów nagrody, ale jak dotąd nikt się po nie nie zgłosił, co uważałem za dziwne. Za pięć milionów zielonych większość ludzi wydałaby najlepszego przyjaciela albo matkę.

Inną dziwną rzeczą było to, że bin Laden nigdy nie przyznał się do żadnego z zamachów, które ponoć zaplanował. Wtedy wskazała go CIA, ale ja się zastanawiałem, skąd agencja miała pewność. Jak doszliśmy do wniosku w czasie wczorajszej rozmowy z Kate, problem był w tym, że grupy terrorystyczne i pojedynczy terroryści najwyraźniej przestali się chęlnie swoją robotą. Tak samo mogło być w przypadku katastrofy TWA 800.

Spojrzałem na twarz Osamy bin Ladena na plakacie. Facet wyglądał dziwnie. Właściwie ci wszyscy dzentelmeni z Bliskiego Wschodu wyglądają przerażająco na plakatach z napisem „Poszukiwany”, ale

może w tej oprawie każdy człowiek prezentuje się jak zbrodniarz.

Popatrzyłem na plakat z podobizną mojego starego prześladowcy, Asada Khalila alias Lew. Tylko on wyglądał na w miarę normalnego, był przystojny i zadbany, lecz wystarczyło spojrzeć dokładniej w jego oczy, by poczuć grozę.

Podpis pod zdjęciem Khalila był mętny, wspomniano w nim tylko, że zabił wielu Amerykanów i Europejczyków w różnych krajach. Nagroda wyznaczona przez Departament Sprawiedliwości opiewała na marny milion zielonych, co osobiście uważam za obrazę, zważywszy na fakt, że ten skurczybyk próbował mnie załatwić i wciąż hasał na wolności.

Gdyby Ted Nash żył, czułby się jeszcze bardziej znieważony, bo to właśnie Asad Khalil wpakował mu kulkę w łeb z karabinu snajperskiego.

Usiadłem przy biurku i włączyłem komputer. Wszedłem do Internetu i wystukałem na klawiaturze symbol lotu: „TWA 800”.

Goście z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego czasem sprawdzają, na jakie strony wchodzisz, ale jeśli kontrolowali mnie wcześniej, to już wiedzieli, co knuję.

Doszedłem do wniosku, że przejrzanie wszystkich stron, na których znalazła się nazwa TWA 800, zajęłoby tydzień, wszedłem więc najpierw na stronę FIRO i przez pół godziny czytałem o spiskach i tuszowaniu sprawy.

Zerknąłem jeszcze na kilka stron z artykułami śledczymi z magazynów i gazet. W artykułach napisanych w ciągu pół roku po katastrofie stawiano wiele pytań, na które w późniejszych publikacjach nie padły odpowiedzi, nawet jeśli wyszły one spod ręki tych samych autorów, którzy te pytania stawiali.

Wyczułem, że Harry mi się przygląda, i uniosłem głowę.

- Będziesz to jadł? - zapytał.

Podąłem mu kielbasę nad niską przegrodą, wyszedłem z Internetu i wyłączyłem komputer. Włożyłem marynarkę i rzuciłem:

- Muszę uważać, żeby nie spóźnić się na zajęcia z ogólnej wrażliwości.

Harry zachichotał.

Podszedłem do stanowiska Kate, która podniosła głowę znad komputera, po czym zamknęła okno, które właśnie przeglądała.

To musiało być coś, do czego nie miałem upoważnienia. Albo e-mail od narzeczonego.

- Muszę się z kimś spotkać - oznajmiłem.

Większość żon zapytałaby „z kim?”, ale w naszym biznesie tego pytania się nie zadaje.

- Jak długo to potrwa?

- Mniej niż godzinę. Jeśli będziesz wolna, spotkamy się na lunchu w Ecco. O pierwszej.

Uśmiechnęła się.

- O, randka. Dobrze, jesteście umówieni. Zrobię rezerwację.

Publiczne okazywanie uczuć nie jest dobrze widziane w Ministerstwie Miłości, więc zasalutowałem i oddaliłem się.

Wyszedłem z gmachu, kupiłem w kiosku „Daily News” i pokonałem kilka przecznic dzielących mnie od chińskiej dzielnicy.

Wielu gliniarzy i agentów FBI umawia się na spotkania w Chinatown. Dlaczego? Bo łatwiej jest wyłowić z tłumu tych, którzy cię śledzą, pod warunkiem że nie są Chińczykami, rzecz jasna. Poza tym jest tanio. Nie miałem pojęcia, gdzie oprócz miejsca pracy spotykają się typy z CIA, ale podejrzewam, że w klubie absolwentów Yale. Tak czy owak wydawało się, że nikt nie wyszedł z Plaza Fed 26, by mnie śledzić.

Przeszedłem kawalek, a później wróciłem do małej chińskiej restauracyjki o nazwie Dim Sum Go, ochrzczonej pieszczotliwie przez nowojorskich gliniarzy Niski Zwis. Usiadłem w pustej łóż na końcu sali, przodem do drzwi.

Restauracja wyglądała tak, jakby kiedyś była hołem kamienicy, w której się mieściła. To był lokal odwiedzany wyłącznie przez tubylców, nie uświadczyleś tam ani jednego zabłąkanego turysty czy poszukiwacza miejskich przygód z centrum. A co ważniejsze, był bodaj jedyną chińską restauracją w Nowym Jorku, w której podawano kawę za sprawą policyjnej klienteli. Niedługo w jadłospisie pojawią się pączki.

Nie minęło jeszcze południe i knajpka świeciła pustkami; tylko paru tubylców popijało z czarek coś pachnącego jak herbatka Pluj-Fuj i rozmawiało w dialekcie kantońskim. Natomiast para siedząca w sąsiednim boksie mówiła po mandaryńsku.

Zmyślam, oczywiście.

Stoliki obsługiwała niesłychanie piękna młoda Chinka, która poruszała się, jakby płynęła w powietrzu.

Podpłynęła do mnie, uśmiechnęliśmy się do siebie. Młoda piękność odfrunęła, a w jej miejsce zjawiała się starucha w łapciach. Moim zdaniem Bóg stroi sobie żarty z żonatych facetów. Zamówiłem kawę.

Staruszka się oddaliła, a ja zacząłem czytać dział sportowy „Daily News”. Wczoraj wieczorem Jankesi pokonali Filadelfię cztery do jednego w dwunastej rundzie. Tino Martinez dobiegł po uderzeniu do pierwszej bazy, a Jorge Posada obiegnął dwie w dwunastej rundzie. A w tym czasie Kate ciągała mnie po całej Long Island. Powinienem był włączyć telewizor, ale kto pomyślał, że będzie dogrywka?

W kuchni czarodzieje pichcili dania dnia, niespodzianki. Zdawało mi się, że słyszę kota, psa i kaczkę, a później coś jakby odgłos uderzenia tasakiem. Ale pachniało niczego sobie.

Przeczytałem gazetę, dopiłem kawę i czekałem na Dicka Kearnsa.

Rozdział 16

Dick Kearns stanął w drzwiach, wypatrzył mnie i wśliznął się do łóża, siadając naprzeciwko. Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Dzięki, że przyszedłeś - zacząłem.
- Nie ma za co. Ale muszę być w centrum o pierwszej.

Dick miał około sześćdziesiątki i wszystkie włosy oraz zęby. Zawsze świetnie się ubierał i dziś nie zrobił wyjątku.

- Widziałeś wczorajszy mecz Jankesów? - zapytałem.
- Taak. Świetny mecz. A ty oglądałeś?
- Pracowałem. Jak się miewa Mo?

- Grzeczna. Psioczyła na moje godziny pracy w wydziale zabójstw, a później w ATTF. Teraz, kiedy robię w domu, może psioczyć na coś innego. Mówi do mnie tak: „Powiedziałam na dobre i na złe, Dick, ale nigdy nie powiedziałam, że na lunch”.

Uśmiechnąłem się.

- Jak ci się wiedzie w życiu małżeńskim? - spytał Dick.

- Bosko. Dobrze się składa, że pracujemy w tej samej firmie. I dostaję darmowe porady prawne.

Uśmiechnął się.

- Mogłeś trafić gorzej. Kate to laleczka.
- Dziękuję Bogu każdego dnia.
- A skoro mowa o poradach prawnych, masz wiadomości od Robin?

- Raz na jakiś czas. Przelatuje na miotle koło mojego balkonu i macha ręką.

Dick parsknął śmiechem.

Po tej wstępnej wymianie uprzejmości zmieniłem temat.

- Lubisz to, co robisz?
- Nie mam wielkich ciężarów do dźwigania - odparł po chwili zastanowienia. - Brakuje mi ludzi, z którymi pracowałem, ale w zasadzie sam ustalam godziny pracy i zarobki są niezłe. Chociaż czasem idzie opornie. Wiesz, powinniśmy dokładniej sprawdzać ludzi. Na przykład ci kolesie z ochrony lotnisk wykonują ważną robotę, ale pensje mają gówniane. Połowa z nich może stanowić potencjalne zagrożenie.

- Powiedziałeś jak prawdziwy cywilny agent kontraktowy, który szuka nadgodzin.

- Wystawiam rachunki od sprawy, a nie od godziny - sprostował z uśmiechem Dick. - A mówiąc poważnie, w tym kraju trzeba uszczelnić kontrolę.

- Żyjemy w kraju pobłogosławionym mnóstwem szczęścia i dwoma oceanami - przypomniałem mu.

- Mam dla ciebie nowinę. Szczęście się wyczerpuje, a oceany już nic nie znaczą.

- Może masz rację.

Zjawiała się mała staruszka. Dick zamówił kawę i popielniczkę. Zapalił papierosa.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał. - Chciałbyś załapać się na taką robotę? Mogę cię skontaktować z właściwym człowiekiem.

Obaj wiedzieliśmy, że nie poprosiłbym go o spotkanie z takim krótkim wyprzedzeniem, gdybym chciał pomówić o pracy. Ale skoro o tym wspomniał, warto było wykorzystać okazję.

- Taak, z tego, co mówisz, wynika, że to fajna robota.

Sędziwa kelnerka przyniosła kawę. Pałac papierosa i pijąc kawę, Dick opisał mi pokrótce swoją pracę. Jeśli ktoś podłączy mnie do wykrywacza kłamstw i zapyta, o czym rozmawialiśmy, będę mógł się wiarygodnie wymądrzać.

Na wypadek gdyby zapytano „O czym jeszcze mówiliście?”, powiedziałem:

- Przejdźmy do rzeczy. Potrzebuję informacji o katastrofie TWA osiemset.

Dick milczał.

- Nie jestem w zespole zajmującym się tą sprawą i jak wiesz, nigdy

nie byłem. Kate, o czym też wiesz, należała do tego zespołu, ale nie chce ze mną o tym gadać. Nikt z ATTF ze mną nie porozmawia, a ja nie chcę rozmawiać z nimi. Ty jesteś starym przyjacielem i cywilem, więc chcę, żebyś ze mną pogadał.

- Dostaję chleb od rządu federalnego - odparł po dłuższej chwili Dick.

- Taak, ja też. Pogadajmy więc jak były glina z byłym gliną.
- John, nie rób mi tego. I sobie.
- Sam będę się o siebie martwił, Dick. A jeśli chodzi o ciebie, to wiesz, że nigdy cię nie wydam.

- Wiem o tym, ale... podpisałem oświadczenie...
- Do diabła z oświadczeniem. Oni zamknęli sprawę. Możesz mówić.

Dick nie odpowiedział.

- Słuchaj, znamy się od dawna. Udawajmy, że nigdy nie słyszeliśmy o FBI i ATTF. Rozpracowuję sprawę na własną rękę i potrzebuję twojej pomocy. - Właściwie były to moje godziny pracy, ale koniec końców wszystko się wyrównuje.

Dick popatrzył przez chwilę w filiżankę kawy.

- Skąd zainteresowanie tą sprawą? - spytał.
- Wczoraj pojechałem na mszę rocznicową. Wzruszyłem się. Poza tym przedstawił mi się pewien facet, Liam Griffith. Znasz go?

Dick skinął głową.

- Zadawał za dużo pytań, dlaczego tam jestem. No i poczułem zaciekawienie.

- To nie jest dobry powód, żeby wtykać nos, gdzie nie trzeba. Słuchaj, ta sprawa uwalnia tylu ludzi z agencji rządowych, że nawet sobie nie wyobrażasz. Weterani, którzy uszli z życiem, nie chcą do tego wracać. Niektórzy nowi zasrańcy, tacy jak ty, myślą, że można by sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi. Nie warto. Daj sobie spokój.

- Już postanowiłem, że nie dam. Jestem w drugiej fazie, w której zadaje się pytania.

- Mniej więcej za tydzień goście z dwudziestego ósmego piętra zaczną zadawać pytania tobie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Nie szkodzi. Ale dzięki za troskę.

Okay, pomyślałem po prostu, że mi trochę pomożesz. Rozumiem. - Zerknąłem na zegarek. - Jestem umówiony na lunch z Kate.

Dick też spojrzął na zegarek i zapalił następnego papierosa.

Nie odzywaliśmy się przez minutę, a potem Dick rzekł:

- Po pierwsze, wiedz, że nie wierzę, że wystrzelono pocisk do tego samolotu, i nie wierzę w spisek czy tuszowanie sprawy. Ale prawdą jest, że sprawa źle się zaczęła. Od samego początku była politycznie groźna. Ci, którzy nie znosili Clintona, chcieli wierzyć, że winę ponoszą terroryści, a rząd wszystko tuszuje, bo nie ma jaj, żeby przyznać się do wpadki służb albo żeby odpowiedzieć atakiem na atak.

- Wiem. Nie pracowałem przy sprawie, ale czytuję „Posta”.

Dick zmusił się do uśmiechu.

- Poza tym FBI okazało straszliwą arogancję: pomiatali ludźmi z NTSB, a nawet flotą, strażą wybrzeża i lokalną policją. To napsuło wielu krwi, zraniło niejedno ego i w konsekwencji spowodowało, że pojawiły się plotki o tuszowaniu, zaginionych dowodach, niewłaściwych metodach prowadzenia śledztwa i nie wiadomo o czym jeszcze. Potem włączyła się CIA, a nie muszę ci mówić, że ci goście działają na wielu jak płachta na byka. Można powiedzieć, że ta sprawa była jak naparzenie się wszystkich ze wszystkimi na różnych poziomach. Dodaj do tego rodziny ofiar oraz media i masz sytuację, w której mnóstwo ludzi jest zranionych i rozgoryczonych. Ale na koniec wszyscy pozbierali się do kupy i śledztwo zakończyło się wyciągnięciem właściwych wniosków. To był wypadek.

- Tak myślisz?

- Tak.

- To dlaczego wciąż nie można o tej sprawie mówić, choć upłynęło pięć lat?

- Właśnie ci powiedziałem: wszyscy byli wściekli na wszystkich. Wszyscy są przewrażliwieni na punkcie metod, którymi się posłużono. Tuszowanie polega na tym, że różni ludzie kryją swoje tyłki i błędy, które popełnili.

- Innymi słowy, nikt nie miał nic do ukrycia, potrzebowali tylko czasu, żeby wyprostować swoje wersje.

- Mniej więcej - odparł z uśmiechem Dick.

- Dlaczego tak wielu typków z CIA kręciło się przy tej sprawie?
Dick wzruszył ramionami.
- Pewnie dlatego, że z początku wyglądało to na atak zagranicznego wroga. To zadanie dla CIA, zgadza się?
- Tak. Czemu wysmażyli ten kretyński filmik animowany?
- Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie pojąłem. Ale nie wyciągaj z tego zbyt daleko idących wniosków.
- Okay. Ale moim zdaniem, abstrahując od wspomnianych bitew o własny teren oraz wpadek, problem stanowią świadkowie. Gdyby nie oni, samolot zrekonstruowany w Calverton i badania laboratoryjne nie pozostawiłyby żadnych wątpliwości co do przyczyn eksplozji i katastrofy odrzutowca. Zgadza się?
- Dick bawił się przez chwilę zapalniczką.
- Zgadza się.
- Przesłuchiwałeś świadków. Tak?
- Tak.
- Ilu?
- Dziesięciu.
- A ilu widziało świetlną smugę?
- Sześciu.
- I do jakich wniosków doszedłeś?
- Dick spojrzał mi w oczy.
- Uznałem, że tych sześciu świadków jest przekonanych, że widzieli, jak coś wznosi się na niebie - ta smuga światła - i przemieszcza w pobliże samolotu, który następnie eksplodował.
- Jak to się ma do przypadkowej eksplozji centralnego zbiornika paliwa?
- John, słuchaj, przerabiałem to dziesiątki razy z ludźmi z FBI i CIA, setki razy maglowałem to w głowie i... - tu się uśmiechnął - mniej więcej dziesięć razy z żoną. Co chcesz mi powiedzieć? Że przypadkowa eksplozja to bzdura? Nie powiem tego. Naprawdę uważam, że istnieją dowody świadczące o tym, że doszło do spięcia, które spowodowało zapłon oparów paliwa.
- Racja. Ale jeśli popierasz tę hipotezę, to powiedz, co spowodowało spięcie?
- Naderwany przewód.

- Albo pocisk kinetyczny, który przebił się przez komorę klimatyzatorów.

- Nawet nie chcę na ten temat spekulować.

- Okay, wróćmy więc do twoich świadków. Co widzieli?

- Nie wiem i oni też nie wiedzą. Ale jako detektyw ze stuletnim doświadczeniem myślę, że coś widzieli. Jakieś zjawisko świetlne na niebie. Co to było? Nie wiem, choćbyś mnie zabił. To mógł być meteoryt albo rodzaj sztucznych ogni, które jakiś dureń odpalił z łodzi. A to, co się stało później, to zbieg okoliczności. Mogli widzieć płonące paliwo albo samolot, tak jak pokazano na filmie agencji.

- Większość świadków, albo nawet wszyscy, zgadzała się co do jednego: że animacja CIA nie pokazywała tego, co widzieli - przypominałem mu.

- Widzę, że popracowałeś trochę od wczoraj - rzekł Dick, nachylając się do mnie nad stołem. - Myślę, że moja technika prowadzenia przesłuchań jest bardzo dobra... chociaż zaszrafa CIA i zaszrafa FBI chrzanią coś o tym, że to niewłaściwe metody prowadzenia przesłuchań sprawiły, że ci świadkowie opisywali tę smugę światła. A te typki nie mówiły o sobie. Wyszło więc na to, że to wina nowojorskiej policji, że dwustu świadków zobaczyło to samo. Uwierzyłyś w taki szajs?

- Tak.

Dick się uśmiechnął.

- Tak czy siak za pierwszym podejściem wydobyłem z tych świadków wszystko, co się dało. Za drugim razem byli już po lekturze gazet i oglądaniu wiadomości, więc ich zeznania wahały się od: „Jezu, to działo się tak szybko, że nie jestem pewien, co widziałem” do: „Hej, przecież powiedziałem panu, że to był pocisk sterowany”, po czym następował szczegółowy opis czerwono-pomarańczowego ognia i pióropusza białego dymu, zyzakowania i kluczenia. Nie opowiadali tylko o kolorze tego zakichanego pocisku, który po chwili uderzył w samolot. - Dick spojrzał na mnie. - Znamy to, John. Ilu świadków zapomniało wszystko na sali sądowej albo pamiętało rzeczy, które się nie zdarzyły?

- Racja. - To jednak nasunęło mi inną myśl. Za często patrzymy na to, co jest przed nami, i badamy ze wszystkich stron. A czasem ważne jest to, czego brakuje - jak z tym psem, który nie zaszczekał w

nocy. - Zawsze się zastanawiałem, dlaczego nie podjęto pewnych działań. Dlaczego na przykład nie powołano sądu śledczego Departamentu Sprawiedliwości, w którego mocy jest wezwanie wszystkich świadków, detektywów i biegłych do złożenia zeznań pod przysięgą. Zespół bezstronnych sędziów ma wtedy prawo zadawać pytania na sali sądowej. Czemu tego nie zrobiono?

Dick wzruszył ramionami.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Zapytaj Janet Reno.

Milczałem.

- Było kilka publicznych przesłuchań, mnóstwo konferencji prasowych - dodał Dick.

- Ale nic nie działa się pod nadzorem sądu lub Kongresu.

- Masz na myśli coś w rodzaju komisji Warrena? - spytał z kpiącym uśmiechem Dick. - Cholera, do tej pory nie wiem, kto zabił Kennedy'ego.

- Moja była żona. Wiesz, ona gada przez sen.

- Taak, jasne.

Roześmialiśmy się półgłosem.

Dick znów zapalił jednego papierosa od drugiego.

- Musiałem pojechać w interesach do Los Angeles. Tam nie wolno palić w restauracjach i barach, uwierzyłbyś? Co się dzieje w tym zaszranym kraju? Jakież palanty ustalają prawa, a ludzie ich słuchają bez szemrania. Zamieniamy się w stado owiec. Niedługo wprowadzą ustawę zabraniającą pierdzenia.

Wywieszają tabliczkę z napisem: „W tym lokalu się nie pierdzi. Pierdzenie prowadzi do poważnych schorzeń nosa i gardła”. Już widzę ten znak z przekreślonym pochyłym facetem w kółeczku. Co będzie dalej?

Pozwoliłem mu głądzić jeszcze przez chwilę, a potem zapytałem:

- Czy wezwano cię kiedyś na któreś z tych publicznych przesłuchań?

- Nie, ale...

- Czy któryś ze śledczych lub świadków został wezwany na publiczne przesłuchanie?

- Nie, ale...

- Czy CIA przesłuchiwała jakiegoś świadka w czasie robienia tego filmu?

- Nie... ale mówili, że tak. Później wielu świadków przyłapało ich na tym i wtedy CIA przyznała, że korzystała tylko ze spisanych zeznań.

- Czy to cię niepokoi?

- Z profesjonalnego punktu widzenia... Słuchaj, popełniono wiele błędów i właśnie dlatego ludzie tacy jak ty węszą i mącą. Oto mój wniosek i naprawdę w niego wierzę: to był zakichany wypadek. I radzę ci, zostaw tę sprawę.

- Okay.

- Nie uczestniczę w spisku ani tuszowaniu sprawy, John. Proszę cię, żebyś dał temu spokój z dwóch powodów. Po pierwsze, nie było spisku ani tuszowania, więc niczego nie odkryjesz poza bagnem ludzkiej głupoty. Po drugie, jesteśmy starymi kumplami i nie chcę, żebyś wpadł w tarapaty bez powodu. Chcesz się wpakować? Zrób coś, co jest tego warte. Kopnij w jaja Koeniga.

- Już to zrobiłem dzisiaj z samego rana.

Dick parsknął śmiechem i spojrzał na zegarek.

- Muszę lecieć. Pozdrów Kate.

- Dobra. A ty pozdrów Mo.

Dick zaczął wychodzić z boksu.

- A, jeszcze jedno. Hotel Bayview. Plażowe igraszki na kocu. Coś ci to mówi? - spytałem.

Dick spojrzał na mnie.

- Obiło mi się o uszy. Ale powiem ci, że plotek było więcej, niż zdołały przełknąć gazety. Pewnie usłyszałeś tę samą co ja.

- Opowiedz mi o niej.

- O tej parce, co bzykała się na plaży przy włączonej kamerze wideo. Podobno sfilmowali eksplozję. Jacyś miejscowi gliniarze powiedzieli to naszym ludziom. Tylko tyle słyszałem.

- Słyszałeś, że tych dwoje mogło się zatrzymać w hotelu Bayview?

- Coś w tym rodzaju. Muszę lecieć.

Dick wstał.

- Potrzebuję nazwiska - rzuciłem.

- Jakiego nazwiska?

- Byle jakiego. Kogoś, kto pracował przy tej sprawie i kogo federalni nie trzymają w swoich łapskach. Kogoś, kto może mieć użyteczne

dla mnie informacje. Na przykład o tej plotce. Pamiętasz, jak to działa. Podajesz mi nazwisko, rozmawiam z człowiekiem, a on podaje mi następne nazwisko. I tak dalej. Dick stał przez chwilę w milczeniu.

- Nigdy nie słuchałeś dobrych rad. Dobra, podam ci nazwisko. Marie Gubitosi. Znasz ją?

- Taak... Pracowała kiedyś na Manhattanie Południu.

- No właśnie. Przed tobą pracowała z przerwami w zespole śledczym. Jest szczęśliwą mężatką, ma dwoje dzieci, zwolniła się z roboty. Nic nie straci, rozmawiając z tobą, ale też niczego nie zyska.

- Gdzie mogę ją znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Jesteś detektywem. Znajdź ją.

- Dobra. Dziękuję.

- Nie powołuj się na mnie.

- Jasna sprawa.

Dick ruszył w stronę wyjścia i nagle się odwrócił.

- Rozmawialiśmy o sprawdzaniu ludzi pod kątem dopuszczania do poufnych informacji, ciekawiło cię, jak się do tego zabieram. Wykonam kilka telefonów, rzucę twoje nazwisko. Przyślij mi swój życiorys albo coś w tym guście. Możliwe, że ktoś wezwie cię na rozmowę.

- A jeśli zaproponują mi twoją robotę?

- Przyjmij.

Rozdział 17

Poszedłem do Ecco przy Chambers Street. Szeff sali mnie rozpoznał.

- Dzień dobry, panie Mayfield. Pańska żona już jest.
 - Która?
 - Tędy, proszę pana. - Zaprowadził mnie do stolika, przy którym siedziała Kate, popijając mineralną z bąbelkami i czytając „Timesa”. Pocałowałem ją i zająłem miejsce naprzeciwko.
 - Zamówiłam ci budweisera - oznajmiła.
 - To dobrze. - Nie jest tak źle być żonatym. Nawet wygodnie.
- Po chwili przyniesiono piwo; stuknęliśmy się szklankami.

Ecco to przyjemny, nienowoczesny lokalik, do którego uczęszczają pracownicy urzędu miasta i sądów, między innymi ławnicy, a także niestety adwokaci tacy jak moja była żona. Do tej pory nie wpadłem na nią ani na jej niewartego wzmianki drugiego, ale pewnego dnia wpadnę.

Kelner przyniósł karty, ale my zamówiliśmy bez zaglądania do nich. Kate wzięła sałatkę i tuńczyka z rusztu, a ja pieczone kalmary i makaron alla wódka.

Jestem na diecie doktora Atkinsona. Harvey Atkinson to gruby dentysta z Brooklynu, którego filozoficzne motto brzmi: „Jedz to, co ci smakuje, i nie zostawiaj niczego na talerzu”.

- Trochę przybierasz na wadze - zauważyła Kate.
- To przez te poziome paski na krawacie. - Co ja powiedziałem przed chwilą o małżeństwie?

- Powinieneś się lepiej odżywiać i więcej ćwiczyć - pouczyła mnie Kate, po czym postanowiła zmienić temat. - Jak poszło spotkanie?

- Dobrze.

- Czy miało coś wspólnego z dniem wczorajszym?

- Niewykluczone. Wiesz, kto przesłuchiwał Lesliego Rosenthala, menedżera hotelu Bayview?

- Pięć lat temu zadałam panu Rosenthalowi to samo pytanie. Najpierw rozmawiał z nim policyjny detektyw z grupy operacyjnej i nie podał swojego nazwiska. Detektyw uświadomił sobie, że być może trafił na trop koca znalezionej na plaży, więc zadzwonił do FBI. Zjawili się trzech mężczyzn, którzy podali się za agentów. Mówił tylko jeden z nich, ale Rosenthal nie dosłyszał jego nazwiska.

- Nie dali mu wizytówek?

- Tak powiedział. Według pana Rosenthala ci trzej i jeszcze kilku innych przesłuchali personel i przejrzeni hotelowe rejestracje w komputerze oraz na papierze, zrobili ich kopie. Przypuszczam, że próbowali ustalić, czy dwoje spośród hotelowych gości zabrało tego wieczoru koc na plażę. Być może właśnie oni filmowali siebie i niechący nagrali katastrofę TWA osiemset.

- A my nie wiemy, czy ci trzej agenci zdołali zidentyfikować tę parę - wtrąciłem. - Instynkt podpowiada mi, że tak. Nawet gdybyśmy znaleźli tych dwoje, można podejrzewać, że zostali zneutralizowani albo wyparowali.

Kate nie odpowiedziała.

- To samo stało się z taśmą, jeśli w ogóle istniała.

- Jeśli tak było, to przynajmniej powinniśmy się tego dowiedzieć. John, ja nigdy nie myślałam, że uda nam się rozwiązać zagadkę katastrofy TWA osiemset. Chciałam tylko... znaleźć tych dwoje i z nimi pomówić...

- Dlaczego?

- Nie będę wiedziała, dopóki z nimi nie porozmawiam.

- To zabrzmiało jak moja kwestia.

Kate się uśmiechnęła.

- Wywarłeś wielki wpływ na mój sposób myślenia.

- I vice versa.

- Nie zauważyłam.
- Podano przystawki.
- Myślisz, że pan Rosenthal wciąż pracuje w hotelu Bayview? - zapytałem.
 - Wiem, że tak. Sprawdzam to co rok. Dowiedziałam się nawet, gdzie mieszka. - Spojrzała na mnie. - Nie pracuję nad tą sprawą, ale uaktualniam akta.
 - Jakie akta?
- Kate dotknęła ręką głowy.
- Tutaj.
 - Powiedz mi, co jeszcze tam trzymasz.
 - Wczoraj to zrobiłam. Teraz będzie lepiej, żebyś pytał, kiedy będziesz czegoś potrzebował. Powinieneś dochodzić do pytań, zanim dojdiesz do odpowiedzi.
 - Okay. Rozumiem, że chcesz, bym rozpracowywał tę sprawę jak detektyw, który przed chwilą dostał cynk, to znaczy został zawiadomiony o popełnieniu przestępstwa. Ale to stara sprawa, a ja nigdy nie pracowałem w grupie zajmującej się nierozwiązanymi sprawami. Przywykłem do tego, że zabierałem się do roboty, zanim krew zdążyła skrzepnąć na zwłokach.
 - Przestań, ja jem. - Kate podsunęła mi widelec z sałatką. - Spróbuj.
- Otworzyłem szeroko usta, a żona wsunęła mi kęs.
- Poproszę o następne pytanie.
 - Okay. Rozmawiałaś kiedyś o tej sprawie z Tedem Nashem?
 - Ani razu.
 - Nawet przy kolacji lub przy drinku?
 - Nie rozmawiałabym z nim o tym, nawet gdybyśmy byli razem w łóżku.
 - Zadzwońię do niego.
 - On nie żyje, John.
 - Wiem, ale lubię, kiedy mi się o tym przypomina.
 - John, to nie jest zabawne - zganiła mnie Kate. - Może go nie lubieś, ale był dobrym i sumiennym agentem. Bardzo inteligentnym i skutecznym.
 - Świetnie. Zadzwońię do niego.
- Podano główne dania; zamówiłem jeszcze jedno piwo i zabrałem

się do makaronu. - Zjedz trochę moich warzyw - zaproponowała Kate.

- Jeffrey Dahmer zaprasza matkę na lunch. Kobieta mówi: „Jeffrey, nie lubię twoich przyjaciół”. A on na to: „W takim razie zjedz warzywa”.

- To odrażające.

- Zwykle wzbudza śmiech. - Postanowiłem spoważnieć. - Więc zakładam, że z Liamem Griffithem też nie rozmawiałaś o tej sprawie.

- Nie rozmawiałam z nikim. Z wyjątkiem typów na dwudziestym ósmym piętrze, którzy powiedzieli mi, że to nie moja sprawa.

- Tak. Więc postarałaś się, żeby była moja.

- Jeśli zechcesz. Wszystko sprowadza się do znalezienia tych dwojga. Gdyby zostali znalezieni i okazało się, że to ślepy zaułek, że oni niczego nie widzieli ani nie sfilmowali, to byłby koniec. Resztę sprawy, świadków i dowody, przemaglowano tysiące razy. Ale ci dwoje, którzy zostawili tego wieczoru na plaży osłonę obiektywu kamery i koc... - Kate spojrzała na mnie i zapytała: - Myślisz, że ktoś nagrywał coś na wideo i uchwycił to, co widzieli świadkowie?

- Oczywiście zależy to od tego, w którą stronę była skierowana kamera i czy była włączona - odparłem. - Później zostaje jeszcze kwestia jakości filmu. Ale założmy, że przypadkowo wszystkie te elementy się zgrały i że ostatnie sekundy lotu TWA osiemset zostały zarejestrowane. Powiedzmy nawet, że ten film istnieje. I co z tego?

- Jak to, co z tego? Dwustu świadków obejrzałoby ten film...

- Podobnie jak FBI, CIA i ich eksperci. Ktoś musi zinterpretować nagranie.

- Ono nie potrzebowałoby interpretacji. Mówiłoby samo za siebie.

- Czyżby? Amatorski film, nagrany o zmierzchu na tle wieczornego nieba, prawdopodobnie z trójnogu - przy założeniu, że tych dwoje zajmowało się czym innym - może nie pokazać tego, co przypuszczasz. Kate, przez pięć lat poszukiwałaś świętego Graala, który może istnieje, ale być może nigdy go nie znajdziesz, a jeśli znajdziesz,

to może nie będzie obdarzony czarodziejską mocą. Kate nie odpowiedziała.

- Słyszałaś o filmie Zaprudera.

Skinęła głową.

- Niejaki Zapruder filmował konwój motocyklowy Johna Kennedy'ego przejeżdżający obok Teksaskiego Składu Książek. Korzystał z ręcznej, osmiomilimetrowej kamery Bell&Powell. Nagranie trwało dwadzieścia sześć sekund. Widziałaś je kiedyś?

Kate skinęła głową.

- Ja też. Widziałem wersję cyfrową i oglądałam ją w zwolnionym tempie. Ile strzałów oddano? I z której strony padały? Odpowiedź zależy od tego, kogo zapytasz.

Kate milczała przez chwilę, a potem odparła:

- Mimo to nie możemy interpretować nagrania, dopóki go nie znajdziemy. Wszystko po kolei.

Kelner uprzątnął stolik, zanim wsunąłem do ust ostatnią rurkę makaronu. Dopilem piwo, a Kate dokończyła wodę mineralną. Siedziała głęboko pogrążona w myślach.

Podejrzywałem, że nie dyskutowała o tym z wieloma ludźmi, a ci, z którymi rozmawiała, zgadzali się, że jeśli taśma zostanie znaleziona, znacznie ułatwi rozwiązanie sprawy.

I wtedy pojawia się John Corey, sceptyk, cynik, realista, spec od przekłuwania balonów. Kręcę się w tym interesie o czternaście lat dłużej od Kate, dużo widziałem - może za dużo - i zbyt wiele razy rozczarowywałem się jako gliniarz i jako mężczyzna. Widywałem morderców puszczanych wolno i setki niewyjaśnionych zbrodni, których sprawcy nie zostali ukarani. Widziałem świadków łączących pod przysięgą, widziałem nieudolną policyjną robotę, niekompetentnych prokuratorów, niechlujnych techników laboratoryjnych, bezczelnych adwokatów, tępych sędziów i bezmózgich przysięgłych.

Widziałem też wspaniałe rzeczy: olśniewające triumfy prawdy i sprawiedliwości w sali sądowej, gdy system działał jak dobrze naoliwiony zegar. Ale takich dni nie było wiele.

Zamówiliśmy kawę.

- Czy to prawda o niebieskim murze milczenia? - spytała Kate.

- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Czy gliniarz może zaufać drugiemu gliniarzowi zawsze i w każdej sytuacji?
 - W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Chociaż wskaźnik ten spada do pięćdziesięciu, gdy chodzi o kobietę, i wzrasta do stu, kiedy w grę wchodzi FBI.

Kate uśmiechnęła się i nachyliła nad stołem.

- Po katastrofie samolotu na Long Island pracowało ponad stu gliniarzy z grupy dochodzeniowej i co najmniej tyle samo tutaj. Któryś z nich musi coś wiedzieć.

- Rozumiem.

Ujęła mnie za rękę.

- Ale jeśli zrobi się gorąco, daj spokój. A jeżeli wpadniesz w tarapaty, wezmę winę na siebie.

Nie wiedziałem, czy zakrzusić się ze wzruszenia, czy przypomnieć jej, że nie mógłbym wpaść w tarapaty bez jej rady i pomocy.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Abstrahując od dążenia do prawdy i sprawiedliwości, jaka jest twoja motywacja, żeby zajmować się tą sprawą?

- Czy potrzebna mi jakaś inna motywacja? Prawda i sprawiedliwość, John. Sprawiedliwość dla ofiar i ich rodzin. A jeśli to był atak zagranicznych terrorystów, w grę wchodzi także patriotyzm. Czy to nie jest wystarczający powód?

Prawidłowa odpowiedź brzmiała „tak” i to właśnie powiedziała John Corey dwadzieścia lat temu. Ale teraz mruknąłem tylko:

- Taak, chyba jest.

Kate nie przypadło to do gustu.

- Powinieneś wierzyć w to, co robisz, i wiedzieć, dlaczego to robisz.

- Dobrze, więc ci powiem: wykonuję detektywistyczną robotę, bo ją lubię. Jest ciekawa i pozwala mi utrzymywać mózg w dobrej formie, dzięki temu czuję się mądrzejszy od tych idiotów, dla których pracuję. Na tym polega moje przywiązanie do prawdy, sprawiedliwości i ojczyzny. Postępuję słusznie z niesłusznych pobudek, ale chodzi

o to, że prawdzie i sprawiedliwości staje się zadość. Jeśli chcesz postępować słusznie ze słusznych pobudek, proszę bardzo, ale nie spodziewaj się, że będę podzielał twój idealizm.

- Przyjmuję pomoc na twoich warunkach. Nad twoim cynizmem popracujemy kiedy indziej - odparła Kate po chwili namysłu.

Nie lubię, kiedy ktoś - a zwłaszcza kobieta - nadweręża mój z trudem wywalczony cynizm. Wiem, co nakręca mnie do działania. I wiedziałem, że w ciągu najbliższych dni i tygodni będę musiał być mocno nakręcony.

Rozdział 18

Wróciłem z Kate do gmachu przy Federal Plaza 26.

- Muszę wykonać parę telefonów z automatu. Do zobaczenia później.

Kate przyjrzała mi się.

- Masz w oczach to nieobecne spojrzenie, które zawsze znaczy, że na coś trafiłeś.

- Jestem trochę ospały po makaronie. Nie próbuj czytać w moich myślach. To mnie przeraża.

Uśmiechnęła się, cmoknęła mnie i ruszyła w stronę wind.

Poszedłem do automatu przy Broadwayu i wyłowilem trochę drobniaków z kieszeni. Pamiętam, że kiedyś trzeba było stać w kolejce do telefonu, ale teraz wszyscy mają komórki, nawet bezdomni, a automaty stoją opuszczone jak konfesjonały w katedrze Świętego Patryka.

Wrzuciłem miedziaka i wybrałem numer komórki mojego byłego partnera, Doma Fanellego, który pracował na Manhattanie Południu.

- Halo? - usłyszałem.

- Cześć, Dom.

- Hej, *paisano*! Kopę lat. Gdzie się podziewasz? Skoczmy wieczorem na piwo.

- Jesteś na posterunku?

- Taak, a co? Wszyscy chętnie by cię zobaczyli. Porucznik Wolfe się za tobą stęsknił. Ma nowy przycisk do papieru.

- Potrzebuję pewnej przysługi.

- Załatwione. Przyjeżdżaj.

- Nie mogę. Potrzebuję...
- Jesteś wolny wieczorem? Znalazłem nową knajpę w Chelsea, nazywa się Tonic. Niesamowite dupcie tam się kręcą.
- Jestem żonaty.
- Nie chrzaniś? Od kiedy?
- Byłeś na ślubie.
- Faktycznie. Jak się miewa Kate?
- Świetnie. Przesyła ci pozdrowienia.
- Ona mnie nienawidzi.
- Uwielbia cię.
- Nieważne.

Trudno było uwierzyć, że ten facet jest błyskotliwym detektywem. Ale to prawda. Wiele się od niego nauczyłem. Na przykład, jak udawać durnia.

- Co u Mary?
 - Nie mam pojęcia. A ty coś wiesz? - Zaśmiał się ze swojego żartu, co zdarza mu się bardzo często. - Mówiąc poważnie, w ciągu całego mojego małżeństwa nigdy nie oszukałem żadnej dziewczyny.
 - Wielkoduszny z ciebie gość. No dobra...
 - Jak leci w Fed dwadzieścia sześć?
 - Bosko. Ale, ale... Widziałem przedwczoraj kapitana Steina, on wciąż czeka, że złożysz papiery i przyjdiesz do grupy operacyjnej. Możesz dostać tę robotę, jeśli zechcesz.
 - Zdawało mi się, że wysłałem te papiery. Boże! Mam nadzieję, że nie straciłem okazji, żeby pracować dla FBI.
 - To świetna robota. Nie znudziło cię już ugania się za ludźmi, którzy mordują innych ludzi?
 - Znudzę się nimi, kiedy oni znudzą się mną.
 - Słusznie. Pamiętasz...?
 - Żeby nie zapomniał. Możliwe, że wpadłem na trop tych dwóch latynoskich dżentelmenów, którzy cię trochę podziurawili.
 - Co to za trop?
 - Pozwól mi się tym zająć, ty masz dość na głowie. Zadzwoń do ciebie, kiedy będziemy gotowi.
 - Jeśli ci się przypomni.
- Roześmiał się, a potem rzekł poważnie:
- Ilekroć pomyślę, jak leżałeś na ulicy, wykrwawiając się...

- Po raz kolejny dziękuję za uratowanie mi życia. Dzięki za to, że trafiłem do jednostki antyterrorystycznej, w której poznałem Kate. Czy o czymś zapomniałem?

- Chyba nie. Nie liczymy sobie przysług, John. Wiesz o tym. Kiedy ty będziesz czegoś potrzebował, jestem na zawołanie, a jeśli ja znajdę się w potrzebie, będę mógł liczyć na ciebie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zapomniałem.

Dom parsknął śmiechem.

- Coś nowego w sprawie Khalila?

- Nie.

- Skurwiel wyskoczy, kiedy najmniej będziesz się go spodziewał.

- Dzięki. Słuchaj... - W automacie coś stuknęło. Wrzuciłem następną monetę. - Pamiętasz Marie Gubitosi?

- Tak. Czemu pytasz? Świetny tyłeczek. Ten Kulowski czy Kulkowski ją obracał. Pamiętasz? Był żonaty, żona się dowiedziała i...

- Taak. Muszę ją znaleźć. Jest teraz mężatką...

- Wiem. Wyszła za gościa z zewnątrz. Mieszka... chyba na Staten Island. Do czego ci ona?

- Nie będę wiedział, póki jej nie znajdę.

- Taak? Czemu chcesz, żebym ja ją znalazł? Możesz ją namierzyć w godzinę. I dlaczego dzwonicz z automatu? Co jest grane, John? Masz kłopoty?

- Nie, robię coś na boku.

- Taak? A na którym?

Spojrzałem na zegarek. Jeśli chcę zdążyć na prom do Staten Island o trzeciej, to muszę skrócić gadkę Fanellego. Łatwo powiedzieć.

- Dom, nie mogę mówić przez telefon. Wypijemy piwo w przyszłym tygodniu. Tymczasem daj mi namiary na Marie i zadzwoń na komórkę.

- Zaczekaj sekundę. Mam swojego człowieka w Kołowrotku.

Przełączył mnie na oczekiwanie. Kołowrotek to dział personalny w budynku Police Plaza. Nie jestem pewien, dlaczego nazywają go Kołowrotkiem, a po dwudziestu latach pracy w policji nowojorskiej nie chcę pytać jak nowicjusz. Powinienem był to zrobić dwadzieścia lat

temu. A chodzi o to, że jeśli kogoś się tam zna - a Dom Fanelli znalazł kogoś wszędzie - można ominąć biurokratyczne zasieki i zdobyć informację naprawdę błyskawicznie.

- Marie Gubitosi nie odeszła naprawdę z zawodu - poinformował mnie Fanelli. - Jest na przedłużonym urlopie macierzyńskim od stycznia dziewięćdziesiątego siódmego roku. Po mężu nazywa się Lentini. Wyszła za makaroniarza. Mamusia jest zadowolona. Próbuję sobie przypomnieć, co się stało z Kowalskim, kiedy jego żona się dowiedziała...

- Dom, podaj mi ten zakichany numer telefonu.
- Dali mi tylko numer komórki. Nie mam adresu. Gotowy? Dom podyktował mi numer.
- Dzięki. Zadzwoń w przyszłym tygodniu.
- Taak. Albo wcześniej, jeśli uda ci się wpakować w głębokie gównno. Musisz mi powiedzieć, co jest grane.

- Powiem.
- Uważaj na siebie.
- Zawsze tak robię. - Odwiesiłem słuchawkę, wrzuciłem monetę i wybrałem numer. Po trzech dzwonekach odezwał się kobiecy głos.

- Halo?
- Chciałbym mówić z Marie Gubitosi.
- Przy telefonie. Kto mówi?
- Marie, to ja, John Corey. Pracowaliśmy razem na Manhattanie Południu.

- A, tak. Co jest?
W tle słyszałem przynajmniej dwoje wrzeszczących dzieci.
- Chcę porozmawiać o pewnej starej sprawie. Możemy się gdzieś spotkać?

- Jasne. Załatw mi opiekunkę, to mogę pić z tobą przez całą noc. Roześmiałem się.
- Moja żona może popilnować dzieci.
- Twoja żona prawniczka? Ile bierze?
- Rozwiedliśmy się. Mam nową żonę.
- Coś podobnego. Powiem ci, że ta pierwsza była nadęta. Pamiętasz pożegnalne przyjęcie Charliego Cribbsa?

- Taak. Tego wieczoru była trochę nie w sosie. Słuchaj, może

podjechałbym teraz, jeśli to ci pasuje. Staten Island, zgadza się?

- Tak, ale dzieciaki szaleją...
- Uwielbiam dzieci.
- Ale nie te. Może mogłabym ci pomóc przez telefon.
- Wolalbym porozmawiać osobiście.
- Joe, mój mąż... nie chce, żebym znów angażowała się w robotę.
- Jesteś na przedłużonym urlopie, Marie. Nie odeszłaś z pracy.

Nie utrudniamy sobie życia.

- Czy ty nie odszedłeś na trzy czwarte emerytury?
- Odszedłem.
- Więc jak to się stało, że wróciłeś?

Nie chciałem odpowiadać na to pytanie, ale musiałem.

- Jestem w ATTF. Agent kontraktowy.
- Byłam w grupie operacyjnej przez niespełna pół roku i pracowałam tylko przy dwóch sprawach. Która cię interesuje? - odparła po chwili milczenia Marie.

- Ta druga.
- Mam wrażenie, że nie dzwoniś oficjalnie - powiedziała po dłuższej chwili milczenia.
- Zgadłaś. Sprawa jest zamknięta. Wiesz o tym. Dostałem twoje nazwisko od kolegi z pracy. Muszę z tobą pomówić. Nieoficjalnie.
- Od którego kolegi?
- Nie mogę powiedzieć. I twojego nazwiska też nikomu nie powtórzę. Dzwonię z płatnego automatu i kończą mi się drobne. Chcę tylko, żebyś poświęciła mi mniej więcej pół godziny.
- Mój mąż pracuje jako dostawca. Wpada do domu bez uprzedzenia. Jest duży i zazdrosny.
- W porządku. Jakoś mu wytłumaczę. A jak mi się nie uda, to mam gnata.

Marie parsknęła śmiechem.

- Dobra, przyda mi się trochę dorosłego towarzystwa.
Podala mi adres na Staten Island.
- Dzięki. Spróbuję złapać prom o trzeciej. A ty tymczasem spróbuj wygrzebać stary notatnik. Lipiec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku.

- Mieszkam dwadzieścia minut jazdy taksówką od przystani - poinformowała Marie. - Stań po drodze i kup mi paczkę pampersów.
- Mm...
- Taką z napisem Elmo.
- Co...?
- Rozmiarówka, numer cztery. Będziesz przejeżdżał koło sklepu Duane Reade. Na razie.

Odwiesiłem słuchawkę i wyszedłem z budki. Elmo?

Zatrzymałem taksówkę na Broadwayu i mignąłem policyjną odznaką, znacznie lepiej rozpoznawalną niż legitymacja FBI.

- Muszę zdążyć na prom do Staten Island o trzeciej - oznajmiłem dżentelmenowi w turbanie. - Do dechy.

Taksówkarz chyba nie widział zbyt wielu amerykańskich filmów.

- Do czego? - zapytał.

- Gazu. Jestem z policji.

- Aha.

Taki kurs to marzenie taksówkarzy z Manhattanu. Facet przeleciał kilka skrzyżowań na Broadwayu i stanął przed przystanią promu za pięć trzecia. Nie chciał forsy, ale i tak dałem mu piąta.

Z przyczyn, których nikt we wszechświecie nie umiałby wyjaśnić, miejski prom woził teraz pieszych pasażerów za darmo. Może przejażdżka z powrotem kosztuje sto dolarów.

Sternik zatrąbił syreną, podbiegłem do mola i wskoczyłem na pokład. Wziąłem rozkład kursów promu i przeszedłem przez dolny pokład. O tej godzinie było mnóstwo wolnych miejsc, ale wszedłem po schodach na górę. Słońce, niebieska woda, czyste niebo, holowniki, mewy, kontury miasta, słona bryza - jednym słowem, sielanka.

Jako dzieciak pływałem latem tym promem z kolegami. Kosztował pięć centów. Przeplądaliśmy na drugą stronę, kupowaliśmy lody i wracaliśmy na Manhattan. Całkowity koszt: dwadzieścia pięć centów. Nieźle jak na wielką przygodę.

W późniejszych latach umawiałem się na wieczorne randki. Patrzyliśmy na Statuę Wolności, całą oświetloną, niesamowite kontury

Dolnego Manhattanu z rosnącymi piętro po piętrze, rok po roku bliźniaczymi wieżami nowego World Trade Center i most Brooklyński w naszymyjniu światel. Niesamowicie romantyczna i tania randka.

Od tego czasu miasto się zmieniło, przeważnie na lepsze. Czego nie mogę powiedzieć o reszcie świata.

Gapilem się na Statuę Wolności, próbując wskrzesić w sobie odrobinę zapomnianego dziecięcego patriotyzmu.

Może niezapomnianego, lecz z całą pewnością nie całkiem teraz obudzonego, co uświadomiłem sobie w czasie lunchu z Kate.

Skupiłem uwagę na zbliżającym się brzegu Staten Island i pomyślałem o krótkiej rozmowie z Marie Gubitosi. Mogła mnie splawić, mówiąc: „Nic nie wiem, a jeśli coś wiem, to i tak ci nie powiem”.

Jednak tego nie powiedziała, więc może coś wie i zechce się ze mną podzielić. A może chodziło jej tylko o towarzystwo kogoś dorosłego i paczkę pampersów. Albo dzwoni teraz do siepaczy z wydziału wewnętrznego, którzy nagrają naszą rozmowę i mnie zgarną. Niebawem miałem się przekonać, jak jest naprawdę.

Rozdział 19

Zsiadłem z promu na przystani St. George, przeszedłem do postojku taksówek i podałem kierowcy adres w New Springville.

Nie znam zbyt dobrze tego peryferyjnego osiedla, ale kiedy byłem młodym gliniarzem, tych, którzy coś spieprzyli, straszono zsyłką na Staten Island. Dręczyły mnie koszmary, w których robiłem obchód po lasach i pełnych komarów grzęzawiskach, kręcąc pałką i pogwizdując w ciemności.

Lecz tak jak większość miejsc, o których sama wzmianka krew ścina w żyłach, takich jak Syberia, Dolina Śmierci czy New Jersey, Staten Island w rzeczywistości nie była godna swojej złowrogiej reputacji.

W gruncie rzeczy to osiedle Nowego Jorku jest całkiem znośną mieszkanką środowiska miejskiego z podmiejskim i wiejskim, zamieszkaną głównie przez członków klasy średniej, przeważnie zwolenników partii republikańskiej. Ten ostatni fakt sprawiał, że darmowy prom wydawał się jeszcze mniej zrozumiały.

Na Staten Island znalazło swój dom także wielu gliniarzy z miasta, którzy być może trafili tam pierwszy raz za karę, ale spodobało im się i zostali. Mniej więcej tak samo doszło do zasiedlenia Australii.

Tak czy owak mieszkała tam obecnie Marie Gubitosi-Lentini, niegdyś pracownica ATTF, a teraz czyjaś żona i matka, która zapewne rozmyślała właśnie o mojej wizycie i która - taką miałem nadzieję - odszukała swój notatnik z interesującego mnie okresu. Nie znałem żadnego detektywa, który wyrzucałby stare notatniki, ale czasami

ginęły lub gdzieś się zawieruszały. Liczyłem na to, że Marie ma przy najmniej dobrą pamięć. Oraz na to, że pamięta, komu winna jest lojalność.

Taksówkarzem był dżentelmen nazywający się Slobodan Milkovic, przypuszczalnie bałkański zbrodniarz wojenny, który zamiast patrzeć na drogę, oglądał plan miasta.

- Po drodze jest Duane Reade - powiedziałem. - *Capisce?* Apteka. Sklep z lekarstwami. Muszę się tam zatrzymać.

Kierowca skinął głową i przyspieszył, jakby to była bardzo pilna misja.

Wjechaliśmy w Victory Boulevard i pan Milkovic skręcił na dwóch kołach w alejkę, przy której mieścił się sklep Duane Reade.

Nie będę opisywał poniżenia, jakie stało się udziałem Johna Coreya, gdy musiał kupować pieluszki z buźką Elmo na opakowaniu; powiem tylko, że nie zaliczam tego do swoich najlepszych sklepowych doświadczeń.

Po dziesięciu minutach znów siedziałem w taksówce, a po następnych dziesięciu stałem przez rezydencją państwa Lentinich.

Ulica była dość nowa i ciągnęły się wzdłuż niej rzędy szeregowców z czerwonej cegły, wykończonych białym winylowym sidingiem. Biegły jak okiem sięgnąć niczym odbicie lustra w lustrze. Za ogrodzeniami czekały psy, na chodnikach bawiły się dzieci. Odłożywszy na bok swój manhattański snobizm, musiałem przyznać, że było to miłe, przytulne otoczenie. Gdybym tam mieszkał, przystawiłbym sobie pistolet do łba.

Nie byłem pewien, jak długo zabawię, i nie wiedziałem, czy na Staten Island jest jeszcze jedna taksówka, kazałem więc kierowcy nie wyciągać licznika. Wysiadłem, otworzyłem furtkę, przemierzyłem krótką betonową ścieżkę i zadzwoniłem.

W środku nie zaszczekał pies i nie usłyszałem wrzasku dziecka, co mnie uradowało. Po kilku sekundach Marie Gubitosi otworzyła frontowe drzwi, ubrana w czarne spodnie i czerwony top bez rękawów. Otworzyłem siatkowe drzwiczki i przywitaliśmy się.

- Dzięki, że pamiętałeś o pieluchach. Wejdz.

Podążyłem za nią do klimatyzowanego saloniku wyglądającego na taki, w którym Angela Soprano czułaby się doskonale, a następnie do

kuchni. Marie faktycznie miała ładny tyleczek. Trzeba przyznać, że Fanelli ma dobrą pamięć do istotnych szczegółów.

W saloniku panował porządek, za to w kuchni - totalny chaos. W kącie stał kojec, w którym leżało rozciągnięte jakieś dziecko w nieokreślonym wieku, ssąc smoczek butelki i bawiąc się palcami u nóg. Ja też nadal to robię, może stąd bierze się mój infantylnizm.

Stół, blat i podłoga były zasłane masą rzeczy, których mój umysł nie potrafił skatalogować. Wyglądało to jak scena po rabunku z podwójnym zabójstwem, którego ofiary stawily zdecydowany opór.

- Siadaj - zaprosiła Marie. - Zaparzę kawy.

- Dzięki. - Usiadłem przy małym kuchennym stole i położyłem na nim foliową torebkę z pampersami. Obok stał fotelik z tacką upakowaną czymś lepkiem.

- Przepraszam, straszny u mnie bajzel - powiedziała Marie.

- Całkiem przyjemnie.

Nalała kawy do dwóch kubków.

- Staram się sprzątnąć, zanim jego wysokość wróci do domu. Śmietanka? Cukier?

- Piję czarną.

Marie zaniósła kubki do stołu i dopiero teraz zauważyłem, że chodzi boso i jest w ciąży.

Usiadła naprzeciwko i podniosła kubek. Stuknęliśmy się.

- Dobrze wyglądasz - powiedziałem.

- Zwolnili cię ze względu na wadę wzroku?

Uśmiechnąłem się.

- Naprawdę.

- Dzięki.

Zerknęła do foliowej torebki.

- Elmo - zapewniłem. Marie się uśmiechnęła.

- Mogę ci za nie zapłacić?

- Nie. - Napilem się kawy. Marie Gubitosi wciąż była atrakcyjną kobietą; podejrzewałem, że ogarnęła się przed moim przyjściem. Oprócz woni zasyпки i ciepłego mleka wyczułem zapach eau de-coś tam.

- Marie skinęła głową w stronę kojca.
- To jest Joe junior, ma jedenaście miesięcy. Melissa, dwa i pół roku, dzięki Bogu śpi. A następne jest już w piecyku.
 - Kiedy się spodziewasz? - Dobrze, że nie zapomniałem spytać.
 - Za szesnaście tygodni i trzy dni.
 - Gratuluję.
 - Dzięki. Nigdy nie wrócę do pracy.
- Powinna była już się domyślić, skąd się biorą ciążę.
- Ani się obejrzysz.
 - Taak. Ty też dobrze wyglądasz. Może trochę przybrałeś na wadze. Rozwiodłeś się i znów ożeniłeś. Nic nie wiedziałam. O niczym już nie wiem. Kim jest ta szczęściara?
 - Kate Mayfield. Agentka FBI, pracuje w grupie operacyjnej.
 - Nie jestem pewna, czy ją znam.
 - Zaczęła pracować tuż przed katastrofą TWA osiemset. Zajmowała się tą sprawą.
- Marie nie zareagowała na wzmiankę o katastrofie samolotu.
- Więc ożeniłeś się z panną z FBI. Jezu, John, najpierw pani adwokat, potem agentka FBI. Co z tobą?
 - Lubię pieprzyć prawników.
- Marie parsknęła śmiechem tak mocno, że omal nie zakrztusiła się kawą.
- Pogawędziliśmy o niczym przez jakiś czas i było to całkiem przyjemne. Wymienialiśmy się plotkami i wspominaliśmy zabawne incydenty.
- Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Gramercy Park, gdzie żona zastrzeliła męża? Mówiła, że to on wyciągnął pistolet i w nią wymierzył, zaczęli się szarpać i broń wypaliła. Dom wchodzi do sypialni, gdzie podobno leżą sztywniejące zwłoki, wraca i krzyczy: „On żyje! Dzwońcie po karetkę!”. Potem spogląda na żonę i mówi: „Mąż twierdzi, że to pani wyciągnęła pistolet i zastrzeliła go z zimną krwią!”. Żona zemdlała.
- Oboje porządnie się z tego uśmialiśmy i zatęskniłem za dobrymi starymi czasami. Marie dołała kawy do kubków i spojrzała na mnie.
- Jak ci mogę pomóc?

Popatrzyłem na nią. Instynkt powiedział mi, że nie zadzwoniła i nie zadzwoni do wydziału wewnętrznego. Postawiłem kubek.

- A więc słuchaj. Wczoraj pojechałem na mszę ku czci ofiar katastrofy TWA osiemset i...

- Taak. Oglądałam to w telewizji. Ale ciebie nie widziałam. Kto by pomyślał, że to już pięć lat.

- Czas płynie. Po mszy podszedł do mnie facet z grupy operacyjnej, fedzio, i zaczął wypytywać, po co się tam kręcę.

Opisałem przebieg wydarzeń, nie wspominając o Kate, lecz Marie, która była bystrym detektywem, zapytała:

- Co ty tam właściwie robiłeś?

- Jak już wspomniałem, Kate pracowała przy tej sprawie, jeździ na mszę prawie co roku, a ja starałem się tylko być dobrym mężem.

Marie popatrzyła na mnie, jakby nie całkiem to kupowała. Odnośliem wrażenie, że podoba jej się ta mała łamigłówka, zabawa w detektywa zamiast zabawy gumowymi kacuzskami.

- Więc pracujesz w ATTF? - upewniła się.

- Taak. Jako agent kontraktowy.

- Powiedziałeś, że nie jesteś tu oficjalnie. Dlaczego do mnie przyszedłeś?

- Właśnie do tego zmierzam. Temu ważniakowi skądś przyszło do głowy, że interesuję się sprawą, i kazał mi wrzucić wsteczny. Wkurzył mnie, więc...

- Co to za jeden?

- Nie mogę powiedzieć.

- Okay, więc jakiś fedzio dopiekl ci, ty się wściekleś, i co...?

- I zaczęło mnie to ciekawić.

- Nudzicie się w ATTF?

- Można to tak ująć. Marie, mógłbym jeszcze wiele powiedzieć, ale im mniej wiesz, tym lepiej. Chcę tylko wiedzieć, co ty wiesz, i nawet nie wiem, jakie pytania ci zadawać.

Marie milczała przez chwilę.

- Nie złość się, ale skąd mam wiedzieć, że nie pracujesz dla wydziału wewnętrznego?

- Czy kiedykolwiek wzięłabyś mnie za faceta z wydziału wewnętrznego?

- Nie wtedy, kiedy cię znałam. Ale od tego czasu ożeniłeś się z dwiema prawniczkami.

- Ja ufam, że tego nie zgłosisz - odparłem. - Więc ty zaufaj mnie.

- Okay - powiedziała po krótkim namyśle Marie. - Pracowałam przy tej sprawie przez dwa miesiące. Głównie kręciłam się po przystaniach jachtowych i wypytywałam ludzi, czy widzieli tam jakieś dziwne łodzie lub dziwnych osobników. Wiesz, była taka hipoteza, że jakiś terrorysta lub czubek wypłynął łodzią w morze i wystrzelił z niej raketę do samolotu. Spędziłam więc lato w publicznych przystaniach i prywatnych klubach jachtowych. Czy ty masz pojęcie, ile tam jest przystani i łodzi? Ale to nie była zła chałtura. W wolne dni trochę wędkowałam... Ale nie łowiłam krabów. Nikt nie chciał jeść krabów... bo wiesz.

Marie milczała przez chwilę. Widziałem, że chociaż zachowuje się z ożywieniem, myśl o tamtym okresie nie sprawia jej przyjemności.

- Z kim pracowałaś? - spytałem.

- Nie podam ci żadnych nazwisk, John. Mogę z tobą rozmawiać, ale bez nazwisk.

- W porządku. Mów dalej.

- Musisz zadać mi jakieś pytanie naprowadzające.

- Hotel Bayview.

- Taak... mogłam się domyślić. Zerknęłam do notatnika, żeby odświeżyć sobie pamięć, ale niewiele tam znalazłam. Federalni kazali nam ograniczać notatki do minimum, bo powiedzieli, że nigdy nie będziemy na ten temat zeznawać. - Po chwili wyjaśniła: - Mówili nam w ten sposób, że to ich sprawa, a my tylko pomagamy.

Skinąłem głową i dodałem:

- Mówili też, że nie chcą, by zbyt wiele zostało na papierze.

Marie wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy. Ci goście grają w inną grę.

- Rzeczywiście. Więc byłaś w hotelu Bayview?

- Tak. Dwa dni po katastrofie wezwano mnie tam telefonicznie. FBI przesłuchiwało personel i potrzebowali ludzi, którzy wskazałiby osoby mogące wiedzieć coś ciekawego. Dołączyłam do trzech gliniarzy

z grupy operacyjnej i trzech fedziów, którzy już tam byli. Zrobili nam odprawę i powiedzieli...

Nagle junior zaczął wrzeszczeć, Marie wstała i podeszła do kojca.

- Co się stało mojemu maleństwu? - zaświergotała i wsunęła mu butelkę z powrotem do buzi.

Junior zaczął płakać głośniej. Marie wzięła go na ręce.

- Och, biedactwo zrobiło kupkę.

Czy to jest powód, żeby się drzeć? Gdybym ja zafajdał sobie spodnie, nie wrzeszczałbym o tym na całe gardło.

Marie złapała pampersy i zabrała gdzieś dziecko, by doprowadzić je do porządku.

Sprawdziłem przez komórkę, czy ktoś nagrał się na moją sekretarkę w pracy, ale nie było żadnych telefonów. Zadzwoiłem na telefon komórkowy kolegi z sąsiedniego boksu, Harry'ego Mullera.

- Jesteś na stanowisku?

- Tak. A czemu pytasz?

- Czy ktoś mnie szukał?

- Nie. Zgubiłeś się? Wyślę oddział poszukiwawczy. Jaki charakterystyczny punkt w terenie ostatnio widziałeś?

Każdy może być komikiem.

- Harry, czy ktoś dowiadywał się o moje miejsce pobytu?

- Owszem. Koenig zajrzał mniej więcej przed godziną i zapytał, czy wiem, gdzie się ukrywasz. Powiedziałem, że poszedłeś na lunch.

- Okay. - To dziwne, że Koenig nie zadzwonił na moją komórkę, jeśli chciał ze mną mówić, choć z drugiej strony może zapragnął tylko opowiedzieć nowy dowcip swojemu ulubionemu detektywowi. Tak czy inaczej nie chciałem dzisiaj widzieć Jacka Koeniga ani z nim rozmawiać. - Jest tam gdzieś Kate?

- Taak... widzę ją przy biurku. Czemu pytasz?

- Wyświadcz mi przysługę. Powiedz jej, że spotkamy się... - Spojrzałem na zegarek i rozkład promów. Zdążę na kurs o siedemnastej trzydzieści, jeśli Joe senior nie wtargnie niespodziewanie do domu. - Powiedz, że spotkam się z nią o szóstej w Delmonico.

- Czemu do niej po prostu nie zadzwonisz?
- Czemu nie podejdziesz do niej i nie przekażesz wiadomości ode mnie?

- A mnie wolno się tam zapuszczać?
- Tak. Możesz przy okazji opróżnić jakiś kosz na śmieci. Harry parsknął śmiechem.

- Dobra. W Delmonico o szóstej.
- Niech to pozostanie między wami.
- Tak?
- Dzięki. - Rozłączyłem się.

Marie wróciła do kuchni, wrzuciła dziecko do kojca i wcisnęła mu butelkę do buzi. Nakręciła wirującą zabawkę z uśmiechniętymi twarzami, grającą melodię *Mały jest ten świat*. Nie cierpię tej piosenki.

Nalała świeżej kawy do kubków i usiadła.

- Uroczy maluch.
- Chcesz go?

Uśmiechnąłem się.

- Skończyliśmy na odprawie.

- Taak. Ten gość z FBI zebrał naszą czwórkę w gabinecie menedżera hotelu i powiedział, że szukamy dwojga ludzi, którzy mogli być świadkami katastrofy i którzy prawdopodobnie mieszkali w tym hotelu. A skąd to wiadomo? Ponieważ miejscowi gliniarze znaleźli na plaży koc, możliwe, że pochodzący z tego hotelu, w miejscu, z którego można było zobaczyć katastrofę. FBI zwróciło uwagę na ten koc rano, agenci wpadli na pomysł, żeby sprawdzić okoliczne hotele i motele w celu ustalenia, skąd pochodził. W końcu zawężili poszukiwania tylko do Bayview. Jasne?

- Na razie tak.

- Dobrze. Co jest nie tak z tą historyjką, którą opowiedział nam typ z FBI?

- Ze wszystkim, co słyszy się od FBI, jest coś nie tak - odparłem. Marie się uśmiechnęła.

- Rusz trochę głową, John.

- Czemu ktoś miałby sobie zawracać głowę dwoma kolejnymi świadkami, tak?

- Otóż to. Dlaczego tracimy czas i środki na dwoje ludzi, którzy

być może widzieli katastrofę z plaży, podczas gdy inni naoczni świadkowie stoją w kolejce przed posterunkiem straży wybrzeża i mamy bezpośredni dostęp do źródeł informacji. Co jest szczególnego w tych świadkach? Wiesz?

- Nie. A ty?
- Nie. Ale tam działo się coś jeszcze.

Tym czymś był fakt, że na kocu na plaży leżała osłona obiektywu kamery wideo, lecz najwidoczniej agent FBI nie wspomniał o tym gliniarzom. Dick Kearns dowiedział się o tym od miejscowych glin, lecz Marie najwyraźniej nie słyszała plotki. Tak jak w każdym śledztwie, jeśli porozmawiasz z wystarczającą liczbą osób i zdobędziesz informacje, różne rzeczy zaczną nabierać kształtu. Marie rozumiała, że coś jest nie tak, bo była bystra.

- Kim był ten fedzio, który przeprowadził z wami odprawę? - zapytałem.

- Powiedziała ci, żadnych nazwisk.
- Znałaś go?
- Trochę. Sterczący fajfus uważający się za twardziela.
- To brzmi jak charakterystyka Liama Griffitha.

Marie się uśmiechnęła.

- Nieźle nazwisko. Nazywajmy go Liamem Griffithem.
- Kto z nim był?
- Dwóch gości, tak jak powiedziałam. Fedziowate typy, ale nie znałam ich, a oni nie zostali oficjalnie przedstawieni.

Siedzieli i słuchali, jak Griffith prowadzi odprawę.

Opisałem Marie pana Teda Nasha, z niechęcią używając przyimiotnika „przystojny”.

- Taak... - odparła. - Minęło pięć lat, ale to mógł być jeden z nich. Co to za typ?

Trochę wbrew rozsądkowi, ale żeby usatysfakcjonować i zaintrygować Marie, odparłem:

- CIA.
- Nie chrzanisz? - Spojrzała na mnie uważnie. - Na co ty się porывasz?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.
- I nie chcę, ale... może powiedziałam już wystarczająco dużo. Spojrzałem na dziecko w kojcu, a później na Marie.

- Czyżbyśmy się ich bali?

Nie odpowiedziała.

Uznałem, że nadszedł czas na małe przemówienie.

- Marie, jesteśmy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, każdy obywatel ma tutaj prawo i obowiązek...

- Zachowaj to na przesłuchanie w wydziale wewnętrznym.

- Tak zrobię. Więc może inaczej: jesteś zadowolona ze sposobu zamknięcia tej sprawy?

- Nie odpowiem na to pytanie. Ale powiem ci, co się stało tego dnia w hotelu Bayview, jeśli będziesz ze mną szczery.

- Jestem z tobą szczery. Nie chcesz tego wiedzieć.

Marie pomyślała przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Dobrze... Jeden z policjantów zapytał Griffitha, dlaczego to jest takie ważne. Griffith zirytował się, że gliniarz zadaje mu takie pytania, i mówi: „To moje zmartwienie, dlaczego potrzebujemy znaleźć tę osobę lub osoby. Pańskie zadanie polega na przesłuchiowaniu personelu i gości”. Wyjaśnił, że pokojówka z Bayview zgłosiła zaginięcie koca w pokoju dwieście trzy. Pokazano ten koc pokojówce i menedżerowi, a ci potwierdzili, że to może być ten koc. Zaraz jednak dodali, że mają chyba ze sześć rodzajów syntetycznych koców i nie są pewni, czy to właśnie ten zginął z pokoju dwieście trzy, choć jest to możliwe.

- Okay. Kto był zameldowany w pokoju dwieście trzy? A może nie wiemy?

- Oczywiście jeszcze nie wiemy, bo nie byłoby nas tam. Wiemy natomiast, że w dniu katastrofy, w środę siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, o godzinie szesnastej piętnaście w Bayview zjawił się mężczyzna bez rezerwacji i zapytał o pokój. Recepcjonista na to, że owszem, są wolne pokoje, więc mężczyzna wypełnił kartę meldunkową i zapłacił dwieście dolarów gotówką. Recepcjonista poprosił o zabezpieczenie kartą kredytową w razie jakichś zniszczeń, za barek i tak dalej, ale mężczyzna odparł, że nie wierzy w karty kredytowe i zaproponował mu pięćset dolarów jako zastaw. Recepcjonista się zgodził. Od Griffitha dowiedzieliśmy się jeszcze, że recepcjonista poprosił o prawo jazdy tego faceta, bo chciał zrobić odbitkę, ale ten odparł, że zostawił je w innych spodniach. Dał recepcjoniście wizytówkę, którą ten przyjął. Dał mu

pokwitowanie na pięćset dolarów i klucz do pokoju dwieście trzy, znajdującego się w nowoczesnym skrzydle hotelu, daleko od głównego budynku, bo tego właśnie zażyczył sobie ten mężczyzna. Tak więc recepcjonista nigdy więcej nie zobaczył tego człowieka, jego samochodu ani czy był z nim ktoś jeszcze. Jasne?

- Taak. Coś mi się zdaje, że ustalenie tożsamości tego gościa mogło stanowić pewien problem.

- Słusznie. Ale kiedy Griffith zjawił się tam w piątek rano, zdawało mu się, że trafił na żyłę złota. Przepuścił przez bazę danych informacje o samochodzie z karty meldunkowej hotelu - markę, model i numery rejestracyjne - ale okazały się lipne. W notatniku mam też zapisane, że Griffith przytoczył nam informacje z wizytówki: Samuel Reynolds, adwokat, adres na Manhattanie i numer telefonu. Ale wizytówka też okazała się fałszywką. - Marie spojrzała na mnie i dodała: - Mamy więc do czynienia z typowym donżuanem, który wykręcał już wcześniej podobne numery. Był tam z kobietą, z którą nie powinien być. Zgadza się?

- A skąd miałbym coś takiego wiedzieć?

Marie się uśmiechnęła.

- Ja też nie mam o tym pojęcia. Tak czy owak recepcjonista wiedział, że to kit, ale dostał pięć stów zastawu i pewnie parę dolarów do kieszeni. Istotne jest to, że donżuan nie zostawił żadnego śladu na papierze, więc hotel Bayview nie mógł wysłać mu na adres domowy listu z podziękowaniem za pobyt i ofert promocyjnych.

- Żonaci faceci szybko uczą się takich rzeczy.

- Myślę, że to jest instynkt.

- Może i tak. Kiedy ten donżuan się wymeldował?

- W ogóle się nie wymeldował. Zniknął przed godziną jedenastą rano dnia następnego, bo wtedy przypada czas na wymeldowanie. Griffith powiedział, że pokojówka zapukała do drzwi numeru dwieście trzy około jedenastej piętnaście, ale nikt nie odpowiedział. Później recepcjonista, inny recepcjonista, zadzwonił koło południa do pokoju, ale nikt nie podniósł słuchawki. Pokojówka weszła więc do środka i stwierdziła, że nie ma ani śladu gości, żadnego bagażu ani niczego, i że chyba brak koca na łóżku. Najwyraźniej mężczyzna

zniknął, nie troszcząc się o swoje pięćset dolarów. Griffith orzekł, że uważa to za podejrzanę. - Marie parsknęła śmiechem. - Pomyślałam: jak na to wpadłeś, Liam? Uśmiechnąłem się.

- Hej, on nie jest detektywem.

- Co ty powiesz. Więc to, co zaczęło się jak typowe bara-bara, zamieniło się nagle w coś zupełnie innego. Gliniarzowi natychmiast przychodzi na myśl, że w pokoju doszło do przestępstwa. Gwałt, napaść, morderstwo. Zgadza się? Ale w pokoju nic na to nie wskazuje. Choć nie można na tej podstawie wykluczyć, że ten facet zamordował osobę, z którą był, wrzucił ją do bagażnika, a potem czmychnął. Lecz mamy jeszcze jedną rzecz dającą do myślenia: koc na plaży, który mógł pochodzić z tego pokoju. Ja to widzę tak: ten facet i jego pani robili coś, czego nie powinni robić, byli na plaży, zobaczyli katastrofę i nie chcieli, żeby uznano ich za świadków. Wrócili więc do hotelu, zabrali swoje manatki i prysnęli. Zgadza się?

- Na to wygląda. - Wiedziałem od Kate, że na kocu na plaży barszkowało dwoje ludzi, ale nie wiedziałem jeszcze, skąd Marie i Liam Griffith mieli pewność, że tych dwoje było w pokoju. - Skąd wiesz, że była tam kobieta?

- Pokojówka twierdziła, że w pokoju widziała ślady dwóch osób. Mężczyzny i kobiety. Po pierwsze, szminka na szklance. FBI przetraszało pokój w poszukiwaniu odcisków palców i włosów. Ale pokojówka posprzątała pokój po tym, jak tych dwoje się wyniosło, więc jedyne odciski tego faceta zostały na tyłku jego dziewczyny, a ona też zniknęła. - Marie zastanowiła się przez chwilę. - Griffith kazał nam przesłuchać personel i gości, którzy byli w hotelu w dniu katastrofy, i dowiedzieć się, czy widzieli tego faceta lub jego dziewczynę. Recepcjonista opisał nam tego gościa: biały, średniej budowy ciała, brązowe włosy, brązowe oczy, jasna karnacja, bez owłosienia na twarzy i bez okularów, bez widocznych blizn, tatuaży czy widocznych zniekształceń ciała lub ułomności. Dodał jeszcze, że mężczyzna był dobrze ubrany, miał na sobie brązowe spodnie i niebieski blezer... czy coś pominęłam?

- Wypukłość w okolicach rozporoka.

Marie parsknęła śmiechem.

- Taak. Miał tam kieszonkową rakiętę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, recepcjonista siedział z rysownikiem FBI. Później dostaliśmy portret pamięciowy. Przystojny facet.

- Zatrzymałeś ten portret?

Zabawka w kojcu przestała się kręcić i maluch zrobił się niespokojny. Zaczął wydawać dźwięki, jakby chciał zachęcić ją głosem do ruchu.

Marie wstała i nakręciła zabawkę.

- Chłopiec lubi wesołe buzie - zaświergotała ni to do juniora, ni to do mnie.

Zabawka znów zaczęła się kręcić i grać melodyjkę *Mały jest ten świat*. Za dwadzieścia lat zostanie seryjnym mordercą, który będzie dusił ofiary, nućąc pod nosem piosenkę *Mały jest ten świat*.

Marie zerknęła na zegarek.

- Muszę zajrzeć do Melissy. Zaraz wrócę.

Wyszła z kuchni; usłyszałem, że wchodzi po schodach.

Podsumowałem to, co do tej pory usłyszałem i pomyślałem o tych dwojgu ludziach. Przyjechali razem lub osobno i wybrali Bayview z rozmysłem lub przypadkowo. To nie jest hotel na godziny, tam płaci się dwieście dolarów za noc, więc wyobraziłem sobie faceta, który ma trochę grosza, i niewiastę, która lubi romansować na czystym prześcieradle. Wino na plaży też było drogie. Takich obywateli zwykle łatwo namierzyć, lecz ten facet wiedział, jak się zameldować, nie zostawiając po sobie śladów. Instynkt.

Później - założywszy, że widzieli katastrofę i któreś z nich, albo oboje, było w związku małżeńskim - przestraszyli się, zostawili niektóre rzeczy na plaży i prysnęli z powrotem do hotelu. Potem, myśląc, że ktoś mógł ich zobaczyć i że gliny zaczną węszyć po okolicy albo małżonkowie będą dzwonić na komórki w związku z katastrofą, wyjechali z hotelu, nie wymeldowując się. W ten sposób zwrócili na siebie uwagę.

Wyobraziłem sobie parę, która miała bardzo dużo do stracenia, w razie gdyby ich nakryto. Prawie każdy małżonek podpada pod tę kategorię, od prezydenta Stanów Zjednoczonych po męża Marie, wędrownego dostawcę towarów.

Próbowałem sobie wyobrazić, co bym zrobił w takiej sytuacji. Czy

poszedłbym do władz jak dobry obywatel? Czy raczej ukryłbym dowód przypuszczalnej zbrodni, żeby ratować swój tyłek i małżeństwo? A gdybym został zidentyfikowany przez władze i wezwany przed ich oblicze, czy pogroziłbym się jeszcze bardziej, kłamiąc?

Miałem kiedyś taką sprawę. Kobieta chciała zgłosić strzelaninę, a facet wzbraniał się przed wyjaśnieniem, co razem robili.

Ciekawe, czy między tymi dwójkiem z hotelu Bayview doszło do takiego samego nieporozumienia. A jeśli tak, to jak je rozwiązali? Polubownie? A może nie?

Zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, Marie wróciła do kuchni.

Rozdział 20

Usiadła przy stole.

- Chcesz dzieci?
- Hm?
- Dzieci. Czy ty i twoja żona planujecie mieć rodzinę?
- Ja mam rodzinę. Same czuby.

Marie się zaśmiała.

- Na czym stanęliśmy?
- Na rysopisie donżuana. Zachowałaś portret pamięciowy?
- Nie. Griffith dał nam cztery odbitki i cztery dostał z powrotem.
- Podał nazwisko recepcjonisty?
- Nie. Nigdy z nim nie rozmawiałam ani go nie widziałam. On należał do fedziów - wyjaśniła Marie.
- Racja. Więc zaczęłaś przepytwać gości i personel.
- Taak. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy ktoś oprócz recepcjonisty widział tego faceta, jego samochód lub kobietę, z którą był, i czy może ją opisać. Chcieliśmy też sprawdzić, czy odwiedzili hotelowy bar lub restaurację, czy korzystali z karty kredytowej. Griffith prawił nam, co mamy robić, jakbyśmy nie mieli o tym pojęcia.
- Oni mają skłonność do zbyt dokładnych odpraw.
- Serio? Ale ja ciągle zadawałam sobie pytanie: „Po co to wszystko? Kogo to obchodzi?”. Zapytałam więc: „Szukamy świadków czy podejrzanych?”. Bo to wszystko miałoby sens tylko wtedy, gdybyśmy poszukiwali podejrzanych, którzy przywieźli rakietę w samochodzie. Zgadza się?

Niezupełnie, ale powiedziałem:

- Mniej więcej.

- Zadałam więc to pytanie, a wtedy Griffith wpadł na błyskotliwy pomysł i mówi: „Każdy świadek jest potencjalnym podejrzanym” albo coś w tym rodzaju. Każde z nas dostało listy pokojówek, kucharzy i kelnerów, personelu biurowego, ogrodników, wszystkich. Około pięćdziesięciu osób podobno było w pracy między szesnastą piętnaście w środę siedemnastego lipca i południem następnego dnia. Przesłuchałam ze dwieście z nich.

- Jak wygląda ten hotel?

- Duży stary dom, coś w rodzaju gospody z dziesięcioma pokojami gościnnymi, do tego osobne nowoczesne skrzydło z trzydziestoma pokojami i kilka domków nad zatoką. Bar, restauracja, nawet biblioteka. Ładny hotel. - Spojrzała na mnie i dodała: - Sam zobaczysz, jeśli tam pojedziesz.

Nie odpowiedziałem.

- Zostaliśmy tam przez cały dzień aż do późnego wieczoru, żeby spotkać się z drugą zmianą - ciągnęła Marie. - Oprócz tego miałam listę czternastu gości, którzy przebywali tam od siedemnastego lipca. Była też lista gości, którzy mieszkali w hotelu siedemnastego, ale już się wyprowadzili. Mieliśmy zająć się ich poszukiwaniem następnego dnia, ale tego nie zrobiliśmy.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może kto inny się tym zajął. A może Griffith i jego dwóch kumpli trafili na żyłą złota tego wieczoru. Czy oni coś komuś powiedzą?

- Tak mało, jak się da.

- No właśnie. Wcisną ją kit na potęgę. Griffith powiedział nam na przykład, że spotkamy się o jedenastej wieczorem w jakiś miejscu, które wyznaczę, ale on i tych dwóch przez cały dzień przechodzili z miejsca na miejsce i nadstawiali uszy w czasie niektórych przesłuchań. Griffith dziękował nam po kolei i kazał rozchodzić się do domów, toteż do spotkania nie doszło i nie mogłam porównać notatek z tym, co zapisali ci trzej detektywi. Wydaje mi się, że tego spotkania miało w ogóle nie być.

Odnosiłem dziwne wrażenie, że Marie Gubitosi nie była zadowolona ze sposobu, w jaki potraktowano ją i jej kolegów z policji. I właśnie dlatego rozmawiała ze mną, mimo że przed pięcioma laty powiedziano jej, że ma z nikim nie gadać. Chciałem się dowiedzieć, o co w tym śledztwie chodziło, ale ona musiała dać upust temu, co czuje - i możliwe, że tylko tym mogła się ze mną podzielić.

- Chcesz piwa? - zapytała.
- Nie, dzięki. Nie jestem na służbie. Roześmiała się.
- Boże, od tak dawna jestem albo karmiącą matką, albo w ciąży, że zapomniałam, jak smakuje piwo.
- Postawię ci piwo, kiedy będziesz gotowa.
- Zgoda. Zaczęłam przesłuchiwać tych, którzy znaleźli się na mojej liście. Najpierw były wstępne rozmowy z okazywaniem portretu pamięciowego. Zostałam na liście pięć osób z personelu oraz dwóch gości i poprosiłam je o spotkanie w różnych godzinach w biurze na tyłach hotelu. Zaczęłam od rozmowy z pokojówką imieniem Lucita, która właśnie przyszła do pracy. Pewnie pomyślała, że jestem z urzędu imigracyjnego, bo kiedy pokazałam jej portret donzuana, powiedziała, że go nie rozpoznaje, ale ja zobaczyłam coś w jej twarzy. Poprosiłam ją więc o zieloną kartę lub dowód, że ma amerykańskie obywatelstwo, a ona załamała się i wybuchła płaczem. Przekraczając nieco swoje uprawnienia, obiecałam, że pomogę jej zalegalizować pobyt, jeśli ona pomoże mi w pracy. Chyba każdy by na to poszedł, więc kobieta powiedziała, że owszem, widziała, jak ten mężczyzna około siódmej wieczorem wychodził z kobietą z pokoju dwieście trzy. Bingo.

- Nie jest to wymuszone zeznanie?
- Nie. To znaczy, tak, ale jest prawdziwe. Wiem, kiedy wciska mi się kit.
- Okay. Ta pokojówka umiała opisać kobietę?
- Niezbyt dobrze. Stała jakieś dwadzieścia metrów od nich na tarasie biegnącym wzdłuż pokoi na pierwszym piętrze. Po wyjściu z pokoju odwrócili się od niej i zeszedli po schodach. Lucita nie przyjrzała im się dokładnie, ale na pewno wychodzili z pokoju dwieście trzy. Kobieta była nieco młodsza od donzuana, trochę od niego niższa,

szczupła. Miała na sobie jasnobrązowe szorty, niebieską koszulę i sandały. Miała też ciemne okulary i kapelusz z opadającym rondem, jakby chciała uniknąć rozpoznania.

- Co ci dwoje robili?

- I tu mamy podwójne trafienie. Szli na parking. Facet niósł koc wyglądający na hotelowy, dlatego Lucita ich obserwowała. Ale dodała, że goście często to robią i zwykle przynoszą koce z powrotem, więc nie była zaniepokojona. To nasza para, zgadza się?

- Tak. Czy nieśli coś jeszcze?

- Co na przykład?

- Cokolwiek...

Marie przyjrzała mi się uważnie.

- Liam Griffith pytał o to pokojówkę trzy razy. Czego szukamy, John?

- Lodówki turystycznej.

- Nie. Mieli tylko koc.

Zastanowiłem się nad tym. Jeśli to była ta para - a wszystko na to wskazywało - to lodówkę i kamerę wideo mieli już w samochodzie.

- Mam nadzieję, że Lucita zakonotowała sobie w pamięci markę, model, rok produkcji, kolor i numery rejestracyjne samochodu, do którego wsiadło tych dwoje.

Marie się uśmiechnęła.

- Nie zawsze mamy tyle szczęścia. Ale zauważyła samochód. Nie umiała go opisać, powiedziała tylko, że tych dwoje otworzyło tylne drzwi. Zabrałam Lucitę na parking i pokazałam terenówki, auta rodzinne i minivany. Skróciłyśmy listę mniej więcej do dwudziestu marek i modeli. Lucita nie była specjalistką od samochodów, powiedziała tylko, że tamten był jasny.

Jasnobrązowy.

Skinąłem głową i przypomniałem sobie, że gliniarz z Westhampton wspomniał o jasnym fordzie explorerze, który jechał od strony plaży tuż po katastrofie samolotu. Wszystko do siebie pasowało jak kawałki puzzli, które układasz obrazkami do podłogi. Teraz tylko ktoś musiał je odwrócić i zobaczyć obrazek.

- Lucita twierdziła, że ci dwoje wsiedli do samochodu i odjechali - ciągnęła Marie. - Koniec tropu.

- Dostałaś rysunek z portretem pamięciowym tej kobiety wykonany na podstawie opisu Lucity?

- Nie. Myślę, że przeszkodą była bariera językowa, a poza tym, jak powiedziałam, ta dama miała okulary i duży kapelusz z szerokim, opadającym rondem. - Marie się uśmiechnęła. - Lucita rzuciła przypuszczenie, że może to była jakaś gwiazda filmowa.

- Może w pewnym sensie tak było - odparłem z uśmiechem.

- Co to ma znaczyć?

- Później ci wyjaśnię. Jak się nazywała Lucita?

- Z moich notatek wynika, że Gonzalez Perez.

Zanotowałem to sobie w pamięci.

- Czy ktoś wysnuł wtedy przypuszczenie, że ta dama z pokoju dwieście trzy miała gdzieś na parkingu swój samochód?

- Taak. To by mocno sugerowało, że tych dwoje było zdradzającymi małżonków kochankami na randce. Ale nikt nie widział jej w innym samochodzie. Sprawdziliśmy w bazie numery wozów stojących wciąż na parkingu, by zobaczyć, czy jest jakiś bezpieczny. Nadal nie wykluczaliśmy, że ta kobieta padła ofiarą morderstwa, że sprawca zabił ją na plaży lub w pokoju i wrzucił do bagażnika, zawiniętą w koc. Ale nic z tego nie wyszło, przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- Czy ktoś widział, jak wracali tego wieczoru do hotelu?

- Nie. Tak jak powiedziałam, pierwszy i jedyny raz zauważyła ich Lucita, gdy wychodzili o siódmej z pokoju. Między siódmą i południem następnego dnia, kiedy do pokoju weszła inna pokojówka, zniknęli, a razem z nimi koc, prawdopodobnie ten, który został na plaży.

- Mogłaś porozmawiać z tamtą drugą pokojówką?

- Ależ skąd. Griffith i jego kumple ją zgarnęli i nigdy nie znalazła się na naszej liście. Griffith zdradził nam jednak, że pokojówka zauważyła szminkę na szklance, ślady używania prysznicza i to, że łóżko było wciąż zasłane, ale nie leżał na nim koc. Dodał, że w pokoju nie zostało nic, co mogłoby pomóc w ustaleniu tożsamości tych dwojga, gdyż pokojówka posprzątała pokój. - Marie zrobiła pauzę i dodała: - Tak nam w każdym razie powiedział.

- Powinnaś nauczyć się zaufania do agentów federalnych - powiedziałem.

Marie parsknęła śmiechem.

Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem. Miałem jaśniejszy obraz tego, co wydarzyło się przed pięcioma laty w hotelu Bayview, ale nie zbliżyłem się ani trochę do zidentyfikowania tych dwojga. Bo jeśli Griffith, Nash i ten trzeci pięć lat temu natrafili na ścianę, mimo że mieli do dyspozycji wszelkie możliwe środki, to ja też byłem w ślepym zaułku.

Ale mogli też trafić na żyłę złota.

Trudno jest rozwiązać zagadkę sprzed pięciu lat. O wiele trudniej rozwiązać taką, która już została rozwiązana przez kogoś, kto zatarł wszystkie tropy i ukrył świadków.

Cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wrócić do kwatery i poprosić o teczkę zatytułowaną KATASTROFA TWA 800 - HOTEL BAYVIEW. Prawda?

- Przychodzi ci do głowy coś jeszcze? - zapytałem.

- Nie, ale pomyślę.

Dałem Marie wizytówkę.

- Jeśli ci się coś przypomni, dzwoń na moją komórkę, nie do biura.

Skinęła głową.

- Możesz mi podać jakieś nazwisko?

- Nie mogę. Ale mogę wykonać parę telefonów i sprawdzić, czy któryś z pozostałych gliniarzy chce pogadać.

- Dam ci znać.

- O co w tym chodzi, John?

- Powiem ci to, czego nie powiedział ci Griffith: na tym kocu znalezionym na plaży leżała osłona obiektywu kamery wideo.

- Jasny gwint - wykrztusiła po dwóch sekundach Marie. - Myślisz, że...?

- Kto wie? - Wstałem. - Zachowaj to dla siebie. Tymczasem przypomnij sobie jeszcze raz ten dzień w Bayview i to, co usłyszałaś później. I dzięki za poświęcony czas i pomoc, Marie.

Podszedłem do kojca i nakręciłem zabawkę.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Marie uściśnęła mnie mocno.

- Uważaj na siebie.

Rozdział 21

Slobodan siedział w taksówce i rozmawiał przez komórkę. Wsiadłem.

- Na przystań promową St. George. Migiem.

Nie przestając mówić w języku, który brzmiał jak szum odkurzacza do liści, kierowca ruszył.

Dotarliśmy do terminalu pięć minut przed odbiciem promu o wpół do szóstej; zapłaciłem tyle, ile wybił licznik plus pięć dolarów. Zakonotowałem sobie w pamięci, żeby przedstawić moje wydatki pani Mayfield.

Obok przystani stała ciężarówka z lodami. W przyptywie nostalgii kupiłem rożek z dwiema gałkami lodów pistacjowych.

Wsiadłem na prom, który wciąż był darmowy, i wdrapałem się na górny pokład czolowy. Pięć minut później odbiliśmy i wzięliśmy kurs na Manhattan.

Rejs trwa dwadzieścia pięć minut. Wykorzystałem ten czas, by pomyśleć o kilku rzeczach, które jakoś nie pasowały. O tych, które Kate powiedziała, i o tych, o których nie powiedziała. Robota detektywa to w pięćdziesięciu procentach informacja, a w drugich pięćdziesięciu intuicja. Moja intuicja mówiła mi, że nie mam wszystkich informacji.

Spojrzałem na Statuę Wolności, obok której przepływaliśmy. Tak, poczułem lekki powiew patriotyzmu i drgnęło mi serce na myśl o złożonej przysiędze, w której zobowiązałem się bronić konstytucji Stanów Zjednoczonych i tak dalej, lecz wciąż nie byłem przekonany, że boeing TWA padł ofiarą ataku terrorystycznego wymierzonego przeciwko mojej ojczyźnie.

Były też ofiary i ich rodziny. Jako gliniarz z wydziału zabójstw zawsze starałem się unikać osobistego zaangażowania i współczucia dla rodzin ofiar, ale często mi się to nie udawało. To motywuje, lecz nie zawsze w sposób, który wychodzi na dobre tobie i ofiarom.

Przesunąłem taśmę do sceny, w której ostatecznie rozwiązuję zagadkę: wizualizacja sukcesu to najlepsza droga do niego, jak powiadają. Wyobraziłem sobie Koeniga, Griffitha i mojego bezpośredniego przełożonego, kapitana policji Davida Steina, którzy ściskają mi dłoń przy wtórze oklasków kolegów. Później dostaję zaproszenie na kolację do Białego Domu.

Jednak nie to mnie czeka, jeśli uda mi się doprowadzić do wznowienia śledztwa. Wolałem nawet nie myśleć, co naprawdę się stanie. W gruncie rzeczy nie było jasnej strony, tylko bardzo ciemna, jeśli pominąć zaspokojenie mojego ego i schlebienie nieco obmierzłej osobowości.

Oczywiście była jeszcze Kate, która na mnie liczyła. Ilu facetów się wykończyło, próbując zaimponować kobiecie? Co najmniej sześć miliardów. Albo i więcej.

Prom przybił do brzegu. Wsiadłem, złapałem taksówkę i podjechałem do Delmonico przy Beaver Street. Krótka przejażdżka.

Restauracja Delmonico istnieje od blisko stu pięćdziesięciu lat, toteż pomyślałem, że nie zamknięto jej zniecka i pani Mayfield nie została skazana na obijanie się po ulicy. Znajduje się w okolicy centrum finansowego miasta, więc pełno tam typów z Wall Street, za to nie uświadczysz gości z Fed 26. I o to właśnie chodziło.

Podszedłem do baru, przy którym stała pani Mayfield pogrążona w konwersacji z dwoma napalonymi fagasami z Wall Street. Wcisnąłem się między nich i zapytałem:

- Zabolalo?
- Co miało zabolac?
- Kiedy spadła pani z nieba.

Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nigdy wcześniej nie zastosował pan tego grepsu.

- To nie greps. - Zamówiłem dewara z wodą sodową. - Wygląda pani znajomo.

Znów się uśmiechnęła.

- Jestem nowa w tym mieście.

- Ja też. Mój statek przed chwilą przybił. Właściwie to był prom ze Staten Island.

Dostałem swojego scotcha, stuknęliśmy się szklankami.

- Gdzie byłeś? - zapytała Kate.

- Właśnie ci powiedziałem. Na Staten Island.

- Och, myślałam, że to żart.

- Ja nie żartuję. Byłem na Staten Island.

- Dlaczego?

- Szukałem dla nas domu. Myślałaś kiedyś o dzieciach?

- Tak... myślałam. Czemu pytasz?

- Jestem w ciąży.

Kate poklepała mnie po brzuchu.

- Właśnie widzę. O co chodzi z tym domem i dziećmi?

- Rozmawiałem z policjantką, która mieszka na Staten Island.

Jest na urlopie macierzyńskim. W dziewięćdziesiątym szóstym pracowała w ATTF. Prowadziła przesłuchania w hotelu Bayview.

- Naprawdę? Jak ją znalazłeś?

- Potrafię znaleźć każdego.

- Nie potrafisz znaleźć dwóch skarpet, które do siebie pasują. I co powiedziała ta policjantka?

- Przesłuchiwała pokojówkę, a ta podobno widziała faceta, który wziął z pokoju koc znaleziony na plaży. Widziała też kobietę.

Kate pomyślała przez chwilę.

- Twoja znajoma wie, czy FBI zidentyfikowało tych dwoje?

- O ile się orientuję, to nie. Facet zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. - Wypiłem łyk mojego drinka.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się od tej pani? - indagowała Kate.

- Dowiedziałem się, że trzej agenci federalni, którzy kręcili tą chałturą, nie dzielili się informacjami z policyjnymi detektywami wykonującymi czarną robotę. Ale to dla nas żadna nowość.

Kate nie odpowiedziała. Spojrzałem na nią.

- Powiedz mi, jak zwróciłaś uwagę na ten raport policjanta z Westhampton o kocu na plaży.

- Przez przypadek - odparła po kilku sekundach Kate. - Pewnej nocy przeglądałam stertę raportów w pokoju w motelu i ten wpadł mi w oko.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Okay... Któregoś wieczoru siedzieliśmy przy drinku z Tedem i on wspomniał mi o tym raporcie. Chyba trochę za dużo wypił.

Byłem niewyobrażalnie wkurzony, ale się opanowałem i powiedziałem bardzo grzecznie:

- Zarzekałaś się, że nigdy z nim o tym nie rozmawiałaś.

- Przepraszam.

- Co jeszcze mi zelgałaś?

- Nic, przysięgam.

- Czemu mnie okłamałaś?

- Po prostu... nie sądziłam, że to może być dla ciebie ważne, skąd mam tę informację. Wiem, jak reagujesz na wzmiankę o Nashu.

- Naprawdę? Jak reaguję?

- Psychotycznie.

- Chrzaniisz.

Zwracaliśmy na siebie uwagę, bo chyba mój głos wznosił się ponad barowy szmer.

- Wszystko w porządku? - zapytał barman.

- Tak - odpowiedziała mu Kate. - Chodźmy stąd.

- Nie, tu mi się podoba. Gadaj, o czym jeszcze zapomniałaś mi powiedzieć. W tej chwili.

Kate zachowała spokój, ale widziałem, że jest wzburzona. Ja nie byłem wzburzony - gotowałem się w środku.

- Mów.

- Nie wrzeszcz na mnie. Nie jesteś...

- Gadaj. I nie kręć.

Kate wzięła głęboki oddech.

- Dobrze, ale to nie jest tak, jak myślisz...

- Mniejsza o to, co myślę.

- No dobrze... Ted również zajmował się sprawą katastrofy TWA

osiemset, o czym pewnie już wiesz... Znałam go z pracy... Ale nigdy niczego między nami nie było, co mówiłam ci ze dwadzieścia razy i nie kłamałam.

- Więc dlaczego powiedział ci o tym kocu na plaży i o osłonie obiektywu kamery, skoro to nie była twoja sprawa?

- Nie jestem pewna... któregoś wieczoru poszliśmy na drinka do baru w pobliżu. To było mniej więcej tydzień po katastrofie, Ted za dużo wypił... wszyscy piliśmy za dużo... Nagle wspomniął o raporcie policjanta i powiedział coś takiego: „Ci dwoje prawdopodobnie filmowali się podczas uprawiania seksu na plaży i być może nagrali eksplozję”. O coś go spytałam, ale on się zamknął. Nazajutrz zadzwonił do mnie i oznajmił, że znaleźli tę parę i okazało się, że to starsze małżeństwo, a osłona pochodzi ze zwykłego aparatu, nie kamery wideo. Ci ludzie podobno nie widzieli ani nie sfotografowali niczego, co miało jakkolwiek związek z eksplozją. - Kate zamieszała drinka.

- Słucham dalej.

- Było jasne, że jest mu przykro, że wczoraj za dużo wychlapał. Powiedział: „Źle się stało” czy coś w tym rodzaju i więcej do tego nie wracaliśmy. Ale ja pojechałam na posterunek w Westhampton Village i dowiedziałam się, że FBI już tam było. Agenci zabrali podobno pisemny raport i mieli zwrócić kopię. Policjanci wciąż na nią czekali. - Po chwili dodała: - Pewnie czekają do tej pory. Dostałam nazwisko gliniarza, który był na plaży i napisał ten raport. Poszłam do niego. Nie był pewien, czy powinien ze mną rozmawiać, ale jednak opowiedział mi, co widział, i wspomniął, że w rozmowie z FBI napomknął, że koc mógł pochodzić z jakiegoś hotelu lub motelu. Siedziałam po uszy w przesłuchaniach, więc nie podążyłam tym tropem i szczerze mówiąc, nie widziałam powodu, żeby to robić. Ted i inni się tym zajmowali. Tydzień później wróciłam na parę dni do biura i wykonałam kilka telefonów do moteli i hoteli w okolicy plaży i trafiłam na Bayview, tak jak ci mówiłam. Porozmawiałam z menedżerem, Leslieem Rosenthalem, który poinformował mnie, że FBI było już tam z kocem i rozmawiało z pracownikami oraz gośćmi. Rosenthal powiedział, że najważniejszy agent FBI niczego mu nie wyjawiał, zabronił tylko z kimkolwiek rozmawiać. - Kate spojrzała mi w oczy. - To wszystko.

- Kto był tym najważniejszym agentem FBI?
- Liam Griffith. Na pewno już się o tym dowiedziałeś od swojej łączniczki ze Staten Island.

- Tak, ale dlaczego ty mi o tym nie powiedziałaś?
- Uprzedzałam cię od razu, żadnych nazwisk. Właśnie dlatego nie powiedziałam ci o Tedzie.

- Co zrobiłaś z informacją od pana Rosenthala?
- Nic. Co miałam z nią zrobić? Nie myślałam o niej, a zanim zdążyłam pomyśleć, wezwano mnie do wydziału wewnętrznego. - Kate dopiła drinka. - Jestem pewna, że Ted wiedział, że węszyłam, i zostałam z tego powodu upomniana, ale czy powiedział: „Przykro mi, że ci o tym wspomniałem”? Nie, po prostu zaczął mnie traktować obojętnie.

- Och, biedactwo.
- Odpieprz się, John. Nie mam nic do ukrycia i nie mam się czego wstydzić. Po prostu daj temu spokój.

- Okłamałaś mnie.
- Tak. Okłamałam cię, bo chciałam uniknąć takiej sceny jak ta. Co to za różnica, jak zdobyłam tę informację? Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, co ci powiedziałam, jest prawdą, a to, co zataiłam, nie miało żadnego wpływu na twoje poczynania i to, czego się dowiedziałeś. A teraz ciesz się, bo wiesz, że Ted Nash był po pijanemu tak samo głupi jak ty i każdy inny. W porządku?

Stałem, milcząc, wciąż zły jak wszyscy diabli.

Kate położyła dłoń na mojej ręce i zmusiła się do uśmiechu.

- Mogę ci postawić drinka?

Gdybym wypił jeszcze dwa drinki, pewnie bym się uspokoił, ale miałem w sobie tylko pół i nie mogłem przejść do porządku nad tym, że żona mnie okłamała. Poza tym nie byłem absolutnie pewny, że powiedziała mi prawdę o tym, w jaki sposób Ted Nash jej się zwierzył: wiedząc, jaki ten facet miał szczękościsk, nie mogłem sobie wyobrazić, że puple w barze. Ale mogłem sobie wyobrazić, że robi to w sypialni.

- Napijmy się, John - nalegała Kate.
Odwróciłem się i wyszedłem.

Rozdział 22

Obudziłem się na kanapie z kacem wagi lekkopółciężkiej.

Pamiętam, że wziąłem taksówkę i pojechałem z Delmonico do Dresnera, knajpy nieopodal domu, w której barman Aidan aż nazbyt chętnie mnie obsługiwał. Później próbowałem strzepnąć sobie coś z twarzy, a tym czymś była podłoga.

Usiadłem i zobaczyłem, że jestem w bieliźnie, i zaciekało mnie, czy wróciłem do domu w takim stroju. Jednak moje ubrania leżały na podłodze. Dobrze.

Wstałem powoli. Promienie porannego słońca sączyły się przez drzwi balkonowe, wpadały do moich oczu, a stamtąd do mózgu.

Wziąłem kurs na kuchnię, z której dolatywał zapach kawy. Koło ekspresu do kawy leżała karteczka. *John, poszłam do pracy. Kate.* Cyfrowy zegar na ekspresie pokazywał dziewiątą siedemnaście. A po chwili dziewiątą osiemnaście. Niesamowite.

„Times” i „Post” leżały na stole nieprzeczytane.

Nalałem sobie czarnej kawy do kubka i z roztargnieniem przejrzałem „Posta”. To najlepszy sposób czytania gazety. Staralem się nie myśleć o incydencie w Delmonico, dopóki mój mózg nie zajmie jakiegoś stanowiska i nie pokaże przyczyny mojego drobnego wybuchu.

Ale kiedy zacząłem go sobie przypominać, doszedłem do wniosku, że być może przeholowałem. Zacząłem odczuwać wyrzuty sumienia i wiedziałem, że muszę wyprostować sprawy z Kate, choć przeprosiny nie wchodziły w rachubę.

Dopilem kawę, poszedłem do łazienki, połknąłem dwie aspiryny, ogoliłem się i wziąłem prysznic.

Czując się trochę lepiej, postanowiłem zadzwonić do pracy i wziąć wolne z powodu choroby. Tak też zrobiłem.

Ubrałem się na sportowo w jasnobrązowe spodnie, koszulkę, niebieską bluzę i mokasyny. Zapiąłem pasek z kaburą nad kostką.

Zadzwoniłem do garażu, w którym stał samochód, wziąłem paczkę chipsów na drogę i zszedłem na dół.

Portier przywitał mnie wesoło, co bardzo mnie zezłościło. Wsiadłem do jeepa i ruszyłem Drugą Aleją do tunelu Midtown, a stamtąd wjechałem na Long Island Expressway, kierując się na wschód.

Niebo było częściowo zachmurzone, powietrze wilgotne, a termometr w samochodzie już pokazywał siedemdziesiąt osiem stopni w skali Fahrenheita. Po przełączeniu komputera na system Celsjusza temperatura spadła do dwudziestu pięciu stopni. Dość chłodno jak na tę porę roku.

Był czwartek, środek lipca, ruch na ulicach niewielki w porywach do średniego. W piątek się zagęści, samochody z Manhattanu będą sunąć do East Endu na Long Island. Czwartek był właściwym dniem na wizytę w hotelu Bayview.

Włączyłem stację nadającą muzykę country, w sam raz na kaca. Tim McGraw pomrukiwał „Nie zapomnij mnie”. Schrubałem trochę chipsów.

Kate wcisnęła mi niewinne kłamstewko, żeby uniknąć wymieniania nazwiska Nasha, bo myślała, że na jego dźwięk mi odbije. Chyba powiedziała, że reaguję „psychotycznie”. Mogłem zrozumieć, dlaczego kłamała. Z drugiej strony kłamstwa, o czym wie każdy gliniarz, są jak karaluchy: jeśli zobaczysz jednego, wiesz, że musi ich być więcej.

Ale może to małe spięcie sprawi, że powstanie między nami większy dystans, a to dobrze dla śledztwa. Później jej to wyjaśnię.

Myślałem, że zadzwoni, widząc, że nie ma mnie w pracy, ale moja komórka wciąż milczała.

Niektóre agencje pilnujące praworządności, między innymi FBI, dysponują systemami namierzania komórek i pagerów, nawet jeśli urządzenia nie są w danej chwili używane. Wystarczy znać numer.

Kiedy telefon jest włączony, wysyła sygnały do najbliższych wież, które pozwalają wyznaczyć jego pozycję.

Nie jestem paranoikiem - mnie naprawdę ktoś próbuje dopaść - wyłączyłem więc komórkę i pager, bo istniała szansa pół na pół, że jacyś leserzy z Fed 26 spróbują ustalić, dokąd się wybieram na choro-bowym. Wyłączenie komórki i pagera jednocześnie jest złamaniem jakichś przepisów, lecz był to mój najmniejszy problem.

Wyjechałem z dzielnicy Queens i znalazłem się w okręgu Nassau. Piosenkarz w radiu wypląkiwał sobie oczy z powodu niewiernej żony, najlepszego przyjaciela, jej zdradliwego serca i samotnych nocy. Zalecałbym wizytę w poradni małżeńskiej, ale scotch też działa. Zmieniłem stację.

Prowadzący audycję nawijał o czymś, podczas gdy jego rozmówca, prawdopodobnie dzwoniący, próbował wtrącić słowo.

Dopiero po dłuższej chwili wykombinowałem, o czym roz-prawiają. Była mowa o Adenie i w pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że chodzi o Aidana Conwaya, barmana z Dresnera, ale coś mi w tym nie pasowało. Później ktoś rzucił słowo „Jemen” i wszystko uło-żyło się w całość.

Otóż nasz ambasador w Jemenie, pani Barbara Bodine, uniemoż-liwiła Johnowi O'Neillowi powrót do Jemenu. Spotkałem kilka razy Johna O'Neilla. Była to postać barwna i żywa, poważany szef śledz-twa FBI w sprawie ataku na niszczyciel USS „Cole” w porcie w Ade-nie. Aden zaś leży w Jemenie. Wszystko jasne.

Jeśli dobrze zrozumiałem sens wypowiedzi prowadzącego audycję i jego nieszczęsnego rozmówcy - i tego, co zapamiętałem z „New York Posta” oraz rozmów w ATTF - pani ambasador Bodine jako dyploma-ta nie pochwałała agresywnych metod prowadzenia śledztwa w spra-wie zamachu na USS „Cole” w czasie, gdy przebywał tam pan O'Neill. Kiedy więc O'Neill przyjechał do Waszyngtonu na odprawę - która mogła być pretekstem - pani ambasador uniemożliwiła mu powrót do Jemenu.

Dziennikarz aż się pienił, nazywając Departament Stanu bandą mięczaków i tchórzy, użył nawet słowa „zdrajcy”.

Ten drugi, jak się zdawało, był rzecznikiem Departamentu Stanu i próbował coś wytłumaczyć, lecz miał łagodny, miękki głos z gatunku irytujących. Dziennikarz swoim *basso profundo* robił z niego dupka.

- Na USS „Cole” zginęło siedemnastu marynarzy, a wy utrudniaacie śledztwo, płaszcząc się przed tym nic nieznaczącym państwkiem. Po której stronie jest ta rozlazła pani ambasador? Po której stronie jest pan?

- Sekretarz stanu orzekł, że pani ambasador Bodine postąpiła słusznie i roztropnie, uniemożliwiając panu O'Neillowi powrót do Jemenu - odparł przedstawiciel Departamentu Stanu. - Ta decyzja wiąże się z ważną, szerszą kwestią utrzymania dobrych stosunków z rządem Jemenu, który współpracuje z...

- Współpracuje? - ryknął dziennikarz. - Żartuje pan czy rozum panu odjęło? To właśnie ci ludzie stali za atakiem na USS „Cole”!

I tak dalej, i tak dalej. Przełączyłem się z powrotem na stację co-untry, bo tam wykonawcy przynajmniej śpiewali o swoich problemach.

W kwestii walki z międzynarodowym terroryzmem najistotniejsze było to, że nikt się nie kwapił, by nazwać ją wojną. W porównaniu z zimną wojną i nuklearnym Armagedonem terroryzm wygląda jak komar na tyłku słonia. Tak w każdym razie uważają w Waszyngtonie. A jeśli tak myśli Waszyngton, to tak samo myśli Federal Plaza 26, mimo że wie lepiej.

Kiedyś zdawało mi się, że ten rząd przykręci trochę śrubę, ale wyglądało na to, że nic do tych ludzi nie dociera. Budziło to przerażenie, jeśli przyjąć, że dziennikarze z radia pojęli, o co toczy się gra.

Z okręgu Nassau wjechałem do okręgu Suffolk, na którego końcu znajdowało się Hampton.

Jadąc dalej na wschód, minąłem zjazd na William Floyd Parkway, którą to drogą dotarliśmy przedwczoraj z Kate na mszę. *William Floyd to gwiazdor rocka, dobrze myślę?* Uśmiechnąłem się.

Wjechałem na teren nazwany trafnie Sosnowymi Ugorami i zacząłem się rozglądać za zjazdem do Westhampton. Zobaczyłem

drogowskazy do Laboratorium Narodowego Brookhaven oraz do Calverton, które przypomniały mi, dlaczego prysnąłem dzisiaj na wagary, dlaczego poróżniłem się z żoną i dlaczego pakowałem się w tarapaty.

Odbiłem z autostrady przy znaku obiecującym, że skręcam w drogę do Westhampton.

Zmierzałem na południe w stronę zatoki i oceanu. W ciągu dwudziestu minut wjechałem do dziwnie staroświeckiej wioski Westhampton Beach. Było parę minut po pierwszej.

Pojeździłem trochę, rozglądając się po osadzie i próbując sobie wyobrazić donżuana, który przed pięcioma laty robił to samo. Czy ta dama mu towarzyszyła? Pewnie nie, jeśli był żonaty. Zabranie jej z domu na randkę nie było najlepszym pomysłem. Zatem wyjechali z miasta osobno i spotkali się gdzieś tutaj.

Nie wylądowali w jednym z licznych hotelików na godziny znajdujących się przy autostradzie, zwanych czasem Szybkimi Stopami, więc prawdopodobnie zamierzali przenocować. Dlatego wybrali drogi hotel. A jeśli tak było, przy założeniu, że oboje pozostawali w związkach, mieli albo dobre alibi, albo naiwnych małżonków.

Prawie mogłem sobie wyobrazić tych dwoje jedzących lunch w jednej z restauracji przy głównej ulicy, która zresztą nazywała się Główna. Albo znali hotel Bayview, albo wybrali go, jeżdżąc po osadzie. Turystyczna łódzka świadczyła, że zamierzali udać się na plażę, a kamery wideo nie przywieźli ze sobą po to, by kręcić film dla dzieci.

Nie wiedziałem, gdzie znajduje się hotel Bayview, ale coś mi mówiło, że niedaleko zatoki, toteż ruszyłem na południe drogą o nazwie Plażowy Trakt. Tych rzeczy nie można się nauczyć w akademii policyjnej.

Prawdziwi mężczyźni nie pytają o drogę i właśnie dlatego jakiś facet wynalazł GPS. Ja jednak go nie miałem, a ponieważ kończyły mi się paliwo, zatrzymałem się przy dwojgu młodych ludziach na rowerach i zapytałem, jak dojechać do hotelu Bayview. Młodzież okazała się nad wyraz uczynna i pięć minut później wjeżdżałem przez bramę hotelu, na której wisiała tabliczka z napisem WOLNE POKOJE.

Postawiłem wóz na małym parkingu dla gości i wysiadłem.

Ubrany mniej więcej tak, jak wedle opisu Marie Gubitosi był ubrany donżuan siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, ruszyłem w stronę wejścia do Bayview.

Hotel miał się okazać albo murem w ślepych zaułku, albo zaczerowanym oknem, przez które będę mógł spojrzeć pięć lat wstecz.

Rozdział 23

Hotel Bayview wyglądał tak, jak opisała go Marie: duży stary dom w stylu wiktoriańskim, który kiedyś mógł być prywatną rezydencją.

Za nim wśród starych drzew stał nowoczesny dwukondygnacyjny budynek wyglądający jak motel. Dalej widać było szereg małych domków gościnnych. Teren opadał ku zatoce, za którą znajdowała się podłużna wysepka z Wydmowym Szlakiem biegnącym wzdłuż morza. Sceneria była bardzo ładna. Mogłem zrozumieć, dlaczego dobrze sytuowana para w średnim wieku wybrała to miejsce na romans. Z drugiej zaś strony forsiaści Pan X i Pani Y mogli wpaść tu na kogoś znajomego. Jedno z nich lub oboje byli ciut lekkomyślni, pomyślałem. Ciekawe, czy wciąż są ze swoimi małżonkami. Właściwie zastanawiałem się, czy ta niewiasta jeszcze żyje. Ale może to tylko skrzywienie zawodowe detektywa z wydziału zabójstw.

Wszedłem po schodach na obszerny drewniany ganek, cały zabudowany, a stamtąd do małego, elegancko urządzonego holu z klimatyzacją.

Obejrzałem się i przez przeszkłone drzwi zauważyłem, że z holu nie sposób zobaczyć mojego jeeпа.

- Witam w hotelu Bayview, proszę pana - odezwał się młody, wystrojony recepcjonista. - Czym mogę służyć?

- Zobaczyłem tablicę z napisem „Wolne Pokoje”. Właśnie szukam pokoju, chciałbym mieszkać w nowej części hotelu.

Recepcjonista postukał w klawiaturę komputera.

- Mamy wolny pokój w Moneybogue Bay Pavilion. Kosztuje dwieście pięćdziesiąt dolarów za noc, z okien jest ładny widok na zatokę.

Gospodarka się staczała, ale ceny w Bayview - wręcz przeciwnie.

- Biorę - oznajmiłem.

- Świetnie. Jak długo pan u nas zostanie?

- Czy można wynająć pokój na pół dnia?

- Nie, proszę pana. Nie w lecie. - Po chwili recepcjonista dodał: - Proszę przyjechać jesienią, jeśli ma pan ochotę poturlać się po sianku za pół ceny.

Jeśli chodzi o ścisłość, nie wypowiedział drugiej części kwestii, ale o to chodziło.

- Na jedną noc - odparłem.

- Oczywiście. - Mężczyzna położył na blacie kartę meldunkową i długopis; zauważyłem, że ma wypolerowane paznokcie. Zacząłem wypełniać kartę. Była twarda i miała połyskującą powierzchnię. Musiały na niej długo zostawać odciski, które łatwo byłoby zebrać, gdyby ktoś się chciał.

Na mosiężnej tabliczce widniało imię recepcjonisty: Peter.

- Jak uregułuje pan rachunek? - zapytał.

- Gotówką.

- Świetnie. Czy mogę prosić o kartę kredytową, żeby zrobić odbitkę?

Położyłem kartę na blacie.

- Nie wierzę w karty kredytowe. Ale mogę panu dać pięćset dolarów w gotówce jako zastaw.

Recepcjonista zerknął na kartę meldunkową.

- To wystarczy, panie Corey. Mogę skopiować pańskie prawo jazdy?

- Nie mam go przy sobie. - Położyłem na blacie wizytówkę. - Proszę to sobie zatrzymać.

Mężczyzna spojrział na wizytówkę z logo FBI i zawahał się.

- Ma pan jakiś inny dokument tożsamości?

Miałem rzecz jasna papiery pracownika służby federalnej, ale chciałem sprawdzić, czy uda mi się wynająć pokój tak, jak to zrobił donżuan.

- Mam nazwisko wyhaftowane na majtkach. Chce pan zobaczyć?

- Słucham?
- To wszystko, Peter. Gotówka za pokój, zastaw i moja wizytówka. Chcę dostać pokój. - Wsunąłem mu w dłoń dwa banknoty dwudziestodolarowe. - A to za fatygę.

- Tak, proszę pana... - Schował pieniądze do kieszeni i wyjął spod kontuaru bloczek rachunkowy. Zaczął pisać, później spojrzął na moją wizytówkę.

- Pan pracuje w FBI...?

- Tak. Właściwie nie potrzebuję pokoju. Chcę pomówić z panem Rosenthalem. - Pokazałem legitymację FBI, przytrzymując ją wystarczająco długo, by mógł obejrzeć zdjęcie. - To oficjalna sprawa.

- Taa, proszę pana... czy mogę.

- Pan Rosenthal. Dziękuję.

Recepcjonista wybrał trzycyfrowy numer i powiedział do telefonu:

- Susan, jest tutaj dzentelmen z FBI, który chce się widzieć z panem Rosenthalem. - Zamilkł na chwilę, słuchając odpowiedzi. - Nie... nie wiem... dobrze. - Odłożył słuchawkę. - Pani Corva, asystentka pana Rosenthala, przyjdzie tu za chwilę.

- Doskonale. - Zabrałem z blatu wizytówkę i kartę meldunkową i schowałem do kieszeni, ale ponieważ jestem miękki, pozwoliłem mu zatrzymać czterdzieści dolarów na następny manikiur. Rozejrzałem się po holu: dużo ciemnego mahoni, rośliny w donicach, ciężkie meble i koronkowe zasłony.

Po lewej stronie znajdowały się podwójne drzwi prowadzące do baru i restauracji, gdzie siedzieli jacyś goście. Poczulem jedzenie, mój żołądek zawarczał.

Z prawej strony były drugie podwójne drzwi do salonu i biblioteki, o której wspomniała Marie. Z tyłu dostrzegłem schody, a na nich młodą, atrakcyjną kobietę w ciemnej spódnicy, białej bluzce i gustownych butach. Zbliżyła się do mnie i przedstawiła.

- Jestem Susan Corva, asystentka pana Rosenthala.

W czym mogę panu pomóc?

Zgodnie z procedurą podniosłem legitymację i odparłem uprzejmie:

- Jestem detektyw Corey z Federalnego Biura Śledczego, proszę pani. Chciałbym się widzieć z panem Lesliem Rosenthalem.

- Mogę spytać, w jakiej sprawie?
- To oficjalna sprawa, pani Corva, o której nie wolno mi mówić.
- Hm, pan Rosenthal jest w tej chwili dość zajęty, ale...
- Ja też jestem dość zajęty - wpadłem jej w słowo. - Nie zabiorę mu dużo czasu. Pójdę za panią.

Kobieta skinęła głową, odwróciła się i ruszyliśmy po schodach na górę.

- Ładnie tutaj.
- Dziękuję.
- Od dawna pani tu pracuje?
- To moje drugie lato.
- Zamykacie hotel na zimę?
- Nie, ale po Święcie Pracy jest raczej spokojnie.
- Co się dzieje z personelem?
- Większość jest zwalniana. Oni o tym wiedzą. Mamy wielu wahadłowych.

- Wahadłowych?

- Miejscowych i ludzi spoza miasta, którzy pracują tylko latem. Nauczyciele, studenci. Jest też zawodowy personel, który pracuje w sezonowym rytmie, a po Święcie Pracy wędruje na południe.

- Rozumiem. Czy każdego lata pracują ci sami ludzie?

Dotarliśmy do szczytu schodów.

- Owszem, wielu z nich pracuje u nas regularnie. Zarobki są dobre, a im podoba się tutaj w dni wolne. - Pani Corva spojrzała na mnie. - Czy coś się stało?

- Nie, to tylko rutynowe czynności. - Gwoli wyjaśnienia: kiedy gliniarz mówi, że wykonuje rutynowe czynności, to chodzi o coś zupełnie innego.

Po obu stronach szerokiego korytarza ciągnęły się rzędy pokoi z numerami. W małym bocznym korytarzu ukazały się drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU, które pani Corva otworzyła. Weszliśmy do przedsionka, w którym cztery kobiety siedziały przy stanowiskach komputerowych i rozmawiały przez telefon.

Pani Corva poprowadziła mnie do drugich drzwi, zapukała, otworzyła i skinęła na mnie ręką.

Za dużym biurkiem siedział mężczyzna w zaawansowanym średnim wieku, w rozpiętej pod szyją koszuli i luźno zwisającym jaskrawym krawacie. Wstał i obszedł biurko. Zobaczyłem, że jest wysoki i chudy. Jego twarz wyglądała na inteligentną, lecz w oczach czaił się lekki niepokój.

- Panie Rosenthal, to jest pan Corey z FBI - przedstawiła mnie asystentka.

Rosenthal podał mi rękę.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć bez uprzedzenia - zacząłem.

- To żaden kłopot - odparł Rosenthal. - Dziękuję, Susan. - Pani Corva wyszła i zamknęła za sobą drzwi. - Proszę spocząć, panie...?

- Corey. John Corey. - Nie dałem mu wizytówki, ale pokazałem legitymację, żeby go odpowiednio usposobić.

Rosenthal wrócił na swoje miejsce za biurkiem, ja usiadłem na przeciwko.

- Jak mogę panu pomóc, panie Corey?

FBI szkoli pracowników, żeby zachowywali się bardzo uprzejmie wobec obywateli, i jest to słuszne. Chce też, żebyśmy byli uprzejmi wobec podejrzanych, szpiegów, nielegalnych imigrantów i zagranicznych terrorystów, a to już stanowi dla mnie wyzwanie. Lecz FBI musi dbać o wizerunek. Pan Rosenthal był obywatelem niepodważalnym o nic oprócz posiadania beznadziejnego krawata w małe wieloryby.

- Prowadzę czynności sprawdzające w związku z katastrofą samolotu TWA osiemset.

Rosenthal przyjął to z ulgą. Widać pasowało mu, że nie chodzi o coś innego, na przykład o nielegalne zatrudnianie imigrantów. Skinął głową.

- Jak pan wie, od tragedii minęło pięć lat - podjąłem. - Rocznicy towarzyszyły liczne relacje mediów, które przyczyniły się do ponownego wzrostu zainteresowania tym wydarzeniem opinii publicznej.

Rosenthal ponownie skinął głową.

- Też o tym myślałem w ciągu ostatnich kilku dni.

- To dobrze. - Rozejrzałem się po gabinecie pana Rosenthala. Na ścianie wisiał dyplom Uniwersytetu Cornelia, a także liczne nagrody publiczne i zawodowe, pamiątkowe tabliczki i wyróżnienia. Przez

duże okno za biurkiem widziałem zatokę i piętrowy pawilon Moneybogue Bay, który także stąd wyglądał jak motel. Z prawej strony, wzdłuż drogi prowadzącej na plażę, znajdował się parking motelu, prawie pusty, mimo że była właśnie najlepsza pora na plażowanie. Spojrzałem na pana Rosenthala.

- Wychodząc naprzeciw temu zainteresowaniu i trosce, postanowiliśmy raz jeszcze zająć się niektórymi kwestiami. - Zabrzmiało to jak wstawianie kitu, lecz pan Rosenthal skinął głową. - Jak pan pamięta, w pańskim hotelu siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku przebywało dwoje potencjalnych świadków katastrofy.

- Jak mógłbym zapomnieć? Znaleźliście tych dwoje?

- Nie, proszę pana, nie znaleźliśmy.

- Nigdy więcej się tu nie pojawili. W każdym razie, o ile mi wiadomo. Zadzwońlibym do was.

- Tak, proszę pana. Podano panu czyjeś nazwisko i numer telefonu na wypadek, gdyby chciał się pan z nami skontaktować?

- Nie... Ale wiem, jak zadzwonić do FBI.

- Świetnie. Przeczytałem raport agentów, którzy tutaj wtedy przebywali, i chciałbym kilka rzeczy wyjaśnić.

- Bardzo proszę.

Rosenthal wyglądał na spolegliwego faceta, otwartego i chętnego do współpracy.

- Czy wciąż pracuje u pana recepcjonista, który meldował tego mężczyznę?

- Nie. Odszedł wkrótce po katastrofie.

- Rozumiem. Jak się nazywa?

- Christopher Brock.

- Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

- Nie, ale mogę pokazać panu jego teczkę osobową.

- To by mi pomogło. Pracowała u pana także pokojówka Lucita Gonzalez Perez, która być może widziała tego świadka oraz kobietę wychodzącą z pokoju dwieście trzy, gdzie oboje mieszkali. Czy ta pokojówka nadal jest u pana zatrudniona?

- Nie sądzę. Nie widziałem jej od tamtego lata. Ale sprawdzę.

- Ma pan jej teczkę?

Rosenthal trochę się zaniepokoił.

- Trzymamy fotokopie zielonych kart cudzoziemskich pracowników. Wszyscy nasi pracownicy urodzeni za granicą muszą mieć amerykańskie obywatelstwo lub pracować na podstawie wizen, bo inaczej byśmy ich nie zatrudnili.

- Nie wątpię, proszę pana. Jednak nie chodzi o status tej kobiety w naszym kraju. Ona jest świadkiem i chcielibyśmy jeszcze raz z nią pomówić.

- Sprawdzę to.

- Dobrze. Była jeszcze jedna pani, zajmująca się sprzątaniami. Ta, która weszła do pokoju dwieście trzy następnego dnia w południe i zawiadomiła o wyjeździe gości oraz braku koca. Czy wciąż tu pracuje?

- Nie, od tamtego lata jej nie widziałem.

Zaczynałem dostrzegać pewną prawidłowość.

- Ale pamięta ją pan? - spytałem.

- Tak, pamiętam.

- Ma pan jej teczkę?

- Z pewnością. To była studentka. Każdego lata przyjeżdżała pracować w hotelu. Ciężko pracowała i z poświęceniem imprezowała. - Rosenthal uśmiechnął się i dodał: - Wydaje mi się, że pisała wtedy pracę dyplomową.

- Jak się nazywała?

- Roxanne Scarangelo.

- Pochodzi stąd?

- Nie, mieszkała pod Filadelfią. Studiowała na Uniwersytecie Penn State. Albo na Pensylwanii. Ta informacja jest na jej podaniu.

- Trzymają państwo podania?

- Tak. W związku z rozliczeniami podatkowymi. Poza tym przyjmujemy najlepszych, więc czasem dzwonimy do nich w maju.

- Jasne. - Studentka Roxanne nie była ważnym świadkiem, podobnie jak recepcjonista Christopher i Lucita. Więc co ja tu, do cholery, robię? Czasem trzeba pogrzebać trochę w sprawie, pochodzić, popytać ludzi, którzy nic nie wiedzą. To jest jak wędrówka po labiryncie: musisz stać się znawcą fałszywych tropów i ślepych uliczek, bo to jest pierwszy etap na drodze do wyjścia. - Przypomina pan sobie nazwiska agentów federalnych, którzy pytali o mieszkańców pokoju dwieście trzy?

- Nie. Bo nigdy mi ich nie podano. Jakiś facet pojawił się z samego rana... w piątek po katastrofie i chciał wiedzieć, czy ktoś z personelu zgłosił zaginięcie koca z łóżka. Zawołano nadzorczynię personelu pokojowego, która powiedziała, że owszem, z pokoju dwieście trzy zniknął koc. Wtedy on powiedział, żeby mnie zawołano, i poprosił o pozwolenie rozmawiania z personelem. Zgodziłem się i to wszystko. Obiecał, że później mi o wszystkim powie. Tymczasem zjawilo się tych trzech facetów z FBI. Jeden z nich twierdził, że chodzi o katastrofę. Miał koc w foliowej torbie z napisem „Dowód”. Pokazał go mnie, nadzorczy i kilku pokojówkom. Potwierdziliśmy, że to może być koc z pokoju dwieście trzy. Potem agenci chcieli zobaczyć moje karty meldunkowe oraz zapisy w komputerze i chcieli pomówić z recepcjonistą, który tego dnia miał dyżur. Ale to wszystko pan wie.

- Tak, wiem. Czy pamięta pan nazwisko agenta, który pierwszy dowiadywał się o ten zaginiony koc?

- Nie. Dał mi swoją wizytówkę, ale później ją zabrał.

- Rozumiem. Proszę kontynuować.

Rosenthal wspominał wydarzenia tego ranka i popołudnia sprzed pięciu lat. Mówił jasno jak ktoś, kto opowiadał tę historię rodzinie i przyjaciółom ze sto razy. Nie bez wpływu było też pewnie to, że musiał znosić agentów federalnych uganiających się po jego miłym, przytulnym hoteliku.

W tym, co mówił, nie było wiele nowego, ale słuchałem uważnie na wypadek, gdyby coś takiego się pojawiło.

- Okazało się, że ten gość, który się zameldował, użył fałszywego nazwiska... Nasza polityka jest taka, że nie obsługujemy takich klientów...

- Chyba że poza sezonem.

- Słucham?

- Proszę mówić dalej.

- Chcemy wiedzieć, kim są nasi goście. A Christopher, recepcjonista, do pewnego momentu postępował zgodnie z procedurą... Teraz wymagamy karty kredytowej, prawa jazdy lub jakiegoś dokumentu ze zdjęciem.

Miałem coś do zakomunikowania panu Rosenthalowi w związku z tym, co właśnie powiedział, lecz nie był to odpowiedni moment.

- Czemu Christopher odszedł?
- Cóż... Powstała między nami różnica zdań w związku z zameldowaniem tego gościa. Nie winiłem za to Christophera, ale chciałem dokonać ponownego przeglądu procedur. Nie zaniepokoiło go to szczególnie, ale dzień czy dwa dni później odszedł. - Po krótkiej pauzie pan Rosenthal dodał: - Personel hotelowy jest trochę spięty, zwłaszcza mężczyźni.

Zastanowiłem się nad tym.

- Co się stało z tym zastawem w wysokości pięciuset dolarów? - spytałem.

- Wciąż trzymamy go dla tego gościa. - Pan Rosenthal się uśmiechnął. - Pomniejszony o trzydzieści sześć dolarów za dwie butelki wina z barku i koc.

Ja też się uśmiechnąłem.

- Proszę dać mi znać, jeśli ten dzentelmen zgłosi się po odbiór zastawu.

- Z pewnością.

Zatem donżuan i towarzysząca mu dama skonsumowali trochę wina przed wyjazdem na plażę albo po powrocie.

- W pokojach są pełne butelki? - spytałem.

- Nie. - Pan Rosenthal zamilkł na chwilę. - Jeden z agentów FBI też mnie o to pytał. Czy to ważne?

- Nie, skądże. Co było na wizytówce tego gościa?

- Nie pamiętam nazwiska. Wydaje mi się, że to była wizytówka adwokata.

- Czy ten recepcjonista, Christopher, powiedział, że ten mężczyzna wyglądał na adwokata?

Moje pytanie chyba trochę zbiło z tropu pana Rosenthala.

- A... jak wygląda adwokat?

Mój podstęp spalił na panewce. Mogłem spuentować pytanie pana Rosenthala, ale się powstrzymałem.

- Proszę mówić dalej.

Rosenthal przez jakiś czas opowiadał o czterech agentach, którzy dołączyli do pierwszej trójki. Trzech mężczyzn i kobieta, którą była pewnie Marie Gubitosi.

- Przesłuchiwali wszystkich, personel i gości. Było to trochę męczące, bo każdy bardzo starał się pomóc, gdyż miało to związek z katastrofą - ciągnął Rosenthal. - Wszyscy byli wstrząśnięci i o niczym innymi nie rozmawiali.

Mój kac miał się już o wiele lepiej i mogłem kiwać głową bez dawania sobie bólu. Wyciągnąłem z kieszeni komórkę i pager i włączyłem je, czekając na wiadomość. Mija około dziesięciu minut, zanim namierzą sygnał, zwykle dłużej, ale czasem mają szczęście i ustalają twoje położenie w ciągu sześciu minut. Rosenthal opowiadał dalej, a ja odczekałem pięć minut i wyłączyłem oba urządzenia. Moje rozdrażnienie na Kate za to, że mnie okłamała, zamieniło się w irytację, że nie dzwoni ani nie puszcza sygnału na pager. Jak można się porządnie kłócić, jeśli się ze sobą nie rozmawia?

Przemknęło mi przez myśl, że Kate mogła zostać wezwana do gabinetu jakiegoś szefa albo do jaskini służby wewnętrznej i w tej chwili odpowiada na trudne pytania. Przyszło mi też do głowy, że choć nie wspominałem Kate o mojej wycieczce - a byłem pewien, że mnie nie śledzono - draby ze służby wewnętrznej mogły odgadnąć, gdzie spędzam wolny dzień. Niemal spodziewałem się, że lada chwila drzwi otworzą się gwałtownie i do gabinetu Rosenthala wtargnie Liam Griffith w towarzystwie trzech przybocznych i mnie zgarną. Pan Rosenthal byłby zaskoczony, ale ja nie.

- Wielu gości wymeldowało się przed czasem, bo nie chciało iść na plażę... - ciągnął Rosenthal. - Morze wyrzucało na brzeg różne... rzeczy... - Wziął głęboki oddech. - Ale później pojawili się ciekawscy, mnóstwo dziennikarzy i paru polityków. FBI zaproponowało mi wynajęcie na miesiąc trzydziestu pokoi, jeśli zgodzę się na obniżoną stawkę. Przyjąłem ofertę i cieszę się, bo później przedłużyli pobyt i niektórzy zostali aż do Święta Pracy.

- Wszedł pan na swoje.

Rosenthal spojrzał na mnie.

- Wszyscy wyszli na swoje. Ale wie pan co? Oddałbym te pokoje za darmo, gdyby to pomogło w śledztwie. - Po chwili dodał: - Wydałem darmowe śniadania wszystkim, którzy brali udział w dochodzeniu.

- To bardzo hojnie z pańskiej strony. Czy któryś z agentów FBI przesłuchujących pana i personel tutaj został?

- Myślę, że przynajmniej jeden lub dwóch. Ale po pięciu latach naprawdę nie pamiętam. Nie miałem z nimi prawie wcale do czynienia. Czy tego wszystkiego nie ma w oficjalnym raporcie? - zainteresował się.

- Jest. To, co właśnie robię, nazywa się konsolidacją akt. - Nic takiego nie istniało, ale Rosenthal chyba to kupił. Zgodnie z przewidywaniami wpadałem w ślepe uliczki, ale poznałem dwa nowe nazwiska: Christophera Brocka, recepcjonisty, oraz Roxanne Scarangelo, studentki-pokojówki. Potrzebowałem jeszcze jednego, na wypadek gdyby nagle zjawiała się Policja Myśli.

- Jak nazywała się nadzorczym personelu pokojowego?

- Anita Morales.

- Nadal u pana pracuje?

- Tak. Jest u mnie na stałe. Bardzo dobrze wywiązuje się z obowiązków.

- Świetnie. - Byłoby cudownie, gdybym mógł powiedzieć to samo o mojej nadzorczym. - Chciałbym jeszcze zapytać o Roxanne... Czy rozmawiał pan z nią po tym, jak została przesłuchana przez FBI?

- Tak... Ale zakazano jej rozmawiać o swoim zeznaniu z kimkolwiek, nie wyłączając mnie.

- Jednak powiedziała, że zobaczyła szminkę na szklance w pokoju, że ktoś korzystał z prysznicy i że zaginął koc.

- Nie rozmawiała o tym ze mną - zapewnił Rosenthal.

- W porządku. Czy FBI pobrało odciski palców od kogoś z personelu?

- Tak. Od recepcjonisty Christophera i od pokojówki Roxanne. Wyjaśnili, że potrzebują tych odcisków, by odróżnić je od tych, które znajdują się na blacie w recepcji i w pokoju.

No i rzecz jasna na karcie meldunkowej. Wydawało mi się, że donżuan zostawił doskonale odciski na karcie, które pasowały do tych na kieliszku i na butelce znalezionych na plaży. Potwierdzały one, że był w obu tych miejscach. Dama mu towarzysząca zostawiła odciski na butelce wina i kieliszku, choć prawdopodobnie nie w pokoju, bo ten został dokładnie wysprzątnany. Lecz jeśli od żadnego z nich nie pobrano wcześniej odcisków, to one też do niczego nie prowadziły, chyba że oboje zostaną znalezieni w inny sposób i ich odciski będzie można wykorzystać do identyfikacji.

- Czy mam podpisać oświadczenie? - przerwał moje rozmyślanie Rosenthal.

- Nie. A chce pan?

- Nie... Ale zauważyłem, że pan nie notuje.
- Bo nie muszę. To nieoficjalna rozmowa. - Gdybym notował i został później nakryty, wpadłbym w jeszcze głębsze szambo. - Pięć lat temu podpisywał pan zeznanie?
- Tak. Widział je pan?
- Widziałem. - Nadszedł czas na zmianę tematu i scenerii. - Chciałbym zobaczyć teczki pańskiego personelu.
- Oczywiście. - Rosenthal wstał. - Sam je panu pokażę.
- Dziękuję.

Opuściliśmy gabinet Rosenthala i zeszliśmy po schodach do holu. Ponownie włączyłem komórkę i pager, by sprawdzić, czy ktoś mnie wywoływał. Każdy pracownik wydziału wewnętrznego policji, FBI i CIA powie wam, że najtrudniej jest nakryć jednego ze swoich. Nie ma cwanych przestępców - wszyscy są głupi i zostawiają więcej śladów swojej działalności niż Święty Mikołaj w Gwiazdkę. Jednak gliniarze, agenci FBI i CIA to inna historia: trudno ich namierzyć, kiedy knują coś paskudnego.

Ale i tak odniosłem wrażenie, że ktoś ma mnie na oku, jak powiadają gliniarze. Może zostało mi dwadzieścia cztery godziny, nim wdepnę w coś śmierdzącego. A może dwadzieścia cztery sekundy.

Rozdział 24

Rosenthal poprowadził mnie do drzwi pod głównymi schodami i otworzył je kluczem. Zeszliśmy do ciemnej, wilgotnej piwnicy.

- Skład win i archiwum - oznajmił.
- Zaczniemy od składu win.

Zaśmiał się z pierwszego żartu, który powiedziałem tego popołudnia, wzmacniając korzystne wrażenie, które na mnie sprawił.

Otworzył następne drzwi i zapalił szereg świetlówek, które wydołyły z mroku nisko sklepione pomieszczenie pełne regałów i szaf na dokumenty.

- Chce pan teczkę Christophera Brocka?
- Poproszę.

Podszedł do jednej z szaf i wyciągnął szufladę oznaczoną literami A-D. Zaczął przeglądać dokumenty.

- To są nieaktualne teuczki osób pracujących kiedyś w biurze i administracji... zobaczmy... Wymagam, żeby trzymano je w ścisłym porządku alfabetycznym... B-R-O... może...

W szufladzie było tylko kilkanaście teczek, a jeśli Rosenthal jeszcze nie trafił na teczkę Christophera Brocka, to już jej nie znajdzie.

- To dziwne - mruknął, robiąc krok do tyłu.

Wcale nie. Dobra wiadomość była taka, żeteczka Christophera Brocka znajdowała się w Federal Plaza 26. Zła zaś, że nigdy jej nie zobaczę.

- Ateczka Roxanne Scarangelo? - zapytałem.

Rosenthal, wciąż zafasowany brakiem teczki, nie odpowiedział.

- Tej studentki-pokojówki - przypomniałem.
- A, tak... proszę za mną.

Podeszliśmy do szafy oznaczonej napisem „Nieaktualne teczki pracowników wakacyjnych i sezonowych” i Rosenthal wyjął szufladę z literami S-U.

- Roxanne Scarangelo... powinna tu być.

Pomogłem Rosenthalowi przejrzeć ciasno upakowaną szufladę. Dwa razy.

- Jest pan pewien, że tak brzmi jej nazwisko? - spytałem.
- Tak. Pracowała w sezonie letnim dwa lub trzy razy. Miła dziewczyna. Inteligentna, ładna.

- Pracowita.

- Tak. Hm, nie mogę znaleźć jej teczki. A niech to. Dbam o porządek w aktach. Jeśli sam się tym nie zajmę, to nikt nie zrobi tego porządnie.

- Czy to możliwe, że FBI zabrało teczki i zapomniało ich zwrócić?

- Tak, zabrali je, ale zrobili odbitki i później oddali teczki.

- Komu?

- Nie jestem pewny... Chyba przynieśli je prosto tutaj. Spędzili tu mnóstwo czasu. - Rosenthal spojrzał na mnie. - Powinien pan mieć odbitki tych dokumentów w pracy.

- Na pewno tam są.

- Może mi pan przesłać kopie?

- Naturalnie. A czy w komputerze trzyma pan jakieś informacje osobowe?

- Teraz tak, ale wtedy nie - odparł Rosenthal. - Właśnie dlatego przechowujemy te archiwa. Tak czy inaczej jestem zwolennikiem papierowych dokumentów, a nie plików komputerowych.

- Ja też. No dobrze, może w takim razie zajmiemy się Lucią Gonzalez Perez?

Rosenthal podeszedł do szafy z literami E-G, lecz teczki Lucity tam nie było. Sprawdziliśmy pod P, ale tam też jej nie znaleźliśmy.

- Wygląda na to, że pańscy koledzy albo źle umieścili teczki, których pan szuka, albo zapomnieli zwrócić akta Bracka, Scarangelo i Gonzalez Perez.

- Na to wygląda. Sprawdzę w pracy. Czy pani Morales jest dzisiaj w hotelu?

- Tak.

- Może ją pan tutaj poprosić?

- Oczywiście. - Rosenthal wyjął z kieszeni krótkofalówkę i zawołał asystentkę. - Susan, poproś panią Morales, żeby zeszła do archiwum. Dziękuję.

- Chce pan zobaczyć piwnicę z winami? - zapytał pan Rosenthal.

- Nie, tylko żartowałem. Prawdę mówiąc, jestem niepijący.

- Chce pan obejrzyć inne teczki?

- Oczywiście. - Rosenthal miał krętka na punkcie teczek, na czym korzystali odwiedzający go stróże prawa. Mnie też bardzo pomagał, chociaż moi koledzy spustoszyli jego archiwum przed pięćmioma laty.

Wyciągnąłem przypadkową szufladę i znalazłem kilka teczek z łatynoskimi nazwiskami. Przejrzałem akta. Nie było tam wielu informacji, tylko rejestr wypłat i raporty o wydajności pracy. Nie znalazłem też numerów ubezpieczenia społecznego ani kopii zielonych kart. Zwróciłem na to uwagę Rosenthalowi.

- Jestem pewien, że w księgowości mają wszystkie te informacje - oznajmił.

- Na pewno. - Nie przybyłem tam po to, żeby nakryć go na nielegalnym zatrudnianiu imigrantów, ale trzymałem w garści kilka z jego nielicznych włosów na wypadek, gdyby okazało się to przydatne.

Moja praca w ATTF i policyjnym wydziale zabójstw polega głównie na uganianiu się za informacjami i wypełnianiu procedur, lecz jest to bądź co bądź aktywność umysłowa. Momenty, w których krzyczysz „Eureka!”, wynagradzają ten wysiłek. Od czasu do czasu przeżywasz dreszczyk, kiedy do ciebie strzelają albo ścigasz się z przestępcą, który jest niebezpieczny, uzbrojony i zdesperowany. Lecz minął rok od dnia, kiedy próbowano mnie zabić i choć nie tęskniłem za tym stymulującym bodźcem, zaczynałem się trochę nudzić. Sprawa katastrofy boeinga TWA 800 była tym, czego potrzebowałem, żeby krew znów popłynęła szybciej w moich żyłach. Niestety, znalazłem się przy tej okazji po niewłaściwej stronie prawa, choć miałem nadzieję, że jestem po stronie aniołów.

Po chwili stanęła przed nami tęga kobieta w średnim wieku o wyglądzie Latynoski.

- Chciał pan mnie widzieć, panie Rosenthal? - zapytała poprawnie po angielsku, choć z lekko słyszalnym obcym akcentem.

- Tak, pani Morales. - Rosenthal spojrział na mnie. - Ten dżentelmen chciałby zadać pani kilka pytań. Proszę okazać mu życzliwość.

Kobieta skinęła głową.

Nie przedstawiając się, zapytałem:

- Pamięta pani pewną kobietę, która pracowała tutaj pięć lat temu, Lucitę Gonzalez Perez? To ona widziała gości z pokoju dwieście trzy, tego mężczyznę i kobietę, którymi interesowało się FBI.

- Pamiętam - odparła pani Morales.

- Świetnie. Czy rozmawiała pani z Lucitą po tym, jak przesłuchało ją FBI?

- Tak.

Spojrzałem na Rosenthala.

- Chciałbym spędzić kilka minut sam na sam z panią Morales.

Rosenthal wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Jaki był status imigracyjny Lucity? - zapytałem.

- Przedłużyła pobyt po wygaśnięciu zezwolenia na pracę - odparła po chwili wahania.

- A policja obiecała, że pomoże jej załatwić tę sprawę?

- Tak.

- I pomogli?

- Nie wiem. - Po krótkim namyśle dodała: - Następnego dnia nie przyszła do pracy i nigdy więcej jej nie widziałam.

I już jej pani nie zobaczy, pani Morales. Ani ja.

- Pamięta pani sprzątaczkę nazwiskiem Roxanne Scarangelo? Tę studentkę.

Pani Morales skinęła głową.

- Była z nami przez wiele sezonów.

- Rozmawiała z nią pani po tym, jak przesłuchała ją policja?

- Nie.

- Wróciła nazajutrz do pracy?

- Nie wróciła.

- Czy w ogóle wróciła?

- Nie.

Biedna pani Morales pewnie zastanawiała się w tej chwili, czy ona też zniknie. Ja zastanawiałem się, czy zniknę. To zaczynało wyglądać jak jeden z odcinków *Archiwum X*. Ale nie wspomnę o tym Kate.

- Wie pani, gdzie mogę znaleźć Lucitę?

- Nie. Jak mówiłam, nie widziałam jej więcej i nie miałam od niej żadnej wiadomości.

- W jakim wieku była Lucita?

Pani Morales wzruszyła ramionami.

- Młoda dziewczyna. Miała osiemnaście, może dziewiętnaście lat.

- A skąd pochodziła?

- Z Salwadoru.

- Gdzie mieszkała w Ameryce?

- Z rodziną.

- Gdzie?

- Nie jestem pewna.

Zadałem jeszcze kilka pytań, ale pani Morales odpowiadała z coraz większą rezerwą.

- Dziękuję, pani Morales. Proszę nie mówić nikomu o tej rozmowie. - Bo pani zniknie. - Niech pani zawoła pana Rosenthala.

Kobieta skinęła głową i wyszła.

Mogłem zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób Lucita zniknęła z hotelu Bayview, ale z Roxanne Scarangelo sprawa przedstawiała się inaczej. Był jeszcze recepcjonista Christopher Brock, który nagle zrezygnował lub którego zwolniono. Ten lokal przed pięcioma laty został zdezynfekowany, pozostali tylko Rosenthal i Morales, których trudno było się pozbyć. Gdyby sprawa wypłynęła, niełatwo byłoby wytłumaczyć tyle zbiegów okoliczności naraz.

Rosenthal wrócił do archiwum.

- Czy pani Morales pomogła panu?

- Chyba pamiętała wszystko.

- Minęło pięć lat.

- Słusznie. A propos, pamięta pan, czy Roxanne Scarangelo pracowała do końca lata?

Rosenthal przez chwilę się zastanawiał.

- Zwykle pracownicy sezonowi tak właśnie postępują... ale wielu studentów odchodzi dwa tygodnie przed końcem sierpnia, żeby zrobić sobie wakacje.

- A jak było z Roxanne?

- Tak, teraz sobie przypominam, że odeszła wcześniej. Kilka dni potem czegoś od niej chciałem i ktoś powiedział, że odeszła. - Po chwili dodał: - Teraz, kiedy o tym pomyślałem, dochodzę do wniosku, że kilka osób z personelu odeszło po wypadku. Byli wstrząśnięci.

- Ile lat miał Christopher Brock? - zapytałem. Rosenthal zastanowił się przez chwilę.

- Był przed trzydziestką.

- Powiedział pan, że wynajął pan FBI trzydzieści pokoi.

- Tak.

- Ile pokoi jest w hotelu?

- Dwanaście w dawnej gospodzie, dwadzieścia cztery w Moneybogue Bay Pavilion i cztery w domkach.

- Czy musiał pan przeprosić jakichś gości, żeby zrobili miejsce dla FBI?

- Kilkoro. Ale przeważnie unieważnialiśmy rezerwacje i odsyłaliśmy ludzi zgłaszających się do recepcji. W ciągu tygodnia prawie wszystkie pokoje dostało FBI.

- Rozumiem. Zachował pan dane osobowe pracowników FBI, którzy mieszkali w hotelu?

- Nie w stałym archiwum.

- Co to znaczy?

- Tylko dane w komputerze, tak abyśmy mogli przekierowywać połączenia telefoniczne i rejestrować dodatkowe opłaty. Oni ciągle przychodzili i wychodzili, czasem pokój przechodził z rąk do rąk, a my nic nie wiedzieliśmy. Czemu pan pyta?

Nie podobało mi się, kiedy Rosenthal zadawał mi takie pytania, ale ponieważ lubię wstawiać kit, odparłem:

- Główna księgowość kwestionuje niektóre rachunki.

- Rozumiem... my staraliśmy się jak najlepiej. Agentów nie było łatwo obsłużyć. Proszę się nie gniewać.

- Skądże znowu. Czyli można powiedzieć, że FBI jakby przejęło hotel we władanie.

- Otóż to.

- Czy kazali panu wyrzucić dziennikarzy, którzy zamieszkali w hotelu?

- Tak, faktycznie, teraz to sobie przypomniałem. Nie wiem, którzy goście byli gorsi, FBI czy dziennikarze. Proszę się nie gniewać.

- Nie ma o tym mowy.

- Reporterzy robili wielkie halo, ale że była to sprawa bezpieczeństwa narodowego, musieli odejść.

- To oczywiste. Myśli pan, że udałoby się panu odtworzyć nazwiska agentów FBI przebywających w pana hotelu od lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku do, powiedzmy, października?

- Nie sądzę. Na koniec pobytu agentów zjawił się ktoś z FBI i wyzcisnął komputer. Bezpieczeństwo narodowe. Właśnie dlatego wolę papierowe akta.

- Ja też. - Raz po raz waliłem głową w ścianę. Lecz odkryłem pewne dziwne i ciekawe wydarzenia, o których ani Kate, ani Dick Kearns, ani Marie Gubitosi mi nie wspomnieli. Prawdopodobnie dlatego, że o nich nie wiedzieli. Dick i Marie raczej nie mogli wiedzieć o znikaniu osób, teczek i plików komputerowych. Ale pani Mayfield mogła wiedzieć, a nawet mieszkać w tym hotelu.

- Zajrzyjmy do pokoju dwieście trzy.

- Dlaczego? - zdziwił się Rosenthal. - Minęło pięć lat.

- Pokoje do mnie mówią.

Spojrzał na mnie dziwnie, co było zrozumiałe po takiej wypowiedzi. Chyba zaczynał się robić podejrzliwy.

- W pokoju mogą być goście - zastrzegł, po czym spytał z wahaniem: - Czy mógłby pan jeszcze raz przedstawić mi powód swojej wizyty?

Kiedy pracuję z partnerem, zwykle gram złego glinę, ale kiedy pracuję sam, muszę odgrywać i złego, i dobrego, co czasem bywa frustrujące dla rozmówcy.

- Celem mojej wizyty nie jest ustalanie statusu prawnego pańskich pracowników - zapewniłem. - Ale to może się zmienić. Poza tym to jest moje śledztwo, a nie pańskie, panie Rosenthal. Proszę zaprowadzić mnie do pokoju dwieście trzy.

Rozdział 25

Zatrzymaliśmy się przy recepcji.

- Czy ktoś zajął pokój dwieście trzy? - spytał Rosenthal Petera.

Peter stuknął kilka razy w klawiaturę i odparł:

- Tak, proszę pana. Państwo Schultzowie, dwudniowy pobyt, przybyli...

- Proszę sprawdzić, czy są w pokoju - wpadłem mu w słowo.

- Tak, proszę pana. - Peter wybrał numer, ktoś podniósł słuchawkę.

Peter spojrzął na mnie.

- Niech pan im powie, żeby wynieśli się z pokoju. Że wąż wśliznął się do pokoju albo coś w tym rodzaju. Będą mogli wrócić za dwadzieścia minut.

Peter odchrząknął.

- Przepraszam, pani Schultz, ale będą państwo musieli opuścić pokój na dwadzieścia minut... mamy drobny kłopot z instalacją elektryczną. Tak. Dziękuję pani.

Panu Rosenthalowi nie przypadło do gustu to, co zrobiłem.

- Daj panu Coreyowi klucz do pokoju dwieście trzy - polecił Peterowi.

Peter wyciągnął z szuflady klucz i podał mi.

- Przypuszczam, że nie jestem panu potrzebny - zwrócił się do mnie Rosenthal. - W razie gdyby życzył pan sobie jeszcze ze mną mówić, jestem w swoim gabinecie.

Nie chciałem, żeby facet zniknął mi z oczu i zaczął główkować czy zadzwonić do FBI.

- Wolalbym, żeby poszedł pan ze mną - odparłem. - Proszę mnie zaprowadzić.

Trochę niechętnie Rosenthal wyszedł z recepcji i ruszył ozdobną ścieżką do Moneybogue Bay Pavilion.

Był to, jak już wcześniej wspomniałem, długi piętrowy budynek niewyróżniający się urodą. Na dachu kołysał się wiatrowskaz, który pokazywał, że wiatr wieje od strony zatoki.

Wspięliśmy się po zewnętrznych schodach na piętro i poszliśmy tarasem, o tej porze ocienionym występem dachu. Jakaś para w starszym wieku pospiesznie ewakuowała się z pokoju. Domyśliłem się, że jest to pokój dwieście trzy zagrożony atakiem elektrycznego węża.

Goście przemknęli obok nas, a ja otworzyłem kluczem drzwi.

Schultzowie lubili porządek, toteż pokój wyglądał jak niezamieszka-
kany.

Było to obszerne pomieszczenie urządzone w schludnym stylu propagowanym przez Marthę Stewart, dominującym w tych okolicach.

Zajrzałem do łazienki z kabiną prysznicową wystarczająco dużą, by pomieścić wygodnie dwie osoby. Albo czterech bliskich przyjaciół.

Wróciłem do saloniku. Na ścianie umieszczono telewizor oraz półki ze szklankami, kieliszkami, serwetkami, mieszadełkami i korkociągiem. Poniżej mieścił się barek.

Wiedziałem, że FBI przetrząsnęło cały pokój od podłogi do sufitu. Odkurzyli dywanik, krzesła i łóżko. Jednak Roxanne Scarangelo ich uprzedziła, a jeśli się postarała, nie znaleźli żadnego pominiętego odcisku palca, włókna ani włosa, ani napęczniałego od cząsteczek DNA kondoma kołyszającego się na wodzie w muszli klozetowej. Ale nigdy nie wiadomo.

Podszedłem do ściany. Telewizor był zamocowany na obrotowym uchwycie. Odwróciłem go, odsłaniając tylną część obudowy z wyjściami audio i wideo oraz kablem sieciowym.

Popuściłem wodze wyobraźni i ujrzałem, jak donżuan i pani jego serca wpadli tu jak szaleni po swojej schadzce na plaży.

W czasie jazdy powrotnej z plaży jedno z nich obejrzało na wizjerze kamery nagranie, sprawdzając, czy zostało zarejestrowane to, co działo się na niebie. A jeśli zobaczyli eksplozję na małym ekraniku,

chcieli obejrzyć ją wyraźniej na dużym, telewizyjnym.

Podłączyli więc przejściówkę zasilania do kamery, a następnie do gniazda w ścianie znajdującego się po prawej stronie odbiornika. Potem wzięli długi przewód sygnałowy i podłączyli kamerę do wejścia w telewizorze, nacisnęli guzik „play” i zaczęli oglądać nagranie.

Pewnie mieli przejściówkę i kabel sygnałowy ze sobą, bo początkowo zamierzali wrócić do hotelu, odtworzyć figle na plaży na telewizorze, wypić parę drinków i znów się rozgrzać.

Istniała oczywiście możliwość, że ci dwoje nie uprawiali seksu na plaży: chcieli tylko nagrać zachód słońca, żeby później stworzyć romantyczny nastrój i niechcący zarejestrowali ostatnie chwile boeinga TWA.

Naprawdę nie miały znaczenia wydarzenia z pierwszego planu - czy parka oddała się miłosnym igraszkom, czy trzymała się za ręce. Ważne było to, co działo się w tle.

Tak czy owak nie byli małżeństwem, bo w przeciwnym razie taśma zostałaby przekazana FBI.

Oni natomiast czmychnęli z Westhampton w takim pośpiechu, że zostawili ślady na plaży oraz pięćsetdolarowy zastaw w hotelu Bayview.

Najważniejsze pytanie brzmiało: czy zniszczyli taśmę z nagraniem?

Ja bym zniszczył. Albo bym nie zniszczył. Gdyby została zniszczona, nie można byłoby jej odzyskać, a ludzie nieczęsto decydują się na taki krok: raczej ukrywają dowody, co mogą poświadczyć. Znam przynajmniej dziesięciu delikwentów siedzących w pudle, którzy nie znaleźliby się tam, gdyby zniszczyli dowody przestępstwa, zamiast je ukrywać. Narcystyczna osobowość wykazuje skłonność do największych głupstw.

Rosenthal stał w milczeniu, być może czekając, aż pokój do mnie przemówi; zastanawiałem się, czy nie złożyć dłoni w trąbkę i nie przystawić do ucha, lecz gospodarz przez znaczną większość czasu mi pomagał, więc nie było powodu, by denerwować go jeszcze bardziej.

- Czy klucz został w pokoju? - zapytałem.

- Tak. Pamiętam to, bo FBI go zatrzymało. Próbowali zdjąć odciski z niego albo z plastikowego znaczka. Ale Roxanne wzięła klucz do

ręki, kiedy znalazła go w pokoju, a później trzymał go w dłoni Christopher i być może jeszcze inne osoby. Mimo to zabrali klucz i dali mi na niego pokwitowanie.

- Ma pan to pokwitowanie?
- Nie. Zwrócili klucz po kilku dniach, a ja oddałem im kwit.
- Jasne. - Poprosiłem Rosenthala o przeliterowanie nazwiska Scarangelo. Przeliterował i był dość pewny pisowni. Bez wątpienia lubił tę dziewczynę. - Ile miała lat?
- Jakies dwadzieścia jeden, dwa.
- Pamięta pan, kiedy przypadały jej urodziny?
- Hm... Chyba w czerwcu. Nie pamiętam daty, ale wiem, że personel co rok urządzał dla niej małe przyjęcie w barze koktajlowym. Była lubiana.
- Rozumiem. A Brock pisze się B-R-O-C-K?
- Tak.
- Czy on używał innego imienia?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy tych wszystkich informacji nie ma w waszym archiwum?
- Taak, słusznie. Mam znaleźć te akta dla pana. Pamięta pan?
- A, tak. Dziękuję.
- Bardzo proszę.

Rozejrzałem się po raz ostatni i wyszedłem z powrotem na taras. Rosenthal podążył za mną.

Pięć lat temu, stojąc gdzieś na tym tarasie, Lucita zobaczyła tych dwoje wychodzących pospiesznie, tak samo jak Schultzowie. Mężczyzna wychodził z pokoju, trzymając koc pod pachą. Nie miało znaczenia, czy rozpoznała donżuana z portretu pamięciowego i że nie przyjrzała się dokładnie towarzyszącej mu damie: ważne było tylko to, że widziała, jak wychodzili z pokoju dwieście trzy, że jedną z osób była kobieta i że mężczyzna niósł koc.

Popatrzyłem na parking znajdujący się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Lucita musiała wyraźnie widzieć tych dwoje wsiadających do jasnobrazowego samochodu terenowego.

Postanowiłem rozstać się z Rosenthalem, zostawiając po sobie miłe wrażenie.

- Skończyłem. Dziękuję panu za współpracę i mam nadzieję, że nie zająłem zbyt dużo czasu.

- Miło mi było znów pomóc - odparł. - Proszę nie zapomnieć o przysłaniu mi kopii tych brakujących dokumentów.

- Zajmę się tym od razu. I niech pan nie mówi nikomu o mojej wizycie.

- Zbliżyliście się do rozwiązania zagadki katastrofy tego samolotu? - zaciekał się Rosenthal.

- Wiemy, co się z nim stało. To był przypadkowy wybuch zbiornika z paliwem.

- Nie, to nie było to.

- Było. Sprawa jest zamknięta, panie Rosenthal. Celem mojej wizyty była kontrola procedur i raportów pracujących tutaj agentów. Konsolidacja akt.

- Skoro pan tak twierdzi.

Rosenthal zaczynał się robić trochę niepokorny.

- Powinien pan robić odbitki zielonych kart wszystkich pracowników i spisywać numery ich ubezpieczenia - przypomniałem mu.

Nie odpowiedział.

Wręczyłem mu klucz do pokoju dwieście trzy.

- Podoba mi się pański krawat.

Zostawiłem Rosenthala na tarasie, zszedłem po schodach i ruszyłem do mojego jeepa stojącego na parkingu dla gości.

Uruchomiłem samochód i skierowałem się na południe w stronę zatoki, a następnie przejechałem przez mały most i skręciłem na Wydmowy Szlak. Dziesięć minut później zajechałem pod park Cup-sogue Beach County. W budce siedział parkingowy. Mignąłem mu legitymacją.

- Chcę wjechać na naturalny trakt - oznajmiłem.

- To niedozwolone.

- Dziękuję.

Przejechałem przez prawie zapełniony parking. Było to normalne o tej godzinie w pogodny, słoneczny dzień. Włączyłem napęd na cztery koła i skręciłem na naturalny szlak. Przechadzali się po nim ludzie pragnący wejść w bliski kontakt z naturą, lecz usłużnie odskakiwali na bok, by przepuścić jeepa.

Trakt zwężał się coraz bardziej. Skręciłem w miejscu, w którym donzuan i pani jego serca zjechali do plaży przed pięcioma laty.

Zatrzymałem się mniej więcej tam, gdzie przedwczoraj wieczorem postawiłem samochód. Wsiadłem. Od wyjazdu z hotelu Bayview minęło mniej niż dwadzieścia minut. Znaczyłoby to, że tych dwoje było tu około dziewiętnastej dwadzieścia, jeśli Lucita dokładnie podała godzinę, o której ich widziała.

Znaleźli zaciszne miejsce pomiędzy dwiema wydhami, rozłożyli koc i otworzyli lodówkę, ustawili kamerę - lub przynajmniej zdjęli osłonę z obiektywu - odkorkowali wino i tak dalej. Potrwało to mniej więcej do dziewiętnastej czterdzieści pięć.

Później wypili trochę wina, zrobili to i owo na kocu, a następnie zeszli na plażę w ubraniu lub nago.

Zdjąłem mokasyny i przeszedłem plażą do miejsca, w którym około stu osób wylegiwało się na kocach, spacerowało, biegало, rzucało frisbee lub kąpało się wśród łagodnych fal.

Ciekawe, czy donzuan i jego towarzyszka zeszli nago na plażę. Niewykluczone. Ludzie, którzy nawiązują romans, są siłą rzeczy lekomyślni. Stałem na skraju wody, odwróciłem się i spojrzałem na wydmy.

Jeśli zeszli na plażę, to być może chcieli uwiecznić tę romantyczną chwilę z zachodem słońca. A to oznaczało, że skierowali kamerę w miejsce, w którym eksplodował boeing TWA 800.

Stałem, patrząc na ocean, i rozmyślałem o tym.

Włączyłem komórkę i poczekałem na pisk sygnalizujący wiadomość, ale żadnej nie było. Niewielu ludzi ma numer mojej komórki i nie jestem ulubieńcem nawet tych nielicznych, którzy go mają, ale dwa lub trzy połączenia dziennie zwykle odbieram.

Włączyłem pager. Numer mojego pagera ma mnóstwo osób, między innymi informatorzy, podejrzani, świadkowie, koledzy oraz personel domu, w którym mieszkam. Razem około setki. Ale tu też nikt się nie odezwał.

Ta cisza albo nic nie znaczyła, albo coś zwiastowała. Z mojego doświadczenia wynika, że cisza zwykle nic nie znaczy.

Z wyjątkiem tych sytuacji, gdy jest złowieszcza. Dość filozofii zen na dzisiaj.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zadzwonić na komórkę Kate, lecz wiem z doświadczenia, że zbyt wielu frajerów, którzy uciekali, zostało namierzonych, kiedy próbowali skontaktować się z kobietą. Wyłączyłem telefon i pager.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta; ludzie zaczęli się zbierać z plaży.

Ruszyłem w stronę samochodu, rozmyślając o wizycie w hotelu Bayview. Byłem pewny, że zrobiłem tam wszystko, co trzeba, ale zawsze zostaje to dręczące poczucie, że coś się pominęło, nie zadało się jakiegoś pytania, przeoczyło jakąś wskazówkę.

W gruncie rzeczy wiedziałem, że coś przeoczyłem - coś, co kołatało mi się w głowie, lecz było tak nieznaczące, że umysł tego nie zarejestrował.

Luki czasowe zawsze są istotne, bo właśnie wtedy rozmaite rzeczy się zdarzają. Przybycie do hotelu o szesnastej trzydzieści, o dziewiętnastej przyjazd na plażę. To znaczy, że donzuan i jego wybranka spędzili w hotelu dwie i pół godziny, wychodząc z pokoju albo nie.

Jeśli byli w pokoju, to mogli się kochać, lecz nie nagrali tego, bo kamera leżała w samochodzie. Później pojechali na plażę z kocem wziętym z hotelu, przypuszczalnie po to, by uprawiać seks i nagrać to na wideo. Co za buhaj z tego faceta. Następnie zamierzali wrócić do pokoju z niecenzuralnym nagraniem i znów uprawiać seks, oglądając kasetę. Prawdziwy superman.

Coś tu nie pasowało. A może nie kochali się po rejestracji w hotelu o wpół do piątej. Co zatem robili przez te dwie i pół godziny? Rozmawiali. Drzemali. Oglądali telewizję lub czytali. Albo wyszli z pokoju i zrobili coś, po czym mógł zostać ślad na papierze.

Ale to działo się pięć lat temu. Nie dość, że trop był zimny, to jeszcze Ted Nash i Liam Griffith bez wątplenia zatarli ślady.

To będzie poważne wyzwanie.

Rozdział 26

Wróciłem do domu nieco po siódmej. Kate uwijała się w kuchni, ubrana w kusą halkę, przygotowując moje ulubione danie: stek, prawdziwe frytki i chleb czosnkowy. Moje rzeczy, które zostawiłem na podłodze w sypialni, zostały sprzątnięte, a w wiaderku z lodem czekał budweiser.

Wszystko to nieprawda, oczywiście poza tym, że wróciłem po siódmej, a Kate była w domu. Siedziała w fotelu, czytając „Timesa”.

- Cześć - odezwałem się.

Kate podniosła głowę.

- Cześć.

Rzuciłem bluzę na kanapę, co oznaczało, że zostaję w domu.

- Jak ci minął dzień? - spytałem.

- Dobrze - odparła, nie przerywając lektury.

- Byłem u lekarza. Został mi niecały miesiąc życia.

- Od kiedy?

- Od południa.

- Będę liczyła dni.

- Dobrze, powiem tak: nie będę przepraszał za moje wczorajsze zachowanie...

- A powinieneś.

- Okay, przepraszam. Ale ty powinnaś przeprosić za to, że mnie okłamałaś.

- Zrobiłam to. Chyba ze trzy razy.

- Przyjmuję przeprosiny. Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Uważam też, że było to dla nas pozytywne doświadczenie, umacniające nasz związek. Wyzwalające, że się tak wyrażę.

- Jesteś kompletnym czubkiem.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Dajmy temu spokój.
- Dobrze. Ale chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham i właśnie dlatego złoścę się z powodu twoich spotkań z Tedem Nashem.
- John, myślę, że ty bardziej nienawidzisz Nasha, niż mnie kochasz.

- To nieprawda. Co nowego słysząc w świecie terroryzmu?

- Niewiele. Co dzisiaj porabiałeś?

- Wybrałem się na przejażdżkę na wschód.

Kate milczała.

- Nie śledzono mnie. Wyłączyłem komórkę i pager, żeby nie można było mnie namierzyć. Dlatego nie mogłaś się ze mną skontaktować.

- Nie próbowałam. Ale mam dla ciebie wiadomość.

- Od kogo?

- Od kapitana Steina. Chce się z tobą widzieć jutro o dziewiątej rano w swoim gabinecie.

- Powiedział dlaczego?

- Nie.

Kapitan Stein, jak już wcześniej wspominałem, jest najwyższym rangą funkcjonariuszem policji w siłach antyterrorystycznych. Podlegają mu wszyscy gliniarze w czynnej służbie, a Jack Koenig, dowodzący całą tą szopką, ma pod sobą wszystkich agentów takich jak Kate. Jako agent kontraktowy dryfuję w szarej strefie i czasem odpowiadam przed Steinem, czasem przed Koenigiem, a czasem przed jednym i drugim. Najszczęśliwszy jestem wtedy, gdy nie muszę oglądać żadnego z nich.

- Dlaczego Stein przesyła mi wiadomość przez żonę? - zaciekawiłem się.

- Nie wiem. Może próbował do ciebie dzwonić.

- Mógł wysłać do mnie e-mail, przesłać wiadomość faksem, zostawić wiadomość na sekretarce albo na komórce. Poza tym mam pager.

- Może chce cię widzieć dlatego, że twoja komórka i pager były wyłączone. Pewnie pamiętasz, że regulamin zabrania wyłączać jednocześnie oba urządzenia.

- Rzeczywiście przypominam sobie taki punkt. Ale nie sądzę, że chce mnie widzieć z tego powodu.

- Ja też.
- Myślisz, że mnie namierzył?
- Oni namierzają nas oboje - sprostowała z naciskiem Kate. - Jack chce się ze mną widzieć jutro o dziewiątej rano.

Nie chciałem przesadzać z domysłami, ale to nie był zbieg okoliczności, że oboje zostaliśmy wezwani przed oblicza swoich szefów o tej samej godzinie.

- Co mamy na kolację? - zapytałem.
- Chleb i woda. Przyzwyczajaj się.
- Zabieram cię do miasta.
- Jestem niespokojna. Nie mam ochoty na jedzenie.
- Może zamówimy coś do domu? - zaproponowałem. - Chińszczyznę? Pizze?

- Ani jedno, ani drugie.
- Co jest w lodówce?
- Nic.
- Masz ochotę się napić?
- Otworzyłam butelkę białego wina.
- Dobrze. - Poszedłem do kuchni. W lodówce stała do połowy opróżniona butelka białego wina i trochę wody sodowej. Nalałem Kate kieliszek wina, a sobie szkocką z wodą sodową.

Gra naprawdę się zaczęła. A nie minęły jeszcze dwie doby od mszy. Będę musiał pogratulować Liamowi Griffithowi i uścisnąć mu dłoń. Po tym, jak kopnę go w jaja.

Wróciłem do saloniku i podałem Kate kieliszek. Stuknęliśmy się.

- Za nas. Za to, że podjęliśmy próbę.

Kate napiła się wina.

- Musimy uzgodnić nasze bajeczki - odrzekła z namysłem.
- To proste. Powiemy prawdę. - Rozsiadłem się na moim ulubionym szeszlunku. - Wpieprzenie się w coś to nie zbrodnia, ale krzywo-przysięstwo jest przestępstwem. W więzieniach federalnych roi się od pensjonariuszy, którzy skłamali na temat czegoś, co nawet nie było przestępstwem, tylko na przykład wykroczeniem. Przypomnij sobie dewizę CIA: Prawda cię wyzwoli.

- Mogę stracić pracę.

- Nie zrobiłaś nic złego.
- Pięć lat temu powiedziano mi, że w tej sprawie mam nie wykra-
czać poza swoje obowiązki.
- Po prostu o tym zapomniałaś. Griffith powiedział mi przed-
wczoraj, żebym nie próbował węszyć.
- On nie jest twoim szefem.
- Słusznie. Jutro mogą nas najwyżej ochrzcić, dać oficjalne
upomnienie i bezpośredni rozkaz, żebyśmy powstrzymali się od
wszelkich działań. Nie będą chcieli robić z tego halo, bo to może
zwrócić uwagę na sprawę. Wiem, jak jest w takich wypadkach. Nie
daj się przyłapać na łgarstwie i wszystko będzie cacy.

Kate skinęła głową.

- Masz rację... Ale nie wyjdzie to na dobre mojej karierze.
- To drobna wpadka. Po drugiej stronie masz ogromny plus, bo
jestem twoim mężem.
- Nie jest mi do śmiechu. To dla mnie ważne. Mój ojciec był w
FBI, starałam się...
- Poczekaj. A co z prawdą, sprawiedliwością i patriotyzmem?
Kiedy pierwszy raz przekroczyłaś granicę, weszłaś na stromą i śliską
ścieżkę. Czego się spodziewałaś?

Kate dopiła wino.

- Przepraszam. Przykro mi, że cię w to wciągnęłam.
- Nieźle się bawiłem przez ostatnie dwa dni. Spójrz na mnie. Ju-
tro nie stanie się nic złego. A wiesz dlaczego? Bo oni mają coś do
ukrycia. To oni się martwią. I właśnie dlatego ty nie powinnaś się
martwić i niczego ukrywać.

Kate skinęła powoli głową i pierwszy raz się uśmiechnęła.

- Starsi ludzie dobrze rozumieją, jak kręci się ten świat - zauwa-
żyła filozoficznie.
- Dzięki za komplement.
- Czuję się o wiele lepiej. Jutro nie stanie się nic złego.
- Może nawet stanie się coś dobrego.
- Co na przykład?
- Nie wiem. Ale cokolwiek się stanie, nadszedł czas, żebyśmy wy-
korzystali doroczny urlop. Musimy gdzieś wyjechać. Podróż za grani-
cę dobrze nam zrobi.
- Świetny pomysł. Chciałabym polecieć do Paryża. A ty gdzie się
wybierzesz?

Pani Corey nabierała poczucia humoru.

- Chciałbym zobaczyć, gdzie produkują whisky Dewar - odparłem. - Przyślę ci pocztówkę.

Kate wstała, podeszła do mnie i usiadła mi na kolanach. Objęła mnie i oparła mi głowę na ramieniu.

- Bez względu na to, co się jutro stanie, poradzimy sobie, bo jesteśmy razem. Już nie czuję się taka samotna.

- Nie jesteś samotna. - Jednak ledwie to powiedziałem, przyszło mi na myśl, że na miejscu Jacka Koeniga wiedziałbym, jak rozegrać sprawę z państwem Corey.

Rozdział 27

Kapitan David Stein nie pozwolił mi czekać. Punktualnie o dziewiątej wszedłem do jego narożnego gabinetu.

Nie wstał, bo nigdy tego nie robi, chyba że jesteś komisarzem policji albo jeszcze ważniejszą szycią. Wskazał mi gestem krzesło przed biurkiem.

- Dzień dobry - burknął swoim gderliwym, posepnym głosem.

- Dzień dobry. - Nie mogłem niczego wyczytać z jego twarzy. To znaczy widziałem, że wygląda na wkurzonego, ale on zawsze tak wygląda.

Powiniennem zaznaczyć, że kapitan nowojorskiej komendy policji David Stein ma trudne zadanie, bo musi grać drugie skrzypce przy dowodzącym ATTF agentem specjalnym FBI Jackiem Koenigiem. Lecz Stein to stary, twardy Żyd, który nikomu nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę - mnie nie wyłączając - a w szczególności Jackowi Koenigowi.

Na ścianie gabinetu Steina wisi dyplom prawniczy, toteż w razie potrzeby jego właściciel potrafi gadać z fedziami ich językiem. Przeszedł do sił antyterrorystycznych z komórki wywiadu nowojorskiej policji, zwanej kiedyś Czerwonym Szwadronem, ale czerwonych ostatnio jak na lekarstwo, więc komórka wywiadu skierowała swoją uwagę na bliskowschodni terrorizm. Stein powiedział kiedyś do mnie: „Bardziej lubiłem tych pieprzonych komuchów. Oni grali z zachowaniem paru zasad”.

Nostalgia nie jest już tym, czym była kiedyś.

W każdym razie Stein, podobnie jak ja, wolał policję, lecz szef posadził go na tym miejscu, a on właśnie zamierzał z jakiegoś powodu capnąć mnie za tyłek. Problemem Steina, tak samo jak moim, był konflikt lojalności. Pracowaliśmy dla fedziów, ale byliśmy gliniarzami. Wierzyłem, że nie potraktuje mnie ostro.

Spojrzał na mnie.

- Wpadłeś w głębokie gównno, koleś - rzekł.

Sami widzicie.

- Pieprzysz żonę jakiegoś bonza czy coś w tym rodzaju?

- Ostatnio nie.

Stein zignorował moją odpowiedź.

- Nie wiesz, co spieprzyłeś?

- Nie, sir. A pan wie?

Stein zapalił resztkę cygara.

- Jack Koenig chce pograć twoimi jajami w bilard. A ty nie wiesz dlaczego?

- Hm, każdy powód może być dobry. Wie pan, jacy oni są.

Stein nie chciał tego komentować. Ale w ten sposób przypomniał mi, że jesteśmy braćmi.

Wypuścił dym z cygara. W budynkach służb federalnych palenie jest zabronione od jakichś pięciu lat, ale to nie była odpowiednia pora, żeby poruszać tę kwestię. Dla porządku powiem jeszcze, że popielniczka Steina stała na tabliczce z napisem PALENIE ZABRONIONE.

Stein zerknął na notatkę leżącą na biurku.

- Dotarło do mnie, że nikt nie mógł się z wami wczoraj skontaktować, telefonicznie ani przez pager. Czemu?

- Wyłączyłem komórkę i pager.

- Nie powinniście wyłączać pagera. Nigdy. A gdyby ogłoszono ogólnokrajowy alarm? Nie chcielibyście o tym wiedzieć?

- Chciałbym.

- Więc dlaczego wyłączyliście telefon i pager?

- Nie mam żadnej wymówki, sir.

- Więc zmyślcie jakąś.

- Mam coś lepszego od wymówki. Prawda jest taka, że nie chciałem zostać namierzony.

- Czemu? Bzykaliście się z kimś?

- Nie.

- Co wczoraj robiliście?
- Pojechałem do Hampton.
- Myślałem, że jesteście chorzy.
- Nie byłem chory. Wziąłem wolne na jeden dzień.
- Dlaczego?
- Zajmuję się trochę sprawą katastrofy TWA osiemset. W czasie wolnym - odparłem, pamiętając o radzie, której udzieliłem Kate. Stein milczał przez kilka sekund.
- Co to znaczy w czasie wolnym?
- Ta sprawa mnie interesuje.
- Taak? Co w niej takiego ciekawego?
- Kit. Wciskanie kitu mnie interesuje.
- Taak, mnie też. Więc chcecie powiedzieć, że nikt nie kazał wam zajmować się tą sprawą? To był wasz pomysł?
- We wtorek pojechałem na mszę ku czci ofiar, odprawioną z okazji piątej rocznicy katastrofy. I to dało mi do myślenia.
- Pojechaliście z żoną?
- Tak.
- I to sprawiło, że zaczęliście myśleć o katastrofie TWA osiemset?
- Właśnie. - Po krótkiej pauzie dodałem: - Myślę, że w czasie śledztwa pominięto kilka rzeczy.
- Tak? I zamierzacie to wyprostować?
- Próbuję. Po godzinach pracy. Stein pomyślał przez chwilę, a później oznajmił:
- Koenig nie chciał mi powiedzieć, czemu siedzisz w głębokim szambie. Kazał cię zapytać. Myślę, że to właśnie jest powód. Katastrofa TWA osiemset. Co sądzicie?
- Prawdopodobnie tak, kapitanie. Oni zachowują się dziwnie, kiedy słyszą o tej sprawie.
- Corey, dlaczego wtykacie nos, gdzie nie trzeba?
- Jestem detektywem.
- Taak, ja też jestem detektywem, mądralo. Ale słucham rozkazów.
- A jeśli rozkazy są bezprawne?
- Nie chrzań mi tu, że jesteś drugim Johnem Jayem. Mogę ci wcisnąć więcej kitu, niż sobie wyobrażasz.

- Tak jest, sir. Chciałem powiedzieć, że...
- Czy ktoś wydał wam bezpośredni zakaz węszenia wokół tej sprawy?

- Tak, sir. Liam Griffith. Po mszy ku czci ofiar katastrofy. On tam był nie bez powodu. Ale ja nie pracuję pod kierownictwem Liama Griffitha. Zatem jego rozkaz...

- Taak, taak. Słuchaj, Corey. Lubię cię. Naprawdę. Ale w ciągu tego krótkiego roku, kiedy tu jesteś, przysporzyłeś mi masę kłopotów. Niejedno ci się upiekło, bo po pierwsze, jesteś agentem kontraktowym, a po drugie, zostałeś ranny na służbie, dwa razy. Po trzecie, wykonałeś dobrą robotę w sprawie Khalila. I po czwarte, jesteś dobry w tym, co robisz, mówię serio. Nawet Koenig cię lubi. No, może nie lubi, ale szanuje. Jesteś ważnym ogniwem zespołu. Tak samo jak twoja żona. Ludzie ją lubią, nawet jeśli nie lubią ciebie.

- Dziękuję.

- Ale ty jesteś jak armata, która może strzelić nie wiadomo gdzie. Nie przysługujesz się karierze żony. Musisz zacząć się porządnie zachowywać albo będziesz musiał odejść.

Wyglądało na to, że pójdzie gładko, ale wyczuwałem coś śmierdzącego. I nie było to cygaro Steina.

- Jeśli chodzi panu o moją rezygnację...

- Czy ja tak powiedziałem? Dałem wam wybór: albo weźmiecie się w ryzy, albo zrezygnujecie. Czy to taka trudna decyzja? Powiedzcie mi tylko, że będziecie grzecznym chłopcem. No, chcę to usłyszeć.

- Dobrze... ja... - Trzeba było zmienić front. - Kapitanie, nie mogę uwierzyć, że nie powiedzieli panu, o co chodzi. Może przyznaję się nie do tego, co trzeba.

- Co jeszcze zmalowaliście?

- Gram w pokera na państwowym komputerze.

- Ja też. Znasz kapelana Mike'a Hallorana? Znasz go, prawda? Tego księdza.

- Taak...

- No właśnie. On mnie czegoś nauczył. Patrzcie. - Stein podniósł rękę z cygarem i zamachał lekko. - Wszystkie twoje grzechy zostają wybaczone. Idź i nie grzesz więcej.

A ja siebie uważałem za czubka.

- Wspaniale, w takim razie...

- Mam tu jeszcze parę rzeczy. - Stein pogmerał w bałaganie na biurku. - Oto przydział dla was. Prosto od Koeniga.
- À propos Koeniga, Kate właśnie z nim w tej chwili rozmawia.
- Taak, wiem.
- Czy on chce się ze mną widzieć?
- Nie mam pojęcia. - Stein znalazł wreszcie dużą brązową kopertę i zaczął ją otwierać. Nienawidzę, kiedy ludzie to robią. - Pamiętacie film *Mission: Impossible*?
- Nie za dobrze... Jestem fanem tego cwaniaka z *Archiwum X*.
- Taak. A więc chodzi o niewykonalną misję. Jak to szło? Twoja misja, jeśli zdecydujesz się ją przyjąć... i tak dalej. Dobrze mówię? Milczałem.
- Stein spojrział na akta wyjęte z koperty.
- Śledzisz ten szajs dotyczący Adenu?
- Miałem nadzieję, że chodzi mu o barmana z Dresnera.
- Jesteście na bieżąco?
- Właściwie tak. Ambasador Bodine zabroniła Johnowi O'Neillowi wracać do Adenu, bo się nie zachowywał. Osobiście uważam...
- Ona pieprzy jak potłuczona. Oto moje zdanie. Ale nie może to wyjść poza ten gabinet. Tak czy siak pewnie wiecie o tym, że przerzuciliśmy tam paru ludzi. Z FBI i policji. A oni poprosili o wsparcie.
- Wydaje mi się, że jest ich tam w sam raz.
- Tak powiedziała ta cała Bodine. Ale O'Neill dostał pozwolenie, żeby wysłać jeszcze kilku ludzi w zamian za to, że nie będzie robił szumu z powodu wylania go.
- Kiepski układ. O'Neill powinien narobić szumu.
- Zawodowi fedzie robią to, co im się każe. Tak czy owak Koenig polecił was do tamtego zespołu.
- Gdzie?
- W Adenie. To portowe miasto Jemenu.
- Poważnie?
- Taak. Tu jest napisane. Uważa się to za trudny przydział, więc dobra wiadomość jest taka, że wasza kariera nabierze rozpędu.

- To naprawdę świetna wiadomość. Ale nie jestem pewien, czy zasługuję na to wyróżnienie.

- Na pewno zasługujecie.

- Jak długo ma potrwać ten ekskluzywny przydział?

- Parę miesięcy. Bo to naprawdę parszywa dziura. Rozmawialiście z kimś, kto tam był?

- Nie.

- A ja tak. Ponad pięćdziesiąt stopni w cieniu, tylko że tam nie ma cienia. Dobrze jest to, że za każdym drzewem stoi baba. Tylko że tam nie ma drzew. Ale hotel jest niczego sobie. Mamy całe piętro w tym niczego sobie hotelu. Bar też w porządku, zdaniem naszych chłopców. Nie wolno zabierać bab na górę. Ale wy jesteście żonaci, więc to żaden problem. Poza tym seks pozamałżeński jest poważnym przestępstwem, za które grozi ścięcie. A może ukamienowanie? Zdaje mi się, że kobiety są kamienowane, a facetom odrąbują głowy. Ale co ja tam będę gadał, na miejscu zrobią wam odprawę. Powinniście słuchać uważnie. - Po krótkiej pauzie Stein dodał: - To będzie korzystne dla kariery.

- Czyjej?

- Waszej.

- Wszystko to brzmi szalenie kusząco, ale obawiam się, że muszę zrezygnować.

Kapitan Stein popatrzył na mnie przez dym z cygara, a potem oznajmił:

- Nie możemy was zmusić do przyjęcia tej propozycji.

- Słusznie.

- To musi być dobrowolne zgłoszenie.

- Bardzo dobra zasada.

- Ale mam przeczucie, że jeśli nie przyjmiecie tej propozycji, wasz kontrakt nie zostanie odnowiony. To znaczy nie wolno mi tak powiedzieć, bo to zabrzmiałoby jak wymuszenie.

- Nie potraktowałbym tego jak wymuszenia. To brzmi raczej jak groźba.

- Mniejsza z tym. Słuchaj, to może być niezły ubaw. Weź tę robotę.

- Prowadzę dwa kursy w college'u Johna Jaya. Muszę tam być we wtorek po Święcie Pracy. Tak jest napisane w umowie.

- Postaramy się dostarczyć cię z powrotem. Pogadaj o tym z żoną.

- Mogę powiedzieć panu od razu, kapitanie. Nie jadę do zasnarego Jemenu.

- Czy wspomniałem o dodatku do pensji? I o dziesięciu dniach urlopu administracyjnego po powrocie? Dodaj do tego doroczny urlop, który ci się uzbierał, i będziesz miał prawdziwe wakacje.

- Brzmi świetnie. Znam paru żonatych facetów z dziećmi, którym przydałaby się ta forsa. Jeśli to wszystko...

- Poczekaj. Muszę ci powiedzieć o jeszcze kilku rzeczach, które pomogą ci podjąć decyzję.

- Kapitanie, jeśli powie mi pan, że kariera mojej żony pójdzie w diabły, jeżeli nie wezmę tego przydziału, to będzie to nieetyczne i prawdopodobnie bezprawne.

- Taak? Wobec tego nie powiem. Ale tak właśnie jest.

Milczałem przez chwilę. Patrzyliśmy na siebie.

- Czemu Koenig chce mnie wykopać z miasta?

- Nie chce cię wykopać z miasta. Chce cię wykopać z planety Ziemi. I nie chodzi o pager, mądralo. I powiem ci, że to, co na ciebie ma, jest bardzo mocne. I to, co ma na twoją żonę, też jest bardzo mocne. Jest wkurzony na was oboje jak cholera i chce, żebyście znaleźli się w miejscu, w którym będziecie mieli mnóstwo czasu na myślenie o tym, jak bardzo go wkurzyliście.

- Wie pan co? Pieprzyć Koeniga.

- Nie, Corey, pieprzyć nie jego, tylko ciebie.

Wstałem, mimo że Stein nie ogłosił końca audjencji.

- Moja rezygnacja znajdzie się na pańskim biurku w ciągu godziny.

- Teraz twój ruch, ale najpierw pogadaj z żoną. Nie możesz odejść bez konsultacji z małżonką.

Odrzuciłem się, ale kapitan Stein wstał i obszedł biurko. Spojrzał na mnie i powiedział cicho:

- Mają cię na oku, chłopcze. Uważaj na siebie. To przyjacielska rada.

Wyszedłem.

Rozdział 28

Kate nie było na stanowisku pracy.

- Gdzie ona jest? - zapytałem jej sąsiadkę Jennifer Lupo.
- Była na spotkaniu z Jackiem w jego gabinecie - odparła Lupo. -

Nie widziałam jej od tamtej pory.

Najwidoczniej Jack Koenig i Kate Mayfield mieli więcej tematów do rozmowy niż David Stein i John Corey. Nie podobało mi się to.

Poszedłem do swojego stanowiska. Nie byłem tam przed spotkaniem ze Steinem. Na moim biurku nie leżało nic nowego, a w poczcie głosowej też nie znalazłem pilnych wiadomości. Otworzyłem skrzynkę z pocztą elektroniczną. Typowe śmieci. Z wyjątkiem jednej wiadomości z biura podróży FBI w Waszyngtonie, która brzmiała: „Prószę o pilny kontakt. Ad: Jemen”.

- Co, do cholery...?

Harry Muller odwrócił głowę od ekranu monitora.

- Co jest?
- Kiepski horoskop.
- Spróbuj mojego. Jestem Koziorożcem. Hej, co wczoraj porabiałeś?

- Chorowałem.

- Stein cię szukał.

- I znalazł.

Muller nachylił się w moją stronę.

- Masz jakieś kłopoty?

- Zawsze je mam. Wyświadczyć mi przysługę. Kate jest u Koeniga.

Kiedy wróci, powiedz jej, że spotkamy się w tej greckiej kawiarni tu niedaleko. Partenon, Akropol, Sparta, jakoś tak.

- Czemu nie zostawisz jej kartki na biurku?
- Czemu nie wyświadczysz mi przysługi?
- Ilekroć wyświadczam ci przysługę, czuję się jak współnik zbrodni.

- Przyniosę ci kominiarkę.
- Lepiej przynieś bułeczkę kukurydzianą.

Wstałem.

- Nikomu ani słowa.
- Przypieczoną, z masłem.

Ruszyłem pospiesznie do windy. Po drodze zastanawiałem się, co podpowiada mi instynkt. Po pierwsze, by wydostać się z budynku na wypadek, gdyby Koenig chciał się ze mną spotkać po przemaglowaniu Kate. Po drugie, jak najszybciej porozmawiać z Kate. W cztery oczy, z dala od Ministerstwa Miłości. To były dobre podpowiedzi.

Wysiadłem z windy i ruszyłem Broadwayem na południe, w stronę World Trade Center.

Grecka kawiarenka Akropolis miała tę zaletę, że były w niej wysokie łoże, więc klientów nie można zobaczyć z ulicy. Poza tym okropna piskliwa grecka muzyka zagłuszała rozmowy, a co pięć minut rozlegał się nieznośny łoskot tłukącej się zastawy. Ten dźwięk również wydobywał się z głośników i miał być zabawny. Chyba trzeba być Grekiem, żeby zrozumieć taki żart.

Usiadłem w pustym boksie na końcu.

Miałem poczucie, że coś się wokół mnie zaciska, że nie powinienem używać komórki ani telefonu w pracy, poczty elektronicznej ani nawet domowego telefonu. Kiedy federalni się do ciebie dobiegają, jesteś jak tost.

Podeszła kelnerka. Zamówiłem kawę.

- Coś do tego?
- Tost.

Piłem trzecią filiżankę kawy, wychylając się z boksu, żeby widzieć drzwi, kiedy weszła Kate. Zauważyła mnie, podeszła szybko i wsunęła się na siedzisko.

- Dlaczego tutaj? - zapytała.

- To jasne, musimy pomówić. Sam na sam.
- Jack cię szuka.
- Właśnie dlatego tu jestem. O czym rozmawialiście?
- Zapytał mnie, czy badam sprawę TWA osiemset. Potwierdziłam. Podziękował za szczerą odpowiedź, a później spytał, czy ty też się tym zajmujesz. - Zawahała się. - Powiedziałam, że tak. Chciał poznać szczegóły, więc zrelacjonowałam mu wszystko, co i tak prawdopodobnie wiedział, a co zdarzyło się od mszy do dzisiaj. Poszłam za twoją sugestią. Dobrze?

- Dobrze. Jak przyjął prawdę?

- Nie najlepiej.

Kate zamówiła herbatę rumiankową, cokolwiek to jest.

- Wyjaśniłaś mu, gdzie wczoraj byłem?

- Wspomniałam, że pojechałeś na wschód, bo tylko tyle wiedziałam. Wyjaśniłam szczerze, że niewiele mi mówisz, żebym nie musiała kłamać. Docenił tę taktykę jako profesjonalista, ale był bardzo wkurzony.

- Jego wkurza nawet brzmienie mojego nazwiska.

Kelnerka podała herbatę Kate w chwili, gdy rozległ się łoskot tłuczonej zastawy. Kate się przestraszyła. Widać było, że jest rozdygotana po godzinie spędzonej z Koenigiem.

- To z taśmy - uspokoiłem ją. - Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku. - Kate napiła się herbaty, a później nachyliła się nad stołem. - Powiedziałam bez ogródek, że poprosiłam cię, żebyś zajął się tą sprawą, a ty miałeś opory, lecz z lojalności wobec mnie zgodziłeś się sprawdzić parę rzeczy. Oświadczyłam, że biorę pełną odpowiedzialność za wszelkie wykroczenia, złamanie przepisów, rozkazów i tym podobnych.

- Zrobił się czerwony? Lubię, kiedy gęba mu się czerwieni. Widziałaś kiedyś, jak łamie w palcach ołówki?

- To nie są żarty, John. Ale owszem, był w stanie kontrolowanego fermentu.

- I to o czymś świadczy, prawda? Ktoś - władze, FBI, CIA - ma coś do ukrycia.

- Niekoniecznie. Koenig się wściekł, bo dwa razy mi mówiono, że to nie jest moja sprawa. A oni nie muszą powtarzać dwa razy, nawet jeśli chodzi o drobiazgi. W zespole nie ma miejsca dla renegatów i

gwiazdorów. Irytacja Jacka nie ma nic wspólnego ze sprawą jako taką, lecz z szerszym zagadnieniem wspomagania wyznawców teorii spiskowej i ujawniania skandali w mediach.

- Czemu na to nie wpadliśmy?
- Bo to bzdura.
- Mam nadzieję, że mu to powiedziałaś.
- Nic podobnego. Powiedziałam, że doskonale rozumiem.

Nie byłem całkiem pewien, jakie właściwie jest stanowisko pani Mayfield.

- Więc na czym właściwie stanęło?
- Wydał mi bezpośredni rozkaz, żebym nie mieszała się w tę sprawę, a jeśli dam mu słowo, nic negatywnego nie trafi do moich akt służbowych.

- No widzisz, nic wielkiego się nie stało. Gdzie pójdziemy na lunch?

Kate zignorowała moje pytanie.

- Co powiedział ci kapitan Stein?

- A, tak. Stein. Koenig niewiele mu wyjawiał poza tym, że jeden z jego niesubordynowanych gliniarzy, czyli ja, powinien dostać kopa, żeby wrócił na swoje miejsce w szeregu. Musiałem powiedzieć Steinowi, o co moim zdaniem chodzi, żeby mógł trochę poględzić. To było trochę dziwne.

- I to wszystko?

- Mniej więcej. - Uznałem, że nie będę teraz wspominał o proponowanej wycieczce do Jemenu. Jeśli w ogóle kiedykolwiek o niej wspomnę.

- To dlaczego Jack chce się z tobą widzieć? - dociekała Kate.

- Nie mam pojęcia. A ty wiesz?

- Nie... pewnie chce cię osobiście upomnieć.

- Wykluczone. On mnie uwielbia.

- Raczej nie. Ale cię szanuje.

- Z wzajemnością.

- Uważa jednak... że nie umiesz grać w zespole. Tak powiedział. Obawia się, że możesz zhańbić jednostkę.

- Taak? Do diabła z nim. W gruncie rzeczy on nie cierpi wszystkich gliniarzy na tym piętrze. Działają mu na nerwy.

Kate tego nie skomentowała.

- Nie muszę się spotykać z Jackiem Koenigiem. Odchodzę.
- Co takiego?
- Stein dał mi wybór: albo nie będę wtykał nosa w sprawę TWA osiemset, albo odejdę. Postanowiłem odejść.
- Dlaczego? Po prostu daj temu spokój, John. To nie jest warte naszych karier.
- Może jest, a może nie jest. Zrezygnowałem dla zasady. Innymi słowy zmęczyła mnie ta robota. - Poza tym miałem dość pracy, w której ktoś może mnie zesłać do Jemenu i pogrywać sobie moim życiem. Tego jednak Kate nie wyjaśniłem.
- Później o tym porozmawiamy... - rzekła pojednawczo Kate. - Mnie też Jack dał kilka możliwości do wyboru.
- Wiedziałem, że nie pójdzie nam tak łatwo.
- Pierwsza, to stałe przeniesienie gdzieś w głąb kraju.
- Druga, to tymczasowy przydział do Dar es-Salaam w Tanzanii, gdzie attache prawny FBI prowadzi śledztwo w sprawie ataku bombowego na ambasadę amerykańską.
- Powstrzymałem się na chwilę z komentarzem, unikając wzroku Kate.
- Rozumiesz oczywiście, że to jest kara, a nie nagroda za wykazanie inicjatywy.
- Nie tak zostało to przedstawione - odparła.
- Co chcesz zrobić?
- A co mi radzisz?
- Hm... Nie lubisz Nowego Jorku, więc zgódź się na przydział w Dupuku albo w jakimś podobnym miejscu.
- Ale ja lubię Nowy Jork.
- Od kiedy to?
- Od chwili gdy dano mi okazję wyjechania stąd. John, jeśli zgodzę się na ten przydział w Tanzanii, to zagwarantują mi jeszcze co najmniej dwa lata w Nowym Jorku. Natomiast przeniesienie w głąb kraju jest na stałe. Musiałbyś starać się o przydział w miejscu, do którego trafię, i mogłyby upłynąć lata, zanim znaleźlibyśmy się w tym samym mieście. Jeśli w ogóle by się udało.
- Powiedziałem ci: odchodzę.
- Nie odchodzisz. A nawet gdybyś to zrobił, wyjechałbyś z Nowego Jorku i przeniósł się ze mną do Dallas, Cleveland lub Wichita?

- Pojechałbym za tobą wszędzie. Nigdy nie byłem na zachód od Jedenastej Alei. To mogłoby być zabawne.

Kate spojrzała na mnie, jakbym mówił poważnie. Nie mówiłem.

- Przyjmę pracę ochroniarza w supermarkecie - ciągnąłem. - Ale jest druga możliwość: powiedz Koenigowi, żeby się walił.

- To nie jest dobre dla kariery. Mogłabym złożyć skargę lub zażalenie na złe traktowanie, ale łatwiej byłoby przyjąć czasowy przydział zagraniczny. To nie potrwałoby dłużej niż trzy miesiące. Później wróciłabym z czystą kartą i moglibyśmy dalej normalnie żyć i pracować. - Po chwili Kate dodała: - Wymogłam na Jacku Koenigu obietnicę, że dostałbyś następny dwuroczny kontrakt tu, w Nowym Jorku.

- Proszę cię, nie negocjuj za mnie mojego kontraktu. Mam od tego adwokata.

- Ja jestem twoim adwokatem.

- Więc ja ci mówię, co robić. A nie odwrotnie.

Kate ujęła mnie za rękę.

- John, pozwól mi wziąć ten zagraniczny przydział. Proszę cię. Nie ma dla nas innego dobrego rozwiązania.

Ścisnąłem jej dłoń.

- Co miałbym robić sam w Nowym Jorku?

Kate zmusiła się do uśmiechu.

- Co ci się żywnie podoba. Ale pamiętaj, że wynajmę dziesięciu agentów, którzy będą cię śledzić siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Odpowiedziałem uśmiechem na jej uśmiech i zastanowiłem się nad tym ciekawym rozwojem sytuacji. W zasadzie rzecz sprowadzała się do tego, że Kate Mayfield i John Corey, dwoje zwykłych śmiertelników, obraziło bogów, którzy postanowili wypędzić ich z kawiarni Akropolis w zapomniane rejony Afryki i Bliskiego Wschodu. Ewentualnie mogliśmy położyć się przed walcem parowym.

- Dlaczego ty nie rezygnujesz z pracy? - spytałem.

- Nie zamierzam rezygnować. Ty też.

- W takim razie pojedę z tobą na ochotnika do Tanzanii.

- Zapomnij o tym. Już pytałam. To wykluczone. - Kate spojrzała na mnie. - John, proszę cię. Pozwól mi jechać i nie rezygnuj. Przyjmij poczekaj, aż wrócę.

Podjąłem nagłą i głupią decyzję.

- Nie czułbym się dobrze, wiedząc, że ty jesteś w Afryce, podczas gdy ja pławię się tutaj w luksusie. Zgłoszę się na ochotnika do Adenu. To w Jemenie.

Kate patrzyła na mnie długo.

- To bardzo miłe... bardzo.... - Puściła moją rękę i podniosła do oczu papierową serwetkę. - Nie mogę ci na to pozwolić. Nie ma powodu, żebyś... To wszystko moja wina.

- Prawda, ale wiedziałem, w co się pakuję. Tylko nie myślałem, że tak szybko nas nakryją. Powinni sobie tak radzić z terrorystami.

Kate milczała.

- Wobec tego zgodzimy się na osobne przydziały, wrócimy do domu zdrowi i opaleni i podejmiemy to, co przerwaliśmy.

Kate skinęła głową.

- Skąd wiesz, że zgodzą się na twój wyjazd do Jemenu?

- Potrzebują tam personelu i mają kłopot ze znalezieniem ochotników.

- Skąd o tym wiesz?

- Stein mi powiedział.

- Dlaczego...? Czy prosił cię, żebyś tam pojechał...?

- Zasugerował. Taki ciekawy zbieg okoliczności.

- Ty wariacie. - Kate kopnęła mnie w łydkę pod stołem. - Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- Zaczekaj. Propozycja Steina, żebym wyjechał do Jemenu, jest nieistotna. Odrzuciłem ją i oświadczyłem mu, że odchodzę. Ale ponieważ ty upierasz się, żeby zatrzymać pracę, pojedę do Jemenu, a ty do Tanzanii.

Wydawało mi się to logiczne, ale widziałem, że Kate gotuje się w środku. Sięgnąłem dłonią do jej dłoni, ale cofnęła ją i skrzyżowała ręce na piersiach. Zwykle nie jest to dobry znak.

Zastawa znów roztrzaskała się z hukiem; dwoje starszych ludzi, którzy przed chwilą usiedli w łóży, podskoczyło ze strachu. Miałem nadzieję, że w Akropolis mają na stanie defibrylator.

Kate złościła się jeszcze przez chwilę, a potem ochłonęła.

- W takim razie w porządku. Wszystko ustalone. Bierzymy czasowe przydziały... które w gruncie rzeczy mogą nam wyjść na dobre... i zostawiamy ten problem za sobą.

- Traktuj to jako impuls dla naszych karier - zawtórowałem. - I masz rację, dwa lub trzy miesiące rozłąki mogą nam dobrze zrobić.
- Nie to miałam na myśli.
- Ani ja.
- Wzięliśmy się za ręce.
- Musisz zobaczyć się z Jackiem - przypomniała mi Kate.
- Nie mogę się doczekać.
- Mam do wtorku czas na uporządkowanie swoich spraw. A ty ile czasu potrzebujesz?
- Żeby uporządkować swoje sprawy, potrzebowałbym około dziesięciu lat. Ale zgoda na wtorek.
- Muszę wziąć serię zastrzyków. I jeszcze dzisiaj będę musiała zadzwonić do biura podróży.
- Ja też.
- Kiedy byłam sama, nie robiło mi różnicy, gdzie mnie przydzielą - wyznała Kate.
- Mnie też.
- Ty byłeś nowojorskim gliną.
- Fakt. Ale kiedyś musiałem zasuwać dwa tygodnie w Bronksie.
- John, bądź poważny.
- Okay. Jestem poważnie wkurzony. Oni rozgrywają nas przeciwko sobie, żeby się nas pozbyć i zamknąć nam buzie. To było ostrzeżenie. Następnym razem tak łatwo się nie wywinimy.
- Nie będzie następnego razu. Ta sprawa jest zamknięta. Powtarzam: zamknięta.
- Zgadzam się.
- Powiedz to jeszcze raz.
- Gdybym powtórzył, musiałbym mówić poważnie. Naprawdę wkurzało mnie to, że Jack Koenig wykorzystuje więzy małżeńskie do skrupowania mi rąk. To było dla mnie nowe doświadczenie.
- Nie umiem przegrywać - warknąłem.
- Przestań odgrywać macho. Sprawa jest zamknięta. Ja ją otworzyłam i ja ją zamykam.
- Okay, nigdy więcej o tym nie wspomnę.
- Kate zmieniła temat.

- Myślisz, że pojawiło się coś nowego w sprawie niszczyciela USS „Cole”?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Odprawę przeprowadzą na miejscu.

- Są jakieś nowe poszlaki w sprawie ataku na ambasady w Tanzanii i Kenii. Nie ma wątpliwości, że Al-Kaida stała za zamachami. Ujęliśmy dwóch głównych podejrzanych, którzy zaczęli mówić. Jak wiesz, Al-Kaida była też zamieszana w atak na USS „Cole”.

- Tak. - Zawołałem kelnerkę, zamówiłem podgrzewaną bułeczkę kukurydzianą z masłem i poprosiłem o rachunek.

- Te przydziały to kara, ale może uda nam się zdziałać tam coś dobrego - zasugerowała Kate.

- Słusznie. Doprowadzimy do końca te śledztwa i wrócimy wcześniej do domu. Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie. Czy ty mnie słuchasz?

- Tak.

- Musisz być tam ostrożny. To wrogi kraj.

- Będę się czuł jak, w domu. Ty też uważaj na siebie.

- Tanzania to przyjazny kraj. Setki TANZAŃCZYKÓW zginęło w czasie tego zamachu na ambasadę.

- No dobrze. Ty idź pierwsza. Będę za dziesięć minut.

Kate wyszła z boksu, wstała i pocałowała mnie.

- Tylko nie wdawaj się z Jackiem w pojedynek z cyklu „kto tu jest bardziej wkurzony”.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Kate wyszła, a ja dopiłem kawę, wziąłem bułeczkę, zapłaciłem rachunek i poprosiłem o trochę drobnych.

Fazę wkurzenia zostawiłem już za sobą: byłem spokojny, chłodny i pozbierany. Szukałem zemsty.

Rozdział 29

Znalazszy się na Broadwayu, podszedłem do automatu i zadzwoniłem na komórkę Doma Fanellego.

- Możesz rozmawiać? - spytałem, kiedy odebrał.

- Muszę jechać do podwójnego zabójstwa na Trzydziestej Piątej Zachodniej, ale dla ciebie mam czas. Co się urodziło?

Nigdy nie wiem, kiedy ten facet kpi, a kiedy jest poważny. A on może powiedzieć to samo o mnie.

- Chcę, żebyś znalazł trzy osoby.

- Dla ciebie znajdę nawet cztery.

- Pierwsza to kobieta, nazywa się Scarangelo. Ma na imię Roxanne. Przeliteruję: S-C-A...

- Hej, stary, mam cztery kuzynki, które nazywają się Roxanne Scarangelo. Co o niej wiesz?

- Absolwentka college'u, możliwe, że z tytułem magistra. Uniwersytet Pensylwanii albo Penn State...

- Jest jakaś różnica?

- Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? Słuchaj i nie wcinaj się. Wiek między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat, pochodzi z okolic Filadelfii i wciąż może tam przebywać. Urodziła się w czerwcu, data i rok nieznane.

- To wszystko?

Nie było powodu, żeby mówić Domowi o jej sezonowej pracy, bo w ten sposób doprowadziłbym go do Bayview, a tego nie chciałem.

- To wszystko. Zaczynij od uniwersytetów.

- Mhm. Tak myślisz?

- Draga osoba to mężczyzna nazwiskiem Brock. - Przeliterowałem. - Imię: Christopher. Będzie miał jakieś trzydzieści pięć lat. Data urodzenia nieznana. Pracuje lub pracował w przemyśle hotelarskim. Ostatni znany adres sprzed pięciu lat na Long Island.

- Niewiele tego.

- Miał wytatuowaną myszkę wyglądającą z jego tyłka.

- Ach, ten Christopher Brock.

- Trzecia osoba nazywa się Gonzalez Perez, imię: Lucita. Nie wiem, jak to się pisze. Pochodzenie oczywiście latynoskie. Salwador. Status imigracyjny nieznany, wiek około dwudziestu trzech lub czterech lat, pracowała w przemyśle hotelarskim. - Po krótkiej pauzie dodałem: - Z tą raczej ci się nie poszczęści. Skup się na dwóch pierwszych osobach.

- Dobra. O co w tym chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć, Dom.

- Mogę zgadywać?

Milczałem.

- Zadzwoń do Harry'ego Mullera, żeby powiedzieć cześć i zapytać, jak mu się zasuwa dla fedziów. Jakoś zesłaliśmy na Johna Coreya i Harry mówi, że ostatnio dziwnie się zachowujesz. A ja na to: „Co w tym dziwnego, że Corey dziwnie się zachowuje?”. Harry twierdzi, że przez parę dni byłeś na lewiźnie, a on musiał przekazywać twojej żonie ustne informacje od ciebie. Co jeszcze dziwniejsze, kupiłeś dwie kanapki z kielbasą dla niego i dla siebie i nie zjadłeś swojej. Rano zadzwonił do mnie i mówi, że Stein wezwał cię do gabinetu, teraz znów jesteś na lewiźnie, a on czeka na swoją opiekaną bułeczkę, więc...

- Czy ty czasem nie miałeś jechać do podwójnego zabójstwa?

- Nieee... Te nieboszczyki nigdzie się nie wybierają. Więc z tego wszystkiego dedukuję, że wtykasz nochal w sprawę katastrofy TWA osiemset.

Byłem tym trochę zaskoczony, ale odparłem beznamiętnie:

- Skąd taki wniosek?

- To łatwe. Po prostu złożyłem wszystko do kupy.

- Co złożyłeś do kupy?

- A, zapytałeś jeszcze Mullera, czy pracował przy sprawie TWA

osiemset, i powiedziałeś mu, że byłeś na mszy ku czci ofiar. Wiem, że Kate pracowała przy tym śledztwie i Marie Gubitosi też. A teraz chcesz, żebym namierzył jakiegoś Brocka, który pięć lat temu mieszkał na Long Island. Zbieg okoliczności? Chyba nie. Widzę w tym jakąś prawidłowość, John.

Czasem zapominam, że niebieska sieć działa w obie strony i że Dom Fanelli to cwany gliniarz.

- Powinieneś być detektywem - odparłem. - Dobra, sprawdź dla mnie te nazwiska.

- Na kiedy to potrzebujesz?

- Za jakieś dwa miesiące.

- Powinienem mieć te informacje za jakieś dwa tygodnie. Może za dwa dni. Zadzwońę do ciebie.

- Nie pali się. Wyjeżdżam na parę miesięcy do Jemenu.

- Gdzie, do kurwy nędzy, jest Jemen?

- Na mapie. Wysyłają mnie tam, żebym nauczył się słuchać rozkazów.

- O w mordę jeża. Może rzeczywiście powinieneś słuchać rozkazów.

- Tak właśnie robię. Lecę do Jemenu.

- Czy to coś takiego jak Staten Island?

- Tak, ale fedzie mają tam większy teren do patrolowania. Kate jedzie uczyć się tego samego w Afryce.

- *Mama mia*. Ale was udupili. Słuchaj, będę miał oko na wasze mieszkanie, kiedy was nie będzie.

- Dam ci klucz, żeby ułatwić ci to zadanie. Ale nie wykorzystuj mojej chaty jako miłosnego gniazdka.

- Że co? Hej, *paisano*, a co ze mną będzie, jeśli fedzie się skapują, że szukam tych ludzi? Też dostanę darmową wycieczkę do Jemenu?

- Nie dowiedzą się. Nie musisz przesłuchiwać tych osób ani nawiązywać z nimi kontaktu. Chcę tylko wiedzieć, gdzie są. Zajmę się tym po powrocie.

- Załatwione. Skoczmy gdzieś na piwo, zanim wyjedziesz.

- Nie najlepszy pomysł. W tej chwili jestem trefny. Zostawię klucz w dyżurce dozorczy domu.

- Okay. Hej, czy ta gra jest warta świeczki?

Zrozumiałem pytanie Doma.

- Z początku nie byłem pewien. Ale system właśnie dał mi kopa w jaja. Więc teraz muszę mu oddać.

Dom milczał przez chwilę, co zdarza mu się nader rzadko.

- Taak. To rozumiem. Ale czasami trzeba po prostu przyjąć cios.

- Czasami. Ale nie tym razem.

- Masz coś nowego w tej sprawie?

- Jakiej sprawie?

- Okay. Kiedy wyjeżdżasz?

- Prawdopodobnie we wtorek.

- Zadzwoń przed wyjazdem.

- Nie, zadzwonię po powrocie. Nie kontaktuj się ze mną, kiedy tam będę.

- Nawet nie wiem, gdzie jest ta zasrana dziura. Życz Kate *bon voyage*. Do zobaczenia, kiedy wrócisz.

- Dzięki, Dom. - Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do Federal Plaza 26.

Ktoś kiedyś powiedział, że szaleństwo można zdefiniować jako robienie ciągle tego samego i oczekiwanie różnych rezultatów.

Zgodnie z tą definicją byłem naprawdę szalony.

Rozdział 30

Wszedłem do imponującego narożnego gabinetu pana Koeniga z ładnym widokiem na World Trade Center, Statuę Wolności, Staten Island i port.

Byłem tam kilka razy i żadna z tych wizyt nie poprawiła mi humoru. Dzisiaj nie będzie inaczej.

Jack Koenig stał przed jednym z okien tyłem do mnie i spoglądał na port.

Jego zagrywka polega na tym, że stoi tak, by zobaczyć, jak obwieścisz swoje przybycie. Przyszło mi na myśl, żeby ryknąć po arabsku *Allah akbar!*, ale poprzestałem na chrząknięciu.

Odwrócił się i skinął głową.

Jack Koenig to wysoki, chudy gość z krótko obciętymi, siwymi włosami i szarymi oczami. Nosi szare garnitury. Chyba chodzi o wywołanie wrażenia, że obcujesz z facetem ze stali, ale mnie przychodzi na myśl grafit ołówka. Albo beton.

Koenig podał mi rękę i wskazał okrągły stół.

- Proszę siadać.

Usiadłem, a on zajął miejsce naprzeciwko.

- Kate powiedziała wam, że chcę się z wami widzieć?

- Tak.

- Gdzie byliście?

- W gabinecie kapitana Steina.

- Później.

- Wyszedłem na spacer, żeby rozjaśnić sobie w głowie. Jego cygaro mnie wykańcza. Nie żebym się skarżył na to, że pali w miejscu, w którym palenie jest zabronione, ale...

- David mówi, że chcecie odejść ze służby.
- Cóż, przemyślałem to. Chyba że pan uważa inaczej.
- Tak. Chcę was tutaj.

Zapomniał dodać: „Gdzie mogę mieć cię na oku i zatruć ci życie”.
Ale obaj o tym wiedzieliśmy.

- Doceniam pańskie zaufanie - odparłem.
- Tego nie powiedziałem. Nie mam najmniejszego zaufania do pańskiego zdrowego rozsądku. Ale chcę wam dać jeszcze jedną szansę przysłużenia się zespołowi i ojczyźnie.

- Wspaniale.
- Nie rób sobie ze mnie jaj, John. Nie jestem w nastroju.
- Ja też nie.
- To dobrze. W takim razie możemy przejść do sedna. Zaprzęta-
liście sobie głowę sprawą TWA osiemset w czasie służby i wbrew
wyraźnym instrukcjom, żeby tego nie robić.

- Nie przyjmuję rozkazów od Liama Griffitha.
- Przyjmujecie rozkazy ode mnie, a ja mówię, tak jak powiedziałem Kate, żebyście nie angażowali się w tę sprawę. Chcecie wiedzieć dlaczego? Tuszowanie sprawy? Spisek? Jeśli tak uważacie, to powinniście zrezygnować i pójść tym tropem. Może tak zrobicie. Ale na razie chcę, żebyście pojechali do Jemenu i zrozumieli, jak staramy się dbać o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych w skali globalnej.

- A jak staramy się o nie dbać?
- Właśnie tego macie się dowiedzieć.
- Dlaczego Jemen? Dlaczego nie tam, gdzie będzie Kate?
- To nie jest kara, jeśli taka myśl chodzi wam po głowie. To zaszczyt służyć za granicami kraju.

Nie przebywaliśmy nawet na tej samej planecie, toteż nie było sensu się z nim sprzeczać.

- Jestem wdzięczny za to, że dostałem tę szansę.
- Wiem, że jesteście.
- Co mam tam robić?
- Wszystko zostanie wyjaśnione na miejscu.
- Doskonale. Bo nie chcę się okazać nadgorliwy i zostać wykopa-
ny z tego kraju przez panią ambasador.

Koenig zmierzył mnie twardym jak stal spojrzeniem.

- To ważny przydział. Siedemnastu amerykańskich żołnierzy

zostało zamordowanych, a my schwytamy tych, którzy są za to odpowiedzialni.

- Nie potrzebuję rozgrzewania do boju. Robię to, co do mnie należy.

- Zgadza się. Ale będziecie to robili zgodnie z zasadami.

- Świetnie. Czy to wszystko?

- Tak, jeśli chodzi o Jemen. Powiedzcie mi, co wczoraj robiliście.

- Pojechałem na wycieczkę na wschód.

- Dokąd pojechaliście?

- Na plażę.

- Nie jesteście opaleni.

- Siedziałem w cieniu.

- Czemu wasza komórka i pager były wyłączone?

- Potrzebowałem dnia odpoczynku dla dobra mojego zdrowia psychicznego.

- Dobrze, że zauważacie taką potrzebę.

To było naprawdę zabawne. Uśmiechnąłem się.

- Ale nigdy więcej nie wyłączycie pagera - zaznaczył Koenig.

- Tak jest, sir. Czy pager i komórka będą działały w Jemenie?

- Postaramy się, żeby działały. Chcę was o coś zapytać. Myślicie, że macie jakieś nowe informacje w sprawie katastrofy TWA osiemset?

Podchwytliwe pytanie.

- Gdybym je miał, pan pierwszy by się o tym dowiedział.

- To rozumie się samo przez się. Pewnie słyszeliście tę plotkę o nagraniu wideo - rzucił nonszalancko Koenig.

- Słyszałem.

- Wiele osób ją słyszało. Ale można o niej powiedzieć to samo co o wszystkich plotkach, legendach i niestworzonych historiach: że jest legenda. Wiecie, skąd się biorą te opowieści? Powiem wam. Ludzie mają bardzo silną, fundamentalną potrzebę, żeby wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne. Muszą wierzyć w istnienie czegoś, zwykle przedmiotu nieożywionego, takiego jak święty Graal lub tajny kodeks, a w przypadku zbrodni niesamowitego dowodu, który stanowi klucz do rozwiązania wielkiej, nieprzeniknionej tajemnicy. Szkoda, że życie nie jest takie proste.

- Czasem jest.
- Tak więc ludzie obdarzeni płodną wyobraźnią powołują do życia taki niezwykle dowód, który zaginął lub został ukryty i który, jeśli zostanie odnaleziony, pozwoli odkryć prawdę do końca. Wielu zaczyna wierzyć w istnienie tego dowodu, bo niesie on pociechę i nadzieję. I w ten sposób plotka staje się legendą i mitem.
- Zaczynam się gubić w pańskim wywodzie.
Koenig nachylił się w moją stronę.
- Nie było żadnej zaszranej kasety wideo z nagraniem pieprzącej się parki i eksplozją samolotu w tle.
- Ani rakiety?
- Ani zaszranej rakiety.
- Czuję, jakby wielki ciężar spadł mi z serca. Może odwołamy tę hecę z Jemenem i Tanzanią?
- Nie ma mowy.
- W takim razie, jeśli to wszystko, chciałbym się oddalić, bo muszę zadzwonić do biura podróży.
Koenig nie podniósł się z miejsca, dlatego i ja siedziałem.
- Wiem, że jesteście wstrząśnięci sprawą Khalila i wszyscy podzielamy waszą troskę.
- To świetnie. Ale to wciąż mój niepokój.
- Poza tym, rzecz jasna, jesteście osobiście zaangażowani w tę sprawę. Pragniecie jej zamknięcia.
- Zemsty.
- Powiedzmy. Wiem, że głęboko poruszyła was śmierć kobiet i mężczyzn, z którymi współpracowaliście podczas tego śledztwa. Kate powiedziała, że nie mogliście przyjąć do wiadomości, że zginął Ted Nash.
- Co takiego...?
- Mówiła, że przyjęliście postawę odrzucenia. To normalne, jeśli ginie bliski kolega; odrzucając ten fakt, odrzucamy możliwość, że to samo może spotkać nas. Mechanizm powtarzalności.
- Hm... cóż... - Gównu mnie to obchodzi.
- Kate i Ted bardzo się zaprzyjaźnili, jak pewnie wiecie, ale ona zdołała przezwyciężyć żal.
Zaczynałem się wkurzać, ponieważ Koenig rozmyślnie mnie drażnił, bo ja rozdrażniłem jego. Mały rewanż zimnego Jacka.

- Szczerze powiedziawszy, nie cierpiałem Teda Nasha i proces przezwyciężania żalu po jego śmierci zajął mi dwie sekundy. Do czego pan zmierza?

Na ustach Koeniga pojawił się przelotny uśmiech.

- Chyba pozwoliłem sobie na drobną dygresję. Chcę powiedzieć, że kiedy wróćcie, reaktywujemy zespół operacyjny i podwoimy wysiłki mające na celu schwytanie Khalila.

- Okay. To jest marchewka, zgadza się?

- To jest marchewka. Jemen to kij na twój tyłek. Dodaj dwa do dwóch, John.

- Już dodałem.

- Zostań w zespole, graj, a znów zaliczysz trafienie. Jeśli odesziesz, nigdy więcej nie weźmiesz pałki do ręki.

- Trafna analogia. I ma pan rację. Sprawa Khalila jest dla mnie ważniejsza od uganiania się za widmami dowodów związanych z katastrofą TWA osiemset. - Po chwili namysłu dodałem zgodnie z prawdą: - Rozumiem, dlaczego jest pan tutaj dowódcą. Jest pan bardzo dobry.

- Jestem. Ale miło mi to słyszeć.

Czekałem, aż powie mi, że ja też jestem świetny, ale tego nie zrobił.

- Nie dręczy pana myśl, że zignorowaliście możliwość istnienia tej kasety?

Koenig patrzył na mnie długo.

- Nie ignoruję tej możliwości. Mówię ci, że kasetka nie istnieje, a gdyby istniała, to nic ci do tego. Mam nadzieję, że to jasne.

- Jak słońce.

Koenig wstał i odprowadził mnie do drzwi.

- Praca z agentami w Jemenie powinna wam sprawić przyjemność. To zespół z najwyższej półki.

- Z wielką chęcią przyczynię się do sukcesu tej misji. Chciałbym wrócić na Święto Pracy.

- Potrzeby misji są na pierwszym miejscu. Ale to możliwe.

- To dobrze. Jestem nauczycielem w college'u Johna Jaya.

- Wiem o tym. Nie chcemy stwarzać niepotrzebnych trudności.

- Tylko te potrzebne.

- Wszyscy jesteśmy żołnierzami w walce z globalnym terroryzmem.

- I w wojnie z dżihadem.

Koenig puścił mimo uszu moją prostą wypowiedź po angielsku i arabsku.

- Jemen jest uważany za wrogi kraj. Musicie bardzo uważać. Macie przed sobą wielką przyszłość tutaj i nie chcemy, żeby wam się coś stało. Jestem pewien, że Kate też by tego nie chciała. Przed wyjazdem powinniście się zgłosić do wydziału prawnego w związku z testamentem. I powinniście ustanowić pełnomocnika prawnego w razie ważnego zaginięcia lub porwania.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka długich sekund.

- Nie planowałem, że któraś z tych rzeczy mi się przytrafi - oznajmiłem.

- Radzę się nie ludzić: to niebezpieczny teren - poinformował mnie Koenig. - W grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku czterech zachodnich turystów zostało porwanych i zamordowanych przez fanatyków religijnych.

- Buddystów?

- Nie, muzułmanów.

- Ach, tak. Więc to jest muzułmański kraj.

Koenig wyraźnie tracił cierpliwość do mojej udawanej głupoty.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat prawie stu obywateli państw zachodnich zostało porwanych w Jemenie - kontynuował.

- Poważnie? Co oni tam, u diabła, robili?

- Nie wiem... to byli biznesmeni, naukowcy, turyści.

- Racja. Ale kiedy zaginęło czterdziestu czy pięćdziesięciu, czy następni nie powiedzieli sobie: „Hm! Może powinienem wybrać się do Włoch zamiast do Jemenu?”.

Koenig patrzył na mnie przez kilka sekund, a potem rzekł z wymuszoną cierpliwością:

- Powody, dla których ci ludzie byli w Jemenie, są nieistotne. Ale jeśli chcecie wiedzieć, wśród porwanych i zaginionych nie było Amerykanów. Większość stanowili Europejczycy. To żądni przygód podróżnicy.

- Może „bezmyślni” byłoby lepszym określeniem.
- Nieważne. Jednym z aspektów waszej misji będzie zebranie informacji o tych zaginionych. Oraz postaranie się, żeby nie zostać jednym z nich.

Jeszcze raz spojrzeliśmy sobie w oczy i może mi się zdawało, ale na jego ustach znów pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Rozumiem - powiedziałem.
- Wiem, że rozumiecie.

Podaliśmy sobie ręce i wyszedłem z gabinetu.

Rozdział 31

Kate i ja spędziliśmy resztę dnia w Federal Plaza 26, wojując z papierami, porządkując nasze sprawy i żegnając się.

Poszliśmy do pokoju pielęgniarek, gdzie zaszczepiono nas przeciwko chorobom, o jakich nigdy nie słyszałem. Dostaliśmy też po buteleczce pigułek na malarię. Pielęgniarki bez cienia ironii życzyły nam bezpiecznej i zdrowej podróży.

- Nie wiedziałem, że zgłosiłeś się na ochotnika do Jemenu - rzucił Harry Muller, kiedy sprzątałem biurko.

- Ja też nie.

- Wkurzyłeś kogoś?

- Koenig uważa, że romansuję z jego żoną.

- Poważnie?

- Ona się puszcza, ale zachowaj to dla siebie.

- Taak... A Kate leci do Afryki.

- Do Tanzanii. W związku z zamachem na ambasadę.

- A ona kogo wkurzyła?

- Koeniga. Przystawiał się do niej, a ona zagroziła, że się na niego poskarży.

- To wszystko kit, tak?

- Nie rozpuszczaj plotek. Jack ich nie lubi.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Złap tych skurczybyków, którzy wysadzili USS „Cole”.

- Dam z siebie wszystko.

Moim ostatnim przystankiem było biuro prawne na górze, gdzie

młoda prawniczka - mniej więcej szesnastoletnia - wręczyła mi kilka formularzy do wypełnienia i podpisania, między innymi pełnomocnictwo prawne, na wypadek gdybym zaginął lub został porwany. Udałem się tam bez Kate.

- Jeśli pan zginie, wykonawcy wymienieni w testamencie będą mogli uregulować pańskie sprawy majątkowe - wyjaśniła. - Ale jeśli pan zaginie, to dopiero zaczną się jaja, wie pan? No bo nie wiadomo: żyje pan czy nie? Kto zapłaci pański czynsz i tak dalej?

- Jack Koenig.

- Kogo chce pan wskazać jako pełnomocnika prawnego? To nie musi być prawdziwy prawnik. Wystarczy ktoś, komu pan ufa, kto będzie mógł podpisywać pańskie rachunki i działać w pańskim imieniu, dopóki nie zostanie pan odnaleziony, uznany za przypuszczalnie poległego albo oficjalnie uznany za zabitego.

- Kogo wybrał Elvis Presley?

- Może wyznaczyłby pan małżonkę?

- Ona prawdopodobnie będzie w Afryce.

- Jestem pewna, że pozwolą jej wrócić. A więc żona. Zgoda?

- Chce pani powiedzieć, że jeśli zaginę lub zostanę porwany, moja żona będzie miała dostęp do mojej książeczki czekowej, rachunku oszczędnościowego, kart kredytowych i pensji?

- Zgadza się.

- A jeśli odnajdę się po roku i stwierdzę, że jestem bankrutem?

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

Nie jestem aż tak przyzwyczajony do stanu małżeńskiego i to była chwila prawdy.

- Kogo wskazała moja żona? - zapytałem smarkulę prawniczkę.

- Jeszcze u mnie nie była.

- Rozumiem... więc dobrze, niech to będzie moja żona.

Dziewczyna napisała nazwisko Kate na dokumencie, ja go podpisałem, a ona zarejestrowała pełnomocnictwo.

Przebrnęliśmy przez resztę papierkowych bzdur i wreszcie pani młodociana prawniczka oznajmiła:

- To wszystko. Przyjemnej podróży. Proszę do mnie zajrzeć po powrocie.
- Przyślę pani pocztówkę, jeśli mnie porwą.

Postanowiliśmy z Kate nie wychodzić razem, więc umówiliśmy się o szóstą w Ecco. Przyszedłem pierwszy. W lokalu jak zwykle roilo się od prawników, przeważnie adwokatów od spraw karnych, którzy znoszą swoje towarzystwo tylko wtedy, gdy są zalani.

Na dobry początek wziąłem podwójnego dewara. Przy końcu baru siedziała jakaś ładna babka i dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że to moja była w nowym uczesaniu, z przefarbowanymi włosami. Nasze spojrzenia się spotkały, Robin się uśmiechnęła i podniosła szklankę. Wzniesiliśmy toast na odległość. Jest faktem, że wciąż się ze sobą dogadujemy przy tych rzadkich okazjach, kiedy się spotykamy. Skinęła na mnie, ale pokręciłem głową i zamówiłem drugą podwójną whisky.

Pojawiło się parę osób, kobiet i mężczyzn z dwudziestego szóstego piętra, z policyjnej części, między innymi Harry Muller. Podeszedłem do nich. Później zjawiała się Kate w towarzystwie paru kumpli z FBI. Wyglądało to na małe pożegnanie.

Kate przyprowadziła ze sobą tylko kilkoro współpracowników, ale o wpół do siódmej w knajpie znajdowało się mniej więcej piętnastu pracowników ATTF, między innymi Jack Koenig, który nigdy nie przepuści okazji, by pokazać, jaki z niego równiacha.

Wygłosił małe przemówienie, które ledwie można było usłyszeć w barowym gwarze, ale wyłowilem słowa: „obowiązek”, „oddanie” i „poświęcenie”. Może Koenig ćwiczył przed mową pochwalną na moją cześć.

Robin, która ma więcej ikry niż niejeden facet, podeszła i przedstawiła się moim współpracownikom. Potem zbliżyła się do mnie i pocałowaliśmy się w powietrzu.

- Ktoś powiedział, że lecisz do Jemenu - zagała.
 - Jesteś pewna? Mnie powiedzieli, że lecę do Paryża.
- Robin parsknęła śmiechem.
- Nic się nie zmieniło.
 - Po co majstrować przy czymś, co jest doskonałe?

Kate przepchnęła się do nas.

- Robin, poznaj moją żonę, Kate.

Panie uściśniły sobie ręce.

- Miło cię poznać - powiedziała Kate.
- To mnie jest miło - odparła całkiem szczerze Robin. - Słyszałam, że wybierasz się do Tanzanii. Masz ciekawą pracę.

Pogawędziły jeszcze trochę, a ja zapragnąłem znaleźć się gdzie indziej.

- Odnowiliście mieszkanie? - spytała Robin.
- Jeszcze nie - odparła Kate. - Pracuję nad odnowieniem Johna. Bardzo je to rozbawiło. Czemu mnie nie było do śmiechu?
- Gdzie twój szef? - zapytałem Robin.

Spojrzała na mnie.

- Jeszcze pracuje. Mamy zjeść tutaj kolację. Zjesz z nami?
- Nigdy mi tego nie proponowałaś, kiedy oboje długo pracowaliście, a byliśmy małżeństwem. Co to za okazja?
- Ty też długo pracowałeś - odparła spokojnie. - Życzę ci przyjemnej podróży i bezpiecznego pobytu za granicą. - Odwróciła się i poszła na miejsce.
- Nie musiałeś być nieuprzejmy - zganiała mnie Kate.
- Cóż, brakuje mi oglady. Chodźmy.
- Jeszcze kwadrans. Tego wymaga grzeczność. - Zostawiła mnie i wróciła do swojego towarzystwa.

Koenig wyszedł pierwszy jak zwykle, a za nim większość agentów FBI, którzy przyszli z powodu Kate i nie chcieli za długo przebywać w otoczeniu gliniarzy.

Podszedł do mnie David Stein.

- Dokonałeś słusznego wyboru.
- W takiej sytuacji nie miałem wyboru.
- Miałeś i wybrałeś dobrze. Wrócisz z czystą kartą i może z nowymi atutami. Musisz zająć się znów sprawą Khalila i zapomnieć o tej drugiej. Zgadza się?
- Tak.
- Powiedz to serio.
- Przecież mówię serio.
- Znam cię - mruknął Stein. - Nie zostałeś wykołowany. Dostałeś drugą szansę. Kate to rozumie.

- A ja rozumiem, że w tej firmie zwykle nie dostaje się drugiej szansy. Dlaczego spotkało mnie takie szczęście?

Stein nachylił się do mnie.

- Napędziłeś im takiego pietra, że robili w gacie. - Odwrócił się i odszedł.

Tego wieczoru wpadałem na tych, których najbardziej nie lubię, więc nie zdziwiłem się, kiedy przy barze stanął Liam Griffith. Zamówił sobie drinka, podniósł szklanekę i powiedział:

- *Bon voyage.*

Miałem mu powiedzieć, żeby spadał na drzewo, ale zamiast tego spytałem:

- Czyżby zapomnieli włożyć parasolki do twojego drinka?

Griffith się uśmiechnął. Bo czemu nie?

- Spędziłem parę tygodni w Jemenie - poinformował mnie. - W Tanzanii i Kenii też. W Jemenie było trochę niebezpiecznie.

Nie odpowiedziałem.

- Byłem również w Sudanie, Somalii i kilku innych zapadłych dziurach.

- Musiałeś porządnie nabroić.

Griffith patrzył na mnie długo, a potem ściszym głosem powiedział:

- W miarę jak rozszerzamy zakres operacji antyterrorystycznych na cały świat, uświadamiamy sobie, że odpowiedź na pytanie, kto zaatakował nas w punkcie A, często można znaleźć w punkcie B. Z kolei nasza odpowiedź na te ataki może nastąpić w punkcie C. Rozumiesz?

- Straciłem wątek po *bon voyage.*

- Nie straciłeś. Mówię ci, że walka z terroryzmem to ogromna, złożona operacja przeciwko równie ogromnej, globalnej sieci terrorystycznej. Kluczem do sukcesu jest koordynacja i współpraca. A takie podejście wyklucza awanturników i gwiazdorów, których działania często przynoszą więcej szkody niż pożytku.

- Mówisz o mnie?

- Na pewno nie o sobie. Jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, walka z terroryzmem nie przypomina śledztwa w sprawie zabójstwa.

- Właśnie że przypomina.

Griffith przysunął się bliżej.

- Wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?
- Bo nikt inny nie chce z tobą gadać?
- Rozmawiam z tobą, bo Jack poprosił, żebym z tobą pogadał i przekonał cię, że odpowiedź na to, co mogło się stać z TWA osiemset u brzegów Long Island niekoniecznie musi się znajdować na Long Island. Może trzeba jej szukać w Jemenie albo Somalii. Albo w Kenii czy Tanzanii.

- Albo w Paryżu.

- Albo w Paryżu. Ale możesz zacząć poszukiwania w Jemenie.

Właśnie w tym momencie powinienem kopnąć go kolanem w jaja, ale zachowałem spokój.

- Rozumiem, dlaczego trzymaliście się razem z Tedem Nashem. Obaj byliście palantami. No, ty wciąż jesteś.

Pan Griffith odetchnął.

- Ted Nash był porządnym człowiekiem - odparł.

- Nie, był palantem.

- Twoja żona tak nie myślała, kiedy przez miesiąc mieszkali razem w hotelu Bayview.

Odgadłem, że ten facet podsuwa mi przynętę, żebym mu przywalił i został wyrzucony za napaść. Mam skłonność do chwytania takiej przynęty, co jest przyjemne, ale niezbyt mądre.

Zacisnąłem dłoń na jego ramieniu. Przestraszyło go to. Przysunąłem twarz do jego twarzy.

- Spieprzaj mi z oczu - powiedziałem.

Griffith wyrwał rękę, odwrócił się i odszedł.

Nikt chyba nie zauważył tego niewielkiego spięcia. Wmieszałem się z powrotem w grupę.

Zostaliśmy w barze z Kate jeszcze kwadrans, a później jeszcze jeden. Około wpół do ósmej byłem wstawiony i chciałem się zmyć. Skinąłem ręką na Kate i ruszyłem w stronę drzwi.

Na ulicy złapaliśmy taksówkę.

- Jack powiedział mi, że kiedy wrócę, reaktywuje oddział specjalny - oznajmiłem. - Wspomniał ci o tym?

- Nie. Prawdopodobnie sam chciał ci o tym powiedzieć. To dobra wiadomość.

- Wierzysz mu?

- Dlaczego miałabym nie wierzyć? Nie bądź cyniczny.
- Jestem nowojorczykiem.
- Od przyszłego tygodnia będziesz Jemeńczykiem.
- To nie jest zabawne.
- O czym rozmawialiście z Liamem Griffithem?
- O tym samym co ostatnio.
- To miłe z jego strony, że przyszedł cię pożegnać.
- Za nic nie przepuściłby takiej okazji. Postanowiłem nie wspominać Kate o jej pobycie z Nashem w hotelu Bayview, bo było to nieistotne, minęło, Ted Nash nie żył, a ja nie chciałem kłócić się z nią przed rozstaniem. Liam Griffith był według nomenklatury fedziów agentem prowokatorem i prawdopodobnie łąał, żeby mi dopiec. Ale naprawdę ciekawiło mnie, skąd on i Jack Koenig wiedzą, że jestem drażliwy na tym punkcie.

Jechaliśmy do domu w milczeniu, nie chcąc więcej mówić o minionym dniu.

Następny dzień, czyli sobotę, spędziliśmy na porządkowaniu spraw osobistych, co okazało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem. Jednak Kate trzymała wszystko w garści.

W niedzielę dzwoniłiśmy i wysyłaliśmy e-maile, głównie do rodziny i przyjaciół. Informowaliśmy ich o naszych odrębnych przydziałach zagranicznych i obiecywaliśmy, że skontaktujemy się po przybyciu na miejsce.

W poniedziałek Kate zmieniła nagranie na sekretarce. Powiedziała, że oboje będziemy poza granicami kraju aż do odwołania.

Ze względów bezpieczeństwa korespondencja agentów nie może być przesyłana do pewnych krajów - należą do nich między innymi Tanzania i Jemen - więc ustaliliśmy z pocztą, żeby nasza była przechowana. Do Kate dotarło, że przez dłuższy czas nie będzie oglądać katalogów.

Współczesne życie jest zarazem wygodne i skomplikowane za sprawą zaawansowanej techniki. Kate pokłada wielką wiarę w Internet, licząc na to, że za jego pośrednictwem załatwi większość swoich

spraw logistycznych, finansowych, komunikacyjnych i służbowych, a także zrobi zakupy. Ja z kolei używam sieci głównie ze względu na pocztę elektroniczną; muszę ją czytać mniej więcej sześć razy, zanim połączę się w tych martwych treściowo komunikatach ery postliterateckiej.

Zrobiwszy wszystko, co trzeba, by odciąć się od naszego dotychczasowego życia, wybraliśmy się na zakupy przed podróżą.

Ja chciałem iść do sklepu Republika Bananowa, którego nazwa wydawała mi się najodpowiedniejsza, lecz Kate uparcie twierdziła, że ci, którzy udają się w dziwne miejsca, powinni odwiedzić Eastern Mountain Sports przy Sześćdziesiątej Pierwszej Zachodniej.

Stańto więc na EMS.

- Wybieram się do najgorszego zadupia na świecie i szukam jakiegoś wdzianka, w którym będzie mnie łatwo porwać i które będzie się dobrze prezentować na fotkach publikowanych przez terrorystów - oznajmiłem sprzedawcy.

- Słucham pana?

- Szukamy ubrań w kolorze khaki, odpowiednich na pustynie i tereny tropikalne, oraz dobrych butów - sprostowała Kate.

Niech jej będzie.

Po zakupach na jakiś czas się rozdzieliliśmy. Moim ostatnim przystankiem tego dnia był bar Okno na Świat w Wieży Północnej World Trade Center, zwany z typową nowojorską skromnością najwspanialszym barem świata.

Było wpoł do siódmej. Bar, mieszczący się na sto siódmym piętrze, trzysta dziewięćdziesiąt pięć metrów nad poziomem morza, wypełniali różnorodni klienci, którzy tak jak ja odczuli potrzebę wypicia drinka za dziesięć lub piętnaście dolarów i zobaczenia najlepszego widoku w Nowym Jorku, a może na świecie.

Nie byłem tam od września ubiegłego roku, kiedy Kate zawlokła mnie do Wieży Północnej na uroczystość z okazji dwudziestej rocznicy powołania ATTF.

Jeden z szefów FBI, przemawiając tego wieczoru, rzekł: „Gratuluje wam wszystkim doskonałej pracy wykonanej przez te lata, a zwłaszcza aresztowania ludzi ponoszących odpowiedzialność za tragedię, która

zdarzyła się tu dwudziestego szóstego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Spotkamy się tu wszyscy na dwudziestej piątej rocznicy istnienia tego wspaniałego zespołu i będziemy mieli jeszcze więcej powodów do świętowania”.

Nie byłem pewny, czy dotrzmam do tej imprezy, lecz miałem nadzieję, że będzie co świętować.

Kate zadzwoniła i powiedziała, że niebawem do mnie dołączy, co oznaczało, że miałem jeszcze mniej więcej godzinę. Zamówiłem dewara z wodą sodową, odwróciłem się do baru i spojrzałem przez okna sięgające od podłogi do sufitu. Z tej wysokości nawet rafinerie ropy w New Jersey ładnie wyglądały.

W barze było mnóstwo turystów, a także typów z Wall Street, pypie, ciem barowych, dziewczyn do poderwania i par z przedmieść, które zabrały do miasta z powodu jakiejś szczególnej okazji. Było też paru moich kolegów po fachu urzędujących w Wieży Północnej, którzy wykorzystywali bar jako miejsce spotkań przy kolacji na wysokim szczeblu.

Nie był to mój ulubiony lokal, ale Kate nalegała, żeby tu przyjść. W nasz ostatni wspólny wieczór chciała zobaczyć Nowy Jork ze szczytu świata, pragnęła, by to wspomnienie zostało z nami aż do naszego powrotu.

Ja natomiast nie odczuwałem żadnego szczególnego niepokoju z powodu opuszczenia ogniska domowego i rozstania z żoną, takiego, jaki znają żołnierze wyruszający na front. Należało na to spojrzeć z właściwej perspektywy: mogłem zakończyć misję, kiedy zechcę, i choć niebezpieczeństwo, które mi groziło, było realne, nie można go porównywać z niebezpieczeństwem grożącym żołnierzowi na wojnie.

Mimo to czułem się nieswojo, może z powodu szczerzego niepokoju Jacka, by nic złego mi się nie stało, ale także z powodu podpisania dokumentów na wypadek mojego zaginięcia, porwania lub śmierci. Oczywiście żywiłem także obawy w związku z tym, że Kate wybierała się do kraju, w którym muzułmańscy fundamentaliści już wcześniej brali Amerykanów na cel. Walka z terroryzmem była naszym zadaniem, lecz aż do tej chwili toczyliśmy ją tu, w Ameryce, gdzie jak dotąd doszło tylko do jednego potwierdzonego ataku. W budynku, w którym właśnie się znajdowałem.

Kate zjawiała się wyjątkowo szybko. Objęliśmy się i ucałowali, jakbyśmy spotkali się po długiej rozłące, a nie przed nią.

- Spakowałam dla nas kilka pudeł, które wyślemy jutro do ambasady pocztą dyplomatyczną - poinformowała mnie Kate.
- Mam wszystko, czego mi potrzeba.
- Do jednej z paczek włożyłam sześć puszek budweisera.
- Kocham cię.

Zamówiłem dla Kate wódkę z wodą sodową. Staliśmy oparci plecami o bar, trzymając się za ręce i patrząc na słońce zachodzące nad pustkowiami New Jersey.

W barze zrobiło się ciszej, bo ludzie z drinkami w rękach podziwiali zachód słońca z wysokości niemal czterystu metrów, oddzieleni od prawdziwego świata przezroczystą centymetrową szybą.

- Przyjdziemy tu po powrocie - zasugerowała Kate.
 - Niezły pomysł.
 - Będę za tobą tęsknić.
 - Ja już za tobą tęsknię.
 - A teraz jak się czujesz?
 - Myślę, że na tej wysokości alkohol szybciej uderza do głowy - odparłem. - Wydaje mi się, że całe pomieszczenie się kołysze.
 - Bo ono naprawdę się kołysze.
 - Co za ulga.
 - Będzie mi brakowało twojego poczucia humoru.
 - A mnie będzie brakowało publiczności.
- Kate uściśniła moją rękę.
- Przyrzeknijmy sobie, że wrócimy tacy sami, jacy wyjechaliśmy.

Rozumiesz?

- Tak.

To był wieczór dyskotekowy. Około dziewiątej zaczął grać zespół. Wyprowadziłem Kate na niewielki parkiet taneczny i pokazałem jej parę kroków z lat siedemdziesiątych, które uznała za zabawne.

Zespół zagrał *Miętowego twista*, którego przemianowałem na *Jemeńskiego twista*. Wymyśliłem kroki taneczne zwane „Przejażdżka wielbłądem” i „Uwaga na latające pociski”. Rzecz jasna, byłem zalanym.

Po powrocie do baru wzięliśmy specjalność zakładu, drinka o nazwie mrożona herbatka z Ellis Island. Kosztował szesnaście doliców za kieliszek, więc powinien mieć bardziej wyszukaną nazwę.

Kate zamówiła *sushi* i *sashimi*. Zwykle nie jem surowych ryb i wodorostów, ale kiedy jestem ubzdryngolony, wkładam do ust rzeczy, których nie powinienem.

Wyszliśmy z najwspanialszego baru świata około północy, a ja bardzo dawno nie czułem takiego łupania w głowie.

Złapaliśmy taksówkę i Kate zasnęła z głową opartą na moim ramieniu. Jechaliśmy do domu, a ja patrzyłem przez okno samochodu.

Nowy Jork po zmroku. Będę musiał zapamiętać ten widok na najbliższe miesiące.

Biuro podróży FBI spisało się i zamówiło nam loty z lotniska Kennedy'ego w odstępie dwóch godzin. Kate leciała liniami Delta do Kairu, a ja American Airlines do Londynu. Ja miałem polecieć stamtąd do Ammanu w Jordanii, a następnie do Adenu, Kate zaś miała bezpośrednie połączenie do Dar es-Salaam w Tanzanii. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że nasza broń przyleci pocztą dyplomatyczną przed nami.

Stróż życzył nam *bon voyage*, a potem limuzyna zawiozła nas prosto na lotnisko do terminalu linii Delta. Rozstaliśmy się przy krawężniku, bez łzawych scen.

- Uważaj na siebie - powiedziałem. - Kocham cię. Do zobaczenia.

- Ty też na siebie uważaj - odparła Kate. - Nie udało nam się wyjechać na urlop, więc powetujmy to sobie, spotykając się w drodze powrotnej w Paryżu.

- Jesteśmy umówieni.

Bagażowy wziął od niej walizki. Kate podążyła za nim. Pomachaliśmy sobie przez szybę.

Wsiadłem z powrotem do limuzyny i pojechaliśmy do terminalu American Airlines.

Oboje mieliśmy paszporty dyplomatyczne, co jest standardem w naszym zawodzie, toteż odprawa przebiegła stosunkowo bezboleśnie. Pospieszne procedury kontroli bezpieczeństwa nie wyglądały poważnie.

Prawdopodobnie mogłem przystawić glocka do głowy bezmózgiego kontrolera i przejść na drugą stronę wykrywacza metalu.

Miałem kilka godzin do odlotu, więc spędziłem je w poczekalni klasy biznes, czytając gazety i popijając krwawą mary.

Odezwała się moja komórka. To była Kate.

- Za chwilę wejść na pokład. Chciałam tylko jeszcze raz się pożegnać i powiedzieć, że cię kocham.

- Ja też cię kocham.

- Nie jesteś na mnie wściekły, że cię w to wpakowałam?

- W co? Ach, w to? Nie szkodzi. Te wydarzenia jedynie wzbogacają legendę Johna Coreya.

Kate milczała przez chwilę.

- Skończyliśmy ze sprawą TWA osiemset? - spytała.

- Bezwzględnie. Jack, jeśli tego słuchasz, to była awaria mechaniczna centralnego zbiornika paliwa.

Kate znów zrobiła pauzę, po czym powiedziała:

- Nie zapomnij wysłać mi e-mail po przybyciu na miejsce.

- Ty też.

Jeszcze parę razy powtórzyliśmy, że się kochamy, a potem się rozłączyliśmy.

Kilka godzin później, kiedy Kate była nad Atlantykiem, na ekranie ukazała się informacja, że pasażerowie lecący do Londynu mają wsiadać na pokład. Ruszyłem w stronę bramki.

Minął dokładnie tydzień od rocznicowej mszy za ofiary katastrofy TWA 800. W ciągu tego tygodnia dowiedziałem się wielu rzeczy, z których żadna nie wychodziła mi obecnie na dobre.

Ale w tej grze trzeba myśleć długofalowo. Rozmawiasz z ludźmi, wężysz, gimnastykujesz mózg. A później zaczynasz od nowa.

Na świecie nie istnieje ani jedna zagadka, która nie ma rozwiązania. Trzeba tylko żyć wystarczająco długo, by je znaleźć.

Księga trzecia

Wrzesień

W domu

Wnioski: Analitycy CIA nie uważają, by do zestrzelenia boeinga linii TWA odbywającego lot numer 800 użyto pocisku... Nie ma żadnych dowodów materialnych ani innych, które wskazywałyby na jego użycie.

CIA, „Ocena analityczna”, 28 marca 1997

Rozdział 32

Dom.

Nie złapałem malarii ani nie zostałem porwany czy zamordowany, przyleciałem więc na lotnisko Kennedy'ego z Londynu o szesnastej pięć w piątek po Święcie Pracy. Na piaszczystych pustkowiach Jemuenu spędziłem około czterdziestu dni i czterdziestu nocy.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że to parszywa dziura.

Kate nadal przebywała w Dar es-Salaam, ale miała wrócić w ciągu tygodnia. Chyba spodobało się jej w Tanzanii, bo wciąż śle mi e-maile z informacjami o życzliwych ludziach, smacznym jedzeniu, ciekawych krajobrazach i tym podobnych. Posypywanie rany solą.

Pytanie, dlaczego nasze wycieczki były takie krótkie, stanowiło większą zagadkę niż pytanie, dlaczego w ogóle nas na nie wysłano. Bo to nie było żadną zagadką. Być może Jack Koenig i jego koledzy uważali, że podobnie jak w przypadku wyroków więzienia krótki pobyt to dobra lekcja, natomiast długi budzi w delikwencie złość i pragnienie zemsty.

Błąd. Ja wciąż byłem wkurzony i nie czułem najmniejszej wdzięczności za skrócenie zsyłki.

Szybko przemknąłem przez kontrolę paszportową i imigracyjną, bo nie miałem ze sobą niczego oprócz neseseru, paszportu dyplomatycznego i ukrytej urazy. Ubrania na safari zostawiłem w Jemenie, gdzie jest ich miejsce, a mojego glocka wysłano paczką z ambasady. Byłem ubrany w jasnobrązowe spodnie, granatową bluzę i sportową

koszulę, które wyglądały dobrze, kiedy je wkładałem mniej więcej dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Dziwnie było wracać do cywilizacji, jeśli tym słowem można określić lotnisko międzynarodowe Kennedy'ego. Widoki, dźwięki i zapachy, których nigdy wcześniej nie zauważałem, atakowały zmysły jak zgrzyt.

Aden, jak się okazało, nie był wcale stolicą Jemenu - była nią jakaś zasnana dziura o nazwie Sana. Musiałem tam pojechać kilka razy służbowo i miałem przyjemność poznać panią ambasador Bodine. Przedstawiłem się jako bliski przyjaciel Johna O'Neilla, choć spotkałem się z tym facetem zaledwie kilka razy. Nie zostałem wykopany, mimo że taki był mój plan, lecz nie zostałem też zaproszony na kolację w rezydencji pani ambasador.

Aden, w którym kwaterowałem, to port. Dodajmy, że parszywy. Tam właśnie wysadzono niszczyciel USS „Cole”. Dobrze było to, że w hotelu Sheraton, w którym mieszkali agenci FBI, znajdowały się sala gimnastyczna (marines musieli pokazać obsłudze hotelu, jak zmontować sprzęt) i basen (musieliśmy nauczyć obsługę, jak go czyścić). Nie byłem tak sprawny i opalony od dnia, w którym dostałem trzy kule w Washington Heights jakieś cztery lata temu. Picie w Jemenie ograniczałem do minimum, nauczyłem się lubić ryby, zamiast pić jak ryba, i doświadczyłem rozkoszy czystości. Poczulem się jak nowy, ale ten stary potrzebował alkoholu, hamburgera i seksu.

Stałem przy barze w poczekalni i zamówiłem piwo tudzież hamburgera.

Miałem przy sobie komórkę, lecz akumulator był oklapły jak mój fiut, więc poprosiłem barmana, żeby podłączył ładowarkę do sieci, co zrobił z przyjemnością.

- Byłem na arabskiej pustyni - wyjaśniłem.
- Ładna opalenizna.
- Nazywała się Jemen. Wszystko tanie jak barszcz. Powinien pan się tam wybrać. Fantastyczni ludzie.
- Cóż, witamy w domu.
- Dzięki.

W Adenie był dostęp do Internetu, i to nie wiedzieć czemu przez Yahoo! Właśnie w ten sposób utrzymywaliśmy kontakt z Kate. Czasem też do siebie dzwoniliśmy. W naszych rozmowach nigdy nie padła

nazwa TWA 800, ale ja miałem mnóstwo czasu na myślenie o katastrofie.

Wysłałem e-mail do college'u John Jay z wyjaśnieniem, że wykonuję tajną i niebezpieczną misję z upoważnienia władz i mogę się spóźnić na zajęcia kilka dni lub lat. Zasugerowałem, żeby zaczęły bez mnie.

Telewizor nad barem był nastawiony na kanał informacyjny i wyglądało na to, że pod moją nieobecność nic się nie wydarzyło. Facet od pogody oznajmił, że w Nowym Jorku jest kolejny piękny dzień, a następne będą takie same. Świetnie. Aden to prawdziwy piec hutniczy, a w głębi Jemenu jest jak w piekle. Dlaczego ludzie mieszkają w takich miejscach?

Zamówiłem jeszcze jedno piwo i przekartkowałem leżący na barze egzemplarz „Daily News”. Wiadomości nie było zbyt wiele, przeczytałem więc stronę sportową i horoskop: „Nie zdziw się, jeśli w ciągu jednego dnia doznasz uniesienia, zazdrości, bólu i szczęścia”. Wcałe bym się nie zdziwił.

W Adenie pracowałem z sześcioma agentami FBI, między innymi dwiema kobietami, oraz czterema policjantami z ATTF, z których dwóch znałem, toteż nie było tak źle. Oprócz śledczych kwaterowało tam około dwudziestu uzbrojonych po zęby marines i ośmioosobowy oddział szturmowy FBI. Wszyscy ci twardziele pełnili rotacyjne wachty na dachu Sheratonu. Myślę, że kierownictwo hotelu wykorzystywało ich w swojej strategii marketingowej, by przyciągnąć cywilnych gości.

W misji brał też udział tuzin osób z dyplomatycznej służby bezpieczeństwa, kilka z wywiadu sił lądowych i floty oraz oczywiście z CIA. Liczba i tożsamość tych ostatnich stanowiła wielką tajemnicę, ale naliczyłem czterech. Wszyscy Amerykanie żyli ze sobą bardzo dobrze, bo w tej zapomnianej przez Boga dziurze nie było nikogo innego, z kim można by pogadać.

Moje obowiązki w Adenie polegały na współpracy ze skorpupowanymi i niewyobrażalnie głupimi tajniakami z ichniego wywiadu przy poszukiwaniu tropów prowadzących do sprawców ataku na niszczyciel USS „Cole”. Na ogół jakoś mówili po angielsku - zapewne była to pamiątka po brytyjskim kolonializmie - lecz ilekroć ja lub moi koledzy zaczynaliśmy węszyć zbyt intensywnie, natychmiast zapominali o tym, że znają drugi język.

Co jakiś czas wywiad jemeński zgarniał dyżurnych podejrzanych i włókł ich na komendę policji, żebyśmy widzieli, że śledztwo nie stoi w miejscu. Mniej więcej raz na tydzień pięciu lub sześciu śledczych z zespołu operacyjnego jechało do kwatery policji, by przesłuchiwać tych biednych drani za pośrednictwem niekompetentnych, kłamiwych tłumaczy w cuchnącym pomieszczeniu bez okien. Typy z wywiadu obijały trochę podejrzanych, by nas zadowolić, i mówiły, że zaciskają pętlę wokół „zagranicznych terrorystów”, którzy wysadzili niszczyciel „Cole”.

Osobiście uważam, że Jemeńczycy wynajmowali tych podejrzanych, płacąc im dniówkę, ale doceniałem ich technikę przesłuchań. Żartuje.

Byli też „informatorzy”, którzy za parę dolarów podrzucali nam bezużyteczne tropy. Przysięgam, że kilku z nich widziałem na mieście w policyjnych mundurach w te dni, kiedy nie byli informatorami.

W gruncie rzeczy goniliśmy w piętke, a nasza obecność tam była symboliczna. Zginęło siedemnastu amerykańskich marynarzy, nasz okręt wojenny został wyeliminowany ze służby, więc władze musiały pokazać, że nie siedzą bezczynnie. Lecz kiedy John O'Neill naprawdę próbował coś zdziałać, został wykopany.

Tydzień temu do Jemenu dotarła ciekawa informacja, że John O'Neill odszedł z FBI i zaczął pracować jako konsultant do spraw bezpieczeństwa w World Trade Center. Powinienem się z nim zobaczyć w związku z pracą. W zależności od tego, jak rozwinie się sprawa katastrofy TWA 800, będę albo bardzo poszukiwanym pracownikiem, albo raz na zawsze zostanę bezrobotnym.

Kate pisała mi w e-mailach, że w Tanzanii wiedzie jej się znacznie lepiej. Tamtejszy rząd naprawdę pomagał, między innymi dlatego, że setki obywateli kraju zginęły w czasie ataku na ambasadę amerykańską.

Natomiast rząd Jemenu nie tylko nie okazywał pomocy, lecz był wrogi i zdradziecki, a wywiadem dowodził pewien oślisły typ, niejaki pułkownik Anzi, zwany Nazim, przy którym Jack Koenig wyglądał jak Matka Teresa z Kalkuty.

W Jemenie na każdym kroku towarzyszyło nam niebezpieczeństwo,

dlatego zawsze poruszaliśmy się w kamizelkach kuloodpornych, w towarzystwie marines lub policjantów z oddziału szturmowego. Nie nawiązywaliśmy kontaktów z tubylcami, a ja każdej nocy spałem z panią Glock.

Przed kilkoma laty nasz hotel został ostrzelany rakietami i pociskami z moździerzy przez jakąś grupę rebeliantów, lecz teraz wszyscy nie żyli, zatem musieliśmy się martwić tylko terrorystami, którzy przeprowadzili atak na niszczyciel „Cole” i bez wątplenia planowali wysadzić Sheraton, gdy tylko nadarzy się okazja.

Tymczasem moja ukochana Kate rozbijała bank w Dar es-Salaam. Wypiłem następne piwo i moja wyobraźnia zaczęła pracować: wymyślałem opowieści o tym, jak wojownicy z dzikiego plemienia napadli na mnie w czasie jazdy jeepem do Sany, jak arabscy płatni zabójcy obskoczyli mnie w starej dzielnicy miasta i jak ledwie uszedłem z życiem, gdy członkowie wywiadu jemeńskiego podrzucili mi do łóżka śmiertelnie jadowitą kobrę.

Bo to wszystko mogłoby się zdarzyć. Chciałem wypróbować którąś z tych historyjek na barmanie, ale był zbyt zajęty, więc tylko poprosiłem go o mój telefon.

Wybrałem numer komórki Doma Fanellego.

- Wróciłem.

- Hej, martwiłem się o ciebie! Każdego dnia śledziłem wiadomości z Kuwejtu.

- Ja byłem w Jemenie.

- Naprawdę? Ten sam szajs, zgadza się?

- Pewnie tak. Jestem na lotnisku Kennedy'ego. Nie będę długo gadał, bo oni wciąż mogą mnie namierzać w związku ze sprawą. Gdzie jesteś?

- W biurze. Ale mogę rozmawiać.

- To dobrze. Co z moim mieszkaniem?

- Świetnie... Posprzątałbym, gdybym wiedział, że już wracasz. Ale opowiadaj, jak tam było w Jemenie.

- To pieczołowicie strzeżona tajemnica.

- Taak? A jak tam laski?

- Muszę ci to powiedzieć: ten kraj jest jak Skandynawia, tyle że z mnóstwem słońca.

- Nie chrzań! Mają plaże nudystów?

- Nawet nie pozwalają kobietom nosić kostiumów na plaży. - To akurat było prawdą.

- *Mama mia!* Może powinienem złożyć papiery do ATTF.
- Tylko się uwijaj, zanim wieści się rozniosą.
- Taak, dobra. Jaja sobie ze mnie robisz. Co u Kate?
- Wraca za kilka dni.
- Super. Zrobmy sobie wypad wieczorem.
- Spróbuję. Mam dziesięciodniowy urlop administracyjny i zamierzam go wykorzystać. Lecimy z Kate do Paryża.
- Bosko. Zasłużyliście na to. A co dzisiaj porabiasz?
- Ty mi powiedz.
- A, tak. Te nazwiska.
- Za kilka minut muszę się wyłączyć, Dom. Więc gadaj.
- Dobra. Zapomnij o Gonzalez Perez. Brock, Christopher. Dwóch facetów pasujących do parametrów, jeden w Daytona Beach i jeden w San Francisco. Chcesz usłyszeć szczegóły?
- Wal.

Dom podał mi adresy i numery telefonów, a ja zapisałem je na serwetce.

- Roxanne Scarangelo - ciągnął Dom. - Tutaj mam chyba pewne dane. Gotowy?

- Gotowy.
- Okay... gdzie ja to położyłem...?
- Wywiesiłeś na tablicy informacyjnej?
- Nie, tu jest. A więc, Scarangelo, Roxanne, wiek dwadzieścia siedem lat, na trzecim roku studiów doktoranckich Uniwersytetu Pensylwanii. To w Filadelfii. Zrobiła absolutorium i magisterium w tej samej budzie... dalej mam już tylko kit, więcej kitu i jeszcze więcej kitu.

- Rozpoczęła już naukę?
- Taak. Zapisła się na kursy. Akurat dzisiaj powinna zaczynać.
- Obecny adres?
- Dziewczyna mieszka na Chestnut Street z chłopakiem, który nazywa się Sam Carlson. Mama nie jest z tego zadowolona. - Dom podał mi adres, numer mieszkania i telefonu komórkowego. - Zajrzałem do jej danych, które ma bank kredytowy - ci dranie mają więcej

informacji niż FBI - i dowiedziałem się, że kiedyś pracowała sezonowo w hotelu Bayview w Westhampton Beach. To ta laska, zgadza się?

- Tak.
- Mam nawet zdjęcie jej roku w college'u. Ładna. Chcesz?
- Może. Coś jeszcze? Jakies akta karne? Cywilne?
- Nie, czysta karta. Ale nie widać u niej żadnych źródeł utrzymania, może z wyjątkiem chłopaka, tylko że on też studiuje, a wyciąg z jego konta jest podły. Sprawdziłem także rodziców, nie są zbyt bogaci.

- Stypendium?
- Otóż to. Jakies stypendium naukowe. A ponieważ wiem mniej więcej, co jest grane, pogrzebałem głębiej i dowiedziałem się, że stypendium jest dotowane przez państwo. Albo może to tylko przypadek.

- Może. Dobra robota.
- Bułka z masłem. Chodź ze mną na piwo. Jesteś mi winien.
- Tak, ale mam zaburzenia snu po locie.
- Takiego wała. Jedziesz do Filadelfii. Zrób sobie przerwę, John. Spotkajmy się w Judson Grill. Pełno tam lasek z Hampton, które wróciły po Święcie Pracy. Może nawet wpadniesz na jakiś trop.

Uśmiechnąłem się.

- Dom, trzymałem fiuta w spodniach przez sześć tygodni. Nie kuś mnie.

- Sześć tygodni? Skąd wiesz, że nadal jest na chodzie?
- Idź i zdezynfekuj moje mieszkanie. Wrócę dzisiaj w nocy albo jutro rano. *Ciao*.

- *Ciao*, baby. Witaj w domu. I przemyśl to, co robisz. Nie chciałbyś wylądować z powrotem w Jemenie.

- Dzięki. - Wyłączyłem komórkę, a później zapłaciłem barmanowi i dałem mu piątaka za zużycie prądu.

Wszedłem do hali terminalu; zegar wskazywał 5.01. Przetawiałem zegarek.

Naprawdę miałem zaburzenia snu i chodziłem w tym samym ubraniu od ponad doby. Cuchnąłem tak, że jemeński poganiacz wielbłądów by się porzygał.

Powinienem jechać do domu, a ja tymczasem wybierałem się do Filadelfii.

W wypożyczalni Hertza wynająłem średniej wielkości forda taurusa i po półgodzinie byłem na Shore Parkway, zmierzając w stronę mostu Verrazano. Radio grało, a komórka była podłączona do samochodowego zasilania.

Zadzwoniłem na domową sekretarkę i odsłuchałem kilkadziesiąt telefonów od osób, które wydawały się zaskoczone lub zdezorientowane, że oboje jesteśmy za granicą. Sześć wiadomości było od Doma Fanellego, wszystkie takie same: „Kate, John, wróciliście już? Pomyślałem, że na wszelki wypadek zajrzę do waszego mieszkania. Okay, dzwoniłem kontrolnie”.

I ten gość każe mi być ostrożnym. Detektyw Fanelli trafi do akt sprawy o morderstwo domowe. I to nie jako śledczy.

Wyłączyłem komórkę, nie odłączając jej od ładowarki. Mój pager nie działał w Jemenie, lecz zgodnie z rozkazem Jacka nie wyłączyłem go, więc akumulator się wyczerpał. Ale był włączony, a jakże.

Pamiętałem również, że Koenig wydał mi bezpośredni rozkaz, że bym nie mieszał się do sprawy TWA 800. Powinienem zwrócić się do niego z prośbą o dokładniejsze objaśnienie rozkazu. Nie omieszkam tego zrobić przy naszym następnym spotkaniu.

Pokonałem most Verrazano, przejechałem przez Staten Island oraz most Goethals, a potem wjechałem na trasę 1-95 w New Jersey i skierowałem się na południe do Filadelfii. Powinienem dotrzeć na miejsce za niecałe dwie godziny.

Roxanne Scarangelo. Może nic nie wie, lecz jeśli Griffith i Nash z nią rozmawiali, to i ja powinienem.

Miałem pięć lat i dwa miesiące opóźnienia i byłem za zakrętem, ale nigdy nie jest za późno na powtórne otwarcie sprawy.

Rozdział 33

Dla nowojorczyka Filadelfia, miasto leżące jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od centrum Nowego Jorku, jest jak Statua Wolności: historyczne, bliskie i całkowicie pomijalne.

Mimo to byłem parę razy w Mieście Braterskiej Miłości na konferencjach policyjnych i meczach Filadelfii z Metsami, więc wiem, jak wygląda. W sumie, parafrazując W. C. Fieldsa, wolałbym być w Jemenie. Żartowałem.

Okolo wpół do ósmej stanąłem przed pięciokondygnacyjnym apartamentowcem przy Chestnut Street 2201 nieopodal placu Ritthouse.

Znalazłem na ulicy miejsce do parkowania, wysiadłem z wynajętego auta i przeciągnąłem się. Zadzwoiłem do mieszkania Roxanne Scarangelo.

- Tak? - odpowiedział kobiecy głos.
- Chciałbym mówić z Roxanne Scarangelo.
- Słucham.
- Pani Scarangelo, jestem detektyw John Corey z FBI. Chciałbym porozmawiać z panią przez kilka minut.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- O czym?
- O katastrofie TWA osiemset.
- Pięć lat temu powiedziałam wam wszystko, co wiem. Obiecywaliście, że nie będziecie do mnie więcej dzwonić.
- Pojawiły się nowe informacje. Jestem przed pani domem. Mogę wejść?

- Nie... jestem nieubrana.
- Więc może się pani ubierze?
- Jestem spóźniona na kolację.
- Podwiozę panią.
- Mogę pójść pieszo.
- Pójdę z panią.

Usłyszałem coś w rodzaju głębokiego westchnienia.

- Dobrze, zaraz zejść.

Wyłączyłem komórkę i czekałem przed ładnym apartamentowcem. Budynek stał przy ocienionej drzewami ulicy w niewielkiej odległości od Uniwersytetu Pensylwanii, drogiej uczelni należącej do Ivy League.

Zapadał zmierzch, ale wieczór był jasny. Lekki wiatr niósł ze sobą delikatny powiew jesieni.

Nie docenia się tych rzeczy, póki są, a jeśli ma się szczęście, odbiera się je zupełnie inaczej,

Ameryka.

To było coś w rodzaju spóźnionej reakcji. Miałem ochotę ucałować ziemię i zaśpiewać „Boże, błogosław Amerykę”.

Z apartamentowca wyszła wysoka, atrakcyjna młoda kobieta z długimi ciemnymi włosami, ubrana w czarne džinsy i czarny sweter.

- Pani Scarangelo? Jestem John Corey z grupy specjalnej FBI. - Pokazałem legitymację. - Dziękuję, że zgodziła się pani poświęcić mi czas.

- Już wam powiedziałam wszystko, co wiem, czyli prawie nic - odparła.

Tak ci się tylko wydaje, Roxanne.

- Pójdę z panią.

Kobieta wruszyła ramionami. Ruszyliśmy w stronę placu Rittenhouse.

- Idę na kolację z moim chłopakiem - oznajmiła.

- Ja też jestem umówiony na kolację, więc nie będę pani długo zatrzymywał.

Zadałem jej kilka nieistotnych pytań o uczelnię, pierwszy dzień zajęć, Filadelfię i doktorat. Powiedziała, że pisze pracę z literatury angielskiej.

Ziewnąłem.

- Nudzę pana? - spytała.

- Nie, skądże. Właśnie wróciłem z Bliskiego Wschodu. Widzi pani moją opaleniznę? Pokazać bilet?

Roześmiała się.

- Nie, wierzę panu. Co pan tam robił?

- Strzegłem bezpieczeństwa i demokracji.

- Powinien pan zacząć tutaj.

Przypomniałem sobie, że rozmawiam ze studentką.

- Ma pani absolutną rację.

Zaczęła głądzić o ostatnich wyborach prezydenckich, a ja kiwałem głową i wydawałem dźwięki wyrażające pozytywne zainteresowanie.

Dotarliśmy do restauracji o nazwie Alma de Cuba niedaleko placu Rittenhouse i weszliśmy do środka. Był to elegancki, modny lokal; zacząłem się zastanawiać, jak duże jest stypendium tej dziewczyny.

Pani Scarangelo zaproponowała, żeby w trakcie czekania na jej chłopaka czegoś się napić.

W końcu sali znajdował się bar koktajlowy ozdobiony okiennicami typowymi dla budynków plantatorów i czarno-białymi zdjęciami dawnej Kuby na białych ścianach. Znaleźliśmy wolny stolik i zamówiliśmy karafkę białej sangrii dla mojej rozmówczynie, a dla mnie, żeby trzymać się stylu, cuba libre.

- Pozwoli pani, że przejdę od razu do sedna - zagailem. - To pani weszła do pokoju dwieście trzy w hotelu Bayview w Westhampton około południa osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, dzień po katastrofie TWA osiemset. Zgadza się?

- Tak.

- Żadna inna sprzątaczką ani nikt z personelu nie był tam przed panią? Czy tak?

- Z tego, co wiem, nie. Goście się nie wymeldowali, nie odbierali telefonu ani nie reagowali na pukanie do drzwi. Poza tym na drzwiach wisiała kartka „Nie przeszkadzać”.

Pierwszy raz o tym usłyszałem. Ale miało to sens, jeśli donżuan i jego towarzyszką chcieli zyskać na czasie.

- Otworzyła pani drzwi kluczem?

- Taka procedura obowiązywała po jedenastej rano, czyli po zakończeniu doby hotelowej.

Podano nasze drinki. Nalałem sangrii Roxanne, stuknęliśmy się kieliszkami.

- Pamięta pani nazwiska agentów FBI, którzy pierwsi z panią rozmawiali? - zapytałem.

- Nie, w końcu minęło pięć lat. Posługiwali się tylko imionami.

- Proszę się zastanowić.

- Wydaje mi się, że jeden z nich nosił irlandzkie imię.

- Sean? Seamus? Giuseppe?

Roxanne się roześmiała.

- To nie jest irlandzkie imię.

Uśmiechnąłem się.

- Może Liam.

- O właśnie. A ten drugi... nie pamiętam. Może pan wie?

- Taak. Pewnie Ted.

- Chyba tak. Przystojny facet. I palant.

- Wciąż szukacie tych dwojga? - spytała Roxanne. - O to chodzi?

- Tak, proszę pani.

- Czemu oni są tacy ważni?

- Dowiemy się tego, kiedy ich znajdziemy.

- Prawdopodobnie nie byli małżeństwem - poinformowała mnie Roxanne. - Nie chcę, żeby ich znalezione.

- Ale przydałaby im się wizyta w poradni małżeńskiej.

Roxanne się uśmiechnęła.

- Słusznie.

- Czy agenci FBI pokazali pani portret pamięciowy tego mężczyzny?

- Tak. Ale ja go nie rozpoznałam.

- A portret kobiety, która z nim była?

- Nie. Jej portretu nigdy nie widziałam.

- Dobrze. Więc weszła pani do tego pokoju i co dalej?

- Odezwałam się, na wypadek gdyby byli w środku, na przykład w łazience. Ale widziałam, że ich nie ma. Było pusto. Wtoczyłam więc wózek i zaczęłam od ściągnięcia wszystkiego z łóżka.

- Czy ktoś spał w łóżku?

- Hm, raczej nie. Przykrycie leżało w nogach, a koca nie było...

Goście prawdopodobnie leżeli na prześcieradle, może drzemali albo oglądali telewizję... albo coś w tym rodzaju. Ale w łóżku chyba nikt nocy nie spędził. - Roxanne się roześmiała. - Byłam ekspertem w niuansach korzystania z hotelowych pokoi.

- Angielski nie był moim głównym przedmiotem. Co to jest niuans?

Roxanne znów parsknęła śmiechem.

- Zabawny pan jest. - Zaskoczyła mnie, zapalając papierosa. - Palę tylko wtedy, gdy piję. Chce pan?

- Pewnie. - Podała mi papierosa i ogień. Kiedyś paliłem, toteż nie zakrztusiłem się dymem.

- Więc na łóżku nie było koca?

- Tak. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby powiedzieć o tym szefowej pokojówek.

- Pani Morales.

- Tak. Ciekawe, co się z nią stało.

- Wciąż tam pracuje.

- Świetna kobieta.

- Tak - potwierdziłem. - Znała pani Lucitę? Tę sprzątaczkę?

- Nie.

- A Christophera Brocka, recepcjonistę?

- Znałam go, ale niezbyt dobrze.

- Rozmawiała pani z nim po tym, jak przesłuchało panią FBI?

- Nie, zapowiedziano nam, że mamy z nikim nie rozmawiać. Absolutnie z nikim.

- A rozmawiała pani z menedżerem, panem Rosentalem?

- On chciał o tym ze mną pomówić, ale odparłam, że nie mogę.

- W porządku. Wkrótce potem odeszła pani z hotelu, tak?

Roxanne milczała przez dłuższą chwilę.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wie pan?

- Nie.

- Hm, ci faceci z FBI wytłumaczyli mi, że najlepiej będzie, jeśli zrezygnuję z tej pracy, bo mogą mnie nękać dziennikarze i rozpętają

burzę w związku z katastrofą i tak dalej. Że będą próbować mnie kusić. Odparłam, że nie stać mnie na porzucenie pracy, ale oni wyjaśnili, że zrekompensują mi pensję, jeśli zgodzę się odejść... i będę milczeć.

- Całkiem niezły układ.
- Rzeczywiście. Dla rządu federalnego to pestka. Płaci się farmerom, żeby nie uprawiali zbóż, prawda?
- Prawda. Mnie płacą nawet za to, żebym nie podlewał kwiatów w pracy.

Roxanne się uśmiechnęła.

- FBI chciało, żeby pani o czymś nie mówiła. Co to było?
- To właściwie wszystko. Niczego nie wiedziałam. Ale w związku z tą parą z pokoju dwieście trzy wynikła jakaś afera. Ponoć byli na plaży i widzieli katastrofę samolotu. Wydawało się, że to nic wielkiego, ale oni zrobili z tego wielki raban, a dziennikarze zwęszyli, że coś jest na rzeczy. I następnego dnia odeszłam z hotelu.

Skinąłem głową. Fedzie zrobili nalot jak na kryjówkę gangsterów, wywołali burzę, a później uprzątnęli bajzel za pomocą forsy.

- Pomogli pani w uzyskaniu stypendium? - zapytałem.
- Coś w tym rodzaju. Chyba tak. Pan o tym nie wie?

Zadzwoił telefon pani Scarangelo; odebrała go. Widać było, że rozmawia z chłopakiem.

- Tak, jestem tutaj - powiedziała. - Ale nie spiesz się. Siedzę w barze, spotkałam jednego z moich profesorów. Wszystko w porządku. Na razie. - Rozłączyła się. - To był Sam, mój chłopak. Jest teraz w mieszkaniu. - Po krótkiej pauzie zapytała: - Nawet nie powinnam wspominać o TWA osiemset, prawda?

- Tak.
- Dobrze się spisałam?
- Doskonale. Czy ja wyglądam na profesora?

Roxanne się roześmiała.

- Nie, ale będzie pan nim, kiedy Sam tu przyjdzie.
- Druga karafka sangrii i druga porcja cuba libre.
- Proszę opowiedzieć mi o wszystkim, co pani robiła i widziała w tamtym pokoju, co pani wyczuła, czego dotknęła, o tym, co wydało się pani nietypowe, a nawet całkiem normalne.

- O rany... minęło pięć lat.
- Wiem. Ale kiedy zacznie pani mówić, wspomnienia same wrócą.
- Wątpię. Ale dobrze... weszłam do łazienki, bo to najmniej przyjemna część tej pracy i chciałam mieć ją z głowy. Zaczęłam od prysznic...

- Korzystano z niego?
- Tak, ale nie rano. Widziałam, że był używany, może wieczorem poprzedniego dnia. Mydło i ścianki były suche, podobnie jak ręczniki. Pamiętam, że powiedziałam jednemu z agentów FBI, że prawie nie używano łazienki. Ktoś wziął tylko szybki prysznic i wyszedł.

- Widziała pani piasek na podłodze? W łóżku?
- Leżało go trochę w łazience. Powiedziałam o tym temu facetowi z FBI.

- Dobrze, więc weszła pani do łazienki.
- Opróżniłam kosze, a potem popielniczki...
- Ci goście palili?
- Nie, raczej nie. Ale zwykle tak robię.
- Proszę spróbować oddzielić ten pokój, sprzątany tego dnia, od setek innych, którymi się pani zajmowała.

Roxanne znów się roześmiała.

- Oczywiście. W ciągu trzech lat było ich pewnie ze trzy tysiące.
- Wiem, ale o ten pokój długo panią wypytywano, więc pamięta pani, co powiedziała agentom FBI, prawda?

- Właściwie nie przesłuchiowano mnie długo - sprostowała Roxanne. - Zapytali mnie tylko, co robiłam i widziałam w pokoju, a potem podziękowali.

Skinąłem głową. Ani Liam Griffith, który pracował w wydziale wewnętrznym, ani Ted Nash z CIA nie mieli pojęcia, jak wycisnąć informacje ze świadka. Nie byli detektywami. Ja nim jestem.

- Czy tych dwoje zostawiło napiwek? - drążyłem.

- Nie.

- Widzi pani? Jednak pani pamięta.

Uśmiechnęła się.

- Skąpi dranie.

- Dzisiaj ja stawiam.

- Fajnie.
 - Okay, więc co było w tych koszach na śmieci?
 - Naprawdę nie pamiętam. Normalne rzeczy. Chusteczki. Coś tam jeszcze.
 - A pudełko od kasy wideo?
 - Nie... myśli pan, że oni filmowali się... robiąc to?
 - Nie wiem. Może celofan, papierki od gumy, paragony, metki?
 - Hm, nie... ale w popielniczkę był opatrunek. - Roxanne wzruszyła ramionami.
 - Były na nim ślady krwi?
 - Nie.
 - Proszę mi opowiedzieć, jak sprzątała pani pokój. Dowolny pokój.
 - Czasem zmieniałam kolejność dla urozmaicenia, ale miałam ustalony porządek czynności. - Udzieliła mi lekcji sprzątania pokoi, która przyda mi się w razie śmierci mojej sprzątaczkii.
 - Na kieliszku do wina na pewno była szminka? - zapytałem.
 - Tak. To chyba była pierwsza rzecz, która uświadomiła mi, że w pokoju mieszkała kobieta.
 - A dostrzegła pani jakieś inne ślady kobiety? Puder? Makijaż? Długie włosy?
 - Nie. Ale widziałam, że mieszkały tam dwie osoby. Obie poduszki były przygniecione. Używano wielu ręczników. - Roxanne się uśmiechnęła. - Faceci używają jednego, a kobiety wszystkich i domagają się więcej.
 - Zignoruję tę seksistowską uwagę.
- Roxanne znów się uśmiechnęła i wymierzyła sobie lekki policzek. Albo była bardzo ładna, albo ja za długo objąłem się po pustyni.
- Mówiła dalej, a wypite wino i wypalone papierosy poprawiały jej pamięć.
- Mniej więcej to samo powiedziała pani agentom FBI? - zapytałem, kiedy skończyła.
 - Raczej mniej. Dlaczego to ważne?
 - Nigdy nie wiemy, dopóki nie zapytamy.
- Zapaliła kolejnego papierosa i poczęstowała mnie. Nie przyjąłem.

Uświadomiłem sobie, że mój czas z Roxanne mijał. Od jej mieszkania szło się do restauracji kwadrans, a ja, gdybym był jej chłopakiem, pokonałbym tę odległość w dziesięć minut.

Wyczuła, że zamierzam się zbierać.

- Niech pan zostanie i pozna Sama.

- Dlaczego?

- Polubi go pan.

- A czy on polubi mnie?

- Nie. I o to właśnie chodzi.

- Niech pani nie będzie suką.

Roxanne parsknęła śmiechem.

- Naprawdę proszę nie odchodzić.

- Hm, powinienem napić się kawy, zanim pojedę do Nowego Jorku.

- Mieszka pan w Nowym Jorku?

- Tak. Na Manhattanie.

- Tam właśnie chciałabym mieszkać po skończeniu studiów.

- Słusznie. - Zawołałem kelnerkę i zamówiłem kawę.

Gawędziliśmy niezobowiązująco z Roxanne. Mogę to robić, kiedy mój mózg przebywa gdzie indziej. Nie przybyłem z Jemenu do Filadelfii po to, by flirtować ze studentką. Tylko czy aby na pewno?

Rozdział 34

Chłopak się spóźniał, Roxanne była coraz bardziej wstawiona. Połowa mojego mózgu wciąż bujała na wysokości kilometra, a druga połowa rozpuszczała się w rumie.

Chciałem już wyjść, ale coś mnie tam trzymało. Prawdopodobnie przemęczenie, może Roxanne, a może przecucie, że jeśli posiedzę dostatecznie długo albo zadam właściwe pytanie, albo wsłucham się wystarczająco dobrze w jej słowa, coś mnie olśni.

Kelnerka przyniosła kawę w dużej filiżance. Wychyliłem ją na raz i poprosiłem o następną. Rozmawiałem z Roxanne, myśląc, czy czegoś nie przeoczyłem.

- Czy telewizor był włączony, kiedy weszła pani do pokoju? - zapytałem. - Czasem ludzie nie wyłączają telewizora, kiedy chcą sprawić wrażenie, że są w pokoju.

Roxanne zgasiła papierosa.

- Znów jesteśmy w tym pokoju?

- Tylko na minutę.

- Nie był włączony. - Po chwili Roxanne dodała: - Ja go włączyłam.

- Dlaczego?

- Nie pozwalano nam oglądać telewizji w czasie pracy, ale chciałam obejrzeć wiadomości z powodu katastrofy.

- Nikomu nie powiem. Co było w wiadomościach?

- Nie pamiętam dokładnie. - Roxanne pokręciła głową. - Ale były naprawdę okropne.

- Rzeczywiście - przytaknąłem. - Może dowiem się od pani czegoś ważnego. Ta para wprowadziła się około wpół do piątej, tak?

Mężczyzna poszedł do recepcji sam. Następnie widziano ich około siódmej po południu. Pokojówka Lucita zobaczyła ich idących z koczem do samochodu. Nikt nie widział ich w ciągu dwóch i pół godziny między szesnastą trzydzieści a dziewiętnastą. Zastanawiam się, co przez ten czas robili. No bo czym właściwie ludzie się zajmują późnym popołudniem?

- Mnie pan pyta? Nie wiem. Pewnie poszli na zakupy, czegoś się napili. Gdzieś pojechali. - Po krótkim namyśle dodała: - Może zostali w pokoju i dlatego nikt ich nie widział.

- Taak... Ale czy siedzieliby tak długo w pokoju w taki ładny dzień?

Roxanne się uśmiechnęła.

- Może wpadli w romantyczny nastrój. Właśnie po to tam przyjechali. Kochali się, później spali, oglądali telewizję albo włączyli romantyczną kasetę.

- Słusznie. - Sęk w tym, że chciałem, by poszli w tym czasie do hotelowego baru i zapłacili za drinki kartą kredytową albo zostawili w koszu paragon z miejscowego sklepiku. Ale oni tego nie zrobili.

Wyprostowałem się i ziewnąłem. Miałem wrażenie, że brnę w ślepa uliczkę, jeśli chodzi o te brakujące dwie i pół godziny, ale może nie było to aż takie ważne. Drzemka, telewizja albo seks tłumaczyłyby lukę czasową, a po żadnej z tych czynności nie zostają ślady na papierze.

- Powiedziała pani „włączyli kasetę”. Co miała pani na myśli?

- Kasetę wideo.

- W pokoju nie zauważyłem odtwarzacza.

- Kiedyś stał.

Skinąłem głową. Kiedyś odtwarzacze znajdowały się na wyposażeniu wielu hotelowych pokoi, lecz dzisiaj, w dobie telewizji satelitarnej i kablowej, pornografii na zamówienie i tym podobnych rzeczy, wiele hoteli się ich pozbyło. W pokoju dwieście trzy na przykład już go nie było, ale najwyraźniej kiedyś tam stał.

- Pamięta pani, czy był włączony?

- Chyba tak. Tak... ja go wyłączyłam.

- Sprawdziła pani, czy w odtwarzaczu jest kasetka? - zapytałem.

- Tak. Nacisnęłam „eject”, ale nic się nie wysunęło. To rutynowe postępowanie. Kasety, które goście przywieźli ze sobą i zapomnieli wziąć, musiały być przekazane do recepcji, w razie gdyby właściciele się o nie dowiadywali. Kasety z biblioteki były zwracane prosto do biblioteki albo do recepcji.

- Do jakiej biblioteki?

- Hotelowej. Jest tam biblioteka filmów wideo.

- Gdzie?

- W hotelu Bayview. Proszę mnie słuchać.

Wyprostowałam się.

- Proszę mi o niej opowiedzieć.

- Był pan w hotelu?

- Tak.

- Kiedy się wchodzi, jest coś w rodzaju czytelní. Sprzedają tam gazety i czasopisma, wypożyczają książki i kasety wideo.

- Więc można wypożyczyć kasetę?

- Właśnie to panu mówię.

- Czy ten wątek pojawił się, kiedy rozmawiała pani z FBI?

- Nie.

Patrzyłem w przestrzeń. To wykluczone, żeby Liam Griffith i Ted Nash przeoczyli coś takiego. A może? Nawet ja, John Corey, nie doceniłem znaczenia biblioteki, mimo że ją widziałem, a jestem detektywem.

Ale może za bardzo się tym ekscytuję.

- Czy za kasety się płaciło? - dociekałem. - Albo dawało zastaw?

- Nie. Wystarczyło podpisać. Z książkami było tak samo. - Roxanne pomyślała przez chwilę, a potem zapytała: - Myśli pan, że ten facet podpisał kwit przy wypożyczeniu kasety... i zostawił swoje nazwisko?

- Powinna pani zostać detektywem.

Roxanne się rozochociła.

- A więc tym zajmowali się tego popołudnia w pokoju. Oglądali film. Dlatego odtwarzacz był włączony. - Po chwili zastanowienia dodała: - Obie poduszki leżały ustawione na sztorc, jakby ci dwoje oglądali telewizję.

Skinąłem głową. Właściwie było trochę inaczej: jeśli donżuan wypożyczył kasetę, to nie zostawił nazwiska. Ale jeśli po kasetę poszła jego pani, to może...

- Czy do wypożyczenia książki lub kasety potrzebny był jakiś dowód tożsamości?

- Nie sądzę. Myślę, że wystarczyło nazwisko i numer pokoju. - Po chwili Roxanne dodała: - Powinien pan sprawdzić w hotelu.

Skinąłem głową.

- Co taki gość wypożyczający książkę lub kasety podpisywał? Wpisywał się do książki? Podpisywał na karcie?

Roxanne zapaliła kolejnego papierosa.

- To był taki bloczek z różową kalką. Gość wpisywał tytuł książki lub filmu, podpisywał się i zapisywał numer pokoju. Później, kiedy gość - lub pokojówka - przynosił książkę lub kasety do zwrotu, dostawał jako pokwitowanie odbitkę z dopiskiem „Zwrócono”. Proste.

Przypomniałem sobie pana Lesliego Rosenthala i jego archiwum, które mogłoby zawstydić Bibliotekę Kongresu. Facet chomikował wszystko i pewnie nie wyrzucał nawet papierków od gumy do żucia.

- Odniosłem wrażenie, że pan Rosenthal, którego miałem przyjemność poznać, lubi kolekcjonować różne rzeczy.

Roxanne uśmiechnęła się.

- On był trochę upierdliwy.

- Znała go pani?

- Lubił mnie.

- Zabrał panią kiedyś do piwnicy, żeby pokazać pani archiwa?

Roxanne parsknęła śmiechem.

- Te kwity z biblioteki mogą tam być.

- Proszę zachować to wszystko dla siebie - przypomniałem jej.

- Przez pięć lat nie puściłam pary z ust.

- Bardzo dobrze.

Pomyślałem przez chwilę. Jakie były szanse, że donżuan albo dama jego serca wypożyczyli kasety? Odtwarzacz w pokoju dwieście trzy był włączony, lecz prawdopodobnie podłączyli do urządzenia kamerę z mini taśmą, by obejrzeć na ekranie telewizora to, co zobaczyli wcześniej na wieczornym niebie.

Ale z drugiej strony po południu spędzili w pokoju dwie i pół godziny, więc może któreś z nich poszło do biblioteki i wypożyczyło

film. Lecz czy zostawiliby prawdziwe nazwisko?

Nagle doznałem nieprzyjemnego poczucia, że chwytam gorączkowo garść trawy. Ale jeśli nie masz niczego innego, łap trawę.

Nadszedł chłopak Roxanne, nieco zdyszany, jak mi się zdawało. Cmoknął ją w policzek.

- Sam, to jest profesor Corey - przedstawiła mnie Roxanne. - Chodziłam na jego wykłady z filozofii.

Wstałem i podałem mu rękę. Miał słaby uścisk i wyglądał na chudeusza, ale był całkiem przystojny.

- Uczy pan filozofii? - zapytał.

- Tak. *Cogito ergo sum*.

Chłopak uśmiechnął się i odparł:

- Studiuję fizykę. Filozofii nie łąpię.

- Ja też nie. - Powinienem się zbierać, ale jeszcze nie skończyłem z Roxanne, więc siedziałem dalej.

Sam też usiadł i nastąpiła chwila ciszy.

- W jakich godzinach działała biblioteka? - zapytałem.

Roxanne zerknęła na Sama, a potem na mnie.

- Wydaje mi się, że od ósmej do ósmej.

- A jeśli gość opuszczał pokój przed ósmą lub po i chciał oddać książkę lub kasetę?

Widać było, że Roxanne czuje się trochę nieswojo. Uśmiechnęła się przelotnie do Sama.

- Oddawał ją recepcjoniście, który trzymał bloczek z kwitami, kiedy biblioteka była zamknięta.

Skinąłem głową.

- Tak, to ma sens. - Spojrzałem na Sama. - Chce się pan czegoś napić?

- Hm... Może powinniśmy pójść do stolika. Trzymają go dla nas. Zostanie pan?

- Nie, dzięki. - Odwróciłem się do Roxanne. - Pamięta pani, na jaki tryb był włączony odtwarzacz? Odtwarzanie, nagrywanie, przewijanie?

- Mm... nie. Nie pamiętam.

- Nic z tego nie kapuję - oznajmił Sam. Spojrzałem na niego.

- Czy świat fizyczny istnieje poza naszymi umysłami?

- Oczywiście. Istnieją tysiące przyrządów, które mogą rejestrować i weryfikować parametry świata fizycznego lepiej niż ludzki umysł.

- Na przykład kamera.

- Właśnie.

Wstałem.

- Dzięki za towarzystwo. Roxanne wstała i podała mi rękę.

- Dziękuję za drinki, profesorze.

Poklepałem Sama po plecach.

- Szczęściarz z pana. - Uchwyciłem spojrzenie Roxanne, wskazałem głową bar i poszedłem zapłacić za drinki.

Podeszła do mnie, kiedy płaciłem rachunek.

- Dziękuję za pomoc - powiedziałem, dając jej wizytówkę. - Proszę zadzwonić, gdyby coś się pani przypomniało, cokolwiek.

- Zadzwonię. Pan też może do mnie zadzwonić, gdyby pan cokolwiek potrzebował. Chce pan numer mojej komórki?

- Pewnie. - Zapisałem numer. - Dzięki. Sam to miły chłopak.

Wyszedłem z Alma de Cuba i ruszyłem w stronę samochodu stojącego przy Chestnut Street.

Tyłek ciągnął mnie do ziemi, lecz myślami byłem już w Bayview.

Rozdział 35

Wjechałem na New Jersey Turnpike, autostradę do Nowego Jorku, bardzo malowniczą, jeśli człowiek zamknie oczy i wyobrazi sobie, że jest gdzie indziej.

Dociskałem trochę pedał gazu, choć zbadanie śladu sprzed pięciu lat w zamkniętej sprawie nie było szczególnie pilnym zadaniem. Mój pośpiech miał związek z wydziałem odpowiedzialności zawodowej FBI, który, jak zakładałem, nie zapomniał o mnie pod moją nieobecność i bez wątpienia wiedział dokładnie, kiedy wróciłem z za wielkiej wody. Jeśli ciekawi ich, gdzie dzisiaj jestem, będą musieli zapytać mnie jutro.

Włączyłem radio na kanał informacyjny i wysłuchałem wiadomości. To nie był dzień obfitujący w wydarzenia. W gruncie rzeczy na froncie walki z terroryzmem było to bardzo spokojne lato.

Jednocześnie Agencja Bezpieczeństwa Narodowego rozesłała tajny okólnik z informacją, że ruch w eterze wśród naszych muzułmańskich przyjaciół był tego lata bardzo gęsty, co nie wróżyło dobrze.

Skierowałem myśli na to, co mnie akurat zaprzętało, czyli na rozmowę z Roxanne Scarangelo. Uświadomiłem sobie, że mogła przebiec różnie, tak jak większość przesłuchań świadków: tu słówko, tam przypadkowa uwaga, właściwe pytanie, niewłaściwa odpowiedź i tak dalej.

Po dwudziestu latach w tym fachu człowiek wyrabia sobie szósty zmysł. Dlatego sprawa z biblioteką nie wynikła przez głupi przypadek: to był owoc wytrwałości Johna Coreya, jego błyskotliwości,

sposobrzegawczości, sprytu, czaru i motywacji. Przede wszystkim motywacji.

Nie placono mi za to, więc potrzebowałem nagrody, która nie wyraża się w pieniądzu. W zasadzie chodziło mi o to, żeby wetknąć tę sprawę Keonigowi do gardła tak głęboko, aż wyjdzie mu pod kością ogonową. Podobnie chciałem potraktować Liama Griffitha. Przez chwilę pożałowałem, że Teda Nasha nie ma już wśród żywych, bo jemu z radością zrobiłbym to samo.

Zegar na tablicy wskazywał dziewiątą dziesięć. Ciekawe, która godzina jest w Dar es-Salaam. Ta sama co w Jemenie, czyli błąd świt. Wyobraziłem sobie mojego aniołka śpiącego w trzygwiazdkowym hotelu nad Oceanem Indyjskim. Przysłała mi kiedyś e-mail, w którym napisała: „John, tu jest tak pięknie. Szkoda, że cię ze mną nie ma”. Jak gdyby to był mój pomysł, żeby wybrać się do Jemenu.

Okazało się, że tęsknię za nią bardziej, niż przypuszczałem. Byłem naprawdę szczęśliwy, że wysłano ją w porządne miejsce, a nie do Jemenu, który był parszywą dziurą, jeśli jeszcze o tym nie wspominałem.

Tak, zdarzały się niegodne chwile, kiedy chciałem, żeby ona była w Jemenie, a ja na Bahamach, ale one szybko przemijały, a po nich następowały czule myśli o spotkaniu po rozłącze.

Posuwałem się na północ, wskazówka prędkościomierza kołysała się wokół stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Byłem zmęczony, ale czujny.

Miałem świadomość, że być może w archiwum hotelu Bayview znajdę tylko pana Rosenthala, który podrapie się po głowie i zapyta: „Co się stało z tymi kwitami z biblioteki?”.

Jechałem Montauk Highway na Long Island i zbliżałem się do Westhampton Beach. Pół godziny wcześniej minęła północ, znalazłem ocean i zatok nadchodziła lekka mgła.

Moje radio odbierało sygnał z Connecticut; jakaś publiczna stacja radiowa puszczała *Traviatę*. Nie rozpowiadam tego, ale w czasie dubeltowych randek z Domem Fanellim chodziliśmy do opery, bo on dostaje darmowe bilety. Powinienem dotrzeć do Bayview, zanim ta gruba dama skończy swoją arię.

Gruba dama śpiewała *Parigi, o cara*, gdy zatrzymałem się na parkingu dla gości hotelowych. Poczekalem, aż pani dośpiewa arię do końca i padnie martwa, co też uczyniła, a potem zgasilem silnik i wszedłem do hotelu.

Było już po Świącie Pracy i o tej godzinie w holu panowała cisza. Drzwi baru były zamknięte, co mnie trochę rozczarowało.

W recepcji dyżurował mój ulubieniec Peter, toteż nie bawiąc się w czcze formalności, oznajmiłem:

- Muszę pomówić z panem Rosenthalem.

Peter spojrzal na zegarek. Ludzie zawsze tak robią, gdy chcą powiedzieć coś głupiego na temat czasu.

- Proszę pana, dochodzi pierwsza w nocy.

- A wie pan, która godzina jest w Jemenie? Powiem panu. Ósma rano. Czas do pracy. Dzwoni pan do niego.

- Czy to... pilne?

- A dlaczego tu jestem? Niech pan dzwoni.

- Tak, proszę pana. - Peter podniósł słuchawkę i zadzwonił do Rosenthala.

- Ma pan klucz do piwnicy? - spytałem.

- Nie, proszę pana. Trzyma go pan Rosenthal. - Ktoś po drugiej stronie odebrał telefon. - Panie Rosenthal, bardzo mi przykro, że niepokoję pana o tej porze... Nie, nic złego się nie stało, ale pan...

- Corey.

- Pan Corey z FBI przyjechał ponownie i chce z panem mówić... Tak, proszę pana. Myślę, że on wie, która jest godzina.

- Pięć po pierwszej - wtrąciłem usłużnie. - Proszę mi dać słuchawkę.

- Naprawdę przepraszam, że dzwonię do pana o tej porze, ale wynikło coś pilnego - zagailem.

Reakcja Rosenthala zdradzała rozespanie i kontrolowaną irytację.

- Co takiego wynikło?

- Muszę zajrzeć do archiwum. Proszę przynieść klucze.

- Czy to nie może poczekać do jutra? - spytał po chwili milczenia Rosenthal.

- Obawiam się, że nie. - Żeby go uspokoić, dodałem: - To nie ma nic wspólnego z nielegalnymi imigrantami.

Nastąpiła druga chwila ciszy.

- Dobrze... jestem jakieś dwadzieścia minut od hotelu... Muszę się ubrać.

- Będę wdzięczny za współpracę. - Odłożyłem słuchawkę. - Chętnie napiłbym się coli.

- Mogę panu przynieść z baru - zaoferował Peter.

- Dziękuję. Niech pan wleje do szklanki trochę szkockiej, a colę weźmie dla siebie.

- Słucham?

- Dewara bez dodatków.

- Tak, proszę pana.

Peter otworzył drzwi baru i zniknął w środku. Podszedłem do drzwi biblioteki i zajrzałem przez szybę. Było ciemno, więc niewiele zobaczyłem. Peter wrócił ze szkocką w niskiej szklance na tacy.

- Proszę to dopisać do mojego rachunku - poleciłem.

- Zostaje pan dzisiaj z nami? - zaciekał się recepcjonista.

- Taki jest mój plan. W pokoju dwieście trzy.

Peter podszedł do biurka, pobawił się chwilę z komputerem i oznajmił:

- Ma pan szczęście. Pokój jest wolny.

On chyba czegoś nie rozumiał.

- To pan ma szczęście, że nie musi pan nikogo wywalać z tego pokoju - sprostowałem.

- Tak, proszę pana.

Zakręciłem płynem w szklance i wypilem łyk. Po miesiącu prawie całkowitej abstynencji szkocka smakowała jak jodyna. Czy to jest prawdziwy smak whisky? Postawiłem szklankę na stoliku obok fotela.

- Od jak dawna pan tu pracuje? - zapytałem.

- To mój drugi rok.

- Wypożycza pan kasety z biblioteki?

- Nie, proszę pana. W pokojach nie ma odtwarzaczy.

- Pracował pan tutaj, kiedy w bibliotece były kasety?

- Nie, proszę pana.

- Okay. Jak wypożycza pan książki gościom?

- Gość wybiera sobie książkę i kwituje jej wypożyczenie.

- Zajrzyjmy tam. - Wskazałem bibliotekę. Peter wziął klucz, otworzył podwójne drzwi i zapalił światła.

Było to duże pomieszczenie ze ścianami wykładanymi mahoniem i regałami na książki, urządzone jak salonik.

W lewym rogu na końcu stało długie biurko z telefonem, kasą i komputerem, a za biurkiem znajdowała się szklana szafka pełna rozmaitych drobiazgów. Z prawej strony biurka stał niewielki regał z gazetami i magazynami. Pomieszczenie typowe dla małych hoteli z niewielką ilością przestrzeni.

Dostać się można było tylko przez drzwi. Chyba że ktoś koniecznie chciałby wyjść przez okno.

Jeśli dobrze zrozumiałem Marie Gubitosi, recepcjonista Christopher Brock widział donżuana tylko raz, kiedy ten się meldował. Ale może jego towarzyszka wpadła tu po gazetę lub jakiś drobiazg, lub żeby wypożyczyć książkę bądź kasetę wideo przed romantycznym wypadem na plażę pod rozgwieżdżonym niebem.

Powinienem zwrócić większą uwagę na to pomieszczenie, kiedy tu byłem poprzednio. Ale nawet wielcy detektywi nie pamiętają o wszystkim za pierwszym podejściem.

- W jaki sposób goście kwitują odbiór książki? - dociekałem.
- Na bloczku z pokwitowaniami.
- Który trzyma pan w swoim biurku.
- Tak. Wtedy goście mogą zwracać książki o dowolnej godzinie.
- Zajrzyjmy do tych pokwitowań.

Wróciliśmy do recepcji. Peter wyjął bloczek z biurka, a ja wziąłem swoją szklaneczkę ze szkocką.

- Przechowujecie te bloczki po ich zapełnieniu? - spytałem.
- Myślę, że tak - odparł Peter. - Pan Rosenthal trzyma wszystkie archiwa przez siedem lat. A czasem dłużej.
- Słuszna polityka. - Otworzyłem bloczek, który wyglądał tak, jak opisała Roxanne. Zwykły papierowy bloczek z trzema kwitami na stronicy i różową kalką. Było tam miejsce na datę, wiersz z napisem „Odebrano”, kilka pustych linijek i miejsce na podpis. Każde pokwitowanie miało wydrukowany wcześniej czerwony numer porządkowy.

Spojrzałem na przypadkowy wpis: „22 sierpnia, Odebrano, *Złote wybrzeże*”. Dalej następował ledwie czytelny podpis i numer pokoju,

w tym wypadku sto pięć. Na końcu znajdował się ręczny dopisek „Zwrócono”.

- Czy gość musi okazać dowód tożsamości? - spytałem.

- Raczej nie. Przy rachunkach za obsługę w pokoju, barze, restauracji i tym podobnych wystarczy, że numer pokoju zgadza się z zapisem w komputerze. To standardowa praktyka w dobrych hotelach - wyjaśnił Peter.

- Okay... - Ostatnich sześć tygodni spędziłem w podłym hotelu, więc mogłem tego nie wiedzieć. Pomyślałem o wybrance donżuana, która być może nie wiedziała nawet, pod jakim nazwiskiem się zameldował. - Załóżmy, że numer się nie zgadza.

- Czasami rzeczywiście się nie zgadza, bo druga osoba w pokoju może nosić inne nazwisko niż gość, który wynajął pokój. Wtedy zwykle wystarczy pokazanie klucza albo nazwisko tego gościa, na którego zapisany jest pokój.

- Dobrze, a gdybym zapomniał klucza i nie pamiętał nazwiska osoby, z którą śpię, pozwoliliby mi pan wypożyczyć książkę?

Peter miał teraz okazję do zemsty. Popatrzył na mnie uważnie i odparł:

- Nie.

Przerzuciłem kartki w bloczku, ale nie znalazłem żadnych informacji o gościach poza podpisem i numerem pokoju. Sporadycznie na kwitach pojawiało się drugie nazwisko, które, jeśli wierzyć Peterowi, było nazwiskiem gościa wynajmującego pokój, różnym od nazwiska osoby wypożyczającej książkę.

- Czy po mojej poprzedniej wizycie był tu ktoś z FBI? - zapytałem.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Dobrze, proszę mnie zameldować do pokoju dwieście trzy.

Peter zajął się tym, co wychodzi mu najlepiej, i w ciągu pięciu minut zostałem zameldowany w pokoju dwieście trzy; skorzystałem z karty American Express, której za często nie używałem w Jemenie. Cena po sezonie spadła do stu pięćdziesięciu dolarów. Nie było to wiele, jeśli trafię w hotelu na żyłę złota. A jeśli nie trafię, to wydział wewnętrzny będzie miał ślad na papierze.

Rosenthal wykorzystywał do granic czas swojego słodkiego wypoczynku, a ja człowiek czynu i do tego niecierpliwy, zastanawiałem się, czy nie rozwalić kopniakami paru drzwi, tak jak na filmach. Ale to mogłoby zdenerwować Petera.

Usiadłem na fotelu i czekałem na Rosenthala, który miał klucz do archiwum, a być może i złoty kluczyk otwierający drogę na skrót przez cały ten bajzel.

Rozdział 36

Pan Leslie Rosenthal wkroczył do holu ubrany w luźne spodnie, sportową koszulę oraz krawat w małe wieloryby.

- Dobry wieczór - powiedziałem, wstając.
- Raczej dzień dobry - odparł. - Czy wciąż chodzi panu o konsolidację akt?

- Oczywiście.

- O wpół do drugiej w nocy?

- FBI nigdy nie śpi, proszę pana.

- Ale ja, owszem - zauważył. - Coś mi mówi, że nie wykonuje pan tu rutynowego zadania.

- Po czym pan poznał?

- Choćby po porze. Co jest grane?

- Nie wolno mi tego powiedzieć. Przywiózł pan klucze?

- Tak. A czy pan przywiózł mi brakujące akta?

- Po naszym ostatnim spotkaniu byłem na Bliskim Wschodzie. Widzi pan moją opaleniznę? Mogę pokazać bilet lotniczy.

Rosenthal nie zareagował na to, tylko zapytał:

- Co chce pan zobaczyć?

- Pokwitowania z wypożyczalni kaset wideo.

Widziałem, że go to zastanowiło.

- Pozbyliśmy się wypożyczalni wideo jakieś trzy lata temu i przekazaliśmy wszystkie kasety szpitalowi.

- To bardzo chwalebne. Ale zapewne zatrzymał pan pokwitowania.

- Tak myślę. Chyba że jakiś idiota je wyrzucił.

- Czy poza panem ktoś ma klucze do archiwum?

- Nikt.
- Świetnie. To zjrzyjmy tam.

Rosenthal otworzył drzwi piwnicy i zapalił światło. Zeszliśmy na dół.

Otworzył drzwi archiwum i od razu skierował się do samego końca pomieszczenia, gdzie na metalowych regałach stały kartonowe pudła. Każde było oznaczone opisem i datą. Po chwili znaleźliśmy pudło z napisem: „Pokwitowania z biblioteki wideo - luty '96-marzec '97”.

Popatrzyłem na pudełko.

- Czy agenci FBI pytali o pokwitowania w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku?

- Pokazałem im, w jaki sposób są uporządkowane szafy, a później ich zostawiłem - odparł pan Rosenthal. - Nie wiem, co jeszcze oglądali.

Usłyszawszy to, zdjąłem pudło z regału i postawiłem na podłodze.

- Podejrzewam, że myśli pan, że ci dwoje z pokoju dwieście trzy mogli wypożyczyć kasetę - domyślił się pan Rosenthal.

Nagle wszyscy stali się detektywami.

- Przyszło mi to do głowy - odparłem. Otworzyłem pudło, które było pełne bloczków z pokwitowaniami. Dzieło prawdziwego upierdliwca.

Zacząłem wyjmować bloczki z pudła, zwracając uwagę na początkowe i końcowe daty na okładkach. Niemal spodziewałem się, że w pewnym momencie zamiast brakującego bloczka znajdę kartkę od Liama Griffitha z napisem: „Wal się, Corey”.

- Czemu pan przechowuje te pokwitowania? - spytałem.

- Trzymam wszystkie dokumenty przez siedem lat, taka jest moja polityka. Nigdy nie wiadomo, czego sobie zażyczy urząd skarbowy albo właściciele hotelu. - Po chwili zastanowienia Rosenthal dodał: - Albo FBI. Siedem lat to bezpieczny okres.

- Trzeba chronić swój tyłek, zawsze to powtarzam.

Znalazłem bloczek oznaczony napisem „12 czerwiec-25 lipiec '96”. Przesunąłem się pod jarzeniówkę i zacząłem kartkować pokwitowania

za kasyety wideo. Ręce trochę mi drżały, gdy zbliżałem się do daty siedemnastego lipca.

Pierwszy kwit z tego dnia znajdował się na samej górze strony i został podpisany przez Kevina Marbry'ego z pokoju sto dziewięć, który wypożyczył *Butcha Cassidy i Sundance Kida*. Następny kwit podpisała Alice Young z domku numer trzy, która wypożyczyła *Ostatnie tango w Paryżu*. Później znowu Alice. Dalej następował nieczytelny podpis gościa z pokoju ósmego, znajdującego się prawdopodobnie w tym budynku. Osoba ta wypożyczyła *Ojca chrzestnego*. Przerzuciłem stronę i odczytałem jeszcze dwa podpisy i tytuły filmów wziętych siedemnastego lipca, lecz żadna z tych osób nie podała numeru pokoju dwieście trzy. Ostatni kwit na dole strony nosił już datę osiemnastego lipca.

Stałem i patrzyłem na otwarty bloczek.

- Trafił pan na coś? - spytał pan Rosenthal.

Nie odpowiedziałem.

Przewróciłem stronę w tył i odczytałem czerwone numery porządkowe. Brakowało trzech kolejnych liczb.

Rozgiałem bloczek i zobaczyłem, że ktoś starannie wyciął żyłką jedną stronę.

- Dranie.

- Słucham?

Wrzuciłem bloczek do pudła.

- Chcę zobaczyć pokwitowania za wypożyczone książki - powiedziałem.

Rosenthal znalazł odpowiednie pudło i odszukał bloczek pokwitowań za odpowiedni okres. Przekartkowałem kwity, licząc na to, że może donzuan lub jego towarzysza wypożyczyli książkę, ale siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku nikt z pokoju dwieście trzy nie brał książki z biblioteki. Wrzuciłem bloczek do pudła.

- Chodźmy.

Ruszyliśmy w stronę drzwi, a Rosenthal zerkał przez ramię na bagaż, który został na podłodze archiwum.

W głębi mojej świadomości - choć nie na samym jej dnie - kołatała się myśl, że agenci FBI nie mogli nie pomyśleć o bibliotece, jeśli spędzili w hotelu dwa miesiące. Nie byli detektywami, ale z pewnością nie byli też durniami. Niech to szlag.

Czegoś jednak dowiodłem: ktoś z pokoju dwieście trzy wypożyczył kasety i dlatego w bloczku brakowało strony. Świetne myślenie dedukcyjne, które doprowadziło do kolejnego brakującego dowodu. Dranie.

Rosenthal już miał zamknąć za sobą drzwi archiwum, gdy przypomniałem sobie o czymś, co powiedziała Roxanne. Zatrzymałem się.

- W bloczku nie widziałem ani jednej odbitki.
- Oddaje się je gościom przy zwrocie książki lub kasyety.
- A jeśli nie ma zwrotu?
- Wtedy odbitka zostaje w bloczku aż do wyjazdu gościa i zostaje stwierdzony brak wypożyczonej książki lub kasyety. Wówczas umieszcza się odbitkę w miesięcznym spisie zaginionej własności.

- Okay... Goście z pokoju dwieście trzy wyprowadzili się siedemnastego lipca, a osiemnastego w południe odkryliście, że się nie wymeldowali. Rankiem dziewiętnastego lipca zjawili się FBI i zaczęło wypytywać o zaginiony koc. Nieco później pojawiło się więcej agentów, którzy zbierali informacje o gościach z pokoju dwieście trzy. Czy to możliwe, że ktoś z pańskiego personelu wyjął z bloczku różową odbitkę i umieścił ją w dokumentacji rzeczy zaginionych?

- Bibliotekarka czeka, aż pokojówka lub ktoś inny zwróci wypożyczoną rzecz - odparł Rosenthal. - Jeśli nie, to tego samego lub następnego dnia odbitka jest przekazywana księgowej, która wystawia gościowi rachunek za zaginioną własność hotelu i obciąża jego kartę kredytową. Czasem wypożyczony przedmiot wraca do hotelu pocztą lub w inny sposób, ale jeśli nadal go nie ma lub strata nie została wyrównana, kopia trafia do zeznania podatkowego jako koszt do odliczenia.

- A potem?
- Tak jak wszystkie inne dokumenty podatkowe, kopie są przechowywane przez siedem lat.
- Chodźmy tam.

Rosenthal podszedł do szafy z napisem „Akta podatkowe, 1996”, znalazł szarą kopertę, na której widniał napis „Kwity z biblioteki-brakujące, zaginione lub skradzione” i podał mi ją.

Otworzyłem. W środku znajdował się plik różowych odbitek spięty gumką. Rozerwałem gumkę i zacząłem przerzucać kwity za zaginione

książki i kasety wideo. Było ich ponad dwadzieścia.

- Może panu pomóc...? - zaproponował Rosenthal.

- Nie. - Odbitki nie były poukładane w ścisłym porządku chronologicznym, więc przeglądałem je bardzo powoli. Wszystkie były oznaczone napisem „Nie zwrócono”. Mniej więcej w środku pliku znajdował się kwit z datą siedemnasty lipca. Pokój dwieście trzy. Kasetka wideo, film *Kobieta i mężczyzna*.

Podpis był nabazgrany, a osoba, która go złożyła, nie przycisnęła wystarczająco mocno, by zostawić na odbitce wyraźny odcisk.

Innym charakterem pisma napisano słowa „Nie zwrócono” oraz nazwisko „Reynolds”. Według Marie Gubitosi takim właśnie nazwiskiem posłużył się donżuan przy wynajmowaniu pokoju.

Zapytałem o to pana Rosenthala.

- Najwyraźniej osoba wypożyczająca kasetę nie miała klucza do pokoju, więc bibliotekarka zajrzała do komputera i zobaczyła, że nazwisko na pokwitowaniu nie zgadza się z nazwiskiem gościa z pokoju dwieście trzy. Zapytała o to osobę wypożyczającą kasetę, a ta podała nazwisko zameldowanego gościa, które okazało się zgodne z nazwiskiem w komputerze.

- Jasne. - Zatem ta dama wiedziała, jakim nazwiskiem posłużył się tego dnia donżuan. Prawdopodobnie robili to już wcześniej.

Spojrzałem jeszcze raz na podpis. Oświetlenie nie było zbyt dobre, lecz charakter pisma wyglądał na kobiecy.

- Chodźmy na górę - rzuciłem.

Wyszliśmy. Pan Rosenthal znów zerknął ukradkiem przez ramię na bałagan, który po sobie zostawiłem.

Kiedy znaleźliśmy się w holu, położyłem różową karteczkę na biurku w recepcji pod mocną biurową lampką.

- Ma pan szkło powiększające? - zapytałem Petera.

Recepcjonista wydobyl skądś okrągłe szkło powiększające, a ja spojrzałem przez nie na ledwo widoczny podpis na kwicie. Jill Winslow. Przyjrzałem się dokładnie każdej literze po kolei. Jill Winslow. Peter usiłował podejrzeć podpis, więc wsunąłem kwit do kieszeni

razem ze szkłem powiększającym. Skierowałem Rosenthala do biblioteki.

- Zna pan tę sprawę i pracuje pan w hotelarstwie od wielu lat - zacząłem. - Myśli pan, że kobieta mieszkająca w pokoju dwieście trzy napisała swoje prawdziwe nazwisko na kwicie z biblioteki?

Rosenthal pomyślał przez chwilę.

- Myślę, że tak.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Hm, tak samo jest w barze, w restauracji albo w kiosku... Prosi się klienta o podanie nazwiska i numeru pokoju, a klient podaje prawdziwe, bo wie, że obsługa może w tej samej chwili wejść do komputera i poprosić klienta o pokazanie klucza do pokoju albo prawa jazdy. - Po krótkiej pauzie Rosenthal dodał: - Poza tym podawanie prawdziwego nazwiska to naturalny odruch.

- Chyba że podróżuje się incognito. Jak wtedy gdy ma się romans, wie pan. Ten mężczyzna nie podał prawdziwego nazwiska.

- Tak, ale to co innego. Podpisywanie kwitu za wypożyczenie kasety czy książki to mało znacząca czynność. Lepiej użyć prawdziwego nazwiska i numeru pokoju, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji.

- Podoba mi się pański sposób myślenia, panie Rosenthal.

- Niech mnie pan nie straszy.

Rosenthal miał niemal sarkastyczne poczucie humoru. Umiem wydobyć z ludzi to co najlepsze. Wyszliśmy z biblioteki.

- Musi pan zatrzymać ten kwit? - spytał pan Rosenthal.

- Tak.

- W takim razie będę potrzebował pokwitowania za kwit - zażartował.

Roześmiałem się grzecznie.

- Proszę doliczyć to do mojego rachunku.

Staliśmy przy blacie recepcji.

- Zostaje pan dzisiaj u nas, panie Corey? - spytał mój gospodarz.

- Tak. Dostałem posezonową zniżkę.

- Który pokój dałeś panu Coreyowi? - zapytał Rosenthal Petera.

- Dwieście trzy.
 - Naturalnie. Myśli pan, że pokój do pana przemówi?
 - Już to zrobił - odparłem. - Proszę mnie obudzić o siódmej - zwróciłem się do Petera.
- Peter zanotował, o co proszę.
- Pomóc panu przenieść bagaż albo wskazać drogę do pawilonu Moneybogue Bay?
 - Nie, dam sobie radę. Dziękuję panom za pomoc.
- Wyszedłem z holu w chłodną, mglistą noc.
- Wsiadłem do wynajętego auta i podjechałem na parking pawilonu Moneybogue Bay. Wyjąłem z samochodu neseser, wspiąłem się po schodach i wszedłem do pokoju dwieście trzy.
- Eureka! - zawołał jakiś głos w mojej głowie. Albo w pokoju.

Rozdział 37

Usiadłem przy małym biurku i zapaliłem światło. Położyłem różową karteczkę na blacie i przyjrzałem się jej przez szkło powiększające.

Charakter, którym napisano tytuł *Kobieta i mężczyzna*, był zdecydowanie kobiecy i pasował do charakteru, którym napisane były data, numer pokoju i podpis. Ktoś inny, prawdopodobnie bibliotekarka, napisał „Reynolds” oraz „Nie zwrócono”.

Skończyłem kiedyś kurs analizy pisma w college'u John Jay i wiem, że z charakteru pisma oraz podpisu można się wiele dowiedzieć. Niestety, nie pamiętałem wiele z tamtych zajęć. Wiedziałem jednak, że charakter pisma wyraźnie się różni, gdy ktoś podpisuje się prawdziwym nazwiskiem i gdy podpisuje się zmyślonym lub fałszywym. Ten podpis wyglądał na prawdziwy. Może dlatego, że chciałem, aby taki był. Może to ja coś zmyślałem.

Wstałem, zapaliłem wszystkie światła i podszedłem do regału ściennego. Pod telewizorem znajdowała się pusta półka. W blasku lampy zauważyłem na niej cztery małe okręgi. Były to odbarwienia na białej politurze drewna. Miały wielkość ćwierćdolarówki i układały się w czworokątny wzór. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie tam jeszcze trzy lata temu stał odtwarzacz wideo na gumowych nóżkach.

Nie było to wiekopomne odkrycie, lecz czuję się dobrze, kiedy mogę naocznie zweryfikować to, co ktoś mi powiedział.

Usiadłem przy biurku i wybrałem numer komórki Doma Fanellego.

Nie miałem pojęcia, gdzie Dom może być o tej porze, lecz zaletą komórek jest to, że nie ma to najmniejszego znaczenia.

- Halo? - mruknął Dom.

W tle słyszałem głośną muzykę.

- Mówi twój partner.

- Cześć, staruszkule! Skąd na moim wyświetlaczu wziął się numer hotelu Bayview? Co ty tam, u diabła, robisz?

- Odbieram urlop. A ty gdzie jesteś?

- Telefon zaczął mi wibrować w portkach, więc myślałem, że to Sally. Sarah. Nieważne. Sarah, przywitaj się z...

- Dom, ledwo cię słyszę.

- Poczekaj. - Po minucie Dom rzekł: - Jestem na dworze. Śledziłem podejrzanego o morderstwo, a on wszedł do takiego klubu przy Varick Street. Ciężka ta robota. Co jest grane?

- Trzeba kogoś namierzyć.

- Znowu? A co się stało z tymi nazwiskami, które ci dałem? Byłeś w Filadelfii?

- Byłem. Teraz potrzebuję...

- Teraz jesteś w Westhampton Beach. Czemu nie jedziesz do domu?

- Czemu ty nie jedziesz do domu? Dobra, nazwisko brzmi...

- Zrobiłem porządek w twoim mieszkaniu. Pani od sprzątanania będzie tam jutro. W piątki, tak?

- Chyba że umarła. Słuchaj, Jill Winslow. - Przeliterowałem nazwisko. - Myślę, że ma jakieś trzydzieści parę, może czterdzieści lat...

- To znacznie zawęży krąg poszukiwań.

- Nie mam na jej temat nic konkretnego, ale zatrzymała się kiedyś w tym hotelu, żeby pobaraszkować z facetem. Siedemnastego lipca dziewięćdziesiątego szóstego roku.

- Chyba gdzieś słyszałem tę datę.

- Taak. Facet posługiwał się lipnym nazwiskiem, więc pewnie jest żonaty, a ona... może być mężatką, ale może nie być. Nie wiadomo. Ale myślę, że tak...

- Mężatki są najbezpieczniejsze, kiedy jesteś żonaty.

- Właśnie to mówi twoja żona o swoich chłopakach.

Dobra, myślę, że ta babka mieszka na Long Island albo na Manhattanie. Jak daleko pojechałbyś na romantyczną schadzkę?

- Kiedyś pojechałem do Seattle, żeby się z kimś przespać. Ale wtedy miałem dziewiętnaście lat. A ty jak daleko pojechałeś?

- Do Toronto. Okay, więc...

- A co z tą agentką FBI w stolicy? Dokąd jest dalej? Do Toronto czy do Waszyngtonu?

- Nieważne. I tak ty wygrywasz z Seattle. Dobra, słuchaj... Najpierw sprawdź w bazie danych samochodów. Tych dwoje przyjechało do hotelu fordem explorerem, który teraz ma co najmniej pięć lat, ale raczej należy do niego, nie do niej. Od tego czasu mógł zostać sprzedany. Później wejdź do Choice-Point i LexisNexis, szukaj w nieruchomościach, aktach rozwodowych i tym podobnych. W grę może wchodzić wyższej klasy posesja na Long Island. Sprawdź też w dokumentach zakładu energetycznego Long Island, szukaj nazwiska Winslow. Ale ona mogła mieszkać na Manhattanie, dlatego na Coney Island też poszukaj. Zajrzyj również do archiwów telefonicznych, ale jej telefonu pewnie nie ma w książce. Pamiętaj, że te wszystkie dane mogą nie być na nią, tylko na jej męża, więc...

- Gotowe, słuchaj. Jill Winslow, Mapie Lane osiem, Locust Valley, Long Island, Nowy Jork, ford explorer rocznik dziewięćdziesiąty szósty, jasnobrązowy, imię męża Roger. Dobra, żartowałem. Ty też powinieneś się pobawić z komputerem. Mam do rozwiązania parę spraw o zabójstwo.

- Być może to jest największe zabójstwo, z jakim miałeś do czynienia.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Fanelli odparł:

- Rozumiem.

- To dobrze. Sprawdź też w aktach zgonów.

- Myślisz, że ona nie żyje? Wykończyli ją?

- Mam nadzieję, że nie.

- Na co ty wpadłeś? Powiedz mi, na wypadek gdyby cię zabili.

- Zostawię ci kartkę.

- Bez jaj, John...

- Zadzwoń do mnie jutro pod ten numer. Pokój dwieście trzy. Zostaw wiadomość, jeśli mnie nie będzie. Jesteś pan Verdi.

Fanelli parsknął śmiechem.

- Słuchaj, nigdy nie widziałem w operze kogoś tak sponiewieranego jak ty.

- Chrzanisz. Uwielbiam, kiedy ta grubaska odwala kitę na zakończenie *Traviaty*. Jutro pogadamy.

- *Ciao*.

Odłożyłem słuchawkę, rozebrałem się i schludnie rzuciłem rzeczy na fotel. Wziąłem torebkę z przyborami i wszedłem do łazienki.

Ogoliłem się, umyłem zęby i wskoczyłem pod prysznic.

Zatem Liam Griffith, Ted Nash oraz ci, którzy z nimi byli, znaleźli bloczek pokwitowań i wycieli z niego kartkę. Ale zapomnieli o odbitce. Czy to nie idiotyzm?

Cóż, wszyscy popełniamy błędy. Nawet ja je popełniam od czasu do czasu.

Ważniejsze jest to, czy Jill Winslow to prawdziwe nazwisko, czy nie. I czy ją znaleźli. Stawiam na to, że obie odpowiedzi brzmią „tak”. Co oznacza, że przez Jill dotarli też do donzuana. Albo namierzili go pierwszego dzięki odciskom palców. Tak czy owak oboje zostali znalezieni.

Wyobrażałem sobie, jak Nash lub Griffith wypytują tę parkę o film nakręcony na plaży, o ich związek.

Co mogło wynikać z tej rozmowy? Istnieją trzy możliwości: pierwsza, że ci dwoje nie zarejestrowali na taśmie wideo eksplozji samolotu; druga, że zarejestrowali ją, lecz zniszczyli taśmę; trzecia, że nagrali eksplozję i zachowali taśmę, którą przekazali Nashowi, Griffithowi i ich towarzyszom w zamian za obietnicę, że ich romans pozostanie tajemnicą. Zakładając, że jedno z nich lub oboje byli w związkach małżeńskich i chcieli, żeby tak zostało.

Tak czy siak spędzili jakiś czas przy wykrywaczu kłamstw, odpowiadając na pytania.

Nie miałem wątpliwości, że albo ja, albo Dom Fanelli znajdziemy Jill Winslow, jeśli ona żyje.

Porozmawiam z nią, a ona powie mi wszystko, co powiedziała przed pięcioma laty FBI, bo ja też jestem z FBI i prowadzę śledztwo sprawdzające.

To jednak nie oznacza, że dostanę w swoje ręce kasetę wideo, nawet jeśli taka w ogóle istniała.

Zatem to także była swego rodzaju ślepa uliczka, ale przynajmniej poznam prawdę o tej kasecie i być może będę mógł przedstawić tę informację wyższym instancjom. A może zniknę.

Jeszcze jedna myśl chodziła mi po głowie, związana z filmem *Kobieta i mężczyzna*. Dlaczego któreś z nich zwinęło tę kasetę? Jeśli ktoś wynosi się szybko z pokoju i zostawia klucz w drzwiach, nie wymeldowując się w recepcji, dlaczego miałby chować kasetę z filmem do torebki lub walizki?

Pomyślałem o tym i przypomniałem sobie coś, co powiedziała mi Roxanne. Chyba wiedziałem, dlaczego ktoś zabrał tę taśmę. Kiedy się spotkamy, zapytam Jill Winslow, czy miałem rację.

Rozdział 38

Peter zadzwonił o siódmej rano i zdawało mi się, że wyczułem w jego głosie złośliwy ton, kiedy podawał mi czas.

Przetoczyłem się na łóżku i odruchowo poszukałem glocka pod poduszką, ale zaraz sobie przypomniałem, że jesteśmy w tymczasowej separacji.

Wykąpałem się i ubrałem, a później poszedłem do głównego budynku hotelu na śniadanie.

Peter przywitał mnie burkliwym „dzień dobry”. Wszedłem do jadalni. Była sobota rano i należało się spodziewać, że kilku gości przyjechało wczoraj wieczorem na weekend, lecz lokal był prawie pusty.

Kelnerka podała kawę i kartę śniadaniową. Spędziwszy czterdzieści dni w muzułmańskim kraju, czułem się pozbawiony wieprzowiny, zamówiłem więc bekon z szynką i parówki wieprzowe jako dodatek.

- Od Atkinsa? - spytała kelnerka.
- Nie, katolickie - odparłem.

Po śniadaniu poszedłem do biblioteki. Kilka osób siedziało w klubowych fotelach koło nasłonecznionych okien, czytając gazety i magazyny.

Zerknąłem na regał i znalazłem książkę Stephena Kinga zatytułowaną *Worek kości*. Podeszedłem do stolika na końcu, przy którym urzędowała bibliotekarka-kioskarka.

- Chciałbym wypożyczyć tę książkę.
- Kobieta się uśmiechnęła.
- Ona nie pozwoli panu usnąć przez całą noc.

- To się świetnie składa, bo mam biegunkę.

Bibliotekarka podsunęła mi kwit.

- Proszę to wypełnić.

Napisałem datę, tytuł książki, numer pokoju i podpisałem „Giuseppe Verdi”.

- Ma pan przy sobie klucz?

- Nie, psze pani.

Kobieta wystukała na klawiaturze numer dwieście trzy.

- Widzę, że w tym pokoju mieszka inny gość.

- To mój chłopak, John Corey.

- Ach, rozumiem... - Napisała na kwicie „Corey” i powiedziała: - Dziękuję, panie Verdi. Miłej lektury. Proszę zwrócić książkę przed wymeldowaniem się z hotelu.

- Dostanę pokwitowanie?

- Otrzyma pan kopię przy zwrocie książki. Albo może pan ją zostawić w pokoju, jeśli niepotrzebny panu kwit.

- Dobrze. A mogę kupić książkę, jeśli mi się spodoba?

- Nie, przykro mi.

Wszedłem na górę do biura hotelu i zauważyłem Susan Corve, asystentkę Rosenthala. Zdaje się, że mnie pamiętała, bo uśmiechnęła się, zacisnąwszy lekko usta.

- Dzień dobry - odezwałem się. - Zastałem pana Rosenthala?

- Zwykle bywa w soboty, ale dzisiaj się spóźni - odparła.

- Pewnie zasnął. Mogę skorzystać z komputera?

Pani Corva wskazała mi miejsce przy wolnym biurku.

Sprawdziłem swoją pocztę internetową. Było kilka nieważnych e-maili oraz wiadomość od Kate: „Dzwoniłam do domu. Daj mi znać, że dotarłeś bezpiecznie. Wrócę w poniedziałek:) Wezmę taksówkę z lotniska. Tęsknię za tobą :(i nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Kocham cię, Kate”.

Uśmiechnąłem się. :)

W odpowiedzi napisałem: „Droga Kate, wróciłem bezpiecznie. Nie jestem w domu. Wziąłem sobie kilkudniowy urlop rekreacyjno-regeneracyjny na plaży”.

Pomyślałem przez chwilę. Nie jestem dobry w podlizywaniu się, toteż ściągnąłem od Kate i wystukałem: „Tęsknię za tobą :(i nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę :) Postaram się wyjechać po ciebie na lotnisko. Kocham cię, John”.

Puściłem list w cyberprzestrzeń, podziękowałem Susan i wyszedłem z biura. Na dole zapytałem Petera, gdzie obcina włosy, a on podał mi nazwę zakładu w Westhampton Beach.

Pojechałem do wioski, znalazłem salon, w którym wymodelowano fryzurę Petera i po raz pierwszy od ponad miesiąca ktoś porządnie mnie ostrzygł.

- Zna pani Petera, recepcjonistę z hotelu Bayview? - spytałem Tiffany, młodą fryzjerkę, która mnie obcinała.

- Jasne. Ma wspaniałe włosy - odparła, po czym dodała: - Skórę też.

- A ja?

- Ma pan ładną opaleniznę.

- Byłem w Jemenie.

- A gdzie to jest?

- To taki półwysep w Arabii Saudyjskiej.

- Poważnie? A gdzie to jest?

- Nie wiem dokładnie.

- Był pan na urlopie?

- Nie. Wykonywałem niebezpieczną tajną misję na zlecenie rządu.

- Poważnie? Prysnać panu trochę lakieru na włosy?

- Nie, dzięki.

Zapłaciłem Tiffany i zapytałem, gdzie mogę kupić kostium kąpielowy. Skierowała mnie do sklepu sportowego o jedną przecnicę dalej.

Zaopatrzyłem się w luźne zielone szorty kąpielowe, czarną koszulkę i plażowe sandały. Moda à la Hampton.

Podjechałem do hotelu i wszedłem do recepcji, żeby sprawdzić, czy są dla mnie jakieś wiadomości, i pochwalić się przed Peterem nową fryzurą, ale skończył dyżur. Wiadomości nie było, toteż poszedłem do pokoju i przebrałem się w nowy kostium, pamiętając o usunięciu metek.

Sprawdziłem pocztę głosową, ale nikt nie dzwonił, a mój pager był wciąż nienaladowany.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Roxanne, zostawiłem kilka dolarów dla sprzątaczk i wyszedłem.

Pojechałem do parku Cupsogue Beach County, zaparkowałem auto i poszedłem na plażę. Był wspaniały, ciepły słoneczny dzień, wiał lekki wiaterek.

Przez cały ranek pływałem, łapałem promienie wrześnieowego słońca i biegałem bosy po plaży, nuąc watek przewodni z *Rydwanów ognia*.

Koło południa na plaży zjawilo się parę osób, przeważnie rodzin. Załapali się być może na ostatni plażowy weekend mijającego lata.

Od lat nie byłem w doskonałej formie i postanowiłem, że tak muszę trzymać. Kiedy Kate wróci, będzie podziwiać moją złotą opalenizną i ciało jak u młodego amatora surfingu. Ciekawe, czy utrzymała formę w Dar es-Salaam. Miałem nadzieję, że nie będę musiał powiedzieć czegoś w rodzaju „Zdaje się, że przybrałaś trochę na wadze, kochanie”.

Chyba nie powinienem wypowiadać tej kwestii, zanim zaczniemy się kochać.

Pobiegłem do zachodniego krańca parku, gdzie wąska cieśnina oddzielała tę wysepkę od Wyspy Ognia, na której odprawiono rocznicową mszę w parku Smith Point County. Właśnie przez ten przesmyk kapitan Spruck wypłynął na ocean wieczorem siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku i zobaczył coś, co nigdy nie przestało go dręczyć.

To był złoty letni dzień u schyłku lata z rodzaju tych, które nasuwają refleksje o zmianach pór roku, cyklach życia i śmierci, o tym, co robimy na tej planecie i dlaczego to robimy.

Ptaki kołowały nad wodą niczym wysłannicy przeznaczenia i nurkowały, wyławiając niczego niepodręczające ryby, które w jednej chwili były wrywane z wody w powietrze i trafiały do ptasich żołądków.

Kiedys tam, nad oceanem, dwustu trzydziestu ludzi rozpoczęło podróż do Paryża, lecz nagle spadli do morza z wysokości trzech kilometrów. Tak po prostu.

Spółczesność można ocenić po reakcji na przedwczesną śmierć - wypadki i morderstwa - a społeczeństwo, w którym żyliśmy, przeznaczało mnóstwo czasu, pieniędzy i wysiłku na badanie wypadków i morderstw. Częścią naszej kultury jest przekonanie, że morderstwo nie może ująć bezkarnie i że żaden wypadek nie może zostać zakwalifikowany do kategorii nieuniknionych.

A mimo to pięć lat po tym, jak wielki odrzutowiec odbywający lot oznaczony numerem osiemset eksplodował w powietrzu w wyniku,

jak oficjalnie stwierdzono, przypadkowego zapłonu w centralnym zbiorniku paliwa, niewiele zostało zrobione, by naprawić ten potencjalnie katastrofalny problem.

Co to znaczyło? Może to, że alternatywna hipoteza - hipoteza pocisku - wciąż oddziaływała na sposób myślenia i decyzje niektórych ludzi.

Wraz z upływem lat, gdy nie zdarzyła się ani jedna podobna katastrofa, mimo że nie podjęto żadnych działań w związku z rzekomą awarią zbiornika paliwa, oficjalny wniosek stawał się coraz bardziej podejrzany.

Truchtałem po plaży wzdłuż oceanu, a potem skręciłem i raz po raz wbiegałem na wydmy i zbiegałem z nich, mając nadzieję, że zauważę sterczący z piasku ogon pocisku kinetycznego. Ale szczęście mi nie dopisało.

Znalazłem natomiast mały cichy zakątek między dwiema wydmami, w którym donżuan i jego wybranka, teraz znana już jako Jill Winslow, rozłożyli koc, by spędzić romantyczną i prawdopodobnie grzeszną godzinę na plaży. Ciekawe, czy to, co się wtedy stało, wciąż daje im spokój.

Zdjąłem koszulkę i położyłem się w miejscu, w którym oni przypuszczalnie leżeli. Zrobiłem sobie z koszulki poduszkę i zasnąłem na ciepłym piasku.

Przyśnił mi się erotyczny sen, w którym byłem w oazie na jemeńskiej pustyni. Mój harem składał się z Kate, Marie, Roxanne i Jill Winslow. Jill miała na twarzy woal, nie mogłem więc zobaczyć jej twarzy. W moim śnie nie było nic subtelnego i nie zmuszał do wyszukanych analiz. Może z wyjątkiem jednego fragmentu, w którym ukazał się Ted Nash jadący na wielbłądzie.

Wróciwszy do hotelu, zobaczyłem migającą kontrolkę sygnalizującą wiadomość. Zadzwoiłem do recepcji.

- Dzwonił pan Verdi - oznajmił recepcjonista. - Prosił, żeby pan do niego oddzwonił. Nie zostawił numeru telefonu.

- Dziękuję.

Zadzwoiłem do Doma Fanellego z hotelowego telefonu.

- Hej, Giovanni, odebrałeś moją wiadomość?
- Tak. Jak ci poszło?
- Przez cały dzień stukam przez ciebie w klawiaturę, a jest sobota. Chcę spędzić parę słodkich chwil z żoną.
- Powiedz Mary, że to moja wina.
- Nic się nie stało. Ona i tak pojechała do siostry w Jersey. Fabryczna wyprzedaż odzieży. Byłeś kiedyś na czymś takim? *Mama mia!* Te baby praktycznie przebierają się w przejściach między stoiskami. Im więcej wydajesz, tym więcej oszczędzasz. Błąd. Im więcej wydajesz, tym więcej wydajesz. Zgadza się?
- Tak. - Już wiedziałem, że coś znalazł.
- A poza tym znalazłem ci parę Jill i chyba namierzyłem jedną Jill Winslow, która może pasować. Chcesz ją?
- Pewnie.
- Po pierwsze, powiedz mi, o co w tym wszystkim biega.
- Dom, mógłbym znaleźć dokładnie to samo, co ty znalazłeś. Pytasz o coś, czego nie powinieneś wiedzieć. Wierz mi.
- Chcę wiedzieć. Nie chcę się targować, dam ci to, co znalazłem. Chcę się tylko dowiedzieć, co tłucze ci się po głowie i zatruwa życie.
- Nie mogę mówić przez telefon. Ale powiem ci jutro osobiście.
- A jeśli do jutra cię ukatrupią?
- Zostawię ci liścik. No, gadaj, bo nie mam dużo czasu.
- No dobra, oto jedyna Jill Winslow, która pasuje do grupy wiekowej i współrzędnych geograficznych. Gotów?
- Gotów.
- Jill Penelope Winslow, żona Marka Randalla Winslowa. Skąd te WASP-y biorą nazwiska? Ma trzydzieści dziewięć lat, wydaje się, że nigdzie nie pracuje. On ma czterdzieści pięć lat i jest bankierem u Morgana Stanleya na Manhattanie, zajmuje się inwestycjami. Mieszkają przy Quail Hollow Lane dwanaście w Old Brookville na Long Island w Nowym Jorku. Nie mają żadnej innej nieruchomości. Według danych w rejestrze pojazdów posiadają trzy samochody: terenowego lexusa, mercedesa typu sedan i bmw Z trzy. Chcesz szczegóły?
- Tak. - Podał mi modele, kolory i numery rejestracyjne. Zapisałem wszystko.

- Beemka jest na jej nazwisko - dodał Dom.

- Dobra.

- Szukałem w rozmaitych źródłach numeru telefonu, ale na próżno. Prawdopodobnie zdobędę ci ten numer na poniedziałek. Zajrzałem do kartoteki kryminalnej i cywilnej, ale Winslowowie są czyści. Nie było żadnej Jill Penelope Winslow w rejestrze rozwodów i zgonów, ale Jill, na której się skoncentrowałem, może nie być tą, której szukasz. Nie podałeś mi drugiego imienia ani daty urodzenia, numeru ubezpieczenia społecznego...

- Wiem, jak to działa. Dzięki.

- Mówię to na wszelki wypadek, żebyś wiedział. Rano miałem lekkiego kaca, a mimo to zrobiłem, co mogłem. Szkoda, że nie byłes wczoraj w tym klubie. Ta laska, Sally...

- Sarah. Dobra, wyświadczyć mi przysługę i przyslij e-mailem wszystkie inne Winslow, które mogą pasować. Wyprowadzam się stąd i nie będę dzisiaj pod komórką, ale możesz zostawić wiadomość. Wieczorem powinienem być w domu.

- Zostawiłem butelkę szampana dla ciebie i Kate.

- To bardzo miło z twojej strony.

- A właściwie pół skrzynki szampana, której nie wypilem. Kiedy wraca Kate?

- W poniedziałek.

- Super. Pewnie już dostajesz białej gorączki. - Dom ryknął śmiechem.

- Dobra, muszę iść.

- Jedziesz do Old Brookville?

- Taak.

- Daj mi znać, czy trafiłem na właściwą Jill Winslow, dobrze?

- Pierwszy się o tym dowiesz. Zaraz po mnie.

- Tak. Jesteś blisko?

- Chyba.

- Ostatnia prosta to najgorsza suka.

- Wiem. *Ciao*.

- *Ciao*.

Odłożyłem słuchawkę, wszedłem pod prysznic i zmyłem z siebie sól. Kiedy się wycierałem, zadzwonił telefon. Na całym świecie była tylko jedna osoba, która wiedziała, gdzie jestem, i przed chwilą z nią

rozmawiałem, czyli to musiał być ktoś z hotelu. Podniosłem słuchawkę.

- Pan Corey? - zapytał kobiecie głos.
- Wymeldowuję się. Proszę przygotować mi rachunek.
- Nie jestem z hotelu - odparła kobieta. - Chciałabym z panem pomówić.

Upuściłem ręcznik.

- O czym?
- O katastrofie TWA osiemset.
- O czym dokładnie?
- Nie mogę rozmawiać przez telefon. Możemy się spotkać?
- Nie, jeśli nie powie mi pani, kim jest i o co chodzi.
- Ale ja nie mogę rozmawiać przez telefon. Możemy się spotkać dziś wieczorem? Mam to, czego pan szuka, jak mi się zdaje.
- A czego ja szukam?
- Informacji. Może kasety wideo.

Milczałem przez kilka sekund.

- Mam to, czego potrzebuję. Ale dzięki.

Kobieta zgodnie z przewidywaniami zignorowała moją odmowę.

- Dzisiaj wieczorem o dwudziestej, zatoczka w parku Cupsogue Beach County. Nie zadzwonię po raz drugi. - Odłożyła słuchawkę.

Wystukałem gwiazdkę i numer sześćdziesiąt dziewięć, ale usłyszałem tylko nagraną informację, że w ten sposób nie można dodzwonić się pod ten numer.

Spojrzałem na zegarek na szafce nocnej: była piętnasta osiemnaście. Za mało czasu, żeby dojechać do Old Brookville i wrócić do Cupsogue Beach.

A co ważniejsze, dlaczego miałbym się z kimś spotykać po zmroku w odosobnionym miejscu? Jeśli trzeba, to trzeba, ale musisz mieć przy sobie urządzenie nagrywające, ludzi, którzy cię ubezpieczają, tudzież gnata.

Jednak w tym wypadku były to rozważania czysto teoretyczne, bo działałem na własną rękę, a mój glock fruwał w worku z pocztą dyplomatyczną gdzieś między Jemenem a Nowym Jorkiem.

Rozważania te były również bezprzedmiotowe, bo ani mi się śniło jechać na to spotkanie.

Rozdział 39

Zmieniłem zdanie.

Jeśli chodzi o tajne spotkania, zawsze trzeba przychodzić godzinę przed czasem i nigdy nie wybierać najprostszej trasy. Tak więc o dziewiętnastej, zamiast zaparkować samochód w parku Cupsogue Beach County, zostawiłem go przy Wydmowym Szlaku i znalazłem dojście do plaży między dwoma domami.

Ubrany w szorty kąpielowe i czarną koszulkę ruszyłem pieszo po piasku. Z tablicy na plaży dowiedziałem się, że właśnie wkraczam na teren parku.

Słońce miało zejść siedemnaście po siódmej i zanurzyło się już do połowy w oceanie. Na wodzie tańczyły błyszczące czerwone i złote plamki.

Ostatni plażowicze pakowali się i kierowali do samochodów.

Kiedy ujrzałem zatoczkę na skraju wysepki, byłem ostatnią osobą na plaży oprócz strażnika, który jechał wozem terenowym i ogłaszał przez tubę, że park jest już zamknięty.

- Zamykamy park! - krzyknął, mijając mnie. - Proszę opuścić teren.

Skierowałem się w stronę lądu i wspiałem na wydmę. Ze szczytu widziałem naturalny szlak biegnący między wydмами. Dwie pary niosące sprzęt plażowy szły powoli w stronę parkingu. Był kwadrans po siódmej. Miałem czterdzieści pięć minut na pójście po rozum do głowy. Ale wcześniej miałem na to prawie czterdzieści lat i jakoś mi się nie udało.

Słońce zaszło, niebo zmieniło się z purpurowego w czarne.

Morski zmierzch trwał jeszcze nad horyzontem, a potem zgasł. Pojawiły się gwiazdy, oceaniczna bryza poruszyła wysokimi trawami porastającymi wydmy. Fale obmywały plażę z delikatnym, rytmicznym szmerem. Co jakiś czas niewielki bałwan rozbijał się na piasku.

Przesuwając się z wolna po porośniętych trawą wydmach, dotarłem do ostatniej, z której widziałem przesmyk oddalony o jakieś czterdzieści metrów.

Z prawej strony znajdowała się zatoka Moriches, a z lewej ocean, połączone krótkim przesmykiem. Kilka jachtów rekreacyjnych z zapalonymi światłami wchodziło do zatoki, a łodzie poławiaczy homarów wypływały na głęboką wodę. Po drugiej stronie zatoki dostrzegłem światła posterunku straży wybrzeża.

Nie wiedziałem, skąd na miejsce spotkania przyjdzie moja tak zwana informatorka, ale zdaje się, że przybyłem pierwszy, więc miałem przewagę. Mimo to poczułbym się jeszcze lepiej, gdybym miał broń.

Kiedy na niebie świeciło słońce, przyjscie tutaj nie wydawało się takim złym pomysłem.

Mój zegarek cyfrowy pokazywał dwudziestą pięć, ale w umówionym miejscu nikt na mnie nie czekał. Informatorka się spóźniła albo czekała gdzieś wśród traw, aż pierwszy wysunę nos.

Kwadrans po ósmej zacząłem się zastanawiać nad wykonaniem pierwszego ruchu, który jednak mógł być moim ostatnim.

Nasłuchiwałem pilnie, ale niemożliwością było usłyszeć czyjeś kroki na miękkim piasku, choć zdawało mi się, że słyszałem szmer traw, mimo że wiatr na chwilę ucichł.

Odróciłem powoli głowę i wpatrzyłem się w ciemność, lecz nic się nie poruszyło.

Wschodził jasny księżyc w drugiej kwadrze, który oświetlił plażę i morze. Nadmorska trawa nie stanowiła kryjówki w jego blasku, toteż czułem się trochę odsłonięty, siedząc na wydmie wśród paru wąskich źdźbeł. Dobrze chociaż, że miałem ciemne ubranie i skórę.

O dwudziestej dwadzieścia uświadomiłem sobie, że muszę podjąć jakąś decyzję. Najmądrzej byłoby stąd odejść, lecz wydostanie się nie będzie tak łatwe jak dotarcie tutaj. Postanowiłem siedzieć cicho. Ten,

kto chciał tego spotkania, musiał zrobić pierwszy ruch. Taka jest zasada.

Pięć minut później usłyszałem coś w rodzaju kaszlnięcia, ale to mogło być szczeknięcie psa gdzieś w oddali. Po kilku sekundach usłyszałem ten odgłos znowu. Wydawało się, że dochodzi z wydmy za mną.

Odwrociłem się powoli w tamtą stronę, lecz nic nie zobaczyłem. Czekałem dalej.

Znów usłyszałem ten dźwięk i tym razem wiedziałem, że nie jest to szczekanie psa. Ten odgłos wydobywał się z gardła człowieka, który krążył wokół mnie. Tych ludzi mogło tam być więcej, uzbrojonych w pistolety automatyczne z tłumikami. Usłyszałem kolejne kaszlnięcie z innej strony.

Najwidoczniej ktoś starał się zasygnalizować swoją obecność i czekał na odpowiedź. Postanowiłem więc podjąć grę i zakaszlałem, a potem od razu zmieniłem miejsce, na wypadek gdyby ktoś wziął mnie na cel.

W następnej sekundzie usłyszałem męski głos dochodzący z niewielkiej odległości:

- Gdzie jesteś?

Głos dobiegał z wydmy po mojej prawej stronie. Odwróciłem się. Schyliłem głowę i powiedziałem:

- Stań w miejscu, w którym będę cię widział. Powoli.

Jakaś postać podniosła się zza wydmy jakieś dziesięć metrów ode mnie. Zobaczyłem głowę i ramiona wysokiego mężczyzny, ale nie mogłem dostrzec twarzy.

- Podejdź bliżej z rękami w górze, tak abym je widział.

Sylwetka podniosła się jeszcze wyżej i stanęła na wierzchołku wydmy, a potem zaczęła schodzić powoli w ciemne zagłębienie.

- Zatrzymaj się - powiedziałem.

Mężczyzna stanął w odległości mniej więcej dziesięciu metrów.

- Odwróć się i schyl do ziemi.

Tamten nie spełnił polecenia, co zawsze mnie wkurza.

- Mówię do ciebie, kolego - huknąłem głosem policjanta. - Odwróć się i schyl. No już!

Nieznamy stał dalej nieruchomo, patrząc na mnie, a potem zapalił papierosa. W świetle zapalniczki mignęła mi jego twarz i przez

chwilę zdawało mi się, że to ktoś, kogo znam, ale to nie mógł być on.

- Hej, palancie, mierzę do ciebie z pistoletu - ostrzegłem głośno.
 - Usłyszysz go za trzy sekundy. Odwróć się. Jazda. I schył. Raz, dwa...
 - Twój pistolet jest w worku pocztowym - przerwał mi tamten. -
- A jeśli nie masz drugiego, to w okolicy jest tylko jeden. Mój.

Głos był przerażająco znajomy, podobnie jak twarz. To był Ted Nash, który zmartwychwstał.

Rozdział 40

Przez kilka sekund nie mogłem wyjść ze zdumienia. Wiedziałem, że nigdy nie pogodzę się z rozczarowaniem.

- Ty chyba miałeś nie żyć? - zapytałem.
- Oficjalnie nie żyję. Ale faktycznie czuję się świetnie.
- Może mógłbym naprawić ten błąd.

Nash nie odpowiedział, tylko wyrzucił papierosa i ruszył pod górę w moją stronę. Zobaczyłem, że ma na sobie džinsy, ciemną koszulkę i bluzę, pod którą pewnie trzymał pistolet.

Podszedł do mnie z boku, tak abym nie mógł mu kopnąć piaskiem w oczy ani wbić obcasa między oczy.

Wdrapał się na szczyt wydmy i stanął jakieś trzy metry ode mnie.

Patrzyliśmy na siebie, tocząc walkę na spojrzenia.

Ted Nash z Centralnej Agencji Wywiadowczej był wysokim mężczyzną, mniej więcej mojego wzrostu, lecz nie tak umięśnionym. Nawet w bladym świetle księżyca widziałem jego doskonale utrzymaną szpakowatą czuprynę i rysy twarzy, które kobiety z jakiegoś powodu uważały za atrakcyjne. Często się zastanawiałem, czy złamany nos poprawiłby jego urodę, czy zepsuł.

Kiedy rozpracowywaliśmy wspólnie sprawę Śliwkowej Wyspy od razu poczuliśmy do siebie niechęć, trochę z powodu jego arogancji, ale głównie dlatego, że Nash uderzał do kobiety detektywa, co uznałem za niestosowne i sprzeczne z zasadami profesjonalizmu. Nie wspomnę o tym, że sam byłem ową damą zainteresowany. Później

wyszła na jaw kwestia kontaktów z Kate, na które mogłem patrzeć przez palce, bo Nash był martwy. A teraz okazało się, że jedyny powód, dla którego go tolerowałem, przestał istnieć.

Chyba tylko jedna rzecz nas łączyła: podobały nam się te same kobiety.

Nash zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. Jego wzrok przyciągnęły moje szorty i koszulka.

- Czyżbym przeszkadzał ci w urlopie?

Nie odpowiedziałem, tylko patrzyłem na niego, w myślach dokonując inwentaryzacji wszystkich powodów, dla których nie lubiłem Nasha za jego pierwszego życia. Jak bardzo cię nienawidzę? Zastanówmy się. Po pierwsze, w jego głosie zawsze wyczuwało się bezczelny ton. Po drugie, na jego gębie zawsze błąkał się ten bezczelny uśmiešek.

Nash zerknął na zegarek.

- Czy nie byliśmy umówieni na ósmą? - zapytał.

- Daruj sobie.

- Założyłem się z kimś, że przyjdiesz. Tylko kretyn przychodzi nieuzbrojony na wieczorne spotkanie z kimś, kogo nie zna.

- Tylko kretyn spotyka się ze mną sam na sam. Mam nadzieję, że jesteś z obstawą.

Nash puścił to mimo uszu.

- Jak było w Jemenie?

Milczałem.

- Słyszałem, że Kate dobrze się bawiła w Tanzanii.

Znów nie odpowiedziałem. Chyba stałem dość blisko, żeby przywalić mu, zanim sięgnie po broń. Musiał to wyczuć, bo cofnął się o kilka kroków.

- Piękna noc - stwierdził, rozglądając się. - Cudownie być wśród żywych.

- Nie przyzwyczajaj się do tego za bardzo.

Spojrzał na mnie.

- Ani trochę się nie dziwisz, że żyję?

- Jestem raczej wkurzony niż zaskoczony.

Nash się uśmiechnął.

- Właśnie dlatego nazywają nas duchami.

- Jak długo czekałeś, żeby chlapnąć tę kwestię? Trochę go rozzłościłem, nie doceniając przeciwczonych odzywek, lecz mimo totrzymał się scenariusza.

- Nie zdążyłem ci jeszcze pogratulować małżeństwa.
- Nie żyłeś, pamiętasz?
- Zaprosiłbyś mnie na swój ślub?
- Zrobiłbym to, gdybym wiedział, gdzie leżysz pochowany.

Nash się nabzdyczył i zaczął schodzić po wydmie w stronę oceanu.

- Chodźmy, chcę się przespacerować po plaży.

Ruszyłem za nim, starając się zmniejszyć odległość.

- Nie zbliżaj się za bardzo - rzucił przez ramię. - Dziesięć kroków.

Palant. Zszedłem za nim na plażę, a on skierował się na zachód, w stronę przesyku. Zdjął mokasyny i szedł skrajem plaży, pozwalając, by woda obmywała mu stopy.

- Mokra robota - zauważył.

W CIA nazywają tak zabicie kogoś.

- Och, nie wymądrzaj się.
- Nigdy nie doceniałeś mojej inteligencji. Kate umiała ją docenić.
- Pierdol się.
- Czy możemy porozmawiać inteligentnie, bez twoich wstawek w rodzaju „pierdol się”?
- Przepraszam. Idź się pierdol.
- Złóścisz mnie.
- Ja złoszczę ciebie. Myślisz, że mnie nie złości to, że żyjesz?
- Czuję to samo w stosunku do ciebie - odparł Nash.

Szliśmy brzegiem morza, równolegle, w odległości dziesięciu kroków. Zbaczając lekko w lewo, zmniejszyłem dystans. Nash to zauważył.

- Wpychasz się na mnie.
- Nie słyszę cię dobrze, bo morze szumi.
- Jeszcze jeden krok, Corey, i zobaczysz, jaki noszę pistolet.
- I tak go zobaczę prędzej czy później.

Nash się zatrzymał i odwrócił w moją stronę, plecami do oceanu.

- Wyjaśnijmy to sobie. Ja jestem uzbrojony, ty nie. Przyszedłeś tutaj, bo szukałeś odpowiedzi na pewne pytania. Ja ci je podam. Co się stanie potem, to zależy częściowo od ciebie. Tymczasem ja tu jestem mężczyzną.

Zaczynałem tracić spokój.

- Nie jesteś mężczyzną, Teddy. Nawet gdybyś trzymał za pasem uzi i tak nie byłbyś mężczyzną. Jesteś aroganckim, nadętym, egoistycznym, narcystycznym...

- Spójrz w wodę, Corey. Co widzisz?

- Zobaczę, jak kołyszysz się na niej twarzą w dół, zanim ta noc się skończy.

- To się nie stanie. W każdym razie nie mnie.

Staliśmy na plaży w odległości jakichś pięciu kroków; fale robiły się coraz większe i coraz głośniejsze uderzały o brzeg.

- Myślisz, że spałem z Kate, ale nie chcesz mnie o to zapytać, bo wolisz nie usłyszeć odpowiedzi.

Wziąłem głęboki oddech, ale nic nie powiedziałem. Naprawdę pragnąłem rąbnąć pięścią w tę szyderczo uśmiechniętą gębę, ale opanowałem się.

- I tak bym ci nie powiedział - ciągnął Nash. - Dżentelmen nigdy nie mówi o tym, że całował kobietę. Ty i twoi kołesie z policji tak robicie, kiedy się urzniecie. Wymieniacie z nazwiska wszystkie babki, które przelecieliście, i dokładnie opisujecie ich wygląd. Tak jak twój kumpel Fanelli, ten przygłup.

Na razie puściłem to płazem.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? Żeby ujawnić przede mną swoje cudowne zmartwychwstanie? Żeby móc posłuchać twoich infantylnych żarcików? To jest naprawdę okrutne, Ted. Daj mi swojego gnata, to palnę sobie w łeb.

Ted Nash milczał przez chwilę, a potem zapalił papierosa i wypuścił dym na wiatr.

- Sprowadziłem cię tutaj, bo przysparzasz kłopotów mojej organizacji. I swojej też. Wtykasz nos, gdzie nie trzeba, i najwidoczniej Jemen niczego cię nie nauczył.

- A czego się miałem nauczyć, mistrzu?

- Słuchać rozkazów.

- Co tobie do tego?

Nash nie odpowiedział, tylko zapytał:

- Co robisz w Bayview?

- Jestem na urlopie, głupku.

- Nie jesteś. I nie nazywaj mnie głupkiem. Co tu robisz?

- Jestem na urlopie, dupku.

To przezwisko też mu się chyba nie spodobało, ale nie zapytał po raz trzeci, co tu robisz. Spojrzał na mnie, wskazał na niebo i oznajmił:

- To była moja sprawa. Nie twoja, nie Kate, nie Dicka Kearnsa i nie Marie Gubitosi. Moja. Jest zamknięta. Powinieneś ją tak zostawić albo powiem ci szczerze, że możesz źle skończyć, panie Corey.

Trochę mnie zaskoczyło i zaniepokoiło, że wie o Dicku i Marie.

- Grozisz mi? Już to kiedyś zrobiłeś i nie wyszło ci to na zdrowie.

Nash rzucił papierosa w piasek, włożył buty, a potem zdjął bluzę, odsłaniając naramienny pas z kaburą, w której tkwił glock. Zawiązał rękawy bluzy na biodrach.

- Chodźmy - powiedział.

- Ty idź i się nie zatrzymuj.

- Chyba zapomniałeś, kto przewodniczy temu spotkaniu.

Odróciłem się i ruszyłem w stronę miejsca, w którym zostawiłem samochód.

- Nie chcesz wiedzieć, co się stało z tymi dwójkiem gości? - krzyknął za mną Nash.

Pstryknąłem palcami nad ramieniem. Uznałem, że gdyby miał strzelić, już by to zrobił. Nie uważałem, by nie był zdolny do wpakowania mi kulki w plecy, ale miałem wrażenie, że nie dostał upoważnienia, a jeśli je dostał, to najpierw musiał wy badać, ile wiem.

Nie usłyszałem go z powodu szumu fal, ale zobaczyłem kątem lewego oka, że zrównał się ze mną, tyle że szedł w odległości jakichś dziesięciu kroków.

- Musimy pomówić - oznajmił.

Nie zwolniłem kroku. Widziałem już pierwszy domek na plaży poza granicą parku.

- Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy tutaj, nieoficjalnie. Masz do wyboru albo to, albo przesłuchanie. - Po chwili dodał: - Mogę ci przedstawić zarzuty z kodeksu karnego. Kate też.

Odróciłem się i ruszyłem w jego stronę.

- Nie zbliżaj się.

- To ty masz broń.

- Tak, i nie chcę jej używać.

Podszedłem na jakieś dwa metry. Nash cofnął się i wyciągnął glocka z kabury.

- Nie zmuszaj mnie do tego.

- Wyjmij magazynek z pistoletu, Ted, usuń nabój z komory i włóż broń z powrotem do kabury.

Nie usłuchał, ale też nie strzelił.

- Mężczyźni, którzy mają jaja, nie potrzebują pistoletów, żeby rozmawiać z innymi mężczyznami. Rozładuj broń, wtedy będziemy mogli pomówić.

Przez chwilę Nash bił się z myślami. Potem uniósł broń, wyciągnął magazynek i schował go do kieszeni. Pociągnął suwadło i jeden nabój upadł na piach. Wsunął glocka do kabury i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Rzuć mi magazynek - rozkazałem.

- Podejdz i weź go sobie.

Zbliżyłem się. Nie miałem wątpliwości, że jeśli dojdzie do walki, ten facet może stawić mi poważny opór.

- Magazynek - przypomniałem.

- Podejdz i weź go sobie, twardzielu - odparł.

- Ted, nie zmuszaj mnie, żebym cię sprzał. Nie spałem z kobietą od czterdziestu dni i czuję się podle.

- Cieszę się, że Jemen dobrze na ciebie podziałał. Jeden z moich kolegów powiedział, że robi się z ciebie tłusty pijus.

Nash nie miał naładowanej broni, więc musiałem przyznać, że okazał odwagę. Albo miał obstawę i snajper trzymał mnie właśnie na muszce. Obejrzałem się na wydmy, ale nie zobaczyłem zielonej poświaty noktowizora. Kilkaset metrów od brzegu pływał kuter rybacki, ale może to nie był kuter.

- Wiem, że nie masz jaj, żeby rozmawiać ze mną bez gnata, więc na pewno są tu gdzieś twoje przydupasy, tchórze.

Nash zaskoczył mnie lewym sierpowym, ale zdołałem uchylić głowę, toteż tylko zahaczył mnie w szczękę. Upadłem na piasek, a on popełnił błąd i rzucił się na mnie. Błyskawicznie podniosłem nogi i uderzając go stopami w splot słoneczny, przerzuciłem nad sobą. Przeturlałem się i ruszyłem w jego stronę, ale Nash zerwał się na równe nogi i zaczął cofać, wyciągając pistolet z kabury i magazynek z kieszeni. Jednak zanim zdążył go wsunąć i zrobić bum-bum, przybrałem

postawę sprintera i skoczyłem do niego. Niestety miękki piasek nie dawał odpowiedniej przyczepności, więc Nash załadował glocka, zanim go dosięgnąłem. Pociągał właśnie suwadło zamka, kiedy złapałem go za kostkę i mocno szarpnąłem.

Osunął się na piasek, a ja znalazłem się na nim. Lewą dłoń zaciśnąłem na lufie pistoletu, a prawą rąbnąłem z góry w głowę.

To go trochę oszołomiło, ale nie na tyle, by nie wbił mi kolana w krocze. Zabrakło mi tchu.

Stoczyliśmy się do wody. Kilka fal przewaliło się nad nami i zaczęło nas ściągać w stronę otwartego morza.

Obaj próbowaliśmy złapać przyczepność na dnie, żeby móc zadać mocny cios, ale ja nie wypuszczałem z ręki pistoletu, więc trwaliśmy tak szepieni, a fale znosiły nas coraz dalej.

Ilekróć pomyślałem o tym, że mógł być z Kate, waliłem go głową w czoło. Obaj byliśmy trochę ogłuszeni. Nash musiał zrozumieć, że moja nienawiść do niego uczyniła ze mnie szaleńca i nie dbam o to, czy się utopimy.

Po minucie zapasów nałykaliśmy się słonej wody, a ciężkie ubranie zaczynało ciążyć Tedowi. Dzięki Jemenowi byłem w bardzo dobrej formie i wiedziałem, że mogę go utopić, jeśli zechcę. On też to wiedział i nagle przestał się szarpać. Spojrzeliśmy na siebie z odległości dwudziestu centymetrów.

- Dobra... - wykrztusił Nash. Wypuścił glocka i odpłynął parę metrów do miejsca, w którym sięgnął nogami dna. Dowłókł się do plaży, przeszedł jeszcze kilka metrów i osunął się na piasek. Zgubił buty i był cały pokryty piachem.

Wygramoliłem się na plażę i stanąłem półtora metra od niego, dysząc ciężko. Słona woda paliła mnie w miejscu, w które trafił pięścią, jądra bolały od ciosu kolanem, a w głowie szumiało od walenia w głowę Nasha. Poza tym czułem się świetnie.

Pozbierał się mniej więcej po minucie i wstał, zgięty wpół, wciągając głęboko powietrze i odkasłując słoną wodę. Wreszcie się wyprostował i zauważyłem, że z jego nosa płynie strumień krwi. Pogratulowałem mi zwycięstwa, mówiąc:

- Dupek.

- No co ty, Ted, trzeba umieć przegrywać. Nie nauczyli cię zasad sportowej walki w tej szkółce Ivy League, do której chodziłeś?

- Pierdol się. - Otarł nos ręką. - Dupek.
- Widać nie nauczyli. - Wysunąłem magazynek z glocka i schowałem do kieszeni, a potem odciągnąłem suwadło. Nash zdążył wprowadzić nabój do komory, ale nie zdołał go wcisnąć na miejsce, kiedy próbowaliśmy ustalić, kto powinien trzymać broń. Wyjąłem nabój i wsunąłem glocka za pasek.

- Mogłem cię rozwalić co najmniej sześć razy - rzucił.

- Myślę, że raz by wystarczył.

Nash zdołał się nawet rozeźmiać, a potem startł sól z oczu.

- Oddaj mi broń.

- Chodź i weź ją sobie.

Podszedł, słaniając się na nogach, i wyciągnął rękę po broń. Uściśnąłem mu rękę.

- Dobrze walczyłeś.

Wyrwał mi dłoń i odepchnął mnie. Wciąż mógł się bić, za co go podziwiałem, ale zaczynała mnie męczyć ta zabawa. Pchnąłem go mocno.

- Nie rób tego więcej, palancie.

Nash odwrócił się i zaczął odchodzić. Stałem i patrzyłem, jak zbliża się do wydm. Spojrzał na mnie przez ramię.

- Chodź ze mną, głupku.

Czy mogłem się oprzeć takiemu zaproszeniu? Poszedłem za nim. Wspięliśmy się na tę samą wydmę, na którą weszliśmy z Kate w lipcu.

Staliśmy na jej szczycie.

- Powiem ci, co się tutaj stało wieczorem siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Mógł to zrobić pół godziny temu, oszczędzając nam obu kąpieli w oceanie. Były jednak inne kwestie sporne, które należało najpierw rozstrzygnąć.

- Żadnych bujd - ostrzegłem.

- Prawda - odparł pan Nash, przytaczając część credo swojej firmy, które brzmi „Prawda cię wyzwoli”.

- Dobry układ.

- Lepszy, niż chciałem ci zaproponować. Ale spełniam rozkazy.

- Od kiedy to?

- I kto to mówi. - Popatrzył na mnie. - Mamy ze sobą coś wspólnego, Corey, jesteśmy samotnikami. Ale wykonujemy swoją robotę

lepiej niż gracze zespołowi, z którymi pracujemy, i polityczne mięczaki, które ją nam zlecają. Ty i ja nie zawsze mówimy prawdę, ale znamy ją i jej pragniemy. A ja jestem jedynym człowiekiem, który powie ci prawdę, i przypuszczalnie jedynym, któremu uwierzysz.

- Nieźle sobie radziłeś przez minutę.
- Nie będę obrażał twojej inteligencji wciskaniem ci kitu.
- Też, od pierwszej chwili, gdy cię poznałem, i w ciągu dwóch bardzo ważnych dochodzeń cały czas wciskałeś mi kit.
- Daj mi jeszcze jedną szansę - odparł z uśmiechem. Chyba wyczułem w tych słowach dwuznaczność, ale trudno.
- Mów.

Rozdział 41

Ted Nash stał przez chwilę w milczeniu, wciąż wyrównując oddech.

- Dobrze. Więc tych dwoje wyjechało z Bayview około dziewiętnastej. Zabrali z hotelu koc. W samochodzie mieli lodówkę turystyczną z winem, kamerę i trójnog.

- Wiem o tym.

- Tak, rozmawiałeś z Kate, a poza tym sam trochę powęszyłeś. Co jeszcze wiesz?

- Nie jestem tu po to, by odpowiadać na pytania.

- Kate też wpakowała się w tarapaty, mówiąc ci o tym.

- A ty? Czy ty też się wpakowałeś, paplając jej o tym pięć lat temu? Czy dlatego wyciągnięto cię z szafy i odkurzono? Żebyś naprawił swoją wpadkę?

Nash gapił się na mnie przez chwilę.

- Powiedzmy, że jestem najlepszym człowiekiem, który może uporać się z tym przypadkiem złamania tajemnicy i wszystko wyprostować.

- Powiedzmy. - Zerknąłem na zegarek, który wciąż działał. - Mów, co masz do powiedzenia, bo przede mną długa jazda na Manhattan.

Ted wyglądał na poirytowanego, bo nie zdradzałem wielkiego zainteresowania jego chrzaniem.

- Nie wiesz o tym, że najpierw kochali się na kocu - tu wskazał na zagłębienie między dwiema wydrami - a potem ona zapragnęła iść się kąpać nago. Chciała, żeby nagrali to na taśmie, dlatego on przeniósł kamerę z trójnogiem tutaj, nastawił obiektyw na nieskończoność

i skierował go na plażę. Z tej wysokości objął zasięgiem spory kawałek nieba.

- Skąd o tym wiesz?

- Rozmawiałem z nimi. A skąd, u diabła, mogłem się tego dowiedzieć?

Jeśli miałem wierzyć Nashowi, ci dwoje zostali odnalezieni, a kobieta żyła. W każdym razie wtedy.

- Słucham dalej.

- Więc zbiegli na plażę i popływali przez chwilę na golasa, a później wrócili i znów się kochali. Kamera wszystko nagrywała. - Nash uśmiechnął się lekko. - Możesz słusznie zakładać, że nie byli małżeństwem.

- A on nie był z CIA, jeśli miał dwie erekcje w ciągu jednego wieczoru.

Ted puścił to mimo uszu i wskazał na plażę.

- Kiedy to robili, nie mogli niczego zauważyć na niebie, ale usłyszeli huk eksplozji, który dotarł do nich około czterdziestu sekund po wybuchu. Kiedy odwrócili się w tamtą stronę, samolot już się rozpadł. Dziób runął do wody, a główna część kadłuba wciąż się wznosiła, a potem zaczęła spadać. Co ciekawe, tym dwojgu zdawało się, że widzą smugę światła wznoszącą się do samolotu właśnie wtedy, kiedy boeing już nie istniał. Ale uświadomili sobie, że było to odbicie strumienia płonącego paliwa w równej powierzchni wody. Potwierdzili swoje przypuszczenie później, kiedy obejrzeli film. - Nash spojrzął na mnie. - Rozumiesz?

- Jasne. Zasłony dymne i lustra. Czy nie taka jest zasada waszego działania?

- Nie w tym wypadku - odparował Nash, po czym kontynuował opowieść: - Natychmiast zrozumieli, że w ciągu kilku minut na plaży pojawiają się ludzie, więc wbiegli na wydmy, szybko się ubrali, złapali kamerę i trójnog, a potem popędzili do forda explorera i pojechali do hotelu Bayview. - Nash zrobił krótką pauzę: - Na swoje nieszczęście zostawili na plaży koc z hotelu i osłonę obiektywu kamery, dzięki czemu dowiedzieliśmy się dwóch rzeczy: gdzie mieszkali i co tutaj robili. Zostawili też lodówkę turystyczną, butelkę wina i dwa kieliszki, z których zdjęliśmy dwa doskonale zestawy odcisków palców.

Po zastanowieniu nie znalazłem żadnych luk w wywodzie Nasha. Zgadzał się on z tym, co ja, Kate i wszyscy zajmujący się sprawą przypuszczali, a Ted dołożył kilka szczegółów, bo rozmawiał z tymi ludźmi.

- Co było na taśmie? - zapytałem.

- Nie to, czego byś chciał.

- Ted, ja nie mam żadnych zachcianek co do tego nagrania. Nie jestem maniakiem teorii spiskowych i nie jestem profesjonalnie zniewolony przez oficjalny raport, tak jak ty. Jestem facetem o otwartej głowie, szukającym prawdy. I sprawiedliwości.

Usta Nasha wykrzywiły się w szyderczym grymasie, którego tak nie cierpię.

- Wiem o tym, John. Właśnie dlatego tu jesteście. Właśnie z tego powodu poświęciłem sobotni wieczór na to spotkanie.

- Od czasu do czasu możesz zrezygnować z gry w bingo w swoim kościele. Co było na tej kasecie?

- Ta kobieta odtworzyła nagranie, kiedy wracali samochodem do hotelu. Nie mogła wiele zobaczyć przez wizjer, ale zobaczyła to, czego nie widzieli, gdy uprawiali seks: moment eksplozji samolotu uchwycony na taśmie. Powiedziała, że to było niesamowite: samolot wybuchający w prawym górnym rogu ekranu, a w lewym dolnym oni uprawiający miłosne igraszki. I że nawet nie podnieśli głów. Oczywiście huk jeszcze wtedy do nich nie dotarł, a oni robili swoje, nawet gdy samolot zamienił się w ogromną kulę ognia, a potem rozpadł. - Nash zrobił krótką pauzę. - Ten facet powiedział mi później, że kiedy oglądali nagranie, musiał wyjaśnić partnerce, że istnieje ogromna różnica prędkości między światłem i dźwiękiem. Właśnie dlatego wciąż się kochali, gdy samolot eksplodował.

- Bogu dzięki za prawa fizyki, bo trudno byłoby wam stworzyć animację, w której żaden ze świadków nie rozpoznał tego, co widział na własne oczy.

Moja uwaga trochę zdenerwowała Nasha.

- Animacja była bardzo dokładna. Stworzono ją na podstawie znajomości praw fizyki i dynamiki lotu, rozmów ze świadkami, odczytów radarów i wiedzy o tym, jak zachowuje się samolot, kiedy na jego pokładzie coś wybuchnie.

- Tak. Mogę obejrzeć to nagranie?

- Pozwól mi skończyć.
- Już skończyłeś. Chcę obejrzeć nagranie i porozmawiać z tymi ludźmi.

- Dokończę. Ci dwoje wrócili do hotelu Bayview, podłączyli kamerę do odtwarzacza i obejrzeli nagranie w telewizorze. Zobaczyli to, co kobieta widziała wcześniej przez wizjer. To było nagranie udźwiękowione, więc zobaczyli eksplozję, a jakieś czterdzieści sekund później ją usłyszeli. - Nash spojrzął na mnie. - Cała katastrofa została nagrana od początku do końca, w kolorze, z dźwiękiem, na dobrej jakości taśmie, z obiektywem ustawionym na światło o zmierzchu. Można zobaczyć migające światła odrzutowca przed wybuchem. - Nash patrzył mi głęboko w oczy. - Nie było żadnej świetlnej smugi wznoszącej się do samolotu przed eksplozją.

Skąd ja wiedziałem, że to usłyszę?

- To dobra wiadomość - odparłem. - Chcę obejrzeć nagranie i porozmawiać z tymi ludźmi.

Nash nie odpowiedział wprost.

- Pozwól, że cię zapytam: gdybyś był którąś z tych osób i miał romans, i nagrał siebie w trakcie szeregu czynności seksualnych, co byś zrobił z kasetą?

- Udostępnił ją w Internecie.

- Możliwe. Ale oni oczywiście ją zniszczyli.

- Taak? Kiedy? W jaki sposób?

- Tego samego wieczoru. Jak tylko wyjechali z hotelu. Zatrzymali się na skraju drogi, ten facet przejechał po kasecie samochodem, a potem ją spalił.

- Skąd wziął zapaliki albo zapalniczkę?

- Nie mam pojęcia. Może któreś z nich paliło.

Od Roxanne wiedziałem, że nie palili, ale nie podzieliłem się tą informacją z Nashem. Poza tym było dla niego bardzo wygodne, że mężczyzna zniszczył taśmę fizycznie, nie zaś ją skasował, bo skasowane nagranie można odtworzyć w laboratorium. Ted nie chciał, żebym podążył tym tropem.

- Dobrze, więc spalili taśmę. I co dalej?

- Pojechali do Westhampton, gdzie kobieta zostawiła samochód. Ich komórki dzwoniły, bo różni ludzie chcieli porozmawiać o wypadku. Powiedzieli małżonkom, że byli w Hampton: on, że łowił ryby, a ona, że robiła zakupy w East Hampton, a później zjadła kolację z

koleżanką i została z nią na noc w hotelu.

- Jego bajeczka była dobra. Ale jej mąż mógł nabrać podejrzeń.

- Większość małżonków sobie ufa - poinformował mnie Nash. - Nie ufałeś Kate, gdy była w Tanzanii?

- Ted, jeśli jeszcze raz wspomnisz o Kate, wpakuję ci twojego gnata w tyłek, zaczynając od kolby.

Nash się uśmiechnął, ale nie zareagował. Dlaczego on mi to robi?

- Wrócili swoimi samochodami do domów i resztę wieczoru spędzili z małżonkami, oglądając w telewizji relacje o katastrofie - powiedział.

- To musiał być ciekawy wieczór przy domowym ognisku - zauważyłem.

- Można tak powiedzieć - rzekł Nash, spoglądając na mnie. - Tak jak przypuszczało i podejrzewało wielu ludzi, na plaży była jakaś para, która miała romans i niechcący nagrała wypadek na wideo. Ale na tej taśmie nie widać dłoni z dymiącym pistoletem ani dymiącej rakiety.

- To ty mi mówisz, że oni ci tak powiedzieli.

- Naturalnie poddałem ich badaniu wykrywaczem kłamstw i oboje zdali doskonale.

- Świetnie. W takim razie chcę też zobaczyć wyniki z poligrafii i ich ustne oraz pisemne zeznania, zanim z nimi porozmawiam.

Ted, nieodrodny syn CIA, oczywiście nie był zachwycony, że ma do czynienia z policyjnym detektywem, bo detektywi dążą do ustalenia łańcucha dowodów, a CIA żongluje abstrakcjami, przypuszczeniami i analizami, które są głównymi składnikami kitu.

- Oboje powiedzieli prawdę o tym, jak się zabawiali na plaży - wyjaśniał cierpliwie Ted. - A właśnie tutaj należałoby oczekiwać, że zostaną przyłapani przez wykrywacz na kłamstwie, bo ludzie się wstydzą. Oni tymczasem zrelacjonowali nam dokładnie, co robili na plaży. Później zapytaliśmy, co widzieli wtedy nad morzem na własne oczy, a co potem obejrzeni na taśmie wideo. Znów powiedzieli prawdę. Nie było żadnej świetlnej smugi. - Po chwili Nash dodał: - Sesje

z poligrafem okazały się prawie tak samo wartościowe jak nagranie.

Nie całkiem to kupowałem.

- Okay. To chyba wszystko.

- Chyba nie jesteś przekonany - powiedział Nash, który znał mnie zbyt dobrze ze swojego pierwszego życia.

- Jestem. A propos, jak znalazłeś tych dwoje?

- Było mi łatwiej niż tobie. Odciski palców tego mężczyzny pobrano kiedyś w związku z jego pracą, a my mieliśmy je na butelce od wina i kieliszkach. Przepuściliśmy je przez bazę danych FBI i w poniedziałek rano zadzwoniliśmy do niego do biura. A on podał nam nazwisko swojej przyjaciółki mężatki.

- To było łatwe. Mam nadzieję, że wzięliście jego odciski z karty meldunkowej w Bayview, by stwierdzić, że na plaży i w hotelu był ten sam mężczyzna.

- Przyznam, że nie zrobiliśmy tego... Ale my nie zbieraliśmy przeciwko niemu materiału dowodowego w sprawie karnej.

- Niszczenie dowodów jest przestępstwem, chyba że prawo się zmieniło.

- Nie wysadzano w powietrze samolotu TWA ani nie strącono, więc dowody nie były... Rzecz w tym, że tych dwoje ludzi znalazło się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nie zobaczyli nic, czego nie widziało dwustu pozostałych świadków, a na taśmie, którą nagrali, nie było niczego, co mogłoby zainteresować CIA albo FBI. Poligraf to potwierdził. Przesłuchiwałem ich długo i intensywnie, a oprócz mnie także inni agenci, między innymi twój kolega z FBI Liam Griffith. Wszyscy są zgodni, że ci dwoje mówili prawdę. - Po krótkiej pauzie Nash dodał: - Możesz zapytać Liama Griffitha, on potwierdzi moje słowa.

- Bez wątplenia. Ale będę pewny, kiedy przesłucham tych dwoje. Masz przy sobie papier i długopis?

- Nie możesz z nimi rozmawiać.

- Dlaczego nie? Czyżby spotkał ich nieszczęśliwy wypadek?

- Nie wpadaj w melodramatyczny ton. Nie możesz z nimi mówić, bo obiecaliśmy im wieczystą anonimowość w zamian za współpracę i mówienie prawdy.

- Dobrze. Ja obiecuję im to samo.

Ted Nash się zamyślił, prawdopodobnie rozważał instrukcje dotyczące waszego szczerze oddanego narratora.

- To naprawdę proste, Ted - ciągnąłem. - Podasz mi ich nazwiska, ja się z nimi spotkam, porozmawiam i załatwimy to raz na zawsze. W czym problem?

- Muszę mieć na to pozwolenie.

- Okay. Zadzwoń do mnie jutro na komórkę. Zostaw wiadomość.

- Może nie uda mi się tego załatwić przed poniedziałkiem.

- Wobec tego spotkajmy się w poniedziałek.

- Dam ci znać. - Nash sięgnął do kieszeni kurtki po papierosa, uprzytomnił sobie, że są mokre, i postanowił nie palić.

- Właśnie dlatego zabrakło ci tchu - zauważyłem. - Palenie zabija.

- Jak twoja szczeka?

- Świetnie. Zmoczyłem ją w słonej wodzie razem z twoją głową.

- Wbiłem ci kolana w krocze, ale nic tam nie było.

Ted był w tym dobry, ale ja byłem lepszy.

- Myślę, że to przemoczona pieluszka ściągnęła cię w dół.

- Pierdol się.

To było zabawne, lecz bezproduktywne. Postanowiłem zmienić front.

- Zadzwoń do mnie, umówimy się na spotkanie, tym razem w miejscu publicznym. Ja je wybiorę. Możesz przyjść w towarzystwie, jeśli chcesz. Ale chcę poznać nazwiska tych dwojga, zanim powiemy sobie cześć.

Nash spojrział na mnie.

- Bądź przygotowany na to, że sam będziesz musiał odpowiedzieć na parę pytań, bo w przeciwnym razie jedyne, co zyskasz, to wezwanie do sądu federalnego. - Po chwili dodał: - Nie masz takich wpływów, jak ci się zdaje, Corey. My niczego nie ukrywamy, bo w tej sprawie nie istnieje nic poza tym, co ci przed chwilą powiedziałem. Dodam coś jeszcze, chociaż sam powinieneś już wykombinować: gdyby było coś do ukrycia, już byś nie żył.

- Znów mi grozisz. Ja też coś ci powiem: bez względu na to, jak ta

sprawa się skończy, spotkamy się jeszcze raz, żeby wyprostować kwestię twojej śmierci.

- Nie mogę się doczekać.

- Ja tym bardziej. - Nash wyciągnął rękę w moją stronę, ale nie byliśmy dostatecznie blisko, więc pewnie chciał odzyskać swój pistolet. - Właśnie groziłeś, że mnie zabijesz, i chcesz, żebym oddał ci broń? Czyżbym czegoś nie rozumiał?

- Powiedziałem ci, gdybym chciał cię zabić, już byłbyś martwy. Ale ponieważ najwyraźniej wierzysz w to, co ci ujawniłem, nie ma potrzeby cię zabijać. Ale muszę odzyskać swoją broń.

- Dobrze, ale obiecaj, że nie będziesz celował w moją stronę ani próbował wyciągnąć ze mnie, co wiem o tej sprawie.

- Obiecuję.

- Słowo skauta?

- Dawaj ten pieprzony pistolet.

Wyjąłem Glocka zza paska i rzuciłem na piasek. Zatrzymałem magazynek.

- Po naszym następnym spotkaniu nie będziesz musiał udawać nieboszczyka - obiecałem, odwracając się.

- Jak spotkasz się z Kate na lotnisku, przekaż jej, że żyję i niedługo zadzwonię! - zawołał Nash.

Teda Nasha należało ukatrupić niezwłocznie, ale ja potrzebowałem dreszczyku podniecenia, na który będę czekał z niecierpliwością.

Rozdział 42

Teraz, kiedy wiedziałem, że naprawdę ktoś mnie śledził i chciał wykończyć, nie czułem się już takim paranoikiem. Co za ulga.

Wróciłem do Bayview, zmyłem z siebie słoną wodę i piach, przebrałem się w podróżne ubranie i wymeldowałem.

Prowadziłem wynajętego forda taurusa Long Island Expressway. Była sobota, godzina dwudziesta druga pięć. Włączyłem radio na jakąś lokalną stację, w której puszczano Billy'ego Joela i Harry'ego Chapina, a nawiedzony didżej wciskał słuchaczom, że to chłopcy z Long Island. Joey Buttafuoco też był z Long Island, podobnie jak seryjny zabójca Joel Rifkin, ale o tym didżej nie wspomniał.

Ruch był umiarkowany w porywach do dużego. Wykonałem kilka chaotycznych manewrów, żeby zobaczyć, czy ktoś się do mnie przyczepił, lecz wszyscy kierowcy na autostradzie Long Island Expressway to wariaci, toteż nie mogłem stwierdzić, czy na ogonie siedzi mi wyszkolony agent federalny czy zwykły czubek z Long Island.

Zjechałem z autostrady i wjechałem na nią z powrotem, żeby się upewnić. Pod wpływem resztek paranoi spojrzałem przez szyberdach, czy nie unosi się nade mną osławiony czarny śmigłowiec, którego służby bezpieczeństwa państwa w Ameryce używają do śledzenia obywateli. Ale nade mną nie było nic oprócz księżycy i gwiazd.

Na pięć minut włączyłem komórkę, lecz nie było żadnych wiadomości.

Przez chwilę pomyślałem o moim spotkaniu i meczu zapaśniczym z Tedem Nashem. Facet był bezczelny i obleśny jak zawsze i stan tymczasowej śmierci wcale mu nie pomógł. Następnym razem załatwię go osobiście i pójdę na pogrzeb. Ale tymczasem znów kręcił się przy mojej sprawie, próbując zniweczyć moje szlachetne dążenie do prawdy i sprawiedliwości oraz mniej szlachetną chęć wetknięcia kija w tyłek paru bucom.

Szczęka wciąż bolała. Szybkie spojrzenie w lustro w hotelu Bayview ujawniło, że zniknął z niej kawałek naskórka, za to obok pojawił się granatowy siniak. Bolała mnie też głowa. Jest to typowy objaw po spotkaniu z Tedem, bez względu na to, czy wałę go czołem w twarz, czy nie. Odczuwałem również pewien ból w okolicy klejnotów rodzinnych, co samo w sobie stanowiło wystarczający powód, by go udusić.

W ciągu dwudziestu lat służby w policji musiałem zabić tylko dwóch ludzi, obu w samoobronie. Moje osobiste i zawodowe relacje z Tedem Nashem były o wiele bardziej złożone niż przelotne kontakty z dwoma nieznanymi, których musiałem zastrzelić, zatem należało się bliżej przyjrzeć powodom, dla których powinienem skasować Nasha.

Potyczka na plaży powinna była stać się katharsis dla nas obu, lecz w istocie nie usatysfakcjonowała żadnego z nas. Potrzebowaliśmy dogrywki.

Z drugiej strony, jak powiedziałaaby Kate, obaj byliśmy agentami federalnymi wykonującymi pewne zadanie dla naszego kraju, powinniśmy więc starać się zrozumieć żywioł pchający nas do destrukcyjnych aktów słownej i fizycznej przemocy. Powinniśmy porozmawiać o tym, co nas różni, i uznać, że mamy podobne cele i aspiracje, a nawet osobowości, z ta konstatacja powinna nas zjednoczyć, nie zaś prowadzić do konfliktu. Powinniśmy przyznać, że wzajemnie wywołujemy w sobie napięcie emocjonalne, a następnie szczerze i konstruktywnie dążyć do zrozumienia odczuć drugiego.

Albo upraszczając całą sprawę, powinienem był utopić skurwiela jak szczura, a przynajmniej rozwalić go z jego własnego pistoletu.

Napis na tablicy poinformował mnie, że wjeżdżam do okręgu Nassau, a zwariowany didżej ogłosił, że trwa kolejna piękna noc na

pięknej wyspie Long Island, „Od Hampton do Złotego Wybrzeża, od Śliwkowej Wyspy do Wyspy Ognia, od brzegów oceanu do Wielkiej Cieśniny - kołysanie i bujanie, falowanie i balangowanie! Bawimy się na całego!”.

Wal się.

Co do rewelacji pana Nasha, to jego historyjka była bardzo dobra i niewykluczone, że prawdziwa: na taśmie nie zarejestrowano rakiety. Byłoby wspaniale, gdyby to była prawda. Bardzo bym się cieszył, gdyby się okazało, że do katastrofy doszło przypadkowo. Strasznie bym się wkurzył, gdybym się dowiedział, że było inaczej.

Została mi jeszcze jedna karta w tej grze - Jill Winslow. Jednak wiele wskazywało na to, że nie była to Jill Winslow z Old Brookville, do której właśnie jechałem. Właściwa Jill Winslow mogła już nie żyć wraz ze swoim kochankiem. A jeśli nie przestanę węszyć, ja też mogę do nich dołączyć, nawet jeśli nie istnieje żaden spisek związany z tuszowaniem sprawy katastrofy. Myślę, że Ted Nash po prostu chce mnie sprzątnąć, a po tym, co się dzisiaj stało, szefowie zapalą mu zielone światło.

Zjechałem z Expressway i ruszyłem na północ trasą o nazwie Cedrowe Bagno. Nie zauważyłem nigdzie ani cedrów, ani bagna, co należało uznać za okoliczność sprzyjającą. Robię się nerwowo za każdym razem, gdy muszę wytknąć nos poza Manhattan, ale po Jemenie mógłbym spędzić urlop nawet w New Jersey.

Ta część Nassau była mi znana, bo paru detektywów z tego okręgu zostało przydzielonych do sił antyterrorystycznych i razem z nimi prowadziłem obserwację kilku *salaam-salaam* kolesiów, którzy tu mieszkali, pracowali i ogólnie mówiąc, knuli coś paskudnego.

Wzdłuż drogi Cedrowe Bagno znajdowały się duże domy, jakiś prywatny klub oraz kilka posiadłości, które zostały po Złotym Wybrzeżu Long Island.

Skrzyłem w prawo na trasę 25 A, która jest główną arterią prowadzącą przez Złote Wybrzeże. Kierowałem się na wschód.

Musiałem zakładać, że najpóźniej jutro Ted Nash pojedzie do hotelu Bayview, żeby porozmawiać z Rosenthalem o mojej wizycie i o

Jill Winslow. Należało więc działać szybko, lecz problemem z panią Winslow - oprócz późnej godziny - był pan Winslow, który nie miał pojęcia, że jego żona zagrała w seks, kłamstwa i kasetę wideo. W normalnych okolicznościach poczekałbym po prostu, aż pan Winslow uda się w poniedziałek do pracy, lecz Ted Nash szukał krwi, więc nie miałem tyle czasu.

Wioska Old Brookville licząca mniej mieszkańców niż apartamentowiec, w którym mieszkam, ma własną policję stacjonującą przy zbiegu Wolver Hollow Road i trasy 25 A. Posterunek mieści się na północno-zachodnim rogu skrzyżowania i nie można go przeoczyć zdaniem sierżanta Roberta, z którym rozmawiałem.

Na światłach skręciłem w lewo w Wolver Hollow Road, a później wjechałem na mały parking przed budynkiem oznaczonym napisem POSTERUNEK POLICJI W OLD BROOKVILLE. Zegar na tablicy samochodu pokazywał siedemnaście minut po północy.

Na parkingu stały dwa auta. Domyśliłem się, że jedno należy do sierżanta dyżurnego, a drugie do kobiety cywila, która odebrała mój telefon.

Jeśli Ted Nash z CIA lub Liam Griffith z wydziału odpowiedzialności zawodowej FBI mnie śledzili lub umieścili w moim samochodzie nadajnik, to właśnie tutaj pruli.

Przekroczyłem już czas tej gry, a nawet dogrywki. Teraz został mi tylko czas darowany.

Rozdział 43

Wszedłem do niewielkiej poczekalni. Po lewej stronie znajdowała się ściana z pleksiglasu od podłogi do sufitu. Za nią przy wysokim biurku siedziała młoda kobieta, cywilna pomoc policyjna, w tej chwili ziewająca. Napis na tabliczce głosił ISABEL CELESTE WILSON.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała pani Wilson.

- Jestem detektyw John Corey z FBI - odparłem, przysuwając do szyby moje dokumenty. - Dzwoniłem wcześniej i rozmawiałem z panią i sierżantem Robertsem.

- A tak. Proszę poczekać. - Kobieta powiedziała kilka zdań przez interkom i po minucie z drzwi w tylnej ścianie wyłonił się umundurowany sierżant.

Powtórzyłem swoją kwestię, a sierżant Roberts, muskularny facet w średnim wieku, obejrzał moje dokumenty FBI ze zdjęciem. Pokazałem mu też kopię policyjnej gwiazdy i legitymację emerytowanego policjanta. Obaj wiedzieliśmy, że kto raz był gliniarzem, na zawsze nim pozostanie.

Roberts nacisnął przycisk i wpuścił mnie do swojego kantorka na tyłach budynku. Wskazał mi krzesło i usiadł za biurkiem. Jak dotąd nie wyczułem, żeby coś śmierdziało poza moją koszulą.

- Więc jesteś w FBI? - zapytał.

- Tak. Pracuję przy federalnej sprawie zabójstwa i potrzebuję paru informacji o jednym z mieszkańców wioski.

Sierżant Roberts zrobił zdziwioną minę.

- Nie mieliśmy tu żadnego zabójstwa. Kto jest tym mieszkańcem?

- Mogę się skontaktować z jakimś detektywem? - spytałem, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Mamy czterech detektywów - odparł Roberts. - Jeden jest zajęty śledztwem, jeden ma wolne, jeden wziął urlop, a detektyw sierżant jest w domu pod telefonem. Czy to jest bardzo ważne?

- Ważne, ale nie tak, żeby przerywać sierżantowi sen. Jestem pewien, że ty mi możesz pomóc.

- Czego potrzebujesz?

Sierżant Roberts wyglądał na lokalnego glinę z rodzaju tych, którzy wyświadczą ci wszystkie koleżeńskie przysługi, jeśli ich dobrze potraktujesz. Miejmy nadzieję, że nie miał złych doświadczeń z FBI, bo to bywa czasami problemem.

- Zabójstwo nie wydarzyło się na tym terenie. Ma charakter międzynarodowy i być może jest związane z terroryzmem.

- Czy ten mieszkaniec jest podejrzany? - spytał Roberts.

- Nie. Jest świadkiem.

- To dobrze. Nie lubimy tracić podatników. Więc kto to taki?

- Pani Jill Winslow.

- Mówisz poważnie?

- Znasz ją?

- Mniej więcej. Lepiej znam jej męża, Marka Winslowa. Zasiada w radzie planowania wioski. Rozmawiałem z nim parę razy na spotkaniach rady.

- A z nią?

- Spotkałem ją raz czy dwa. Miła kobieta. - Roberts się uśmiechnął. - Kiedyś zatrzymałem ją za przekroczenie prędkości. Przekonała mnie, żebym nie dawał jej mandatu, i wmówiła, że wyświadczą mi przysługę.

Uśmiechnąłem się grzecznie.

- Czy ona pracuje zawodowo?

- Nie.

Zaciekawiło mnie, skąd Roberts o tym wie, ale nie spytałem.

- Pan Winslow jest w radzie planowania? Z moich danych wynika, że pracuje w banku Morgan Stanley.

Sierżant Roberts parsknął śmiechem.

- Taak. W ten sposób zarabia większość forsy. Za pracę w wiosce dostaje się dolara rocznie.

- Naprawdę? To jak wiążesz koniec z końcem za tego dolara?
Roberts znów się roześmiał.
- Mam prawdziwą robotę. Większość stanowisk w wiosce zajmują wolontariusze.
- Poważnie? - Przypominało mi to serialowe miasteczko Mayberry, tyle że mieszkańcy Old Brookville byli w większości bogaci.
- Więc o co chodzi z tą panią Winslow? - spytał sierżant Roberts.
- Gdzie ona widziała to morderstwo?
- Nie mam upoważnienia, żeby mówić o szczegółach. Właściwie nie jestem pewny, czy to ta kobieta, więc chciałbym sprawdzić parę rzeczy. Ile on może mieć lat?
- Roberts pomyślał przez chwilę.
- Około trzydziestu pięciu, może trochę więcej. Czy do zabójstwa doszło za granicą?
- Sierżant Roberts zadawał za dużo pytań, lecz nie dlatego, że był podejrzliwy, tylko wścibski. Coś mi mówiło, że główną gałęzią przemyśłu w Old Brookville jest plotkarstwo. Nie wiedząc, czy Jill Winslow podróżowała za granicę ani czy sierżant Roberts o tym wie, odparłem:
- Incydent zdarzył się na kontynencie w granicach Stanów Zjednoczonych. Czy Winslowowie mają dzieci?
- Roberts nie odpowiedział, tylko obrócił krzesło w stronę komputera i stuknął kilka razy w klawiaturę.
- Mają dwóch synów. Jamesa, lat trzynaście, i Marka juniora, lat piętnaście. Nigdy nie miałem z nimi problemów. - Po chwili dodał: - Obaj są teraz w szkole z internatem.
- Zerknąłem na ekran monitora.
- Masz te wszystkie informacje w komputerze?
- Mniej więcej co rok przeprowadzamy spis mieszkańców - wyjaśnił Roberts.
- Spis mieszkańców?
- Tak. Każdemu funkcjonariuszowi zostaje przydzielony obszar. Rozdajemy kwestionariusze i zadajemy pytania, a odpowiedzi umieszczamy w komputerowej bazie danych. Mamy teczkę każdego.
- W Niemczech i Rosji ten system sprawdził się doskonale.
- Roberts spojrział na mnie z pewną irytacją.

- Wszystko jest dobrowolne.
- To niezły początek.
- Wszyscy na tym korzystają. Wiemy na przykład, czy w domu mieszka osoba niepełnosprawna, czy w obejściu są psy, wiemy, kto pracuje w mieście, i mamy telefony kontaktowe do wszystkich. Informacje te są dostępne w każdym radiowozie przez mobilne terminale. Mamy niski współczynnik przestępstw i chcemy ten stan utrzymać.

- Jasne. Możesz mi powiedzieć, czy na tym terenie mieszka jakaś inna Jill Winslow?

Roberts odwrócił się do komputera.

- Winslowowie podali kilka osób o tym nazwisku jako swoich krewnych, ale nie widzę żadnej Jill Winslow.

- Były jakieś awantury domowe?

Roberts postukał w klawiaturę.

- Nic takiego nie zgłaszano.

To wszystko było trochę dziwne, ale bardzo korzystne. Powinno wprowadzić taką komputerową kartotekę w naszym apartamentowcu.

- Od jak dawna tu pracujesz?

- Od jedenastu lat - odparł Roberts bez zaglądania do komputera. - Czemu pytasz?

- Jestem ciekaw, czy pamiętasz jakieś niecodzienne wydarzenia związane z Winslowami, które miały miejsce mniej więcej pięć lat temu.

Roberts pomyślał przez chwilę.

- Nie przypominam sobie niczego, co zwróciłoby uwagę miejscowej policji.

- A jakieś plotki o Jill Winslow?

- Na przykład...?

- Hm. Czy się puszczala albo coś w tym rodzaju.

Roberts pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale ja tu nie mieszkam. Dlaczego pytasz?

Zignorowałem jego pytanie.

- Co możesz mi o nich powiedzieć? Chodzi mi o pochodzenie, styl życia, tego rodzaju rzeczy.

Sierżant Roberts zastanowił się przez chwilę.

- Mark Winslow pochodzi ze starej rodziny z Long Island. Ona

jest z Halleyów, tak wynika z informacji w spisie. To też stara rodzina. Są zamożni, ale nie obrzydliwie bogaci. On pracuje w mieście, w Morgan Stanley, jak wiesz, i dużo podróżuje służbowo. Jill Winslow zawiadamia nas za każdym razem, kiedy on, ona albo oboje wyjeżdżają. Należą do prywatnego klubu, a on jeszcze do klubu w mieście... - Roberts zerknął na ekran monitora. - ...Union League. Bardzo republikański. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Chciałem wiedzieć, czy to ona jest tą Jill Winslow, która pieprzyła się na plaży wieczorem tego dnia, kiedy rozbił się samolot TWA. Ale może ją samą powinienem o to zapytać.

- Chyba mam ogólny obraz.

- Co to wszystko ma wspólnego z tym, że była świadkiem morderstwa?

Dobre pytanie. Sierżant Roberts był bystrzejszy, niż przypuszczałem. To dla mnie lekcja godna zapamiętania.

- Chodzi o coś więcej, oczywiście. Ale względy bezpieczeństwa narodowego nie pozwalają mi powiedzieć, o co dokładnie.

Patrzyliśmy sobie w oczy.

- W porządku.

Zauważyłem, że radio przez cały czas milczało, ale potem zadzwonił telefon. Roberts podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać z panią Wilson.

Chciałem powiedzieć: „Jeśli to CIA, to mnie tu nie ma”. Nasłuchiwałem uważnie, ale wydawało się, że nic złego się nie dzieje.

- Połącz mnie z nią. Ja to załatwię. Głośna prywatka na powietrzu - rzucił do mnie tonem wyjaśnienia i zaczął rozmawiać z kimś o incydencie.

To było naprawdę inne środowisko. Próbowałem stworzyć sobie wyobrażenie świata, w którym żyła Jill Winslow. Tak jak się domyśliłem, Jill należała do wyższej klasy średniej i miała wiele do stracenia, gdyby jej mąż odkrył, że nie zawsze odwiedza sklepy odzieżowe, kiedy wyjeżdża z domu.

Domyślałem się również, że pan Mark Winslow, bankier inwestycyjny w Morgan Stanley, jest trochę nudziarzem, prawdopodobnie lubi pójść na koktajl do znajomych, pograć w golfa w klubie i że spędza dużo czasu w mieście, w pracy albo z klientami. Może miał tam

kochankę. Nudni, zapracowani i bogaci faceci często miewają pełnotatowe kochanki, które uważają ich za fascynujących.

Od sierżanta Robertsa dowiedziałem się, że pan Winslow czuje się w obowiązku zasiadać w radzie planowania. To było bardzo altruistyczne, a miało jeszcze tę zaletę, że co najmniej raz w miesiącu pozwalało wyjść z domu. Nie mówiąc o tym, że dawało możliwość trzymania szumowin z dala od wioski.

Jednym słowem pani Winslow była najprawdopodobniej znudzona. Przypuszczalnie ona również pracowała jako wolontariuszka, jeździła do miasta do teatru, do muzeów i na zakupy, a także jadała lunchy z koleżankami. Kiedy nie cudzołożyła, rzecz jasna.

Spróbowałem wyobrazić sobie jej kochanka, lecz nie mając żadnych informacji oprócz tych, które podał mi Nash - czyli że ów kochanek był żonaty - mogłem wywnioskować tylko jedno: że posiadał panią Winslow.

Donzuan prawdopodobnie był właścicielem jasnobrązowego forda explorera, a jedno z nich miało kamerę wideo, za pomocą której uwiecznili namiętne chwile spędzone na plaży oraz być może inne podobne. Musieli sobie ufać, bo w przeciwnym razie nie odważyliby się rejestrować potencjalnie bardzo niebezpiecznych aktów niewierności. Przypuszczalnie należeli do tego samego kręgu towarzyskiego, a romans zaczął się od drobnego flirtu na jakimś koktajlu albo dancingu w klubie. Później był lunch, następnie kolacja i wreszcie ciupcianko.

Następne spostrzeżenie: chociaż ci dwoje zachowywali się lekko-myślnie, nie byli lekkomyślni. Ten romans przebiegał w sposób kontrolowany - było to ryzyko wykalkulowane, a nagroda była warta tego ryzyka.

I ostatnie spostrzeżenie: kochankowie nie byli w sobie zakochani. Gdyby byli, wieczór siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, kiedy zobaczyli katastrofę samolotu, byłby dla nich objawieniem - znakiem, że życie jest krótkie, a oni muszą być razem i do diabła z małżonkami, rodzinami i uporządkowanym światem. A Jill Winslow nie mieszkałaby nadal z Markiem Winslowem przy Quail Hollow Lane 12.

Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że jak na mój gust pan Mark

Winslow był ciekawym i atrakcyjnym mężczyzną, kochającym i troskliwym małżonkiem, natomiast pani Jill Winslow - miastową szmatą, a jej kochanek facetem od czyszczenia basenów.

Zrozumienie pani Winslow i świata, w którym żyła, potrzebne mi było do ustalenia, czy zdołam ją przekonać, żeby powiedziała mi dokładnie, co się wydarzyło tego wieczoru i co zostało zarejestrowane na taśmie wideo. Jeśli wyjawiała Nashowi prawdę, to był to koniec zabawy i mogłem jechać do domu i rozciągnąć się na moim ulubionym szezlongu. Jeśli Nash coś przede mną zataił albo ona mu czegoś nie powiedziała, to nie był to koniec, lecz początek i powtórne otwarcie sprawy. Nie miałem pojęcia, które rozwiązanie bardziej mi odpowiada.

Sierżant Roberts odłożył słuchawkę.

- Typowa sobotnia noc, mnóstwo prywatek. Przeważnie dzieciaki się rozrywają, bo rodzice gdzieś pojechali, zostawiając wolną chatę. - Przez policyjne radio połączył się z patrolem i podał koledze adres, pod którym odbywała się hałaśliwa zabawa. - Dzisiaj mam na ulicach cztery radiowozy. Czasem odbieram sygnał od firm ochroniarskich o włączeniu się alarmu, niekiedy zdarza się wypadek drogowy, a niekiedy dzwonią dwie starsze panie, które słyszą, jak ktoś skrada się koło domu.

Ciągle te same starsze panie.

Opowiadał mi o codziennych kłopotach policjanta pilnującego porządku w małym miasteczku, w którym mieszkańcy uważają policję za dodatek do służby domowej. Nie było to zbyt ciekawe, ale nasunęło mi pewien pomysł.

- Wiesz, czy Winslowowie wyjechali? - zapytałem.

Roberts wystukał coś na klawiaturze.

- Nie mam takiej informacji.

- Znasz numer ich telefonu domowego?

Sierżant znów stuknął w klawiaturę.

- Mam większość zastrzeżonych numerów, ale nie wszystkie... - Spojrzał na ekran. - Jest ich numer. Potrzebujesz go?

- Dzięki.

Roberts zapisał numer na kartce i podał mi. Muszę pamiętać, żeby powiedzieć Domowi Fanellemu o tej lokalnej policji i eleganckiej bazie danych, jakby wziętej prosto z Orwella.

- Jeśli chcesz do nich zadzwonić lub złożyć wizytę w ich domu, powinieneś wiedzieć, że Mark Winslow to facet, który bez swojego adwokata nie odpowie na pytanie nawet o telewizyjny quiz - uprzedził mnie sierżant Roberts. - Więc jeśli chcesz pogadać z nią, musisz się go pozbyć, bo inaczej będziesz miał do czynienia z adwokatem. Ale nie usłyszałeś tego ode mnie, dobra?

- Rozumiem. - Miałem nawet ważniejszy powód, żeby nie chcieć spotkać się z panem Winslowem. - Wyświadczyć mi przysługę i zadzwoń do nich.

- Teraz?

- Tak. Muszę mieć pewność, że są w domu.

- Okay... mam coś powiedzieć? Na wyświetlaczu ich telefonu ukaze się nazwa „Policja Brookville”.

- Powiedz panu Winslowowi, że zwołano nadzwyczajne spotkanie rady planowania miasta. Właśnie się dowiedziałeś, że na głównej ulicy otwierają hiszpańskojęzyczny klub towarzyski.

Roberts parsknął śmiechem.

- Taak. Wtedy całe miasteczko wyległoby na ulice.

Uśmiechnąłem się z tego niepoprawnego politycznie żartu.

- A może powiedzieć mu, że ktoś podejrzany kręci się w okolicy jego domu? Że właśnie włączył się jakiś alarm gdzieś w pobliżu.

- Okay...

Roberts wybrał numer.

- Daj rozmowę na głośniki.

Sierżant nacisnął guzik i usłyszałem dzwonek telefonu. Po czwartym odezwał się męski głos.

- Pan Winslow? - zapytał sierżant.

- Tak?

- Panie Winslow, mówi sierżant Roberts z posterunku policji w Old Brookville. Przepraszam, że niepokoję pana o tej godzinie, ale dostaliśmy zawiadomienie, że ktoś podejrzany kręci się w okolicy państwa domu. Włączył się alarm w jednym z budynków i chciałem zapytać, czy pan coś widział lub słyszał.

Mark Winslow odchrząknął i pomyślał przez chwilę.

- Nie... właśnie wróciłem... jakieś dwie godziny temu - odparł.

- W porządku. Proszę się nie denerwować. Poślemy tam radio-wóz. Niech pan zamknie drzwi i okna i sprawdzi, czy alarm jest włączony. I proszę do nas zadzwonić, w razie gdyby coś pan zobaczył lub usłyszał.

- Dobrze... tak zrobię...

Przyszło mi na myśl, że Winslow mówi jak Rosenthal o pierwszej w nocy. Dałem Robertsowi znak, żeby dopuścił mnie do głosu.

- Jest tutaj...

- Policji okręgu - odpowiedziałem szeptem.

- Jest tutaj funkcjonariusz z policji okręgu, który chciałby zamienić z panem kilka słów.

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale prowadzimy dochodzenie w sprawie serii włamań na tym terenie. - Musiałem przejść do rzeczy, zanim facet się obudzi i zacznie podejrzewać, że coś tu śmierdzi. - Będzie pan rano w domu, gdybym przyszedł?

- Mm... nie, gram w golfa...

- O której pan zaczyna?

- O ósmej. Śniadanie o siódmej. W klubie.

- Rozumiem. A pańska żona będzie w domu?

- Idzie do kościoła na dziesiątą.

- A dzieci?

- Przebywają w szkole. Czy są powody do niepokoju?

- Nie, proszę pana. Chcę rozejrzeć się po terenie i podwórkach za dnia, więc proszę przekazać żonie, żeby się nie denerwowała, kiedy przyjdę. Oddaję słuchawkę sierżantowi Robertsowi.

- Przepraszam, że tak późno zadzwoniłem, ale chciałem sprawdzić, czy wszystko u państwa w porządku - wyjaśnił Roberts.

- Nie ma za co przepraszać. Dziękuję za telefon.

Sierżant Roberts rozłączył się i powiedział do mnie, na wypadek gdybym nie słuchał uważnie:

- Jutro gra w golfa.

- Tak. Zadzwoni do niego około szóstej trzydzieści rano, powiedz, że złapaliście tego włamywacza i że policja okręgu będzie szukać o świcie dowodów.

Sierżant Roberts zanotował sobie moją prośbę i spytał:

- Pójdiesz tam jutro rano, żeby z nią pogadać?

- Tak.
- Czy to najazd z przesłuchaniem?
- Nie. Tylko rozmowa ze świadkiem.
- Wygląda mi na coś więcej.

Nachyliłem się w stronę Roberta.

- Zdradzę ci coś, ale to nie może wyjść poza ściany tego pomieszczenia.

Roberts skinął głową i czekał.

- Jill Winslow może grozić niebezpieczeństwo z powodu tego, co widziała.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Dziś w nocy będę obserwował dom państwa Winslowów. Powiedz swoim ludziom, żeby nie przejmowali się szarym fordem taurusem zaparkowanym na Quail Hollow Lane, dobrze? Pozostaniemy przez całą noc w kontakcie, na wypadek gdybym potrzebował wsparcia. Masz zapasowe radio?

- Mam jedno naręczne, z którego możesz korzystać.

Chciałem zapytać Roberta, czy ma gdzieś pod ręką zapasowego gnata, ale to byłoby nadużycie jego gościnności.

- O której godzinie schodzisz ze służby?

- O ósmej. Mam dyżur od północy do ósmej.

- Zadzwoń przed ósmą, jeśli Winslow nie wyjdzie z domu na śniadanie w klubie. Wtedy będziesz musiał go stamtąd jakoś wyciągnąć. Okay?

- Okay... Wstałem.

- Jak dojechać do Quail Hollow Lane dwanaście? Sierżant Roberts dał mi plan Old Brookville wydany przez

Real tora i zaznaczył pisakiem trasę. Wręczając mi radio, powiedział:

- Częstotliwość jest nastawiona. Ja będę kwaterą główną, a ty będziesz wozem zero. - Uśmiechnął się.

- Zgoda. Gdyby dzwonił któryś z agentów federalnych albo gdyby przyjechał, wywołaj mnie przez radio.

- Zrobi się.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Dopilnuję, żeby podziękowano ci za współpracę. Później podzucę radio.

Opuściłem mały posterunek policji w Old Brookville. Boże, ale nawcisnąłem kitu. Może nawet mógłbym nakłonić sierżanta Roberta, żeby aresztował Teda Nasha, gdyby ten się zjawił.

Była chłodna, jasna noc. Na niebie migotały gwiazdy, natomiast nie widziałem żadnych czarnych śmigłowców. Kilka samochodów przemknęło trasą 25 A, ale poza tym panował spokój. Jeśli nie liczyć rehotania rzekotek.

Wsiadłem do wypożyczonego auta, dojechałem do drogi Cedrowe Bagno i zgodnie ze wskazówkami sierżanta Roberta ruszyłem na północ.

Zakładając, że Ted Nash nie porozmawiał jeszcze z Rosenthalem i nie odkrył, że znam nazwisko Winslow, i zakładając, że to była właścicielka Jill Winslow, jakiś czas po wyjściu pana Winslowa na partyjkę golfa poznam odpowiedzi na pytania, o których istnieniu nawet nie miałem pojęcia, dopóki Kate uprzejmie się nimi ze mną nie podzieliła. Od tego czasu wynagrodzono mnie wycieczką do Jemenu, zmartwychwstaniem Teda Nasha oraz ewangelią według tegoż. Czy to nie cudowne?

Kiedy w poniedziałek będę odbierał Kate z lotniska - zakładając, że nie będę wtedy z powrotem w Jemenie, za kratkami albo martwy - mogę do niej powiedzieć: „Witaj w domu. Mam dobre i złe wieści. Dobra jest taka, że znalazłem tę panią z plaży. A zła jest taka, że Ted Nash żyje i chce mnie zamordować”.

Rozdział 44

Przejechałem kutą metalową bramę Banfi Vintners, a następnie zgodnie ze wskazówkami sierżanta Roberta skręciłem na drogę o nazwie Kurza Dolina. Szosa była ciemna, więc zwołniłem i włączyłem długie światła na wypadek, gdyby po drodze płątał się drób. Po kilku minutach zobaczyłem tablicę z napisem Quail Hollow Lane. Skręciłem w prawo i pojechałem wąską, wijącą się drogą.

Ledwo widziałem domy, nie mówiąc o numerach, lecz przy ulicy stały skrzynki pocztowe, dzięki czemu mogłem wypatrzeć dwunastkę. Zjechałem na żwirowe pobocze, zgasilem światła oraz silnik i wysiadłem.

Za długim podjazdem z drzewami po bokach rysowała się w mroku sylwetka imponującego domu z czerwonej cegły w stylu georgiańskim, usadowionego na wznoszącym się zboczu. W jednym z pomieszczeń na górze paliło się światło. Po chwili zgasło.

Wsiadłem do samochodu, przekręciłem kluczyk w stacyjce i włączyłem radio. Zegar na tablicy pokazywał drugą siedemnaście. Przygotowałem się na długą, spędzoną w niewygodzie noc.

Szurnięty didżej, nazywający siebie Jackiem Wilkołakiem, wył i warczał, a ja zastanawiałem się, czy nie jest to przypadkiem Jack Koenig, który reaguje w ten sposób na blask księżyca.

Jack Wilkołak odbierał telefony od słuchaczy. Podejrzewałem, że większość dzwoni z pobliskiego zakładu psychiatrycznego. Jeden z

nich ryknął: „Hej, Wilkołak, tu Dave z Garden City!”.

„Hej, Dave! - wrzasnął Wilkołak. - Co mogę dla ciebie zrobić, koleżko?”.

„Chcę usłyszeć piosenkę U2 «Nie pragnę niczego prócz ciebie» i pragnę ją zadedykować mojej żonie Liz, która jest na mnie wściekła”.

„Załatwione, Dave! Liz, słyszysz mnie? To od twojego kochającego męża Dave'a, tylko dla ciebie, skarbie!”.

Bono zaczął zawodzić „Nie pragnę niczego oprócz ciebie”.

Kusiło mnie, żeby zmienić stację, ale uświadomiłem sobie, że tej nocy potrzebny mi jest właśnie Jack Wilkołak.

Co jakiś czas trzeszczało policyjne radio; to któryś z patroli wywoływał cywilną operatorkę albo odwrotnie. Wywołałem Robertsa i przypomniałem mu, żeby dał mi cynk, jeśli zjawi się jakiś agent federalny. Wiedziałem jednak, że w takim wypadku raczej nie mogę liczyć na sygnał od sierżanta, bo Nash i spółka nie udaliby się na policję w Old Brookville, tylko podjechali tutaj i zdjęli mnie od razu.

Ziewnąłem i zasnąłem, a potem obudziłem się i znów odpłynąłem. Jack Wilkołak pożegnał się o trzeciej, lecz obiecał, że wróci jutro i znów będzie dawał słuchaczom do wiwatu. Stacja zakończyła nadawanie programu hymnem. Usiadłem i siedziałem wyprostowany do samego końca. Później przełączyłem radio na kanał informacyjny. Około czwartej przejechał radiowóz z Old Brookville. Pomachaliśmy sobie.

Znów odpłynąłem w sen, a kiedy się obudziłem, z południowego wschodu nadchodził błady świt. Było dwadzieścia dziewięć po piątej. Wywołałem przez radio sierżanta Robertsa.

- Zadzwonił o wpół do siódmej do Winslowa i powiedz mu, że włamywacz został zatrzymany - przypomniałem. - W Sielankowie zaczął się kolejny beztroski dzionek, w sam raz na grę golfa.

Sierżant Roberts zachichotał.

- Powodzenia z panią Winslow.

- Dzięki.

O szóstej czterdzieści pięć w potrójnym garażu Winslowów rozsunęły się automatyczne drzwi i wyjechał z nich szary mercedes. Na końcu długiego podjazdu samochód skręcił w moją stronę. Mogłem zerknąć na Marka Winslowa, od którego przez przednią szybę biła oślepiająca nuda. Zsunąłem się nisko i poczekałem, aż przejedzie.

Nie chciałem zbyt wcześnie zrywać z łóżka Jill Winslow, więc trochę poczekałem.

Z trawników otaczających okazałe domy unosiła się mgła, śpiewały ptaki, nad daleką linię drzew wypłynęło słońce. Jakies dzikie zwierzę przemknęło przez drogę. Może lis. Rozglądałem się za przepiórką, ale nie byłem pewny, jak wygląda przepiórka ani skąd wiadomo, że jest wydrążona*. Trudno było uwierzyć, że centrum Manhattanu znajduje się nie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od tych niebezpiecznych pierwotnych ostępów. Nie mogłem się doczekać, kiedy postawię stopy z powrotem na twardym betonie.

* Hollow Quail Lane można przetłumaczyć jako Ulica Wydrążonych Przepiórek.

Spojrzałem na dom Winslowów. Żywiłem głęboką nadzieję, że pani Winslow nie przyznała się do wszystkiego przed Nashem i Griffithem - mimo że Nash wciskał mi bzdury na temat poligrafii - i że będzie gotowa oczyścić duszę i sumienie w mojej obecności, nawet jeśli oznaczałoby to wyrzeczenie się tego wszystkiego, na co właśnie patrzyłem. Mało prawdopodobne. Ale nigdy nie wiadomo na pewno, dopóki nie zapytasz.

Przejechało kilka samochodów. Kierowcy spoglądali na mnie. Zanim zdążyli zadzwonić po policję, uruchomiłem silnik i wjechałem na długi podjazd. Zatrzymałem się na brukowanym miejscu do parkowania przed domem. Była siódma trzydzieści dwie. Wziąłem policyjną krótkofalówkę, wysiadłem, wszedłem na schody i nacisnąłem dzwonek.

Ile razy to robiłem jako gliniarz z wydziału zabójstw? Ileż razy dzwoniłem, żeby poinformować kogoś o tragedii albo żeby wejść na minutę i zadać kilka rutynowych pytań? Ile nakazów rewizji wykonałem, a ile nakazów aresztowania?

Raz na jakiś czas dzwoniłem z kondolencjami, ale czasem przynosiłem dobrą wiadomość.

Nigdy nie wpadłem w rutynę, ale też nigdy nie było to zbyt przyjemne.

Nie miałem pojęcia, co mnie spotka w tym wielkim domu, lecz byłem pewny, że w ciągu najbliższej godziny niejedno życie ulegnie zmianie.

Rozdział 45

Usłyszałem elektroniczny ptasi pisk. Z głośnika wydobył się kobiecy głos, którego jakość była gorsza niż jakość dźwięku w grach elektronicznych.

- Kto tam? - zapytała kobieta.

Podniosłem głowę i zobaczyłem skierowaną na mnie kamerę systemu alarmowego.

- Detektyw Corey - odparłem. Przystawiłem dokumenty do kamery i już miałem powiedzieć: „Słoń Jumbo, roznoszę biały serek”, ale ugryzłem się w język. - Wczoraj wieczorem rozmawiałem przez telefon z pani mężem.

- A, tak. Przykro mi, ale nie ma go w domu.

Mnie nie było przykro.

- Chciałbym porozmawiać z panią kilka minut w związku z tym włóczką, który się tu kręcił.

- Dobrze... za chwilę.

Czekałem. Po kilku minutach duże drzwi frontowe się otworzyły.

Jill Winslow naprawdę była atrakcyjną kobietą. Miała nieco więcej niż trzydzieści pięć lat, kasztanowe włosy obcięte na pazia, duże brązowe oczy i ładne rysy twarzy. Miała także ładną opaleniznę, ale moja była ładniejsza.

Pani Winslow była ubrana w biały szlafrok. Moje oczy prześwietliły ubranie niczym promienie X, a mój nieprzyzwoity umysł wykrył pod nim ładne ciało. Kobieta się nie uśmiechała, ale nie marszczyła też czoła. Uśmiechnąłem się, pani Winslow też zmusiła się do uśmiechu. Podniosłem legitymację FBI.

- Przepraszam, że przychodzę tak wcześnie, ale nie zabiorę pani dużo czasu - zapewniłem.

Kobieta skinęła głową i zaprosiła mnie gestem do środka.

Podążyłem za nią do dużego, statecznie urządzonego foyer, a następnie do przestronnej kuchni w stylu country. Wskazała okrągły stół obok dużego wykuszowego okna zalanego słonecznym światłem.

- Właśnie piję kawę - powiedziała. - Chce pan?

- Tak, dziękuję. - Usiadłem i położyłem krótkofalówkę na stole.

Kobieta podeszła do blatu i zaczęła parzyć kawę.

Dom wyglądał mi na zbudowany za „stare” pieniądze: było tam mnóstwo antyków, które osobiście uważam za przeżarte przez robactwo kawały spróchniałego drewna, utrzymujące się w całości tylko dzięki pleśni. Ale co ja tam wiem?

- Zanim pan przyszedł, zadzwonił Ed Roberts z policji i powiedział, że złapali tego włóczęgę - oznajmiła kobieta, napełniając czajnik.

- Zgadza się.

- Więc co mogę dla pana zrobić, panie...?

- Corey. Prowadzę śledztwo uzupełniające.

Gospodyni wyjęła z szafki dwie filiżanki, postawiła je na tacy i odwróciła się do mnie.

- I jest pan z policji okręgu?

- Niezupełnie.

Kobieta milczała.

- Jestem z FBI.

Skinęła głową. Widziałem, że nie jest zaskoczona ani skosternowana. Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund i już nie miałem wątpliwości, że rozmawiam z Jill Winslow, która przed pięcioma laty zwinęła z hotelu Bayview kasetę z filmem *Kobieta i mężczyzna*.

- Czy ostatnio odwiedzał panią albo dzwonił jakiś agent FBI? - spytałem.

Jill Winslow zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wie pani, dlaczego tu jestem.

Gospodyni skinęła głową.

- Pojawiły się pewne nowe informacje i pomyślałem, że mogłaby mi pani pomóc.

- Przerabialiśmy to wszystko - powiedziała pani Winslow, wzdychając.

Miała akcent wskazujący na pochodzenie z wyższej klasy społecznej, miękkiej, lecz wyrazistej jak bicie dzwonu. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Musimy przerobić jeszcze raz - oznajmiłem.

Wciąż na mnie patrzyła, a jedyną rzeczą, która się poruszała, była jej głowa. Pokręciła nią, ale nie odmownie. Ten ruch raczej wyrażał smutek.

Jill Winslow trzymała się dobrze i nawet o tej godzinie, bez ubrania i makijażu wyglądała jak dobrze wychowana kobieta, która w tym domu jest u siebie.

Mimo to - a może dlatego, że wiedziałem, iż oddawała się zabawie w seks, kłamstwa i kasetę wideo - było w niej coś, co sugerowało, że ta patrycjuszka ma także drugą, dziką stronę swojej natury.

Gospodyni odwróciła się i umieściła na tacy śmietankę, cukier, serwetki i łyżeczki.

Nie widziałem jej twarzy, lecz ręce poruszały się pewnie. Stojąc do mnie tyłem, powiedziała:

- Parę miesięcy temu, w lipcu, oglądałam w telewizji mszę rocznicową ku czci ofiar katastrofy. Trudno uwierzyć, że minęło już pięć lat.

- Rzeczywiście. - Dmuchałem sobie w dłoń, żeby sprawdzić oddech, który cuchnął już gorzej niż brzydko, i dyskretnie powąchałem koszulę.

Pani Winslow odwróciła się i przyniosła tacę z dzbankiem. Wstałem, a ona postawiła tacę na stole.

- Proszę się częstować - zaprosiła.

- Dziękuję.

Usiedliśmy oboje.

- Właśnie wróciłem z Jemenu i jestem trochę... wymiętoszony.

Widziałem, że Jill Winslow zauważyła strup i siniak na mojej brodzie.

- Co pan robił w Jemenie? - zapytała. - A może nie wolno panu o tym mówić?

- Prowadziłem śledztwo w sprawie ataku na niszczyciel USS „Cole”. Zajmuję się walką z terroryzmem.

Pani Winslow nie odpowiedziała, ale miała świadomość, do czego zmierzam. Nalałem kawy do dwóch filiżanek.

- Dziękuję - powiedziała gospodyni.

Wyłączyłem policyjne radio i napiłem się kawy. Nie była zła.

- Mój mąż gra dzisiaj w golfa - oznajmiła Jill Winslow. - A ja idę na mszę o dziesiątej.

- Wiem. Powinniśmy skończyć, zanim zacznie się pani szykować do kościoła. Jeśli chodzi o pana Winslowa, to ta sprawa, zgodnie z obietnicą złożoną pani pięć lat temu, nie będzie go dotyczyć.

Pani Winslow skinęła głową.

- Dziękuję.

Nalałem sobie drugą filiżankę kawy; Jill Winslow piła powoli pierwszą kawę.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Tedem Nashem, który prowadził to śledztwo na początku. Pamięta go pani?

Jill Winslow skinęła głową.

- A parę tygodni temu odbyłem rozmowę z Liamem Griffithem. Jego też pani pamięta?

Pani Winslow znów skinęła głową.

- Kto jeszcze panią wtedy przesłuchiwał?

- Mężczyzna, który przedstawił się jako pan Brown z Narodowej Rady Transportu.

Opisałem jej Jacka Koeniga, sugerując, że facet chodzi ze stałym prętem w tyłku.

- Nie jestem pewna. Nie wie pan tego?

Zignorowałem jej pytanie.

- Ktoś jeszcze?

- Nie.

- Podpisała pani zeznanie?

- Nie.

- Czy nagrano pani wypowiedź na taśmie wideo lub audio?

- Nie... o ile mi wiadomo. Ale ten, który nazywał się Griffith, robił notatki.

- Gdzie odbywały się te rozmowy?

- Tutaj.

- Tu, w tym domu?

- Tak. Kiedy mój mąż był w pracy.

- Rozumiem. - To nietypowe, ale zdarza się, jeśli przesłuchiwany świadek jest przyjazny lub tajny. Najwyraźniej nie chciano wlec Jill Winslow do siedziby FBI. - A ten pan, który był wtedy z panią?

- Co z nim?

- Gdzie był przesłuchiwany?

- Wydaje mi się, że przesłuchania odbywały się w jego biurze. Czemu pan pyta?

- Sprawdzam, czy stosowano się do procedur i wytycznych.

- Jakie nowe informacje się pojawiły i czego pan ode mnie oczekuje? - zapytała Jill Winslow.

- Nie mam upoważnienia, by rozmawiać o nowych informacjach. A od pani oczekuję wyjaśnienia pewnych rzeczy.

- Na przykład jakich?

- Na przykład aktualnych informacji o pani stosunkach z tym dżentelmenem. - Oraz jego nazwiska.

Jill Winslow była nieco poirytowana lub zniecierpliwiona.

- Nie wiem, jakie to ma teraz znaczenie, ale jeśli musi pan to wiedzieć, to od tamtego wydarzenia nie jestem związana z Budem.

Bud.

- Ale widuje się pani z nim i rozmawia.

- Od czasu do czasu. Spotykamy się na przyjęciach albo w klubie.

To nieuniknione i niezręczne.

- Och, wiem. Ja ciągle wpadam na Manhattanie na moją byłą żonę i byłe dziewczyny - wyznałem z uśmiechem.

Jill Winslow też się uśmiechnęła.

- Rozmawiał pan z nim? - spytała gospodyni.

- Nie. Najpierw chciałem pomówić z panią. On wciąż mieszka pod tym samym adresem?

- Tak. Pod tym samym adresem, z tą samą żoną.

- I wykonuje tę samą pracę?

- Tę samą.

- Wie pani, czy jest w mieście?

- Chyba tak. Widziałam go na przyjęciu w dniu Święta Pracy... -

Jill Winslow spojrzała na mnie. - Kiedy go spotykam... nie rozumiem dlaczego...

- Nie wie pani, co w nim widziała.

Pani Winslow skinęła głową.

- Nie było warto.
- Później zawsze się tak wydaje. Ale kiedy to się dzieje, jest całkiem inaczej.
- Chyba tak - przyznała z uśmiechem gospodyni.
- Pewnie jest pani rozczarowana, że on podał FBI pani nazwisko. Uważa pani, że powinien panią chronić.

Jill Winslow wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że nie mógł. Oni byli bardzo przekonujący... prawie grozili... ale silniejszy mężczyzna poradziłby sobie... - Roześmiała się. - Myślę, że opierał się przez jakieś trzy minuty.

Uśmiechnąłem się.

- Proszę nie gniewać się za bardzo na Buda. Jako obywatel postąpił słusznie.

- Bud robi to, co jest słuszne dla Buda - stwierdziła Jill Winslow, a potem dodała: - Gdyby agenci FBI przyszedli najpierw do mnie i szukali Buda, pewnie postąpiłabym tak samo jak on. Ale dopiero to, co stało się później, uświadomiło mi, że to...

- Mięczak.

Jill Winslow się roześmiała.

- Tak, mięczak. I tchórz. Nie džentelmen.

- Dlaczego?

- Hm... Ja chciałam, żebyśmy skontaktowali się z FBI w związku z tym, co zobaczyliśmy i nagraliśmy na taśmie. On nie chciał. A później, kiedy go znaleźli, powiedział, że to ja nie chciałam się ujawnić. To było okropne... nie okazywał mi wsparcia i myślał tylko o sobie.

- Musi być prawnikiem.

Jill Winslow roześmiała się miękkim, gardłowym śmiechem. Chyba nawiązywałem z nią dobry kontakt, a to była właściwa droga postępowania. Drugą metodą jest zastraszenie, lecz Jill Winslow bez wątpienia została mu poddana pięć lat temu i prawdopodobnie został w niej pewien opór.

Dotknąłem strupa na brodzie.

- Ta rana wygląda na otarcie naskórka. Chce pan coś do niej przyłożyć?

- Nie, dziękuję. Namoczyłem całość w słonej wodzie.

- Och... jak to się stało?

- W *kasbah* w Adenie napadli mnie arabscy zabójcy. To w Jemenie. - Zrobiłem pauzę i wyjaśniłem: - Żartuję. Ma pani plaster?

- Tak, chwileczkę. - Gospodyni podeszła do szafki, wyjęła apteczkę pierwszej pomocy i wróciła do stołu. Podała mi plaster i maść z antybiotykiem.

- Dziękuję. - Posmarowałem strup maścią i odpakowałem plaster. Pani Winslow stała nade mną jakby chciała mi pomóc, ale sam nakleiłem plaster.

- Musi pan utrzymywać ranę w czystości - poradziła mi.

Była miłą kobietą, polubiłem ją. Niestety za dziesięć minut przestanie mnie lubić. Położyłem papieraś od plastra na stole; Jill Winslow zerknęła na niego. Przez dłuższą chwilę siedziałem w milczeniu.

- Czemu pyta mnie pan o Buda i moje kontakty z nim? - spytała Jill Winslow.

- Zdaje się, że istnieją pewne niespójności między tym, co pani wtedy powiedziała, i jego zeznaniem. Proszę mi powiedzieć, co stało się z kasetą po tym, jak obejrzeliby państwo w hotelu Bayview.

- A co powiedział Bud?

- Pani niech mi to powie.

- Dobrze... Obejrzeliliśmy nagranie, a potem on upierał się, żeby je skasować. Ja nie chciałam. Skasowaliśmy je i wyjechaliśmy z hotelu.

Nie zgadzało się to z tym, co powiedział mi kochany stary Ted. Ale teraz wszystko zaczynało do siebie pasować.

- Chciałbym, żeby opowiedziała mi to pani ze szczegółami, okay? Odeszliście z plaży i co?

- Cóż, ja zaczęłam oglądać przez wizjer to, co zarejestrowaliśmy... wybuchający samolot... - Jill Winslow zamknęła oczy i zaczerpnęła głęboko tchu. - To było straszne. Okropne. Nigdy więcej nie chcę czegoś takiego zobaczyć.

Skinąłem głową, a Jill Winslow przeniosła wzrok na filiżankę. Miałem wrażenie, że pięć lat temu mogła być inną kobietą. Pewnie trochę szczęśliwszą i bardziej ożywioną. To, co się stało siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, wstrząsnęło nią, a to, co nastąpiło później, rozczarowało i pozostawiło w niej niechęć, a może i lęk. Poza tym był jeszcze Mark Winslow, którego

twarz zobaczyłem za szybą mercedesa. A ona wciąż tu była, pięć lat później, i wiedziała, że pozostanie jeszcze długo. Życie to niekończący się ciąg kompromisów, rozczarowań, zdrad i zastanawiała się nad tym, co mogło być. Raz na jakiś czas udaje się za pierwszym razem, rzadziej dostajesz szansę naprawienia błędu przy drugim podejściu. Chciałem dać Jill Winslow szansę zrobienia czegoś po raz drugi i miałem nadzieję, że z niej skorzysta. Gospodyni się opanowała.

- Więc obejrzała pani eksplozję przez wizjer.

Jill Winslow skinęła głową.

- A Bud siedział za kierownicą.

- Tak. Powiedziałam: „Zatrzymaj się, musisz to zobaczyć” albo coś w tym rodzaju.

- Co odpowiedział?

- Nic. „Mamy wszystko na taśmie”, dodałam.

Siedziałem przez dłuższą chwilę i chciałem zadać to pytanie, ale zarazem nie chciałem. Jednak przyjechałem tam po to, by pytać.

- Widziała pani na taśmie smugę światła?

Jill spojrzała na mnie.

- Oczywiście.

Wyrzależem przez okno wychodzące na podwórze. Było tam duże patio wykładane terakotą, a dalej basen i mniej więcej akur wymodelowanego ogrodu. Róże wciąż prezentowały się dobrze. Oczywiście, powiedziała Jill.

Nalałem sobie następną filiżankę kawy i odchrząknąłem.

- I ta smuga nie była odbiciem w wodzie strumienia płonącego paliwa?

- Nie. - Jill Winslow zamilkła na chwilę. - Zobaczyłam... To, co wznosiło się od powierzchni oceanu... cokolwiek to było... Zobaczyłam to na własne oczy, zanim obejrzałam ponownie na taśmie.

- Stała pani na plaży?

Jill Winslow milczała przez kilka sekund.

- Siedziałam na plaży i... zobaczyłam tę smugę światła wznoszącą się w niebo... Powiedziałam coś do Buda, a on wyprostował się i odwrócił w tamtą stronę. Oboje patrzyliśmy, jak się wznosi, a po kilku

sekundach nastąpiła ogromna eksplozja na niebie... zaczęły spadać jakieś płonące fragmenty albo coś podobnego... a później runęła ta ogromna kula ognia... a potem, może po minucie, usłyszeliśmy huk...

Ta relacja nie przypominała mi tego, co usłyszałem od mistrza wstawiania kitu. Ale nie byłem zaszokowany tą niebagatelną rozbieżnością.

- W raporcie, który czytałem, napisano, że kiedy samolot eksplodował, państwo wciąż się kochaliście i dopiero odgłos wybuchu zwrócił państwa uwagę mniej więcej czterdzieści sekund później.

Jill Winslow energicznie pokręciła głową.

- Skończyliśmy się kochać. - Jill Winslow się zaczerwieniła. - Siedziałam na nim i spoglądałam w morze...

- Dziękuję. Wiem, że czuje się pani skrępowana, mówiąc o tym. Będę pytał o te szczegóły tylko wtedy, gdy będzie to konieczne.

Jill Winslow skinęła głową.

- To było bardzo krępujące pięć lat temu, opisywanie tego wszystkiego, ale mam to już za sobą... Czuję się prawie tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło albo przytrafiło komuś innemu.

- Rozumiem. Dobrze, więc kiedy samolot eksplodował, co państwo zrobili?

- Pobiegliśmy do wydmy, gdzie leżały nasze rzeczy.

- Bo?

- Bo wiedzieliśmy, że wybuch ściągnie ludzi na plażę albo na Wydmy Szlak... byliśmy nadzy, więc pobiegliśmy do wydmy, ubraliśmy się, złapaliśmy kamerę i trójnog i popędziliśmy do samochodu.

- Do forda explorera, który należał do Buda.

- Tak. - Jill pomyślała przez chwilę. - Patrząc z perspektywy czasu, gdybyśmy poświęcili kilka minut więcej na zabranie koca, lodówki i reszty... nie wiedzieliśmy, że zostawiliśmy na kocu osłonę obiektywu... nie myśleliśmy o niczym oprócz tego, żeby stamtąd uciec.

- Jestem pewny, że Bud rozmyślał o tym później wiele razy - zauważyłem.

Jill Winslow uśmiechnęła się i skinęła głową.

Miałem wrażenie, że moje nieprzychylnie uwagi na temat Buda trafiały na podatny grunt, toteż dodałem:

- Równie dobrze mógł zostawić na plaży swoją wizytówkę.

Jill się roześmiała.

Co ważniejsze, nie musiałem stosować polityki dziel i rządź, bo Jill i Bud już byli rozdzieleni i nie musiałem się przejmować kwestiami lojalności. Bardzo ułatwiało mi to zadanie.

- O czym pani myślała, kiedy patrzyła w wizjer i uświadomiła sobie, że zarejestrowaliście wszystko, co widzieliście?

Jill Winslow milczała przez chwilę.

- Hm, byłam oszołomiona, widząc to wszystko na taśmie. Potem... wiem, że to może wyglądać na wybielanie samej siebie, ale chciałam wrócić i zobaczyć, czy moglibyśmy jakoś pomóc...

- Miała pani pewność, że widzieliście eksplozję samolotu?

- Tak... nie byłam w stu procentach pewna, ale chciałam wrócić, jednak Bud powiedział nie. Później, oglądając nagranie przez wizjer, doszłam do wniosku, że to jest dowód i że ktoś, to znaczy władze, powinien zobaczyć tę taśmę. Bud znów zaoponował. Nikt nie musi oglądać taśmy pokazującej nas w czasie uprawiania seksu. Chciał, żebym skasowała nagranie, ale postanowiliśmy odtworzyć je w hotelu i dopiero wtedy podjąć decyzję.

- Okay. Więc wróciliście do hotelu.

- Tak. I odtworzyliśmy kasetę...

- Z kamery przez odtwarzacz w pokoju?

- Tak. Przywieźliśmy ze sobą kabel, żeby obejrzeć później to, co nagraliśmy na plaży... więc odtworzyliśmy tę taśmę i zobaczyliśmy wszystko bardzo wyraźnie na ekranie telewizora, z dźwiękiem...

- I znów zobaczyliście tę smugę światła?

- Tak. I siebie na plaży, obserwujących ją podczas wznoszenia się... a później eksplozję... Zerwaliśmy się na równe nogi i patrzyliśmy, jak ogromna kula ognia wznosi się coraz wyżej i zaczynają spadać szczątki... potem usłyszeliśmy wybuch, odwróciliśmy się do kamery i pobiegliśmy na wydnię. Na ekranie zobaczyliśmy w tle to, co umknęło nam, kiedy biegliśmy... płomień rozchodzące się po wodzie... - Jill Winslow znów zamknęła oczy i siedziała bez ruchu. Nie

otwierając oczu, podjęła: - Widać, jak Bud pędzi do kamery, a później obraz skacze na wszystkie strony. - Jill otworzyła oczy i zmusiła się do uśmiechu. - Był tak spanikowany, że nie wyłączył kamery, gdy biegł do samochodu i wrzucił ją i trójnog na tylne siedzenie. Słysząc, jak rozmawiamy przestraszonymi głosami.

- Czyli kamera wciąż pracowała na tylnym siedzeniu auta?

- Tak.

- I wasza rozmowa się nagrała?

- Tak. Właśnie wtedy próbowałam przekonać Buda, że powinniśmy wrócić i starać się pomóc. - Po chwili dodała: - Czasem żałuję, że skasowaliśmy to nagranie.

- Ja też.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka sekund, a ja bawiłem się papierkiem od plastra.

- Obejrzelście nagranie na ekranie telewizora, a później je skasowaliście.

Jill skinęła głową.

- Bud przekonał mnie... i miał rację... że dziesiątki innych osób widziało to samo... raketę i eksplozję... Więc po co oddawać kasetę władzom? - Jill zrobiła krótką pauzę. - To nagranie było bardzo ostre. Nawet gdybyśmy nie byli w związkach i mieli romans... nawet gdybyśmy byli samotni albo po ślubie... czemu ktoś miałby oglądać tę taśmę? Co pan by zrobił? - zapytała nagle.

Spodziewałem się tego pytania.

- Powstrzymałbym się ze skasowaniem nagrania tego wieczoru, poczekałbym, przedyskutował wszystko z partnerką.

Zastanowiłbym się nad swoim małżeństwem i zapytał siebie, dlaczego kontynuuję ten romans. Potem śledziłbym uważnie postępy śledztwa, zorientował się, czy moje nagranie nie jest przypadkiem kluczowym dowodem w sprawie straszliwej zbrodni. Później podjąłbym decyzję, co robić dalej.

Jill Winslow patrzyła pustym wzrokiem w okno. Wyjęła z kieszeni szlafroka chusteczkę i dotknęła nią oczu. Wzięła głęboki oddech.

- Tak właśnie chciałam zrobić. - Spojrzała na mnie. - Naprawdę chciałam... mój Boże, tylu ludzi... śledziłam dochodzenie, zgłosiły się

setki osób, które widziały smugę światła, wszyscy uważali, że to był atak rakietowy.... a potem wszystko zaczęło się zmieniać.

- Czy wtedy, gdy wydano oświadczenie, że to był wypadek, wydałaby pani kasety, gdyby ją miała?

Jill spojrzała na swoje ręce, którymi rozdzierała chusteczkę.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

- Ja uważam, że zrobiłaby to pani.

Jill Winslow milczała.

Odczekałem kilka sekund, a potem zapytałem:

- Czyja to była kamera?

- Moja. Dlaczego pan pyta?

- Znała się pani wtedy na technice rejestracji wideo?

- Rozumiałam podstawy.

- A Bud?

- To ja nauczyłam go obsługi kamery. Dlaczego pan pyta?

- Z raportu, który znam, wynika, że Bud zniszczył fizycznie kasety. To prawda?

- Co pan ma na myśli?

- Po opuszczeniu hotelu Bayview zjechaliście na pobocze i Bud zniszczył kasety, najjeżdżając na nią samochodem, a później paląc.

Jill pokręciła głową.

- Nie. Bud skasował ją w pokoju, w hotelu. - Po chwili dodała: - Właśnie tak zeznałam FBI i to samo powiedział Bud. Nikt nie mówił o zniszczeniu kasety.

Hm, ktoś jednak mówił. Pan Nash, jeśli chodzi o ścisłość.

- Czy FBI prosiło panią albo Buda o tę skasowaną taśmę?

- Tak. Poprosili mnie, a ja im ją przekazałam. - Jill spojrzała na mnie. - Później się dowiedziałam, że taśmę magnetyczną, która została skasowana, można... że w jakiś sposób da się odzyskać obraz... Nie wiem, czy oni zdołali to zrobić. To znaczy, pewnie im się nie udało, bo gdyby to zrobili, zobaczyliby to, co widzieliśmy Bud i ja... i wyciągnęliby inne wnioski. - Jill znów na mnie spojrzała. - Wie pan, czy udało im się odtworzyć taśmę?

- Nie wiem. - Ale wiedziałem. Nie było wątpliwości, że laboratorium FBI odczytało obraz z taśmy, którą ktoś uważał za skasowaną raz na zawsze. Pod warunkiem że nic innego nie zostało na niej

nagrane. - Czy taśma była czysta, kiedy pani im ją oddawała? Jill Winslow skinęła głową.

- Tkwiła wciąż w kamerze. Kiedy tu przyszli, była to jedna z pierwszych rzeczy, o które mnie zapytali. Poszłam do salonu i przyniosłam im kamerę. Siedzieli przy tym stole.

- Rozumiem. Przesłuchiwali panią. Co im pani powiedziała?

- Prawdę. O tym, co widzieliśmy z Budem. Rozmawiali z nim już wcześniej, ale nie wiedziałam, co im powiedział, bo zabronili mu kontaktować się ze mną i odbierać moje telefony. - Po chwili Jill dodała ze smutnym uśmiechem: - A on zrobił tak, jak mu kazali, mięczak. Agenci FBI zjawili się tutaj w poniedziałek po katastrofie i powiedzieli, że chcą mnie przesłuchać. I ostrzegli, żeby moja relacja nie różniła się od tego, co powiedział im Bud. Okazało się, że skłamał w kilku punktach. Zeznał na przykład, że nie kochaliśmy się na plaży, tylko spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. Ale ja powiedziałam prawdę, od początku do końca.

- Obiecali pani, że jeśli powie pani prawdę, pani mąż nigdy się nie dowie?

- Tak.

- Czy złożyli pani jeszcze jedną wizytę? - zapytałem.

- Tak. Zadawali więcej pytań, jak gdyby wiedzieli więcej o tym, co było na taśmie. Zapytałam ich, czy taśma została całkowicie skasowana, a oni powiedzieli, że tak i że popełniłam przestępstwo, mszcząc dowód. - Jill zamilkła na chwilę. - Byłam przerażona... płakałam... Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Bud nie odbierał moich telefonów, nie mogłam porozmawiać z mężem... Pomyślałam, żeby zadzwonić do adwokata, ale oni ostrzegli mnie, żebym tego nie robiła, jeśli chcę, żeby nic się nie wydało. Byłam całkowicie na ich łasce.

- Prawda cię wyzwoli - mruknąłem.

Jill łkała i śmiała się jednocześnie.

- Prawda doprowadziłaby mnie do rozwodu i zostania z najgorszą intercyzą, jaką kiedykolwiek podpisano w stanie Nowy Jork. - Spojrzała na mnie. - A ja miałam dwóch synów, którzy mieli wtedy osiem i dziesięć lat. Jest pan żonaty?

Podniosłem rękę z obrączką.

- Ma pan dzieci?
- Nie, o ile mi wiadomo.

Jill Winslow uśmiechnęła się i otarła oczy strzępami chusteczki.

- Gdy są dzieci, wszystko się bardzo komplikuje.
- Rozumiem. Pytali panią, czy podda się pani próbie z wykrywaczem kłamstw?

- W czasie pierwszej wizyty. Powiedziałam, że tak i że mówię całą prawdę. Obiecali, że następnym razem przyniosą urządzenie. Ale nie przynieśli. Spytałam ich o nie, ale odparli, że to nie jest konieczne.

Skinąłem głową. Wtedy próba nie była już konieczna, bo odczytali taśmę i znaleźli na niej wszystko, co chcieli wiedzieć. Nie chcieli natomiast podpisanych zeznań Jill Winslow i Buda, nagranych na taśmie, ani próby z poligrafem, bo wszystko to mogło wyjść na jaw później, gdyby pani Winslow albo Bud się ujawnili lub zostali przez kogoś znaleźieni. Na przykład przeze mnie.

W istocie więc Nash, Griffith i jeszcze ktoś nie starali się odkryć wiarygodnych dowodów świadczących o przeprowadzeniu ataku raketowego na samolot TWA, lecz przeciwnie: dążyli do zniszczenia tych dowodów, a oskarżyli o to Jill Winslow.

- Czy ci dżentelmeni z FBI zażądali od pani przysięgi, że będzie pani milczała? - spytałem.

Jill Winslow skinęła głową.

- Ale kiedy ogłoszono oficjalny raport zawierający stwierdzenie, że do katastrofy doszło przypadkowo, nie zastanawiała się pani, dlaczego nie wzięto pod uwagę zeznań pani i Buda?

- Oczywiście, że się zastanawiałam... Ale ten mężczyzna, Nash, zadzwonił do mnie i znów tu przyjechał. Powiedział, że bez kasety wideo zeznania Buda i moje nie miały większego znaczenia niż zeznania setek innych naocznych świadków. - Jill wzięła głęboki oddech. - Dodał jeszcze, że miałam szczęście, że powinnam żyć normalnie dalej i nigdy więcej nie myśleć o tym, co zobaczyłem.

- Ale to się pani nie udało.
- Nie... Wciąż widzę tę raketę.
- Oglądała pani animację stworzoną przez CIA?

- Tak. Była całkowicie nietrafna.
- Byłoby miło, gdybyśmy mieli tę kasotę.

Jill nie odpowiedziała.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Jill Winslow wstała, wzięła chusteczkę i przedmuchała nos. Otworzyła lodówkę i zapytała:

- Chce pan wody butelkowanej?
- Nie, dziękuję. Nie piję czystej wody.

Jill wyjęła butelkę i nalała sobie wody do szklanki. Jak prawdziwa dama.

Przetrawiłem to, co do tej pory usłyszałem. Po destylacji zostało kilka kluczowych faktów: Bud nie zniszczył fizycznie taśmy, specjaliści FBI i CIA bez wątpienia odtworzyli skasowaną taśmę i obejrzeni to, co zeznało dwustu naocznych świadków: wznoszącą się znad powierzchni oceanu świetlną smugę.

Co z tego wynika? Znałem tylko dwa słowa oddające istotę tej sytuacji: spiszek i tuszowanie.

Ale dlaczego? Było wiele powodów. Ja jednak nie zamierzałem zgłębiać sposobu myślenia polityków z Waszyngtonu, ich tajnych priorytetów, motywów i celów, które osiągnęli dzięki zatuszowaniu tej sprawy. Byłem pewny, że mieli ważne motywy związane z bezpieczeństwem narodowym, żeby zatuszować zestrzelenie samolotu przez nasze wojsko, wypadek z eksperymentalną bronią lub atak terrorystyczny, lecz byłem też pewny, że te motywy są złe.

Jill Winslow wyglądała na zmęczoną, smutną i przygnębioną, jakby coś ją dręczyło. Chyba wiedziałem, co to takiego, i chciałem jej pomóc.

- Spotka się pan dzisiaj z Budem? - spytała.
- Dziś albo jutro.

Uśmiechnęła się.

- On gra dzisiaj w golfa z moim mężem. Jest ich czterech.
- Przyjaźnią się?
- Spotykają się towarzysko. - Jill usiadła i skrzyżowała nogi. - Zdradzanie męża jest wystarczająco złe, ale gdyby Mark kiedykolwiek dowiedział się, że zdradzałam go z Budem, czułby się jak ostatni idiota.

- Dlaczego?

- Bo uważa Buda za durnia. I chociaż raz ma rację. Kiedyś powiedział do mnie: „Gdybyś miała mnie kiedyś zdradzić, przynajmniej wybierz kogoś, kogo nie musiałabyś się wstydzić, gdyby sprawa wyszła na jaw”. Powinna być go posłuchać.

Uznałem, że to była dobra rada. Nie jest dobrze zostać przyłapanym na romansie z kimś, kogo wszyscy uważają za przegranego lub głupka, lub kto jest brzydki i ma nadwagę.

- Czy on jest przystojny? - zapytałem.

- Tak. Ale to chyba wszystko. Chodziło tylko o seks. - Jill się uśmiechnęła. - Jestem taka płytka.

Nie chodziło tylko o seks - sporą winę ponosił też Mark Winslow, ale również Jill, która pragnęła pokazać, że nie jest doskonałą żoną, nawet jeśli Mark o tym by się nie dowiedział. Jednak nie powiedziałem tego na głos. Jest takie porzekadło: „Nie ma co żałować bogatej dziewczyny, która popija szampana na jachcie”. Mimo wszystko jednak żał mi było Jill Winslow.

Jeśli chodzi o Buda, to mogłem przyjąć, że należy do tego samego klubu co Winslowowie, więc wystarczy tam pójść i o niego zapytać. Ale Bud nie był mi potrzebny. To, czego potrzebowałem, było tuż obok.

- Czy jest jeszcze coś, o co chce mnie pan zapytać?

- To mniej więcej wszystko... Jeszcze tylko kilka szczegółów dotyczących państwa pobytu w hotelu po powrocie z plaży. Obejrzelście taśmę. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Cóż... obejrzeliliśmy ją... Przewinęliśmy tę część, która pokazywała nas na kocu, i zaczęliśmy oglądać od chwili, gdy zbiegliśmy na plażę... Odtworzyliśmy tę część, w której się kochaliśmy, do chwili, gdy zobaczyliśmy smugę światła... Cofnęliśmy ten fragment i odtworzyliśmy w zwolnionym tempie... Widać poświatę na horyzoncie, a potem tę smugę wznoszącą się w powietrze. W zwolnionym tempie widać też dymny ślad i migające światła samolotu, który...

- Jak długo trwało to nagranie?

- Ta część na plaży około piętnastu minut od chwili, gdy schodzimy na plażę, do momentu, gdy Bud podbiegł i złapał kamerę. Później następuje jakies pięć minut ciemności, kiedy kamera leżała na tylnym siedzeniu. Słysząc, jak rozmawiamy.

- Dobrze. A ta część na kocu, kiedy zaczęliście nagrywać?

Jill wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może kwadrans. Nawet nie chciałam tego oglądać. Nie było powodu.

- Tak. Więc odtworzyli państwo nagranie, zatrzymali taśmę, cofnęli, odtworzyli w zwolnionym tempie i od nowa?

- Tak. To było... niewiarygodne...

- Hipnotyzujące.

- Tak.

- Co państwo zrobili po obejrzeniu taśmy?

- Bud ją skasował.

- Tak po prostu? Powiedziała pani, że nie chciała kasować taśmy.

- Nie chciałam... spieraliśmy się, ale... on chciał to zrobić. Chciał też wynosić się z pokoju, ponieważ ktoś mógł nas zobaczyć, jak wracamy z plaży. Uważałam, że to raczej niemożliwe, ale on nalegał, żeby wracać do domu. Nasze komórki zaczęły dzwonić, bo wszyscy oglądali telewizję i wiedzieli, co się stało. Niektórzy wiedzieli też, że jesteśmy w tej okolicy, i próbowali się z nami skontaktować, ale my nie odbieraliśmy telefonów. Potem Bud wszedł do łazienki, żeby zadzwonić do żony. Miał być z kolegami na rybach.

- Może napuścił wody do wanny i krzyknął: „Koledzy, ziemia na horyzoncie”.

Jill się uśmiechnęła.

- Nie jest aż tak przebiegły. Ale rzeczywiście wpadł w paranoję.

- Ratowanie swojego tyłka to nie paranoja - zauważyłem.

Jill wzruszyła ramionami.

- Ja już wtedy myślałam, że w taki czy inny sposób nas znajdą. To był pech, że oboje przygotowaliśmy sobie bajeczki i wybraliśmy się na wschód, kiedy to się stało. Mark zadzwonił, ale nie odebrałam. Kiedy wsiadłam do samochodu i ruszyłam w drogę powrotną, odtworzyłam jego wiadomość: „Jill, słyszałaś o katastrofie samolotu w tamtej okolicy? Zadzwon do mnie”. Najpierw zatelefonowałam do przyjaciółki, z którą miałam być w East Hampton. Nie dzwonił do niej. Potem zadzwoniłam do Marka i powiedziałam, że jestem wstrząśnięta i wracam do domu. - Jill się uśmiechnęła. - Nawet nie był bliski nakrycia mnie.

- Jeśli mogę sobie pozwolić na amatorskie dywagacje psychologiczne, to wydaje mi się, że pani chciała być nakryta. Albo nie przejmuję się pani konsekwencjami.

- Ależ oczywiście, że się przejmuję.

- Wiem z doświadczenia, że łatwiej jest dać się nakryć, niż zakończyć romans. Skutek jest taki sam, lecz zostanie przyłapanym wymaga tylko podświadomego pragnienia, natomiast żeby zerwać, trzeba wykazać sporo odwagi.

Jill Winslow znów przyjęła pozę damy na zamku.

- Co to ma wspólnego z pańską wizytą?

- Może wszystko.

Gospodyni spojrzała na zegar na ścianie.

- Powinnam zacząć się szykować do kościoła.

- Ma pani czas. Chciałbym jeszcze o coś spytać. Zakładam, że po obejrzeniu taśmy, przed wyjściem z hotelu i powrotem do domów pani i Bud wzięliście prysznic. Mielicie na ciałach piasek i sól. - Nie wspominając o rozmaitych wydzielinach ciała.

- Tak, wzięliśmy prysznic.

- Bud wykąpał się pierwszy?

- Tak mi się wydaje...

- A pani w tym czasie jeszcze raz obejrzała nagranie?

- Chyba tak... minęło pięć lat. Dlaczego pan pyta?

Myślę, że wiedziała, do czego zmierzam, więc zadałem jej podchwytliwe pytanie.

- Co państwo robili tego popołudnia od wpół do piątej po południu, kiedy zameldowaliście się w hotelu, do wyjazdu na plażę około siódmej?

- Oglądaliśmy telewizję.

- Co państwo oglądali?

- Nie pamiętam. Spojrzałem na nią.

- Pani Winslow, do tej pory mnie pani nie okłamywała. Jill odwróciła głowę i udała, że się zastanawia.

- Pamiętam. Oglądaliśmy film w telewizji.

- Z kasety?

- Tak...

- *Kobieta i mężczyzna.*

Jill spojrzała na mnie, ale nie odpowiedziała.

- Wypożyczyła go pani z hotelowej biblioteki - dodałem.
- A, tak... - Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu, a potem Jill Winslow powiedziała lekkim tonem: - Bardzo romantyczny. Ale Buda chyba znudził. Oglądał go pan kiedyś?

- Nie. Ale chętnie pożyczylbym go od pani, jeśli można.

Zapadła długa cisza. Jill wpatrywała się w blat stołu, a ja patrzyłem na nią. Wyraźnie toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, a ja nie chciałem jej w tym przeszkadzać. To była jedna z tych chwil w życiu, gdy wszystko zależy od jednej decyzji i kilku słów. Bywałem w takich sytuacjach wiele razy, ze świadkami morderstwa lub podejrzanymi - wszyscy oni musieli podjąć decyzję, a ja wcześniej robiłem, co w mojej mocy, żeby im to ułatwić. Wiedziałem, co jej chodzi po głowie: rozwód, hańba, publiczne upokorzenie, dzieci, przyjaciele, rodzina, może nawet Bud. A gdyby wybiegła myślami dalej w przyszłość, doszłyby do tego publiczne przesłuchania, spotkania z prawnikami, ogólnokrajowymi mediami, a nawet zagrożenie życia.

- Nie wiem, o czym pan mówi - rzekła prawie szeptem.

- Pani Winslow, jest tylko dwoje ludzi na świecie, którzy wiedzą, o czym mówię. Pani i ja.

Jill Winslow milczała.

Wziąłem w rękę papieraek od plastra i pchnąłem w jej stronę po stole.

- Znaleźliśmy coś takiego w pokoju dwieście trzy. Skaleczyła się pani?

Jill nie odpowiedziała.

- A może użyła pani plastra, żeby zakleić miejsce po brakującym plastikowym jęczyczku na kasecie z wypożyczalni? Właśnie w ten sposób skopiowała pani to nagranie na film *Kobieta i mężczyzna*, kiedy Bud brał prysznic. - Na kilka sekund zawiesiłem głos. - Może mi pani powiedzieć, że to nieprawda, lecz wtedy ja będę się zastanawiał, dlaczego zatrzymała pani film, który wzięła z hotelowej biblioteki. Albo może mi pani powiedzieć, że to prawda, że faktycznie skopiowała pani to nagranie na taśmę z filmem, ale później zniszczyła tę kasetę. Ale pani tego nie zrobiła.

Jill Winslow zaczerpnęła głęboko powietrza, widziałem lzy płynące po jej policzkach. Spojrzała na mnie.

- Chyba... powinnam powiedzieć prawdę...
- Ja już ją znam. Ale tak, chciałbym ją usłyszeć od pani.
- Naprawdę nie ma nic do powiedzenia.

Jill Winslow wstała. Myślałem, że chce mnie wyprosić, ale ona wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Chce pan obejrzeć to nagranie?

Ja też wstałem i poczułem, że serce mi przyspiesza.

- Tak, chciałbym je zobaczyć.

- Dobrze... ale kiedy je pan obejrzy... mam nadzieję, że zrozumie pan, dlaczego nie mogłam go pokazać... ani nikomu dać... Myślałam o tym wiele razy... Myślałam o tym w lipcu, kiedy oglądałam w telewizji mszę rocznicową... Tylu ludzi... ale czy to ma znaczenie, jak zginęli?

- Tak, ma znaczenie.

Jill Winslow skinęła głową.

- Czy jeśli dam panu tę taśmę, mógłby pan się postarać, żeby teraz też nic nie wyszło na jaw?

- Nie chcę pani okłamywać.

Jill skinęła głową, stała przez chwilę bez ruchu, a potem spojrzała na mnie.

- Proszę za mną - powiedziała.

Rozdział 46

Jill Winslow zaprowadziła mnie do dużego salonu na tyłach domu.

- Proszę spocząć.

Usiadłem na skórzanym fotelu naprzeciwko plazmowego telewizora.

- Zaraz wrócę - oznajmiła gospodyni.

Wyszła z pokoju; domyśliłem się, że do jakiejś tajnej skrytki. Powinienem jej powiedzieć, że w domu nie ma czegoś takiego jak tajne skrytki. W ciągu dwudziestu lat pracy jako glina nie przeoczyłem ani jednej. Lecz Mark Winslow nie był gliną, tylko gapowatym mężem. A może było tak jak w starym porzekadle: „Jeśli chcesz coś schować przed mężem, połóż to na desce do prasowania”.

Wstałem i rozejrzałem się po zalanym słońcem salonie. Na jednej ścianie wisiały zdjęcia; zobaczyłem synów Winslowów, którzy byli przystojnymi, starannie ostrzyżonymi młodzieńcami. Były też zdjęcia z rodzinnych wakacji w różnych zakątkach świata, a także czarno-białe fotografie członków poprzedniego pokolenia stojących przed limuzynami, końmi i jachtami. Wszystko to świadczyło, że pieniądze są w tej rodzinie od dawien dawna.

Przyjrzałem się świeżej kolorowej fotce przedstawiającej Marka i Jill Winslowów w strojach wieczorowych, pstrykniętej na jakimś przyjęciu. Nikt by nie poznał, że są małżeństwem.

Mark Winslow nie był brzydki, ale tak niepozorny, że zdziwiłem się, iż aparat w ogóle zarejestrował jego wizerunek.

Na drugiej ścianie wisały rozmaite głupawe wyróżnienia za grę w golfa, odznaczenia cywilne i służbowe oraz inne dowody osiągnięć pana Winslowa.

Regał mieścił trochę rozrywkowej literatury i obowiązkowej klasyki, lecz przede wszystkim książki poświęcone tematyce golfa i biznesu. Zauważyłem brak jakichkolwiek śladów bardziej ryzykownych zainteresowań, takich jak nurkowanie, myślistwo czy służba wojskowa. Jednak w kącie stał mahoniowy barek, mogłem więc sobie wyobrazić, że pan Winslow codziennie wieczorem nalewa sobie parę szklaneczek martini, żeby się ululać.

Nie znaczy to, że nie lubiłem tego faceta - nawet go nie znałem - i że automatycznie włącza mi się odruch niechęci do ludzi bogatych. Czułem jednak, że gdybym poznał Marka Winslowa, nie zaprosiłbym go na piwo razem z Domem Fanellim.

Tak czy inaczej zdawało mi się, że Jill Winslow podjęła decyzję co do Marka Winslowa i miałem nadzieję, że jej nie zmieniła, szukając kasety.

Na wyłożonej boazerii ścianie wisiało jeszcze jedno trofeum: olejny portret Jill, namalowany jakieś dziesięć lat temu. Malarz uchwycił duże, wodniste oczy i usta wyglądające zarazem niewinnie i zmysłowo, w zależności od tego, co patrzący chciał w nich dostrzec albo co chodziło mu po głowie.

- Podoba się panu? - zapytała Jill Winslow. - Bo mnie nie.

Odwrociłem się. Jill stała w drzwiach, wciąż ubrana w szlafrok, ale włosy miała starannie uczesane, lekko umalowane usta i cień na powiekach. W rękę trzymała kasetę wideo.

Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie.

- Nie znam się na sztuce - odparłem. - Pani synowie są bardzo przystojni.

Jill Winslow wzięła pilota ze stolika, włączyła telewizor i wideo, a następnie wyjęła kasetę z pudełka i włożyła do kieszeni magnetowidu. Podała mi pudełko.

Spojrzałem na opis. „Film, który zdobył dwa Oscary. *Kobieta i mężczyzna*. A dalej: *Un Homme et une Femme*. Film Claude'a Leloucha”.

Na naklejce widniał napis: „Własność hotelu Bayview - prosimy o zwrot”.

Jill usiadła na kanapie i wskazała mi gestem skórzany fotel obok. Usiadłem.

- Mężczyznę, Jean-Louisa, gra Jean-Louis Trintignant, który jest kierowcą wyścigowym i ma małego synka. Kobieta jest Anouk Aimée, filmowa Anne, klapserka, matka małej córeczki. Poznają się w czasie odwiedzin w szkole z internatem, do której uczęszczają ich dzieci. To piękna historia miłosna, lecz smutna. Przypomina *Casablanke*. - Po krótkiej pauzie Jill dodała: - To wersja z angielskim dubbingiem.

- Mm... - Już myślałem, że czegoś nie zrozumiałem w naszej wcześniejszej rozmowie i za chwilę obejrzę francuski melodramat.

- Ale nie będziemy go teraz oglądać. Przynajmniej przez około pół godziny na początku taśmy. Obejrzymy film *Świntuch i dziwka* z Budem Mitchellem i Jill Winslow w rolach głównych. W reżyserii Jill.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc trzymałem buzię na kłódkę. Bud Mitchell.

Zerknąłem na Jill. Z wyrazu jej twarzy i tonu głosu odgadłem, że w czasie swej krótkiej nieobecności powiedziała sobie: „Pora zrzucić to z siebie i do diabła z konsekwencjami”. Wyglądała prawie spokojnie, jakby spadł jej z serca wielki ciężar. Ale widziałem też odrobinę nerwowości, która była zrozumiała, zważywszy na to, że za chwilę Jill miała obejrzyć pornosa z sobą w roli głównej. I miała go obejrzyć wspólnie z mężczyzną poznanym przed niespełną godziną.

Wyczuła, że na nią patrzę, i nawiązała ze mną kontakt wzrokowy.

- To nie jest opowieść miłosna. Ale jeśli pan przez nią przebrnie, może pan obejrzyć godzinę *Kobiety i mężczyzny*. To o wiele lepsze od mojego dzieła.

Czułem, że powinienem coś powiedzieć.

- Pani Winslow, nie jestem tu po to, by panią oceniać, i nie powinna pani źle o sobie myśleć. Nie musi pani tu siedzieć ze mną i patrzeć...

- Chcę siedzieć i patrzeć - wpadła mi w słowo Jill. Nacisnęła guzik na stoliku i zasłony w oknie się zasunęły. Sprytnie.

Siedzieliśmy w przyziemnym pokoju, Jill Winslow nacisnęła

kilka guzików na pilocie i taśma ruszyła. Zabrzmiała muzyka, a później pojawiły się dwujęzyczne tytuły, i napisy. Mniej więcej w ich połowie obraz nagle znikł i pojawił się inny, mniej wyraźny, któremu towarzyszył słabej jakości dźwięk. Po sekundzie uświadomiłem sobie, że to Jill Winslow siedząca ze skrzyżowanymi nogami na ciemnym kocu, ubrana w jasnobrązowe szorty i niebieski top. Na kocu stała lodówka turystyczna. Jill odkorkowała butelkę wina.

W prawym dolnym rogu obrazu widać było datę: 17 lipca, 1996, i czas: 19:33. Sekundy migały i po chwili zrobiła się godzina dziewiętnasta trzydzieści cztery.

Rozpoznałem scenografię: było to zagłębienie między dwiema wydmiami, które widzieliśmy z Kate wieczorem po mszy rocznicowej. Później spałem tam i miałem erotyczny sen z Kate, Roxanne, Marie i Jill Winslow w woalce, która już nie miała woalki. No i oczywiście wczoraj wieczorem spotkałem się tam z Tedem Nashem.

- To park Cupsogue Beach County, ale pewnie pan to wie - odezwała się Jill.

- Tak, wiem.

Światło powoli bledło, lecz wciąż wszystko pozostawało wyraźnie widoczne. Dźwięk był słaby, lecz mikrofon kamery uchwycił wzmagaający się wiatr.

Zobaczyłem plecy mężczyzny, który wszedł w kadr, ubranego w jasnobrązowe spodnie i sportową koszulę.

- To jest Bud, oczywiście - poinformowała mnie Jill.

Mężczyzna wyjął z lodówki dwa kieliszki, usiadł koło Jill i napełnił je winem.

Stuknęli się kieliszkami. Widziałem twarz Buda, kiedy mówił: „Za letnie wieczory i za nas razem”.

- Och, proszę - westchnęła Jill do mnie albo do siebie.

Przyjrzałem się uważnie mężczyźnie. Rzeczywiście był przystojny, ale głos i maniery zdradzały nieco chwiejny charakter. Jill trochę mnie rozczarowała. Chyba odgadła moje myśli, bo spytała:

- Co mnie w nim pociągało?

Milczałem.

Na ekranie Jill spojrzała na Buda i zapytała: „Często tu przyjeżdżasz?”.

„Pierwszy raz - odparł z uśmiechem Bud. - A ty?”.

Uśmiechnęli się do siebie; widziałem, że kamera trochę ich onieśmiela.

- Pamiętam, że w myślach zadawałam sobie wtedy pytanie: „Czemu uprawiam seks z mężczyzną, którego nie cenię?”.

Uznałem, że powinienem odpowiedzieć.

- To jest bezpieczne.

- Tak, to jest bezpieczne - potwierdziła Jill.

Wypili jeszcze po jednym kieliszku wina, a potem Jill wstała i ściągnęła top. Bud się podniósł i zdjął koszulę.

Jill rozpięła szorty, odrzuciła je nogą i stanęła w staniku i figach, patrząc, jak Bud się rozbiera.

- Oglądałam później tę część nagrania na plaży, w której widać eksplozję samolotu, ale tego fragmentu nie widziałam od pięciu lat - wyznała Jill.

Milczałem.

Jill na ekranie zdjęła stanik i figi. Stanęła twarzą do kamery, wyrzuciła ręce przed siebie, zakolysała biodrami, krzyknęła: „Ta dam!” i ukloniła się do kamery.

Wyciągnąłem rękę do pilota leżącego na stoliku, lecz Jill złapała mnie za rękę.

- Chcę to zobaczyć - oznajmiła.

- Nie chce pani. Ja nie chcę. Proszę to przewinąć.

- Proszę siedzieć cicho. - Nie wypuszczała pilota z dłoni.

Na ekranie Jill i Bud obejmowali się, całowali i pieścili.

- Ja nie mam wiele czasu, pani Winslow - powiedziałem. - Czy może pani przewinąć do fragmentu na plaży?

- Nie. Musi pan to zobaczyć, żeby wiedzieć, dlaczego nie dałam tej taśmy policji.

- Chyba rozumiem. Proszę przewinąć.

- Dalej będzie jeszcze lepsze.

- Nie musi pani iść do kościoła?

Jill nie odpowiedziała.

Na ekranie Jill ustawiła Buda na wprost obiektywu kamery, spojrziała w obiektyw i zaanonsowała: „Obciążanie, ujęcie pierwsze”. Opadła na kolana i zaczęła uprawiać seks oralny z Budem.

Hm. Spojrzałem na zegarek, ale mój umysł nie odnotował czasu.

Popatrzyłem na ekran. Piękna kobieta robiła mu loda, a durny Bud stał i wyglądał, jakby próbował schować ręce do kieszeni. Po chwili dotarło do niego, że jest bez spodni, więc położył dłonie na jej głowie i przesunął po włosach.

- Jak to się prezentuje jako dowód? - zapytała Jill. Odchrząknąłem.

- Myślę, że możemy pominąć tę część...

- Oni chcieliby całą taśmę. Widzi pan datę i czas w prawym dolnym rogu? Czy nie jest ważne, kiedy to się działo?

- Chyba tak... Ale myślę, że moglibyśmy zamazać państwa ciała i twarze...

- Proszę nie rzucać obietnic, których nie może pan spełnić. Usłyszałam ich wystarczająco dużo.

Na ekranie Jill odchyliła się, usiadła i spojrzała w kamerę. „Koniec ujęcia. Scena druga. Poproszę wino”.

Jako detektyw wiem, że o ludziach dużo mówią ich gabinety oraz biura, wygląd półek regałów, zdjęcia na ścianie, zbiór filmów i tym podobne rzeczy. To jednak było więcej, niż musiałem wiedzieć.

Przeniosłem wzrok na ekran. Jill leżała na wznak, a Bud sięgnął za siebie po butelkę. Jill wyrzuciła nogi w górę i zapowiedziała: „Smakowanie zoneczki. Nalewaj”.

Bud polał ją winem i przyłożył głowę do jej brzucha. Mimo szumu wiatru słyszałem ciężki oddech Jill. „Mam nadzieję, że dobrze ustawiłeś kamerę”, stęknęła.

Bud podniósł głowę. „Taak”.

Jill wzięła od niego butelkę i rozlała resztę wina po ciele. „Zliz”, poleciała.

Bud posłusznie zaczął wylizywać jej ciało.

Pani Jill Winslow prezentowała w dziedzinie seksu typowe zachowania pasywno-agresywne: z jednej strony komenderowała Budem, z drugiej prezentowała uległość, a nawet -jeśli wziąć pod uwagę kontekst - poniżała się.

Można też było zinterpretować to w ten sposób, że sprawując władzę nad mężczyzną, spełniała zarazem wszystkie jego pragnienia i swoje - jej pragnienia polegały na tym, że będąc seksualnie poniżaną, kontrolowała partnera. Tymczasem Bud był jednocześnie sługą i obsługiwanym. Wszystko to było nieco skomplikowane i wątpliwe,

czy świadomość Budda sięgała dalej niż jego wzwód, którego wcale nie miałem ochoty oglądać.

- Jill, przewińmy to, naprawdę - powiedziałem, używając imienia gospodyni.

Pani Winslow nie odpowiedziała, tylko zrzuciła pantofle i położyła stopy na stoliku.

Rozparłem się na fotelu, znacząco odwracając głowę od ekranu.

- Czy czuje się pan nieswojo, patrząc na to? - dociekała Jill.

- Chyba to właśnie powiedziałem.

- Cóż, ja też się tak czuję. A jeśli dam panu tę taśmę, ile osób ją obejrzy?

- Najmniej, jak to możliwe. Będą to profesjonaliści, wyszkoleni funkcjonariusze służb i eksperci z Departamentu Sprawiedliwości, kobiety i mężczyźni, którzy widzieli wszystko.

- Ale nie widzieli mnie w czasie uprawiania seksu na ekranie.

- Nie sądzę, żeby byli ciekawi ekranowego seksu. Interesuje ich scena wybuchu samolotu. Mnie też ona interesuje, więc gdyby mogła pani przewinąć, byłbym bardzo wdzięczny. Natychmiast.

- Nie chce pan popatrzeć, jak uprawiam seks?

- Jill, proszę posłuchać...

- Dla pana pani Winslow.

- Och, przepraszam. Pani Winslow...

- Może być Jill.

Naprawdę zaczynałem się czuć nieswojo i przyszło mi na myśl, że być może mam do czynienia z wariatką, ale wtedy Jill zapytała:

- Rozumie pan, dlaczego to robię?

- Tak. Całkowicie rozumiem, dlaczego nie chce pani ujawnić tej taśmy. Szczerze powiedziawszy, zmieniłem zdanie co do tego, co bym zrobił, gdyby chodziło o mnie. Ale zrobimy wszystko, co się da, spreparujemy tę taśmę, zamazemy twarz tak, aby ochronić pani prywatność. Skupimy się na sekwencjach związanych z katastrofą...

- Już do tego dochodzimy. Proszę patrzeć uważnie.

Usłyszałem, że Jill na ekranie mówi: „Cała się lepiej. Wykąpmy się na golasa”.

Zerknąłem na telewizor. Jill się podniosła, a spomiędzy jej ud wynurzyła się głowa Buda. „Myślę, że powinniśmy już jechać. Wykapiemy się w hotelu”.

- Szkoda, że go nie posłuchałam - mruknęła Jill.

Na ekranie widać było, jak stanęła na kocu i spojrzała na wydmy. Prawdziwa Jill włączyła pauzę, zdjęła nogi ze stolika i nachyliła się w stronę ekranu.

- Wyglądam młodziej, może nawet jestem szczuplejsza. Nie sądzi pan?

Popatrzyłem na doskonale nagie ciało, złote w promieniach zachodzącego słońca.

- No, jak pan uważa? - indagowała.

Byłem trochę zmęczony tym, że ignoruje moje dżentelmeńskie sugestie, żeby przepuściła małe eksplozje i przeszła do wielkiej. Postanowiłem więc spróbować z drugiej flanki.

- Myślę, że pani twarz wcale się nie zestarzała i że jest pani piękną kobietą. Jeśli chodzi o ciało, to na filmie wygląda wspaniale i nie wątpię, że nadal takie jest.

Jill nie odpowiedziała, tylko gapiała się w ekran.

- To był pierwszy i ostatni raz, kiedy się nagrywaliśmy - rzekła po dłuższej chwili. - Nigdy przedtem nie widziałam się nagiej na zdjęciu ani na filmie. I na pewno nie w czasie uprawiania seksu. Robił pan to kiedyś?

- Nie na dworze.

Jill się roześmiała.

- Wyglądał pan głupio?

- Tak.

- A jak ja wyglądałam?

- Bez komentarza.

- Chce pan tę kasetę?

- Chcę.

- Więc proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy wyglądałam głupio, uprawiając seks na ekranie?

- Wydaje mi się, że wszyscy wyglądają trochę głupio, robiąc to przed kamerą. Z wyjątkiem zawodowców. - Po chwili namysłu dodałem: - Nie było źle jak na pierwszy raz. Jednak Bud zachowywał się dość nienaturalnie, jakby czuł się nieswojo. Czy teraz mogę dostać pilota?

Jill podała mi pilota.

- Mielismy zabrać tę kasetę do hotelu i puścić ją, żeby się znowu rozgrzać. Ale myślę, że to nagranie by mnie przygasiło.

Chyba po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat pracy w wymiarze sprawiedliwości potrzebowałem przyzwoitki w czasie oglądania dowodu. Nacisnąłem guzik „play” i idealne nagie ciało Jill Winslow ożyło. Zaczęła wspinać się po wydmie i zniknęła z kadru, lecz słyszałem jej głos. „Postaw kamerę tutaj, żeby było widać, jak się kąpiemy”.

Bud nie odpowiedział, tylko podszedł do kamery, a potem zniknął. Ekran na chwilę zrobił się czarny, a później ukazało się na nim cudowne, czerwonorpurpurowe niebo o zmierzchu, a następnie biały piasek plaży i czerwonozłoty ocean połyskujący w blasku gasnącego słońca. Usłyszałem głos Jill dochodzący spoza kadru: „To jest takie piękne”.

„Może nie powinniśmy schodzić nago na plażę. Tam mogą być jacyś ludzie”, wyraził swoje wątpliwości niewidoczny na ekranie Bud.

„I co z tego? Jeśli ich nie znamy, to kogo to obchodzi?” - odpowiedziała pytaniem Jill.

Bud odparł: „Tak, ale zabierzmy jakieś ubrania...”.

„Trzeba w życiu ryzykować, Bud”, przerwała mu Jill.

- Bud to wymoczek - zauważyłem mimo woli.

- Wymoczek - powtórzyła ze śmiechem Jill.

Przez kilka sekund nie było dźwięku ani nikogo na ekranie, a potem w kadrze ukazała się Jill; zobaczyłem ją na skraju ekranu, po lewej stronie. Biegła po plaży w stronę brzegu. Wciąż nie było Buda. Jill odwróciła się i krzyknęła „No chodźże!”, ale była tak daleko od kamery, a morze i wiatr tak mocno szumiały, że ledwie ją usłyszałem.

Po paru sekundach na ekranie pojawił się biegnący Bud. Jego pośladki, nieco zwiotczałe, trochę podskakiwały.

Dogonił Jill tuż przy brzegu. Jill zatrzymała się i odwróciła, a potem skierowała* Buda twarzą do kamery. Coś krzyknęła, ale nie usłyszałem.

- Co pani powiedziała?

- Och, coś głupiego o pływaniu z rekinami.

Wzięła Buda za rękę i weszli do wody.

Odniosłem wrażenie, że Bud daje się prowadzić swojemu fiutowi.

Niczego nie inicjował i wydawało się, że w tej sytuacji nie bawi się tak dobrze, jak bawiłbym się na przykład ja.

- Jak długo trwał ten romans? - zapytałem.
- O wiele za długo - odparła Jill. - Dwa lata. Bardziej niż seksu na ekranie wstydzę się, że robiłam to z kimś takim jak Bud.
- On jest bardzo przystojny.
- Ja też.

Racja.

Baraszkowali w falach, obmywali się z tyłu i z przodu, patrzyli na morze i niebo. Jill coś mówiła, ale nie było tego słycać.

- Co pani wtedy powiedziała?
- Nie pamiętam. Nic ważnego.

Spojrzałem na zegar w prawym dolnym rogu ekranu. Pokazywał dwudziestą dziewiętnaście. Boeing linii TWA właśnie startował z lotniska Kennedy'ego do lotu numer osiemset i za chwilę miał się zazać wznosić nad oceanem.

Jill i Bud rozmawiali, stojąc po pas w wodzie. Wyras twarzy Buda zdradzał, że zirytowało go coś, co powiedziała Jill. Zanim zdążyłem zapytać, wyjaśniła:

- Chyba wreszcie powiedziałam mu, że jest zbyt ostrożny, i to go rozzłościło. Za kilka sekund złapię go za tyłek... o, właśnie... ale on wciąż będzie zły, będzie chciał odejść... Ale ja chciałam to zrobić na plaży, tak jak w *Stąd do wieczności*...

Jill złapała Buda za byle co i coś powiedziała. Bud nie wyglądał, żeby sprawiło mu to taką przyjemność, jak powinno; zaczął się rozglądać, jakby chciał sprawdzić, czy są sami. Jill nie prowadziła Buda dosłownie za fiuta, ale w przenośni - jak najbardziej. Wzięła go za rękę i ruszyła w stronę brzegu.

Migające cyferki zegara pokazywały dwudziestą dwadzieścia trzy. Boeing leciał już od jakichś trzech minut i zaczął wykonywać skręt w lewo na wschód, ku Europie.

Jill i Bud stali na plaży całkiem nago, ale jakby zapomnieli o kamerze, bo żadne nie spoglądało w stronę wydmy, na której była ustawiona mniej więcej czterdzieści metrów dalej. Słońce zaszło, lecz na horyzoncie i na niebie zostało jeszcze dość światła, żeby widać było sylwetki ich nagich ciał na tle morza.

Jill powiedziała coś do Buda, a on posłusznie położył się na wznak

na piasku. Jill usiadła na nim. Dostrzegłem ruch jej ręki, kiedy wsuwała go w siebie.

- Czy mój mąż to zobaczy? - spytała Jill.

Zatrzymałem obraz. Zegar pokazywał dwudziestą dwadzieścia siedem i piętnaście sekund. Spojrzałem na niebo, szukając wzrokiem świateł samolotu, ale go nie było. Popatrzyłem na horyzont, czy widać światła łodzi, ale nie widziałem ani jednego.

- Panie Corey? Czy mój mąż to zobaczy?

Popatrzyłem na Jill.

- Tylko jeśli pani tego zechce.

Nie odpowiedziała.

Wcisnąłem guzik „play” i spojrzałem na dół ekranu, gdzie kochankowie robili to na plaży, zalewani falami. Przeniosłem wzrok wyżej, ale wciąż nie było widać świateł odrzutowca. Dla porządku dodam, że pani Winslow doznała orgazmu o godzinie dwudziestej dwadzieścia dziewięć i jedenaście sekund. Widziałem to, ale nie usłyszałem.

Jill Winslow leżała na Budzie Mitchellu; widziałem, że oboje ciężko dyszą. Potem Jill usiadła okrakiem na partnerze, spoglądając na południowy zachód. Wtedy zobaczyłem światła samolotu daleko nad oceanem: trzynaście kilometrów od brzegu, około trzech i pół tysiąca metrów nad powierzchnią wody.

- Proszę zatrzymać! Proszę zatrzymać!

Nacisnąłem guzik „pause” i spojrzałem na Jill Winslow, która wstała.

- Nie mogę tego oglądać po raz kolejny. Będę w kuchni. - Wyszła bosą z salonu.

Przez ponad minutę siedziałem i wpatrywałem się w nieruchomy ekran: Jill Winslow siedząca okrakiem na Budzie Mitchellu, zastygła falę, gwiazdy, które już nie migaly, wąskie pasemko chmury wyglądające jak maźnięcie farby na czarnym suficie. I dwa światełka, czerwone i białe, niemal naprzeciwko parku Smith Point County. Na zdjęciu można było je wziąć za gwiazdy, ale na filmie migaly i przemieszczały się z zachodu na wschód.

Wstałem, usiadłem na stoliku i pochyliłem się w stronę dużego plazmowego ekranu. Nacisnąłem guzik „slow motion” i uważnie patrzyłem.

O dwudziestej dwadzieścia dziewięć i dziewiętnaście sekund uważałem poświatę na horyzoncie po prawej stronie i zatrzymałem obraz. Kamera stała na szczycie wydmy i trójnogu, na wysokości około sześciu metrów. Z tego punktu widać było nieco więcej, niż mogła dostrzec większość świadków na łodziach lub na brzegu, który na południowym wybrzeżu Long Island wznosi się tylko trzy metry nad poziom morza, a może mniej. Przyjrzałem się poświacie. To mógł być blask towarzyszący wystrzeleniu rakiety. Tak.

Z miejsca, w którym ukazała się poświata, uniósł się język jasnego, czerwonopomarańczowego światła. Wznosił się szybko i nawet w zwolnionym tempie widziałem ciągnący się za nim biały pióropusz, który wyglądał jak dym. Zerknąłem na Jill i Buda, ale oni jeszcze niczego nie zauważyli. Była godzina dwudziesta trzydzieści i pięć sekund. Nacisnąłem guzik „pause”, zsunąłem się ze stolika i uklęknałem przed ekranem. Wpatrywałem się w świetlny punkt, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odsunąłem się i puściłem nagranie w zwolnionym tempie.

Nie miałem wątpliwości, co teraz oglądam i co widziało ponad dwustu ludzi, między innymi kapitan Spruck, któremu, szczerze powiedziawszy, nie do końca wierzyłem. Wiedziałem teraz, dlaczego ogarnęła go taka obsesja, i byłem mu winien przeprosiny. Co ważniejsze, przeprosiny należały się całemu narodowi amerykańskiemu. Nie wiedziałem tylko od kogo.

Przypomniałem sobie spotkanie z Jackiem Koenigiem w jego gabinecie, gdy spojrzał mi prosto w oczy i zapewnił: „Nie było żadnej zasranej kasety wideo z nagraniem pieprzącej się parki i eksplozją samolotu w tle. Ani zasranej rakiety”.

Pieprzyć cię, Jack. Pieprzyć Liama Griffitha i Teda Nasha na początek. Zakłamatek. Zakłamatek. Zakończ.

Smuga światła ciągnąca za sobą pióropusz dymu wznosiła się coraz wyżej, aż znalazła się pośrodku ekranu. Jill odwróciła głowę w stronę światła i spojrzała na niebo. W tej samej chwili Bud podniósł się błyskawicznie, tak że siedzieli twarzami do siebie. Odwrócił się i spojrzał przez ramię w miejsce, w które ona patrzyła. Światło niemal lśniło na ekranie i widać było, że nabiera prędkości. Zerknąłem na światła pozycyjne samolotu, a potem jeszcze raz na wznoszącą się

świetlną smugę. Byłem zbyt blisko telewizora, żeby obejmować wzrokiem cały ekran, więc szybko wstałem, cofnąłem się i usiadłem na stoliku.

Przy odtwarzaniu w zwolnionym tempie nie ma dźwięku, ale i tak nic nie było słycać. Gapiłem się na obraz jak zahipnotyzowany, bo wiedziałem dokładnie, co się za chwilę stanie.

Płonący punkt wykonał nagły zwrot, kierując się na migające światła pozycyjne boeinga. Jeszcze wyraźniej widać to było po pióropuszu dymu, który skręcił.

Kilka sekund później na niebie błysnęło. W zwolnionym tempie wyglądało to dziwnie, jak wybuch fajerwerku. Po następnych kilku sekundach na czarnym niebie zaczęła rosnać ogromna kula ognia niczym sfilmowane i odtworzone w przyspieszonym tempie rozkwitanie jasnoczerwonego kwiatu. Zatrzymałem obraz o godzinie dwudziestej trzydziestej jeden i czternaście sekund.

Jill i Bud prawie stali, wpatrując się w eksplozję na niebie. Naciśnąłem guzik „slow motion” i patrzyłem, jak kula ognia rośnie. Widziałem, że płonący samolot rzeczywiście się wznosi, a później zobaczyłem dwa strumienie paliwa spadające w stronę powierzchni oceanu. Zauważyłem odbicie paliwa na gładkiej jak szkło tafli wody i faktycznie wydawało się, że dwa strumienie światła się wznoszą. Jednak nie było żadnej wątpliwości, że paliwo spada z góry na dół, na spotkanie swojego odbicia. *W tę stronę jest góra. Zgadza się?*

Obserwowałem licznik sekund w rogu. Po upływie mniej więcej pół minuty od początku sekwencji zdarzeń naciśnąłem guzik „play” i usłyszałem dźwięk.

Wszystko na ekranie poruszało się w normalnym tempie, również Jill i Bud, którzy jednak bez ruchu wpatrywali się w pożar na niebie.

Zobaczyłem lecące z nieba płonące szczątki. Potem usłyszałem pierwszy wybuch, którego fala dotarła do mikrofonu kamery, tępy stłumiony łoskot. Sekundę albo dwie później nastąpiła druga, znacznie głośniejsza eksplozja. Jill i Bud wzdrygnęli się ułamek sekundy przedtem, nim usłyszałem odgłos, który dotarł do nich wcześniej niż do mikrofonu kamery.

Włączyłem odtwarzanie w zwolnionym tempie i obserwowałem następstwa wybuchu: główna część samolotu wzniosła się jeszcze mniej więcej o kilometr i dopiero wtedy, gdy w silnikach zabrakło paliwa, zaczęła opadać spiralą ku powierzchni wody. Nie widziałem wszystkiego, co się działo, i nie mogłem wszystkiego zrozumieć, nawet oglądając obraz w zwolnionym tempie. Nie zobaczyłem, jak odrywa się dziób samolotu, ale chyba dostrzegłem odpadanie lewego skrzydła. Widziałem też, jak większa część olbrzymiego boeinga wali się w morze.

Niebo było już czyste. Został na nim tylko dym rozświetlony od spodu ogniem płonącym na powierzchni oceanu.

Dwoje nagich ludzi na plaży stało nieruchomo, jak gdyby ktoś nacisnął guzik „pause” i zastopował cały świat. Tylko fale wtaczały się w zwolnionym tempie na plażę, a horyzont płonął pomarańczowym blaskiem.

Nacisnąłem guzik „play”, fale przyspieszyły, ogień zatańczył na wodzie.

Bud pierwszy raz tego wieczoru ruszył do szarży. Złapał Jill za rękę, coś powiedział i oboje rzucili się pędem w stronę kamery na wydmie. Bud był szybszy i nie zwolnił, żeby Jill mogła za nim nadążyć, ani nie obejrzał się, czy wszystko z nią w porządku. Facet był skończonym palantem, lecz to była najmniej istotna rzecz, której dowiedziałem się dzięki kasecie.

Patrzyłem na paliwo płonące na horyzoncie. Jill i Bud nie mogli tego wtedy wiedzieć, ale w mgnieniu oka poniosło śmierć dwieście trzydzieści osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Ja jednak to wiedziałem i poczułem, że mój żołądek się zaciska, w ustach robi mi się sucho, a oczy wilgotnieją.

Bud i Jill zniknęli z ekranu, a później ich głowy i ramiona ukazały się, gdy wdrapywali się na piaszczystą wydymę. Bud biegł pierwszy, Jill za nim.

Kamera była nastawiona na maksymalne powiększenie, więc twarze się rozmywały, lecz mimo to mogłem rozróżnić rysy. Zatrzymałem taśmę, żeby przyjrzeć się Budowi, kiedy wyciągał ręce do kamery. Był oszalały z przerażenia. Popatrzyłem na Jill. Ona również wyglądała na przestraszoną i miała szeroko otwarte oczy. Ale zauważyłem też, że patrzy na Buda, jakby chciała, żeby coś powiedział, wytłumaczył, co się stało i co powinni zrobić. Przez kilka sekund

odtwarzałem taśmę w zwolnionym tempie, widziałem jego durną gębę tuż przed obiektywem, wypełniającą ekran. Można by ją umieścić na plakacie Poszukiwany z podpisem: „Ktokolwiek widział tego beznadziejnego, egoistycznego gnoja, niech zadzwoni do biura poszukiwania osób. Hasło DUPEK”.

Bud chwycił kamerę, ale nie zapanował nad nerwami. Na ekranie zawirowały zmieniające się jak w kalejdoskopie rozmyte obrazy. Zbiegając z wydmy, nasz bohater upuścił kamerę. Usłyszałem, jak krzyczy: „Ubieraj się!”.

Później ktoś ją podniósł i zobaczyłem wieczorne niebo. Oboje ciężko dyszeli, na ekranie skakały niewyraźne obrazy. Otworzyły się drzwi samochodu i po chwili zostały zatrzęsnięte. Usłyszałem otwieranie i zamykanie następnych drzwi, a potem odgłos uruchamianego silnika. Obraz na prawie czarnym ekranie znów podskoczył. Słychać było ciężkie oddechy Buda i Jill, ale oboje milczeli. Ona prawdopodobnie była w szoku, on robił wszystko, żeby się nie złać w portki. Miałem ochotę ryknąć do niego: „Odezwij się do niej, ty gnoju śmierdzący”.

Przez pięć minut na czarnym ekranie nic się nie działo. Już miałem wyłączyć telewizor i przewinąć taśmę, gdy rozległ się głos Jill:

„Bud, wydaje mi się, że tam eksplodował samolot”.

„Może... a może to była olbrzymia raca wystrzelona z barki. Może ktoś urządził pokaz sztucznych ogni”.

„Race nie wybuchają w ten sposób i nie palą się na wodzie. Coś ogromnego eksplodowało w powietrzu i roztrzaskało się w oceanie. To był samolot”.

Bud milczał.

„Może powinniśmy wrócić?” - zasugerowała Jill.

„Po co?”.

„Może jacyś ludzie się wydostali... Mają kamizelki ratunkowe, tratwy. Może udałoby się im pomóc”.

- Dobra z ciebie kobieta - powiedziałem do nikogo. Ale Buda zaprzątało coś innego.

„To, co widzieliśmy, roztrzaskało się na kawałki. Musiało lecieć na wysokości kilku kilometrów. Gliny już są na miejscu. Nie jesteśmy potrzebni”.

Pasażerowie was nie potrzebują, ale gliny potrzebują waszej kase-
ty, durniu, pomyślałem.

Nastąpiła dłuższa cisza, a potem Jill powiedziała: „Ta smuga
światła... to była rakietka. Pocisk”.

Bud nie zareagował.

„To wyglądało, jakby rakietka wystrzelona z wody trafiła w samo-
lot”.

„Jestem pewien, że usłyszymy o tym w wiadomościach”.

Znów nastąpiła cisza, później ekran się poruszył, a następnie
zniknął. Jill wzięła kamerę z tylnego siedzenia i przewijała kasetę,
żeby obejrzeć nagranie przez wizjer.

To był koniec nagrania, lecz po chwili jakiś obraz wypełnił ekran i
z głośników popłynęła muzyka. Jean-Louis coś powiedział, ale ja nie
słuchałem.

Zatrzymałem taśmę i nacisnąłem guzik przewijania. Siedziałem
na stoliku i gapiłem się w pusty ekran.

Byłem przytłoczony tym, co przed chwilą zobaczyłem i usły-
szałem. Wiedziałem, że będę potrzebował trochę czasu, by przetwo-
rzyć w myślach obrazy tak bardzo odległe od codziennej rzeczywisto-
ści.

Stałem przez kilka sekund nieruchomo, a następnie podszedłem
do barku, znalazłem szklankę i wziąłem do ręki pierwszą lepszą bu-
telkę szkockiej. Nalałem trunku na kilka centymetrów i wpatrzyłem
się w niego. Była niedziela, wczesny ranek, ale ja musiałem się czymś
uspokoić i zwilżyć usta. Wychyliłem whisky, odstawiłem szklankę i
wszedłem do kuchni.

Rozdział 47

Jill Winslow tam nie zastałem, ale zobaczyłem ją przez drzwi balkonowe. W szlafroku siedziała na szezlongu wstawionym na patio - wyprostowana, z otwartymi oczyma, zapatrzona w swoje myśli.

Dołączyłem do niej i usiadłem obok. Między nami był stolik, na którym stała butelka wody i dwie szklanki. Nalałem sobie trochę i spojrzałem na rozległe podwórze i basen.

- Wziął pan kasety? - zapytała Jill mniej więcej po minucie.

- Nie - odparłem. - Chcę, żeby pani mi ją dała.

- A mam wybór?

- Nie. To może być dowód zbrodni. Mogę zażądać jej od pani urzędowo. Ale wolę, żeby dała mi ją pani dobrowolnie.

- Należy do pana - oznajmiła Jill, po czym się uśmiechnęła. - Właściwie to jest własnością hotelu Bayview.

- Bud zostawił tam depozyt w wysokości pięciuset dolarów. Uregulował należność.

- To dobrze. Bo zamartwiałam się, że ukradłam kasety.

Ja się tym nie przejmowałem. Właśnie dzięki tej kasecie tu trafiłem. Jill milczała przez dłuższą chwilę.

- Jest pan bardzo inteligentny. Wszystkiego się pan domyślił.

- To nie było trudne - odparłem skromnie.

Ale to naprawdę było trudne, a ja zasłużyłem na komplement.

- Bardzo się bałam, kiedy przyjechali agenci FBI - wyznała Jill. - Myślałam, że zapytają mnie, czy skopiowałam taśmę, zanim Bud ją skasował... ale czemu mieliby tak myśleć?

I skąd mieliby wiedzieć o filmie...

Faktycznie agenci wiedzieli, że Jill Winslow wypożyczyła film z hotelowej biblioteki, ale byli tak zajęci niszczeniem dowodów jej pobytu tam, że nawet nie przyszło im na myśl, iż bogata wystraszona dziewczyna mogła skopiować nagranie na wypożyczoną kasetę.

- Wtedy nie byłam gotowa, żeby pokazać tę taśmę - ciągnęła Jill.

- Rozumiem.

- Biedny Mark. Biedny Bud. - Jill napiła się wody. - Będą się na mnie bardzo gniewać. Każdy z innego powodu.

- Teraz już nie chodzi o nich, jeśli w ogóle kiedykolwiek o nich chodziło. Chodzi o panią, o rację, o prawdę i sprawiedliwość.

- Wiem... ale Bud czuje się dobrze w swoim małżeństwie. A Mark... on też czuje się wygodnie. - Jill zamilkła na chwilę. - Będzie zdruzgotany... upokorzony...

- Może sobie z tym poradzicie.

Jill się roześmiała.

- Mówi pan poważnie?

- Nie.

Jill wypła łyk wody.

- Są jeszcze Mark junior i James. Moi synowie.

- Ile mają lat?

- Trzynaście i piętnaście. Może pewnego dnia zrozumieją.

- Pewnego dnia tak. Może prędzej, niż się pani zdaje.

Jill spojrzała na mnie.

- Pójdę do więzienia?

- Nie.

- Czy nie zataiłam...?

- Proszę się tym nie martwić. Oni będą chcieli, żeby pani z nimi współpracowała.

Jill skinęła głową.

- A Bud? Czy on nie będzie miał kłopotów z powodu skasowania taśmy?

- Może. Ale oboje zawrzecie ugodę z władzami. - Po chwili zastanowienia dodałem: - Podejrzewam, że największy problem będzie z panią Mitchell.

- Arlene zamieni życie Buda w piekło - potwierdziła Jill.

- Proszę przestać się martwić o innych.

Jill nie odpowiedziała. Wyprostowała się i spojrzała na dom, a później na piękny ogród i basen.

- To było więzienie, a ja odsiadywałam w nim dożywocie.

Milczałem. Jak już wspomniałem, trudno jest współczuć bogatej kobiecie popijającej szampana na jachcie albo koło basenu. Rozumiałem jednak, czym jest złe małżeństwo. Nie ma znaczenia, czy masz masę forsy lub sławę - zły związek zrównuje ze sobą wszystkie klasy.

- Co ja teraz zrobię? - zapytała Jill bardziej samą siebie niż mnie. Spojrzała na mnie z uśmiechem. - Myśli pan, że mam szansę na karierę w filmie?

Uśmiechnąłem się do niej, ale nie odpowiedziałem. Zerknąłem na zegarek. Musiałem się stamtąd wynosić, zanim czarny śmigłowiec wylądował na trawniku przed domem Winslowów albo zajedzie ciemna limuzyna z Tedem Nashem i kompanią. Ale musiałem też pomóc Jill Winslow odzyskać spokój.

Ona tymczasem nad czymś się zastanawiała.

- Dlaczego trwało to pięć lat?

- Dopiero dostałem tę sprawę.

Jill skinęła głową.

- Gdy usłyszałam, że jest zamknięta, poczułam coś w rodzaju ulgi... ale miałam też poczucie winy. Kiedy ponownie otwarto tę sprawę?

W gruncie rzeczy jakąś godzinę temu. Ale nie powiedziałem tego.

- Obchody piątej rocznicy w lipcu rozbudziły zainteresowanie opinii publicznej.

- Rozumiem. Chciałby pan pójść ze mną do kościoła? - zapytała Jill Winslow.

- Hm, poszedłbym, ale obawiam się, że muszę jechać. Czy może pani skopiować teraz to nagranie?

- Mogę to zrobić tak samo jak za pierwszym razem, tylko odwrotnie. Z magnetowidu na kamerę. Jest pan upośledzony technicznie?

- Gorzej. Zróbmy tę kopię.

Jill wstała. Weszliśmy do kuchni, a potem do salonu. Po drodze zabrałem policyjną krótkofalówkę.

Jill weszła do dużego schowka pełnego gier planszowych i innych zabawek. Po chwili wróciła z kamerą wideo i postawiła ją na podłodze koło telewizora.

Zaproponowałem pomoc.

- Jeśli chce pan, żeby zostało to zrobione dobrze, proszę usiąść i nie przeszkadzać - odparła.

Nie zamierzałem siedzieć, podczas gdy Jill będzie się bawiła z najważniejszym dowodem stulecia, więc uklęknąłem obok niej. Zadawałem jej pytania, kiedy podłączała magnetowid do kamery długim przewodem. Wyjaśniła, że kable służą do przesyłania obrazu i dźwięku. Wiedziała, że film *Kobieta i mężczyzna* przewinąłem do początku, więc nacisnęła guzik na kamerze, a potem na magnetowidzie.

- Kasetę w magnetowidzie jest teraz przegrywana na minikasetę w kamerze - wyjaśniła Jill.

- Jest pani pewna?

- Tak. Chce pan, żebym odtworzyła minikasetę na ekranie telewizora?

- Nie. Ufam pani.

- Słusznie - pochwaliła mnie Jill. - Mogłam ją skasować pięć lat temu. Mogłam panu powiedzieć, że nie istnieje. Ale ją panu odtworzyłam. - Po chwili dodała: - Ja też panu ufam.

- To dobrze. Ile czasu to potrwa?

- Tyle samo, ile trwała oryginalna taśma, czyli jakieś czterdzieści minut. Chce pan śniadanie?

- Nie, dziękuję. - Znów wpadłem w paranoję i wyobraziłem sobie, że Nash i spółka właśnie zajeżdżają przed dom Jill. Czy naprawdę potrzebowałem tej kopii? - Możemy przewinąć do scen na plaży, w czasie których widać eksplodujący samolot?

- Spiesz się panu? - zapytał Jill.

- W zasadzie tak.

Jill włączyła telewizor i na ekranie ukazał się obraz z taśmy. Pani Winslow uprawiała właśnie seks oralny z panem Mitchellem. Siedząc obok niej, chyba się zaczerwieniłem. Ale ona była dziwnie obojętna.

- Jest pan pewien, że nie chce kopii tych fragmentów nagrania? - zapytała.

- Jestem pewien.

Jill nacisnęła guzik przewijania na magnetowidzie i obraz przyspieszył. Po scenie smakowania żony nacisnęła „play” i akcja ponownie rozwijała się z normalną prędkością. Jill Winslow na ekranie usiadła prosto i powiedziała: „Cała się lepię. Wykapmy się na golasa”.

Spojrzała na mnie.

- Odtąd?

- Tak.

Wstała, a ja razem z nią. Spojrzałem na zegarek, a potem na ekran telewizora, na którym wciąż widać było obraz z taśmy. Przegrywanie od tego momentu powinno potrwać jakieś piętnaście minut.

- Czemu potrzebuje pan dwóch taśm? - zainteresowała się Jill.

- Gubię różne rzeczy.

Jill zerknęła na mnie, ale nie odpowiedziała. Wręczyła mi pilota.

- Nie chcę oglądać samolotu. Może pan siedzieć i obejrzyć jeszcze raz, jeśli pan chce, a gdy nagranie się skończy, gdy zacznie się *Kobieta i mężczyzna*, proszę nacisnąć guzik „stop”, a później „eject”. Będę na patio. Proszę mnie zawołać, jeśli będzie pan potrzebował pomocy przy wyciąganiu kasety z kamery.

- Chciałbym, żeby pani się ubrała i pojechała ze mną - oznajmiłem.

- Jestem aresztowana?

- Nie. - Zerknąłem na ekran z migającymi cyframi zegara elektronicznego. Do eksplozji o godzinie dwudziestej trzydzieści jeden zostało dwanaście minut, później były jeszcze obrazy zarejestrowane po wybuchu, potem sprint Buda i Jill na wydmy i tym podobne sceny.

Wziąłem Jill pod rękę i zaprowadziłem do kuchni.

- Będę z panią bardzo szczerzy - zacząłem. - Grozi pani pewnie niebezpieczeństwo i muszę panią stąd zabrać.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Niebezpieczeństwo...?

- Powiem to bardzo krótko. Agenci federalni, którzy byli tu przed pięcioma laty i zabrali skasowaną kasetę, prawie na pewno odczytali nagranie...

- Więc dlaczego...?

- Proszę słuchać. Oni wiedzą, co na niej było. Nie chcą, żeby ktoś jeszcze się o tym dowiedział...

- Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego. To nie ma znaczenia. Ważne jest to, że... są dwie odrębne grupy badające sprawę tego wypadku. Pierwsza grupa, czyli Nash, Griffith i inni, stara się zniszczyć i wyeliminować wszelkie dowody wskazujące na to, że był to atak raketowy. Druga grupa, ja i paru innych, próbujemy robić coś przeciwnego. To wszystko, co musi pani teraz wiedzieć. Jeszcze tylko to, że ludzie z pierwszej grupy mogą już być w drodze do nas, a jeśli się tu dostaną, zniszczą kasetę i... Musimy się stąd wynosić z tymi dwiema taśmami, natychmiast. Musi więc się pani szybko ubrać i jechać ze mną.

Jill patrzyła na mnie, a potem spojrzała przez okno, jak gdyby mogli tam zjawić się jacyś ludzie. Chciałem, żeby już się ruszyła, ale dałem jej czas na strawienie informacji.

- Zadzwońię na policję - rzekła wreszcie.

- Nie. Ci ludzie są agentami federalnymi tak jak ja i mają oficjalne upoważnienie do prowadzenia tego śledztwa. Ale należą do spisku. - Mówiąc to, wiedziałem, że Jill Winslow nie ma żadnego powodu mi wierzyć. I rzeczywiście spojrzała na mnie powątpiewająco.

- Co się stało pięć lat temu? - ciągnąłem. - Czy nie powiedziała mi pani, że od tego czasu dowiedziała się, że skasowaną taśmę można odczytać? Czy ci ludzie skontaktowali się z panią ponownie? Czy pani albo Bud zostaliście kiedyś wezwani do siedziby jakiegoś państwowego urzędu? Czy kiedykolwiek widziała pani kogoś oprócz Nasha, Griffitha i tego trzeciego mężczyzny? Jest pani inteligentną kobietą, proszę to sobie złożyć w całość.

Jill stała i patrzyła na swoje stopy. Skierowała na mnie wzrok i powiedziała:

- Wszystko, co pan mówi, ma sens, ale...

- Jill, gdyby chodziło mi tylko o taśmę, mógłbym wziąć ją teraz

i wyjść. Gdybym chciał pani zrobić coś złego, już dawno bym to uczynił. Musi mi pani zaufać i pojechać ze mną.

Patrzyliśmy na siebie.

- Dobrze - zgodziła się wreszcie Jill.

- Dziękuję. Proszę się ubierać. I nie ma mowy o braniu pryszni-
ca. Niech pani nie odbiera telefonów. Proszę wziąć ze sobą neseser i
tyle gotówki, ile ma pani w domu.

- Dokąd...?

- Później o tym pomówimy. Ma pani w domu broń?

- Nie. Czy pan nie...?

- Musi się pani pospieszyć.

Jill odwróciła się i wyszła do kuchni. Wchodząc z powrotem do
salonu, usłyszałem jej kroki na schodach.

Wziąłem pilota i usiadłem na stoliku, patrząc, jak Jill Winslow i
Bud Mitchell kochają się na plaży. Zegar w rogu ekranu pokazywał
8:27.

Zadzwoił telefon. Wysłuchałem pięciu dzwonek, a później chy-
ba włączyła się automatyczna sekretarka. Na wyświetlaczu ukazał się
napis „Numer prywatny”.

Przeszedłem szybko do frontowego pokoju i wyjrzałem przez
okno, lecz na podjeździe i ulicy nie dostrzegłem żadnego samochodu
oprócz mojego. Z tego miejsca nie widziałem zbyt dużego odcinka
ulicy.

Wróciłem do salonu akurat w chwili, gdy na dalekim horyzoncie
zaczęła się wznosić świetlna smuga, ciągnąc za sobą pióropusz dymu.
Obejrzałem ją przy normalnej prędkości i nie było wątpliwości, co to
jest. Pomyślałem, że dwustu świadków, którzy widzieli smugę, rozpo-
znałoby obraz z tego nagrania o wiele lepiej niż z animacji wykonanej
przez CIA.

Patrzyłem, jak pojawia się blask, a potem kula ognia. Zerknąłem
na Jill siedzącą okraciłem na Budzie, który usiadł i spoglądał przez
ramię. Doliczyłem do czterdziestu i usłyszałem huk z głośników, po-
tężny, stłumiony odgłos eksplozji, który odpłynął i zniknął w ciszy.

Znów zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu i tym razem ukazał się
komunikat „Numer prywatny”. Po pięciu dzwonekach włączyła się
automatyczna sekretarka.

Była dziewiąta piętnaście rano, nie za wcześnie na telefony od

rodziny lub przyjaciół w niedzielę, ale chyba jednak za wcześnie na dwa telefony jeden po drugim.

Jill i Bud biegli po plaży. Jill zbliżyła się do kamery i widziałem teraz, że patrzy na wyprzedzającego ją Buda. Co ten kretyń sobie myślał? Czy zamierzał zostawić ją na plaży, jeśli nie będzie biegła wystarczająco szybko, nie dość szybko się ubierze lub nie wsiądzie na czas do samochodu? Ten facet nie był ani fajny, ani odważny.

Bo przyjaciele i kochankowie albo razem utrzymują się na wodzie, albo razem idą na dno. Ja nawet nie znałem Jill Winslow, lecz czekałem na nią, wiedząc, że Ted Nash i jego przybocznicy mogą w każdej chwili zapukać do drzwi. Oni byli uzbrojeni, a ja nie. I nie miałem wątpliwości, że jeśli zobaczą i zrozumieją, co się tu dzieje, będą tak zdesperowani - nie mówiąc o tym, że wkurzeni - iż postarają się zniszczyć wszystkie dowody, a także świadków, którzy je znają. A mimo to siedziałem w domu Jill, mając już skopiony kluczowy fragment taśmy. Możliwe, że istnieje życie po wyjściu cało ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, o czym przekonałem się jako glina, ale trzeba się postarać, żeby dusza przetrwała razem z ciałem. Bo jeśli nie, to życie, które ci zostanie, nie będzie warte przeżycia.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek samochodu, a potem drugie. Po kilku szybkich uderzeniach serca uprzytomniłem sobie, że odgłos pochodzi z telewizora. Ekran był teraz całkowicie ciemny; dopiero za jakieś pięć minut Jill powie: „Bud, wydaje mi się, że tam eksplodował samolot”. Usłyszałem kroki Jill w foyer, zatrzymałem magnetowid, a potem uklęknąłem przy kamerze i wyłączyłem ją. Sam siebie zaskoczyłem, odgadując, jak wyjąć ze środka minikasetę, którą następnie schowałem do kieszeni.

Jill wróciła do salonu z neseserem, ubrana w czarne spodnie i białą bluzkę.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

- Dobrze. Odłóżmy wszystko na swoje miejsce. - Podałem jej kamerę, którą odniosła do schowka, podczas gdy ja wyjąłem z magnetowidu kasetę z filmem *Kobieta i mężczyzna* i wyłączyłem urządzenie. Popatrzyłem na światelka i przyciski, upewniając się, że nikt nie zauważy, iż sprzęt był używany.

Wyprostowałem się. W tej samej chwili podeszła do mnie Jill i podała mi pudełko od *Kobiety i mężczyzny*. Wsunąłem w nie kasetę i schowałem do bocznej kieszeni bluzy. Nacisnąłem guzik na stoliku i zasłony się rozsunęły.

- Wie pani, kto dzwonił? - zapytałem.
- To był zastrzeżony numer, dzwoniący nie zostawił wiadomości - odparła Jill.

- Okay, nasz plan jest taki. Mój samochód jest trefny, śledzą mnie. Musimy skorzystać z pani auta.

- Stoi w garażu. Ale muszę zostawić Markowi kartkę.

- Nie, żadnych kartek. Później może pani do niego zadzwonić.

Jill zmusiła się do uśmiechu.

- Od dziesięciu lat marzę o tym, żeby zostawić mu kartkę na kuchennym stole, zaczynającą się od słów „Drogi Marku...”, a teraz, kiedy odchodzę, mówi mi pan, że nie mogę tego zrobić?

- Wyśle pani do niego e-mail. Chodźmy.

Wziąłem od Jill neseser i przeszedłem za nią korytarzem koło kuchni, prowadzącym do garażu na trzy samochody. W tej chwili stały w nim dwa auta: terenowy lexus i kabriolet bmw Z3 z opuszczonym dachem.

- Który pan woli? - zapytała Jill.

Od Doma Fanellego wiedziałem, że bmw jest zarejestrowane na jej nazwisko. To mogło okazać się ważne, jeśli zostaniemy zatrzymani przez policję po tym, jak pan Winslow zawiadomi o zaginięciu żony.

- Bmw - odparłem.

Schowałem neseser Jill do bagażnika wozu.

- Chce pan prowadzić? - zapytała.

- Muszę się pozbyć mojego samochodu. Gdzie mogę go zostawić?

- A dokąd jedziemy?

- Na Manhattan.

- Dobrze. Proszę jechać za mną. Jest takie miejsce jakieś osiem kilometrów stąd, na Cedrowym Bagnie. Po prawej stronie zobaczy pan tablicę college'u Old Westbury z napisem SUNY. Tam może pan zostawić wóz.

- Dobrze. Proszę uruchomić samochód, ale nie otwierać garażu

pilotem. - Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem przez okna. Nie widziałem na zewnątrz żadnych pojazdów; nacisnąłem guzik otwierający drzwi. Kiedy się otworzyły, wyszedłem na zewnątrz, a Jill zamknęła garaż za pomocą pilota. Dałem jej minikasetę z kamery wideo i powiedziałem: - Proszę jej pilnować. Jeśli się rozdzielimy, musi pani dostać się z nią w bezpieczne miejsce. Do przyjaciół, kogoś z rodziny, do hotelu. Proszę nie wracać do domu. Niech pani zadzwoni do adwokata, a później na policję. Rozumie pani?

Jill skinęła głową. Nie wyglądała na przestraszoną lub zdezorientowaną, co mnie trochę uspokoiło.

- Niech pani podniesie dach i zamknie okna.

Jill poszła za moją radą, a ja wsiałem do taurusa i uruchomiłem silnik.

Wyjechałem za nią długim podjazdem. Znaleźliśmy się na Quail Hollow Lane.

Na razie szło nam dobrze, ale ta sytuacja w jednej chwili mogła się odwrócić. Zrobiłem w głowie przegląd rozmaitych scenariuszy i planów awaryjnych, na wypadek gdyby bomba trafiła w szambo.

To nie było podobne do Teda Nasha: zostawiać mi swobodę działania lub wziąć sobie wolną niedzielę. Ale może przyłożyłem mu w czaszkę mocniej, niż myślałem, i facet leży w łóżku z butelką aspiryny pod ręką, próbując dojść do ładu z myślami. Mało prawdopodobne, lecz cokolwiek robił, nie robił tego w zasięgu mojego wzroku.

Gdybym wtedy wiedział, że znajdę Jill Winslow i kasetę, bez wahania zabiłbym go na plaży, żeby uniknąć tej sytuacji. Uderzenia prewencyjne są dobrym rozwiązaniem, jeśli wiesz na pewno, czemu chcesz zapobiec.

Jeśli teraz wpadnę na Nasha i jego kumpli, raczej nie będę miał okazji naprawić swojego błędu, on natomiast z całą pewnością skorzysta z okazji, by mnie ukatrupić.

Rozdział 48

W ciągu kilku minut byliśmy na drodze Cedrowe Bagno. Zerkałem raz po raz w lusterko wsteczne, ale wyglądało na to, że nikt za nami nie jedzie.

Zaczynałem wierzyć, że wszystko mi się udało: znalezienie Jill Winslow i taśmy, poznanie nazwiska Buda i przy odrobinie szczęścia dotarcie na Manhattan.

Zdjąłem z paska policyjne radio i włączyłem. Rozmów było bardzo mało i żadna nie miała nic wspólnego ze mną. Wyłączyłem krótkofalówkę, notując w pamięci, żeby przy najbliższej okazji zwrócić ją sierżantowi Robertowski. Wiedziałem jednak, że może to trochę potrwać.

Zobaczyłem tablicę informacyjną college'u Old Westbury; Jill skręciła w prawo. Pojechałem za nią drogą obsadzoną po obu stronach drzewami, prowadzącą do niewielkiego kampusu prawie opustoszałego w niedzielę. Jill wjechała na parking, a ja postawiłem taurusa na pustym miejscu. Wziąłem swój neser i wrzuciłem do bagażnika jej auta.

- Ja poprowadzę - oznajmiłem.

Jill wysiadła, obeszła samochód i zajęła fotel pasażera.

Beemka miała pięciobiegową ręczną skrzynię biegów; dawno nie jechałem takim wozem. Kiedy wrzucałem jedynkę, trochę zachrobotało. Pani Winslow się skrzywiła.

Wróciliśmy na drogę Cedrowe Bagno i skierowaliśmy się na południe. Bmw jechało jak marzenie, a co ważniejsze, zostawiłoby w tyle każdy samochód, który Nash mógł wziąć z państwowego garażu.

Po pięciu minutach zauważyłem tablicę z napisem Long Island Expressway.

- Tu trzeba skręcić do miasta - odpowiedziała Jill.
- Proszę się trzymać.

Gdy samochód znalazł się jakieś siedem metrów od wjazdu, nacisnąłem gwałtownie hamulec i gwałtownie skręciłem. Zapiszczały opony, włączył się mechanizm pulsacyjny. Zerknąłem w lusterko wsteczne, zredukowałem biegi i wcisnąłem pedał gazu. Dziesięć sekund później byłem na autostradzie i jechałem na piątce. Przeskoczyłem dwa pasy i docisnąłem pedał do końca. To autko fruwało.

Jadąc po wewnętrznym pasie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, znów spojrzałem w lusterko.

Jeśli ktoś nas śledził, został pół kilometra w tyle.

Ruch na trasie był niewielki, więc mogłem swobodnie śmigać między niedzielnymi kierowcami jadącymi za wolno po skrajnych pasach.

- Czy ktoś nas ściga? - zapytała Jill po długim milczeniu.
- Nie. Ale bawi mnie taka jazda.
- Mnie nie.

Zwolniłem i zjechałem na środkowy pas. Jechaliśmy jakiś czas bez słowa.

- Jak panu na imię? - spytała Jill.
- John.
- Mogę zwracać się do pana po imieniu?
- Oczywiście. A ja mogę pani mówić Jill?
- Już to robisz.
- Racja.

Włączyłem komórkę i poczekałem pięć minut, ale nikt nie zadzwonił ani też wcześniej nie nagrał wiadomości, toteż ją wyłączyłem.

- Jak się czujesz?
- Świetnie. A ty?
- Nieźle. Rozumiesz, co jest grane?
- Co nieco. Ale zakładam, że ty wiesz, co jest grane.
- Owszem. - Zerknąłem na nią. - Powinnaś mieć świadomość, że jesteś po właściwej stronie: po stronie prawdy i sprawiedliwości, ofiar katastrofy TWA osiemset, ich rodzin i narodu amerykańskiego.

- Więc kto nas ściga?
- Może nikt. A może kilku zbuków.
- To czemu nie możemy zadzwonić na policję?
- No, może ktoś więcej niż kilku zbuków, a ja jeszcze nie mam pewności, kto jest dobry, a kto zły.
- Co będziemy robić do czasu, gdy się połapiesz?
- Czy jest jakiś hotel w mieście, w którym zwykle się zatrzymujesz?
- Waldorf albo Union League Club.
- W takim razie tych będziemy unikać. Znajdźmy jakiś w pobliżu centrum.

Jill pomyślała przez chwilę.

- Plaza.
- Zadzwoń tam i zrób rezerwację. Będziemy potrzebować dwóch sąsiadujących pokoi.
- Zostaniesz ze mną?
- Tak. Zrób rezerwację swoją kartą kredytową. Dopilnuję, żeby zwrócono ci te pieniądze.

Jill zadzwoniła do hotelu Plaza i zarezerwowała apartament z dwiema sypialniami.

- Teraz wyłącz komórkę - poleciłem.
- Dlaczego?
- Można namierzyć telefon za pomocą wieży triangulacyjnej.

Jill nie prosiła o dalsze wyjaśnienia, tylko wyłączyła aparat.

Przekroczyliśmy granicę okręgu Nassau i wjechaliśmy do Queens. W ciągu pół godziny powinniśmy być w hotelu Plaza.

- Jak długo będę musiała zostać w hotelu? - spytała Jill.
- Ze dwa dni.
- I co potem?
- Potem przeniesiesz się do innego hotelu. Albo znajdę ci bezpieczną kryjówkę. Potrzebuję około czterdziestu ośmiu godzin na mobilizację armii aniołów. Później będziesz bezpieczna.
- Czy powinnam zadzwonić do adwokata?
- Jeśli chcesz. Ale gdybyś zechciała poczekać kilka dni, byłoby lepiej.

Jill skinęła głową. Jechaliśmy przez Queens.

- Kiedy zobaczysz się z Budem? - spytała Jill.
- Ja albo ktoś inny spotka się z nim w ciągu czterdziestu ośmiu godzin - odparłem. - Nie dzwoń do niego, proszę cię.
- Nie miałam takiego zamiaru. - Jill szturchnęła mnie w ramię. - Może być go aresztował? Chętnie odwiedzę go w pudle.
- Stłumiłem śmiech, ale Jill się roześmiała, więc ja też.
- Chyba będzie nam potrzebna jego współpraca - odparłem.
- Będę musiała się z nim spotkać?
- Może. Ale staramy się separować od siebie świadków.
- To dobrze. Gdzie mieszkasz?
- Na Manhattanie.
- Mieszkałam tam po college'u, przed ślubem. - Jill zrobiła krótką pauzę. - Za wcześnie wyszłam za męża. A ty?
- To moje drugie małżeństwo. Poznasz moją żonę. Jest agentką FBI, obecnie przebywa za granicą. Jutro wróci, jeśli wszystko dobrze pójdzie.
- Jak się nazywa?
- Kate. Kate Mayfield.
- Zachowała panieńskie nazwisko?
- Nie całkiem dla siebie. Zaproponowała mi, że się nim ze mną podzieli.
- Jill się uśmiechnęła.
- W ten sposób się poznaliście? W pracy?
- Tak.
- Prowadzisz ciekawe życie?
- W tej chwili tak.
- Twoja praca wiąże się z dużym ryzykiem?
- Istnieje poważne ryzyko śmierci z nudów.
- Wydaje mi się, że jesteś skromny i bagatelizujesz wiele rzeczy. Teraz się nudzisz?
- Nie.
- Kiedy twoja żona wyjechała?
- Jakies półtora miesiąca temu - odparłem.
- A ty byłeś w Jemenie?
- Tak.
- Co w tym nudnego?
- Wybierz się do Jemenu i sama przekonaj.

- A ona gdzie była?
- W Tanzanii, w Afryce.
- Wiem, gdzie leży Tanzania. Co twoja żona tam robiła?
- Możesz ją o to zapytać, kiedy się spotkacie.

Odnosiłem wrażenie, że pani Winslow nie spotykała zbyt wielu ciekawych ludzi na lunchach i kolacjach w klubie. Przypuszczałem też, że uważa, iż po skończeniu college'u nie wsiadła do właściwego pociągu, ale traktuje aktualną życiową katastrofę raczej jako okazję niż problem. To było właściwe nastawienie i miałem nadzieję, że Jill dobrze na tym wyjdzie. Jakieś półtora kilometra dalej zaczynał się Midtown Tunnel. Zerknąłem na Jill Winslow. Sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. Może dzięki wychowaniu, a może dlatego, że nie do końca zdawała sobie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa. A może zdawała sobie sprawę, lecz uważała, że niebezpieczeństwo jest lepsze od nudy. Też tak uważałem, kiedy byłem znudzony, ale kiedy groziło mi niebezpieczeństwo, nuda wydawała się całkiem znośna.

- Myślę, że polubisz Kate - powiedziałem. - Wspólnie się tobą zajmujemy.

- Sama potrafię się sobą zająć.
- Nie wątpię. Ale przez jakiś czas będzie ci potrzebna pomoc.

Zbliżyliśmy się do tunelu, zdjąłem więc elektroniczną kartę opłat Jill, dzięki której przy wjeździe system zanotowałby numer rejestracyjny samochodu, czas i miejsce. A tego nie chciałem. Zapłaciłem przy budce gotówką i wjechałem do długiego tunelu pod East River.

- Co powinnam zrobić w związku z Markiem? - zapytała Jill.
 - Zadzwoń do niego później z komórki.
 - I co powiedzieć?
 - Powiedz, że masz się dobrze, ale musisz spędzić trochę czasu sama. Później zrobimy krótką odprawę.
 - Świetnie. Jeszcze nigdy nie miałam odprawy.
- Uśmiechnąłem się.
- Później chcę mu powiedzieć wszystko.
 - Powinnaś... zanim sam się dowie. O wszystkim dowie się opinia publiczna.

Jill milczała przez dłuższą chwilę. Patrzyliśmy na migające za szymbami brudnobiałe płytki na ścianach tunelu.

- Było tyle wieczorów, kiedy siedzieliśmy w salonie... on rozmawiał przez telefon albo czytał gazetę i mówił mi, co mam zrobić jutro, a ja miałam ochotę włożyć tę kasetę do magnetowidu. - Roześmiała się. - Myślisz, że by zauważył?

- Jestem tego pewien.

Wyjechaliśmy z tunelu i znów znalazłem się na Manhattanie. Wiele myślałem o tej chwili, kiedy przebywałem w Jemenie, ale nie sądziłem, że stanie się to w takich okolicznościach. Wciągnąłem w nozdrza woń spalin, popatrzyłem na miliardy ton betonu i asfaltu. Taksówka przeskoczyła przez skrzyżowanie na czerwonych światłach. Ruch samochodowy w niedzielę był słaby, przechodniów niewiele, tak że w ciągu dwóch minut znalazłem się na Czterdziestej Drugiej Ulicy i jechałem przez środek miasta.

- Masz do mnie jakieś pytania?

- Na przykład jakie?

- Na przykład, co się stanie. Czego możesz się spodziewać. Tego rodzaju rzeczy.

- Jeśli zechcę coś wiedzieć, sam mi to powiesz. Prawda?

- Prawda.

- Czy mogę coś zasugerować?

- Naturalnie.

- Za długo jedziesz na jedyńce.

- Przepraszam.

Skręciłem w prawo w Szóstą Aleję i skierowałem się do Central Park South, zwracając uwagę na zmianę biegów. W ciągu kilku minut dojechaliśmy do hotelu Plaza; kazałem parkingowemu zająć się samochodem. Wyjąłem z bagażnika nasze nesesery i wszedłem z Jill do wykwintnego holu.

Nie chciałem, żeby płaciła kartą kredytową, którą łatwo namierzyć, więc zapłaciła czekiem zabezpieczonym odbitką karty kredytowej. Pokazałem recepcjoniście legitymację agenta federalnego i poprosiłem, żeby sprowadził kierownika. Przyszli obaj po kilku minutach.

- Podróżujemy incognito, wykonując zadanie rządowe - zacząłem. - Nikomu, kto zapyta, nie powiecie panowie, że pani Winslow zameldowała się w tym hotelu. Jeśli ktoś będzie się o to dowiadywał,

zadzwoń pan do apartamentu. Rozumiemy się? - Zrozumieli i zrobili adnotację w komputerze.

Dziesięć minut później znaleźliśmy się w salonie apartamentu z dwiema sypialniami. Jill rozejrzała się i bez słowa wzięła sobie większą.

- Zadzwońę po obsługę - oznajmiła. - Co chcesz? To, czego chciałem, znajdowało się w barku.

- Tylko kawę - odparłem.

Jill podniosła słuchawkę i zamówiła kawę i różnego rodzaju ciastka.

- Czy twój mąż wrócił już do domu? - zapytałem. Jill spojrzała na zegarek.

- Raczej nie.

- Okay, chcę, żebyś zadzwoniła i zostawiła dla niego wiadomość. Zasugeruj, że potrzebujesz spędzić trochę czasu poza domem i pojechałaś gdzieś z przyjaciółką. Nie chcę, żeby twój mąż się przestraszył i zadzwonił na policję. Rozumiesz?

Jill się uśmiechnęła.

- Nie będzie przestraszony, tylko zaszokowany. Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam z domu... To znaczy zawsze opowiadam mu jakąś bajeczkę. A na policję nie zadzwoni, bo poczułby się niezręcznie.

- Dobrze. Zadzwoń ze swojej komórki.

- Ale powiedziałaś...

- Może być włączona przez jakieś pięć minut, najwyżej dziesięć.

Jill skinęła głową, wyjęła z torebki komórkę, włączyła i wybrała numer.

- Mark, mówi Jill. Dopadła mnie nuda i postanowiłam wybrać się do przyjaciółki w Hampton. Możliwe, że zostanę na noc. Jeśli chcesz, zostaw mi wiadomość w poczcie głosowej. Chwilowo nie będę odbierać telefonów. - Po chwili namysłu dodała: - Mam nadzieję, że przyjemnie grało się z kolegami w golfa i że Bud Mitchell tym razem cię nie rozżłościł. - Spojrzała na mnie i puściła oko. - Pa.

Najwyraźniej pani Winslow nieźle się bawiła.

- Dobrze było? - zapytała.

- Doskonale.

Z drugiej jednak strony jeśli Nash dodał dwa do dwóch, albo zaraz, albo wkrótce zjawi się w domu Winslowów i opowie gospodarzowi inną historię, a później poprosi go, żeby pomógł władzom odnaleźć zbląkaną żonę.

- Wyłącz komórkę - odpowiedziałem. - I pamiętaj, żeby wyłączyć ją za każdym razem po użyciu.

Jill wyłączyła aparat i schowała do torebki.

A potem poszła do swojej sypialni, żeby się odświeżyć.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Wpuściłem kelnera i podpisałem rachunek.

Podszedłem do okna i wyrząłem na Central Park.

Czułem się jak zbieg, co nie było zaskakujące, bo faktycznie uciekałem. Jak na ironię całe życie zawodowe spędziłem na ściganiu innych. Większość z nich była tak głupia, że niestety nie nauczyłem się przy tym, jak skutecznie uciekać.

Coś tam jednak sobie przyswoiłem i nie byłem głupi, toteż szanse, że panowie Nash i Griffith nie znajdą mnie za szybko, prezentowały się korzystnie.

Jill weszła do salonu. Wyglądała jak po odnowie pudrowo-szminkowej. Usiedliśmy przy stoliku i zaczęliśmy popijać kawę i chrupać ciasteczka. Byłem naprawdę głodny, ale nie pochłonałem całego talerza słodczy.

- Twoja żona przylatuje jutro? - spytała Jill.

- Taki jest plan. Około szesnastej.

- Wyjedziesz po nią na lotnisko?

- Nie mogę się pokazać w umówionym wcześniej miejscu.

Jill nie zapytała dlaczego; chyba zaczynała rozumieć.

- Załatwię, żeby ktoś pojechał i przywiózł ją tutaj. Ani ona, ani ja nie możemy wrócić do naszego mieszkania.

Jill skinęła głową i popatrzyła na mnie.

- John, ja się boję.

- Nie musisz.

- Masz broń?

- Nie.

- Dlaczego?

Wyjaśniłem jej to, po czym dodałem:

- Nie potrzebuję broni.

Porozmawialiśmy trochę, a potem poleciłem:

- Weź kasetę, którą ci dałem, i kaź ją schować w hotelowym sejfie.

- Dobrze. Co zrobimy z *Kobietą i mężczyzną*?

- Ja się tym zajmę.

Jill skinęła głową.

- Chciałabym pójść do kościoła, a później na spacer. Mogę?

- Prawdę mówiąc, jeśli tamci dowiedzą się, gdzie jesteście, nie będzie miało znaczenia, co robisz.

Zapisałem w swojej komórce numer jej telefonu, a ona zanotowała mój.

- Pamiętaj, że nie może być włączony dłużej niż pięć minut. Na Manhattanie, gdzie krzyżują się ze sobą sygnały z kilkuset tysięcy telefonów, namierzenie komórki może potrwać kwadrans lub więcej, ale lepiej dmuchać na zimne.

- I nie korzystaj z karty kredytowej ani bankomatu. Masz gotówkę?

Jill skinęła głową.

- Nie chciałbyś pójść ze mną?

- Muszę tu zostać i wykonać parę telefonów - odparłem, wstając.

- Zadzwoń do ciebie kilka razy, więc co pół godziny sprawdzaj, czy masz ode mnie wiadomość, i natychmiast oddzwaniaj.

- Jesteś gorszy od mojego męża - prychnęła Jill.

Uśmiechnąłem się.

- Jeśli będziesz chciała do mnie zadzwonić, to bezpośrednio do pokoju. Ale gdy nie odbiorę, wtedy dzwoń na komórkę.

I nie wracaj do pokoju, jeśli się nie odezwę. Rozumiesz?

Jill skinęła głową.

- Przed wyjściem pamiętaj o tym, żeby zostawić kasetę w hotelowym sejfie. Potem włóż pokwitowanie do firmowej koperty i kaź przynieść do apartamentu.

Jill znów potwierdziła skinieniem głowy.

- Bądź z powrotem nie później niż o siedemnastej - zazaczyłem.

- Chyba wrócę do Marka.

Uśmiechnąłem się.

- Do zobaczenia.

Wszedłem do mojej sypialni, usiadłem na łóżku i wybrałem numer komórki Doma Fanellego.

- Przepraszam, że zakłócam ci niedzielny wypoczynek - zacząłem.

- Hej. Dzwonisz z hotelu Plaza?

- Tak. Gdzie jesteś?

- W Waldorf. Co robisz w Plaza?

- Możesz gadać?

- Taak. Urządzamy sobie grilla z rodziną. Zabierz mnie stąd.

- Trzymasz drinka w dłoni? - zapytałem.

- A czy papież je kielbasę? Co jest grane?

- Chciałeś wiedzieć, co kombinuję, tak?

- Tak.

- Bawię się z wielkim, wygłodniałym, zionącym ogniem smoikiem, który może cię pożreć.

Po drugiej stronie linii na chwilę zapadła cisza.

- Wal.

- Okay. Chodzi o katastrofę TWA osiemset, o czym wiesz, i taśmę wideo z nagraniem eksplozji. I o panią Jill Winslow, którą mi znalazłeś. - Zrobiłem mu pełną piętnastominutową odprawę. Dom przez cały czas w nietypowy dla siebie sposób milczał. Kilka razy musiałem go pytać, czy wciąż tam jest.

Kiedy skończyłem, jęknął:

- Jezu Chryste, Boże wszechmogący. - Zamilkł na chwilę, a potem spytał: - Czy ty czasem nie bujasz?

- Nie.

- Jasna cholera.

- Wchodzisz w to?

Usłyszałem głosy w tle i łoskot muzyki; Dom musiał przechodzić z jednego miejsca w drugie. Poczekałem. Hałasy ucichły.

- Jestem w kiblu. Jasny gwint, muszę wypić jeszcze jednego drinka.

- Najpierw spuść wodę. Dom, potrzebuję twojej pomocy.

- Tak, tak. Mów, co mogę dla ciebie zrobić.

- Chcę, żebyś pojechał ze mną jutro radiowozem na lotnisko z co najmniej dwoma mundurowymi gliniarzami. Trzeba odebrać Kate.

- Taak? Dlaczego?
 - Ktoś może tam na nią czekać.
 - Kto?
 - Fedzie. Dobrze, więc odbierz mnie stąd, z Plaza...
 - Zaczekaj. Jeśli ktoś może czekać na nią, to na pewno czeka też na ciebie, wygibusie.
 - Wiem, ale muszę tam być, kiedy ona...
 - Nie musisz. Zostań tam, gdzie jesteś. Musisz chronić świadka.
 - Możesz przysłać tu kogoś do ochrony...
 - Hej, *paisano*, możesz uprawiać brawurę i głupotę na własną rękę. Zrobimy to po mojemu.
- Jako człowiek czynu nie lubię siedzieć na tyłku, kiedy ktoś się za mnie naraża. Jednak Dom miał rację.
- Nie będę tu zbijał bąków, kiedy ty pojedziesz na lotnisko Kennedy'ego...
 - Tak, dobra. Zadzwoń do ciebie, kiedy będziesz mi potrzebny.
- Koniec dyskusji. Co jeszcze?
- Okay... Bądź przygotowany na szczekanie FBI i różne takie pierdoły. Musisz naprężyć trochę mięśnie. Jasne? Nie obchodzi mnie, jeśli stanie przeciwko tobie cały tutejszy zasrani pułk FBI. Ty jesteś nowojorskim gliniarzem i to jest twoje podwórko, nie ich.
 - Tak. Żaden problem.
 - Postaraj się, żeby nikt nie śledził cię w drodze z lotniska...
 - Czemu o tym nie pomyślałem?
 - A kiedy dojedziesz do Plaza, każ gliniarzowi odprowadzić Kate do apartamentu pani Winslow. - Podaję mu numer pokoju. - W porządku?
 - Taak... Mózg się od tego lasuje.
 - Podaję ci informacje o locie Kate. - Kazałem mu powtórzyć, a potem zapytałem: - Cieszysz się, że ci to wszystko powiedziałem?
 - O tak. Zajebicie.
 - Sam zapytałeś.
 - Taak, dzięki, że podzieliłeś się ze mną tą wiedzą. - Dom zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Cóż, gratuluję ci. Zawsze mówiłem, że geniusz z ciebie, nawet gdy porucznik Wolfe utrzymywał, że jesteś idiotą.

- Dziękuję. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?
- Taak... Na przykład, kto cię właściwie ściga?
- Na pewno Ted Nash, ten typ z CIA. Możliwe, że Liam Griffith z FBI. Nie mam pojęcia, kto jeszcze jest wplątany w tuszowanie tej sprawy, więc nie wiem, do kogo z mojej jednostki lub spoza niej mogę się zwrócić. Dlatego zadzwoniłem do glin.

Dom milczał przez kilka sekund.

- Jest jeszcze Kate... Możesz jej ufać, tak?

- Tak, Dom. To ona mnie do tego pchnęła.

- Okay, tylko sprawdzam.

Nie odpowiedziałem.

- Tymczasem potrzebujesz wsparcia w Plaza?

- Dam sobie tutaj radę przez dzień lub dwa. Skontaktuję się z tobą.

- Dobra. Jeśli te typy przyjdą po ciebie, wpakuj im w tyłki parę kulek, a później wezwij detektywa Fanellego z wydziału zabójstw. Wyślę karetkę, żeby zabrała zwłoki do kostnicy.

- Pierwszorzędny plan, ale mój gnat krąży gdzieś w poczcie dyplomatycznej - odparłem.

- Że co? Nie jesteś uzbrojony?

- Nie, ale...

- Pojadę do twojego mieszkania po twoją prywatną broń i zawiozę do...

- Nie jedź do mojego mieszkania. Oni je obserwują. Wdałbyś się z nimi w pyskówkę albo przywłókłbyś ich tutaj za tobą.

- Fedzie nie umieją śledzić nawet własnego cienia, mając słońce za plecami.

- Zgadza się. Ale nie możesz ryzykować dzisiaj jazdy do mojego mieszkania. Jutro masz robotę do wykonania.

- Przywiozę ci swojego prywatnego gnata.

- Dom, po prostu trzymaj się dzisiaj z daleka od Plaza. Nic mi się nie stanie.

- Okay, ty tu rządzisz. Słuchaj, a może chcesz, żebym wziął cię do aresztu ochronnego?

Zastanowiłem się nad tym. Jednak nie sądziłem, by Jill Winslow miała ochotę spędzić noc w pudle. Co ważniejsze, mogłem sobie wyobrazić, jak fedzie kontrolują, czy nowojorska policja naprawdę wzięła mnie do aresztu ochronnego. Nie miałem wątpliwości, że w ciągu

kilku godzin zdołaliby wpakować nas oboje do swojego aresztu.

- John?

- Nie chcę zostawiać po sobie publicznie dostępnych śladów - wyjaśniłem. - Może jutro. Tymczasem jestem zaginiony w akcji. Zadzwoń do ciebie, jeśli będę chciał trafić do aresztu.

- No dobra. Wydaje mi się, że Plaza to bardziej komfortowy lokal od nowojorskiego aresztu centralnego. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

- Dzięki, Dom. Będę cię chronił, jeśli bomba trafi w szambo.

- Jeśli bomba przywali w to szambo porządnie, nie my będziemy koło niego stać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Życzę ci smacznych kielbasek z grilla. *Ciao*.

Jill zostawiła mi karteczkę na biurku w salonie. „Wysłałam o dwunastej piętnaście. Wróć koło piątej. Mogę zaprosić cię na kolację? Jill”.

Ogoliłem się, dwa razy wyszczotkowałem zęby, wykąpałem się i wypłukałem bokserki.

Służba hotelowa dostarczyła do apartamentu kwit z sejfu, a ja zanotowałem numer w pamięci i spaliłem kwit w toalecie.

Przeczytałem „Timesa” i pooglądałem telewizję. Kilka razy włączyłem telefon, żeby sprawdzić, czy Sztyny Ted dzwonił w sprawie spotkania, ale chyba wziął sobie dzień wolnego. Taką miałem nadzieję. Było wpół do szóstej, a Jill wciąż nie wracała, więc zadzwoniłem na jej komórkę, zostawiłem wiadomość i wypłem piwo.

O siedemnastej czterdzieści osiem Jill zadzwoniła do apartamentu.

- Przepraszam, straciłam rachubę czasu. Wróć koło wpół do siódmej.

- Będę czekał.

Przyszła przed siódmą. Czy kobiety mają inne poczucie czasu? Już miałem coś powiedzieć o jego znaczeniu, gdy Jill wręczyła mi reklamówkę ze sklepu Barneys.

- Otwórz.

W torebce znajdowała się męska koszula. Pamiętając o tym, że nie zmieniłem koszuli od trzech dni, można rzec, że był to podarunek bardziej dla Jill niż dla mnie.

- Dziękuję - rzuciłem wielkodusznie. - To bardzo rozropne z twojej strony.

Jill się uśmiechnęła.

- Wiem, że podróżowałaś w tej koszuli i naprawdę wygląda na nieco sfatygowaną.

Prawdę powiedziawszy, śmierdziała. Rozpakowałem koszulę. Była... różowawa.

- Podnieś - poleciła Jill. Przyłożyłem nabytek do klatki piersiowej.

- To dobry kolor dla ciebie. Podkreśla opaleniznę.

Byłby to dobry kolor, gdybym przeszedł do innej drużyny.

- Naprawdę nie musiałaś... dziękuję.

Jill wzięła ode mnie koszulę i wyciągnęła z niej jakieś pięćset szpilek w ciągu pięciu sekund.

- Powinna pasować - oceniła. - Przymierz.

Koszula miała krótki rękaw i w dotyku przypominała jedwab. Zdjąłem starą, cuchnącą i włożyłem cudo z różowego jedwabiu.

- Świetnie na tobie wygląda - zachwyciła się Jill.

- I jest bardzo przyjemna w dotyku. Odebrałaś wiadomość od męża?

Jill skinęła głową.

- Co powiedział?

Wyjęła komórkę z torebki, włączyła pocztę głosową i podała mi aparat. Najpierw usłyszałem nagrany głos, który zakomunikował: „Wiadomość została odebrana o piętnastej dwadzieścia osiem”. Później odezwał się Mark Winslow: „Jill, mówi Mark. Dostałem twoją wiadomość. - Głos Marka Winslowa był całkowicie pozbawiony wyrazu. Zdziwiłem się, że w ogóle się nagrał. Podobne wrażenie odniosłem, gdy patrzyłem wcześniej na jego zdjęcie. - Jestem bardzo zaniepokojony, Jill. Bardzo. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko odbierzesz tę wiadomość. Musisz do mnie zadzwonić i powiedzieć, gdzie jesteś. Postąpiłaś bardzo egoistycznie. Chłopcy czekali na twój telefon jak w każdą niedzielę. Zadzwonili do mnie, a ja powiedziałem, że wyjechałaś

z przyjaciółmi, ale wydaje mi się, że usłyszeli niepokój w moim głosie i chyba się martwią. Powinnaś do nich zatelefonować i uspokoić ich. Do mnie też zadzwoń. Martwię się. Porozmawiamy, kiedy odbierzesz tę wiadomość”.

Czekałem, aż powie „Kocham cię” albo „Szczerze ci oddany Mark”, ale nagranie się skończyło. Wyłączyłem aparat i oddałem Jill.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Naturalnie nie zadzwoniłam - uspokoiła mnie Jill.
- Jak mogłaś się oprzeć takim serdecznym prośbom?

Jill się uśmiechnęła.

- Ja naprawdę nie chcę mu sprawiać bólu.
- Ośmielę się zauważyć, że jego głos nie zdradzał cierpienia. Ale ty znasz go lepiej niż ja.

- Dzwonił jeszcze trzy razy i powtarzał: „Zadzwoń do mnie”.

Przeanalizowałem wiadomość od Marka Winslowa i doszedłem do wniosku, że Ted Nash jeszcze nie szukał pani Winslow w domu. Lecz zastanowiłem się ponownie i uznałem, że być może Ted Nash stoi w pokoju obok Marka Winslowa, gdy ten dzwoni do żony.

- Czy głos twojego męża brzmiał... naturalnie? - zapytałem.
- Tak, to jego normalny głos.

- Chodzi mi o to, czy uważasz, że ktoś mu podpowiadał? Policja lub ktoś w tym rodzaju.

Jill pomyślała przez chwilę.

- Myślę, że to możliwe... sam z siebie nie wspomniałby o chłopcach, ale... - Spojrzała na mnie. - Wiem, co masz na myśli, ale trudno mi ocenić.

- Okay. - Kolejna paranoiczna myśl, ale pożyteczna. Wniosek: nie ma znaczenia, czy Ted Nash podąży za mną krok w krok, jeśli mnie o krok nie wyprzedzi. - Co byś powiedziała na drinka?

Wypiliśmy drinka i Jill wspomniała o kolacji, ale zaproponowałem, żebyśmy zamówili ją do pokoju. Po części dlatego, że kiedy gdzieś wychodzę, zawsze wpadam na niewłaściwych ludzi, a po części dlatego, że im więcej będzie drzwi między Jill i mną a tymi, którzy nas poszukują, tym lepiej.

Porozmawialiśmy chwilę. Jill potwierdziła, że zostawiła kasetę wideo w hotelowym sejfie, a ja powiedziałem jej, że dostałem pokwitowanie. Jill poinformowała mnie również, że przez cały dzień miała komórkę wyłączoną, nie korzystała z karty kredytowej i z bankomatu.

Poszła do katedry Św. Tomasza przy Piątej Alei, a następnie wzdłuż parku do Metropolitan Museum of Art. Wstąpiła do sklepu Barneys, pooglądała wystawy na Madison Avenue i wróciła do Plaza. Typowa niedziela w Nowym Jorku, lecz dla Jill Winslow pamiętna.

Zamówiliśmy kolację do apartamentu. Podano ją o ósmej. Usiedliśmy przy stole. Światła były przyćmione, paliły się świece, a z głośników sączyła się łagodna muzyka.

Mimo to nie próbowaliśmy się nawzajem uwodzić, co oboje prawdopodobnie przyjęliśmy z ulgą. Jill jest bardzo ładna, ale wszystko ma swoje miejsce i czas. Dla mnie ten czas się skończył, kiedy się ożeniłem. Dla niej dopiero się zaczynał. Poza tym nazajutrz koło piątej miała wrócić Kate.

Wypiliśmy trochę wina i Jill nieco się wstawiła. Zaczęła opowiadać mi o Marku i o dwuletnim romansie z Budem.

- Nawet kiedy postanowiłam, że będę niegrzeczna, wybrałam mężczyznę, w którym się nie zakocham. Bezpieczny seks.

Bezpieczny mąż. Bezpieczne małżeństwo. Bezpieczna okolica. Bezpieczne wakacje. Bezpieczni przyjaciele.

- Nie ma w tym nic złego.

Jill wzruszyła ramionami.

Nieco później wyznała:

- Po Budzie miałam jeszcze jeden krótki romans. Trzy lata temu. Trwał około dwóch miesięcy.

Nie chciałem znać szczegółów, a Jill ich nie przedstawiała.

Zamówiłem stek. Nie dlatego, że miałem na niego chęć, tylko dlatego, że był mi potrzebnym nóż. Jill w pewnym momencie przeprosiła i poszła do swojej sypialni, a ja zaniósłem zdobycz do swojego pokoju.

Około dziesiątej powiedziałem, że jestem zmęczony z powodu różnicy czasu między Stanami a Półwyspem Arabskim oraz pikantnych potraw i wina, od których odwykłem w Jemenie.

Jill wstała, uścisnęliśmy sobie dłonie. Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

- Dzielnym z ciebie żołnierz. Wszystko dobrze się skończy.
- Uśmiechnęła się i skinęła głową.
- Jeszcze raz dziękuję za koszulę. Dobranoc.
- Dobranoc.

Sprawdziłem, czy mam jakieś wiadomości w poczcie głosowej, ale nie było żadnej. Zamówiłem budzenie na szóstą czterdzieści pięć, obejrzałem wiadomości, a później wsunąłem do odtwarzacza kasetę z *Kobietą i mężczyzną*. Przewinąłem sceny na kocu, a ostatnie pięć minut odtworzyłem w zwolnionym tempie. Zobaczyłem poświatę na horyzoncie i światło unoszące się nad powierzchnią oceanu. Starłem się patrzeć sceptycznie i zinterpretować odmiennie to, co widzę, lecz kamera nie kłamała. Odtworzyłem wstecz, żeby sprawdzić, czy w ten sposób zauważę coś, co można inaczej odczytać, lecz bez względu na sposób odtwarzania - do przodu, do tyłu, w zwolnionym tempie i normalnym - widziałem to, co tam było: pocisk z płomienistym ogonem i ciągnącym się z tyłu pióropuszem dymu, wznoszący się ku światłom samolotu. Jeśli potrzebowalem dalszych dowodów, to był nim mały zygzak, który świetlny punkt i smuga dymu wykonały tuż przed eksplozją: ten zakichany pocisk skorygował trajektorię lotu, nakierował się na cel i uderzył w niego. Zagadka rozwiązana.

Wyjąłem kasetę z odtwarzacza i schowałem pod materac, a nóż położyłem na nocnym stoliku.

Zapadłem w niespokojny sen, w którym raz po raz oglądałem nagranie. Od prawdziwego różniło się tym, że to ja i Kate byliśmy na plaży zamiast Buda i Jill. Kate stała nago obok mnie i powtarzała: „Mówiłam ci, że to był pocisk. Teraz go widzisz?”.

Rozdział 49

Obudzono mnie za kwadrans siódma. Stoczyłem się z łóżka, sięgnąłem pod materac, wyciągnąłem kasetę z *Kobietą i mężczyzną* i gapilem się na nią przez chwilę.

Wyjrzałem przez okno na Central Park. Nie przepadam za poniedziałkami, a pogoda za oknem nie poprawiała mi nastroju: niebo było zachmurzone i padał deszcz; nie widziałem czegoś takiego przez czterdzieści dni spędzonych w Jemenie. Co nie znaczy, że pragnąłem tam wrócić.

Po wzięciu prysznicą ubrałem się w moje coraz wygodniejsze spodnie i włożyłem różową koszulę. Jeśli zobaczę dzisiaj Teda Nasha, a on zrobi jakiś przytyk do mojego nowego stylu ubierania się, będę musiał go zabić.

Poza tym ten dzień miał być tak zwanym wielkim dniem. Dziś porozmawiam z Nashem, a jeśli okaże się, że jego działania były uzgodnione z Waszyngtonem, spotkamy się w obecności odpowiednich osób. Musiałem się zastanowić, kto powinien być obecny na takim spotkaniu, gdzie powinno się odbyć i czy powinienem zabrać ze sobą jedną z kaset. Nie lubię oficjalnych spotkań, ale tego oczekiwałem z niecierpliwością.

Był to wielki dzień przede wszystkim dlatego, że Kate wracała do domu.

Pomyślałem o komitecie powitalnym. Mogli się w nim znaleźć ludzie mający bardzo różne zdania na temat tego, kto powinien zabrać Kate do swojego samochodu. Mogło być gorąco, ale Dom potrafi wpaść w całkiem niezły szal, kiedy ktoś sobie z nim pogrywa. Kate zaś,

o czym się przekonałem, też się nie hamuje, jeśli chce postawić na swoim.

Teraz jednak leciała gdzieś wysoko, a ja może powinienem wysłać jej wczoraj e-mail lub zadzwonić, uprzedzając ją o możliwej konfrontacji na lotnisku. Lecz jeśli ktoś miał ją na oku - a prawdopodobnie tak było po moim spotkaniu z Nashem - to ani e-mail, ani telefon nie były bezpieczne.

Przejrzałem się w dużym lustrze. Różowy kolor faktycznie podkreślał moją opaleniznę.

Wszedłem do salonu. Jill siedziała przy stole ubrana w biały hotelowy szlafrok, piła kawę i czytała „New York Timesa”.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Jill podniosła głowę.

- Dzień dobry. Ta koszula naprawdę dobrze na tobie wygląda.

- Będzie jedną z moich ulubionych. Dobrze spałaś?

- Nie.

Usiadłem i nalałem sobie kawy.

- Wczorajszy dzień był dla ciebie stresujący.

- To za mało powiedziane.

Przyglądałem się jej znad filiżanki, sącząc kawę. Jill wyglądała na spokojną, ale odniosłem wrażenie, że w końcu zaczyna do niej docierać, w jakiej sytuacji się znalazła.

- Czy myślisz teraz inaczej o tym, co się stało?

- Nie. Ale tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że postąpiłam słusznie.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Jill nalegała, żebym zjadł śniadanie. Przejrzelśmy kartę. Jill oznajmiła, że zje śniadanie zdrowe dla serca, i zasugerowała mi to samo.

Rozmawialiśmy, czytaliśmy gazety i oglądaliśmy program „Today” z Katie i Mattem.

Przyniesiono śniadanie. Od zdrowego dla serca śniadania dostałem zgagi.

Jill chciała pójść na spacer i zaproponowała, żebym jej towarzyszył.

- Powinienem tu zostać - odparłem. - Być może będę musiał pojechać na pewne spotkanie. Twoja obecność też może być potrzebna.

Dzwoń do mnie co godzinę i co pół godziny sprawdzaj pocztę głosową.

- Dobrze... O jakim spotkaniu mówisz?
- Takim, na które ktoś powinien cię zaprosić pięć lat temu.

Jill skinęła głową.

- Nie będziesz musiała nic mówić - wyjaśniłem. - Wystarczy sama twoja obecność. Ja będę mówił.

- Umiem mówić za siebie.

Uśmiechnąłem się.

- Nie wątpię.

Jill wyszła do swojego pokoju, ubrała się i wróciła do salonu.

- Przynieść ci coś z miasta?

Przede wszystkim potrzebowałem mojego glocka.

- Kończy mi się pasta do zębów. - Nie kończyła mi się, ale Jill chciała coś dla mnie zrobić. - Używam marki Crest. Spróbuj znaleźć kasetę z filmem *Kobieta i mężczyzna*. I nie zapomnij zadzwonić do pokoju przed powrotem. - Wziąłem, długopis z biurka, napisałem na mojej wizytówce numer Doma Fanellego i wręczyłem Jill. - Gdybyś nie mogła się do mnie dodzwonić albo gdybyś wyczuła, że coś jest nie tak, zadzwoń na ten numer do detektywa Fanellego. On powie ci, co robić.

Jill popatrzyła na mnie.

- Czy to jest twoja armia aniołów?

Ścisłe rzecz biorąc, nie nazwałbym Doma Fanellego aniołem.

- Tak. On będzie twoim aniołem stróżem, gdyby mnie coś się stało.

- Nic ci się nie stanie - zapewniła Jill.

- Słusznie. Miłego dnia.

Jill życzyła mi tego samego i wyszła.

Może powinienem ją zatrzymać, bo w pokoju była odrobinę bezpieczniejsza niż na zewnątrz. Ale niańczyłem wielu świadków i wiem, że jeśli trzyma się ich w klatce zbyt długo, zaczynają reagować niechęcią, a nawet wrogością. Poza tym Nashowi trudniej będzie zgarnąć nas oboje naraz, jeśli się rozdzielimy.

Włączyłem telefon, ale nie było wiadomości od Teda Nasha ani nikogo innego.

Zadzwoniłem na domową sekretarkę i znalazłem kilka wiadomości, lecz nie od Nasha.

Zatelefonowałem na komórkę Doma Fanellego.

- Jak sobie radzisz z eskortą dla VIP-a z lotniska? - zapytałem.

- Chyba skompletowałem drużynę. Musiałem powołać się na wszelkiego rodzaju przysługi, nawciskać różnym ludziom masę kitu i obiecać pół zasranego świata. Mam dwóch mundurowych i jednego wypożyczonego detektywa. Spotkam się z nimi na ulicy o trzeciej, powinniśmy być na lotnisku przed bramką, zanim Kate wyląduje.

- Brzmi nieźle. Jeszcze jedno przyszło mi do głowy: jeśli fedzie będą czekać na Kate, mogą się na nią zacząć przed kontrolą paszportową. Musisz się tam dostać, żeby temu zapobiec.

- Spróbuję... znam paru gliniarzy z ochrony lotniska... Zobaczą, co da się zrobić.

- Musi ci się udać. I nie pokazuj się na scenie za wcześnie, bo zdradzisz swoje karty. Tamci mogą wezwać wsparcie i dojdzie do przepychanki, którą możesz przegrać. To musi być błyskawiczna akcja. Musisz tam wpaść, capnąć Kate i zniknąć, zanim oni zdążą się połapać.

- Utrudniasz to, co i tak nie jest łatwe.

- Dasz sobie radę. Jeśli nie mają federalnego nakazu, Kate pójdzie z tobą, bo cię zna.

Dom parsknął śmiechem.

- Taak? Ona mnie nienawidzi.

- Uwielbia cię. Jeśli będzie tam któryś z jej szefów, sprawa stanie się jeszcze bardziej śliska. - A jeśli pojawi się Ted Nash, Kate zrobi bardzo dziwną minę na widok chodzącego umarlaka. - Jestem pewny, że zdołasz przekonać Kate, że wysłał cię jej kochający mąż.

- Racja. Ale muszę ci to powiedzieć, John. Ona jest twoją żoną, ale jest też federalną. Co jest ważniejsze?

Dobre pytanie.

- Daj jej do zrozumienia, o co toczy się gra, nie mówiąc za dużo w obecności innych. Okay? Zadzwoń do mnie, jeśli trzeba, a ja z nią pogadam. Jeśli wszystko inne zawiedzie, zagroź fedziom aresztowaniem za utrudnianie pracy policji, dobra?

- Taak, ale obaj wiemy, że to bzdura. Nie mamy żadnej prawnej podstawy, żeby tam być.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał?
- Nie. Zostaw to mnie. - Dom zamilkł na kilka sekund, a potem podsumował: - Bez względu na to, jak sytuacja rozwinie się na lotnisku, najważniejsze jest to, żebym dostarczył Kate do hotelu Plaza.
- Wiem. I postaraj się żeby nikt cię nie śledził.
- Fedzie nie potrafią śledzić psa na smyczy.
- Fakt. Rozumiesz, dlaczego to takie ważne?
- Tak. Chcesz przespać się z żoną jeszcze przed kolacją.
- Zgadłeś. Więc mnie nie wystaw. Dom parsknął śmiechem.
- Dobrze sobie radzisz z panią Winslow? Jak ona wygląda?
- To miła starsza pani.
- Ma trzydzieści dziewięć lat. Jak wygląda?
- Jest ładna.
- Co robiliście wczoraj wieczorem w hotelu?
- Zjedliśmy kolację.
- To wszystko?
- Oboje jesteście związani i nie interesuje nas nic z tych rzeczy.
- Ciekawa koncepcja. Kiedy przywiozę Kate do Plaży, jak ona zareaguje na to, że bunkrowałeś się w jednym apartamencie z gwiazdą plażowego porno?
- Dom, wyrzuć z głowy kosmate myśli.
- Nie można już z tobą pożartować. Gdzie jest teraz twój świadek?
- Na spacerze. Podałem jej numer twojego telefonu na wypadek, gdyby w Plaza zrobiło się gorąco.
- Jesteś pewny, że nie chcesz wsparcia w Plaza?
- Tak. Jesteśmy tu incognito i nikt nas nie śledził ani nie wytropił elektronicznie, bo już by nas zgarnięto. - Po chwili dodałem: - Fedzie nie umieją nawet znaleźć siebie w lustrze. Ale będę potrzebował policyjnej eskorty, kiedy dzisiaj lub jutro pojedę na spotkanie z nimi.
- Wystarczy, jak uprzedzisz mnie godzinę wcześniej. Tym razem naprawdę wpakowałeś się w głębokie szambo, partnerze.
- Tak myślisz?
- Trzymaj się.

- Jak zawsze. Zadzwoń do mnie, kiedy wsadzisz Kate do swojego auta.

- Zadzwonię. *Ciao*.

Zajrzałem do poczty głosowej, ale wciąż nie było żadnych wiadomości.

Deszcz przestał padać, lecz niebo nadal było zachmurzone. Przygotowałem się na długi poranek.

Sprzątaczką przysłała i wysłała, a ja zamówiłem kawę do pokoju.

Jill dzwoniła co godzinę zgodnie z umową, a ja informowałem ją, że nie ma wiadomości. Opowiadała mi, co robi. Głównie chodziła po galeriach. Kupiła tubkę pasty Crest i znalazła w sklepie kasetę z filmem *Kobieta i mężczyzna*.

- Mark dzwonił jeszcze z pięć razy i zostawił wiadomości. Powinam do niego oddzwonić?

- Tak. Spróbuj ustalić, czy dzwonił do niego lub go odwiedził jakiś agent federalny. Innymi słowy wybadaj, co on wie i czy kupuje twoją bajeczkę. Okay?

- Dobrze.

- Sprawdź, czy jest w pracy. On pracuje w śródmieściu, zgadza się?

- Tak. W samym centrum.

- Zadzwoń do niego. I nie zdradź mu żadnych informacji. Dobrze?

- Pieprzyć go - odparła, czym mnie zaskoczyła.

Uśmiechnąłem się.

- Później zadzwoń do mnie. I pamiętaj, komórkę trzymaj włączoną najwyżej pięć minut. Nie korzystaj też z automatu telefonicznego, bo na wyświetlaczu telefonu Marka ukaże się informacja, że jesteś na Manhattanie. Dobrze?

- Rozumiem. Myślisz o wszystkim.

- Staram się. - Miejmy nadzieję, że to prawda.

Około dwunastej trzydzieści włączyłem komórkę i poczekałem kilka minut. Usłyszałem pisk i wszedłem do poczty głosowej. „John, mówi Ted Nash. Muszę z tobą pomówić. Zadzwoń do mnie”. Podał numer komórki.

Rozsiadłem się w fotelu, oparłem stopy na podnóżku i wybrałem numer pana Teda Nasha.

- Nash, słucham.

- Corey.
- Nastąpiła półsekundowa pauza.
- Tak jak się umawialiśmy, dzwonię do ciebie w sprawie spotkania.
 - Spotkania...? A, tak. Jak się przedstawia twój kalendarz?
 - Jutro jestem wolny.
 - A dzisiaj?
 - Jutro byłoby lepiej. Po południu masz chyba odebrać Kate z lotniska?
 - To dzisiaj?
 - Tak mi się zdawało - odparł Nash.
- Toczyliśmy gierkę polegającą na sprawdzeniu, kto ile wie i kto kogo wodzi za nos.
- Dobrze, jutro.
 - Świetnie. Najlepiej byłoby rano.
 - Doskonale. - Zamilkłem na chwilę. - Będziesz musiał sprowadzić na spotkanie tych dwoje.
- Nash zamilkł na dwie sekundy.
- Mogę sprowadzić tego pana.
 - A gdzie jest ta pani?
 - Chyba wiem, gdzie ona jest. Myślę, że też będzie obecna na spotkaniu. Ten mężczyzna tam będzie i potwierdzi to, co ci powiedziałem.
 - Ten mężczyzna będzie z CIA, jeśli wiem coś o waszych metodach działania. Jeszcze jeden marny aktorzyzna.
 - Jeśli kobieta przyjdzie na spotkanie, potwierdzi tożsamość kochanka, zgadza się?
 - Skąd mam mieć pewność, że ona też nie jest podstawiona?
- Nash odczekał kilka sekund, a potem rzekł:
- Myślę, że będziesz wiedział, czy kobieta jest tą prawdziwą, czy nie.
 - Skąd miałbym to wiedzieć?
 - Bo myślę, że ją poznałeś...
 - Poznałem ją? Nawet nie znam jej nazwiska.
- Nash nie zareagował.
- Gdzie teraz jesteś? - zapytał.
 - W domu. - Wiedział, że to nieprawda, bo przypuszczalnie urządził tam kocioł.

- Dzwoniłem kilka razy do twojego domu i nikt nie odbierał.
- Nie odbieram telefonów. A ty gdzie jesteś?
- Broadway dwieście dziewięćdziesiąt. W swoim gabinecie.
- Wróciłeś do domu z plaży bez przeszkód? - zainteresowałem się.

Nash nie kazał mi spadać na drzewo ani walić się, ale wiedziałem, że zagryza wargę i łamie w rękę ołówek. Poza tym nie był sam, dlatego wyrażał się nieco sztucznie i ostrożnie.

- A ty jak się czujesz? - zapytał.
- Doskonale. Ale muszę przerwać tę pogawędkę, bo ktoś może próbować namierzyć sygnał z mojego telefonu.
- Kto miałby to robić?
- Terroryci. Moja matka. Były narzeczone. Nigdy nic nie wiadomo.

- Więc zadzwoń do mnie ze stacjonarnego.
- To po drugiej stronie pokoju, daleko. Ustalmy czas i miejsce.
- Dobrze. Kto przyjdzie z twojej strony? - zapytał.
- Ja.
- Ktoś jeszcze?
- Nikogo więcej nie potrzebuję. Ale chcę, żebyś był ty, oczywiście, Liam Griffith i ten facet, który zagrał w filmie na plaży, oraz jego kochanka, jeśli potrafisz ją znaleźć. Chcę też, byś zadzwonił do Jacka Koeniga i wyraźnie zasugerował, żeby przyszedł. Jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś. I każ mu przyprowadzić ze sobą kapitana Steina. Sprawdź też, czy pan Brown jest wolny.

- Kto?
- Wiesz kto. I sprowadź również kogoś z biura prokuratora generalnego.

- Dlaczego?
- Ty wiesz dlaczego.

Ted Nash postanowił zażartować.

- Nie róbmy z tego sprawy federalnej. To tylko nieoficjalne spotkanie, którego celem ma być ustalenie, co dalej robić. Ale głównie chodzi o to, żeby zaspokoić twoją ciekawość i przekonać cię, że za tym

wszystkim nie kryje się nic ponad to, co ci powiedziałem. To uprzejmość wobec ciebie, John, a nie wielki kowbojski pojedynek.

- Hm. Okay. Chyba za bardzo się napaliłem.
- To twój problem nie od dzisiaj. Myślisz o tym, żeby zabrać Kate na to spotkanie?
- Nie. Ona nie ma z tym nic wspólnego.
- To nie całkiem prawda, ale jeśli nie chcesz, żeby Kate dalej w to brnęła, to mogę jedynie wyrazić zrozumienie. Tylko że ona może chcieć tam być. Zapytaj ją, kiedy spotkacie się na lotnisku.
- Też, czy możliwe, że ta rozmowa jest nagrywana?
- Nie mogłaby być nagrywana zgodnie z prawem bez twojej lub mojej wiedzy.
- Słusznie. Czemu ja ciągle zapominam o takich niuansach? Tylko mówisz w taki napuszony sposób, zupełnie nie jak fedzio, którego znam.

Nash milczał przez kilka sekund.

- Palant z ciebie - rzekł wreszcie.
- Bogu dzięki. Bo już zaczynałem się o ciebie martwić. Ty też jesteś palantem. Więc dobrze, palancie, o której ci jutro pasuje?
- Z samego rana. Powiedzmy ósma, ósma trzydzieści. Możemy się spotkać tu, na Broadwayu dwieście dziewięćdziesiąt.
- Taak, jasne. Weszło tam więcej ludzi, niż wyszło.
- Nie dramatyzuj. Może u ciebie w pracy, w ATTF? - zaproponował Nash. - Tam będziesz się czuł bezpiecznie? A może nie robi to różnicy twojej paranoi?

Zignorowałem tę uwagę i pomyślałem o miejscu spotkania. Kate wraca do domu i wiedziałem, że będzie chciała wziąć udział w spotkaniu, mimo że nie chciałem jej w to wciągać. Ale przydałoby mi się jakieś wsparcie, a poza tym czułbym się lepiej, gdyby Kate była na spotkaniu, jeśli Jill ma na nim być. Przypomniałem sobie ostatni wieczór w Nowym Jorku przed rozstaniem z Kate.

- Bar Okno na Świat. Śniadanie mistrzów.
- Czy to nie jest zbyt publiczne miejsce na takie rozmowy? - zdziwił się Nash.

- Chodzi mi właśnie o publiczne miejsce, a ty przed chwilą powiedziałeś, że to tylko nieoficjalne spotkanie, uprzejmość wobec mnie. W czym problem?

- Właśnie ci powiedziałem. To zbyt publiczne miejsce.
- Przez ciebie nabieram podejrzeń, Ted.
- Ja nazwałbym to raczej paranoją.
- Czy nie spotkałem się z tobą sam na sam na plaży? To nie paranoja, tylko głupota. Ale tym razem chcę być cwany. Tam są fantastyczne widoki - dodałem.
- Naprawdę chcę, żeby to się odbyło w czymś gabinetce. Obojętnie czym. Koeniga, Steina. Wybieraj.
- Próbujesz przytrzymać mnie przy telefonie? Do zobaczenia jutro o ósmej trzydzieści. Okno na Świat. Ty stawiasz. - Rozłączyłem się. Palant.

To było długie popołudnie. Moja żona wkrótce wylądowała na lotnisku Kennedy'ego i będzie na nią czekać komitet powitalny, a może nawet dwa. Z kolei mój kluczowy świadek błąkał się po ulicach Nowego Jorku.

Zadzwoiła Jill.

- Rozmawiałam z Markiem. Powiedział, że agenci FBI przyszli dzisiaj do niego do biura i pytali, gdzie jestem.

- O której to było?
- Nie powiedział.

Podejrzewałem, że i wczoraj byli u niego w domu. Stąd jego dziwny telefon. Nie byłem też pewny, że to agenci FBI - raczej typy z CIA z papierami FBI.

- Nie chcieli mu powiedzieć, o co chodzi - ciągnęła Jill. - Twierdzili tylko, że jestem ważnym świadkiem w pewnej sprawie i chcą ze mną rozmawiać.

- Czy Mark pytał, o jaką sprawę chodzi?
- Tak. A ja mu wszystko powiedziałam. O Budzie, o nas na plaży i o kasecie.
- Jak to przyjął?
- Niezbyt dobrze. Ale jego pięć minut minęło, więc się rozłączyłam.
- Chcę, żebyś wróciła teraz do hotelu - oznajmiłem. - Wyłącz komórkę.

- Dobrze. Będę za kwadrans.

Sprawa rozwijała się nieco szybciej, niż planowałem, ale to nie było takie złe, że Ted Nash wie na pewno, iż John Corey odnalazł Jill Winslow. Pod warunkiem, że nie wyniuchał, gdzie jesteśmy. W gruncie rzeczy pan Nash miał bardzo zły dzień. Trudno mi było nawet sobie wyobrazić rozmowy telefoniczne między Nashem i tym, kto pięć lat temu postanowił zawiązać ten spisek i zatuszować sprawę.

Jednak Ted Nash zwiertzył szansę odwrócenia biegu wydarzeń. Spróbuje tego na lotnisku, zgarniając mnie i Kate, albo jutro w czasie spotkania.

Tymczasem nakręcał wszystkich związanych ze spiskiem, starając się ograniczyć straty i mnie namierzyć. Pewnie też często chodził do toalety. A jeśli dowie się, że mam kopię taśmy, znów zapragnie mojej śmierci.

Włączyłem komórkę i odsłuchałem wiadomość od tego, który zaprzątał moje myśli, czyli pana Nasha. Zadzwoiłem do niego.

- Rozmawiałem z paroma ludźmi i chcę potwierdzić nasze jutrzejsze spotkanie - poinformował mnie.

W jego głosie wyczułem nieco więcej niepokoju niż w czasie poprzedniej rozmowy. Najwyraźniej Ted naradzał się z bardzo strapiionymi ludźmi.

- Będę tam.

- O czym chcesz rozmawiać...? - zapytał Nash.

- Obojętnie o czym.

- Chcę cię o coś spytać. Czy masz jakieś mocne dowody, które mogą doprowadzić do wznowienia śledztwa?

- Jakie na przykład?

- To ja cię pytam.

- Hm, cóż... Może coś mam. Dlaczego pytasz?

- Przyniesiesz jutro te dowody?

- Jeśli chcesz.

- Byłoby dobrze. - Po chwili namysłu Nash zapytał: - Masz jakichś świadków, którzy byliby ci potrzebni w czasie jutrzejszego spotkania?

- Być może.

- Wszyscy świadkowie, których masz, będą mile widziani.

- Czytasz z kartki?

- Nie. Mówię ci tylko, żebyś przyprowadził, kogo chcesz.
- Więc mogę zabrać gościa na śniadanie? Na ucztę, za którą ty płacisz?
- Mogłem sobie wyobrazić, jak Nash łamie w palcach ołówki.
- Tak, możesz zabrać ze sobą wszystkie dowody i dowolną osobę.
- Po krótkiej pauzie dodał: - W Wieży Północnej są wolne biura, gdybyśmy zechcieli przenieść spotkanie na bardziej prywatny grunt.
- Postanowiłem zepsuć mu dzień do cna.
- Być może będę chciał urządzić małą prezentację wideo.
- Możesz załatwić sprzęt? - Żalowałem, że nie widzę jego facjaty.
- Nash milczał przez dłuższą chwilę.
- Myślę, że blefujesz.
- Więc mnie sprawdź. Postaraj się o magnetowid i telewizor.
- Powiedziałem ci, że kasetą została zniszczona - odparł po dłuższej chwili pan Nash.
- No cóż, łągałeś. Została tylko skasowana.
- Skąd wiesz?
- Ty wiesz, skąd wiem.
- Nawijasz mi makaron na uszy - rzucił Nash.
- Oglądałeś kiedyś taki francuski film pod tytułem *Kobieta i mężczyzna*? - zapytałem.
- Czekałem na odpowiedź. W mózgu Nasha zgrzytały tryby, ale on milczał.
- Pomyśl o tym. Ty i Griffith przydepnęliście sobie nawzajem fiuty.
- Wyobraziłem sobie spojrzenia siedzących obok ludzi, którzy spoglądają na niego. Jeśli był wśród nich Griffith albo pan Brown, prawdopodobnie wskazywali palcami jeden na drugiego.
- Albo ta paniusia jest bardzo cwana, albo postarałeś się, żeby była cwańsza niż tamtego wieczoru - oznajmił Nash.
- Wiemy, że ja jestem cwany. Myślę, że ona też. Ale nie wiem, czy ty jesteś cwany, Ted. I twoi kumple.
- Nash pozwolił sobie być sobą, czyli łotrem.
- Czasem kiedy popełniamy błędy, musimy je pogrzebać.

- Skoro o tym mówimy, kiedy mogę się spodziewać twojego następnego zgonu? Czy to jest doroczne wydarzenie?

Wtedy Nash mnie zaskoczył:

- Dobrze się bawisz?

- Tak.

- Więc baw się, póki możesz.

- Tak właśnie zrobię. Ty też się baw. Muszę kończyć.

- Poczekaj. Powiedz, czego się spodziewasz po tym spotkaniu?

Jaki rezultat by cię zadowolił?

- Prawda. Sprawiedliwość.

- A dla ciebie? I Kate?

- Czuję nosem łapówkę.

- Zgodziłbyś się pomyśleć o kompromisie? O dobrym układzie dla wszystkich?

- Nie.

- A gdybyśmy ci powiedzieli, o co naprawdę w tym chodzi? Dlaczego musieliśmy zrobić to, co zrobiliśmy? Byłbyś gotów spojrzeć na sprawę z właściwej perspektywy i zastanowić się nad jej szerszym kontekstem?

- Wiesz co? Gównno mnie obchodzi, co się za tym kryje, a swoje moralne dwuznaczności możesz sobie wsadzić w tyłek. Nie ma ani jednej rzeczy, którą ty i twoi zasrani kumple możecie mi powiedzieć i która uczyniłaby wasze postępowanie słusznym i zgodnym z prawem. Zestrzelenie samolotu przez nasze wojsko? Atak terrorystyczny? Promień śmierci ze statku kosmitów? A może po prostu nie wiecie, co to było. Ale bez względu na to, co się stało, rząd Stanów Zjednoczonych winien jest narodowi pełną i uczciwą odpowiedź. To jest rezultat, którego oczekuję.

- To dla pana o wiele za głębokie wody, panie Corey - ostrzegł Ted Nash.

- A ty siedzisz o wiele za głęboko w gównie - odparowałem. - Czuję, że mnie namierzacie. Do zobaczenia jutro. - Rozłączyłem się, podszedłem do barku i wziąłem zimne piwo.

Ted Nash po mistrzowsku umiał żonglować groźbami, kompromisami i łapówkami, jeśli w ten sposób mógł osiągnąć cel. W tym wypadku jego ostatecznym celem było pogrzebanie dowodów, a przy okazji mnie, prawdopodobnie Jill Winslow i być może jeszcze Kate.

I tego typu Kate darzyła sympatią. Wiem, że panie lubią niegrzecznych chłopców, lecz Ted Nash był czymś znacznie gorszym. Przypominał wampira - czasem był czarujący, niekiedy przerażający, ale zawsze nikczemny. A teraz wylazł z grobu, by zabić każdego, kto może ujawnić jego mroczne sekrety.

Dlatego bez względu na to, co się stanie jutro lub pojutrze, nie zagna spokoju, dopóki mnie nie zabije.

Nie ukrywam, że też pragnąłem jego śmierci.

Rozdział 50

Jill wróciła z kilkoma torebkami. W jednej znajdowała się tubka pasty Crest, a w drugiej kasecia wideo z filmem *Kobieta i mężczyzna*.

Usiadła, zdjęła buty i oparła stopy na podnóżku.

- Nie przywykłam do takich długich spacerów.
- Jeśli zamierzasz mieszkać na Manhattanie, czeka cię ich dużo.

Jill się uśmiechnęła.

- Nie sądzisz, że Mark da mi auto i szofera, kiedy weźmiemy rozwód?

- Nie zawadzi spytać. - Ucieszyłem się, widząc, że Jill wciąż nie straciła rezonu. Rozpoczynanie nowego życia jest ekscytujące, lecz w końcu docierało do niej to, co mniej przyjemne. Nadeszła pora odprawy. Postawiłem krzesło naprzeciwko Jill.

- Jutro o wpół do dziewiątej wyznaczyłem spotkanie - zagailem. - Będziemy rozmawiać o tobie, kasecie i kwestiach z nią związanych.

Jill skinęła głową.

- Bud Mitchell też ma tam być obecny - ciągnąłem.
- Rozumiem. A ty chciałbyś, żebym ja również była.
- Tak.

Jill pomyślała przez chwilę.

- Jeśli chcesz, pójdę. Kto jeszcze będzie?
- Ja oczywiście i prawdopodobnie Kate. Po drugiej stronie będą Ted Nash i Liam Griffith, których poznałaś pięć lat temu. Trzeci, którego

pamiętasz, pan Brown, może będzie, a może nie.

Jill skinęła głową.

- Ted Nash nie przypadł mi zbytnio do gustu.

- Większość ludzi za nim nie przepada, ja również. - Kate należała do tych, którzy go lubili, ale to się niedługo zmieni. - Poprosiłem, żeby przyszedł mój szef, Jack Koenig. Możliwe, że będzie też kapitan policji David Stein.

- Po czyjej są stronie?

- Bardzo dobre pytanie. Patrzę na to jak na mecz między dwiema drużynami: aniołów i demonów. Zawodnicy właśnie wybierają strony i w trakcie gry niektórzy mogą przechodzić z jednej drużyny do drugiej. Kapitanem demonów jest Ted Nash, który nie zmieni strony. Wszyscy inni chcą się zorientować, jak się ten mecz ułoży.

- A kto jest kapitanem aniołów?

- Ja.

Jill uśmiechnęła się.

- Ja jestem w twojej drużynie. Twoja żona oczywiście też.

- Oczywiście. Poprosiłem, żeby na spotkanie przyszedł ktoś z biura prokuratora generalnego. On lub ona będzie arbitrem. Rozwijając tę analogię, dodam, że mogą się tam znaleźć osoby, które będą tylko widzami, ale które być może zechcą się przyłączyć do gry w trakcie. - Po krótkiej pauzie dodałem: - Piłką jest kasetą wideo.

Jill milczała przez kilka sekund.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego ta sprawa stanowi taki problem. Samolot został zestrzelony. Ci, którzy wzięli moją skasowaną kasetę i ją odtworzyli, wiedzą o tym. Kto chce utrzymać to w tajemnicy? I dlaczego?

- Nie wiem.

- Dowiemy się tego jutro?

- Może odpowiedzą na pytanie dlaczego, ale to bez znaczenia. Nigdy nie powiedzą nam, kto za tym stoi. W tej chwili nie jest ważne kto i dlaczego. Liczy się tylko to, żeby ta taśma oraz zeznania twoje i Buda zostały upublicznione. Reszta sama się rozwiąże, zapewniam cię.

Jill skinęła głową.

- Czy oni nakłonili Buda, żeby zaczął mówić?

- Jeśli tego zechcą, Bud spełni ich życzenie.
- A co z obietnicą złożoną nam pięć lat temu, że jeśli odpowiemy na ich pytania, nigdy nie zostaną ujawnione nasze nazwiska i to, co robiliśmy tego wieczoru?

- Od tego czasu wiele się wydarzyło. Nie martw się o Buda. On się o ciebie nie troszczy.

- Wiem.

- Kiedy go jutro spotkasz, nie powinnaś czuć się niezręcznie i dręczyć się poczuciem winy. Musisz się wzmocnić przed tą rozgrywką.

Jill przeniosła wzrok na swoje stopy spoczywające na podnóżku.

- Czy kasetą zostanie odtworzona?

- Prawdopodobnie, lecz ani ty, ani Bud nie musicie być przy tym obecni.

Jill skinęła głową.

- Spotkanie odbędzie się w miejscu publicznym - ciągnąłem. - W barze Okno na Świat w jednej z wież World Trade Center. Później być może przejdziemy do biura FBI w tym samym wieżowcu, gdzie zostanie odtworzona kasetka. - Przyjrzałem się uważnie Jill. Do tej pory wszystko jawiło się jej jako abstrakcja: rozwód, ujawnienie jej roli w sprawie, lecz teraz, gdy zacząłem przedstawiać szczegóły, takie jak miejsce spotkania i nazwiska obecnych, Jill okazała niepokój. - Bez względu na to, jak będzie źle, wyjdzie z tego wyłącznie dobro.

- Wiem.

- Powinnaś wiedzieć coś jeszcze. Nie będę przed tobą ukrywał, że pierwsze spotkanie jest najniebezpieczniejsze.

Jill spojrzała na mnie.

- Myślę, że ci ludzie są zdesperowani, a zatem niebezpieczni - wyjaśniałem. - Jeśli mają jakąś szansę, żeby zakończyć całą sprawę, zanim urosnie i wymknie im się spod kontroli, to ta szansa nadejdzie jutro, przed spotkaniem, w jego trakcie lub po nim. Rozumiesz?

Jill skinęła głową.

- Podjąłem pewne kroki, ale chcę, żebyś zdawała sobie sprawę, że wszystko może się zdarzyć. Zachowaj czujność, trzymaj się blisko mnie, Kate albo Doma Fanellego. Nawet do łazienki nie wychodź bez Kate. Dobrze?

- Rozumiem... Dlaczego nie zadzwonimy do dziennikarzy?
- Po jutrzejszym spotkaniu nie będziemy musieli do nich dzwonić, bo to oni będą wydzwaniać do nas. Ale na razie... W moim biznesie obowiązuje niepisane prawo dotyczące mediów. Nie robimy tego. Nigdy. - Uśmiechnąłem się. - To gorsza zbrodnia niż zdrada lub spisek.

- Ale...

- Zaufaj mi. Nim minie ten tydzień, będziesz miała wokół siebie tylu dziennikarzy, że wystarczy ci do końca życia.

- Wierzę.

- Jutro lub pojutrze Kate porozmawia z tobą o programie ochrony świadków i o nowej tożsamości, jeśli będzie cię to interesować.

Jill nie odpowiedziała. Wstałem.

- Teraz muszę wykonać telefon. Możesz słuchać. - Włączyłem komórkę i dezaktywowałem funkcję ukrywania numeru. - Dzwonię do mojego szefa, Jacka Koeniga.

- Corey? - odezwał się Koenig.

- Wróciłem.

- Jak się miewasz? Jak było w Jemenie?

- Doskonale, Jack. Chciałem ci podziękować za to, że dałeś mi szansę zobaczenia tego kraju.

- Bardzo proszę. Słyszałem, że świetnie się tam spisałeś.

- Źle słyszałeś. Nikt nie ma pozwolenia, żeby świetnie się tam spisywać.

- Nie jestem przyzwyczajony do takiej szczerości - mruknął Koenig.

- A szkoda. Gdybyśmy wszyscy spróbowali mówić szczerze, może znaleźlibyśmy rozwiązanie problemu.

- Robimy, co w naszej mocy.

- Niezupełnie. Ale nie w tej sprawie dzwonię.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Miałeś wiadomości od Teda Nasha?

- Nie... O czym ty mówisz? On nie żyje.

- Żyje i dobrze o tym wiesz.

Na kilka sekund zapadła cisza, a potem Koenig spytał:

- Gdzie jesteś?

- Jack, wiem, że mój telefon jest namierzany, więc nie marnuj

moich pięciu minut na pytania, na które i tak ci nie odpowiem. Odpowiedz na moje pytanie: rozmawiałeś z Nashem?

- Tak.
- Będziesz tam jutro?

Jack na to nie odpowiedział.

- Po pierwsze, nie podoba mi się ton, jakim do mnie mówisz. Po drugie, twój problem z karierą jest nieaktualny, bo za chwilę możesz w ogóle nie mieć przed sobą żadnej kariery. Po trzecie, wydałem ci bezpośredni rozkaz...

- Odpowiedz na moje pytanie: bierzesz w tym udział czy nie?
- Nie.

- Od tej pory bierzesz.

- Co ty sobie, kurwa...

- Jack, możesz stanąć teraz po właściwej stronie albo klnę się na Boga, że skończysz w pudle.

- Nie wiem, o czym ty gadasz...

- Rozumiem. Siedzisz w tym tak głęboko, że nie możesz wyleźć, albo chcesz zobaczyć, jak to się rozwinie. Jeśli nie załapiesz się na pociąg jutro o ósmej trzydzieści, to następny zawiezie cię prosto do pierdla.

- Postradałeś zmysły?

- Słuchaj, daję ci szansę, bo w gruncie rzeczy lubię cię i szanuję. Powinieneś odbyć naradę ze swoimi szefami w Nowym Jorku i w Waszyngtonie. Powiedz im wszystko i podejmijcie inteligentną decyzję. Chcę cię widzieć jutro rano na spotkaniu. I masz mieć nad głową aureolę.

Jack najwidoczniej starał się główkować szybko i intensywnie, co nie jest łatwe, gdy kilka minut wcześniej było się myślami całkiem gdzie indziej.

- Będę tam - wydusił wreszcie.

- Dobrze. I nie zapomnij aureoli. Weź też ze sobą Davida Steina.

- John, rozumiesz, że twoje szanse dotarcia na to spotkanie są pół na pół, a jeśli ci się to uda, to masz takie same szanse, że dotrzesz do następnego celu.

- Stawiam dziesięć do jednego, że moje szanse są o wiele lepsze.

- Nie grożę ci, tylko cię ostrzegam. Wiesz, że zawsze miałem szacunek dla twojej uczciwości i osiągnięć... Poza tym lubię cię jako człowieka.

Nie wiedziałem ani o jednym, ani o drugim, lecz wyczułem niewielką zmianę kierunku wiatru, a właśnie po to wykonałem ten telefon.

- Ja mógłbym powiedzieć to samo o tobie, Jack. Zrób to co słuszne. Nigdy nie jest za późno.

Koenig nie odpowiedział.

- Muszę kończyć - oznajmiłem. - Jeszcze tylko jedno...

- Tak?

- Ta zasrana kasetka wideo istniała. Tak samo jak zasrana rakietka.

Koenig nie zareagował na to.

- Witaj w domu - powiedział.

- Dzięki. Teraz czas, żebyś ty do niego wrócił. - Rozłączyłem się.

- Zawsze rozmawiasz w ten sposób ze swoim szefem? - spytała Jill.

- Tylko wtedy, gdy trzymam go za jaja.

Jill parsknęła śmiechem.

Było popołudnie. Siedzieliśmy z Jill w pokoju i piliśmy herbatę. Nie wiem dlaczego, ale poczułem, że herbata i paluszkowe kanapki jakoś pasują do różowej koszuli.

Jill włączyła komórkę i znalazła w poczcie dwie wiadomości. Odśluchała je i podała mi aparat. Pierwsza wiadomość brzmiała następująco: „Halo, pani Winslow? Mówi Ted Nash. Jestem pewien, że pamięta mnie pani. Poznaliśmy się przed pięcioma laty. Rozumiem, że pojawiły się pewne nowe okoliczności w związku ze sprawą, o której wtedy rozmawialiśmy. Powinna pani wiedzieć, że umowa, którą wówczas zawarliśmy, jest zagrożona wskutek tego, że rozmawiała pani z osobą, która nie jest uprawniona do zajmowania się tą sprawą. To bardzo ważne, żeby zadzwoniła pani do mnie jak najprędzej, zanim zrobi pani lub powie coś, co skompromituje panią, pani przyjaciela, pani życie osobiste oraz zniweczy prawne zabezpieczenia. - Nash podyktował numer swojej komórki. - Proszę zadzwonić jeszcze

dzisiaj, tak abyśmy mogli omówić tę pilną sprawę”. Zerknąłem na Jill, która na mnie patrzyła.

- Jestem pewien, że tym razem wyraża się o wiele grzeczniej niż pięć lat temu.

Jill zmusiła się do uśmiechu.

Następna wiadomość brzmiała: „Jill, mówi Bud. Miałem bardzo niepokojącą wizytę w związku z wydarzeniami sprzed pięciu lat. Pamiętasz, obiecaliśmy sobie i innym osobom, że to zostanie między nami, a te osoby obiecały nam to samo. A teraz słyszę, że chcesz o tym komuś powiedzieć. Nie wolno ci tego zrobić, Jill, i wiesz dlaczego. Jeśli nie zależy ci na sobie ani na mnie, to pomyśl o swoich synach i o Marku. O Arlene, którą lubisz, i o moich dzieciach. To będzie katastrofa dla wielu niewinnych ludzi, Jill. Co się stało, to się nie odstanie. Należy do przeszłości. Bez względu na to, co komuś powiesz albo co ujawnisz mediom, zeznam, że nie mówisz prawdy. Jill, jeśli skopiowałaś tę kasetę, powinnaś ją zniszczyć”.

Bud mówił jeszcze dłuższą chwilę, czasem napiętym głosem, czasem pełnym przerażenia, a czasem trochę płaczącym. Ten facet był skończonym palantem. Ale gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że jego życie miało zaważyć się z hukiem, a on, tak jak większość mężczyzn, którzy zrobili skok w bok, nie uważał, że powinien zapłacić za ów skok aż tak wysoką cenę. Mówiąc wprost, najgorszy koszmar Buda właśnie zaczynał się spełniać.

Na koniec Bud powiedział: „Jill, zadzwoń do mnie, proszę cię. Zadzwoń do mnie w interesie naszym i naszych rodzin”. Pamiętając, jak zakończył swoje wystąpienie pan Winslow, czekałem na coś w rodzaju „Uważaj na siebie” albo „Wciąż o tobie myślę”. Ale tym razem chodziło wyłącznie o Buda, który rzekł po prostu: „Pa”.

Wyłączyłem aparat i spojrzałem na Jill. Przyszło mi na myśl, że dwóch ważnych mężczyzn w jej życiu jest zwykłymi szmaciarzami.

- Typowy facet, dzwoni tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje - zauważyłem.

Jill uśmiechnęła się, wstała.

- Położę się na chwilę - powiedziała.

Też wstałem.

- Mogę ci przyrzec jedno: presja ze strony innych ludzi zniknie, gdy tylko złożysz pierwsze publiczne zeznanie.

- Nie czuję żadnej presji - zapewniła Jill. - Czuję tylko ogromne rozczarowanie... Markiem i Budem. Ale spodziewałam się tego.

- Może obaj kiedyś zrozumieją, że nie chodzi o nich.

- Nie będę na to czekać ze wstrzymanym oddechem. - Jill uśmiechnęła się i ruszyła do swojego pokoju. - Do zobaczenia.

Podszedłem do okna i spojrzałem na park. Niebo trochę się przetarło, w parku pojawili się ludzie.

Wypuściłem smoka i poszczułem na Teda Nasha oraz jego kompanów. Oni zaś robili wszystko, by wepchnąć smoka z powrotem do klatki, zabić go lub napuścić na mnie.

Tymczasem smok podskubywał Buda, Marka i ich rodziny, ale ja nie mogłem się zamartwiać skutkami ubocznymi.

Nie spodziewałem się, że to będzie łatwe albo przyjemne, lecz z początku patrzyłem na te zmagania jak na problem abstrakcyjny. Teraz, gdy wszyscy zawodnicy zajęli swoje miejsca - Kate, Griffith, Nash, Koenig, a także wspomagający, czyli Dom Fanelli, Marie Gubitosi, Dick Kearns i inni - rozgrywka stała się osobista i bardzo realna.

Dla ofiar lotu TWA 800 i ich rodzin zawsze taka była.

Rozdział 51

Minęła szesnasta trzydzieści dwie. Siedziałem w hotelu Plaza, czekając na telefon od Doma Fanellego i meldunek „Zadanie wykonane” lub coś w tym rodzaju.

Samolot linii Delta z Kairu przyleciał zgodnie z rozkładem i wylądował o szesnastej dziesięć. Myślałem więc, że Dom powinien już nawiązać ze mną kontakt. Ale hotelowy telefon milczał. Włączyłem komórkę, lecz w poczcie głosowej nie było żadnych wiadomości.

- Może do niego zadzwonisz? - zasugerowała Jill.
- On zadzwoni do mnie.
- A jeśli wynikł jakiś problem?
- Zadzwoni.
- Jesteś aż za spokojny.
- Nic mi nie jest.
- Chcesz drinka?
- Tak, ale wolę poczekać na telefon. Wtedy będę wiedział, czy potrzebuję jednego drinka czy dwóch.
- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Kate.
- Ja też nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. Myślę, że ją polubisz.
- A ona mnie polubi?
- Czemu miałaby cię nie polubić? Jesteś bardzo miła.

Jill nie odpowiedziała.

O szesnastej trzydzieści sześć postanowiłem, że poczekam do szesnastej czterdzieści pięć i zadzwonię do Fanellego. Za kwadrans piąta wyobraziłem sobie Doma w areszcie federalnym, Kate siedzącą

w samochodzie z Tedem Nashem i telefon od Nasha z propozycją, że wymieni Kate na Jill i kasetę wideo. Prawie słyszałem jego głos: „John, spędzimy z Kate parę słodkich chwil w bezpiecznej kryjówce, dopóki nie oddasz pani Winslow i jej taśmy”.

Po raz pierwszy od wielu lat prawdziwy strach chwycił mnie za gardło.

Pomyślałem, jak odpowiedziałbym na takie żądanie Teda Nasha, wiedząc, że ten drań nie szanuje żadnych zasad. Jego celem było zwycięstwo totalne: chciał Jill, kasety, Kate i mnie. Więc bez względu na to, jakiej udzieliłbym odpowiedzi, oszukiwałyby i lgał. I nie byłoby wymiany jeńców, tylko masakra. Dlatego moja odpowiedź mogła być tylko jedna: „Wal się”.

Spojrzałem na Jill. Nie zamierzałem jej oddać Nashowi.

Kate by zrozumiała.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważyła Jill.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

Jill podniosła swoją komórkę.

- Dzwonię do detektywa Fanellego.

- Nie, ja to zrobię. - Włączyłem aparat i poczekałem na sygnał wiadomości, ale się nie odezwał. Wyłączyłem komórkę i sięgnąłem po słuchawkę hotelowego aparatu, który właśnie wtedy zadzwonił. Poczekałem, aż zadzwoni jeszcze raz.

- Corey.

- Kij mu w tył - rzucił Fanelli.

- Dom...

- Skończony kutas. Skąd wytrzasnąłeś tego palanta? Daję ci Kate. Moje serce znów zaczęło walić.

- John - odezwała się Kate. - Nic mi nie jest. Ale to była scena.

Ted...

- Gdzie jesteś?

- Na tylnym siedzeniu radiowozu z Domem.

Spojrzałem na Jill i podniosłem kciuk. Uśmiechnęła się.

- John, Ted Nash żyje - ciągnęła Kate. - Przyjechał na lotnisko...

- Tak, wiem. Ale mam też dobre wiadomości.

- Czemu uważasz, że to zła wiadomość, że Ted żyje? Co się, u diabła, dzieje?

- Czy Dom ci coś mówił?
 - Nie, ale kilku rzeczy się domyśliłam. Dom mówi, że nic nie wie, tylko tyle, że kazałeś mu odebrać mnie z lotniska i zawieźć tam, gdzie jesteś. Czemu cię tu nie ma? Co jest grane?
 - Powiem ci, kiedy się zobaczymy.
 - Gdzie jesteś? - zapytała Kate.
 - Zobacysz, kiedy tu przyjedziesz. Lepiej, żebyśmy nie rozmawiali przez telefon. Tęskniłem za tobą.
 - Ja też za tobą tęskniłam. Nie spodziewałam się aż takiego powitania. Co, u diabła, Ted...
 - To długa historia, usłyszysz ją później.
 - Czy znalazłeś...?
 - Później.
 - Nic ci nie jest?
 - Ze mną wszystko w porządku. Ale sytuacja jest trochę śliska.
 - To znaczy, że jest krytyczna. Na pewno nic ci nie jest?
 - Nic mi nie jest. Tobie też nic nie jest. Daj mi Doma. Wkrótce się zobaczymy. Kocham cię.
 - Ja też cię kocham.
- Fanelli wziął aparat od Kate.
- Jak ty możesz pracować z tymi ludźmi? Oni nie mają żadnego szacunku dla prawa i policji...
 - Dom, czy jesteście śledzeni?
 - Tak. Ale skrzyknąłem paru detektywów i za kilka minut te palanty zostaną przystopowane za ignorowanie policyjnych sygnałów.
 - Dobra robota. Jestem ci winien przysługę.
 - Jedną? Jesteś mi winien ho, ho albo i więcej. Kate wygląda świetnie. Ładna opalenizna. Dużo tam ćwiczyłaś? Trochę schudłaś. To znaczy, zawsze wyglądałaś świetnie, ale zrzuciłaś parę kilo.
- Mówił rzecz jasna do Kate, a nie do mnie.
- Jakie siły zgromadziłeś? - spytałem.
 - Hm? Och, tylko czterech chłopca, ale robili hałasu za czterdzieści. Jeden z tamtych wrzeszczy: „FBI! FBI! Utrudniacie bla, bla, bla!”. A ja na to: „Policja! Policja! Cofnąć się. Na bok!” i tak dalej. Ściągnąłem tych dwóch znajomych gliniarzy z ochrony lotniska, a oni

powołali się na kwestię jurysdykcji. Zrobiło się wesoło, ale przez chwilę było nieciekawie. Kate przechyliła szalę, walnęła z grubej rury: „Jeśli nie mają panowie federalnego nakazu aresztowania albo wezwania, żądam...”. Kapujesz? „Żądam, żeby mnie panowie przepuścili”. Wtedy było tam już parę osób z kontroli celnej, ochroniarzy ze służby ochrony lotniska i chuj wie kto jeszcze... Pardon. Wtedy...

- Dobra. Rozumiem. Ile samochodów się do was przyczepiło?

Dom zamilkł na kilka sekund, a potem odparł:

- Były dwa... Ale teraz nie widzę żadnego. Ups, trzeba włączać kierunkowskaz przy zmianie pasa. Czasem kierowcy wydaje się, że miga, ale...

- Okay. O której mniej więcej tu ściągniecie?

- Nie mam pojęcia. Godziny szczytu, zielony kierowca za kółkiem...

- Zielony kierowca? - prychnął męski głos. - Ty, kto tu jest zielony? Chcesz się zamienić miejscami? - Trzej mężczyźni siedzący w aucie udowodniali, że sztukę ubliżania bliźniemu opanowali do perfekcji. Wyobrażałem sobie Kate przewracając oczami.

- Do zobaczenia, czekam na was. - Podałem Domowi numer apartamentu. - Każ Kate wyłączyć komórkę i pager, jeśli ma włączone.

- Przyjąłem. Na razie, partnerze.

- Dzięki jeszcze raz. - Rozłączyłem się.

Jill podeszła i uściskała mnie mocno.

- To musi być dla ciebie wielka ulga.

Odwzajemniłem uścisk.

- Jedno zmartwienie mniej.

Wzięła mnie za rękę i popatrzyła mi w oczy.

- Rozumiem, co mogłoby się stać, gdyby nie udało się na lotnisku.

Milczałem.

- Zostawię cię, żebyś mógł swobodnie przywitać się z żoną.

- Nie, zostań. Chcę ci przedstawić Doma Fanellego...

- Kiedy indziej. Tymczasem powinieneś wypić drinka.

Jill wyszła do swojego pokoju.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zejść do baru, ale poprzestałem na szkockiej z barku. Podeszedłem do okna.

Nad miastem wisiała nisko pierzyna chmur, lecz w telewizji zapowiadano na jutro rano słoneczną pogodę.

Jakie to dziwne, pomyślałem. Zaczęło się od tego, że pewnego słonecznego dnia w lipcu zwołałem się na parę godzin z pracy i pojechałem towarzyszyć żonie w czasie rocznicowej mszy nad morzem. A teraz coś takiego...

Kate od początku przeczuwała, w którą stronę to zmierza, ale ja nie miałem pojęcia. Prawie.

Jill Winslow i Bud Mitchell urządzili sobie schadzkę na plaży, a potem okazało się, że wybrali niewłaściwe miejsce i niewłaściwy czas. Klasyczny przypadek.

Pięć lat później drogi wszystkich aktorów dramatu zbliżyły się i jutro rano miały się skrzyżować w barze Okno na Świat.

Rozdział 52

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Spojrzałem przez judasza i zobaczyłem Kate. Jej wygląd zdradzał napięcie. Otworzyłem. Uśmiechnęła się szeroko, upuściła nesesor na podłogę i zarzuciła mi ramiona na szyję. Całowaliśmy się, ściskaliśmy i mówiliśmy mnóstwo głupstw.

Mniej więcej po minucie poderwałem ją z ziemi i wniosłem do salonu.

Rozejrzała się i spojrzała na mnie.

- Czyżbyś pod moją nieobecność wygrał na loterii?

- Zgadłaś.

Znów zaczęliśmy się ściskać i całować, a mój niesforny wacuś usiłował wyrwać się z niewoli rozporka.

Kate złapała mnie za rękę i pociągnęła na kanapę. Chyba dobrze, że Jill była w swoim pokoju.

Po minucie baraszkowania na kanapie sieknąłem:

- Na pewno chcesz się czegoś napić.

- Nie - zaprotestowała Kate. - Chcę się z tobą kochać. Tutaj, teraz. Pamiętasz, jak zrobiliśmy to pierwszy raz na mojej kanapie? - Zaczęła rozpinać bluzkę.

- Poczekaj... Nie mieszkam tu sam.

Kate podniosła głowę.

- A z kim?

- Tam jest moja sypialnia. A tamte drzwi prowadzą do drugiej sypialni.

- Och... - Kate usiadła, a ja wstałem. Zapięła bluzkę. - Czyja to sypialnia?

- Przygotuję ci drinka. - Podeszedłem do barku. - Nadal pijesz wódkę?

- Tak. John, co się dzieje? Dlaczego tu jesteś?

- Z tonikiem?

- Tak. - Kate wstała i podeszła do barku.

Podaliśmy jej drinka i nalaliśmy sobie. - Witaj w domu.

Stuknęliśmy się szklankami; Kate znów rozejrzała się po salonie.

- Czy ktoś jest w tej sypialni?

- Tak. Usiądź.

- Postoję. Co jest grane? Co się działo na lotnisku?

- Byłem bardzo zapracowany po powrocie do domu.

- Mówiłeś, że robisz sobie urlop rekreacyjno-regeneracyjny na plaży.

- Tak. Na plaży w Westhampton.

Kate spojrzała na mnie przenikliwie.

- Zajmowałeś się sprawą.

- Tak.

- Powiedziałam, że powinniśmy dać sobie spokój.

Wciąż mi się przyglądała.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwioną - zauważyłem.

- Przecież ustaliliśmy, że dajemy temu spokój i żyjemy dalej.

- Obiecałem ci, że znajdę tych dwoje i znalazłem.

Kate usiadła na kanapie.

- Znalazłeś ich?

- Tak. - Przystawiłem krzesło do kanapy i usiadłem na wprost Kate. - Po pierwsze, musisz mieć świadomość, że być może... grozi nam niebezpieczeństwo.

- Chyba już się tego domyśliłam... na lotnisku. Drugą wskazówką było to, że Dom wsunął mi do torebki trzydziestkęsemkę.

- Mam nadzieję, że mu jej nie oddałaś.

- Nie. Czy ja będę tu dzisiaj spała?

- Kochanie, jeśli masz ten pistolet, możesz tu ze mną spać.

Kate się uśmiechnęła.

- Jakiś ty romantyczny.

- Gdzie Dom Fanelli i tych dwóch gliniarzy? - zapytałem.

- Dom odjechał. Twierdził, że nie chce zakłócać nam przyjęcia powitalnego. A gliniarze stoją przy windach na tym piętrze. Powiedzieli, że przynajmniej jeden z nich zostanie tutaj na noc.

- To dobrze.

- Powiedz mi, dlaczego ich potrzebujemy.

- Dlatego, że twój kumpel Ted Nash chętnie pozbyłby się mnie, ciebie i Jill Winslow.

- O czym ty...? Kim jest Jill Winslow?

- Gwiazdą filmu wideo.

Kate skinęła głową.

- Czemu Ted miałby...? Chyba się domyślam. - Spojrzała na mnie. - Przepraszam, jeśli moja głowa nie pracuje tak szybko, jak powinna...

- Całkiem nieźle sobie radzi.

- Mam syndrom różnicy czasu, ale to najmniej ważne. Spodziewałam się czegoś innego po powrocie. Myślałam, że będziesz na mnie czekał na lotnisku, a potem pojedziemy do domu. Tymczasem po moim wyjściu z samolotu rozpętało się piekło... A teraz mówisz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i że znalazłeś...

- Kate, pozwól, że zacznę od początku...

- Jak ich znalazłeś? Mają tę kasetę z...?

- Zacznę od najważniejszego.

Kate położyła nogi na kanapie.

- Nie będę ci przerywać.

Spojrzałam na nią.

- Po pierwsze, kocham cię. Po drugie, masz ładną opaleniznę i po trzecie, stęskniłem się za tobą. - Po czwarte, trochę schudłaś.

Kate się uśmiechnęła.

- Ty też masz ładną opaleniznę i sporo schudłeś. Skąd masz tę koszulę?

- To część opowieści.

- Chcę ją usłyszeć.

Zacząłem od mojego powrotu z Jemenu, lotniska Kennedy'ego, Doma, Filadelfii i Roxanne Scarangelo.

Kate siedziała nieruchomo i tylko co jakiś czas podnosiła szklankę do ust. Patrzyła mi w oczy, ale nie wiedziałem, czy jest pod wrażeniem,

nie dowierza mi, czy jest tak wykończona różnicą czasu, że nie łapie wszystkiego. Sporadycznie kiwała głową lub otwierała szeroko oczy, ale nic nie mówiła.

Opowiadałem dalej. O nocnej jeździe do hotelu Bayview, o archiwach Rosenthala i o odkryciu nazwiska Jill Winslow.

- Znalazłeś tego mężczyznę? - zapytała Kate.

- Wiem, co to za jeden. Facet nazywa się Bud Mitchell, ale nie mam nad nim kontroli.

- Gdzie on jest?

- Ted go ma. Na razie nic mu nie grozi, ale jeśli uzna, że Bud jest balastem, a nie atutem, wtedy będzie mógł odejść.

- Dokąd?

- Tam, skąd wrócił Ted.

Kate milczała.

Opowiedziałem o spotkaniu z Tedem Nashem na plaży, lecz zbagatelizowałem naszą walkę, mówiąc:

- Trochę się posiłowaliśmy.

Kate spojrzała na plaster na mojej szczęce, ale nic nie powiedziała.

Przedstawiłem jej relację Teda o tym, jak znalazł Buda Mitchella dzięki odciskom palców, a później przez Buda dotarł do Jill Winslow. O tym, jak Ted, Liam Griffith oraz tajemniczy pan Brown odwiedzili ich i dowiedzieli się, że taśma została fizycznie zniszczona. Powtórzyłem jej opowieść Teda o próbie na poligrafie i jego zapewnienia, że jest przekonany, iż na taśmie nie było nic, co wskazywało na atak rakietowy.

- To może cię zaszokować, ale Ted mnie okłamał - zakończyłem.

Kate puściła mój sarkazm mimo uszu.

- Czy Ted powiedział, że ci dwoje robili to i filmowali na wideo?

- Robili to. I był to jeden z powodów, dla których nie chcieli się ujawnić.

Kate spojrzała na mnie.

- Więc udało ci się znaleźć Jill Winslow?

- Znalazłem ją.

- Gdzie ona teraz jest?

- Za tymi drzwiami.

Kate spojrzała na drzwi, ale nic nie powiedziała.

- Wiedząc, że Ted Nash zajmuje się tą sprawą, tego samego wieczoru pojechałem do Old Brookville - ciągnąłem. - Dom powiedział, że tam właśnie mieszka Jill Winslow.

Opowiedziałem Kate o naszej rozmowie z Jill. Staralem się trzymać faktów, ale przedstawiłem jej pokrótce mój sposób rozumowania. Nie przechwalałem się, ale opowiadając to, sam byłem pełen podziwu dla mojej detektywistycznej roboty.

Dotarłem do momentu, w którym zapytałem Jill Winslow o *Kobietą i mężczyzną*. Kate siedziała wyprostowana.

- Tego wieczoru Jill skopiowała nagranie z plaży na kasetę z francuskim filmem *Kobieta i mężczyzna*, którą wypożyczyła z hotelowej biblioteki. Blokadę nagrywania zakleiła plastrem. Sprytna babka. - I sprytny John.

Kate patrzyła mi w oczy.

- Ona wciąż miała tę kopię?

- Tak.

- Obejrzałeś ją? Masz tę kasetę?

- Obejrzałem ją i mam.

- Gdzie jest?

- W moim pokoju.

Kate wstała.

- Chcę ją zobaczyć. Natychmiast.

- Później. Pozwól mi skończyć.

- Co widać na tej taśmie?

- Widać, jak zakichana rakieta strąca pasażerski odrzutowiec.

- O mój Boże...

Kate usiadła.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego Jill Winslow postanowiła ci się zwierzyć po tylu latach, przyznać, że skopiowała nagranie i wciąż ma tę kopię.

- Chyba zdobyłem jej zaufanie - odparłem po chwili zastanowienia. - Ale przede wszystkim dlatego, że porządna z niej kobieta i tamto wydarzenie nie dawało jej spokoju. Wydaje mi się, że czekała na sposobność lub znak, że nadszedł czas, by naprawić błąd.

Kate skinęła głową.

- Rozumiem. Ale czy ona rozumie, co ją czeka? Co się stanie z jej małżeństwem, z życiem, z przyjaciелеm Budem...

- Rozumie. To Bud ma kłopot.
- Czy ona będzie odważnym świadkiem?
- Tak. - Opowiedziałem Kate o przyjeździe do hotelu Plaza, o telefonach od nieboszczyka Teda, o telefonach, które odebrała Jill od męża, od Buda Mitchella i Teda.
- Biedaczka - Kate westchnęła. - Jak ona to znosi?
- Całkiem nieźle. Teraz kiedy tu jesteś, poczuje się lepiej. Potrzeba jej rozmowy z inną kobietą.
- Ta wrażliwość jest dla ciebie nietypowa. Czy ta nowa koszula ma z tym jakiś związek?
- Nie. Zadzwońiłem do naszego szefa i muszę ci powiedzieć, że Jack Koenig wie coś o tej sprawie i siedzi okrakiem na płocie.
- Kate przyjęła moje słowa z zaskoczeniem, a nawet niedowierzaniem.
- Jesteś tego pewny?
- Jestem pewny, że coś nie gra.
- Kate nie skomentowała tego.
- Co będzie dalej z panią Winslow i kasetą? - spytała.
- Umówiłem się na spotkanie jutro rano z Tedem Nashem, Liamem Griffithem i kimś z biura prokuratora generalnego. Będzie na nim również Jill Winslow, być może Bud Mitchell i inni, tacy jak David Stein oraz Jack Koenig, który próbował się wyłgać, ale przekonałem go, żeby jednak przyszedł.
- Gdzie ma się odbyć to spotkanie?
- Pomyślałem o tobie i o naszym ostatnim wspólnym wieczorze w Nowym Jorku, więc umówiłem się na śniadanie o ósmej trzydzieści w barze Okno na Świat.
- To chyba dobre miejsce - oceniła po krótkim namyśle Kate. - Publiczne...
- A my umówiliśmy się, że jeszcze kiedyś tam pójdziemy.
- Nie sądzę, żeby było tak przyjemnie jak ostatnio. Jesteś pewien, że w ten sposób należy to rozegrać?
- A ty jak byś to rozegrała?
- Uderzyłabym do samej góry, do kwatery FBI w Waszyngtonie.
- Nie znam nikogo w Waszyngtonie.
- Ja znam.
- Nie wiesz, komu można tam zaufać.

- To trochę paranoiczne myślenie.
- Niech ci będzie. Waszyngton jest daleko. Stawmy czoło demonom tu, na naszym gruncie, zanim spotkamy się z nieznanymi demonami w Waszyngtonie.

Kate się zastanowiła, a potem spyła:

- Jak myślisz, kto może być zamieszany w tuszowanie tej sprawy? I dlaczego?

- Nie wiem. W tej chwili to nie jest mój problem. Ale zobaczymy, kto czmychnie do dziury, kiedy bomba trafi w szambo.

- Mam nadzieję, że to nie będzie Jack.

- Kate, mnie to wisi, kto jest zamieszany. Wszyscy muszą pójść na dno.

Kate spojrzała mi w oczy.

- Ten spisek... bo myślę, że można to nazwać spiskiem... może sięgać do samej góry.

- To nie mój problem.

- Ale to może stać się twoim problemem. Właśnie o tym mówię. To może być coś tak wielkiego, sięgać tak wysoko, że to nie tamci mogą pójść na dno, tylko my.

- Ty nie musisz się w to mieszać.

Kate posłała mi gniewne spojrzenie.

- Nawet tak nie mów. - Uścisnęła mnie. - Ja to zaczęłam, ale skończymy razem.

- Tak. - Oboje siedzieliśmy w tym już tak głęboko, że mogliśmy tylko kopać dalej, aż zobaczymy światełko po drugiej stronie.

- Obejrzymy taśmę - zaproponowała.

- Może najpierw powinnaś poznać Jill Winslow.

- A ty jak uważasz?

Jeśli masz dowód i świadka, zwykle najpierw oglądasz dowód, a później rozmawiasz ze świadkiem. Jednak ta sytuacja była trochę bardziej skomplikowana. Uznałem, że Kate powinna to zrobić w tej samej kolejności co ja: najpierw Jill, potem kasetę. A może najpierw pokazać jej film, a potem przedstawić jego gwiazdę mieszkającą ze mną w jednym apartamencie?

- John?

- Hm, myślę, że powinnaś poznać Jill Winslow. To pomoże ci umieścić dowód we właściwym kontekście. Spójrzeć na niego z odpowiedniej perspektywy.

- Dobrze. Ona jest w pokoju?
 - Tak. Chyba że znów poszła do kościoła. - Podeszedłem do drzwi.
 - Jill? Pani Winslow?
 - Tak? - usłyszałem.
 - Czy możesz...?
- Jill otworzyła drzwi.
- Chcę, żebyś poznała moją żonę Kate.
- Jill Winslow uśmiechnęła się, podeszła do Kate i podała jej rękę.
- Miło mi cię poznać. John trochę się martwił sytuacją na lotnisku.
 - I okazało się, że nie bez powodu - odparła z uśmiechem Kate. - Mnie też jest miło, że cię poznałam.
- Pomyślałem, że sytuacja rozwija się pomyślnie. Kate nie jest zazdrosna, a poza tym jest profesjonalistką. Jill Winslow natomiast dama w każdym calu - abstrahując rzecz jasna od seksualnych ekscesów na plaży. Ale to było dawno temu.
- John opowiedział mi o wydarzeniach ostatnich dni - zagaiła Kate. - Jak się czujesz?
 - Bardzo dobrze, dziękuję. Twój mąż jest jak skała.
- Może nie były to najtrafniej dobrane słowa, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że mieszkaliśmy w jednym apartamencie. Jednak Kate zachowała spokój.
- Można na niego liczyć. Chcę ci podziękować za to, że się ujawniłaś i tak szczerze o wszystkim opowiedziałaś. Trudno mi sobie wyobrazić, jak to na ciebie wpływa.
 - Właściwie tak dobrze nie czułam się od pięciu lat - sprostowała Jill.
 - Co byście powiedziały na bąbelki? - zaproponowałem.
- Otworzyłem butelkę i rozlałem szampana. Stuknęliśmy się kieliszkami.
- Za powrót Kate i za to, że Jill jest tutaj z nami - powiedziałem.
 - I za wspaniałego detektywa - rzekła Kate.
 - I za sprawiedliwość dla tych, którzy stracili życie... - dodała Jill.
- Wypiliśmy w milczeniu.
- Mam wrażenie, że przeszkadzam w waszym spotkaniu po długiej rozłące.

- Ależ nie - zaprzeczyła szybko Kate. - Już się wyściskaliśmy i wycalowaliśmy. Wojennymi opowieściami możemy się podzielić później.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale...

- Nie, musisz zostać - wpadła jej w słowo Kate. - Tak wiele pytań chcę ci zadać, nie wiem, od czego zacząć.

- To nie jest długa historia, właściwie sprowadza się do tego, że zrobiłam coś, czego nie powinnam robić. I nie mówię o romansie. Powinnam zdobyć się na odwagę pięć lat temu i ujawnić się. Gdybym to zrobiła, niejedno życie zostałoby zrujnowane, ale życie wielu osób byłoby lepsze, między innymi moje.

Kate przyjrzała się uważnie Jill i widziałem, że jest pod takim samym wrażeniem jak ja, gdy spotkałem się z nią w niedzielę rano.

- Czasem nie potrafimy podjąć trudnej decyzji, kiedy to jest potrzebne - podsumowała Kate. - Czasem dochodzimy do niej po długiej walce ze sobą.

- Kiedy twój mąż stanął na progu mojego domu, to było jak znak, że nadszedł czas - odparła Jill. Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się. - Poza tym jest bardzo przekonujący. Ja jednak wciąż czuję, że nie postąpiłam słusznie z własnej woli.

- Mogłaś pokazać mi drzwi, ale nie zrobiłaś tego - zauważyłem. - Powiem ci jeszcze coś: gdybyś oddała tę kasetę pięć lat temu, prawdopodobnie zostałaby zniszczona. Tym samym za sprawą przypadku bądź przeznaczenia dobrze się stało.

Jakiś czas siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Nazywa się to uspokajaniem świadka, zdobywaniem jego zaufania i przekonywaniem go, że postępuje słusznie.

Poza tym miałem nadzieję, że między Jill i Kate nawiąże się nie porozumienia i wyglądało na to, że moja nadzieja się spełnia. Wyobraziłem sobie, że Kate zostanie tą, która będzie trzymała świadka za rękę. Tak to nazywamy. Skutki tej sprawy będą długo odczuwalne i cieszyłem się, że Kate i Jill darzą się sympatią.

- Czy to ty wybrałaś tę koszulę dla Johna? - spytała Kate.

- Tak. Nie mogłem wychodzić z hotelu, a ja mogłam, więc postanowiłam sprawić mu nową koszulę.

- Dobrze mu w różowym - oceniła Kate. - Ten kolor podkreśla jego opaleniznę. On nigdy nie nosi odważnych ani modnych rzeczy. Gdzie ją kupiłaś?

- W Barneys. Mają tam wspaniałe rzeczy dla mężczyzn.

Poczułem się niepotrzebny, więc wstałem.

- Pójdę porozmawiać z policjantem stojącym przy windzie. Nie będzie mnie z godzinę. Jeśli chcecie, możecie przez ten czas obejrzeć kasetę. Jest pod materacem mojego łóżka.

Wyszedłem z apartamentu.

Mundurowy funkcjonariusz siedział na wyściełanym krześle w niewielkim holu koło windy i czytał „Daily News”. Przedstawiłem się, pokazując dokumenty FBI i legitymację emerytowanego policjanta z Nowego Jorku.

Usiadłem na wolnym krześle.

- Kiedy kończysz służbę? - spytałem.

Policjant był młody, na identyfikatorze przyczepionym do jego munduru widniało nazwisko Alvarez.

- Trzy godziny temu - odparł kpiąco gliniarz. - Hej, co to za jeden, ten Fanelli? Ma mocniejsze plecy niż komisarz policji.

- Fanelli to gość, który handluje przysługami, a przysługi to waluta policji. Nie wolno przyjmować forsy, więc zbierasz przysługi. Właśnie w ten sposób załatwia się sprawy i posuwa do przodu. No i chroni swój tyłek przed sparzeniem.

- Taak?

- Powiem ci, jak to jest.

Siedziałem z posterunkowym Alvarezem i opowiadałem mu, jak naprawdę kręci się ten świat.

Z początku go to nudziło, ale potem się zainteresował, gdy zdał sobie sprawę, że rozmawia z mistrzem. Po półgodzinie zadawał pytania szybciej, niż mogłem na nie odpowiadać. Myślałem, że uklęknie z nabożną miną koło mojej prawej ręki, ale on postawił krzeselko naprzeciwko mnie, tak że to ja musiałem obserwować windy.

Sporo korzystał w czasie swoich nadgodzin, ale prawdę powiedziawszy, ja korzystałem więcej.

Po godzinie wstałem i zapytałem:

- Kiedy cię zlużują?

- O północy.

- Chcę cię prosić o przysługę. Bądź tu jutro o wpół do ósmej.
- Będzie ktoś inny...
- Chcę ciebie.

Dałem mu wizytówkę.

- Bądź czujny i uważaj na siebie. Ci, którzy mogą wyjść z tych wind, to nie są zwykłe męty. To wyszkoleni zawodowcy i żebyś wyrobił sobie lepsze pojęcie, z kim masz do czynienia, powiem ci, że zastrzeliliby cię w mgnieniu oka, gdyby musieli. Wyjmij pistolet z kabury i trzymaj za paskiem, pod gazetą. Jeśli wyczujesz kłopoty, wyciągnij go. A jeśli będziesz musiał, strzelaj.

Posterunkowy Alvarez otworzył szeroko oczy. Klepnąłem go w ramię i uśmiechnąłem się.

- Ale nie rozwalaj gości, którzy płacą za pobyt.

Wróciłem do apartamentu, w którym panował półmrok. Kate i Jill oglądały ostatnich kilka minut nagrania. Podeszedłem do barku i nalełem sobie wody sodowej. Zapaliło się światło, ale nikt nic nie powiedział.

- Może zamówimy sobie coś do pokoju? - zaproponowałem.

Siedzieliśmy w trójkę przy stole i jedliśmy lekką kolację. Nie poruszałem tematu kasety. Kate i Jill też o niej nie wspominały.

Zasugerowałem, żeby nie włączać telefonów, bo moim zdaniem nikt nie może nam powiedzieć niczego, co by zmieniło sytuację. Jedyną osobą, z którą chciałem rozmawiać, był Dom Fanelli, a on zadzwoniłby pod numer hotelowy.

Rozmawialiśmy o Jemenie, Tanzanii i Old Brookville. Na szczęście nikt nie przygotował prezentacji slajdów.

Jill zainteresowała się przydziałem Kate w Tanzanii i jej pracą przy śledztwie w sprawie zamachu na ambasadę. Ciekawiły ją też moje zadania w Jemenie i dochodzenie w sprawie ataku na USS „Cole”. W naszej pracy posługujemy się niedopowiedzeniami, tak jak nas nauczono, i uważamy na to, by nie złamać zasad bezpieczeństwa, lecz to budzi jeszcze większą ciekawość. Przyszło mi na myśl, żeby opowiedzieć, jak napadli na mnie pustynni nomadzi na koniach, kiedy

jechałem land-roverem do Sany, ale nie miałem jeszcze dobrego zakończenia.

Kate była zainteresowana życiem na Złotym Wybrzeżu Long Island, ale Jill posłużyła się niedopowiedzeniem tak jak my.

- Nie jest tak ciekawe i olśniewające, jak można sobie wyobrażać. Zmęczyły mnie już bale dobroczynne, przyjęcia, pokazy strojów różnych projektantów, klub i manifestowanie bogactwa. Zmęczyły mnie nawet pikantne plotki.

- Uwielbiam plotki, a do bogactwa mógłbym przywyknąć - rzuciłem.

Z pozoru prowadziliśmy miłą rozmowę przy kolacji, ale wisiała nad nami przyszłość, a wszystko miało się zacząć jutro o ósmej trzydzieści rano.

Około dwudziestej drugiej zadzwonił hotelowy telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Czy wyrwałem cię z siodła? - spytał Dom Fanelli.

- Nie. Co jest?

- Po pierwsze, czkawka po mojej akcji na lotnisku. Jakbym nasił w gniazdo os. Ci goście mają kumpli gdzieś wysoko.

- To się niedługo zmieni.

- Jasne. Jeśli nie możesz ich pokonać ani się do nich przyłączyć, zabij ich. Zgadza się? Teraz o planach na jutro. Mam trzech policjantów, z których każdy będzie z obstawą dwóch mundurowych, w tym sierżanta. Mógłbym postarać się o detektywów i gliniarzy w cywilu, ale zdaje mi się, że mundury są lepszym wyjściem. Dobrze myślę?

- Tak.

- Masz spotkanie w Wieży Północnej WTC o ósmej trzydzieści, a moi ludzie zaczynają pracę o ósmej, więc mogą dojechać do ciebie kwadrans po ósmej. Będą czekać przed wejściem do hotelu od strony Central Park South. Może być?

- Jasne.

- Sam zdecydujesz, jak jechać: osobno czy wszyscy razem z jednym wozem prowadzącym i jednym z tyłu. Jak będziesz chciał. Ja na twoim miejscu, gdybym miał do dyspozycji trzy auta, rozdzieliłbym się. Nie jest dobrze wsadzać wszystkie ciasteczka do jednego pudełka.

Zerknąłem na Jill i Kate.

- Słusznie.

- Jutro jest dzień wyborów. Drugi wtorek września. Wiedziałeś o tym? Nie przegap głosowania. Ruch uliczny rano będzie trochę inny niż zwykle, ludzie będą jechać do pracy trochę później, po spełnieniu obywatelskiego obowiązku. Ale jeśli trochę się spóźnisz, tamci nie zaczną bez ciebie.

- Racja.

- Okay. Chcesz, żeby moi ludzie wjechali z tobą na samą górę, na sto siódme piętro. Zgadza się?

- Tak.

- I chcesz, żeby później gdzieś cię odstawili. Tak?

- Tak. Prawdopodobnie tutaj, do Plaży. Będę potrzebował ludzi przy windzie do jutrzejszego wieczoru, dopóki nie zobaczymy, jak rozwinęła się sytuacja.

- To może być problem. Powiem ci dlaczego. Ktoś z biura komisarza zadzwonił do mnie wieczorem i zapytał grzecznie, co ja, do kurwy nędzy, wyprawiam. Ja mu na to, oczywiście, że nie wiem, o czym gada. To zostało nadane w Waszyngtonie, tak powiedział ten gość, który nie miał zielonego pojęcia, dlaczego przekreślił do niego ktoś ze stolicy. Nie chciał mi ujawnić, kto to był. Wniosek z tego, partnerze, że nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł dostarczać ci miejskich gliniarzy do federalnego programu ochrony świadków, bo tak to się podobno nazywa. *Capisce?*

- *Capisco.*

- Bo nie chcemy nadepnąć na jakieś federalne paluszki czy coś w tym rodzaju, a ja wyświadczam ci tylko przysługę. A fedzie twierdzą, że z wielką chęcią dostarczą ludzi, którzy zajmą się twoim świadkiem.

- Taak, nie wątpię.

- Więc zajmij się tym problemem na spotkaniu. Ale jutro rano tam będziemy, podrzucimy cię do WTC, zabierzemy stamtąd i odstawimy do hotelu. Tylko tyle mogę ci obiecać, John. Co będzie później, nie wiem. Musisz to wyprostować w czasie tego spotkania.

Znów spojrziałem na Kate i Jill, które przyglądały mi się uważnie.

- Odstawicie nas tylko tutaj bez ogona albo do jakiegoś innego

lokalu, które przyjdzie mi do głowy. Resztą sam się zajmę.

- Może powinienes uderzyć do prasy - zasugerował Dom. - Moglibyśmy zabrać was z WTC prosto do „Timesa”. Zadzwoń tam wcześniej i uprzedzę paru napalonych reporterów, którzy będą na was czekać.

- Pomyślę o tym.

- Tylko nie myśl za długo. Mówię ci, stary, ci dranie będą ostro grali. Na ich miejscu od razu przykleiłbym tej pani nakaz dla świadka, gdy tylko bym ją zobaczył.

Zerknąłem na Jill.

- Dostarczenie nakazu to jedno, a zmuszenie do jego wykonania drugie.

- Wiem. To my będziemy mieli muskuły. Ale po co się w to pakować?

Nie odpowiedziałem.

- Słuchaj, musisz dotrzeć z tym do właściwych ludzi, a nie jestem pewny, czy ci, którzy będą w World Trade Center, nimi są. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale to będzie dobry początek. - W gruncie rzeczy chodziło o osobistą konfrontację między mną, Nashem, Griffithem i może jeszcze Koenigiem. Jeśli chcesz stanąć oko w oko z lwem, idziesz do jego jaskini. - To publiczne miejsce, Dom. Okno na Świat. Trudno o większą publikę. Chcę zobaczyć, kto się stawi i co ma do powiedzenia.

- Okay. To twoja rozgrywka, partnerze. Na twoim miejscu spotkałbym się z dziesięcioma dziennikarzami, zanim umówiłbym się z pierwszym gościem z rządu. Ale to nie w twoim stylu. Może powinienes pogadać z Kate.

- Ona myśli tak samo jak ja.

- Okay. Jutro o ósmej będę jadł śniadanie w Oknie na Świat z paroma koleżkami. Dobra?

- Dzięki.

- To drogi lokal.

- Ja stawiam.

- Nie chrzań. Czy Kate zajęła się moim gnatem? Chcę go dostać z powrotem bez szminki na kolbie.

Uśmiechnąłem się.

- Sam jej to powiesz. A przy okazji, może warto by było, żebyś

wziął posterunkowego Alvareza pod swoje skrzydła. Chcę, żeby był tu jutro rano.

- Taak? Zobaczymy, jak sobie poradzi, osłaniając twój tyłek. Między Kate i twoją współlokatorką wszystko cacy?

- Oczywiście.

- Bez scen? Nikt nie pokazywał pazurów?

- Nie.

- Chyba chronią cię jakieś czary.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem. Nie pój się jutro. Wszystko jest ustawione.

- Dobrze. Do zobaczenia jutro w Oknie na Świat. - Odłożyłem słuchawkę.

- Czy naprawdę wszystko jest ustawione? - zapytała Kate.

- Tak.

- Jest jakiś problem? - spytała Jill.

- Nie. - Uśmiechnąłem się do niej. - Mamy trzy samochody i eskortę złożoną z sześciu policjantów. Podwiozą nas do World Trade Center. Takiej obstawy nie ma nawet komisarz policji ani burmistrz.

Jill odpowiedziała uśmiechem.

- Cóż, jutro musimy wcześniej wstać. - A ja jestem bardzo napalony. - Chyba powinniśmy się położyć. Przyda nam się dobry odpoczynek. - I seks.

Wszyscy wstali.

- Jestem pewna, że macie sobie wiele do powiedzenia - rzekła Jill. - Dobranoc.

Poszła do swojego pokoju.

- Ona jest naprawdę bardzo miła - Kate westchnęła.

- Będzie dobrym świadkiem.

- Chyba coś do ciebie czuje.

- Nie sądzę.

- Wśluchiwała się w każde twoje słowo i ciągle na ciebie zerkała.

- Nie zauważyłem. - Wyjąłem kasetę z odtwarzacza. - Chodźmy do łóżka.

Wziąłem neseser Kate, a ona torebkę z pistoletem i poszliśmy do mojego pokoju. Zamknąłem drzwi i powiedziałem:

- Jestem niesamowicie napalony.

- To się czuje - odparła Kate, kładąc pistolet na nocnym stoliku. Zaczęła się rozbierać. - Nie mam nawet koszuli nocnej. Mój bagaż leży gdzieś na lotnisku.

- Koszula nie będzie ci potrzebna, kochanie.

Zaczęła ściągać bluzkę, a ja już leżałem nago w łóżku. Spojrzała na mnie i roześmiała się.

- Chyba pobiłeś rekord.

Kate skończyła się rozbierać i wczółgała się na łóżko obok mnie. Przetoczyła się na bok, spojrzała na mnie i zerwała plaster z mojej szczęki.

- Jak to się stało?

- Twój kumpel Nash przywalił mi zniecka sierpowym.

- Kiedy widziałam go na lotnisku, nie wyglądał zbyt dobrze. Był cały opuchnięty i w siniakach.

To była najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od dłuższego czasu.

- No cóż, wyrzuciliśmy to z siebie.

- Nie sądzę.

Postanowiłem zmienić temat.

- Seks.

Zanim zdążyłem wykonać pierwszy ruch, Kate oznajmiła:

- To nagranie było niesłychanie dosłowne.

- Taak. Rozumiesz, dlaczego Bud je skasował, a Jill nie ujawniła kopii.

- Rozumiem... Musiało jej być trudno, kiedy ci je pokazywała.

- Staralem się jej to ułatwić. Kiedy na jednej taśmie zarejestrowano seks i morderstwo, morderstwo jest ważniejsze. Ona o tym wiedziała.

- Hm, wiemy to w teorii. Ale jeśli to ty jesteś na taśmie... Nie mogłam uwierzyć, że to ta sama kobieta.

- Ludzie to bardzo złożone istoty.

- Ty nie jesteś złożony. I właśnie to w tobie lubię.

- Dziękuję. Bo chyba powinienem podziękować.

Kate milczała przez kilka sekund.

- Czy jutro będą kłopoty?

- Nie sądzę. - Powtórzyłem jej część tego, co powiedział Dom. - Nowojorska policja przebija FBI w takich lokalnych konfrontacjach.

- A co ja mam robić jako agentka FBI? Stać i patrzeć z zafrasowaną miną?

- Rób, co uważasz za stosowne, a jeśli uznasz, że musisz wyjść, to wyjdź. Ja to zrozumieję.

Kate patrzyła długo w sufit.

- Dlaczego ja wyszłam za gliniarza?

- Dlaczego ja ożeniłem się z prawniczką z FBI?

Milczała przez chwilę, a potem się roześmiała.

- Dzięki tobie życie jest ciekawsze. To mój pistolet pod kołdrą czy ty?

- Skarbie do usług, to moja specjalna policyjna trzydziestka ósemka.

Rozdział 53

Stałem na Central Park South przed wejściem do hotelu i spoglądałem na ulicę. Była ósma jedenaście, a ja nie widziałem ani śladu radiowozów.

Zerknąłem przez szklane drzwi na Kate i Jill stojące przy wejściu do baru. Czekwały na mój znak, żeby wyjść z hotelu. Był z nimi posterunkowy Alvarez.

Po drugiej stronie ulicy rząd taksówek czekał na klientów.

- Mogę zawołać panu taksówkę? - spytał odzwierny. - A może czeka pan na samochód?

- Czekam na dorożkę.

- Tak jest, proszę pana.

Był piękny dzień. Uświadomiłem sobie, że od niedzielnego ranka nie byłem na słońcu i świeżym powietrzu.

Zegarek pokazywał ósmą trzynaście. Radiowozy z posterunku Midtown North powinny już tu być, jeśli się pospieszyły. To najbardziej ryzykowna część takiej akcji: znajdujesz się między bezpieczną dziuplą, w której się ukrywałeś, a ulicą, na której czekasz na tych, co zapewnają ci podwiezienie.

O ósmej piętnaście na zakręcie pojawiły się trzy policyjne radiowozy bez włączonych kogutów i syren. Dałem sygnał Kate, zszedłem na jezdnię i zamachałem. Prowadzący wóz błysnął światłami i przyspieszył, a potem zatrzymał się gwałtownie przede mną. Dwa pozostałe stanęły za nim w krótkich odstępach. Pokazałem dokumenty gliniarzom w pierwszym aucie.

- Do Wieży Północnej World Trade Center zgodnie z instrukcją,

bez fanfar i fajerwerków. Luźna formacja. Celujemy w ósmą trzydziestą, ósmą czterdziestą. - Zrobiłem krótką pauzę i dodałem: - Uważajcie na niepożądane towarzystwo i zatrzymujcie się tylko na światłach.

Gliniarze skinęli głowami, a policjantka siedząca na fotelu pasażera oznajmiła:

- Wszyscy jesteście po odprawie.

- Dobrze.

Kate, Jill i posterunkowy Alvarez wyszli na chodnik.

- Oto pani samochód, madame - powiedziałem do Jill.

Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie jechałam policyjnym autem.

Nie chciałem jej zdradzać, że się przyzwyczai.

- Zgodnie z ustaleniami spotkamy się w holu przed barem Okno na Świat. Przez cały czas będą z tobą co najmniej dwaj policjanci.

- Do zobaczenia - odparła Jill.

Była opanowana i miałem nadzieję, że pozostanie taka również później, gdy sytuacja zrobi się paskudna. Dałem znak Alvarezowi, który zaprowadził Jill Winslow do środkowego samochodu i wrócił do nas, tak jak mu poleciłem.

Spojrzelśmy na siebie z Kate. Nie było za dużo do powiedzenia, więc tylko się pocałowaliśmy.

- Do zobaczenia - rzekła Kate i wsiadła do pierwszego samochodu.

- Czujesz, że jesteś dzisiaj wredny? - zapytałem Alvaręza.

- Tak jest - odparł z uśmiechem.

Wyjąłem z kieszeni marynarki kasetę z *Kobietą i mężczyzną*. Właśnie na tę taśmę Jill skopiowała swoje nagranie. Była bez pudełka. Wręczyłem ją Alvarezowi.

- Strzeż tego jak własnego życia. Jak własnego życia, pamiętaj.

Alvarez schował kasetę do za dużej kieszeni spodni, dopasowanej do wielkości policyjnego notesu.

- Słyszałeś kiedyś, żeby ktoś odebrał nowojorskiemu gliniarzowi coś, czego ten nie chce oddać? - odpowiedział pytaniem Alvarez.

Klepnąłem go w ramię.

- Do zobaczenia na miejscu.

Alvarez wsiadł do środkowego samochodu obok Jill.

Ja wsiadłem do trzeciego radiowozu. Stamtąd widziałem, co się dzieje przede mną, a Kate z samochodu prowadzącego mogła w razie potrzeby korygować plan. Jill w środkowym aucie, z Alvarezem i jeszcze dwojgiem gliniarzy zajmowała miejsce chronione.

Policjant siedzący na przednim fotelu był sierżantem. Rzucił kilka słów do krótkofalówki. Prowadzący samochód zawrócił nagle na Central Park South, co niewielu kierowcom uchodzi na sucho. Ruszyliśmy konwojem złożonym z trzech samochodów.

- Jaką trasą pojedziemy? - zapytałem.
- Przeskoczmy na West Side, chyba że wolisz inaczej.
- Może być. Zdajesz sobie sprawę, że pewni ludzie chcą nam dopieprzyć?

- Taak. Mogą sobie pieprzyć ile wlezie.
- Wszyscy z tej grupy znają musztrę?
- Jasne.
- Więc co sądzisz o FBI?
- Bez komentarza - zaśmiał się sierżant.
- A o agentach CIA?
- Nigdy żadnego nie spotkałem.

Twoje szczęście. Spoglądałem na zegarek. Była godzina ósma dwadzieścia jeden. Możemy się spóźnić o jakiś kwadrans w zależności od natężenia ruchu. Ujdzie Nash, który ma fioła na punkcie dyscypliny, wraz ze swoim klubem śniadaniowym będzie na miejscu co najmniej piętnaście minut przed czasem. Myśli, że my też stawimy się wcześniej. Niech siedzą i pocą się nad kawą ze śmietanką.

Tego rodzaju spotkania to przeważnie rozgrywki, w których chodzi o to, kto komu bardziej namiesza w mózgu. To spotkanie będzie prawdziwą orgią.

Przedzieraaliśmy się przez miasto. Dziesięć minut później jechaliśmy na południe Joe DiMaggio Highway, zwaną też Dwunastą Aleją, albo - skoro już o tym mówimy - West Street. Tak czy owak ulica biegnie wzdłuż rzeki Hudson. Przyjemnie się nią jechało w taki słoneczny dzień. Nasz konwój przemykał zwinnie wśród samochodów. Cywilny kierowca dostałby mandat za taką jazdę.

Do World Trade Center było jeszcze około ośmiu kilometrów. Widziałem bliźniacze wieże z daleka.

W kieszeni marynarki miałem kupioną w sklepie kasetę z filmem *Kobieta i mężczyzna*, którą włożyłem do tekturowego pudełka z napisem „Własność hotelu Bayview - prosimy o zwrot”. Jeśli federalni będą na nas czekać z jakimś nakazem, mogą go przestawić mnie, Kate albo Jill i spróbować odebrać nam taśmę lub zabrać nas - albo taśmę i nas - w inne miejsce. Nie mogą jednak przedstawić nakazu posterunkowemu Alvarezowi, nawet gdyby spodziewali się, że to właśnie on ma niecenzuralną wersję nagrania.

Tak czy inaczej nie sądziłem, by Nash i spółka życzyli sobie burdy w publicznym lokalu, w którym około trzystu osób będzie spożywało śniadanie. Ale jeśli wpadną w przewrotny nastrój, co im się zdarza, oddam im kinową wersję *Kobiety i mężczyzny*.

Spojrzałem przez przednią szybę i zobaczyłem radiowóz z Jill i Alvarezem, ale nie widziałem prowadzącego auta z Kate. Samochody poruszały się szybko i chaotycznie, kierowcy ciężarówek jeździli tego ranka wyjątkowo źle.

Zerknąłem na zegarek. Ósma trzydzieści jeden. Minęliśmy lądowisko dla śmigłowców na Trzydziestej Ulicy i zbliżaliśmy się do narbrzeża Chelsea. Jeszcze pięć kilometrów w tym tempie i mniej więcej za kwadrans dziewięta zatrzymamy się na Vesey Street przy Wieży Północnej.

Nie spodziewałem się problemów w czasie jazdy, w czasie dojścia do holu albo w windzie jadącej prosto do baru Okno na Świat na sto siódmym piętrze. Nie oczekiwałem też kłopotów w czasie śniadania, które w zasadzie sprowadzało się do licytacji, kto ma większego i czyje jaja więcej ważą.

Wiem, jak pracuje mózg Nasha. Drań jest cierpliwy, przebiegły i czasami bystry. Chce zobaczyć, z kim się zjawię, i usłyszeć, co mam do powiedzenia. Chce ocenić Jill Winslow, a także przekonać się, czy mamy ze sobą kasetę. Nie zaprosił na spotkanie nikogo, kto nie brał udziału w spisku, czyli nie będzie przedstawiciela biura prokuratora generalnego. Chyba że ktoś z prokuratury generalnej o wszystkim wie. Nash może też wprowadzić kogoś, kto podszyje się pod pracownika prokuratury generalnej. Taka jest praktyka CIA. Ted Nash często

podaje się za agenta FBI, a kiedy go poznałem, twierdził, że pracuje w Departamencie Rolnictwa. Później przez jakiś czas udawał, że nie żyje. Czasem też podaje się za byłego kochanka Kate Mayfield. Nie udaje tylko wtedy, kiedy zachowuje się jak palant.

Mógł też zaprosić na śniadanie Marka Winslowa tylko po to, by zamieszać w głowie Jill. To samo dotyczy Buda Mitchella, który na pewno będzie obecny.

W każdym razie to spotkanie miało być dla Nasha przesłuchaniem wstępnym, rozpoznaniem przeciwnika. Kłopoty zaczną się po spotkaniu. Wtedy Nash wykona ruch. Śniadanie było jak bankiet, na który zaprasza się wrogów, żeby najedli się i powiedzieli, co mają do powiedzenia, a potem się ich wykańcza. Właściwie to ja wpadłem na pomysł, że to ma być śniadanie, lecz to niczego nie zmienia.

Nash, jeśli ma choć trochę oleju we łbie, musi wiedzieć, że zmobilizowałem jakieś siły, które będą stanowić nowojorscy gliniarze. W takim razie trzyma gdzieś w zanadru swoje zastępy. Ale, jak zauważył siedzący przede mną sierżant, „Mogą sobie pieprzyć ile wlezie”.

Rzecz jasna, zdawałem sobie sprawę, że mam osobisty kłopot z panem Tedem Nashem i przynajmniej częściowo z tego powodu postępuję w ten sposób. Lecz nawet gdybym nie znał tego gościa i nawet gdybym go lubił (a nie lubilem), nie mogłem sobie wyobrazić, jak inaczej mógłbym to rozegrać.

- Moje instrukcje wyglądają tak - odezwał się sierżant. - Mam poczekać do końca spotkania, a potem zabrać ciebie i twoją grupę z budynku do radiowozów. Zgadza się?

- Tak. I właśnie wtedy możesz wpaść na paru fedziów, którzy mają inne plany.

- Byłem już kiedyś w takiej sytuacji: fedzie chcieli zwinąć delikwenta pod zarzutem handlu narkotykami, a ja miałem jego nakaz aresztowania z tego samego powodu.

- I kto go dostał?

- My. Ale federalni i tak go później drapnęli. - Po chwili sierżant dodał: - W końcu postawili na swoim. Wiesz, oni zawsze mają swojego człowieka od bla, bla, bla. Ale z początku na miejscu akcji my pierwsi robimy swoje.

- Otóż to.

- Dokąd później? - spytał sierżant.
- Jeszcze nie wiem. Dokądkolwiek, byle nie do federalnego aresztu śledczego.

Sierżant parsknął śmiechem.

Wyrzależ przez okno na rzekę i brzegi Jersey. Jutro albo jeszcze dzis po południu usiądę w gabinecie Jacka Koeniga w gmachu Federal Plaza 26 i położę nogi na jego biurku, a wokół zaroi się od aniołów. Ludzie z FBI, mimo że miałem im sporo do zarzucenia, to uczciwi zawodowcy, trzymający się litery prawa i niestrzelający z za węgla. Gdy tylko ta sprawa przestanie być hobby Johna Coreya, a stanie się przedmiotem oficjalnego śledztwa FBI, będziemy mogli pojechać z żoną na urlop. Może Kate zechce zobaczyć, gdzie spędziłem półtora miesiąca w Jemenie.

Ruch zagęścił się przed tunelem Holland.

- Masz środkowy radiowóz w zasięgu wzroku? - zapytałem.
- Nie - odparł kierowca. - Już nie. Chcesz, żebym ich wywołał?
- Taak.

Kierowca nawiązał łączność z obydwojma samochodami.

- Dojechalismy - odezwała się Kate. - Stoimy na Vesey przed Wieżą Północną WTC.

- Przyjąłem.

Z drugiego radiowozu zameldowano:

- Skrećamy z West. Dojedziemy do celu za jakieś dziesięć minut.
- Przyjąłem.

Spojrzałem na zegarek. Była ósma trzydzieści dziewięć. Dzielilo nas jakieś pięć minut jazdy od dużej promenady dla pieszych przy Vesey Street, otaczającej kompleks World Trade Center. Kilkuminutowy spacer do holu Wieży Północnej, a później jazda szybką windą do holu przed barem Okno na Świat.

- Chcę, żebyście obaj poszli ze mną - powiedziałem do sierżanta.

Gliniarz skinął głową.

- Jeden z naszych z prowadzącego radiowozu zostanie na dole. My pójdziemy z tobą.

- Dobrze.

Skreśliśmy w Vesey Street i o ósmej czterdzieści cztery zatrzymaliśmy się obok zaparkowanych jeden obok drugiego radiowozów. Wsiadłem, a razem ze mną dwóch policjantów. Zamienili kilka słów z tym, który miał pilnować aut. Właśnie skończył rozmawiać przez radio.

- Dwóch cywilów i czterech funkcjonariuszy jest już w środku - zameldował. Mówią o cywilach, miał na myśli Kate i Jill.

Wszedłem po schodach i ruszyłem promenadą w stronę Wieży Północnej. Była godzina ósma czterdzieści pięć.

Nagle usłyszałem odgłos, który przypominał niski pomruk dochodzący z oddali. Ludzie podnosili głowy. Gliniarze obok mnie też spojrzeli w górę.

- Zdaje się, że jakiś samolot za nisko podchodzi do lądowania na Newark - rzucił jeden.

Przeszliśmy jeszcze parę kroków, a później stanąłem i odwróciłem się, żeby spojrzeć na to, na co wszyscy patrzyli.

Z północy zbliżał się olbrzymi dwusilnikowy samolot pasażerski lecący dokładnie nad Broadwayem w moją stronę. Silniki zawyły głośno i samolot przyspieszył, jakby pilot otworzył do końca przepustnicę.

Zerknąłem przez ramię na Wieżę Północną World Trade Center i zobaczyłem, że sięga wyżej, niż wynosi pułap samolotu, który kieruje się prosto na nią.

Ludzie wokół mnie krzyczeli, kilku upadło na ziemię.

- O mój Boże... - jęknęła jakaś kobieta.

Rozdział 54

Słońce weszło godzinę temu lub więcej, lecz jego światło przysłaniał dym pożarów.

Z balkonu mojego mieszkania wychodzącego na południe widziałem dwa ogromne słupy czarnego dymu oraz blask reflektorów oświetlających miejsce, w którym jeszcze wczoraj rano stały bliźniacze wieże World Trade Center.

W nocy zgubiłem marynarkę w czasie akcji ratowniczej, a rzeczy, które mi zostały, były pokryte czarną, smolistą sadzą. Wiedziałem, że śmierdzą, ale ja nie czułem już smrodu.

Spojrzałem na zegarek i starłem sadzę z kryształowego szkiełka. Była siódma trzydzieści dwie. Trudno mi zrozumieć, że minęły prawie dwadzieścia cztery godziny. W ciągu dnia zdarzały się okresy, kiedy czas płynął zbyt szybko. Zdawało się, że upłynęła godzina, gdy w rzeczywistości było to wiele godzin. Jednak w nocy czas zdawał się stać w miejscu. Nie zmienił tego nawet wschód słońca.

Odkaszniałem, wyplułem czarną ślinę w chusteczkę i wcisnąłem ją z powrotem do kieszeni.

Zrozumiałem, co się dzieje, zanim doszło do katastrofy, dlatego że zajmowałem się tym, czym się zajmowałem. Jednak większość ludzi łącznie z pracownikami służb ratowniczych i dwoma policjantami, którzy ze mną byli, myślała, że to wypadek. Kiedy o dziewiętej zero trzy drugi samolot wbił się w Wieżę Południową, wszyscy zrozumieli, że stało się to, co dotąd wykraczało poza granice ludzkiej wyobraźni.

Przez pierwsze godziny po ataku szukałem Kate, lecz później, gdy ogrom tragedii i liczba ofiar stały się oczywiste, poszukiwałem w dymiących gruzach wszystkich, którzy mogli przeżyć.

Pamiętałem treść ostatniego zdania wypowiedzianego przez jednego z policjantów: „Dwóch cywilów i czterech funkcjonariuszy jest już w środku”.

Próbowałem dodzwonić się do Kate przez telefon komórkowy, ale wszystkie komórki siadły i do tej pory nie działały.

O szóstej trzydzieści rano, gdy odchodziłem z miejsca, gdzie kiedyś stała Wieża Północna, nie znaleziono nikogo żywego i raczej już na to nie liczono.

Widok był surrealistyczny, lecz powrót do domu jeszcze bardziej. Ulice w centrum prawie opustoszały, a ludzie, których zobaczyłem, jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Znalazłem taksówkę jakieś dwadzieścia przecznic od miejsca katastrofy. Kierowca imieniem Mohammed rozplakał się na mój widok i szlochał przez całą drogę aż do Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej. Stróż Alfred też płakał, kiedy wysiadłem z taksówki.

Spojrzałem na unoszące się w oddali kłęby dymu i pierwszy raz poczułem łzy na mojej umorusanej twarzy.

Jak przez mgłę pamiętam, że wjechałem na górę z Alfredem, który miał wszystkie klucze, i wszedłem do mieszkania. Wyglądało dziwnie obco po dwóch miesiącach mojej nieobecności. Stałem przez kilka sekund, próbując uprzytomnić sobie, dlaczego tam jestem i co powinienem zrobić. Potem podszedłem do drzwi balkonowych, bo stamtąd widziałem czarny dym, który wydawał mi się bardziej znajomy od własnego domu.

Kiedy przechodziłem przez duży pokój, mój wzrok przykuło coś, co leżało na kanapie. Był to koc. Przykłęknąłem obok Kate, która spała owinięta szczelnie kocem przykrywającym wszystko oprócz czarnej od sadzy twarzy i jednej dłoni spoczywającej na piersi. Ścisnęła w niej telefon komórkowy.

Nie obudziłem jej, ale długo na nią patrzyłem.

Zostawiłem ją śpiącą na kanapie i wyszedłem na balkon. Stałem tam, obserwując dym, który wzbijał się w niebo bez końca.

Drzwi balkonowe lekko zaskrzypiały. Odwróciłem się. Patrzyliśmy na siebie z Kate przez kilka sekund, a potem zrobiliśmy parę niepewnych kroków w swoją stronę. Dosłownie wpadliśmy sobie w ramiona i zaszlochaliśmy.

Siedzieliśmy na wpół uśpieni w fotelach na balkonie i patrzyliśmy na spowity całunem ciemności Dolny Manhattan, port i Statuę Wolności. Nie przeleciał ani jeden samolot, ani razu nie odezwał się telefon, nie było słycać klaksonów, na ulicy prawie nie było żywej duszy.

W tamtej chwili nie sposób było ocenić rozmiary katastrofy. Żadne z nas nie widziało ani nie słyszało wiadomości, bo przebywaliśmy w centrum wydarzeń i dotarło do nas tylko kilka komunikatów radiowych i mnóstwo pogłosek.

- Co z Jill? - zapytałem w końcu, choć znałem odpowiedź.

Kate nie odpowiadała przez kilka sekund.

- Ja pierwsza doszłam do wind jeżdżących do baru i postanowiłam na nią poczekać... Jill weszła do holu z posterunkowym Alvarezem i jeszcze jednym funkcjonariuszem... Wpuściłam ich do windy i czekałam na ciebie...

Nic nie powiedziałem, Kate też zamilkła. Po kilku minutach podjęła:

- Zanim wpuściłam Jill do windy, ona zapytała: „Poczekaj tu z tobą na Johna?”. A ja odparłam: „Nie, jesteś w dobrych rękach, ci panowie się tobą zaopiekują. Za parę minut do was dołączę”. Tak mi przykro...

- Nie zadręczaj się.

Zastanawiałem się, oczywiście, kto jeszcze wjechał na sto siódme piętro, zanim samolot uderzył w Wieżę Północną. Wiem natomiast, bo zapytałem ze stu gliniarzy i strażaków, że prawie nikt z najwyższego piętra nie zjechał na dół, zanim gmach runął o dziesiątej trzydziści.

- Zostałam w holu, żeby pomagać, ale strażacy kazali nam wyjść, szukałam ciebie... A potem gmach się zawalił... pamiętam, że biegłam... Musiałam stracić przytomność od dymu, bo ocknęłam się na pogotowiu... Koło północy wróciłam, żeby cię szukać, ale zgubiłam dokumenty i służby mundurowe nie chciały mnie przepuścić przez kordon. - Kate otarła oczy. - Sprawdzałam w szpitalach i stacjach

pogotowia. Raz po raz dzwoniłam na twoją komórkę i do domu... Później wróciłam pieszo, a ciebie nie było... Myślałam, że nie żyjesz - dokończyła, szlochając. Ująłem jej umorusaną dłoń.

- A ja myślałem, że jesteś tam... w środku...

Zamknąłem oczy. Przypomniałem sobie olbrzymi samolot schodzący nad Broadwayem i uprzytomniłem sobie, że musiał przelecieć między kwaterą FBI przy Broadway 290 a naszą siedzibą po drugiej stronie ulicy, Federal Plaza 26. Wszyscy tam musieli widzieć samolot. Ciekawe, czy mieli świadomość, że to pierwsza salwa długiej wojny, która zmieni nas raz na zawsze.

- Wracasz? - spytała Kate.

Skinąłem głową.

- Ja też.

Wstaliśmy oboje.

- Ty pierwsza idź pod prysznic.

Kate przesunęła palcami po mojej nowej koszuli.

- Spróbuję ci ją wyprać.

Weszła przez drzwi balkonowe do dużego pokoju. Patrzyłem, jak się porusza niemal jak w transie.

Odróciłem się i spojrzałem na wyrwę w zarysie mojego miasta. Pomyślałem o Jill Winslow, o moim przyjacielu i partnerze Domie Fanellim, o posterunkowym Alvarezie i innych policjantach, którzy z nimi byli. Pomyślałem również o Tedzie Nashu, który tym razem zginął naprawdę, choć nie taką śmiercią, jakiej bym mu życzył. O Davidzie Steinie i Jacku Koenigu. O Liamie Griffisie, Budzie Mitchellu i tych, którzy byli tam oprócz nich. Pomyślałem również o wszystkich pracujących w Wieży Północnej znajomych i nieznanym, którzy przebywali w wieżowcu wczoraj rano. Złapałem poręcz balkonu i po raz pierwszy ogarnął mnie gniew. *Wy, dranie.*

Dopiero w piątek pojechałem do hotelu Plaza, żeby zabrać swoje rzeczy z apartamentu i własność Jill Winslow pozostawioną w sejfie.

Asystent dyrektora hotelu był bardzo uprzejmy, ale powiedział, że w sejfie nie ma niczego, co należało do pani Winslow.

Podziękowania

Pierwsze i najgorętsze podziękowania chcę złożyć na ręce Sandy Dillingham, której niniejsza książka jest zadedykowana, za jej zachętę, entuzjazm, cierpliwość i bezwarunkową miłość.

Powieść ta nie mogłaby być rzetelna, gdyby nie pomoc, której udzielił mi Kenny Hieb, emerytowany policjant z Nowego Jorku, detektyw z Połączonych Sił Antyterrorystycznych (Joint Terrorist Task Force). Pragnę podziękować detektywowi Hiebowi za to, że podzielił się ze mną wiedzą na temat świata tajnych informacji i bezpośrednim doświadczeniem.

W tym miejscu warto wspomnieć, że istnieje pewna grupa osób z wymiaru sprawiedliwości oraz świadków katastrofy, które ze względu na charakter udzielonych mi informacji wołały pozostać anonimowe. Szanuję ich życzenie, lecz mimo to im dziękuję.

Chciałbym podziękować Thomasowi Blockowi, przyjacielowi z dzieciństwa, kapitanowi US Airways (emerytowanemu), redaktorowi i dziennikarzowi wielu czasopism lotniczych, który wspólnie ze mną napisał powieść *Mayday*, autorowi sześciu innych powieści, za jego nieocenioną pomoc w kwestii szczegółów technicznych oraz za sugestie redakcyjne. Thomas Block podąża śladami Leonarda da Vinci tam, gdzie sztuka spotyka się z techniką.

Pragnę też podziękować żonie Toma Błocka, Sharon, byłej stewardesie linii Braniff International i US Airways. Sharon jako jedna z pierwszych osób przeczytała rękopis i nie umknął jej ani jeden błąd ortograficzny lub źle postawiony znak interpunkcyjny.

Tak jak przy okazji moich trzech poprzednich powieści, *Śliwkowej Wyspy*, *Gry lwa* i *Listu z Wietnamu*, chcę podziękować mojemu

długoletniemu przyjacielowi Johnowi Kennedy'emu, zastępcy komisarza Departamentu Policji okręgu Nassau (emerytowanemu), arbitrowi w sądzie pracy i członkowi palestry stanu Nowy Jork za podzielenie się ze mną specjalistyczną wiedzą o procedurach postępowania policyjnego i pomoc prawną *pro bono*.

Chcę wyrazić wdzięczność Philowi Keithowi, weteranowi z Wietnamu, mieszkańcowi East Endu, profesorowi zarządzania w Southampton College (Long Island University) i dobremu przyjacielowi za pomoc w dotarciu do zeznań niektórych świadków katastrofy TWA 800, za jego dociekliwość i detektywistyczne rozpracowanie pewnych aspektów tej tragedii.

Wielkie dzięki dla Jamiego Raaba, redaktora wydawnictwa Warner Books, który współpracował ze mną przy poprzedniej książce, *List z Wietnamu*. Wszystko, czego nauczyliśmy się w czasie tamtej podróży w przeszłość, uczyniło wędrówkę w *Nadejście nocy* łatwiejszą.

Piszę moje książki ręcznie, bo nie umiem pisać na klawiaturze, lecz ktoś musi moją bazgraninę przenieść do komputera, zanim rękopis trafi do wydawcy. Na moje szczęście są obok mnie dwie panie, które umieją odczytywać moje pismo (oraz myśli) i które znają się na ortografii i interpunkcji, zbieraniu materiałów i opracowaniu tekstów. Są to moje wspaniałe asystentki, Dianne Francis i Patricia Chichester, dzięki którym moje życie jest nieskończenie mniej stresujące. Bardzo im dziękuję.

Dziękuję też mojemu przyjacielowi Bobowi Whitingowi, komisarzowi policji z Old Brookville, za przybliżenie mi pracy policji w małym miasteczku.

Jestem również wdzięczny Stanleyowi M. Ulanoffowi, generałowi brygadierowi armii Stanów Zjednoczonych (emerytowanemu) za dostarczenie mi licznych artykułów i materiałów dotyczących katastrofy TWA 800.

Podziękowania należą się także Marcusowi Wilhelmowi, szefowi Bookspan, za radę i wsparcie przez te wszystkie lata. Od chwili gdy się spotkaliśmy, nasza przyjaźń wykroczyła daleko poza kontakty służbowe.

Na koniec, co nie znaczy, że najmniej serdecznie, chcę podziękować mojemu synowi, Aleksowi DeMille'owi. Kiedy zacząłem pisać w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym, Alex nie umiał jeszcze czytać - głównie dlatego, że nie było go na świecie - lecz nadrobił zaległości i teraz udziela mi twórczych wskazówek. To właśnie

on podpowiedział mi idealne zakończenie tej książki, wyciągając mnie z tarapatów, w które się wpędziłem. Alex z energią dwudziesto-czterolatka pisze własną powieść, scenariusze, kręci filmy, montuje je i pracuje przy ich produkcji. Życzę mu szczęścia, powodzenia i sukcesów we wszystkich twórczych przedsięwzięciach.

A oto lista osób, które przekazały hojne datki na cele dobroczynne w zamian za wykorzystanie ich nazwisk w niniejszej powieści. Jeśli zastanawiałeś się, drogi Czytelniku, dlaczego tak wiele żeńskich postaci na kartach tej książki nosi włoskie nazwiska, teraz mogę zaspokoić Twoją ciekawość: Susan Corva wsparła Long Island Lutheran & High School na Long Island; Marie Gubitosi - Filharmonię Long Island; Jennnifer Lupo - Ośrodek Nauk Prawniczych Touro; Roxanne Scarangelo - Stowarzyszenie na rzecz Walki z Dystrofią Mięśni; chciała w ten sposób upamiętnić swojego przyjaciela, Mike'a Beiera, zmarłego na ALS (zespół Lou Gehriga). Dziękuję również Dickowi i Mo Kearnsom, którzy wspomogli gimnazjum Chaminade; Robertowi Griffithowi za wsparcie na rzecz ofiar ataku na World Trade Center w imieniu Liama Griffitha i organizacji Garden City Community Fund-Family Relief; Leslie Rosenthalowi za wsparcie Cantor Fitzgerald Relief Fund, Stowarzyszenia na rzecz Pomocy Ofiarom Ataku na World Trade Center; rodzinie Sibenów, która wsparła Long Island Children's Museum w imieniu Sidneya R. Ibse-na; Tomowi Spruckowi za liczne datki i dobre uczynki na rzecz wielu osób; Isabel Celeste Wilson za wsparcie Roslyn Trinity Cooperative Day School.

Z całego serca dziękuję tym wszystkim kobietom i mężczyznom, przepelnionym troską o bliźnich i ideą dobra publicznego. Mam nadzieję, że spodobały Wam się Wasze alter ego i nadal będziecie działać na rzecz szlachetnych celów.

Spis treści

Od autora	9
Księga pierwsza	
17 lipca 1996. Long Island, Nowy Jork	11
Księga druga	
Pięć lat później. Long Island, Nowy Jork	25
Księga trzecia	
Wrzesień. W domu	267
Podziękowania	477